



KRONIKA WYKRAKANEJ ŚMIERCI

KRONIKI
ŻELAZNEGO
DRUIDA

KEVIN HEARNE

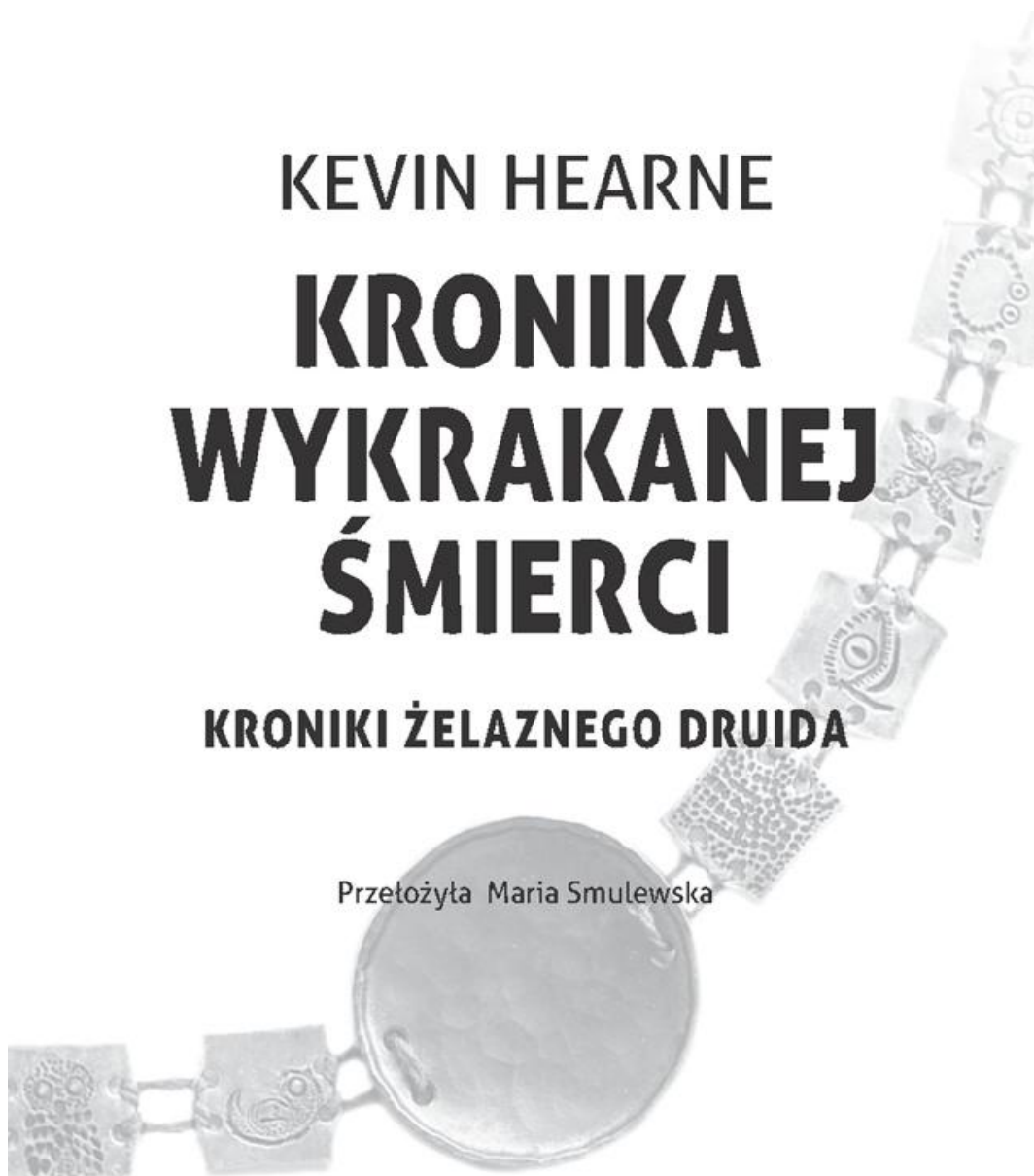


KEVIN HEARNE

KRONIKA WYKRAKANEJ ŚMIERCI

KRONIKI ŻELAZNEGO DRUIDA

Przełożyła Maria Smulewska



DOM WYDAWNICZY REBIS

*Konfederacji Nerdów:
AK, Barushce, Alanowi,
Toothowi oraz
Pilotowi Johnowi*



Wskazówki dotyczące wymowy

Jak zawsze – pamiętajcie, proszę, że choć zamieszczam tu te informacje, możecie wymawiać sobie te nazwy własne, jak wam się żywnie podoba, bo w czytaniu chodzi o to, żeby dobrze się bawić, a nie stresować dziwnymi mitologicznymi terminami. Jeśli jednak lubicie wiedzieć, jak się co wymawia, proszę bardzo:

Nazwy irlandzkie

Aillil = oljel (W *Zalotach do Étaín* [*Tochmarc Étaíne*] imię to nosi zarówno ojciec Étaín, jak i brat króla Eochaida Airema. Tu odnosi się do brata króla).

Amergin = awygen (legendarny irlandzki bard, którego imię wymawia się i zapisuje na bardzo różne sposoby. Współczesna irlandzka wersja wygląda tak: *Amhairghin* i wymawiana jest mniej więcej jako aurjen, ale Morrigan używałaby oczywiście staroirlandzkiej wersji).

Brí Léith = brilej (*síd*, czyli dom Midhira).

Eochaid Airem = olhetejram (arcykról Irlandii dawno, dawno temu).

Étaín = ejtin (tak zjawiskowa piękność, że istnieje o niej cała legenda).

Fódhla = foła (jedna z poetyckich nazw Irlandii oraz imię irlandzkiego żywiołaka).

Fúamnach = fuamyna (żona Midhira).

Midhir = mjer (jeden z Tuatha Dé Danann; brat przyrodni Aenghusa Óga i Brighid).

Orlaith = orla (Tak, całe to -ith na końcu jest tylko dla ozdoby).

W powieści Atticus recytuje fragment *Czyśćca* Dantego w oryginale, ale nie raczy go przy tym przetłumaczyć. Poniżej te same wersy oraz tekst w przekładzie Antoniego Roberta Stanisławskiego¹:

Canto V:

Là 've 'l vocabol suo diventa vano,

arriva' io forato ne la gola,

fuggendo a piede e sanguinando il piano.

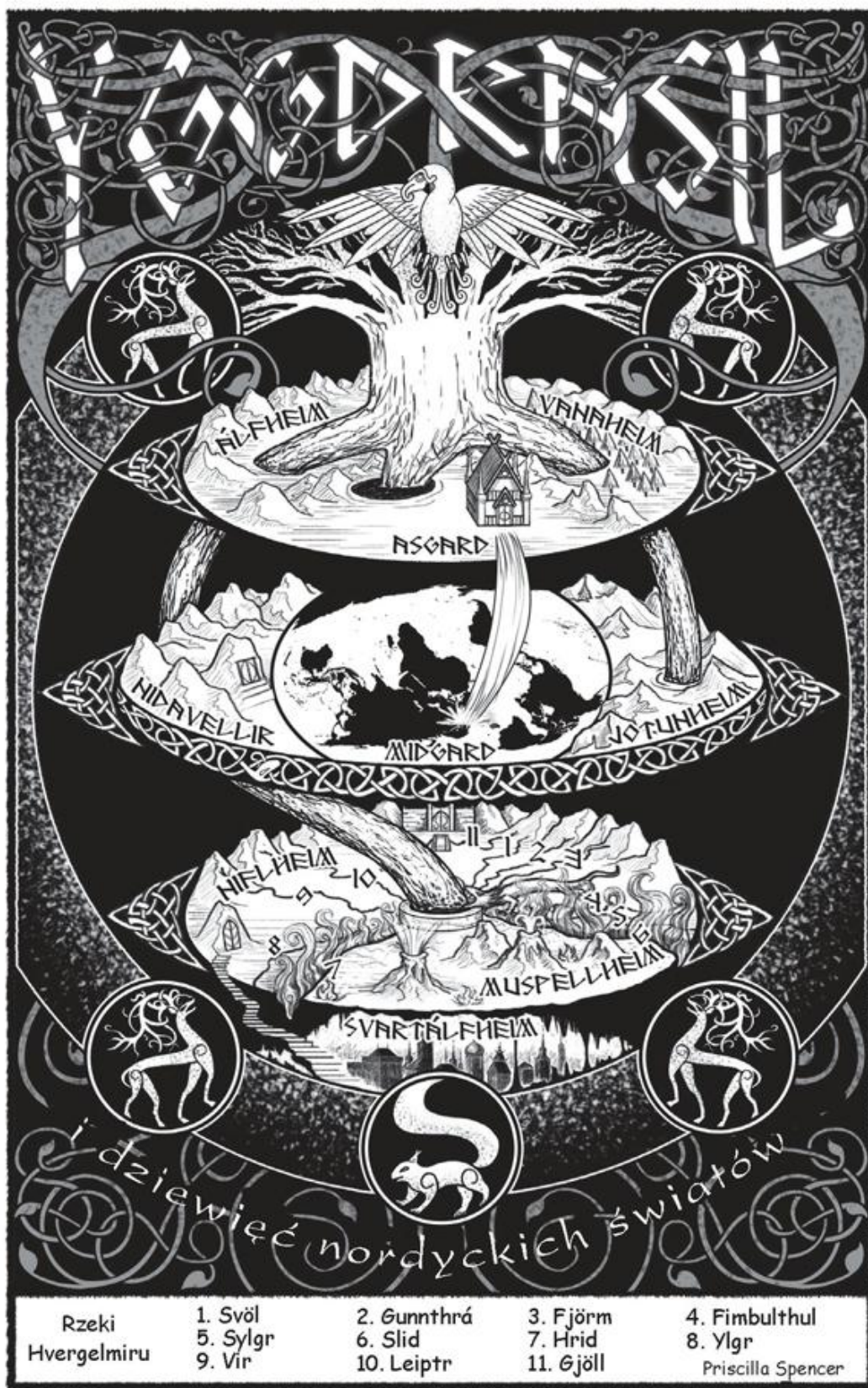
Quivi perdei la vista e la parola;

nel nome di Maria fini', e quivi

caddi, e rimase la mia carne sola.

Gdzie jej miano ginie,
Uchodząc pieszo i krwawiąc dolinę,
Dobiegłem z gardłem na wylot przebitem.
Tu wzrok się zaćmił; z imieniem Maryi
Skonało słowo; tu wreszcie upadłem...
I ciało tylko zostało na ziemi!

1. *Boska Komedja*, przeł. A. Stanisławski, Poznań 1870 (wszystkie przypisy tłumaczki).



Rozdział 1

Dziwne, że kiedy człowiek czuje się bezpiecznie, nijak nie może sobie przypomnieć, co to zamierzał zrobić, ale kiedy właśnie ucieka przed śmiertelnym niebezpieczeństwem, nagle przypomina sobie całą listę rzeczy, których jeszcze nie udało mu się w życiu dokonać.

Zawsze na przykład chciałem upić się jak świnia z wąsatym facetem, pójść do jego domu, pomaltretować jeszcze trochę wątrobę, a potem, gdy już facet całkiem odpadnie, zgolić mu jeden wąs. Później zainstalowałbym odpowiedni sprzęt inwigilacyjny, żeby w pełni móc się nacieszyć jego reakcją (i jego kacem), gdy się już obudzi. I oczywiście ową inwigilację przeprowadzałbym z czarnego vana bez okien zaparkowanego na ulicy obok. Ze mną pracowałby naturalnie wybitnie bystry informatyk z Instytutu Technologicznego w Massachusetts, który kiedyś poszedł prawie, ale nie do końca, na całość z pewną nieśmiałą studentką fizyki, która rzuciła go, bo nie przyspieszał jej cząsteczek.

Nie pamiętam, kiedy to wymyśliłem i dodałem do mojej listy. Pewnie po tym, jak zobaczyłem *Prawdziwe kłamstwa*. To zadanie nigdy nie znajdowało się szczególnie wysoko na mojej liście – z dość oczywistych powodów – ale teraz, gdy biegłem w panice przez Rumunię, wróciło do mnie wspomnienie tej wizji, i to w pełnym technicolorze. Nasze umysły stanowią niezgłębioną zagadkę.

Gdzieś za mną Morrigan walczyła z dwiema boginiami łowów. Artemida i Diana postanowiły sobie bowiem, że nadszedł mój czas, a Morrigan obiecała przecieź, że będzie mnie chronić przed tego typu gwałtowną śmiercią. Po mojej lewej biegł Oberon, po prawej Granuaile; wokół las drżał ciszą ciężką od pandemonium spowodowanego przez Fauna, które odcinało nam wszelkie połączenia z Tír na nÓg. Nie mogliśmy się przenieść do żadnej innej krainy. Mogliśmy tylko biec i przeklinać grecko-rzymskich bogów.

W przeciwieństwie do Irlandczyków i ludów nordyckich – oraz wielu innych – Grecy i Rzymianie nie wyobrażali sobie swoich bogów jako wiecznie młodych, ale podatnych na gwałtowną śmierć. O, tak, Olimpijczycy mieli nektar i ambrozię, które utrzymywały ich skóry w stanie bezzmarszczkowym, a ciała w idealnych kształtach (przy okazji zmieniając ich krew w ichor), czyli niby podobnie jak w innych panteonach, ale na tym się niestety nie kończyło. Ci bogowie mogli się całkowicie regenerować, co de facto oznaczało pełną nieśmiertelność. Innymi słowy, nawet jeśli się ich rozbije na machacę i zje z guacamole i ciepłą tortillą, to i tak odrodzą się dranie na Olimpie w zupełnie nowiutkim ciele i znów będą ci deptać po piętach. Dlatego właśnie Prometeusz nigdy nie umarł, mimo że dzień w dzień jego wątrobą racył się sęp, który z jakichś niepojętych powodów nie dbał o urozmaiconą dietę.

To jeszcze nie znaczy, że nie da się ich pokonać. Pomijając już nawet, że mogą ich zgładzić inni nieśmiertelni, to przecieź nawet Olimpijczycy muszą – jak wszyscy – istnieć w czasie. Pchnąłem Bachusa na wyspę wolniejszego czasu w Tír na nÓg i Olimpijczycy odebrali to jako osobistą zniewagę – i to tak osobistą, że woleli mnie zabić niż odzyskać Bachusa.

Nawet przez chwilę nie łudziłem się jednak, że podobny myk uda mi się z łowczyniami. Były o wiele lepszymi wojowniczkami – to raz, a dwa: starając się mnie ubić, cały czas pilnowały jedna drugiej.

– Dokąd biegniemy? – spytała Granuaile.

– Sigma razy oko na północ. Na razie. Sytuacja jest płynna.

<Płynny to zostawiłem jakieś, kiedy zobaczyłem, że lecą na mnie te strzały> wyznał na to

Oberon. (Obie strzały zgarnęła Morrigan, zasłoniwszy nas swoją tarczą. A zaraz potem kazała nam uciekać).

– Też o mały włos tego nie zrobiłam, Oberonie – pocieszyła go Granuaile. Teraz słyszała już jego głos, jako że była druidką pełną gębą. – Powinam była robić uniki albo wspierać Atticusa, albo, no, cokolwiek, a tymczasem jedyne, na co było mnie stać, to staranie się bardzo, żeby się nie zsikać.

– Przerwę na siusiu zrobimy sobie później – zarządziłem. – Póki co najważniejsze jest zyskać nieco dystansu.

– Rozumiem, że ostrożność nie jest na naszej liście priorytetów zbyt wysoko, co? Bo będzie nas raczej dość łatwo wytropić, gdy tak pędzimy przez ten las.

– Jak tylko będzie można, zaczniemy zachowywać większe środki bezpieczeństwa.

W głowie usłyszałem znów zachrypiły głos Morrigan. Nie przepadałem za tym jej zwyczajem, ale w tej chwili była to dość wygodna forma komunikacji. Ton Morrigan był ekstatyczny.

Oto bitwa, która powinna przejść do historii! Gdybyż tylko byli świadkowie i bard taki jak Amergin, by opiewać ją w godnej jej pieśni!

Morrigan...

Śłuchaj, Siodhachanie. Zdołam zatrzymać je tu jakiś czas, lecz wkrótce znów podążą waszym tropem.

Jak to? A co z tobą?

Gdzie im tam do mnie. Lecz nie jestem przecież nieśmiertelna. Mój koniec bliski. Widziałam wszystko. Cóż to będzie za koniec!

Zwolniłem i aż się obejrzałem. Granuaile i Oberon też odruchowo przystanęli.
Ty umrzesz?

Nie zatrzymuj się, głupcze! Biegnij, słuchaj i nie śpij. Potrafisz, mam nadzieję, odegnąć potrzebę spania, prawda?

Tak. Trzeba zapobiec odkładaniu się w mózgu adenozyiny i...

Dość już tych nowomodnych terminów. Grunt, że wiesz, co robić. Musisz teraz odnaleźć jedną ze Starych Dróg do Tír na nÓg, i to taką, która nie jest strzeżona, albo dotrzeć do lasu Herna Myśliwego.

Do lasu Herna? Masz na myśli Las Windsorski? To jest piekielnie daleko stąd!

Zawsze jest jeszcze inna opcja. Śmierć – skonstatowała Morrigan.

Nie, dziękuję. Ale Windsor to już nie jest dzika puszcza. To raczej wypielęgowany parczek. Ludzie piją tam herbatkę. Może nawet grają w kokieta. To żaden las.

Wystarczający. I jest tam Hern. On was obroni. Będzie miał przyjaciół. A, i, Siodhachanie, nie zapominaj, że Gaja kocha nas bardziej niż Olimpijczyków. W całym ich długim życiu nie dali

jej nic. Gorzej, męczą ją jeszcze tymi pandemoniami. Rozplatom właśnie tym tu rydwany, będą więc biegly na piechotę, póki im ci boscy kowale nie wykują nowych. Wykorzystaj to i maksymalnie zwiększ dystans.

Coś mi się tu nie zgadzało.

Ale, Morrigan, skoro wszystko to przewidziałaś, dlaczego mnie nie ostrzegłaś?

Byleś z tą swoją kobietą.

Z „moją” kobietą? Gdybym tak nazwał Granuaile, straciłbym z pewnością użębie. Nie jest moja. Nie da się nikogo mieć.

Wiem. I ja to zrozumiałam.

Świetnie. Ale co to ma do tej śmiesznej walki z Olimpijczykami? Przecież mogliśmy jej uniknąć!

Nie. Prędzej czy później i tak by nastąpiła. Odwlekanie jej niczego by nie zmieniło.

Żartujesz?! Na tym polega życie. Na odwlekaniu śmierci. Ty powinnaś się jednak przekonać do prozacu.

Cii. Mam dla ciebie coś, co współcześni zwykli nazywać uroczym prezentem pożegnalnym.

Aż się wzdrygnąłem na myśl o tym, co Morrigan może uważać za urocze, spytałem więc po prostu:

Prezent pożegnalny?

W Tír na nÓg znajduje się pewna Wyspa Czasu. Tu masz dokładniejszy adres.

W mojej głowie pojawiła się wizja niskiego kamiennego obelisku z wyrytą w piśmie ogamicznym instrukcją.

Widzisz? – dopytywała się Morrigan.

Tak, ale...

Zapamiętaj to sobie dobrze. Okrąż wyspę. Gdy będziesz w górnej części wyspy, przyjrzyj się linii drzew, a zobaczysz kogoś, kogo być może zechcesz stamtąd wyciągnąć. Wówczas poproś o pomoc Goibhniu.

Morrigan. Dlaczego?

Bo jestem w potrzasku, a to jedyne wyjście. Bo wybrałaś i wybrałaś dobrze. Nie mogę jej winić.

Nogi się pode mną ugięły, gdy dotarła do mnie powaga jej słów. Granuaile rzuciła mi zaniepokojone spojrzenie, a ja pokręciłem natychmiast głową, żeby ją uspokoić, że wszystko w porządku.

Ale... Morrigan, nigdy nic nie powiedziałaś.

Czy to by cokolwiek zmieniło? Czy wybrałbyś mnie?

Nie wiem. Ale nawet nie dałaś mi szansy.

Każdy dzień był szansą, Siodhachanie. Dwa tysiące lat. Gdybyś był zainteresowany, miałeś dość okazji, by to zainteresowanie okazać. Rozumiem. Przerażam cię. Przerażam wszystkich i nie da się od tego uciec, choćbym stawiała na głowie.

No... tak. Właśnie walczysz z dwiema Olimpijkami i jednocześnie prowadzisz ze mną tę rozmowę. To jest rzeczywiście dość przerażające.

Dobrze się przygotowały. Mają syntetyczne szaty. Nie mogę ich spleść. I są nader sprawnymi wojowniczkami. Celują w moją prawą stronę, by odciąć mnie od magii.

Morrigan, spadaj stamtąd i tyle. Uratowałaś już mnie i mamy przewagę.

Nie. Już wybrałam. Odkąd pokonałeś Aenghusa Óga, próbowałam się zmienić, ale okazało się, że zmiana jest już niemożliwa. Nie potrafię mieć przyjaciół. Nie potrafię być delikatna i czuła, chyba że w wyjątkowych okolicznościach. Moja natura po prostu tego nie przewiduje. Potrafię tylko przerażać, uwodzić i szafować śmiercią. Czy to nie dziwne? Dawno, dawno temu byłam sobie zwykłą druidką, taką jak każdy inny druid. Mogłam robić, co mi się żywnie podobało. Ale gdy stałam się boginią, wraz z mocą przyszły i oczekiwania. Może powinnam raczej powiedzieć: okowy. Nie zauważałam ich, póki nie spróbowałam się z nich wyzwolić. Moja natura nie należy już do mnie. Nie mogę robić, co mi się podoba. Mogę być tylko taka, jak chce mnie postrzegać mój lud.

Przykro mi. Nie miałem pojęcia.

Mówię ci to po to, żebyś był mądrzejszy. Takie jest sekretne prawo boskości i biada tej, która je odkryje. Próbowałam z tym walczyć, ale potwierdzało się tak często, że musi być prawdą. A jednak znalazłam pocieszenie.

Pocieszenie?

Oto moje zwycięstwo, Siodhachanie: mam prawo walczyć i nie potrzebuję po temu żadnego powodu. Zwykle mam jednak jakiś, ale może to być jakikolwiek powód, jaki mi przyjdzie do głowy. Dziś więc nie walczę dla chwały, dla honoru, z zemsty czy żądzy mordu. Walczę z... innego powodu.

Rozumiem. Ale powiedz to i tak. Żeby wygrać.

Z miłości.

Morrigan, ja...

Poczułem, że coś pęka cicho w mojej głowie, jakby zniknęło napięcie w pękniętej nici. Albo zerwanym splocie. Nagła pustka. Zakręciło mi się w głowie i aż potknąłem się o jakiś korzeń i zaryłem twarzą w ziemię.

Morrigan?

Cisza w mojej głowie oznaczała tylko jedną odpowiedź. Nasze mentalne połączenie było jak cichy szum komputera albo sprzętów kuchennych, którego nigdy się nie zauważa, póki nagle nie zniknie. Podczas dość bolesnego rytuału, dzięki któremu odzyskałem ucho stracone w walce z pewnym demonem, Morrigan przemyciła kiedyś splot, który pozwalał jej porozumiewać się ze mną telepatycznie. Teraz to połączenie zniknęło.

– Atticusie, co się stało? – Granuaile pomogła mi wstać i jęknęła głucho, gdy zobaczyła moją twarz. – Jesteś ranny? Dlaczego płaczesz?

Puściła moje ramię, ale natychmiast znów je chwyciła, gdy zachwiałem się na nogach. Wciąż kręciło mi się w głowie.

– Morrigan nie żyje – wyszeptalem.

Rozdział 2

Myślisz, że dałabyś radę trzymać swój kij w zębach, kiedy będziesz koniem? – spytałem, żeby uniknąć wszelkich pytań. Otarłem lzy wierzchem dłoni.

Granuaile zrozumiała i nie drażyła tematu, choć w jej głosie pobrzmiwał szok, gdy wybąkała:

– Mogę spróbować.

– Dobra. To ubrania zostaw tutaj. – Zacząłem się rozbiierać, próbując kilkoma głębokimi oddechami opanować mdłości. – Liczy się każda chwila. Czas zdać się na kopyta. Po drodze będziemy pobierać moc z ziemi.

Granuaile zdjęła koszulę.

– Morrigan powiedziała przecież, że stare przejścia są strzeżone lub zawałone – przypomniała mi słowa bogini. – Czy będziemy musieli pokonać strażników i przebić się przez jedno z nich?

– Chyba będzie trzeba biec całą drogę aż do Anglii. A w każdym razie do Francji, a potem przepłyniemy kanał.

– Poważnie chcesz, żebyśmy tak tam po prostu biegli z Rumunii?

– Tak.

– A nie moglibyśmy wskoczyć w jakiś pociąg? Albo samochód, albo co?

– Nie. Słyszałaś przecież, co powiedziała Morrigan. Jedyny sposób, żebyśmy przetrwali, to biec całą drogę.

– Ale to nie ma sensu!

– Gdy w grę wchodzi przetrwanie, nie będę się sprzeczał z wizjami Morrigan. Ta bogini ma... znaczy się... miała dość dobre pojęcie o sprawach życia i śmierci.

– Przecież nie podważam jej słów. Chciałabym tylko wiedzieć dlaczego.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie wiem. Na razie. Może dowiemy się po drodze. Domyślam się zresztą, że wszystkiego będziemy się musieli dowiedzieć po drodze.

Gdy tylko zrzuciliśmy ubrania, odłożyliśmy broń na ziemi przed sobą i zmieniliśmy się w zwierzęta kopytne – w jelenia i kasztanową klacz – a potem podnieśliśmy broń pyskami.

<Hej! Lepiej by dla was było, żebyśmy się nie wpakowali w jakiś gęsty las> zauważył czujnie Oberon.

Nie przyszła mi na to do głowy żadna bystra odpowiedź, ale widać Granuaile miała taką na podorędziu, bo Oberon zaraz wybuchnął oburzonymi:

<Że co słucham? Poważnie? Ale muszę?> Na co widocznie powiedziała, że tak, musi, bo zaraz dodał: <Powinniście sobie sprawić juki albo co>. Podniósł jednak potulnie kaburę, w której Granuaile trzymała noże. <Czy wy macie pojęcie, jak my teraz głupio wyglądamy? Znam jednego zaklinacza koni i powaga, że się mu poskarżę>.

Jego gderanie nie ustawało, nawet gdy zaczęliśmy biec, i byłem mu za to bardzo wdzięczny. Coś, co zdawało mi się wieczne, nagle się skończyło, i wstrząsnęło mną to ogromnie. Nie mogłem się zdobyć na ani jedną zabawną ripostę na komentarze Oberona. Miałem po prostu o wiele za dużo do przemyślenia – w tym: jak my teraz przetrwamy?

Gdy pozostawiliśmy za sobą Góry Apuseni, mogliśmy wreszcie nabrać prędkości, pędząc po skraju niewielkiej równiny. Z lasów wypadliśmy na płaskie pola. Kierowaliśmy się na północny zachód, żeby ominąć góry, które znów by nas spowolniły. Trzymaliśmy się winnic, pół

lucerny i zbóż, z dala od wiosek. Przepłynęliśmy dwie rzeki i obiegłszy od południowej strony Oradeę, o zachodzie słońca dotarliśmy na Węgry. Przekazałem Granuaile przez Oberona, co powiedziała mi Morrigan – to znaczy o pobiegnięciu do lasu Herna.

Spytała tylko: <To jaką trasą biegniemy?>.

Najlepiej będzie zdać się po prostu na prędkość, chyba że udałoby się nam jednak znaleźć Starą Drogę do Tír na nÓg, której by akurat nikt nie monitorował. Ale czułem przez skórę, że wszystkie są obserwowane. Ci, którzy stali za tym wszystkim, naprawdę chcieli mieć pewność, że nas dorwą, a to nie byłoby przecież możliwe, gdybyśmy mogli się przenieść spokojnie do Tír na nÓg, a potem do jakiejś kompletnie innej krainy. Rzymianie zrobili to samo starożytnym druidom, gdy postanowili sobie zmieść nas z powierzchni ziemi z pomocą usługowych wampirów i swojej bogini Minerwy. Pierwszy krok polegał na spaleniu wszystkich świętych gajów na kontynencie, bo tam znajdowały się wówczas jedyne nici łączące Europę z Tír na nÓg; krok drugi – obstarwić strażnikami Stare Drogi; i krok trzeci – z pomocą Minerwy przejrzeć nasz kamuflaż. Udało mi się wtedy uciec tylko dlatego, że pobiegłem na północ, poza granice imperium rzymskiego. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że i tym razem to Minerwa doradzała Panu, Faunowi i łowczyniom, jak nas dorwać.

Nigdy dotąd jednak nie biegłem przez całą Europę. Raz wędrowałem sobie po niej, zatrzymując się w schroniskach młodzieżowych i przyszywając sobie do plecaka różne naszywki, bo uznałem, że to fajne przebranie, ale nigdzie się wtedy nie spieszyłem. Zwłaszcza wspinaczką górską miło się delectować w spokoju. Tym razem nie chciałem biec przez góry, bo bałem się, że zbyt nas spowolnią, a poza tym nie chciałem ogłaszać całemu światu miejsca naszego pobytu. Żeby dotrzeć do Cieśniny Kaletańskiej najprostszą trasą, moglibyśmy pobiec na północny zachód. Ale taki szlak prowadziłby nie tylko przez kilka łańcuchów górskich, lecz i całkiem sporo wyasfaltowanych miast, takich jak Budapeszt i Wiedeń. Musieliśmy nieco zmylić trop, no i mieć stały kontakt z ziemią. I dlatego właśnie przy węgierskiej granicy skręciłem ostro na północ. Gdy tylko przekroczyliśmy Karpaty, mogliśmy się już aż do samej Francji trzymać bardziej płaskich terenów, w najgorszym wypadku lekko górzystych. Jeśli pobiegniemy przez Polskę i Niemcy, być może nasi wrogowie pomyślą, że podążamy do Szwecji przez Danię. Żeby jednak biec najlepszą możliwą trasą, unikać skupisk ludzkich, takich jak wsie i adepci sztuki przetrwania chroniący się po lasach w oczekiwaniu na apokalipsę, będę musiał cały czas konsultować się z żywiołakiem. Wróciłem więc do łacińskiej przestrzeni umysłowej i zwróciłem się o pomoc do karpackiego żywiołaka, którego władza rozciągała się ponad kilkoma granicami politycznymi (niemającymi oczywiście dla Gai żadnego znaczenia).

//Druidzi biegną / Potrzebny przewodnik / Unikać ludzi i miast, jeśli tylko możliwe//

Po krótkiej wymianie uczuć z Karpatką ustaliliśmy trasę, która poprowadzi nas na północ przez wiejskie obszary Węgier i Słowacji, póki nie dotrzemy do właściwych gór.

Miałem więc już plan i świadomość, że będziemy biec jeszcze z dobrą godzinę. To aż nadto czasu, żeby powróciło czucie. Większość tych uczuć wyciekała mi oczami. Całe życie czułem przecież Morrigan, a przez kilka ostatnich lat stała się dla mnie czymś więcej. Była ciemnością, niesamowicie pięknym zwiastunem przeznaczenia i bólu, który kazał mi walczyć, ale i popychał ku samodoskonaleniu się. Była antytezą Brighid, kimś, kogo nie tylko się bałem, ale i ceniłem bardzo wysoko. Brighid wносиła w życie światło, sztukę i poezję, ale to Morrigan dodawała mojej egzystencji tej namacalnej ostrości ryzyka.

Spoglądając teraz z perspektywy, zobaczyłem nagle z przygnębiającą jasnością, że Morrigan rzeczywiście darzyła mnie czymś więcej niż zwykłego śmiertelnika. Sześć lat temu, gdy zabrała mnie od Granuaile, żeby nareperować mi tatuaże na ręce, była dla mnie wyjątkowo serdeczna, ale przymknąłem wtedy na to oko, bo skryliśmy się w komnacie, której sploty

wymuszają harmonię. Teraz dopiero zrozumiałem, że od tamtego czasu te kilka chwil nie dawało jej spokoju. Gdy tylko opuściła komnatę, wróciła do zwykłego u niej okrucieństwa, choć być może wcale nie miała na to ochoty. I to ją załamało – nie miłość do jakiegoś tam faceta, ale brak wolności, która pozwoliłaby jej kochać lub nie.

A ja próbowałem być jej przyjacielem, co pewnie tylko pogarszało sprawę. Poszliśmy na kilka meczów baseballu, żeby spędzić razem trochę czasu, ale ona nic tylko komentowała strach graczy przed porażką, ich wyrzuty sumienia lub rozpacz, gdy coś im się nie udawało, a ich triumf zauważała tylko wtedy, gdy jej o nim powiedziałem. Za każdym razem, gdy to robiłem, wzdrygała się, jakbym ją złażał. Była chyba przekonana, że powinna zauważyć to pierwsza albo przynajmniej w tym samym czasie co ja, ale najwyraźniej miała jakiś filtr, który blokował u niej rejestrowanie takich rzeczy. Za każdym razem, gdy wychodziliśmy na mecz, była aż zarumieniona z przejęcia i pełna optymizmu wierzyła, że tym razem da radę cieszyć się oglądaniem gry i moim towarzystwem na zupełnie powierzchownym poziomie, a zignoruje wszystkie te uczucia, do których była nastrojona jako bogini śmierci, wojny i pożądania. Zwykle optymizm ten pryskał w okolicy trzeciego inningu i siedziała potem w milczeniu, bojąc się cokolwiek powiedzieć, żeby znów nie okazało się, że zauważa tylko negatywne rzeczy. Moje próby rozweselenia jej radosnymi obserwacjami jedynie podkreślały jej brak zdolności do zaangażowania się na tym poziomie.

Wpadliśmy kiedyś na mecz w St Louis i po szybkiej wizycie w sklepie drużyny byłem naprawdę zdumiony, jak zupełnie inaczej prezentowała się w bluzeczce i baseballówce Cardinalsów. Wyglądała nadzwyczaj słodko – nie seksownie czy ponętnie, ale wręcz jakoś tak niewinnie i tak pięknie, że aż się chciało żyć, byle tylko móc na nią patrzeć. Ale kiedy powiedziałem Morrigan, że wygląda słodko, jakoś nie chwyciła komplementu i nijak nie mogła zrozumieć niuansów tej sytuacji. Myślała, że proszę o seks, a kiedy zorientowała się, że nie, obydwójce byliśmy zażenowani i sfrustrowani. Mimo tych porażek wydawało mi się, że naprawdę robimy pewne postępy i że powoli stajemy się wreszcie przyjaciółmi – po dwóch tysiącleciach niepewnej współpracy w przymierzu przeciwko Aenghusowi Ógowi. Ale pewnie Morrigan uważała, że te postępy nie są wystarczające albo że nie popychają nas we właściwym kierunku.

Równie frustrujące było pewnie dla niej to, że nijak nie udawało jej się namówić żywiołaka żelaza, żeby jej pomógł w pracy nad połączeniem z jej aurą amuletu z zimnego żelaza. Choćby nie wiem jak się starała, nie mogła się wyzwolić z tego, że jest boginią, i zmusić do przyjaznych zachowań.

Teraz pewnie była przynajmniej wolna – przede wszystkim od tych ograniczeń, ale i od tego zidiociałego druida, który zupełnie się nie połapał w jej stosunku do niego. Gdybym tylko spojrział na nią w magicznym spektrum, pewnie zobaczyłbym te emocjonalne więzi, tak jak Granuaile zobaczyła je między nami, gdy tylko zdobyła magiczny wzrok. Ale nigdy, przenigdy nie odważyłem się tak spojrzeć na Morrigan. Zorientowałaby się przecież, że to zrobiłem, i uznałaby z pewnością za naruszenie jej prywatności, a z takimi przewinami miała zwyczaj rozprawiać się dość ostro.

Można powiedzieć, że i ja byłem teraz wolny, ale w przeciwieństwie do Morrigan wcale nie chciałem być. Choć zabrzmiałoby to pewnie głupio, chciałem, żeby znów błysnęła na mnie tymi swoimi czerwonymi oczami i powiedziała mi, że mój koniec już bliski. Chciałem zabrać ją na kolejny mecz baseballu i wyćwiczyć w świętej, acz obrzydliwej sztuce żucia nasion słonecznika.

No i nie pogardziłbym poczuciem, że znów ktoś mnie chroni. Przecież to ona czuwała nade mną przez te wszystkie lata. Bez jej ochrony znów byłem narażony na raptowną śmierć.

Oczywiście było tak też przez większość mojego długiego życia, ale jednak dobrze było mieć przez te ostatnie kilkanaście lat poczucie względnego bezpieczeństwa. Odkąd postanowiłem przestać uciekać przed Aenghusem Ógiem, częstotliwość zamachów na moje życie wzrosła dość drastycznie, a świadomość, że po mojej stronie walczy sama bogini, była bardzo pocieszająca. Jej pomoc była sporadyczna i nigdy nie przychodziła bez bólu, ale bez niej już dawno byłoby po mnie. Teraz, gdy jej nie było, a na mnie polowały aż dwie nieśmiertelne istoty, być może w mojej klepsydrze już kończyły się ziarna piasku.

Dość szybko się zorientowaliśmy, że kiedy wszyscy troje będziemy ukryci, idzie nam dość słabo. Gubiliśmy się ciągle, rozdzielaliśmy zupełnie niechcący albo nawet na siebie wpadaliśmy. Postanowiłem więc być widzialny, uznawszy, że jeleni biegający przez las nie powinien wywołać paniki. Gdyby jednak ktoś zobaczył Granuaile jako konia, mógłby ją próbować złapać, a Oberona ludzie zgłosiliby pewnie jako bezpańskiego psa. Najłatwiej było więc pozostawić kamuflaż na Oberonie, Granuaile biegła zupełnie niewidzialna i tak ukryci podążali za widocznym jeleniem.

Nawet bez żadnej pomocy byliśmy dość szybkimi stworzeniami. Każde z nas mogło osiągać prędkość trzydziestu mil na godzinę i utrzymać ją może z milę czy nawet trzy, nim potrzebowalibyśmy odpoczynku. Z pomocą Gai jednak pędziliśmy czterdzieści, czterdzieści pięć mil na godzinę, i to bez żadnej potrzeby przystawania i bez zakwasów.

Wschodnia część Słowacji to w dużej mierze obszary wiejskie, więc tu poszło nam łatwo, szczególnie kiedy większość ludzi skryła się wieczorem w domu. Zwalnialiśmy co jakiś czas, żeby przekroczyć jakąś drogę czy przeskoczyć ogrodzenie, ale poza tym biegliśmy bez słowa, licząc na to, że stworzymy na tyle duży dystans między sobą a łowczyniami, że nie zdołają go one tak łatwo zlikwidować. Pierwsze kłopoty czekały nas na północ od jeziora Veľká Domaša.

Jezioro, powstałe przez zatamowanie wód rzeki Ondavy, rozciąga się z północy na południe. Ma jakieś osiem mil długości, a jego powierzchnia, posrebrzana księżycową poświatą, migiała nam po lewej, gdy biegliśmy po zalesionych wzgórzach wschodniego brzegu. Był to jeden z tych dojrzałych lasów, które dają ludziom poczucie bezpieczeństwa, gdyż zarośla zostały dawno wyrwane albo przynajmniej nauczone dobrych manier i nieukrywania żadnych większych, ludożerczych drapieżników. Ludzie spacerowali sobie więc po nim bez obaw, że coś na nich zapoluje, sami zaś polowali na grzyby.

Ześlizgnęliśmy się ze wzgórz zaraz po tym, jak minęliśmy wioskę znajdującą się na północno-wschodnim brzegu, która – jak się potem dowiedziałem – nazywała się Turany nad Ondavou i liczyła około pięciuset mieszkańców. Wtedy właśnie nos Oberona poruszył się niespokojnie. Mój również.

<Hej, Atticusie. Albo coś tu zdechło, albo gdzieś blisko czai się jakiś wampir>.

<Też to czuję> stwierdziłem.

<Bystra Dziewczyna mówi, że też to czuje>.

<Dobra, zatrzymajmy się tu na chwilę i powiedz jej, żeby nie zmieniała postaci. Jeśli przemieni się w człowieka, wampir od razu to wyczuje>.

<A teraz nas nie wyczuwa?>

<Jesteśmy tylko nieszkodliwymi zwierzątkami, a on pewnie raczej szuka ludzi>.

Przed sobą mieliśmy drogę prowadzącą do przejścia granicznego – czyli zarazem przejścia przez Karpaty. Plan był taki, żeby biec mniej więcej po jej wschodniej stronie. Nie zobaczyłem nic, kiedy popatrzyłem na północ, ale gdy obejrzałem się z powrotem na południe, w stronę wsi, ujrzałem cztery postacie – po dwie na każdej stronie drogi. Patrzyły na południe i wyraźnie na coś czekały. Miały na sobie dzinsy i bluzy z kapturami, a ręce schowały

głęboko w kieszeniach.

Włączyłem magiczne widzenie i zobaczyłem, że jedna z postaci ma charakterystyczną szarą aurę wampira. Pozostałe trzy były jednak moim zdaniem o wiele bardziej niebezpieczne.

<Mroczne elfy> powiedziałem.

<Granuaile mówi, że chce je podpalić>.

Prychnąłem mentalnie. Mroczne elfy nie pozostałyby wystarczająco długo w stanie stałym, żebyśmy mieli czas je podpalić.

<Pozwolę sobie tu zauważyć, że zemsta to danie, które najlepiej smakuje na zimno>.

<Musisz mi kiedyś wytłumaczyć to powiedzenie. Mówisz to zawsze takim tonem, jakby to było coś złego, ale jak dla mnie to się kojarzy z lodami, bo też najlepiej smakują na zimno. I wiesz, myślę, że więcej ludzi szukałoby zemsty, gdyby się ją podawało z lodami. Albo z mrożonym jogurtem, ale nie tym z wmieszanymi owocami, bo...>

<Oberon>.

<Tak?>

<Spytaj Granuaile, czy naprawdę chce je zlikwidować, czy woli biec dalej>.

Nastąpiła chwila ciszy, nim padła wreszcie odpowiedź.

<Mówi, że tak. Że nie chce, żeby te typy połączyły siły z boginiami. Ale że jeśli mamy to zrobić, to bardzo szybko>.

Trudno się z nią było nie zgodzić. Łowczyni na pewno już za nami biegły i nie mogliśmy pozwolić sobie na długie przystanki. Przyszło mi jeszcze do głowy, że być może jedynym zadaniem elfów było właśnie zwolnienie naszego tempa. Kiedy ostatnim razem natknęliśmy się na mroczne elfy, było to w Salonikach i ledwie uszliśmy z życiem. Tym razem było ich jednak mniej, a Granuaile stała się tymczasem druidką władającą mocami, których pewnie się nie spodziewali. Czy ten wampir miał świadomość, co mu możemy zrobić? Był pewnie za młody, żeby mieć jakiegokolwiek pojęcie o druidach. Ale rozumiałem, dlaczego był w tej grupie potrzebny – był ich czujnikiem. Nie damy rady zakraść się i zaatakować ich tak, żeby nas nie zwęszył lub nie usłyszał.

<Rozplotę najpierw wampira i zaatakuję stąd tak, żeby mnie widzieli. Granuaile niech pozostanie niewidzialna i atakuje z flanki. Jeśli posłuży się magicznym wzrokiem, powinna móc widzieć elfy w ciemności, kiedy zmieniają się w dym>.

Granuaile przemieniła się więc w człowieka, ale nie zrezygnowała z niewidzialności, za to wyraźnie miała jakieś zażalenia do Oberona, gdy podał jej noże, bo usłyszałem, jak mój pies mówi:

<Obsłanianie to jedna z tych moich wspaniałych usług, które otrzymujesz gratis>.

<Oberonie, zostań, proszę, tutaj. Tam niczego nie zdołasz ugryźć>.

<Niech będzie. Miałem właśnie przeprowadzić poważne prace na podwoziu, jeśli wiesz, co mam na myśli, a wy to zawsze jakoś tak panikujecie, kiedy przechodzę w dolne miasto>.

<Powiedz Granuaile, że może zaczynać. Rozplotę teraz wampira>.

Przemieniłem się w człowieka i skupiłem na wampirze, wymawiając słowa, które powinny rozdzielić go na węgiel, wodę i śladowe ilości różnych pierwiastków. Gdy tylko on zniknie, mroczne elfy będą zdane na własne, dość ograniczone zmysły. Słyszałem cichnące kroki Granuaile, gdy biegła w dół zbocza, w kierunku drogi. Zajdzie ich od północy, a ja zaatakuję od północnego wschodu.

Wyczuwszy coś lub usłyszawszy, wampir odwrócił się w moją stronę, ale gdy włączyłem splot, natychmiast skruszył się w swoim ubraniu. Jego dzinsy opadły na ziemię, a z nogawek pociekł jakiś czerwony szlam. Zrzuciłem kamuflaż, obnażyłem Fragaracha i rzuciłem się do ataku – nago i z wielkim rykiem, czyli tak jak my, Celtowie, atakowaliśmy w starych dobrych

czasach.

Mroczne elfy zrzuciły na ten widok wszelkie ludzkie fasady. Gdy tylko ukatrupiłem im wampira, przeszły natychmiast na stronę pierwszą podręcznika do *Sigr af Reykr*, sztuki walki zwanej Zwycięstwem Dymu, i zmieniły się w dym, żeby uniknąć wszelkich noży, kul czy innych przykrych niespodzianek. Byłaby to niesamowita taktyka w walce z kimś, kto nie mógłby ich zobaczyć w magicznym wymiarze – rozpląnęłyby się po prostu w ciemności nocy i nie można by ich było namierzyć. Ja jednak widziałem je wyraźnie jako chmury białej energii, a ponadto wiedziałem już, że mogą utrzymać te swoje dymne postacie tylko przez pięć sekund. Wystarczyła im wprawdzie ledwie sekunda cielesności, nim mogły się znów przemienić w dym, ale jednak przez tę jedną sekundę będą narażone na atak, a byłem prawie pewien, że gdy elfy już są ranne, nie mogą się przemienić w dym, póki się nie uleczą.

Każdy z nich miał czarny nóż, który był z nim jakoś połączony, bo też rozpląwał się i materializował, tak jak ciało, ale w związku z tym był magiczny, nie przebijał się więc przez moją aurę. Niestety Granuaile i Oberon nie mieli żadnych zabezpieczeń przed tą bronią, chciałem więc, żeby mroczne elfy próbowały dźgnąć nimi mnie, a Granuaile niech atakuje ich z ukrycia.

Gdy tak pędziłem w dół wzgórza, przez pole, coraz bliżej zajętych przez nich pozycji na drodze, uderzyło mnie, że nie uciekają w stronę drzew po drugiej stronie drogi ani nie formują szeregu, żeby stawić mi czoło. Po prostu trwały na swoich pozycjach, to w cielesnej postaci, to znów dymiące, ale wyraźnie czekając, aż się zbliżę.

Dziwne. W mózgu zawył mi alarm i przestałem się drzeć, bo skupiłem się na główkowaniu, co jest grane. Nic nie zdradzało obecności żadnych magicznych pułapek, ale być może zdecydowali się na coś bardziej pracochłonnego. Mogli przecież naszprycować ziemię wokół siebie minami albo coś.

Oberonie, powiedz Granuaile, żeby uważała na ewentualne miny.

Skontaktowałem się też z Karpatką.

//Pytanie: płytko zakopany metal na mojej ścieżce?//

//Tak//

Przestałem biec.

//Pokaż mi//

Przez moją głowę przesunęły się obrazy. Półkole odłamkowych, wyskakujących min przeciwpiechotnych M16A2 otaczało mroczne elfy z jakieś sześćdziesiąt metrów od ich pozycji. Był to typowo amerykański dizajn – na takie właśnie miny można trafić tu i ówdzie na Bliskim Wschodzie i w Azji. Wystarczy, że na jedną nadepniesz, odsuniesz stopę, a mina wyskoczy z ziemi na jakiś metr wysokości, po czym wybuchnie odłamkami na trzydzieści metrów w każdą stronę. Żeby uniknąć wykrycia, elfy powinny były zdecydować się na bardziej nowoczesne miny, które zawierają niewielkie ilości metalu, ale pewnie miały mnie za idiotę. Znajdowałem się jeszcze w dość bezpiecznej odległości i mogłem spokojnie odpalić miny zdalnie. Nie jestem jakiś wybitny w robotach ziemnych, ale takie ilości to nawet ja potrafię przynieść.

Oberonie, powiedz Granuaile, żeby się zatrzymała i padła na ziemię.

Skupiłem się na grudzie ziemi przede mną i splotłem ją z górną częścią pierwszej miny. Gruda wyskoczyła w powietrze i popędziła w stronę miny. Wybuch rozświetlił noc, a odłamki żelaza prysnęły we wszystkie strony i opadły na ziemię między nami, nikomu nie robiąc krzywdy. Powtórzyłem to ćwiczenie ze wszystkimi minami.

Głupie mroczne elfy. Ziemia należy do druidów.

Mimo to ani drgnęły. Gdy ucieleśniły się, spoglądały w moją stronę, ale twardo trwały na stanowiskach. To oznaczało, że były jeszcze jakoś zabezpieczone i zależało im na tym, żebym zaatakował. Nie zamierzałem więc tego zrobić, bo robienie tego, czego chce twój wróg, jest równie rozsądne jak kąpiel z elektrycznym sprzętem kuchennym w wannie. Mogły przecież ukryć tu gdzieś kolejny krąg min, tylko tym razem plastikowych. Karpatka nie wyczułaby ich już tak łatwo. Co najwyżej mogłaby pokazać mi, gdzie została przekopana ziemia.

Ostrzeż Granuaile, że może być więcej pułapek. Są coś zbyt pewni siebie. Niech atakuje z jak największej odległości.

<Okej> odpowiedział Oberon.

Skinąłem na elfy, żeby podeszły do mnie bliżej, a gdy to zobaczyły (co ostatecznie potwierdziło, że świetnie widzą w ciemnościach), pozostały ucieleśnione i odpowiedziały tym samym gestem, uśmiechając się szeroko. Odpowiedziałem równie szerokim uśmiechem i patrzyłem spokojnie, jak ten najdalszy pada od noża w białego w szyję. Miło z jego strony, że tak nieruchomo stał i ładnie się zaprezentował Granuaile. Jego kolega natychmiast zadymił, ale elf stojący bliżej mnie nie zauważył, co się stało, bo patrzył na mnie. Uśmiechałem się więc dalej i machałem na niego, a Granuaile wykorzystała te kilka sekund i już drugi leżał na ziemi. Ostatni elf musiał się ucieleśnić, gdy skończyło się jego pięć sekund, ale próbował nas przechytryć i pojawił się skulony w kucki. Granuaile przewidziała to jednak i i tak go trafiła. Nie był to zabójczy cios, bo nóż wbił się w ramię, ale potwierdziła się moja hipoteza – nie potrafiły się już rozplątać, gdy rozdarło im skórę. Elf zacisnął palce na nożu, zaklął po staronordycku, ale pozostał zwinięty na ziemi.

Powiedz Granuaile, żeby biegła z powrotem do ciebie i zostawiła te dwa noże. Kupimy jej nowe. Ten elf już jest zneutralizowany, a nie chcę ryzykować, że wpakujemy się w pułapkę, której nie widzimy.

Po chwili milczenia Oberon powiedział tylko:

<Mówi, że kto ostatni przy psie, ten jest stary piernik>.

Uśmiechnąłem się i pomknąłem w górę, pozostawiając samotnego mrocznego elfa, żeby mógł sobie do woli patrzeć, jak jego towarzysze przetapiają się na smołę. Herbatka „Młodości Czar” powstrzymywała w moim ciele proces starzenia, ale to Granuaile sprawiała, że czułem się młody.

Rozdział 3

Istniało tylko jedno wyjaśnienie tego, że mroczne elfy czekały akurat w tym miejscu, i to na tyle długo, że zdążyły nawet podłożyć miny – ktoś wiedział, że będziemy tędy biec. To z kolei prowadziło do następujących przypuszczeń: albo Olimpijczycy je tu nasłali (co wydawało mi się mało prawdopodobne, bo przecież nie zyskaliby chwały, gdyby pozwolili komuś innemu nas zabić), albo ktoś śledził Morrigan i wydedukował, jaką obierzemy trasę. A tym kimś najprawdopodobniej była jakaś faeria. Bo kto inny mógłby się poruszać po irlandzkich krainach niezauważony?

Nie było aż tak trudno się domyślić, na jaką trasę się zdecydujemy, jeśli się założyło, że podążamy na północ. Jest tylko kilka przejść przez Karpaty, a podążanie korytem rzeki to jeden z najprostszych sposobów zmylenia tropu – przekraczasz ją, potem znów ją przekraczasz, potem udajesz, że ją przekraczasz, ale tak naprawdę biegniesz tylko płytką wodą i wychodzisz na brzeg trochę wyżej. Innymi słowy, należało stawiać na rzekę, która prowadzi mniej więcej w kierunku przełęczy górskiej.

– Czas stąd spierniczać – rzuciłem do Granuaile.

<No nie! Spierniczenie nigdy nie prowadzi do niczego dobrego. Weź Jasia i Małgosię na przykład. Jak oni się wpakowali w te pierniki, to się we łbie nie mieści. W ogóle dzieci w bajkach zawsze gubią się w lesie, przez co zwiększa się ich śmiertelność, bo nigdy nie ma z nimi psa ani rodziców. Czy zwróciłeś uwagę na rażące zaniedbania w opiece nad dziećmi, jakie widać w bajkach?>

– Nie, Oberonie, chciałem tylko powiedzieć, że spadamy stąd, uciekamy, szybko.

<I weź tu, psie, zrozum człowieka> zaskomlał mój pies.

– Rozglądajcie się wokół. Wygląda na to, że polują na nas nie tylko boginie łowów. Musimy uważać też oczywiście na wampiry i mroczne elfy, ale co gorsza, obawiam się, że pomaga im ktoś z Tír na nÓg.

– Czy ktokolwiek nas lubi? – spytała Granuaile, a w jej głosie pobrzmiwało rozgoryczenie. – Bo tak sobie myślę, że jeśli to przeżyjemy, to może powinniśmy się do niego zgłosić, co?

– No. W każdym razie na pewno powinniśmy zniknąć na jakiś czas z Europy, jeśli tylko się da.

Granuaile zrobiła głęboki wydech, zdusiła w sobie potrzebę wyrażania pobożnych życzeń i skupiła się na kwestiach praktycznych.

– Po kolei. Najpierw musimy się jakoś wydostać z tej kaszany, tak? Czy myślisz, że zastawianie pułapek na naszym tropie na coś by się zdało, czy to raczej głupi pomysł?

– Wcale niegłupi. Jest to wręcz chyba strategiczna konieczność.

– Dobra. Nawet nieskuteczna pułapka zawsze je jakoś spowolni i potem będą czujniejsze, a przez to będą się wolniej posuwać naprzód. Powinniśmy wykopać dół i zainstalować w środku pale. Ty robisz dół, ja pale.

Uśmiechnąłem się do niej.

– Zimna sugestia jatki? Robi się gorąco.

Granuaile rzuciła kij na ziemię, zrobiła krok w moją stronę i położyła dłonie płasko na mojej piersi. Jej twarz zbliżyła się do mojej na szybki pocałunek, ale potem odsunęła się w ostatniej chwili, gdy już poczułem ciepło jej oddechu i truskawkowy zapach jej błyszczyka. Nie wydaje mi się, żeby miała ze sobą błyszczyk – produkty kosmetyczne nie przeżywają raczej

przemian postaci – ale dla mnie zawsze już pachniała truskawkami. Wspomnienie tego aromatu łączyło się dla mnie nieodzownie z widokiem jej ust. Odepchnęła mnie mocno i przemieniła się w konia. Chwyła kij w pysk i pogalopowała na północ, zostawiając mnie mocno oszołomionego i z nadłamanym sercem. Kilka sekund później dotarł do mnie mentalnie gderliwy komunikat Oberona.

<Mówi, że jeśli czegokolwiek od niej chcesz, musisz pokonać ją w wyścigu na drugą stronę Karpat>.

Uśmiechnąłem się szeroko, po czym rzuciłem pochwę z Fragarachem na ziemię i przemieniłem się w jelenia.

<W drogę!> krzyknąłem Oberonowi, chwytając miecz pyskiem.

<Czy wspominałem ci już może kiedyś, co sądzę na temat ludzkich zwyczajów kopulacyjnych?>

Wyścig, jak się w końcu przekonałem, był zażarty.

Przez pierwszą połowę pędziłem jak fiutopewny siebie kutafon w czapeczce, przekonany, że Granuaile zaraz zwolni i da mi wygrać. Ale kiedy próbowałem ją dogonić, okazało się, że jednak nie rozwinęła jeszcze dotąd swojej pełnej prędkości. Miała najwyraźniej szósty i nawet siódmy bieg.

<Wyjaśniłbyś mi pewne slangowe pojęcie, Atticusie?> zagadnął Oberon.

<Jasne. Dawaj>.

<Czy to, co właśnie robicie, istoty ludzkie zwykły nazywać „szybkim numerkiem”?>

Kłacz przede mną zarżała z rozbawienia – Granuaile oczywiście też doskonale słyszała Oberona – ale ponieważ nijak nie mogłem jej dogonić, mnie wcale nie było do śmiechu. Biegliśmy między drzewami albo przynajmniej w ich cieniu, wschodnią stroną drogi E371, żeby nie rzucać się w oczy kierowcom przekraczającym granicę między Słowacją a Polską. Byliśmy już na Przełęczy Dukielskiej, gdzie podczas drugiej wojny światowej doszło do jednej z najbardziej krwawych bitew frontu wschodniego. Domy i pomniki upamiętniające poległych stały cicho niczym pionki na szachownicy pastwisk otoczonych drzewami.

Gdy tylko przekroczyliśmy granicę i znaleźliśmy się po drugiej stronie przełęczy, Granuaile zatrzymała się na skraju pola lucerny, by sobie nade mną potriumfować.

– Wygląda na to, że będziesz musiał rozładować całą swoją energię seksualną, budując śmiertelne pułapki na nieśmiertelnych – stwierdziła.

<Aha, to bawcie się dobrze, konstruując te swoje niemożliwości w ciemności. Ja się zdrzemnę>.

Drzemka wydała mi się całkiem dobrym pomysłem, ale na to nie mieliśmy czasu. Jeśli teraz zaśniemy, możemy się już nie obudzić. Skupiliśmy się więc na zadaniu.

Normalnie zbudowanie pułapki zajęłoby wiele godzin i wymagałoby kilku takich sprytnych urządzeń jak koparka lub przynajmniej łopata, żeby przesuwać jakoś ziemię. Idzie to jednak o wiele szybciej i nie wymaga żadnych narzędzi, jeśli ziemia gotowa jest odwalić za ciebie całą robotę. Chodziło zatem tylko o to, żeby jakimś cudem przechytryć dwie świetnie znające się na polowaniu boginie.

– Nie możemy tu ścinać gałęzi i ostrzyć kijów – stwierdziłem. – Jeśli będą miały włączoną noktowizję albo dotrą tu po świcie, z dużym prawdopodobieństwem zauważą to i będą się miały na baczności. Przebiegnijmy pastwisko z kopyta i zostawmy wyraźny ślad. Gdy już będziemy po drugiej stronie, odwalimy trik sprytnego zajęczka i wycofamy się tunelem, rozumiesz?

– Jasne. – Przemieniła się w konia, wzięła swój kij w pysk i pogalopowała przez pole.

<O. Czy to oznacza, że nici z mojej drzemki?>

– W każdym razie nie tutaj. Pędźmy więc przez pole radości. A. I weź Fragaracha, dobra? Powiedz Granuaile, żeby już zaczynała, a ja zaraz do was dołączę. Muszę tylko zwinąć kilka latarek z punktu granicznego.

Oberon rozdziawił jeszcze szerzej pysk, żeby chwycić i moją pochwę, i noże Granuaile.

<To już szczyt wszystkiego. Będę miał potem taką traumę, że nie obejdzie się bez pakietu *deluxe* w najlepszym psim spa w okolicy> mruknął.

– Nie narzekaj.

<Nie narzekam. Lobbuję. To zupełnie co innego>.

Pobiegłem więc w kamuflażu z powrotem na granicę. Zupełnie nie przejmowałem się śladami. A niech sobie łowczynie idą moim tropem na punkt graniczny i dumają potem, co tam robiłem. A oto, co zrobiłem: cisnąłem kilkoma kamieniami w okno budki wartowniczej. Dwóch strażników natychmiast sumiennie wyskoczyło z niej, świecąc latarkami, trzymając dłonie na broni i wykrzykując coś ostrzegawczo w ciemność. Wyrwałem im latarki, wyłączyłem je i rzuciłem na nie kamuflaż. W ich oczach musiało wyglądać to tak, jakby latarki wyskoczyły im same z rąk i rozplynęły się w powietrzu. Wyciągnęli więc broń, ale po ciemku nie widzieli, w co celować. Biegłem w stronę lucerny, a potok polskich przekleństw za moimi plecami zlał się jakoś dopplerowo w „Never Gonna Give You Up”, a gdy to usłyszałem, mało nie przystanąłem ze zdumienia. Dałem się po prostu zrickrollować.

Kiedy dotarłem już do pola, pędziłem przez nie dalej, zostawiając ludzkie ślady.

Uznałem, że nie muszę przemieniać się z powrotem w jelenia, żeby boginie zastały spójny trop. Wystarczyło, że pobiegną za mną na drugą stronę. Tam, pod osłoną drzew, skontaktowaliśmy się z Karpatką. Granuaile poprosiła ją o pomoc i pozwolenie na zebranie kilku gałęzi żywych drzew, a ja wyjaśniłem żywołakowi, że potrzebujemy tunelu oraz dziury w środku pastwiska, która choć byłaby pusta w środku, miałaby nienaruszoną powierzchnię. Chodziło nam o to, żeby Artemida i Diana zobaczyły wydeptaną w lucernie ścieżkę i pobiegły naszym śladem.

Mimo pomocy Karpatki skonstruowanie zasadzki i tak zajęło nam dobrą godzinę.

Przesuwanie ziemi i ukrytych w niej kamulców nie stanowiło wielkiego wyzwania dla żywołaka (zajęło mu to zaledwie kilka minut), ale musieliśmy wielokrotnie schodzić do tunelu, żeby wbić odpowiednio zaostrzone kije. Nie mogliśmy nosić ich zbyt wielkimi partiami, bo musieliśmy mieć też w rękach latarki. Noktowizja wystarczała nam w mroku na powierzchni, ale nie potrafiliśmy się przebić przez zupełną ciemność pod ziemią. Mocowanie pali na dnie dziury tak, żeby były stabilne, zajęło nam całkiem sporo czasu.

Dziura była dość głęboka – może na sześć metrów – i Oberon był pod wrażeniem naszego wyczynu. Uważał, że to wielkie osiągnięcie myśli inżynierskiej.

<Jak to wypada w porównaniu z głębokością tego dołu w Sparcie, do którego wrzucano perskich dyplomatów?>

– Nie jest aż taki głęboki – odparłem.

<A gdybyś był podłym cyborgiem, który pragnie odkupienia, i wrzucił tam imperatora o strzelających niebieskimi piorunami palcach? Czy zrobiłby wielkie *lup*, gdyby uderzył w ziemię?>

– Coś by pewnie zrobił, ale nie wiem, czy wielkie *lup* – powiedziałem, martwiąc się, czy boginie nie zdołają jakoś unikać jednak tych kijów. Najpierw przecież wpadnie cały ich zaprzęg, a one runą dopiero za nim i w ten sposób mogą wyjść z tego bez szwanku. Chciałem uniemożliwić im jakoś wyskoczenie z dziur, w razie gdyby uniknęły naszych ostrych kijów. Niby ja na przykład nie potrafię skoczyć na sześć metrów w górę, ale jeśli one mają na swoich rydwanach poinstalowane jakieś zaklęcia do lewitacji? Przez tę krótką chwilę, którą miałem na

rzut oka na rydwany, nim boginie nas zaatakowały, przemknęło mi przez myśl, że pojazdy te unoszą się chyba lekko nad ziemią. Nie mogłem sobie za nic przypomnieć, czy ich zwierzęta też się unosiły. Jeśli tak, to pewnie straciliśmy tę godzinę na marne. Ale jeśli nie, to jelenie wpadną pierwsze i pociągną za sobą rydwany. Być może. Miałem mimo wszystko nadzieję, że tak czy inaczej wpadną do naszej dziury i że spowoduje to co najmniej godzinne opóźnienie w pościgu, nie licząc tego, że potem będą się też wolniej za nami posuwać. Morrigan już i tak podarowała nam kilka dodatkowych godzin, rozplatając ich rydwany, bo przecież musiały potem z pewnością czekać, póki Hefajstos i Wulkan nie dostarczą im nowych. Teraz uszczknęliśmy sporo z tego zapasu. Mam nadzieję, że się to opłaci. Jeśli szczęście nam dopisze, pułapka może dać nam nawet pół dnia przewagi.

Dach dziury stanowiły teraz już tylko mocno zrośnięte korzenie lucerny, wzmocnione w środku porządnym splotem, żeby całość się podejrzenie nie zapadała. Gdy tylko wyszliśmy, Karpatka zamknęła za nami tunel.

Popędziliśmy więc z kopyta na północny zachód, w dół wzgórza, bo chcieliśmy okrążyć Jasło od południowego zachodu. Jeśli utrzymamy ten kurs, będziemy mogli się trzymać z grubsza terenów wiejskich, z rzadka tylko wpadać do jakiejś miejscowości, żeby zdobyć najpotrzebniejsze rzeczy, a przy tym unikniemy większości górzystych terenów Polski i Niemiec. Gdy już dotrzemy do Holandii, skręcimy na południowy zachód i przez Belgię dobiegniemy do Calais we Francji.

Podróże wydają się takie łatwe, gdy wrzuci się wszystkie te miejscowości w jedno zdanie. Ale nie da się tak po prostu wbiec do Wielkiej Brytanii.

Rozdział 4

Wdzisiejszych czasach nikt już chyba nie pojmuje geniuszu *Archiwum X*, serialu SF, który zdominował większą część lat dziewięćdziesiątych. Jak on wchodził do głowy. W każdym razie na pewno wszedł do mojej, i to w sposób, którego zupełnie sobie wtedy nie uświadamiałem. Pałacy mężczyźni w garniturach przepelniają mnie na przykład prawdziwie egzystencjalną trwogą. Cokolwiek robię, gdy nagle widzę kogoś spokojnie wciągającego w płuca setki toksyn, natychmiast zdaje mi się, że pałacy facet zmanipulował mnie tak, żebym to coś zrobił. Muszę wtedy niezwłocznie uciec i zrobić coś dziwnego, żeby się upewnić, że nie jestem kukiełką w jego mistrzowskim planie. I nawet nie wspominajcie przy mnie o pszczołach, dobrze?

Ale przede wszystkim serial ten nauczył mnie bać się niezmiernie wszelkich sylwetek na otwartej przestrzeni podświetlonych od tyłu dziwnym światłem. I dlatego właśnie zadrzałem z przerażenia, gdy ujrzałem trzynaście postaci czekających na polu cebuli na zachód od Jasła. Może mają siostrę Muldera. Może nie damy rady zabić ich inaczej, niż wbijając nóż w tył ich czaszek. A może to mroczne elfy.

Źródło światła nie znajdowało się jednak za nimi, ale – jak się okazało, gdy podbiegliśmy bliżej – otaczało te osoby i rzucało na nie różne odcienie fioletowego blasku. Postacie były czarne, bo miały czarne szaty, a migające wokół nich światło oświetlało twarze, z których przynajmniej część była mi znajoma. Tak zresztą jak ten rodzaj magicznych zabezpieczeń był typowy dla Sióstr Trzech Zórz, polskiego sabatu prowadzonego przez Malinę Sokolowski, z którą lata temu podpisałem pakt o nieagresji.

Malina stała na samym przedzie, jej zabezpieczenia były najbardziej barwne i z pewnością najmocniejsze, a długie, jasne włosy oszałamiające jak zawsze. Nie zestarzała się ani trochę przez te dwanaście lat, tak jak ja zresztą. Ale okoliczności znacząco się zmieniły. Inne członkinie jej sabatu, które rozpoznawałem – Roksana, Klaudia, Kazimiera i Berta – stały tuż obok niej. Poza nimi widziałem jednak osiem nowych wiedźm, z którymi nigdy przecież nie zawierałem żadnego paktu, a ze mną była Granuaile, która też niczego nie podpisywała. Jeśli tylko Malina zechce brzydko zagrać, będzie mogła to uczynić za sprawą swoich nowych pomocnic. Granuaile nie miała żadnej ochrony przed jej zaklęciami, ale z drugiej strony też potrafiła już nieładnie zagrać.

Przez Oberona dałem Granuaile znać, że powinniśmy przemienić się z powrotem w ludzi i zwolnić. Przemieniła się w tym samym czasie co ja i podbiegliśmy lekkim truchtem, broń trzymając już w dłoniach.

– Walczą srebrnymi nożami – szepnąłem jeszcze cicho, nim znaleźliśmy się zbyt blisko. – Szybciej niż ludzie.

– Rozumiem.

– I nie patrz na żadne ich części. Używają zaklęć, którymi kontrolują ludzi.

– Jak miło.

<Przekombinowane. Na mnie by na przykład wystarczyła polska kiełbaska>.

Malina wydawała się zaskoczona, ale być może była to tylko poza.

– Pan O'Sullivan? A cóż pan tu robi? – Nie dodała: „nagi pośród cebuli”, ale dało się to wyczytać z wyrazu jej twarzy.

– Pani Sokolowski. Mógłbym zadać pani to samo pytanie.

– Sokołowska. Jesteśmy w Polsce. Tu obowiązują końcówki gramatyczne, którymi nie zaprzętałam sobie głowy w Ameryce.

– A. Dziękuję za wyjaśnienie. Naprawdę muszę się kiedyś nauczyć polskiego. Widzę, że powinienem pani pogratulować. Pani sabat rośnie w siłę.

– W rzeczy samej. Wygląda też na to, że mamy o jednego druida więcej na tym świecie.

– Tak. Pani Malino, to jest Granuaile.

Wymieniły uprzejmości, po czym Malina, jak to ona, od razu przeszła do rzeczy, zupełnie ignorując naszą nagość.

– Wywróżyłyśmy nadejście wielkiego kataklizmu. Czy coś panu o tym wiadomo?

– No... Tak. To Ragnarök.

– Niech pan nie będzie niepoważny, panie O'Sullivan – ofuknęła mnie.

– Mówię niestety zupełnie poważnie. Gdy spotkaliśmy się ostatnim razem w Tempe, w Four Peaks Brewery, właśnie byłem o krok od dokumentnego spieprzenia wszystkiego wszystkim. Obawiam się, że udało mi się to wyśmienicie. Teraz robię, co mogę, żeby opóźnić nadejście najgorszego albo w każdym razie złagodzić cios, jeśli nie uda się go powstrzymać. Wydaje mi się, że mamy jeszcze rok, zanim wszystko szlag trafi.

– Dlaczego akurat rok?

– Widzi pani, Loki jest na wolności po tylu latach niewoli, a Hel ma olbrzymią armię, którą chce poprowadzić na dziewięć krain. Już dawno by zaczęli, gdyby nie to, że odwróciliśmy nieco ich uwagę i zachwialiśmy ich pewność siebie. Poza tym liczę na proroctwo, które wyraźnie wskazuje przyszły rok.

– Czyje proroctwo? – prychnęła Malina.

– Syren, które skusiły Odyseusza.

Malina posłała znaczące spojrzenie Klaudii, szczupłutkiej wiedźmie, która zawsze wyglądała tak, jakby właśnie zakończyła jakieś ćwiczenia erotyczne. Ubranie nosiła w jakiś taki sposób, że człowiek dałby się posiekać jak cebulkę, że nie miała go na sobie ledwie minutkę temu.

– Syreny powiedziały Odyseuszowi, że w przyszłym roku zacznie się Ragnarök?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie w te słowa, ale wszystko na to wskazuje. Powiedziały, że świat się spali. Loki to piroman i nie wątpię, że gdy tylko Surtr opuści Muspellheim, wszystkim zacznie się ziemia palić pod nogami. Ale tak naprawdę nie wiem przecież, o co chodziło w tym proroctwie. Może miały tylko na myśli jakieś wyjątkowe pożary lasów w szczególnie ciepłe lato.

– W to raczej wątpię. Syreny nie zwykły mówić herosom o rzeczach nieistotnych.

– A. Czyli słyszała pani coś o wiarygodności ich przepowiedni?

– Owszem. Czy możemy coś zrobić? Powinam może zaznaczyć, że nasze wróżby wskazują, iż jakiegoś rodzaju ogień rozgorzeje tutaj.

– Tutaj?

– Tak. Wie pan dobrze, że nie żartuję na temat wróżb.

– No tak, ale jaki niby pożar miałby wybuchnąć na... co? – Granuaile poklepała mnie po ramieniu, żeby zwrócić na coś moją uwagę. A potem pokazała mi to na niebie. – Oj – jęknąłem. – Już rozumiem. Nadciąga!

Od zachodu, łukiem przez niebo, mknęła ku nam wielka kula ognia. Wycofaliśmy się, ale i tak odczuliśmy potężną falę uderzeniową, gdy kula ognia rąbnęła w ziemię. W środku chichotał, radośnie klaszcząc w dłonie, czterometrowy szaleniec.

– Ha! – ryknął Loki, a jego twarz promieniała ze szczęścia. – Zzzzznalazzzłem was!

Rozdział 5

Obnażyłem Fragaracha i rzuciłem się na Lokiego; nie było czasu na pogawędki. Mógł nas wszystkich podpalić jednym ruchem ręki, wołałem więc, żeby skupił się na mnie, niż spalił na popiół Granuaile i Oberona.

Miałem lekki uraz do ognia po tym, jak mnie przypiekły pewne mroczne elfy, ale płomienie Lokiego były pochodzenia magicznego, wiedziałem więc, że aura z zimnym żelazem mnie przed nimi ochroni. Zarechotał, gdy zniknęła jego prawa dłoń, a z kikuta buchnął płomień. Zalała mnie fala gorąca, gdy zamachnąłem się na niego mieczem. Był szybki i odskoczył, ale zdążyłem rozciąć mu prawe udo.

Ryknął i wyłączył płomienie. Oczy wyszły mu na wierzch, głowa trzęsa się ze wściekłości. Powinienem być już zgrillowany, a nie byłem.

– Nie spalisz nas, Loki Podpalaczu! – krzyknąłem. – Jesteśmy wszyscy ognioodporni.

Nie jesteście ognioodporni – wyjaśniłem szybko Oberonowi. – *Zabierz Granuaile z pola rażenia.*

<Się robi>.

Loki machnął na mnie palcem i zrobił zeza.

– Nie jesteś two-two-rem krasno-no-ludów – wyjąkał. – Kra-kra-snoludy mówią, że cię w-w ogóle nie znają. K-k-kłamca!

– A co mnie obchodzi, co o mnie wiedzą krasnoludy. – Uśmiechnąłem się w sposób, który miał wypaść niepokojąco. Loki już i tak był niestabilny umysłowo, więc być może będzie podatny na zastraszenie. – Ważne, żebyś ty wiedział jedno: jestem tym, który cię zabije.

Loki wybałuszył oczy i cofnął się kilka kroków, gdy zacząłem nacierać. Ale potem nagle jego prawa ręka zniknęła za jego plecami, odchylił się do tyłu i ręka znów się pojawiła, tym razem jednak trzymając już mieczysko, które na moich oczach zapłonęło od jelca aż po czubek głowni.

– Hej, skąd ty to właściwie wyciągnąłeś? – spytałem, marszcząc brwi. Jego córka Hel odwaliła kiedyś podobny trik; swój nóż, zwany Głodem, trzymała między żebrami w lewym boku. Widać nauczyła się tego myku od ukochanego tatusia. Jako zmiennokształtni mieli swoje sposoby na takie rzeczy.

<To poniekąd pogłębia znaczenie zwrotu frazesologicznego „mieć coś w dupie”, nieprawdaż?>

Oberonie, powiedz Granuaile, żeby pogadała z wiedźmami. Muszą rzucić urok na Lokiego, jeśli tylko potrafią to zrobić.

<Dobra. Ale wiesz, zastanawiam się, jak on by wyglądał na tych skanach całego ciała, co robią teraz na lotniskach>.

Oczy Lokiego stały się bardzo ciemne i bóg uniósł miecz.

Pośpiesz się, Oberonie!

Płonące ostrze opadło, ale mnie już pod nim nie było. Wskoczyłem spod niego i zaatakowałem Lokiego, bo najlepsze, co możesz zrobić w starciu z kimś, kto ma wielki zasięg rażenia, to wejść do środka. Nie dźgnąłem go mieczem, tylko kopnąłem między biodrami, prosto w splot słoneczny. Zwinął się, zachwiał, puścił miecz i upadł ciężko. Usłyszałem za sobą trochę polskiego, ale nie spuszczałem oczu z Lokiego. Skurczył się, przemienił i zerwał na nogi

już jako demon wedyjski – z niebieską skórą, czterema rękami i mieczami (także wyciągniętymi z ciała) w każdej z nich. Uśmiechnął się do mnie wyjątkowo ostrymi zębami i zaczął wywijać wszystkimi swoimi mieczami tak sprawnie, że naprawdę nie miałem nawet czasu się zastanawiać, skąd, u licha, wytrzasnął taką akurat postać.

Musiałem się nieźle postarać, żeby nie oddać mu od razu pola. Upłynęło już całkiem sporo czasu, odkąd ostatni raz walczyłem przeciwko większej liczbie mieczy niż dwa. Kiedy byłem młodszy i wszyscy jeszcze nosili miecze, łatwiej było wpakować się w taką jatkę. W dzisiejszych czasach grozi ci raczej spotkanie z kilkoma pistoletami naraz niż z kilkoma mieczami.

Nowe, czarne oczy Lokiego przesunęły się z mojej twarzy na coś nad moim prawym ramieniem. Zamrugał mocno, jeszcze mocniej, potrząsnął głową i nagle jego miecze przestały się poruszać. Próbował znów skupić wzrok na mnie, ale jego oczy same powędrowały gdzieś za moje ramię. Tym razem odskoczył do tyłu i upuścił część swojej broni. Rękoma zakrył sobie oczy i zaczął przyciskać do nich dłonie.

– Nie! Prze-przestańcie!

Spojrzał na mnie przez palce z takim niepokojem, jakbym miał go stratować, i wtedy stanęła przede mną Malina i potrząsnęła włosami. To go dobiło. Ręce mu opadły, szczęka mu opadła i te dwie łapy, które jeszcze trzymały miecze, też mu opadły.

– Zauroczony – rzuciła mi Malina przez ramię, nie odrywając od niego wzroku. – Może go pan teraz zabić i będzie po sprawie.

– Nie. Nie chcemy go zabić – wyjaśniłem.

– Dlaczego nie?

– Bo Hel by się o tym zaraz dowiedziała, a wtedy z wściekłości posłałaby swoją armię do boju. A to już byłby Ragnarök. Hel bardzo by chciała rozpocząć to przedstawienie z tatusiem. Nie chce wygrać bez jego pozwolenia i udziału, więc póki go zajmiecie, powinniśmy być bezpieczni.

– Skąd pan to wie?

– Loki szuka mnie już od jakichś czterech miesięcy. Znaczą się większość z tego przespał, ale jednak. W tym czasie Hel nie zrobiła nic poza chronieniem tatusia.

– Życzy pan sobie zatem, żebyśmy utrzymywały ten urok przez dłuższy czas? – przemówiła z typową dla siebie elegancką dykcją Roksana, wiedźma o burzy kręconych włosów zebranych mocno w wielki koński ogon.

– No. – Posłałem jej radosny uśmiech.

– Ten osobnik jest wyjątkowo niestabilny emocjonalnie – zauważyła Malina. – Utrzymanie go w spokoju to niezwykle ciężka praca. Widział pan przecież, że nawet teraz musiało go pacyfikować kilka z nas naraz. Cóż miałybyśmy na tym zyskać, panie O'Sullivan?

– Przede wszystkim świat bez Ragnaröku. A poza tym mogę paniom kupić kilka par tych czarnych kozaczków, w których tak kiedyś gustowałyście.

– Wykluczone. W takim razie wypuszczam go w tej chwili.

– Jest pani gotowa przyłożyć rękę do Ragnaröku?

– Wygląda na to, że zależy mu głównie na wykończeniu pana, panie O'Sullivan. Niech mi pan więc powie, dlaczego nie miałybyśmy mu na to pozwolić.

– Załatwię paniom za to parę paczek Girl Scout Cookies. Na pewno nie da się dostać w Polsce ciasteczek Thin Mints, co?

– Niech pan będzie poważny.

– Woli pani czekoladę i karmel? Mam kupić Samoasy?

Malina posłała mi piorunujące spojrzenie.

– Dobra – poddałem się. – To czego pani chce?
– Odniosłam wrażenie, że chodzi tu o uratowanie nie tylko pańskiej skóry, ale i całego świata. Za coś takiego należy nam się znacznie więcej niż ciasteczko.

<Wiedziałem. Dasz wiedźmie ciasteczko, poprosi o całą szklankę mleka>.

– Rozumiem, pani Malino. Ale czego pani chce? Pojęcia nie mam, co mogę pani zaoferować.

– Chcę mieć całą Polskę wyczyszczoną z wampirów.

Na polu zapadła cisza, którą w końcu przerwała Granuaile, pytając:

– Czy to miał być dowcip?

– Kiedy i na jak długo? – spytałem.

– Kiedy nadejdzie i minie Ragnarök albo za rok. Jeśli nadal tu będziemy, jeśli pan tu będzie i jeśli będą tu wampiry, będzie pan pilnował, żeby Polska była zupełnie odwampirzona, podejmując po temu wszelkie odpowiednie środki.

– Dość dużo tych jeśli. Ale niech będzie, umowa stoi. Jeden miesiąc trzymania Lokiego w niewoli za jeden rok odwampirzonej Polski.

– Otóż to.

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Aha, powinienem jeszcze dodać, że Hel ma psa, który wabi się Garm i może wytropić wszystko, nawet w innych krainach. Hel wyśle go na poszukiwanie Lokiego. Gdy już Garm go znajdzie, Hel ściągnie całą armię potępionych, żeby chronili jej ojca. Powodzenia w starciu z nimi. A, i jeszcze Artemida i Diana depczą mi po piętach, więc będą tu niedługo i bardzo będą miały chęć kogoś ustrzelić. Pa, pa. Muszę już lecieć.

Pomachałem jej na pożegnanie i ruszyłem biegiem na zachód, a Granuaile i Oberon popędzili za mną.

– Co takiego?! – Wściekłość Maliny dość rzucała się w uszy. – Panie O'Sullivan! Proszę tu natychmiast wrócić!

Uśmiechnąłem się tylko i biegłem dalej. Nie co dzień udaje się człowiekowi przechytryć wiedźmę. Z pewnością przyjdzie mi za to słono zapłacić, ale tymczasem trzeba płynąć na takiej fali, jaka jest, a ta fala była akurat supercoolersko wyczesana.

Rozdział 6



Nie mogę się zdradzić z moją euforią, bo Atticus zaraz by mnie zbeształ. Jego brwi zmarszczyłyby się jak zwykle i w ogóle pokazywałyby mi całą swoją postawą, jaki to on jest bardzo, bardzo stary, a ja młoda, wręcz małolata, pojęcia nie mam, jak nie na miejscu jest teraz euforia. Ale co ja poradzę, że tak się czuję? Mimo że uciekamy przed śmiertelnym niebezpieczeństwem, pędzimy przeciw jak wiatr przez satynowy mrok nocy, a nasze ciała aż kipią od siły, łapy i kopyta uderzają rytmicznie, grudy ziemi całują nas na pożegnanie, a żdźbła trawy pieszczą nasze kostki niczym miękkie opuszki palców matek, które nie chcą, żeby dzieci opuszczały dom, ale wiedzą, że nie ma innego wyjścia; i nie puszczają, wyciągają ramiona jak najdalej, póki dzieci nie wymkną im się z rąk, a potem czują smutek i dumę zarazem i żyją nadzieją, że pewnego dnia ich dziecko wróci i powie: „Mamo, wróciłem”. To źródło mojej euforii. Czuję matczyną miłość z każdym krokiem na ziemi. Dokądkolwiek pójde, czuję się witana jak w domu, przytulana, kochana i wspierana. Jestem druidką Gai, ukochanym dzieckiem Ziemi, i czuję w sercu jej miłość.

Kiedy byłam jeszcze odplecionym dzieckiem – w moim starym życiu – matka i ojczym zabierali mnie czasem na wakacje w różne miejsca, gdzie były góry i drzewa, bo mieszkaliśmy w tak płaskiej okolicy, że nie widziało się u nas wiele przyrody poza niebem i bursztynowymi łanami pszenicznych pól. Chodziłam po lesie i dotykałam białych pni topoli. Czułam przez skórę, że drzewa kryją jakiś sekret, ale oszukiwały mnie, bawiły się ze mną, szeptały mi coś wiatrem, lecz zaraz cichły ich szeleszczące chichoty, kpiny z rudej dziewczynki z równin. Myślałam sobie, że zagajniki z topolami muszą wiedzieć coś ważnego, coś tak ciekawego, że warto o tym szeptać nad moją głową, trząść z przejęcia gałęziami. Teraz świat stoi przede mną nagi i wspaniały. Tylko czeka, bym go odkrywała. Zdradzi mi wszystkie swoje tajemnice. Wystarczy, że nadstawię ucha.

Wiem, że znajdujemy się w okropnym niebezpieczeństwie. Jednym z tych, przed którymi do znudzenia ostrzegał mnie Atticus – przecież tyle razy próbował mnie odstraszyć od uczenia się druidzkiego fachu. I prawdę powiedziawszy, odkąd tylko zaczęliśmy proces splątania mnie z ziemią, niebezpieczeństwo nie odstępuje nas na krok. A jednak, choć uciekamy przed śmiercią, i tak z trudem powstrzymuję się od barbarzyńskiego ryku w stylu Walta Whitmana.

Ten to wiedział, jak cieszyć się życiem i o tym opowiadać. Atticus woli angielskich poetów i nauczył się na pamięć całego Szekspira, ale przy całym swoim wysublimowaniu angielski bard naprawdę za dużo się skupia na mrocznej stronie ludzkiej natury, żeby ująć w słowa moje bezgraniczne oddanie. Podczas mojego szkolenia musiałam nauczyć się na pamięć jakiegoś grubszego dzieła, żeby zrozumieć, jak się operuje w różnych przestrzeniach umysłowych. Wybrałam wtedy Walta Whitmana. Poeta pojmował świat jako nieskończony cud. Nazywał trawę *chusteczką Pana Boga*.

Gdybym tak mogła cofnąć się w czasie i powiedzieć mu, jak bliski był prawdy. To chusteczka Gai, panie Whitmanie, ale reszta się zgadza. „Najlichszy kiełek dowodzi, że śmierci naprawdę nie ma,/ A jeśli w ogóle była, to po to, by wysnuć z siebie życie/ (...) Wszystko pędzi przed siebie, nic nie ginie,/ A umrzeć jest czymś innym, niż można by sądzić,/ i lepszym”.

Nie żebym miała ochotę jakoś wkrótce umierać. Ani też nie uważam, że dobrze się stało, że Morrigan umarła. Ale mam nadzieję, że odnalazła wreszcie spokój w jednej z irlandzkich

krain, gdzieś wśród zielonych traw. Spytam o to Atticusa, gdy już minie mu szok po jej śmierci. To dla mnie trudna lekcja; nawet bogowie nie są wieczni.

Chciałabym jeszcze trochę pożyć, jeśli to możliwe. Przede wszystkim muszę jeszcze nauczyć się na pamięć dzieł T.S. Eliota, muszę dodawać nowe przestrzenie umysłowe. I jest tyle języków do nauczenia się. Tyle kochania do kochania. I jest Gaja, którą chcę chronić ze wszystkich sił.

Widzę jednak po Atticusie, że w końcu ta łączywość na cud świata blaknie. On, który przeżył i widział tak wiele, już chyba nie odczuwa tego cudu z taką intensywnością – to jest z jednym wyjątkiem. Z jakichś niepojętych dla mnie powodów piegowata dziewczyna z Kansas jest dla niego czymś nowym i muszę przyznać, że w swojej próżności z chęcią pozwalam mu tak myśleć. Jest wyjątkowym mężczyzną i kocham go. I wiem z całą pewnością, że i on mnie kocha. Jesteśmy spleceni, on i ja; widziałam to.

Mimo to jednak jest dla mnie tajemnicą. Jeśli czuje tę całą miłość Gai, którą ja odczuwam, a przecież musi tak być, jakim cudem zachowuje takie leseferystyczne podejście do zanieczyszczeń i ginących gatunków? Na wybuch wściekłości pozwala sobie tylko, jeśli pojawia się magiczne zagrożenie dla ziemi, gdy tymczasem jestem głęboko przekonana, że wszystkie te nudne zagrożenia są równie szkodliwe. Jeśli tylko uda nam się jakoś przechytryć Olimpijczyków i wszystkich innych naszych wrogów, będę bronić ziemi przed wszystkimi, którzy ją niszczą. Z całą mocą. Poczynając od mojego ojczyzna i jego przedsięwzięcia naftowego.

Atticus uważa, że przesadzam w tych sprawach. Być może jestem ekstremistką. A może to on padł ofiarą apatii, jak tyłu przed nim. Możliwe, że jest już tak znużony ciągłym uciekaniem i zamartwianiem się tym, kto znów na niego poluje, że nie ma siły wykrzesać z siebie gniewu na profanacje – te małe i te duże.

Ma trochę racji. Mamy teraz całkiem sporo zmartwień. Ale i tyle rzeczy, z których trzeba się cieszyć. Zapach ziemi, wiatr w grzywie – mam grzywę! – łatwość, z jaką mogę przeskakiwać przez płoty. Ten bieg jest najlepszym lekarstwem na rany zadane przez Bachusa i Hel. Spędziliśmy z Atticusem miłe interludium w Meksyku, ale to były takie chwile dla nas, nie dla Gai. Teraz, biegnąc nową ścieżką, przy każdym kroku czuję energię, która czeka na mnie w ziemi, i zaczynam w pełni pojmować potęgę mojego daru i ogrom mojej nowej odpowiedzialności.

W Polsce napotkaliśmy znacznie więcej przeszkód i częściej musieliśmy też zmieniać kierunek biegu, żeby pozostać w ukryciu. Na Węgrzech czy w Słowacji było trochę łatwiej. Trudno się dziwić – nasza trasa prowadzi w Polsce mniej więcej równoległe do E40, głównej drogi przecinającej południe kraju. To naturalne, że okolica jest bardziej zaludniona. Ale tak nas to spowalnia, że głowę daję, iż spadła nam średnia prędkość. Nie wiemy oczywiście, jak szybko poruszają się łowczynie ani nawet, czy wciąż są za nami. Ciągłe mi się zdaje, iż nagle spadną na nas z nieba, wbiją nam strzały w piersi i na tyle zda się cały ten nasz bieg. Ale z braku lepszych informacji musimy działać zgodnie z mętnymi instrukcjami Morrigan.

Do Katowic wemknęliśmy się godzinę przed zachodem słońca. Witamy w metropolii. Atticus zaczął się zaraz zamartwiać, że tracimy kontakt z ziemią, i zupełnie go rozumiem, ale starałam się udawać, że to nic takiego. W środku jednak aż mi się słabo zrobiło. Nie znoszę martwego uczucia asfaltu pod nogami. Pojęcia nie mam, jak Atticus może tak nosić sandały, kiedy nie jest do tego jakoś zmuszony. Gdybym tylko mogła, zawsze chodziłabym boso.

Trzeba było jednak zakraść się do miasta. Potrzebowałam więcej noży do rzucania, ponieważ okazały się nadspodziewanie przydatne. Nie mieliśmy przecież żadnej innej broni dalekiego zasięgu, jeśli można powiedzieć, że noże mają daleki zasięg. Sklep sportowy

namierzyliśmy za pomocą smartfona pożyczonego od pewnego przygnębionego klubowicza. Rzeczony klubowicz odziany był w szary garnitur i miał dość zboląłą minę. Było blisko świtu, gdzieś koło piątej trzydzieści, czyli godzina, gdy ranne ptaszki już parzą sobie kawę i smażą bekon, choć słońce jeszcze nie dało znać, że zamierza się wkrótce pojawić. Nasz klubowicz jeszcze widać nie znalazł łóżka, na którym mógłby przecierpieć kaca. Sunął niepewnie po chodniku, nucąc cicho jakąś żalną pieśń. Wyznaczył sobie pewnie jakieś niezwykle ambitne zadanie, bo z wielkim samozaparciem przemierzał ulice z na wpół pustą butelką żubrówki (która, jak twierdzi Atticus, stanowi ulubiony napój w Polsce i jest dość smakowitą wódką).

I w ten sposób dodałam do mojej listy rzeczy, które koniecznie muszę zrobić choć raz w życiu, spróbowanie polskiej wódki, oraz dowiedziałam się, że cudze urządzenia elektroniczne mogą być bardzo w życiu przydatne. Ruch na ulicach był wciąż znikomy, by nie powiedzieć żaden, i ograniczał się do pojedynczych samochodów dostawczych. Wyczekaliśmy, aż będzie zupełnie pusto, i Atticus włożył facetowi z powrotem telefon do kieszeni, gdy ja tymczasem zrzuciłam na chwilę niewidzialność i ukazałam mu się pod latarnią uliczną naga i z palcem prowokacyjnie ułożonym na dolnej wardze. Szczeka mu opadła, a wraz z nią butelka żubrówki, która rozbiła się z hukiem na chodniku. Spuścił więc wzrok, a ja wykorzystałam tę okazję, by zniknąć.

<To było podle> orzekł Oberon, patrząc, jak mężczyzna rozgląda się szeroko otwartymi oczami i przeciera je nerwowo.

Dlaczego? – spytałam. – Przecież nie zrobiłam mu żadnej krzywdy.

<Owszem, zrobiłaś. Będiesz go teraz prześladować do końca jego dni. Wiem z własnego doświadczenia, jak to jest>.

Prześladuje cię wspomnienie jakiejś ekshibicjonistki na rogu ulicy?

<Nie. To było w parku. Dopiero do niego wchodziliśmy z Atticusem, a ona właśnie wychodziła>.

O nie, zaczyna się.

<Była taka zgrabna, a jej sierść tak kręcona... Na końcu ogonka miała taki idealny pompon wielkości piłeczki tenisowej. Widziałem ją ledwie może z pięć sekund, nim wskoczyła do jakiejś hondy i jej człowiek odjechał z nią na zawsze. Teraz każda honda przypomina mi o tamtej piękności...>

Ale to chyba miło, nie? Tak romantycznie. Nierozpuszczona w nudzie rzeczywistości wizja doskonałości, którą możesz cieszyć się jak prawdziwym skarbem.

<Bo ja wiem. W rzeczywistości to ja bym ją rozpuszczał, gdyby była akurat w nastroju>.

Sluchaj, Oberonie, ten facet jest samotny. Jest zbyt chudy i cały spocony. Zalóżę się o pięć krów, że jest społecznie nieprzystosowany, bo przecież nie dreptałby inaczej po tej ulicy pijany, i to o takiej niehumanitarnej porze. Ale teraz już do końca życia będzie pamiętał nagą kobietę na ulicy, która spojrzała na niego z pożądaniem. Gdy ludzie będą go traktować jak śmiecia, będzie miał przynajmniej to jedno wspomnienie na pocieszenie.

<Chyba raczej będzie miał obsesję. A jak zacznie co noc przemierzać wszystkie ulice miasta, żeby cię odnaleźć?>

To będzie znaczyło, że nie zrozumiał natury piękna. Ono nigdy nie pozostaje; jest tylko w naszych umysłach.

<A! Teraz rozumiem. To prawda, Bystra Dziewczyno! Kielbasa nigdy mi nie zostaje, bo ją zjadam, ale w moim umyśle zawsze jest piękna>.

Zostawiliśmy w końcu tego nieszczęsnego mężczyznę i pobiegliśmy do sklepu sportowego o nazwie „Wojownik”, który, jak się okazało, był ledwie kilka ulic dalej. Przez chwilę kusilo mnie, żeby zwinąć trochę innej broni, ale w naszej sytuacji nie byłoby to praktyczne rozwiązanie. Nie mieliśmy jej przecież jak nosić, a obciążanie mnie jukami byłoby bez sensu, bo co bym z nimi zrobiła po przemianie w cokolwiek innego. Najlepiej było postawić na prędkość i nie obciążać się niczym.

Nie podobało mi się to, że znów musimy kraść, ale nie było innego wyjścia. Nikt nie ma specjalnej oferty czeków podróży dla druidów uciekających przed bogami. Potem poproszę Atticusa, żeby wysłał do tego sklepu anonimowy list z ładną sumką. To jest, jeśli będzie jakieś potem.

Oberon znów zaczął gderać, że mu każe nosić noże w pysku (z czystej potrzeby narzekania, bo dzięki mocy Gai szczęki nas nigdy nie bolały), ale poza tym był jak zwykle przeuroczy. Myślę, że to właśnie jego zdolność życia teraźniejszością sprawia, że Atticus nie wpada w panikę.

<Nigdy jeszcze nie biegłem tak daleko> powiedział nagle. <Ani tak długo. To jest nawet fajniejsze niż wystawianie łba przez okno w samochodzie>.

Mam taką teorię, że Oberon jest mistrzem tao. Zawsze widzi to, czego my w ogóle nie zauważamy. Wiatr. Trawę. Coś na niebie, słońce lub księżyc świecący nam na plecy podczas biegu. Wszystko to dary, które ludzie odrzucają jak skarpetki w świąteczny poranek. Widzimy je każdego dnia i nie traktujemy ich już jak prezenty. Ale nowe skarpetki są zawsze lepsze niż stare. A wiatr, trawa i niebo są zawsze piękniejsze, gdy spogląda się na nie nowymi oczami, a nie starymi. Mam nadzieję, że moje oczy nigdy się nie zestarzeją.

Rozdział 7

Naprawdę żałuję, że zamki stały się już zupełnie *passé*. Nie uroniłem ani jednej łzy, gdy wyszedł z mody system feudalny i nocniki, ale same zamki to jakoś zawsze lubiłem. Tak fajnie się je oblega i zdobywa. I prawie zawsze mają te sekretne przejścia, katakumby, wieżę (z kości słoniowej albo i nie), w której mieszkają Jakieś Ważne Osoby i nie chcą z niej zleźć. Bywa, że mają też biblioteki pełne starych tomisk zapisanych nieczytelną łaciną o przedziwnej ortografii i interpunkcji, pełnych alchemicznych receptur i tajników sztuk magicznych. Zawsze gdy widzę europejską architekturę, która przywodzi na myśl epokę zamków, ogarnia mnie prawdziwa nostalgia za tymi starymi czasami. A w Polsce takich budowli naprawdę nie brakuje. Być może to właśnie nostalgia, w połączeniu z coraz głośniejszym burczeniem w brzuchu, skłoniła mnie do opuszczenia pola i wbiegnięcia do małej miejscowości w poszukiwaniu jedzenia. No i joczenie mojego psa. Poza krótkim postojem w Katowicach, gdzie ukradliśmy kilka nowych noży dla Granuaile, biegliśmy wytrwale całą noc. Sabat Maliny – a wraz z nim Loki, miejmy nadzieję – znajdował się więc już jakieś dwieście mil za nami. Gdzieś o poranku mój pies wyrwał nas jednak z samotności długodystansowców.

<Jak mnie zaraz nie nakarmicie, to zeżrę te noże> warknął.

Poczułem wyrzuty sumienia. Ponieważ Gaja wciąż dawała nam siłę i miałem tyle na głowie, zupełnie nawet nie pomyślałem o jedzeniu. Nie mieliśmy szansy zaliczać trzech zdrowych posiłków i staliśmy się żywieniowymi oportunistami, kradnąc, cokolwiek nam się napatoczyło na polu. Nigdy się tym nie daliśmy rady najeść, ale biegliśmy dalej, licząc na to, że zaraz trafi się coś lepszego. Raczej się jednak nie trafiło.

<Dobra. Byłeś bardzo cierpliwym pieskiem. Co byś powiedział na pieczeń z antrykotu?>

<Aj! Oj, przepraszam, Bystra Dziewczyno, znów obśliniłem ci te noże. Ale to przez Atticusa, bo powiedział „pieczeń z antrykotu”. Na śniadanie. Popieram wszystkimi łapami. Było tylko nie było na niej żadnego chrzanu>. Po czym zaraz dodał, już do Granuaile: <Lubisz chrzan?! Cóż, pewnie jako koń to masz nawet prawo, ale nie pojmuję zupełnie, jaką wymówkę mają inni>.

<Chwila. Wcale ci nie gwarantuję tej pieczeni. Chciałem tylko wiedzieć, jak byś się zapatrywał na taką ewentualność>.

<Co? Chcesz powiedzieć, że jaja sobie ze mnie robisz?>

<Nie, nie do końca. Poszukamy jej, ale nie jestem pewien, czy uda się znaleźć knajpę, która by serwowała taką akurat pieczeń. Chcę się tylko zastrzec, że być może będziesz musiał się zadowolić czymś innym>.

<Oby nie, ale jestem tak głodny, że mogę się zadowalać w razie czego>.

Znajdowaliśmy się jakieś piętnaście mil na południowy zachód od Wrocławia i pędziliśmy przez pola, aż dotarliśmy do drogi E67. Patrząc na południe, zobaczyliśmy przy drodze kilka budynków. Była to jedna z rozrzuconych po okolicy wiosek.

<Zobaczymy, czy tu się da coś zjeść> powiedziałem.

Po kilku minutach byliśmy już we wsi Pustków Wilczkowski, gdzie znaleźliśmy ciekawy hotel w stylu rustykalnym o nazwie „Gościniec pod Furą”. Był to biały budynek z czarnymi ukośnymi deskami zupełnie w stylu Tudorów, co było dość zaskakujące. Przy tablicy z napisem wisiały dwa wielkie koła, domyśliłem się więc, że w nazwie są jakieś wozy albo co. W doniczkach wisiały czerwone i różowe kwiaty, żywopłot rósł bujnie, a ogród był starannie wypiełgnowany. Okrążyliśmy dom i trafiliśmy pod śmietnik i drewnianą szopę, aż w końcu

namierzyliśmy drzwi do kuchni. Były otwarte i przez siatkę na muchy buchało z nich ciepło pieca. Słychać było skwierczenie tłuszczu i stukanie szczypców do śniadaniowego steku. Pewnie szef kuchni lada chwila miał go przełożyć na drugą stronę. Grill śniadaniowy wyglądał, jakby wstawiono go do kuchni w ostatniej chwili – pewnie skoro była to jedyna restauracja w miasteczku, zapotrzebowanie na śniadania musiało przekonać właścicieli, że warto zainwestować, tym bardziej że wyglądało na to, iż serwują tu całkiem sporo amerykańskich dań.

Kelner krzyknął jakieś zamówienie, ale nic z tego nie zrozumiałem. Będę się musiał w końcu nauczyć tego polskiego. Przemieniliśmy się z Granuaile w ludzi i odłożyliśmy broń pod tylną ścianą budynku. Zostawiliśmy Oberona, żeby ich pilnował, a potem zarzuciliśmy na siebie kamuflaż, przy czym Granuaile musiała czerpać moc z mojego niedźwiedziego charmsa, bo nie miała jeszcze swojego.

Interesująca sprawa: śmiesznie jest wkradać się do restauracji zupełnie na golasa. Mało nie wpadłem na kelnerkę, która miała tak groźną minę, że z pewnością nieźle by mnie skopała, gdyby tylko mnie zobaczyła. Miała surową urodę, którą pewnie łagodził uśmiech, gdy wychodziła na salę do klientów albo była w dobrym towarzystwie, ale z dala od gości – gości, którzy mogą przecież nie dać dobrego napiwku – jej twarz była naburmuszona i twarda. Drugi kelner, młodszy, cały czas ustępował jej z drogi, a pulchny, wesoły kucharz w fartuchu i opasce na czole obsługiwał dwa grille – jeden z drewnem na steki i kotlety oraz drugi, płaski, do smażenia jajek i bekonu. Od razu wzbudził moją sympatię, bo uśmiechał się nieznacznie przy pracy. Może właśnie myślał o jakimś dowcipie albo o uśmiechu na twarzy ukochanej, ale intuicja podpowiadała mi, że ta dusza jest po prostu szczęśliwa w swojej pracy.

Wystarczyło kilka minut obserwacji, by stwierdzić, że w ogóle nie odwraca twarzy w stronę sali, chyba że musiał podać talerz lub przyjąć notatkę kelnerki. Poza tymi wyjątkami cały czas skupiał się na grillach. Kelnerka i jej pomocnik większość czasu spędzali natomiast w sali z klientami, a nie w kuchni. Kucharz postawił wkrótce cztery talerze, dwa z wieprzowymi kotletami i jajkami oraz dwa z naleśnikami i bekonem.

Oberon byłby przeschczęśliwy, gdyby mu dać cokolwiek z tego. Ale to miejsce wyglądało mi na takie, w którym na obiad może się serwować porządne sandwicze z pieczenią, a jeśli tak, to powinni ją wstawić do pieca już wcześniej rano. Czyli właściwie byłaby gotowa już na śniadanie, gdyby ktoś lubił – tak jak Oberon na przykład – ultrakrwiste mięso.

Piec znajdował się za częścią przeznaczoną dla kelnerów, ale zasłaniały go kamienne ściany grilla z drewnem, dzięki czemu bez problemu mogłem się do niego przekraść. Gdy tylko do niego zajrzałem, moim oczom ukazał się wielki polec mięsa i uśmiechnąłem się na myśl o tym, jaką radość sprawię Oberonowi. Wyciągnąłem pieczeń i położyłem sobie na blacie przy piecu. Znalazłem noże i talerz i odciąłem dla przyjaciela spory kawał krwistej wołowiny. Granuaile tymczasem zwinęła talerze z kotletami i odebrała bekon z tych z naleśnikami. Kelnerzy byli akurat poza kuchnią, a kucharz niczego nie zauważył. Naleśniki, które zostawiła, nie wywołały póki co żadnej nerwowej reakcji.

Głupio mi się zrobiło na myśl o kłótni, która niechybnie nastąpi, gdy nasza kradzież zostanie zauważona – zwłaszcza że damy w ten sposób kelnerce pretekst do nawrzeszczenia na kucharza – ale byliśmy głodni, spieszyliśmy się i niczyje życie nie było zagrożone, to jest, jeśli nie liczyć naszego.

Staraj się żuć powoli i cieszyć się jedzeniem – powiedziałem, kładąc talerz przed Oberonem.

<Na Wielką Niedźwiedzicę, Atticusie!> zakrzyknął mój pies, wgrzyzając się w mięso. <To najlepsza pieczeń, jaką w życiu jadłem!> Aż zaskomlał cicho z uznania. <Kradziona i soczysta jak zakazany owoc, a ja już i tak umierałem z głodu. Przejdzie do historii jako

Wspaniała Kradzież Pieczeni Polskiej Wtedy Co Pamiętasz. Będzie stanowiła punkt odniesienia dla wszystkich posiłków, jakie po niej nastąpią. Jest nawet lepsza niż Wielki Soczysty Grill w Atlancie Wtedy Co Wiesz, pamiętasz to? I nawet niż Najkochańsza Kielbaska z Dzika Co To Ją Jedliśmy Raz w Szkocji. A pamiętasz Haniebny Światowy Kryzys Bekonowy z 2013? Ta pieczeń nawet to wynagradza>.

Cieszę się, że ci smakuje, chłopie. Tu na pewno nie ma kryzysu bekonowego. Możesz nawet dostać mój, jeśli chcesz.

<Dajesz mi pieczeń i jeszcze bekon na dodatek? Kocham cię, Atticusie. Jeśli kiedykolwiek doczekam się szczeniaków, będę im opowiadał całe baśnie o tym jedzeniu. Właśnie przechodzi ono do legendy>.

Przez siatkę na muchy dobiegła nas dość gorąca wymiana polskich zdań, a moje kotlety miały mocno winny sos. Musieliśmy jednak i tak je przełknąć. Każdy posiłek mógł być naszym ostatnim. Kelnerka i kucharz w końcu przestali się na siebie drzeć, a ona wyszła z kuchni – pewnie poinformować gości, że ich śniadanie nie pojawi się jednak tak szybko.

Właśnie mieliśmy skończyć, gdy z nieba sfrunęły do nas dwa wielkie kruki, robiąc przy tym tyle hałasu skrzydłami co przeciętny helikopter. Każdy z nich miał znajomy biały błysk w jednym oku. Wylądowały na stercie drewna i zakrakały na mnie.

– Hugin i Munin – przywitałem je. – Czemuż zawdzięczam tę przyjemność?

Jeden z kruków – nie sposób je było odróżnić – zakrakał, machnął na mnie dziobem, a potem znów zakrakał, wskazując mi kolekę.

– Mam mówić z tym drugim? Cześć. A! Teraz rozumiem.

Kruk chciał, żebym splótł się mentalnie z jego towarzyszem. Włączyłem więc charms odpowiadający za wzrok magiczny i aż zamrugalem, bo oba ptaki emanowały bardzo intensywną bielą magii. Kiedy już się zdołałem skupić, odnalazłem świadomość wskazanego mi kruka i sięgnąłem ku niej. Moją głowę zalał potok obrazów: z lotu ptaka zobaczyłem Artemidę i Dianę przekraczające polską granicę przy Dukli. Każda z nich miała wypasiony nowy rydwan ciągnięty przez cztery jelenie o złotym porożu. Mknęły ramię w ramię po śladach wydeptanych na znajomym mi polu lucerny, gdy nagle ziemia się pod nimi zarwała i wpadły w pułapkę. Próbowaly jeszcze wyskoczyć z rydwanów, ale nie zdążyły; zaprzęgi poruszały się tak szybko, że jelenie siłą impetu wciągnęły je do dziury.

Potem nastąpiło kilka wrzaskliwych i krwawych ujęć rodem z horrorów. Choć żal mi było jeleni, nie czułem ani odrobiny współczucia na widok bogiń nadzianych na drewniane pale, które wbiliśmy w dno pułapki. Będą się musiały teraz leczyć, wydostać z dziury, załatwić sobie nowe rydwany i nowy zaprzęg. Trochę je to przyhamuje, na pewno nam już jednak nie odpuszczą, bo zraniłem ich dumę. Potrzebowałem bardzo, ale to bardzo długoterminowego rozwiązania na ten bałagan. Tylko jakoś go nie miałem.

Nowa scena: Artemida i Diana na tle szarego nieba tuż przed świtem (to pewnie ten sam świt, który nastąpił ledwie kilka godzin temu). Prezentowały się całkiem niezłe jak na kogoś, komu ledwo co zadano rany dla każdego śmiertelnika śmiertelne. Stały przy pułapce i szykowały się do drogi. Miały nowe jelenie zaprzęgnięte do nowych rydwanów i jeszcze sforepów. Pamiętałem je z mitologii; podarki od Pana i Fauna. Każda z bogiń zadęła w róg i psy popędziły naszym tropem. Boginie odczekały kilka sekund i ruszyły w rydwanach za nimi. Jeśli znów zastawimy na nie pułapkę, tym razem złapią się tylko psy, a łowczynie zauważą niebezpieczeństwo na tyle szybko, że zdążą go uniknąć.

Ale w każdym razie zadziałało. Przebiegnięcie od pułapki tutaj zajęło nam jakieś osiem godzin, a od świtu minęły już ze trzy godziny, więc jeśli łowczynie zaczęły o świcie, to

oznaczało, że są jakieś pięć, może nawet sześć godzin za nami.

Połączenie zostało zerwane i kruk, z którym się splotłem – wychodziłoby na to, że Munin, skoro pozwolił mi zajrzeć do swojej pamięci – wskazał na tego drugiego, czyli Hugina. Aura Hugina była nieco bardziej intensywna – bieżące myśli Odyna były oczywiście bardziej aktywne niż jego wspomnienia. Podejrzewałem, że Hugin nie reprezentuje wszystkich myśli Odyna, ale jednak pewnie sporą część jego świadomości, bo w przeciwnym razie bóg nie popadłby przecież w śpiączkę na całe lata, gdy mu w Asgardzie ubiłem włócznią poprzedniego Hugina. Nie miałem pojęcia, jak się na to zapatruje Odyn, ale z druidzkiej perspektywy kruk był przestrzenią myślową w jego umyśle, tylko taką ze skrzydłami. I podobnie Munin. Oba kruki musiały czasami wracać do Odyna, żeby się podładować i połączyć wszystkie fragmenty jego świadomości, ale nie było też tak, że bóg siedział całe życie jak manekin, gdy ich nie było. Choć ucieleśniały umysł Odyna, nie były jego całością.

Splotłem się z jasnymi nićmi świadomości ptaka i zalał mnie niczym stara whisky głos Szarego Wędrowca.

<Biegnijcie dalej> powiedział po staronordycku. <Nie możecie się tak długo zatrzymywać. Robimy, co możemy, żeby powstrzymać dalszą interwencję Svartálfarów>.

To bardzo mile z waszej strony. Ale skąd wiedzieliście, że mam kłopoty?

<Od Morrigan>.

Morrigan nie żyje.

<Otóż to. Dziewięć miesięcy po naszym spotkaniu w Oslo przybyła do mnie i dała mi spleciony z nią rubin. Lśnił jej mocą. „Pewnego dnia – powiedziała – ten rubin zgaśnie. Będiesz wtedy wiedział, że nie żyję. Kiedy to się stanie, musisz ochronić druidów przed mrocznymi elfami, jeśli chcesz, by walczyli z tobą w Ragnaröku”. Niewiele z tego wtedy pojmowałem. Mówiła o druidach, a przecież byłeś tylko ty jeden. Nie rozumiałem, dlaczego Svartálfarowie mają takie znaczenie. Teraz już wiem. Masz dość problemów i bez nich>.

Przewidziała to pięć czy sześć lat temu?

<Nikt nie może się równać z jej głębią>.

Nie czułem się na siłach jakoś skomentować tej jego elegii.

Odyne, ale jak mnie znalazłeś? Przecież mam ochronę przedwywróżeńiową.

<Twoja kobieta jej nie ma>.

Nie jest moja. Należy do samej siebie.

<Cóż mnie to obchodzi. Biegnijcie. Chcę, żebyście walczyli w Ragnaröku. A może chcę zobaczyć, jak łowczynie obdzierają was żywcem ze skóry. Wciąż się nie mogę zdecydować>.

Obserwujesz nas?

<Naturalnie. Z Hlidskjálfu mam wspaniały widok> powiedział, mając na myśli srebrny tron, z którego mógł śledzić wydarzenia we wszystkich dziewięciu krainach. <Nie tylko ja zresztą. Powinieneś może wiedzieć, że Olimpijczycy zastrzegli sobie prawo do odebrania ci życia. Są jednak bogowie z innych panteonów, którzy dla własnych celów chcieliby, żebyście jeszcze żyli. Wśród nich ja na przykład>.

Którzy inni bogowie?

Odyn jednak mówił dalej, tak jakbym w ogóle się nie odezwał.

<Gdy Morrigan poległa, inni bogowie poinformowali Olimp, że jeśli Greko-Rzymianie chcą cię zabić, muszą wykorzystać do tego umiejętności, a nie siłę. Innymi słowy, mogą na ciebie polować i jeśli im się uda, to trudno, ale nie mają prawa zlecić się tu całym Olimpem i rzucić się na ciebie>.

Kto może dyktować Olimpijczykom warunki?

<Ludzkość stworzyła bogów potężniejszych niż oni. Olimpijczycy obawiają się ich gniewu. Ja również. Zeus i Jowisz widzieli, że zastawiacie pułapkę. A my widzieliśmy, że oni widzą. Chcieli ostrzec łowczynię i zepsuć niespodziankę. Lecz ich powstrzymaliśmy. To by przecież nie było sprawiedliwe. Ani nawet w połowie tak zabawne>.

Przypomniał mi się nagle bardzo wyrazisty sen, który miałem dwanaście lat temu we Flagstaff, spytałem więc:

Czy jednym z tych bogów nie jest przypadkiem Ganeśa?

Odyn znów zupełnie zignorował moje pytanie.

<To działa zresztą w obie strony, przestrzegam cię więc przed zdawaniem się na współczesne środki transportu. Olimpijczycy uparli się, że macie uciec samodzielnie. Jeśli wsiądziecie do samolotu czy jakiegokolwiek innego pojazdu, Olimpijczycy będą mieli prawo was zatrzymać>.

To boże igrzysko, tak? Biegniemy dla waszej rozrywki?

<Musicie wiedzieć, że to dla nas wielka rzadkość. Twoich działań nie da się przewidzieć ani wywróżyć. Wynik pozostaje nieznany, toteż jest ekscytujący. Poza tym są jeszcze inne osoby zainteresowane zniszczeniem ciebie, co sprawia, że cały ten wyścig jest tym bardziej interesujący>.

Jacy inni?

<Już się na nich natknąłeś. Wampiry. Mroczne elfy. Co do tych ostatnich, to do Midgardu przybywają właśnie Ljósálfarowie, by trzymać Svartálfarów z dala od was. Nie przepuszczą okazji, by móc walczyć ze swoimi mrocznymi braćmi na neutralnym terenie, a tym razem wiedzą przecież mniej więcej, gdzie ich znaleźć... to jest tam, gdzie wy będziecie>.

Jesteśmy więc nie tylko rozrywką, ale i metodą na uregulowanie czyichś starych porachunków?

<Powinieneś już raczej nawyknąć do odgrywania tej roli. Ostatnio były to porachunki z Azami. Może pamiętasz to drobne zajście wokół Thora>.

Pamiętałem. Nie byłem z niego specjalnie dumny.

Rozumiem więc, że nie będziecie nam pomagać.

<Wręcz przeciwnie. Jak już mówiłem, robimy, co możemy, żeby zająć się mrocznymi elfami. Poza tym powiedziałem ci przecież, żebyście biegli, co było bardzo dobrą radą>.

Połączenie zerwało się, a krucze skrzydła zahuczały na porannym niebie niczym potężne silniki motorów.

Przykazanie Morrigan, żebyśmy biegli całą drogę, dopiero teraz stało się dla mnie zrozumiałe. Bogowie wymyślili sobie, że Europa to ich Koloseum, a my jesteśmy gladiatorami.

– Nie ma spokoju dla druidów – mruknąłem. – Czas w drogę.

Rozdział 8

To by było na tyle, jeśli chodzi o moje teorie na temat faerycznych szpiegów. Obserwowano nas non stop przez wywrózenie i Granuaile była naszą anteną. Skoro potrafił nas namierzyć Odyn, mogli też inni, więc dobrze rozumiałem, co miał na myśli nordycki bóg, gdy mówił, że są jeszcze inne strony w tym konflikcie. Wampir i mroczne elfy czekały na nas na słowackiej granicy, ponieważ ktoś w Tír na nÓg z zimną krwią wywróżył położenie Granuaile, po czym założył – słusznie zresztą – że będę gdzieś w okolicy, i nasłał tam na mnie doborowych zabójców. Robili tak już wielokrotnie, gdy próbowaliśmy w Grecji spleść Granuaile z ziemią. Potem na chwilę pozbyliśmy się ich w Pirenejach, może dlatego, że noce spędzaliśmy wewnątrz góry, gdzie trudno nas było namierzyć nawet przepowiedniami, ale w końcu jednak nas wysłedzili. Udało nam się uciec przed nadciągającą hordą wampirów, jeśli ufać nosowi Oberona, a zwykle jednak można mu było ufać.

Po tym, jak najechaliśmy na Hel i zabiliśmy Fenrisa, spędziliśmy kilka tygodni w Meksyku, ciesząc się tam błogim spokojem – jakim cudem? Głowę daję, że naszą obecność w Meksyku można było wywróżyć z równą łatwością jak wszędzie indziej, a nie da się ukryć, że byłem w tym czasie bardzo blisko Granuaile. Widocznie lalkarz – ktokolwiek nim był – z jakichś względów nie mógł nasłać na nas swoich marionetek, póki byliśmy w Meksyku. A jeśli tak, to mówiło mi to o nim całkiem sporo.

Splotłem Meksyk z Tír na nÓg bardzo dawno temu, kiedy jeszcze po okolicy kręcili się Majowie i z zapalem budowali przyszłe atrakcje turystyczne. Faerie mogłyby więc przenieść się do nas i namierzyć nas bez problemu, gdyby tylko chciały. W Meksyku nie brakowało też wampirów. Jeśliby chciały nas znaleźć, pewnie zajęłyby im to mniej niż dwa dni, w każdym razie na pewno mniej niż dwa tygodnie. A zatem nasz tajemniczy wróg nie posługiwał się lokalnymi wampirami i nie wysyłał swoich zabójców przez splecione drzewa. Ograniczał się on (lub ograniczała się ona) do jakichś konkretnych wampirów – a niewykluczone, że i do konkretnych faerii i mrocznych elfów – i wysyłał ich za nami po Europie, korzystając ze Starych Dróg. Oznaczało to, że Meksyk jest naszą strefą bezpieczeństwa. Że cały Nowy Świat jest bezpieczny. A gdy już to teraz wiedziałem, Faun upewnił się, że te bezpieczne lądy są poza moim zasięgiem.

Oznaczało to również, że nie uświadamiałem sobie czegoś ważnego na temat Starych Dróg.

<Hej, Oberonie>.

<Hej, Atticusie>.

<Spytaj Granuaile, czy miałaby chęć zbadać jedną ze Starych Dróg w Niemczech i zobaczyć, czy nie da się nią uciec>.

<Miło byłoby uciec>. Minęło kilka chwil i Oberon powiedział: <Bystra Dziewczyna przypomina ci, że Morrigan powiedziała, że wszystkie one są zawalone albo strzeżone>.

<To pewnie prawda. Ale chciałbym się dowiedzieć, przez kogo właściwie są strzeżone. To byłby raczej wypad w celach badawczych niż prawdziwa próba ucieczki>.

<A właśnie. Już dawno chciałem ci powiedzieć, że kiedy zużę twoje rzeczy, to naprawdę chodzi mi bardziej o cele badawcze niż prawdziwą próbę zepsucia ci tych gratów>.

<Przekaż jej, proszę, moje słowa, dobrze?>

<Dobra. Granuaile mówi: zróbmy to>.

<Za mną>.

We Wschodnich Niemczech znajdowała się Stara Droga do Tír na nÓg – a właściwie kilka dróg ukrytych w dolinach rzek w górach Rudawach, które oddzielały Saksonię od Czech. Ale najbliższa biegła lekko na południowy zachód od Hoyerswerdy na Dubringer Moor, mokradłach porośniętych na obrzeżach brzozy, sosnami i osikami, które wrastały korzeniami w bagienne podłoże. W przeciwieństwie do przeważającej większości Starych Dróg ta nie znajdowała się w jaskini. Istniało kilka takich – były to labirynty bez murów. Miń w odpowiedni sposób brzozy, stań przy konkretnej osice, okrąż ją trzy razy i już jesteś w Tír na nÓg. Tego typu Starej Drogi nie dało się tak łatwo zawalić, wywołując trzęsienie ziemi. Można było oczywiście wyciąć drzewa albo podpalić okolicę, więc być może w ten sposób zlikwidowali to przejście, ale istnieje duże prawdopodobieństwo, że obstawili je tylko strażnikami.

Albo i nie. Bo jak tu strzec miejsca, które znajduje się na odkrytej przestrzeni, jest więc dostępne dla ludzi, i nie zwrócić niczyjej uwagi? Z jaskiniami jest łatwiej – można schować strażnika w środku.

Żeby dostać się na Dubringer Moor, musieliśmy skrócić trochę na południe, obiec kopalnię odkrywkową w Kausche, ale poza tym mogliśmy przez chwilę odetchnąć, biegnąc mieszanymi lasami otaczającymi małe miejscowości. Już po chwili byliśmy na moczarach. Na ich obrzeżach na żyznej glebie rosły drzewa, ale w środku było dość bagniście. Zatrzymałem się przy brzozie, która miała na pniu trzy węzły przypominające triskelion. Rozejrzałem się wokół, żeby sprawdzić, czy nikt nas nie widzi, po czym przemieniłem się w człowieka i wyciągnąłem Fragaracha z pochwy.

– Gotowi? – spytałem.

Granuaile też się przemieniła i zacisnęła palce na Scáthmhaidzie.

– Tak. Chodźmy.

W magicznym spektrum wyraźnie było widać Starą Droge, ale Oberon jej nie widział, a nie chciałem, żeby mi z niej wypadł.

– Będziemy iść powoli. Rozglądajcie się i nasłuchujcie, czy nie ma żadnych strażników. Nie zapominajcie też obserwować wierzchołki drzew. Oberonie, jeśli tylko zwęszysz coś podejrzanego, mów od razu.

<Dobra>.

– I trzymaj się blisko nas. Żadnego ganiaania za wiewiórkami ani czymkolwiek innym.

<Oooj!>

Zrobiliśmy dziesięć kroków w kierunku następnej brzozy znajdującej się dokładnie na południe od pierwszej.

– Obejdźcie ją odwrotnie do ruchu wskazówek zegara – poinstruowałem ich, pokazując, jak mają iść. – A potem kierujemy się na zachód.

Przeszli za mną do drzewa obok, po czym skręciliśmy na południe.

<Możę sobie obwąchać ten krzak?> poprosił Oberon.

– Nie, chłopie, przykro mi. Sama ta ścieżka jest nicią prowadzącą do Tír na nÓg. Można nią przejść w obu kierunkach. Jeśli drzewo umiera, ścieżka dostosowuje się do nowej sytuacji, ale poza tym jest zawsze taka sama. Ta osika na końcu jest już pewnie dwudziestym drzewem, które spaja tę Starą Droge, odkąd się o niej dowiedziałem. I to samo dotyczy tej brzozy, od której zaczęliśmy. Ale jeśli raz zejdziesz ze ścieżki, będziesz musiał zaczynać od nowa.

Skradaliśmy się dalej krętym szlakiem przez brzezinę, nasłuchując i wyglądając kłopotów. Nic jednak nas tu nie niepokoiło poza rosnącą z każdym krokiem paranoją. Niemal spodziewaliśmy się, że zaraz wyskoczy na nas jakaś faeria albo kolejny potwór z grecko-rzymskiej mitologii, ale wyglądało na to, że jesteśmy na mokradłach zupełnie sami.

Kiedy dotarliśmy do osiki, superostrożnie spojrziałem przez gałęzie.

– Coś tu przecież musi być – mruknąłem. – Niemożliwe... Tak łatwo...?

– Co jest niby łatwe?

– To. Wystarczy, że obejdziemy to drzewo jeszcze trzy razy i już jesteśmy w Tír na nÓg. Ta-da. Uciekliśmy. Przeniesiemy się do Nowego Świata i wyślemy wszystkim tym bananowym dupkom pocztówki z napisem: Wypchajcie się, nigdy nas już nie złapiecie. To niemożliwe, żeby tak łatwo nam poszło.

– Może zapomnieli o tym przejściu? – zasugerowała bez przekonania Granuaile.

– Może. A może po prostu są sprytniejsi, niż nam się zdaje. Może jest tu coś niewidzialnego?

– Sprawdźmy w magicznym wymiarze.

– Już sprawdzałem, ale może ty jeszcze sprawdź. Może się czegoś dopatrzysz.

Granuaile przyjrzała się drzewu i odnotowała lekką smugę kolorów, która odpowiadała za nią, ale poza tym nic nie widziała. Nic nie lśniło wśród gałęzi. Nic nie lśniło na ziemi.

– Oberonie, czujesz coś? – spytała.

Poruszył nosem, po czym wzruszył mentalnie ramionami.

<Was. Bagno, brzozy, trawę. Takie tam. Nic do żarcia>.

– Dobra. W takim razie idziemy, ale bardzo powoli.

Ruszyłem naprzód i poprowadziłem ich do osiki. Tym razem musieliśmy obejść drzewo zgodnie ze wskazówkami zegara. Spojrzałem znów w górę, ale nie widziałem żadnych zagrożeń. Pierwsze obejście drzewa upłynęło nam zupełnie spokojnie i aż zacząłem sobie robić nadzieję. Za drugim okrażeniem znaleźliśmy się w połowie drogi między krainami i stąd widzieliśmy już, co czeka nas po drugiej stronie – półprzezroczysty inny świat nakładał się na ten, z którego właśnie wychodziliśmy. A tam, w Tír na nÓg, jedno okrażenie wokół drzewa więcej, czaił się strażnik, którego od początku się spodziewaliśmy. To znaczy spodziewaliśmy się, że będzie jakiś strażnik, bo na pewno nie spodziewaliśmy się tego konkretnie.

– Oż ty! – wymusknęło się zdumionej Granuaile.

Oberon warknął. Uniosłem Fragaracha i patrzyłem uważnie. Uśmiechnęło się toto do nas trzema rzędami ostrych zębów, ale ani drgnęło, jeśli nie liczyć uniesienia ogona, którego koniec był czarny i najeżony jakby wielkimi kolcami kaktusa. Z wyjątkiem tego ogona i ludzkiej twarzy z nieco zbyt uzębionym uśmiechem, ciało należało do czerwonego lwa. Twarz okalała imponująca grzywa, tak bujna, że od razu przywodziła na myśl amerykańskich poetów romantycznych.

– Jeśli to jest to, co ja myślę, to to nie jest ani greckie, ani rzymskie – syknęła Granuaile.

– Ani nawet faeryczne.

– Nie, ten typ to raczej jest z Persji – zgodziłem się. – Ale nie pytaj mnie, dlaczego on się w to w ogóle miesza.

<Co to jest, Atticusie? Te zębiska mi się wcale nie podobają>.

– Mantykora – wyjaśniłem. – I w ogóle nie powinno jej tu, w Tír na nÓg, być.

Oberon warknął nisko i ostrzegawczo.

<Tego w ogóle nigdzie nie powinno być, jeśli by ktoś mnie pytał o zdanie. To jest złe. I głodne>.

– Może nas zaatakować? – spytała Granuaile.

Opuściłem miecz.

– Nie tu, gdzie jesteśmy.

– Ale przecież jest tuż przed nami.

– Nie. Jest w Tír na nÓg, a my jeszcze tam nie weszliśmy. Musielibyśmy obejść to

drzewo jeszcze raz, żeby nas mogła zaatakować.

– Albo ona też może sobie je obejść.

– Nie, to by jej nijak nie pomogło. Nie może się stamtąd wydostać, nie przeszedłszy całej ścieżki, która z jej strony jest równie skomplikowana jak z naszej. Musieliśmy przejść wiele kroków, żeby tu dojść, i ona musiałaby przejść tyle samo, żeby się do nas dostać. A idę o zakład, że nawet nie zna tego przejścia. Nie widzi ścieżki w magicznym wymiarze. Ktoś ją tu po prostu umieścił i ona może tylko czekać, aż sami do niej podejdziemy.

– Ale jest już w Tír na nÓg, tak? Czyli wystarczy, że ją minimy, i jesteśmy uratowani?

– Teoretycznie. Tylko że minięcie mantykory jest prawie niemożliwe. Jej jad jest równoznaczny z wyrokiem śmiertelnym. I nieważne, czy cię ugryzie, czy tylko draśnie ogonem. Zresztą nawet pazury są zabójcze, jeśli źródła się nie mylą.

– Jakie źródła? Mity?

– Mity, tak. Przykro mi, ale nie ma innych źródeł na temat ludzi zaatakowanych przez mantykorę, głównie dlatego, że nikt takiego ataku nie przeżył, więc nie miał jak go opisać.

– A nie moglibyśmy zneutralizować jadu przez rozplecenie go? Przecież jesteśmy w pewnym sensie odporni na truciznę, nie?

– W pewnym sensie. Ale to wymaga koncentracji, a gdy my się będziemy koncentrować na tym, żeby nie umrzeć od trucizny, ona nam po prostu odgryzie łeb albo nas wybebeszy. I trzeci członek naszej ekipy nie jest odporny na nic.

Oberon przerwał swoje niemal już dudniące warczenie.

<Czy e-kupa to rodzaj odchodów online?>

– Ekipa, nie ekupa, Oberonie!

Twarz mantykory, która wyrażała dotąd głównie złowieszczą obietnicę bolesnej śmierci, wykrzywił raptownie grymas, który miał być chyba miły. Potwór uniósł łapę i skinął na nas zapraszająco.

– Dobra, to jest dość obrzydliwe – zauważyła Granuaile.

– No. Ten gest ma chyba oznaczać: „Zapraszam na salony”. Ale nie będziemy grać w mantykorze gierki towarzyskie. Dowiedzieliśmy się, czego się mieliśmy dowiedzieć. Morrigan miała rację. Wszystko jest pod obserwacją. Ale jest to jednak trochę szokujące.

– Masz na myśli cały ten wysiłek, jaki włożyli w próbę zabicia nas?

– No. Można by to przecież załatwić o wiele prościej. Najwyraźniej ktoś, kto za tym stoi, chce mieć pewność, że wina nie spadnie na niego.

<Ciekawe, jak to wygląda, jak toto idzie do dentysty>.

– Hmm. Atticusie? Czy Stare Drogi do Tír na nÓg da się tak obstawiać dowolnymi strażnikami bez wiedzy Brighid?

Zamyśliłem się.

– Pewnie nie na dłuższy czas, ale tak na chwilę, to dlaczego nie.

– A dlaczego tak? Niby jak ona może sobie z tego nie zdawać sprawy?

– Ktoś musiałby ją o tym poinformować, tak jak się informuje prezydenta czy premiera. Nie będzie wiedziała o żadnym problemie, póki ktoś jej o nim nie doniesie.

– Aha, czyli to znaczy, że ona może za tym stać albo przynajmniej być tego świadoma, a więc i współwinna, albo że w ogóle nie ma o niczym pojęcia.

– Nie zapominaj jeszcze o takich opcjach, że jest świadoma, ale niekompetentna. Albo podejrzewa coś, ale nie jest pewna.

– Dobra. Chciałabym to dogłębniej obgadać, ale póki co odsuńmy się od tych zębów.

<Wiecie co? Ona nie ma kciuków, czyli nie ma jak nitkować tych zębów. Aż strach pomyśleć, jaki to może wywoływać nieświeży oddech>.

– Dobra, trzeba stąd zmykać.

Już pewnie i tak straciliśmy przez tę małą wycieczkę w bok sporo czasu na korzyść Artemidy i Diany, a naprawdę nie powinniśmy sobie pozwalać na większe straty.

Twarz mantykory wykrzywiła się w desperacji, gdy stwór się zorientował, że podajemy tyły, a potem zrezygnował nagle z wszelkich pozorów pacyfistycznego nastawienia i skoczył na nas z rozdziawioną paszczą i rozczapierzonymi pazurami. Było to zupełnie ciche i widmowe – mantykora przeleciała przeze mnie na wylot, bo przecież znajdowaliśmy się w różnych krainach.

<Ha! Nie dla mantykory druid!> zarechotał Oberon.

Mantykora zupełnie zniknęła nam z oczu, gdy zesliśmy ze ścieżki. Postanowiliśmy biec dalej na północny zachód przez Niemcy, póki nie minimy masywu górskiego Harz, a potem chcieliśmy już pędzić prosto na zachód, do Holandii, zgodnie z tym, co wyznaczył nam żywiołak Saksonia. Było już koło południa, więc wybiegniemy z Niemiec przed nocą.

– Możemy przez chwilę biec w ludzkich postaciach, żeby oszczędzić Oberonowi ciągłego przekazywania naszych słów? – zaproponowała Granuaile.

Wzruszyłem ramionami. Będziemy się wolniej przemieszczać, ale mieliśmy jeszcze pewną przewagę, a naprawdę powinniśmy obgadać kilka spraw.

– Jasne.

Narzuciliśmy sobie więc odpowiednie tempo i zdaliśmy się na Saksonię, jeśli chodzi o prowadzenie nas w miarę możliwości z dala od rozwiniętych przemysłowo obszarów. Przy odrobinie szczęścia nikt nie powinien nas zauważyć, a jeśli nawet, to uzna pewnie, że uciekamy przed olbrzymim psem pędzącym za nami.

– To kto nadzoruje Stare Drogi w Tír na nÓg? – spytała Granuaile. – Kto powinien poinformować Brighid, gdyby był jakiś problem?

– A! Strażnicy. Teraz już rozumiem, do czego zmierzasz. Jeśli Brighid nie jest odpowiedzialna za to wszystko i nikt jej nie powiedział, co jest grane, to ktoś przekupił strażników faerycznych.

– No właśnie. A pamiętasz, jak byliśmy pierwszy raz razem w Tír na nÓg i był ten lord, który twierdził, że wedle doniesień prawie w całej Europie nie działają nici łączące ją z Tír na nÓg?

– Tak! Co za nadęty, fircykowaty typ. Nazwałem go Lordem Łonobrodym.

– I przez to nie zapalał do ciebie przesadną sympatią. A to on odbiera informacje od strażników nici, tak? Bo inaczej dlaczego miałby przekazywać te informacje na Dworze?

– Bogowie niejedyni – jęknąłem, gdy dotarło do mnie, że ona ma rację.

– No. Czy Lord Łonobrody miałby wystarczającą władzę, by to wszystko zaaranżować?

– Posłużyć się strażnikami, żeby zorganizować masowe zatkanie wszystkich Starych Dróg w Europie? – myślałem na głos. – Tak. Mógłby to zrobić. Ale skutecznie wywróżyć twoje położenie, tak jak robią to Tuatha Dé Danann i inni bogowie, to chyba jednak nie. I pomyśl tylko, co ten ktoś na nas nasłał w ciągu kilku zaledwie ostatnich miesięcy: mroczne elfy, zabójców faerycznych, wampiry, a teraz i Olimpijczyków. Trzeba by mieć naprawdę niezłe możliwości i dużą władzę, by móc pociągać za te wszystkie sznurki, i to jeszcze z ukrycia. Łonobrody na pewno nie jest aż tak wpływowy.

– Czekaj. To myślisz, że ten ktoś współpracuje z Olimpijczykami?

– No, jak to tak teraz analizujemy, to coraz bardziej wydaje mi się, że tak właśnie musi być. Przypomnij sobie, jak to się wszystko zaczęło. Oprowadzałem cię po Starych Drogach. Dotarliśmy do określonego miejsca w Rumunii i uruchomiliśmy tę nieszczęsną pułapkę. Olimpijczycy już na nas czekali. A z nimi Morrigan. Olimpijczycy mają oczywiście swoje

sposoby na przepowiadanie wszystkiego, więc mogli nas sami wywróżyć. Mają też oczywiście Pana i Fauna, którzy mogą wywołać pandemonium i uniemożliwić nam ucieczkę przez drzewa, ale w życiu by nie dali rady obstać jednej ze starych bram w Niemczech jakąś mantykora, i to już po stronie Tír na nÓg. Na pewno współpracują z kimś z Dworu Faerii, ale chyba nie z Lordem Łonobrodym. Nie zrozum mnie źle, rzeczywiście pewnie jest on w to jakoś zaangażowany, ale pewnie raczej wykonuje tylko polecenia z góry.

– Dobra, nie będę się spierać. Ale ta mantykora to oznaka jeszcze czegoś.

– Czego?

– Ktokolwiek próbuje nas dorwać, jest naprawdę zdesperowany. W normalnych warunkach nikt przecież nie najmuje sobie mantykory, nie?

– Słuszna uwaga – zgodziłem się. – Trzeba będzie przy najbliższej okazji poruszyć tę sprawę w rozmowie z Lordem Łonobrodym. Dowiedzieć się jakoś, kto mu wydaje rozkazy.

– Racja. Kto wie, może kiedy z nim pogadamy, coś nas oświeci.

<Hej, Atticusie? Bystra Dziewczyno? Mnie już oświeciło!>

– Tak? W jakiej sprawie? – spytałem.

<Wiem wreszcie, dlaczego ludzie noszą ubrania! To dlatego, że jak biegacie nago, to wyglądacie tak głupio, że szkoda czekać. Macie obydwójcie masę tych luźnych, podskakujących części i...>

– Oberonie. Wystarczy.

<Wygrywam! 1:0 dla psa>.

– Oberonie, naprawdę nie pora teraz na gry.

<Nie? A na co? Nie mówię, że nie lubię sobie pobiegać, ale biegniemy już tak długo, że coś kociego. I nawet nie pozwalasz mi się zatrzymywać, żeby coś obwąchać, ani pouganiać się za kunami, ani pogadać o moich ulubionych filmach, bo tacy jesteście obydwójcie spięci jak grzywka yorkshire terriera na wystawie psów. Nie możemy się trochę rozerwać podczas biegu?>

– A co byś chciał? Opowiedzieć?

<Jasne! Dobrą irlandzką opowieść>.

– Niech ci będzie. Mam jedną taką dość adekwatną do naszej obecnej sytuacji. Właśnie przysłała mi do głowy pewna osoba spośród Tuatha Dé Danann, która miałaby możliwości, powody i sposoby, żeby to wszystko zaaranżować.

<Hmm. To mi wcale nie wygląda na dobrą opowieść. Po prostu znów wpadasz w tę swoją obsesję na punkcie tego, kto to chce cię koniecznie dorwać>.

– W obsesję?! To raczej rozsądne podejście do swoich szans na przetrwanie, nie uważasz? No weź, Oberonie. To dobra historia... są w niej i niegrzeczne ptaki, i miłosne czworokąty, i nawet pojawia się przez chwilę nie tak świętej pamięci Aenghus Óg.

<Ten bóg, którego zabiłeś kilka miesięcy temu?>

– To było dwanaście lat temu, Oberonie, ale tak, to ten.

<Miesiące, lata, kto by się w tym połapał. I, mówisz, on tkwił w miłosnym czworokącie?>

– Nie, Aenghus akurat nie, ale za to jego brat przyrodni Midhir. Obaj byli synami Dagdy. I tak sobie myślę, że być może za tym wszystkim stoi właśnie Midhir.

– Nie poznałam go chyba, prawda? – upewniła się Granuaile.

– Nie. Był wprawdzie na Dworze Faerii tego dnia, gdy cię przedstawiałem, bo pamiętam, że widziałem, jak siedział z Tuatha Dé Danann, na prawo od Brighid, ale nie podszedł do nas się przywitać.

<Może trochę się obraził o to, że posłałeś Aenghusa do diabła>.

– Taką mam właśnie teorię.

<Dobra, dawaj tę swoją teorię>.

– Może lepiej nie będę wam opowiadać wszystkiego od początku, bo to by zajęło za dużo czasu. To cały epos zatytułowany *Tochmarc Étaíne*, czyli *Zaloty do Étaín*. Wszystko to wydarzyło się, zanim skończyłem pierwsze stulecie. Dzięki Airmid, córce Diana Cechta, odkryłem już wtedy sekretną recepturę na Młodości Czar, ale nie miałem jeszcze Fragaracha. Gotowi na krótką wersję? Taką, którą znam z opowieści ludzi żyjących w tamtych czasach, a nie z bazgrołów sporządzonych wieki później przez chrześcijańskich mnichów?

<Jasne! Dawaj!>

– Dobra. Midhir zapragnął kobiety, która nie była jego żoną, piękności imieniem Étaín. Zdobył ją z pomocą Aenghusa Óga, a potem mieszkał z nią przez rok i jeden dzień, co zgodnie z ówczesnym prawem było równoznaczne z rozwiedzeniem się z żoną, Fúamnach. Jak się łatwo domyślić, Fúamnach wcale się to nie podobało, a że miała smykałkę do magii, zamieniła Étaín w dużego, fioletowego motyla. Siedem lat tułała się biedna dziewczyna szargana wiatrem, aż w końcu przysiadła na ramieniu Aenghusa Óga. Bóg od razu się zorientował, że to Étaín, a że wiedział, że Midhir ma wyjątkowy talent do przemieniania postaci innych osób, Aenghus zabezpieczył Étaín dziką magią i próbował zabrać ją z powrotem do Midhira, licząc na to, że ją w ten sposób uratuje. Ale Fúamnach znów wezwała wiatr i odepchnęła Étaín. Tym razem motyl wpadł do dzbanu i został wypity przez żonę pewnego wojownika, który właśnie starał się założyć rodzinę. Zabezpieczenia Aenghusa Óga uratowały życie Étaín w dość osobliwy sposób – przeskoczyła z układu trawiennego do macicy, przemieniła się z motyla w jajeczko i urodziła się ponownie, nadal piękna, ale pozbawiona wszelkich wspomnień z poprzedniego życia.

<No, bez przesady, Atticusie. Étaín była wielkim motylem i ta kobieta nic nie zauważyła przy picciu? Te skrzydełka i malutkie nóżki w ogóle jej nie załaskotały w przełyku?>

– To był taki wielki drewniany dzban, Oberonie, a nie jakiś kieliszek do brandy. Nie sączy się miodu z dzbanu, tylko pije wielkimi łykami, aż cieknie ci po brodzie. Jeśli nawet coś poczuła, to uznała pewnie, że coś jej wpadło nie w tę dziurkę co trzeba, i tyle.

<Niech ci będzie, ale jednak. Jak się niby przeskakuje z żołądka do macicy? Zmieniając jeszcze na dodatek z owada w zapłodnione ludzkie jajeczko?>

– Tak zadziałało zabezpieczenie Aenghusa Óga. To tak zwana dzika magia. Ma cię chronić, ale jej efekty są nieprzewidywalne, ponieważ zabezpieczenie samo improwizuje w zależności od zagrożenia. Większość zabezpieczeń, jakie ja wytwarzam, odpycha konkretne zagrożenie. Na przykład krąg z soli może uniemożliwić przejście duchom, ale nic poza tym. Tymczasem dzika magia może zrobić niemal wszystko.

<I wszystko to naprawdę się wydarzyło?>

– Z tego, co mi wiadomo, to tak. Szczegóły poznałem już po fackie dzięki Morrigan i Airmid. Morrigan część usłyszała od Aenghusa Óga, Airmid zaś od swojego ojca Diana Cechta, którego rolę w tym wszystkim pomijam, żeby się już za bardzo nie rozwodzić.

<Aha. To co się stało, gdy się znów narodziła?>

– Minęły lata i arcykról Irlandii, Eochaid Airem, postanowił wziąć sobie za żonę najpiękniejszą kobietę w królestwie i oczywiście wybór padł na Étaín. Tuatha Dé Danann zawsze zwracali uwagę na ożenki arcykrólów i w ten sposób właśnie Midhir odkrył, że jego ukochana znów chodzi po świecie. Midhir nadal ją kochał, ale ona oczywiście zupełnie go nie pamiętała. Postanowił więc podbić jej serce w prawdziwie epicki sposób. Tu następuje długa historia czworokąta miłosnego, w którym utknęła Étaín z trzema mężczyznami: Midhirem, królem Eochaidem i jego bratem Aillilem. Aillil był jednak tylko kukiełką w tym wszystkim, bo jego zachowanie kontrolowali Midhir i Aenghus Óg, ale o tyle dobrze na tym wyszedł, że

wywinął się z całego tego bałaganu, pocierpiawszy zaledwie kilka miesięcy. W przeciwieństwie do arcykróla. Z jego polecenia Midhir wykonał cztery magiczne zadania na rzecz Irlandii oraz rozdał spore sumy, a wszystko to, by zdobyć Étaín. Gdy już uznał, że mu się prawnie należy, zjawił się na dworze w Tarze, przemienił siebie i Étaín w łabędzie i na oczach monarchy po prostu sobie z nią odfrunął. Król Eochaid szukał jej przez wiele lat, przekopując faeryczne kopce Tuatha Dé Danann, póki wreszcie nie trafił na właściwy, czyli *síd* Midhira, zwany Brí Léith. Zażądał wtedy, by bóg oddał mu Étaín, a ten zgodził się i obiecał, że przyprowadzi ją bezzwłocznie do Tary. Spełnił swoją obietnicę, przyprowadził Étaín na dwór. Ale wraz z nią czterdzieści dziewięć innych kobiet, które zaczarował tak, żeby wyglądały jak jego ukochana. Pokazał je wszystkim królowi Eochaidowi i powiedział: „No to wybieraj, chłopie, swoją żonę”. Arcykról wybrał i mieli razem dziecko. Przez chwilę można by nawet pomyśleć, o, jak miło, mamy więc następcę tronu i wszyscy żyli długo i szczęśliwie. Ale po roku i jednym dniu Midhir wrócił i powiedział: „No i jak, królu Eochaidzie? Jak ci się podoba twoja żona?”. Eochaid odparł, że jest bardzo zadowolony, i dopiero wtedy Midhir mu przyłożył. „Czy wiedziałeś – powiedział – że gdy całe te lata temu odfrunęliśmy z Étaín z twojego dworu, ona była w ciąży? Urodziła córkę, twoją córkę, choć dziecku nigdy o tym nie powiedzieliśmy. I to ją wybrałeś, ze względu na podobieństwo do matki, na swoją królową. Ożeniłeś się z własną córką, spałeś z nią i urodziła ci dziecko. A Étaín oddałeś mnie. Taka jest cena za nieszanowanie Tuatha Dé Danann”.

<Aaaa! Nie uprzedziłeś mnie, że będzie aż tak okropnie!> jęknął Oberon.

– Tak, Atticusie, popieram psa – dodała Granuaile. – Turbo blee.

– A co ja tu zawiniłem? – broniłem się. – Przecież tego nie zmyśliłem. To właśnie zrobił Midhir arcykrólowi Irlandii.

– Jeśli tak rzeczywiście było, to bardzo mi się nie podoba, że Étaín nie miała w tym wszystkim nic do powiedzenia. I Midhir, i Eochaid powinni dostać w torbę, bo zachowali się tak, jakby jej myszkę można było sprzedawać i kupować.

– Gdybyś kiedyś przypadkiem spotkała Midhira, proponuję, żebyś sama dała mu w torbę i wyjaśniła od razu za co – zasugerowałem. – Ale to nie moja historia. To miało wam tylko zarysować z grubsza charakter i zdolności Midhira. Czego się z niej dowiedzieliście?

<Że jest tak potężny, że może cię przemienić w traszkę!>

– Nie, no nas nie. To by było bezpośrednio zaklęcie, a przed takimi chronią nas nasze talizmany z zimnego żelaza. Nie zapobiegają one wywróceniu waszej lokalizacji, ale jednak bronią przed magicznymi atakami. Miałem raczej nadzieję, że zrozumiecie z tej opowiadki, w jaki sposób działa Midhir.

– Bez żadnych skrupułów – powiedziała Granuaile. – I jest cierpliwy. Gdy już wie, czego chce, jest gotów czekać, aż to zdobędzie, i zaplanować wszystko tak, żeby zapewnić sobie zwycięstwo. Nie boi się też sam odwalać brudnej roboty, choć jakoś dotąd nam się nie ukazał, jeśli to rzeczywiście on za tym wszystkim stoi.

– Sytuacja jest trochę inna – odparłem. – Tym razem nie może sobie pozwolić na bezpośrednio zaangażowanie. Nie zapominajcie, że jeszcze do niedawna po naszej stronie walczyła Morrigan. Musiał więc naprawdę bardzo się starać, żeby nie odkryła jego udziału w intrydze. I są jeszcze inni pośród Tuatha Dé Danann, którzy z nami sympatyzują. Choćby Goibhniu oraz Manannán Mac Lir, którzy są potężnymi bogami.

– Chwileczkę – przerwała mi Granuaile. – Jeśli robi to wszystko, by pomścić brata, to czy nie powinien zostać zniszczony całe lata temu, gdy Brighid i Morrigan przeprowadzały swoją czystkę? Przecież po nieudanym puczu Aenghusa Óga wybiły całkiem sporo osób, prawda?

– Słuszna uwaga. Musiał bardzo dobrze ukryć swoje poparcie dla Aenghusa Óga.

– Chyba że nigdy nie był sojusznikiem Aenghusa. Bo skoro jest jego bratem przyrodnim, to jest też bratem przyrodnim Brighid, tak?

– Tak.

– Niewykluczone więc, że zawsze był w obozie Brighid.

– To prawda. Ale w takim wypadku i tak byłby przeciwko nam, bo nie jesteśmy przecież ulubionymi druidami Brighid.

– Mów za siebie – prychnęła Granuaile. – Mnie tam Brighid lubi.

Uśmiechnąłem się, bo miała trochę racji.

– Tak czy siak, facet ma motyw i sposoby, żeby zrobić nam krzywdę. Powinniśmy zbadać tę ewentualność, jeśli nadarzy się okazja.

<Wiecie, co myślę? Brighid po prostu zazdrości At ticusowi, bo jestem nieporównywalnie bystrzejszy niż jej psy. A do tego jestem przystojniejszy do potęgi drugiego dania>.

– Co takiego? Oberonie, to się zupełnie nie klei.

<To zależy, czy jest sos. Z sosem wszystko się klei>.

– Czy ty miałeś na myśli „do potęgi drugiej”? To takie pojęcie z matematyki, wiesz?

<Nie, Atticusie, miałem na myśli drugie danie. Potężne drugie danie, bo na drugie danie można liczyć na mięso. Co to ma do matematyki? Drugie danie to nadzieja, matematyka to beznadzieja>.

Moje wieloletnie wysiłki mające na celu zaznajomienie Oberona z pojęciem czasu i różnymi matematycznymi konceptami spełzły jak dotąd na niczym – to jest, jeśli nie liczyć wzbogacenia jego słownictwa, bo to akurat wciągnął łapczywie i wyrzucał z siebie w nieoczekiwanych kombinacjach. Próbował na przykład oceniać suchą karmę dla psa przy użyciu współczynnika korelacji liniowej wołowiny, a kiełbasę za pomocą macierzy schodkowo redukującej wieprzowinę. Kiedy kazało mu się policzyć do dwudziestu, i tak się zawsze zgubił gdzieś w połowie.

– No dobrze, chyba rozumiem – powiedziałem. – Używasz drugiego dania jako jednostki miary.

<O to to! Mierzy mi, jakie coś jest smakowite>.

– Ale to jest właśnie matematyka.

<Nie, to jest jedzenie. To ma bardzo dużo sensu dla psa, Atticusie, ale ty jesteś człowiekiem, więc nie zrozumiesz>.

– Nie używałeś przedtem przypadkiem sosu w tym samym celu?

<Ale na drugie danie może być też sos. Dajmy na to, że zrobisz zapiekankę z mięsa, to przecież dasz do niej sos, kumasz?>

– Chyba tak. Czyli według tego rozumowania zimny kurczak będzie poniekąd sosem, a pieczeń z udźca wołowego to...?

<Duży kawał zapiekanki z mięsem. Albo inaczej mówiąc, charty są sosem. Pudlice są zapiekanką>.

– Kumam. Chyba masz rację, stary – powiedziałem. – Brighid jest po prostu zazdrośna.

Przemieniliśmy się z Granuaile w swoje kopytne postacie i znów wzięliśmy tempo.

====bVtuXmpaOwg6DDlfbwlsXmtYaw06WT1fawk5ADheOw8=

Rozdział 9

Bardzo się niefortunnie złożyło, że nie mieliśmy czasu nacieszyć się otoczeniem w ten piękny dzień. Mieszane lasy Niemiec należą do tych, w których naprawdę chciałoby się spędzić dłuższy czas – a nawet *die Zeit* – która jakoś romantyczniej płynie, gdy tylko tak się o niej pomyśli po niemiecku i w rodzaju żeńskim, i nieodzownie kojarzy się z *Zeitgeistem*, choć na spotkania z duchami to akurat nie mieliśmy ochoty. W każdym razie to w tych lasach złe wilki zjadały babcię oraz dziewczeczki odziane w czerwone kapturki. To w Niemczech krył się gdzieś domek z piernika pewnej wiedźmy, która zwykła przekąszać dzieci prosto z pieca. Gdzieś w tych górach, które udało nam się już szczęśliwie minąć, chodził pewnie nadal Liczyrzepa, zależnie od nastroju wstrząsając ziemią lub zasnuwając mgłą niebo.

Nam natomiast udawało się gnać na północny zachód, przez pola i rzeki, i już mieliśmy Bergen na północy i Celle na południu. Gdy pędziliśmy w stronę uroczonego lasu, który tu i ówdzie przechodził w wilgotne bagna, słońce zachodziło przed naszymi oczami i ostatnie jego promienie przemykały się między iglastymi gałęziami zimozielonych drzew.

Zwykle w lesie widuje się tylko dwa rodzaje napisów: znaki ostrzegające przed wchodzeniem na cudzy teren lub polowaniem oraz serca wyryte na korze drzew z inicjałami par, które uważają, że nie ma nic romantyczniejszego nad zranienie najbliższej rośliny. Kiedy więc zobaczyłem elegancką białą kopertę przyczepioną do drzewa i zaadresowaną piękną kaligrafią do „Szekspirologa”, przystanąłem, żeby sprawdzić, o co chodzi, i przemieniłem się w człowieka.

– Zaczekajcie! – krzyknąłem do Granuaile i Oberona. – Muszę rzucić na to okiem. Nie traćcie czujności.

Granuaile stanęła obok w swojej kobiecej postaci.

– Co to? – szepnęła.

– List.

Koperta zapieczętowana była czerwonym woskiem i widniało na niej staronordyckie słowo *hefnd*. Zemsta. W środku znajdował się arkusik papieru lnianego. Nie było na nim ani daty, ani podpisu, tylko dwa wersy z *Kupca weneckiego* napisane atramentem (pewnie za pomocą prawdziwego gęsięgo pióra). Przeczytałem je na głos:

– „Psem mię nazywałeś, Nim miałeś powód do tego: ny, dobrze, Kiedym pies, strzeżże się mych zębów”.

<„Nydobrze”? Kto to niby w ogóle jest Nydobrz?>

– Nie ma żadnego nydobrza, Oberonie. To Szekspir.

<A, to wszystko w porządku, tak? Oczywiście. Facet by mógł nazwać wilczarza kociakiem i i tak byś mu wybaczył>.

Nie było żadnego postscriptum. Nic więcej z drugiej strony ani na kopercie.

– Jest dość oszczędny w słowach.

– Co takiego?

– Mniejsza z tym. Tylko głośno myślę. Bardzo zresztą nierozsądnie.

Przekaz tego cytatu był jasny: wampiry są blisko. Gdy ostatni raz natknąłem się na Leifa Helgarsona, a było to w Salonikach, powiedział mi, że będzie mnie próbował ostrzec Szekspirem, gdy Theophilus będzie blisko. Theophilus był starym wampirem, który poszczuł Rzymian na starożytnych druidów i trwał do niedawna w błędnym przekonaniu, że wszyscy wymarliśmy. Teraz wiedział już, niestety, że wciąż żyje dwoje druidów, i chciał dokończyć

robotę. Nie było jeszcze zupełnie ciemno i był to dopiero drugi dzień naszej ucieczki. Jeśli więc rzeczywiście Leif zostawił dla mnie ten list, musiał to zrobić przed świtem, kiedy dopiero pędziliśmy przez Polskę. To niestety świadczyło o bardzo dużej przewidywalności naszej trasy, nawet jeśli ktoś z Tír na nÓg namierzał nas przez wywrózenie. Staliśmy pod wiatr, byłem więc pewien, że Oberon nic tu nie pomoże, ale i tak go zapytałem:

Oberonie, czujesz coś przed nami? Jakies wampiry?

Mój pies zmarł i zaczął węszyć.

<Nie. Pachniesz dość nieświeżo, ale nie padliną>.

Powąchaj tę kopertę. Śmierdzi śmiercią?

<Hmm. Może trochę. Ale raczej pachnie normalnym człowiekiem. Ale zczekaj... ten list. Papier śmierdzi zdechlakiem>.

Czyli Leif napisał list, ale dostarczył go jakiś człowiek, pewnie z jego polecenia. Oberon obwąchał drzewo i potwierdził moją hipotezę.

<Był tu jakiś facet, który śmierdział kapustą i mlekiem. Przyszedł z tego kierunku> powiedział, wskazując łapą na południe. <I wrócił tą samą drogą>.

– Dobra, przed nami jacyś źli ludzie – wyjaśniłem Granuaile. – To jest, jeśli wierzyć temu listowi. Wynika z niego, że to wampiry, ale przecież powinny jeszcze chwilę spać.

– Omińmy je.

– Niby jak? Nie wiemy, jak daleko są, ani w ogóle nic. Zresztą być może ten list ma właśnie sprawić, że zmienimy trasę. Jeśli skręcimy teraz na południe, w kierunku tajemniczego listonosza, to trafimy w Góry Harcu, a to nie będzie zabawne. Jeśli pobiegniemy na północ, ryzykujemy zepchnięcie do morza, nim będziemy na to gotowi. Wiemy tylko dwie rzeczy: na ogonie siedzą nam dwie łowczynie, które są coraz bliżej, gdy tak stoimy i gadamy. Oraz: najszybciej przebiegniemy przez tę okolicę, kierując się na zachód, bo tam będzie najmniej przeszkód do pokonania.

– Tak, ale wampiry też to wiedzą – zauważyła Granuaile. – Powinniśmy pobiec naokoło.

– Dopiero zmierzcha – upierałem się. – Nawet się jeszcze nie pobudziły, więc na razie nie mogą się jeszcze na nas czaić.

– Nie warto ryzykować – argumentowała. – Odbijmy milę na północ, a potem znów skręcmy na zachód. Unikniemy tego czegoś, co tam na nas czyha, a stracimy ledwie kilka minut.

– Dobra. Ale biegnijmy już w ludzkich postaciach, żeby mieć gotową broń. My z Oberonem będziemy zakamuflowani, ty zupełnie niewidoczna. Oberonie, jeśli cokolwiek wywieszysz, natychmiast daj nam znać.

Granuaile zniknęła mi z oczu i tylko dobiegł mnie jej głos:

– Ty przodem.

Rzuciłem kamuflaż na mojego psa, który otrząsnął się, jakby właśnie wyszedł z kąpieli.

<To zakłęcie mnie łaskocze>.

Czy będziesz chichotał? Może powinniśmy sprzedawać niewidzialne pluszowe maskotki, które by się nazywały Oberon z Gilgotkami.

<Kto by chciał niewidzialnego pluszaka? Zawsze chce się jednak widzieć, co się przytula. Zresztą nie jestem najlepszy w chichotaniu. Gdybyś zamiast tego wyprodukował Oberona do Karmienia albo Oberona do Ocierania się O (OOO), to by się sprzedawało jak świeże bułeczki. Szczególnie wśród właścicieli pudlic. Wśród pudlic jest duże zapotrzebowanie na OOO>.

Roześmiałem się i rzuciłem na siebie kamuflaż.

– W drogę – powiedziałem na głos, żeby Granuaile też usłyszała. Skierowałem się na północ i kontynuowałem tę głupiutką rozmowę z Oberonem, licząc na to, że mnie trochę zrelaksuje.

Skąd by te pudlice w ogóle wiedziały o takim produkcie? Przecież nie znają języka tak jak ty.

<Miłość to język uniwersalny, Atticusie. Wstaw OOO do tych sklepów dla zwierząt, gdzie wpuszczają psy, a już one zrozumieją, o co chodzi>.

Chcesz postawić swoją zabawkę na półce z innymi pluszakami?

<Jasne. Tylko że OOO to nie zabawka. O nie, to nie dla szczeniaków. To tylko dla dorosłych pudlic, jeśli rozumiesz, co mam na myśli>.

Ha! O bogowie, Oberonie, ten obraz będzie mnie teraz prześladował...

Przebiegliśmy jakieś trzysta metrów i znaleźliśmy się nad lesistym brzegiem jeziora. Woda wyglądała mało zachęcająco. Gdybyśmy chcieli przepłynąć jezioro, musielibyśmy się przedzierać przez wodorosty pod wodą i jakieś męty na jej powierzchni. Żeby biec dalej na północ, musielibyśmy okrążyć jezioro. Jeśli zrobimy to od wschodu, zbliżymy się z powrotem do łowczyń; jeśli pobiegniemy na zachód, wbiegniemy prosto w to jakieś nienazwane niebezpieczeństwo, jakie się tam na nas zaczęło.

– Cholera, wbiegliśmy w pułapkę i nawet się nie skapnęliśmy – mruknąłem. – Co ty na to, żebyśmy pobiegli jednak na zachód, Granuaile?

Gdzieś z prawej usłyszałem jej głos.

– Nie będziemy musieli wcale tak daleko biec. To jezioro nie wygląda mi na bardzo długie. Skręcimy znów na północ, gdy już będziemy po drugiej stronie. Jeśli czekają na nas wampiry, wołałabym je minąć, nim się obudzą.

– Też prawda.

Gdy obiegliśmy jezioro i skręciliśmy na północ, znaleźliśmy się na dziwnie niekształtnym polu, które może kiedyś było łąką, ale wyraźnie już je nieraz uprawiano. Teraz leżało odłogiem, a zarastały je różne trawy i chwasty. Było to tego typu miejsce, na którym człowiek spodziewałby się saren i tym podobnych, ale jakoś żadne się przed nami nie zerwały do biegu. Nie było też słychać świergotania ptaków. Mimo kamuflażu poczułem się dziwnie odsłonięty. Kiedy poruszałem się tak szybko jak teraz, nie byłem idealnie niewidzialny. Kamuflaż nie nadążał za ciągle zmieniającym się tłem i widać mnie było jako słabą, zamazaną smugę, szczególnie że jeszcze oświetlały nas ostatnie promienie zachodzącego słońca.

Oberonie, czujesz coś?

<Nie, ale mamy wiatr w plecy, co raczej nam nie pomaga. Czuję tylko to, co już minęliśmy>.

Nie podoba mi się ta polanka. Coś tu jest nie...

Rozdział 10



Kiedy upadł przede mną zamazany kształt Atticusa, w pierwszej chwili myślałam, że się po prostu potknął, i mało nie wybuchnęłam śmiechem, bo taka niezdarność śmieszyła ludzi już od epoki kamienia. Dopiero wtedy usłyszałam gdzieś na południe od nas zgrzyt strzelby i przerażony wrzask Oberona:

<Atticus!>

Ty zostań z nim – rzuciłam i automatycznie, zgodnie z tym, czego druid mnie nauczył, odwróciłam się w kierunku strzału. – *Ja zlikwiduję zagrożenie.*

Nie mogłam zrobić dla Atticusa nic, czego on sam nie mógłby zrobić, poza jedną rzeczą: zająć się snajperem. Przez „zajęcie się” rozumiem zniszczenie go, i to nie dając mu nawet chwili na spowiedź. Moje skrupuły dotyczące odbierania komuś życia znikają natychmiast, gdy ten ktoś próbuje nas zabić.

<Atticus? Atticusie! Bystra Dziewczyno, on nie odpowiada!> wołał Oberon. Czułam, że naprawdę panikuje, i to mnie niepokoiło. Musiałam jednak najpierw zlikwidować snajpera. Zwłaszcza że tuż koło ucha przeleciał mi kolejny pocisk, a potem usłyszałam trzask przeładowywanej broni.

Nadal byłam niewidzialna, jednak ten strzał padł zbyt blisko, żeby to był zupełny przypadek. Poza tym Atticusa trafili przecież, kiedy jeszcze był zakamuflowany. Na logikę więc snajper widocznie jakoś nas widział – pewnie miał celownik na podczerwień. Nasze zaklęcia naprawdę działały cuda w widzialnym spektrum, ale nie maskowały przecież ciepła naszych ciał.

Z wielkim żalem rzuciłam więc kij na ziemię i pożegnałam się z niewidzialnością. Atticus nauczył mnie, że nawet najlepsi wojownicy czasami przegrywają, bo nie potrafią się dostosować do taktyki przeciwnika. A mój przeciwnik najwyraźniej dobrze się przygotował na walkę z osobami zakamuflowanymi i niewidzialnymi, czas więc było go zmylić.

Snajperki mocuje się zwykle na jakiejś podpórce czy statywie, nie sprawdzają się więc dobrze przy szybko poruszających się celach latających. Przemieniłam się w sokoła wędrownego i poleciałam jak najprędzej w górę. Nie nauczyłam się jeszcze zbyt dobrze latać, ale uznałam, że przynajmniej uda mi się wylecieć ponad korony drzew w jednym kawałku. Gdy już będę ponad drzewami, o wiele trudniej będzie snajperowi mnie znaleźć. Ja natomiast namierzę go bez większego trudu.

<Tu jest pełno krwi! Możesz mu jakoś pomóc, Granuaile? Proszę?>

Zostań przy nim, Oberonie. Próbuję zlikwidować źródło strzałów. Zaraz wracam.

Miałam tylko nadzieję, że to nic poważnego. Bo dużo krwi nie wróżyło niczego dobrego, ale nie mogłam teraz myśleć, co to może oznaczać. Jeśli choć na chwilę stracę koncentrację, nie przeżyję. Teraz trzeba walczyć. Czuć będę potem.

Wieczorne powietrze zadrżało od kolejnego huku, ale strzał nie był już na tyle blisko, żebym poczuła, jak przelatuje. Zobaczyłam błysk lufy i odwróciłam się w tym kierunku. Dysponując sokolim wzrokiem, stwierdziłam, że w ludzkiej postaci jestem na pół ślepa. Moimi czarnymi oczami dostrzegałam trzy razy więcej szczegółów niż tymi zielonymi. Z dwustu metrów jak na dłoni widziałam, że snajper porzuca swoje stanowisko i karabin i pędzi przez

las. Z tej odległości zorientowałam się, że to prawdziwy profesjonalista.

Z kamizelki – takiej kuloodpornej, nie takiej do garnituru – wyciągnął broń boczna i załadował. Żadnych naturalnych materiałów, które bym mogła spleść, i cały na czarno, więc gdybym chciała podążać za nim moim ludzkim wzrokiem, to nawet z noktowizją trudno byłoby mi go dojrzeć. Ja jednak patrzyłam na niego oczyma ptaka drapieżnego – jego sylwetkę widziałam na tle ściółki jak atrament rozlany na brystolu.

Broń boczna może być problemem, jeśli dam mu szansę jej użyć. Na razie nie pochwalił się żadnymi nadnaturalnymi mocami – w każdym razie niczym wampirycznym – ale nie ulegało wątpliwości, że był to człowiek szkolony co najmniej paramilitarnie. Jako sokół na pewno go nie pokonam, rozpatrywałam więc pospiesznie inne opcje, zbliżając się do niego szybko. Jeśli sfrunę na niego i zmienię się w człowieka, i tak może mu się udać we mnie trafić, mimo całego mojego przeszkolenia. Muszę zabić go jakoś szybciej. Spadnięcie na niego w postaci morsa mi się nie uśmiechało, a i konie nie są raczej znane z talentów do mordowania. Miałam niby jeszcze zawsze postać jaguara, ale przysparzała mi ona trochę kłopotów. Jaguary mają niesamowity węch, który u mnie wywoływał niekontrolowane napady kichania – znaczy wywołał ten jeden jedyny raz, gdy próbowałam tej postaci zaraz po zakończeniu moich tatuaży. Potem już do niej nie wracałam, bo zbyt się bałam wszystkich tych nieznośnych zapachów. A jeśli zmienię się w jaguara – warczącego, obnażającego kły i w ogóle – a potem, zamiast faceta zabić, po prostu na niego kichnę? Zastrzeli mnie z całą pewnością, a to by była naprawdę głupia śmierć.

Naczytałam się jednak całkiem sporo o tym, jak polują jaguary. Mają swoje niezawodne zabójcze sposoby i czułam przez skórę, że mogę się spokojnie na nie zdać, jeśli tylko nie będę o tym za dużo myślała.

Facet obejrzał się przez ramię i zobaczyłam jego gogle na podczerwień. Zanurkowałam odruchowo, pewna, że spróbuje strzelić. Nie spróbował. Może mnie nie zauważył. Przemykałam się szybko między gałęziami, potem zniżyłam lot i byłam coraz bliżej niego, choć on wciąż zmieniał kierunek, klucząc, żeby mnie zgubić. To mu się nie uda. Choćby był zawodowym żołnierzem, nie ma szans być szybszy niż sokół – albo jaguar. Albo nawet niż moja zwykła, ludzka postać, ale podkrecona magią ziemi.

Wycelowałam w punkt tuż przed nim, złożyłam skrzydła i jeszcze zwiększyłam prędkość, pikując na niego bezszelestnie. Otworzyłam maksymalnie dziób, lecąc prosto na jego głowę, a potem przemieniłam się w jaguara i wylądowałam na nim ciężko. Przygniotłam go mocno do ziemi, a moja szczeka zamknęła się na jego czaszce. Zacisnęłam ją tak mocno, jak potrafiłam. Zdążył jeszcze wrzasnąć i strzelić, choć było to już chyba odruchowe drgnięcie palca, a nie świadoma reakcja, a potem jego krew zalała mi pysk. Zatrząsał się kilka razy, co w połączeniu ze smakiem jego krwi i mózgu na moim języku zupełnie mnie przeraziło. Przeobraziłam się z powrotem w człowieka i nie powstrzymałam od wyplucia wszystkiego, co miałam w ustach. Plułam jeszcze kilka razy, wciąż czując resztki jego mózgu w ustach, a potem zwymiotowałam na trupa. To było o wiele gorsze od kichania. Odczołgałam się jak najdalej, gdy tylko pozwolił mi na to żołądek.

Zagrożenie zneutralizowane – zameldowałam Oberonowi.

<Dobrze. Wracaj teraz i pomóż Atticusowi! Nie wiem, co robić>.

Nie poruszył się? Nic do ciebie nie powiedział?

<Nie. Niby jak by miał to zrobić. Dostał w głowę>.

Mój żołądek znów zwariował. Zmroziło mnie. Usłyszałam jakiś cichy głosik zawodzący: „Nie! Nie!”, ale poza mną nie było nikogo, kto mógłby wydawać ten dźwięk.

Tego mi przedtem nie powiedziałaś!

Zerwałam się na równe nogi i pomknęłam z powrotem na łąkę, zostawiając ciało snajpera, żeby sobie tam zgniło.

<Przepraszam! Nie myślę jasno! Wyleczysz go, prawda? On nie umarł?>

Zaczekaj. A jak pachnie?

Oberon spuścił łeb, podkulił ogon i kręcił się chwilę wokół nieruchomej postaci. Głos wyjący „Nie! Nie!” stał się głośniejszy.

<Pachnie śmiercią, ale mój nos już nieraz się mylił. Tak myślę. Mam nadzieję.>

O bogowie. Też mam nadzieję, że się mylisz.

Zaczęła do mnie docierać powaga sytuacji. Nie bez powodu Leif ostrzegwał nas przed pułapką – tylko że wbrew przypuszczeniom Atticusa to nie były wampiry. Dopadłam wreszcie do Oberona i coś ścisnęło mnie w gardle na widok druida. Leżał na prawym boku, a jego głowa tkwiła w kałuży krwi. Oczy miał otwarte, nieruchome. Rana na jego lewej skroni wyglądała jak mała czarna dziura, nawet nie była czerwona ani fioletowa jak siniak. Tylko mała czarna dziura.

Przykłęknęłam przy nim i przyłożyłam mu palce do nosa, żeby sprawdzić, czy oddycha. Nie czułam nic, żadnego powietrza na palcu. Próbowałam odnaleźć puls na jego szyi, ale nic nie znalazłam. Szukałam na nadgarstku. Przyłożyłam ucho do piersi, mając nadzieję, że usłyszę cokolwiek poza tym głosem „Nie! Nie!”. Cisza. I choć wszystko wskazywało na najgorsze, ostatecznie dobiło mnie zupełnie to, że i Atticus, i Oberon są całkowicie widoczni. Przecież przedtem biegli zakamuflowani. A kamuflaż podtrzymywał Atticus.

<Czy on nie żyje?> pytał Oberon.

Mała czarna dziura. Żadnych oznak życia. To już powinno wystarczyć, ale zupełnie mnie złamała konieczność odpowiedzi Oberonowi, wymówienia tego głośno.

– Nie żyje – załkałam drżącym głosem. – Nic już nie mogę zrobić.

Zawyliśmy oboje. Wyliśmy jak ludzie, którzy już nie chcą nic mówić, bo nie ma słów, które by opisały to, co czują. Tylko wściekle, drżące, chaotyczne dźwięki potrafią się do tego jakoś zbliżyć. I zawsze są jeszcze łzy i smarki, i łapanie z trudem powietrza, bo nie ma dość powietrza, by wykrzyknąć cały ten ból na jednym oddechu.

Bo co innego mogliśmy zrobić? RKO nic nie pomoże przy ranie w głowę. Jego serce nie zacznie bić, jeśli jego mózg po prostu się wyłączył, *kurwa mać*. Jako druidka mogłam leczyć, ale nie wskrzeszać zmarłych.

Umarł, nim nawet uderzył w ziemię. Mała czarna dziura w jego głowie rosła i rosła, aż wszystko mi przysłoniła. To przez te łzy. To, że go już pomściłam, w ogóle nie pomagało. Miałam go ledwie kilka tygodni. Myślałam przecież, że będziemy szczęśliwi już zawsze. I chyba powiedziałam to na głos, do jego ciała, wysokim, ostrym rykiem, który może trochę przypominał ludzką mowę, ale nie za bardzo. Dwanaście lat czekania, bycia tuż przy nim – nawet trzynaście, jeśli doliczyć ten rok flirtowania w Rúli Búli, nim zaczęłam szkolenie – trzynaście lat wyparcia, jakichś głupich pseudochłopaków, żebym mogła być potężniejszą druidką, i tylko te kilka tygodni otwartej miłości – zakończone małą czarną dziurą w skroni. Nawet nie zdążyłam się pożegnać, powiedzieć mu, jaka mu jestem wdzięczna za to, że splótł mnie z ziemią. Nie będzie mógł już ze mnie kpić, żebym mogła pokpić z niego jeszcze bardziej. Nie będę już mogła skłąć go po staroirlandzku, żeby znów poczuł się młody. Ani nałożyć truskawkowego błyszczyka i patrzeć, jak mu od tego mętnieje wzrok. Zawsze miał lekkiego kręćka na tym punkcie.

Nie wiem, jak długo płakaliśmy nad Atticusem, ale nim przypomniałam sobie, że przecież

na naszym tropie wciąż są Artemida i Diana, księżyc był już wysoko na niebie, być może zbliżała się północ, a gardło miałam zupełnie zdarte. Pewnie przeplakaliśmy całą przewagę, jaką mieliśmy względem pościgu.

Oberonie – powiedziałam. – *Musimy biec.*

<Nie. Nie zostawię go tutaj>.

Musimy. Łowczynie są już blisko.

<Wszystko mi jedno>.

Atticusowi nie byłoby wszystko jedno. Wiesz, że chciałby, żebyśmy biegli i pokrzyżowali boginiom ich podle plany. Pochowamy go, pożegnamy się z nim, a potem wypniemy się na Olimpicyków.

<Niby jak się wypniemy?>

Dotrzemy do Anglii. Przetrywamy, a to ich wkurzy i sprawi, że Atticus będzie z nas dumny.

<Ale nie chcę do Anglii. To nie Irlandia. A mój przyjaciel jest tutaj>.

Wiem, Oberonie, ale jeśli tu zostaniemy i damy się zabić Olimpicykom, Atticus nie będzie szczęśliwy. My też nie, jak już chodzi o ścisłość.

Oberon puścił moje mądrości mimo uszu i spytał:

<Gdzie on teraz jest? W Tír na nÓg? Czy w Mag Mell? Możemy się tam z nim spotkać?>

Nie wiedziałam, gdzie jest. Normalnie to Morrigan odprowadziłaby jego ducha do miejsca wiecznego spoczynku, ale teraz ona sama już nie żyła. Może Manannán Mac Lir będzie wiedział. Może Atticus i Morrigan są gdzieś razem.

Nie jestem pewna, gdzie on jest, Oberonie, ale jedno wiem: nie możemy się z nim zobaczyć. Żywi i zmarli zamieszkują w tej samej Krainie Lata, ale nigdy się nie spotykają.

<Nieważne, gdzie on jest. Chcę tam, gdzie on>.

Nie, Oberonie. Musisz zostać ze mną. Proszę. Pożegnajmy go tak, jak się godzi.

<Nawet nie mamy whisky. Jak mamy niby zrobić stypę bez whisky?!>

Zdobędziemy whisky w pierwszym monopolowym, jaki nam się nawinie.

Kawałek dalej leżał Fragarach, podniosłam go więc i położyłam na ziemi przed ciałem. Nie odwróciłam nawet Atticusa, bo nie zniósłabym widoku drugiej strony głowy. Mała czarna dziura i tak będzie mnie już prześladować aż do śmierci. Nie chciałam zobaczyć czegoś jeszcze gorszego.

Zamknęłam oczy, przez co łzy pociekły mi po policzkach, i wróciwszy do łacińskiej przestrzeni umysłowej, nawiązałam kontakt z lokalnym żywiołakiem – Saksonią.

//Druidka potrzebuje pomocy / Zakopać ciało i miecz / Zachować nienaruszoną powierzchnię ziemi//

//Harmonia// padła odpowiedź.

Atticus i Fragarach zniknęli pod ziemią, a trawa tuż obok rozciągnęła się i skryła ich tak, że zdawało się, że nic tu się w ogóle nie stało. Żadnej krwi. Żadnego śladu po tym, że na tym bezimiennym polu zakończył swoją wędrówkę najznakomitszy druid, jaki kiedykolwiek

chodził po świecie.

Nie ufałam swojemu głosowi, więc tylko mentalnie powiedziałam do Oberona:

Tu spoczywa Siodhachan Ó Suileabháin, znany nam jako Atticus. Zmienił moje życie raz na zawsze – na lepsze – i nigdy nie zdołam mu się za to odwdziżyć. Mogę tylko uczcić jego pamięć, chroniąc ziemię. – Urwałam, zderzywszy się z niemożliwością oddania sprawiedliwości wszystkim tym wspomnieniom o nim. W końcu zakończyłam więc po prostu krótkim: – *Kochałam go i będę myśleć o nim każdego dnia, bez względu na to, jak długo będę żyć.*

Załkałam, ale opanowałam się i starałam już tylko płakać w ciszy, żeby Oberon wiedział, że teraz jego kolej. Zaskomlał niepewnie, nim nadał formę swoim myślom.

<Atticus był najlepszym człowiekiem pod słońcem> powiedział. <I nie mówię tego dlatego, że mi dawał kiełbasę. Nauczył mnie języka, żebym mógł sobie oglądać filmy, kiedy szedł do pracy. Opowiadał mi różne historie podczas kąpieli i zabierał mnie na polowania i przebieżki w sąsiedztwie. A od czasu do czasu, jeśli naprawdę wierciłem mu o to dziurę w brzuchu, dawał mi parę chwil na osobności z jakąś seksowną pudlicą. I wiesz, co jeszcze? Umiał jak nikt drapać po brzuchu, bo wiedział, jak to jest. Też bywał psem. Najlepiej to nam w ogóle było, jak mogliśmy sobie biec razem jako psy. Czuliśmy wiatr na pyskach i biegliśmy, aż znaleźliśmy łąkę pełną koniczyny, a wtedy padaliśmy na grzbiet i tarzaliśmy się do woli. Potem ucinaliśmy sobie drzemkę w słońcu. Wiedział, jak być najlepszym przyjacielem psa. Kochałem go. Chyba nigdy już nie zamerdam ogonem. To wszystko>.

Poklepałam Oberona i wstałam niepewnie. Pociągnęłam nosem i spojrzałam na księżyc. Jego zimna poświata bynajmniej mnie nie pocieszyła. Przypomniała mi jedynie o Artemidzie i Dianie. Spuściłam wzrok i pokręciłam głową. Nie było więc żadnych wampirów. Tylko snajper – pewnie przez nich najęty – który miał zlikwidować ostatnich druidów. A nawet i te wampiry działały tylko z polecenia jakiejś szarej eminencji z Tír na nÓg.

Naprawdę muszę już biec. Muszę się stąd wydostać.

<Biegnę z tobą>.

Przemieniłam się w konia i znalazłam Scáthmhaide'a tam, gdzie go upuściłam. Potem popędziłam z Oberonem w kierunku Holandii, jakbyśmy mogli odnaleźć tam to, co straciliśmy tu; jakby nieutulony żal mógł zostać za nami, a nie rósł w nas z każdą przebiegniętą milą.

Rozdział 11



Za mną huczy para rogów i wzdrygam się, czując, że śmierć już blisko. Po raz tysięczny już chyba żałuję, że nie ma przy mnie Atticusa. Czy dźwięk rogu i dla niego był zapowiedzią śmierci i smutku? Już go o to nie zapytam. Nigdy nie słyszę na pogrzebach *When the Saints Go Marching In*, zawsze tylko to ponure *Taps*. I nagle łączny smutek tych wszystkich ostatnich pożegnań zalewa mój umysł niczym potężna, po Jungowemu nieświadoma fala łez i róż rzucanych na trumny, i złożonych amerykańskich flag podawanych wdowom przez parę śnieżnobiałych rękawiczek. Ten róg Johna Williama, który rozbrzmiewa, gdy Luke Skywalker odnajduje dymiące ruiny domu swojego wuja i ciotki – ten zawodzący dźwięk, tak pełny i pusty zarazem, nadmiar braku. To wezwanie do walki nigdy nie podnosiło mnie na duchu, jedynie stanowiło dla mnie znak, że ktoś niedługo zginie gwałtowną śmiercią – a jeśli róg sygnalizował tylko początek wyścigu lub potyczki, przypominało mi, że zwycięzca może być tylko jeden.

Dźwięki rogu, które rozlegały się za moimi plecami, były przygaszone, nosowe, jakby zduszone, ale jednak oznaczały, że boginie już nas doganiają. Moje nogi zrobiły się jeszcze cięższe, choć i tak już odmawiały posłuszeństwa – nie ze zmęczenia, ale z rozpacz. To te odgłosy polowania, te rogi zwabiły Akteona do kąpiącej się Diany. Zgubił się w lesie i myślał biedak, że jeśli pójdzie za głosem rogu, będzie ocalony. Lecz Diana przemieniła go w jelenia i poszczuła psami. Rogi ściągnęły na niego śmierć. Czy Diana nadal, po tych wszystkich stuleciach, używa tego samego rogu?

Czy istnieje cokolwiek bardziej przerażającego dla uciekającego niż odgłos rogów? Nawet zgiełk sfory psów nie jest aż tak okropny; to tylko zwierzęta, które podążają za swoim instynktem, robią to, do czego je wytresowano. Ale morderczy intelekt kryjący się za dźwiękiem rogu, ten ktoś, kto podejmuje chłodne decyzje, by zakończyć moje życie – to właśnie sprawia, że czuję się jak ofiara. W moim gardle szamoczą się lodowate skrzydła strachu.

Pewnie dawno bym się poddała, gdyby nie Oberon. A on pewnie to samo myśli sobie o mnie. Prawda jest taka, że biegniemy tylko dlatego, że Atticus chciałby, żebyśmy biegli. Myślę, że jesteśmy tylko odrobinę bardziej przerażeni niż zrozpaczeni i naprawdę nie biegniemy tak szybko jak przedtem. Brakuje nam nadziei. Przecież nie przeżyję tego pościgu, jeśli nie uda się to ani Atticusowi, ani Morrigan. Moce druidów są niesamowite, ale moce sprzymierzone przeciwko nam są zbyt liczne i zupełnie z innej ligi. Nie poddam się, ale czuję się, jakbym grała w drużynie przegrywającej 0:3 i miała do końca dziesięć minut na boisku. Choć teoretycznie wygrana wciąż jest możliwa, naprawdę nie wiem, jak bym miała do niej doprowadzić, i łapię się na pragnieniu, by koniec przyszedł jak najprędzej i wygnał wreszcie strach przed jego nadejściem.

Przekroczyliśmy granicę z Holandią i żywiołak kazał mi skrócić ostro na południowy zachód, żeby uniknąć kilku miast nad morzem. I tak będziemy musieli zresztą skrócić w pewnym momencie na południe, żeby dotrzeć do francuskiego wybrzeża.

Dziwne, jak zwykła granica może zmienić charakter ziemi. Krajobraz Niemiec był ostry, czysty, precyzyjny, a tymczasem Holandia, nawet nocą, ma w sobie jakąś zwiewność, jakby duch Rembrandta musnął ją swoim pędzlem i złagodził krawędzie. Nawet kolory, które widzę dzięki noktowizji, wydają się subtelnie zmieszane i wyciszone przez mistrza, nie tak mocne jak

w Niemczech. A może ta różnica w ogóle nie istnieje i to tylko moja melancholia.

<Hej, Bystra Dziewczyno> zagadnął mnie przygnębionym głosem Oberon, zauważywszy zmianę kierunku.

<Tak?>

Milczał chwilę i słyszeliśmy tylko tętent moich kopyt i uderzanie jego łap o ziemię. Wybijały rytm tej samej myśli, bębniły tylko „Atticus” w kółko i w kółko, to jest jeśli akurat tak się to słyszało, a my właśnie tak słyszeliśmy. W końcu Oberon znów się odezwał:

<Czy wiesz, ile jeszcze mamy do przebiegnięcia?>

<Niedokładnie. A co?>

<Myślisz, że damy radę, nim dogonią nas boginie?>

Znów rozległy się rogi. Być może moja wyobraźnia trochę potęgowała ten dźwięk.

<Nie wiem, Oberonie. Mam nadzieję, że damy radę>.

<Też mam taką nadzieję. Ale zastanawiam się, na ile jest to realne. I tak sobie pomyślałem, że jeśli już mamy zginąć, to wolałbym jednak w walce, niż uciekając. Chcę stanąć twarzą w twarz z Predatorem. Nie chcę biec z Arnoldem do *choppah*. Pamiętasz w ogóle tych typków? Znaczą się, oni nie byli prawdziwi. Chodzi mi o to, czy widziałas ten film?>

<Masz na myśli *Predatora*? Tak, widziałam>.

<Serio? Nic dziwnego, że Atticus uważał, że jesteś idealna>.

<Uważał...?> Zdawało mi się, że moje oczy zaleją łzy, ale konie nie płaczą tak samo jak ludzie. Oberon nie czekał, aż dokończę myśl.

<Był tam ten bohater, który postanowił zostawić karabin i walczyć z Predatorem samym nożem. Już nie pamiętam, jak miał na imię, ale nigdy nie zapomnę tego, jak postąpił. Wszyscy robili w gacie i pędzili do *choppah*, a on był twardy, i w ogóle tak, wiesz, chrzanić to, nie będą uciekał od swoich problemów. Stawię im czoło, nawet jeśli mają mnie zabić, ale najpierw rozetnę sobie pierś i zrobię różne dziwne miny. No i Predator w sumie go zabił, i to nawet dość szybko, ale jednak zawsze podziwiałem jego decyzję, żeby się nie ugiąć. Normalnie facet się postawił, powiedział: w dupie mam twój *choppah*, Arnold! Oj, przepraszam, zagalopowałem się>.

<Nic nie szkodzi>.

<Dzięki. W każdym razie takie miał generalnie podejście, choć akurat nie powiedział ani słowa, ale normalnie wiedziało się, że tak sobie właśnie myśli. No i teraz właśnie ja sobie też tak myślę. Kiedy boginie pojawiły się po raz pierwszy i puściły na nas te strzały, to się posikałem, i teraz mi zwyczajnie wstyd>.

<Nie ma czego, Oberonie>.

<Owszem, jest. Naprawdę uważam, że miałem dłuższe i lepsze życie niż jakikolwiek inny pies, więc nie powinienem obawiać się śmierci. Mam rację, Granuaile? Wiesz, że nie jestem najlepszy w te czasowe klocki, ale chyba jestem całkiem stary jak na wilczarza, nie?>

<Najstarszy z nich wszystkich> zapewniłam go. <Jesteś żywą legendą>.

<Wcale nie czuję się legendą. Ale czuję się stary. Tak stary, że pewnie już tu w ogóle mnie nie powinno być. Już zjadłem swój przydział kiełbasek, bekonu i steków. I nie chce mi się już dłużej biec. Chcę się zatrzymać i walczyć tak, jak Atticus nie miał nawet szansy>.

I zatrzymał się od razu. Musiałam więc też przystanąć. Byliśmy na środku dużego pola jęczmienia.

<Biegnij, Bystra Dziewczyno. Biegnij do *choppah*>. Odwrócił się pyskiem na północny wschód i zawarczał. <Zobaczmy, kto pierwszy się tym razem zsika>.

Na co odezwał się mój instynkt samozachowawczy. Szeptał mi, że mogę przeżyć. Mogę rzucić Scáthmhaide'a, zostawić Oberona, przemienić się w sokoła. Mogę przelecieć przez kanał

do Anglii, odnaleźć splecione drzewo i przenieść się gdzieś w bezpieczne miejsce. Przecież tam na pewno nie mają pandemonium, myślałam sobie. Gdzieś w Nowym Świecie, może nawet z powrotem w Arizonie, splotę amulet z aurą tak, jak zrobił to Atticus, a wtedy wyrównają się nieco szanse w tej walce.

Tylko że nigdy nie przeżyłabym takiego poczucia winy. I nigdy już nie zebrałabym się na odwagę, by znów walczyć, gdybym teraz uciekła przed bitwą.

<Oberonie, to nie jest dobre miejsce>.

<Nie wybijesz mi tego z głowy. Zrobię to>.

<Nie próbuję ci nic wybijać z tego twojego łba. Popieram cię w stu procentach. W dupie mam *choppah*, tak?>

<No? To świetnie. To w czym problem?>

<To po prostu nie jest odpowiednie miejsce na walkę. Musimy mądrze wybrać sobie pole bitwy. Łowczynie mają teraz całą sforę psów, pamiętasz?>

<No i?>

<Stoisz na otwartej przestrzeni, więc bez trudu by cię tu otoczyły>.

<A>.

<Musimy wybrać takie miejsce, żebyśmy mieli za plecami bezpieczną ścianę i nie dało się nas wziąć z flanki. Musimy je zmusić do stanięcia z nami twarzą w twarz. Pamiętasz, jak ten typ w filmie starannie wybierał odpowiednie miejsce?>

<Racja! Taką miał dolinkę z rzeką czy coś takiego, w każdym razie był tam ten pień. Tam się zatrzymał>.

<Otóż to. I rozumiesz dlaczego?>

<Żeby Predator szedł prosto na niego. Żeby nie mógł przejść, minąwszy go po prostu>.

<Właśnie. I my też musimy tak zrobić. Musimy znaleźć takie miejsce, w którym uda nam się dać im maksymalnie w kość>.

<Halo, koniku. „Nam”?>

<Głupi psiaku. Słuchaj uchem, a nie brzuchem. Przecież mówiłam, że nigdzie się bez ciebie nie ruszam>.

<Świetnie!> Przez chwilę myślałam, że może zamacha ogonem, ale nie. Tylko nastawił uszy. <Znasz tu gdzieś w okolicy odpowiednie miejsce?>

<Nie, ale żywiołak na pewno zna. Biegnijmy dalej, póki czegoś nie wykombinuję>.

Uszy mu oklapły.

<Chwilunia, Bystra Dziewczyno. Czy ty mnie tu przypadkiem nie robisz w konia? Chcesz po prostu, żebym biegł dalej, co?>

Uniosłam prawe przednie kopyto.

<Uznajmy, że to moja prawa ręka. Przysięgam na wszystko, co święte...>

<Znaczy się na kielbaski i suki?>

<Przysięgam na kielbaski i suki, że nie próbuję cię zrobić w konia. Znajdziemy dobre miejsce do walki i będziemy walczyć>.

<Dobra! To do roboty!>

Pobiegliśmy dalej i spytałam żywiołaka o miejsce, w którym łatwo byłoby się bronić. Przez głowę przemknęły mi obrazy ścieżki przed nami, aż zobaczyłam odpowiednie miejsce.

//Tu / To miejsce / Pytanie: Gdzie to jest?//

Znajdowało się nad niewielkim urwiskiem – najwyżej pięciometrowym – gdybyśmy jednak stali do niego plecami, mielibyśmy stosunkowo dobry widok i nikt by nie mógł się do nas zakraść od tyłu. Na samym szczycie rosło kilka drzew, ale u podstawy, tuż przed drzewami, znajdowała się niewielka polanka, z której byłby dobry punkt obserwacyjny. Żeby do niej

podejść, też trzeba było się wspiąć po lekko nachylonym zboczu, mielibyśmy więc dość wysoką pozycję.

//Zostać na tej ścieżce// pouczył mnie żywołak. // Poprowadzę//

//Pytanie: Odległość do celu?//

Żywołaki nie posługują się zbyt sprawnie ludzkimi jednostkami miary, ale domyśliłam się, że musi to być jakieś osiemdziesiąt mil na południowy zachód trasą omijającą miasta i trzymającą się w miarę możliwości wiejskich obszarów. Jeśli przyśpieszymy, powinniśmy tam dotrzeć w ciągu dwóch godzin.

<Dwie godziny biegu> powiedziałam Oberonowi. <Nie jest źle. Przez dwie godziny powinniśmy jeszcze utrzymać jaką taką przewagę>.

<Jasne, nie ma problemu! Atticus wszystkiego mnie nauczył. Godzina to jest ta, co ma sześćdziesiąt sekund, nie?>

<Mniejsza z tym. Trzymaj się mnie. Musi się udać>.

Rozdział 12

Nasze umysły stanowią naszą jedyną obronę przed horrorem pustki. Większość czasu po prostu myślimy o czymś – o czymkolwiek – i to już samo w sobie jest aktem sprzeciwu wobec nicości wszechświata. Ale bywa, że umysł nawala i przestaje myśleć. Zamiast tego zaczyna czuć. Uparty, gnębiący potwór zżera naszą pewność siebie, nasze cele, nawet poczucie obowiązku, aż nie zostaje nam nic poza suchą, nijaką nudą, w której już nie sposób się skupić na utrzymujących nas w ruchu drobiazgach. Czujemy już tylko smak kredy i popiołu, a oczy widzą jedynie szarość z rzadka urozmaicaną jasnymi dźgnięciami paniki.

Depresja to więzienie, do którego mamy klucz, tylko nigdy nie chce nam się go szukać.

Pojęcia nie mam, jak długo trwałem w szarości, sparaliżowany strachem przed nicością i bez końca analizując długą listę moich występków. Nie było chyba jeszcze na tym świecie sędziego, który udzieliłby mi przywileju wybaczenia. Popełniłem kilka tak karygodnych czynów, że nigdy nie zdołam nikomu ich wynagrodzić. Po co więc nawet próbować? Czy nie dość już przysporzyłem temu światu złego – szczególnie ostatnio? Uratowała mnie dopiero panika. Panika, że umrą Granuaile i Oberon. Nie mogłem znieść myśli o tym, że ich śmierć dołączy do tej ogromnej liczby śmierci, które obciążały już mego ducha.

Moje oczy otworzyły się na ciemność, która nie była może pocieszająca, ale zawsze jednak lepsza niż szarość. Zabuzowała we mnie adrenalina, gdy zacząłem próbować jakoś się pozbierać. Po moim prawym boku przesunęła się zimna ziemia. Wzdrygnąłem się z bólu, jaki ten niewielki ruch wywołał w mojej głowie. Wyciągnąłem lewą rękę i wyczułem palcami ścianę. Byłem w jakiejś niewielkiej jamie, do której docierało trochę powietrza. Tuż przed moją twarzą leżał Fragarach w pochwie. Pojęcia nie miałem, gdzie jestem. Wiedziałem tylko, że nie ma przy mnie ani Granuaile, ani Oberona. Przecież jeszcze przed chwilą uciekaliśmy. Dlaczego nie uciekam? Dlaczego zamiast tego zasępiam się nad życiem, i to z taką nienawiścią do samego siebie?

//Pytanie: Karpatka?//

//Nie / Saksonia//

Saksonia to przecież żywiołak niemiecki. Skąd się wziąłem w Niemczech? Biegliśmy przecież przez Polskę. Tam złożyli nam wizytę Hugin i Munin. Potem znowu biegliśmy i... aha, rzeczywiście przekroczyliśmy granicę z Niemcami. Próbowaliśmy potem odnaleźć Starą Drogę do Tír na nÓg, a potem znaleźliśmy na drzewie tę kopertę... Oj.

//Pytanie: Skąd się tu wziąłem?//

//Groźna Druidka umieścić / Myśleć, że śmierć//

Zamrugąłem rozpaczliwie, usiłując jakoś przyjąć do wiadomości, że żywiołak właśnie nadał Granuaile przydomek. Groźna Druidka.

//Pytanie: Dlaczego więc mam przestrzeń i powietrze do oddychania?//

//Zapewniłam / Druid się nie ruszył//

No, nie ruszyłem się. I wyglądało też na to, że nie zasłużyłem sobie na żaden przymiotnik przed tytułem. Ot, zwykły stary druid.

//Pytanie: Co mi się stało?//

//Pocisk w głowę//

Ktoś do mnie strzelił? Więc stąd ten ból. Podniosłem palec do głowy i ostrożnie ją obmacałem. Przy lewej skroni wyczułem jakieś wgłębienie, którego na pewno tam przedtem nie miałem. I było dość delikatne. Rana po drugiej stronie, ta, którą wyleciał pocisk, musiała być

okropna, ale bałem się nawet unosić głowę, żeby sprawdzić. Dopiero się leczyłem.

Ręka mi opadła na naszyjnik, palce zacisnęły się na ostatnim charmsie na lewo, tym, którego nigdy przedtem nie użyłem.

– Wygląda na to, że zadziałałeś – szepnąłem.

Kiedyś Granuaile spytała nawet, po co mi on. Powiedziałem jej, że to moja własna wersja łapacza dusz. Zrobiłem go sobie, gdy Napoleon wkroczył do Rosji. Byłem wtedy medykiem w armii rosyjskiej i wiedziałem, co potrafią działać muszkiety i co to oznacza dla starego druida, który miał przecież wprawdzie zabezpieczenia przed magią, ale nie przed bardzo szybkimi kawałkami ołowiu. Już przedtem oczywiście widywałem pistolety, ale starałem się ich unikać jak ognia. Dołączyłem do Rosjan na swego rodzaju podróż badawczą, a gratis mogłem przy tym nosić sobie do woli te śmieszne wełniane czapy. Uznałem, że przetrwam raczej wszelkie rany, jeśli tylko będę miał czas się leczyć. Wyjątkiem był tu strzał w serce, ale nawet przed nim mogłem się jakoś ochronić. Gorzej było ze strzałami w głowę. Śmierć mózgu nie daje ci czasu na leczenie się, a mózg to magazyn ducha. Wybij w nim dziurę, a natychmiast odrzucisz swoją śmiertelną powłokę.

Zachowanie więc tej powłoki stanowiło spory problem. Leczenie się z nawet poważnych ran cielesnych następuje na autopilocie, póki tylko moje tatuaże dotykają ziemi. Nie muszę świadomie tego nadzorować i technicznie rzecz biorąc, proces ten nie wymaga nawet bicia serca. Ale utrzymanie ducha w ciele, jeśli ma się dziurę w głowie – to jest dość trudne i tak się akurat składa, że niezbędne do leczenia.

Gdzieś podczas splatania zimnego żelaza z moją aurą uświadomiłem sobie w końcu, że tak naprawdę zmieniam naturę mojego ducha i że skoro mogę to zrobić z moim własnym duchem, być może potrafię też dokonać tego samego z innymi rzeczami. Spędziłem całe lata na udoskonalaniu pozostałych charmsów, aż w końcu gdzieś w dziewiętnastym wieku postanowiłem się zabrać do łapacza dusz (mimo że używam takiego określenia na ten jeden charms, to dość niechętnie posługuję się poza tym terminem „dusza”; niesie dość okropny bagaż znaczeń, i to taki, którym poniewierano bez litości, zupełnie się nie zastanawiając, co może zawierać). Jak powiedziałem kiedyś Granuaile, nie miałem bladego pojęcia, czy charms działa. Żeby go wypróbować, musiałbym przecież umrzeć.

I wygląda na to, że umarłem. Rzadko się zdarza, żeby nie zrobił tego ktoś postrzelony w głowę. Granuaile nie pochowałaby mnie przecież, gdyby moje serce biło. Jednym słowem – charms wyśmienicie spełnił swoje zadanie.

Wszystkie moje charmsy włączane są za pomocą mentalnych nakazów. Bez nich musiałbym wypowiadać słowa zaklęcia na głos, tak jak robi to Granuaile. Trudno jednak wydać mentalne polecenie, kiedy akurat coś rozwalilo ci mózg. Mając to na uwadze, uruchomiłem ten jeden charms już w dziewiętnastym wieku, po cichu licząc na to, że nie będzie okazji, żeby się przekonać, czy działa.

Charms wykonywał serię splotów, z czego trzy były warunkowe. Pierwszy splot łączył mojego ducha z moją formą cielesną, nawet w wypadku, gdy przestało bić serce. Był to rodzaj klatki na duszę, tworzonej w sposób podobny do tego, który odkryłem, splatając amulet z aurą. Drugi robił fizyczne zdjęcie mojego mózgu co pięć minut, uwzględniając każdą synapsę i każdy neuron. Ten splot działał już od 1812 roku. Trzeci był poleceniem uzdrawiania, automatycznego czerpania energii z ziemi (póki zostanie przy mnie mój duch), żeby leczyć moją głowę zgodnie z ostatnim zachowanym zdjęciem mózgu, co do najmniejszej komórki. Gdy już nastąpiły wszystkie te trzy etapy, czwarty splot miał wcisnąć mojego ducha z powrotem na jego właściwe miejsce – czyli do mózgu – i wszystko na nowo uruchomić. Teoria była taka, że wtedy już zaczyna pompować moje serce, płuca zaczynają oddychać i w ogóle zmartwychwstają, ale bez

żadnych klów ani zaburzeń w chodzeniu; że zachowuję moją osobowość i wspomnienia.

Tylko że tyle mogło pójść nie tak. Wystarczyło, że ktoś mi obetnie głowę albo że spłonę w wielkiej kuli pomarańczowego ognia lub stracę tak dużo krwi, że serce nie będzie miało czego pompować. Albo że zostanę postrzelony na dachu jakiegoś budynku bez szans na kontakt z ziemią. Ba! Nawet upadnięcie na polu nie tą stroną co trzeba – tak, że tatuaże nie będą dotykać ziemi – mogło być tragiczne w skutkach. Charms nie był w żadnym razie gwarancją przeżycia własnej śmierci. Ale jednak cały ten wysiłek, jaki w niego włożyłem, w pełni się opłacił.

Nagle wszystko znów zalała szara fala, a czarna dziura w ziemi zniknęła mi z oczu. Co zrobię z tą nową szansą? Znajdę sobie tylko nowe beznadziejne sposoby na zatruwanie wszystkim życia? Znów będę gadał bez zastanowienia, wchodził w Faustowskie pakt z wiedźmami i mroźnymi olbrzymami? Mam uratować życie Granuaile i Oberona tylko po to, by zaraz potem widzieć, jak giną z rąk Lokiego? To by było nieludzkie. Już lepiej pozostawić ich na pastwę Artemidy i Diany, bo te boginie przynajmniej wolą zabić szybko.

W życiu nie dopuściłbym do siebie takich myśli, gdybym był w czyimś towarzystwie. Lecz nigdy nie jest się tak samotnym jak w grobie. Tu mogłem sobie poczuć to wszystko i nikt się nigdy o tym nie dowie, nawet nie będzie podejrzewał. Choćbyśmy bowiem nie wiem jak nienawidzili współtowarzyszy naszej niedoli; choćby nie wiem jak doprowadzali nas do wściekłości i popychali do podłej zemsty, to w samotności jesteśmy jeszcze mroczniejszymi istotami. Swoich własnych myśli możemy bać się bardziej niż spoliczkowania czy uderzenia batem.

Tak wyobrażam sobie przynajmniej los ludzi przeklętych świadomością samych siebie.

Z tej szarości wyciągnęły mnie dwa małe żale. Jeśli nic nie zrobię, nigdy już nie zobaczę piegów Granuaile. Ani jej zielonych oczu. Ani nie poczuję zapachu jej truskawkowego błyszczyka... No dobra, to chyba więcej niż dwa. Trzy. Trzy żale. A, i jeszcze Oberon na pewno zasłużył sobie na pudlicę albo jakąś inną kompankę życia. Co do tego nie ma dwóch zdań. Więc cztery żale. Ale może i więcej, jak tak o tym pomyśleć.

Odrobina dumy też miała pewnie swój udział w tym, że zacząłem się jednak przedzierać na powierzchnię. Nie mogłem znieść myśli, że Theophilus uśmiechnie się z zadowolenia, wznosząc kielich pełen krwi, by świętować zniszczenie ostatnich druidów na ziemi. Należało mu się, dokładnie mierząc, od chuja złej karmy i miałem nadzieję, że to ja pomogę jej znaleźć właściciela i pchnąć ją na to jego martwiacze dupsko.

No i, bogowie niejedyni, czyż Morrigan nie zasłużyła sobie na odrobinę wysiłku z mojej strony po tym wszystkim, co dla mnie zrobiła? Zacisnąłem palce na rękojęści Fragaracha, a Saksonia pomogła mi się wydostać na powierzchnię.

//Pytanie: Gdzie jest Groźna Druidka i Przyjaciel druida?//

//Nie w mojej krainie//

Musieli widać opuścić już Niemcy. Jeśli Granuaile postanowiła działać zgodnie z planem, powinni być teraz w Holandii, a może już nawet w Belgii.

//Pytanie: Wyznaczyć mi do nich prostą linię? / Pogadać z sąsiednimi żywiołakami?//

//Z przyjemnością / Harmonia//

//Harmonia / Nic nie mówić Groźnej Druidce//

Nie chciałem, żeby Granuaile i Oberon zwolnili albo wręcz postanowili na mnie zaczekać, bo wiedziałem, że łowczynie muszą już im deptać po piętach. Poza tym z pewnością byli nadal obserwowani, nie chciałem więc informować w ten sposób nikogo, że znów chodzę po ziemi.

//Harmonia// powiedziała raz jeszcze Saksonia.

Kiedy wyłoniłem się na powierzchnię, była ciemna noc. Jeśli Saksonia zdoła namierzyć

Granuaile przez sąsiedniego żywiołaka, to być może jest to wciąż ta sama noc, kiedy zostałem zastrzelony. To zupełnie możliwe. Tkanka mózgowa nie jest równie ciężka ani równie gęsta jak mięśniowa i nie musiałem przecież odtwarzać jej całej – wystarczyło te kilka gramów na ścieżce kuli. Trop prowadził na północny zachód. Psy i jelenie. Łowczynie już tu były. Ich psy już pędziły za Granuaile i Oberonem.

Saksonia wskazała mi kierunek południowo-zachodni. Przemieniłem się w jelenia, wzięłem Fragaracha w pysk i popędziłem jeszcze bardziej zaniepokojony niż wcześniej. Jakiś czas temu, gdy dzięki uprzejmości Młotów Boga miałem jeden nóż wbity w nerkę, a drugi między łopatki, sam Jezus powiedział mi, że ten ból to zaledwie ułamek tego, co przyjdzie mi przeczierać, jeśli nie zmienię swoich zamiarów, a choć nigdy go nie czułem, to wiem jednak, że nie należy do tych bogów, którzy łąą w żywe oczy. Wtedy jednak nie potrafiłem sobie zupełnie wyobrazić niczego gorszego niż tamten ból, bo nie miałem już żadnych zapasów magii, a uszkodzona nerka zajebiście boli. Teraz jednak wiedziałem już chyba, co miał na myśli Jezus. Gdy wreszcie odpłynęła szara fala depresji i zacząłem przytomniej myśleć, zrozumiałem, że utracenie Granuaile i Oberona byłoby... brakło mi słów, by opisać taki ból. Być może i na mnie czeka gdzieś tam cała wywrotka złej karmy. Nie miałem wątpliwości, że sobie na nią zasłużyłem, ale będę walczył, by uniknąć jej, jeśli tylko to możliwe. Za nic na świecie nie chciałem się tak czuć.

Rozdział 13



Teraz, gdy podjęliśmy już z Oberonem decyzję i mieliśmy jasno wyznaczony cel, biegliśmy o wiele szybciej, choć Holandia okazała się krajem pełnym przeszkód. Co chwilę musieliśmy przekraczać jakąś drogę, a wymijanie skupisk ludności stało się nie lada wyzwaniem, choć oczywiście pomagało to, że nocą te skupiska w większości spały grzecznie, z czego gros wtulona pewnie w ukochaną osobę i pochrapująca chrapaniem kogoś, na kogo się nie poluje, w błogiej nieświadomości istnienia magii oraz tego, że jej bardzo stary rodzaj zostanie wkrótce zniszczony do imentu właśnie na holenderskiej ziemi.

Niebo wyświetlało już bladoszare ostrzeżenie o zbliżającym się wschodzie słońca, gdy zobaczyłam znak witający nas w Parku Narodowym Veluwezoom. Pisało się to po holendersku niemal tak jak po angielsku – *Nationaal Park* – co wydało mi się dość urocze. Ta dodatkowa samogłoska sugerowała bogactwo – jakby ten kraj miał wręcz nadmiar zasobów naturalnych. Nie bez powodu zresztą. Veluwezoom to spokojne wrzosowisko, na obrzeżach porośnięte drzewami dający mi schronienie niezliczonym stworzeniom, które tak chętnie pomęczyłby Oberon, gdyby nie miał depresji. Drzewa powiewają już czerwonymi, pomarańczowymi i żółtymi flagami, ogłaszając światu koniec lata. Atticus uśmiechnąłby się na ten widok i zaczął mówić o świętowaniu Samhain. Gdyby tu był.

Utrata kogoś bliskiego jest jak rana, którą każda myśl wciąż na nowo otwiera.

Nasz cel widać już było na skraju wrzosowiska, które kończyło się lekkim wzniesieniem. Gdy dobiegliśmy na miejsce, u stóp niewielkiego, porośniętego drzewami urwiska, które pokazał mi żywiolak, przemieniłam się w człowieka i obróciłam, żeby spojrzeć za siebie. Przede mną rozpościerały się fale blednącej zieleni i jasnego fioletu roślin czekających cierpliwie w szarości świtu na pierwsze promienie słońca, które rozświetlą je znów ogniem i radością. Oberon obrócił się razem ze mną, nos zadarł od razu, wachając powietrze, i zastrzygł uszami na szczebiot budzących się ptaków. Siedziały skryte w niewielkich, znajdujących się po obu stronach skarpy kępach drzew, które zasłaniały nam widok po bokach. Być może ptaki po prostu były równie zachwycone wrzosowiskiem – nieśmiała, wyciszoną pięknnością wartą oglądania i podziwiania.

<To tu, Granuaile?>

– Tak. Plecami do ściany, tak jak obiecałam.

<I żadnego *choppah*>.

– Tak jest. Żadnego *choppah*.

Wielka psina westchnęła i rozciągnęła się na trawie łapami do przodu i z oczami utkwionymi czujnie w horyzont. Psi sfinks.

<Bywają gorsze miejsca na śmierć>.

Dużo gorsze – zgodziłam się, choć tym razem już mentalnie. Jeśli miał być to mój ostatni wschód słońca, chciałam się nacieszyć soundtrackiem bez niepotrzebnych zakłóceń w postaci mojego głosu.

Pogłaskałam Oberona; pozwolił mi na to, ale jego ogon ani drgnął.

<Wiesz, co by nam teraz, biorąc pod uwagę brak Atticusa, dało drugą potęgę?> odezwał się, gdy tak czekaliśmy.

Drugą potęgę, mówisz?

<Nawet trzecią. Naprawdę ostry sos z dorsza. W nabojach kałachów oczywiście. Tego nikt by się nie spodziewał. Kilka kałachów na sos z dorsza. Albo hiszpańska Inkwizycja>.

O czym ty mówisz?

<Wiesz przecież, o czym mówię! To z tej sztuki Szekspira i pamiętam, że Atticusowi też się to podobało>.

Szekspir miał... kałachy na sos z dorsza? W której sztuce?

<Całości nie pamiętam, bo to było bardzo długie, ale Atticus mi raz to wyrecytował i na pewno był tam taki fragment: „Dorszym sosem zagrzmi kałach mi, Wszystkie psy wojny puszczając ze smyczy"! Może się ze mną nie zgodzisz, ale naprawdę uważam, że to najlepszy kawałek, jaki kiedykolwiek udało się napisać Szekspirowi>.

Masz na myśli: „Monarszym głosem zagrzmi po tej ziemi" z Juliusza Cezara?

<Nie, to nie to. Bo na pewno był tam jakiś sos i jestem prawie pewny, że z dorsza, bo co innego może być równie okrutnie rozczarowującego. Bo widzisz, sos z wieprza to poezja, ale sos z dorsza łamie serce każdemu i dlatego właśnie...>

Obawiam się, że byłeś może trochę głodny, jak tego słuchałeś, Oberonie.

Szum wiatru stał się jakiś bardziej zawodzący, a już po kilku sekundach było jasne, że to raczej odległe szczekanie psów. Powietrze przeszył dźwięk rogu, o wiele już wyraźniejszy niż przedtem. Łowczynie zbliżały się do granic parku, a ich sfora pędziła przed nimi. Nie bardzo miałam ochotę spotykać się z tą watahą, ale nie było innego wyjścia, jeśli chcieliśmy spróbować dopiec Artemidzie i Dianie. Tyle że to nie żadne słodkie, tulaśne szczeniaczki, tylko wytresowani mordercy. Jeśli nie potraktuję ich odpowiednio, stanę się ich śniadaniem.

Nie pogardziłabym tu jakąś pomocą – taką bardziej współczesną i realistyczną od tej, której życzył sobie Oberon. Marines to by było to. Powiedziałabym: „Przykro mi, chłopaki, ale ci wrogowie, Artemida i Diana, są akurat nieśmiertelne. Nie da się ich zabić". Żołnierze popatrzyliby po sobie, a potem dowódca plutonu – którym byłby oczywiście miły młody człowiek z Południa, niezwykle grzeczny i nietykający alkoholu – powiedziałby: „Proszę pani, z całym szacunkiem, ale powątpiewamy w ich nieśmiertelność. Po prostu nie natknęły się nigdy na naszą siłę. Semper Fi".

Westchnęłam i wypchnęłam z głowy te marzenia o zabójczych marines. Atticus powiedział mi kiedyś, że nie da się przeżyć bitwy dzięki pobożnym życzeniom. Przeżywa się ją dzięki swoim działaniom, działaniom sojuszników i brakowi działania ze strony wroga. To wszystko.

Rzuciłam kamuflaż na Oberona, a sama włączyłam niewidzialność. Podkreśliłam nam trochę prędkość i siłę. Oberon zajął stanowisko, a ja ustawiłam się za nim, plecami do małego klifu. On przelamie szarżę, a jeśli któryś z psów, minawszy go, będzie chciał się obrócić i ugryźć, będę już na niego czekała ze swoim kijem. Przygotowałam też na wszelki wypadek nóż, a w kaburze na udzie miałam jeszcze dwa. To powinno wyeliminować część przeciwników.

Nie znam się za bardzo na rasach psów. Zresztą psów, które dostały jeszcze w starożytności Artemida i Diana, nie da się pewnie zakwalifikować do żadnej współczesnej rasy. Ciekawe, czy to oryginalne psy, wiecznie młode tak jak Oberon, czy też może ich potomkowie. Kiedy w końcu się pojawiły, zobaczyłam, że to nie bloodhoundy z wielkimi, oklapniętymi uszami. Bardziej przypominały spaniele czy retrievery o rozmaitej maści. Były mniejsze od Oberona, ale w sile czternastu, a nas – dwoje.

To, że nas nie widziały, dawało nam sporą przewagę. Mogły nas tylko zwęszyć. Pierwszy po prostu wpadł na Oberona z równą skutecznością, jak gdyby wpadł na ceglana ścianę. Siła bezwładności nic mu nie pomogła, gdy Oberon obalił go łapą na ziemię, a potem poprawił jeszcze zębami. Cisnęłam dwa noże i znalazły cel, a potem cała sfera rzuciła się na nas i już były same zęby i kłębiące się ciała, póki one w końcu nie znieruchomiały. Zostaliśmy tylko my.

Nic ci nie jest, Oberonie? – spytałam.

<Kilka zadrapań, nic poza tym. A tobie?>

U mnie tak samo. Musimy się teraz odsunąć od ciał i poczekać na dobry moment na atak. Będą wściekle i założę się, że cisną tu kilka strzał.

<Zaatakujemy je po jednej?>

Chyba tak. Wybierz sobie którąś i skacz jej na plecy. Ja postaram się, żeby się nie ruszyła z ziemi, jeśli w ogóle Olimpijczycy mogą się nie ruszać. Musisz być czujny. Na pewno mają noże i są superszybkie.

<A co mi tam bliskie spotkanie z nożami. Po to przecież to robimy, nie? He, he>.

Na bogów, Oberonie! – Tym razem, gdy pojawiły się łzy, miałam już normalne oczy do płakania, więc otarłam je wściekle z policzków. – *Masz myśleć strategicznie, a nie samobójczo. Gdyby był tu Atticus, zabiłby mnie za to, że w ogóle narażam cię na takie ryzyko.*

Oberon zaskomlał cicho.

<Gdyby tu był, tobym nie proponował takich rzeczy>.

Chciałam powiedzieć na to coś podnoszącego na duchu, ale jakoś nic mi nie przyszło do głowy. Wiedziałam dobrze, co ma na myśli. Mimo całego tego piękna świat na zawsze już traci swoją urodę, gdy nie ma przy tobie ukochanej osoby. Zostaje ci tylko samotność i niekończące się gdybanie.

Śłuchaj, te zabójcze dziewice na pewno to przeżyją, a my nie – powiedziałam – ale chcę, żeby się chociaż przez chwilę poczuły jak w pułapce. Chcę, żeby po bitwie wzdrygnęły się na myśl o tym, że niechybnie starlibyśmy je w proch, gdyby tylko nie były nieśmiertelne.

<Aha, Bystra Dziewczyno. Brzmi nieźle. To ja poproszę porcję tego, co mówisz>.

Nie czekaliśmy długo. Dwa złote rydwany ciągnięte przez zaprzęg jeleni wpadły na wrzosowisko w chwili, gdy słońce zawitało już na wschodzie. Na widok ciał psów boginie zatrzymały zwierzęta i wyskoczyły z rydwanów, każda z łukiem w dłoni i cięciwą gotową do strzału.

Pierwszy raz miałam okazję lepiej im się przyjrzeć. W Rumunii znajdowały się dalej od nas, a poza tym Morrigan mi je zasłaniała.

Opierając się na moich kontaktach z Hermesem i Merkurym, uznałam, że Artemida to ta bledsza. Żadna z nich nie była odziana w prześcieradła ani jakieś zwiewne szaty, jakie widuje się na rysunkach *fantasy* – nie reflektowały też na styl elfa w kapturze. Artemida była smukła i żyłasta. Ciemne włosy zebrała w ogon i upięła złotymi kłami. Miała na sobie jasnozieloną tunikę bez rękawów, zebraną w tali szerokim pasem. Do tego czarne spodnie wciśnięte w buty do pół łydki, które trochę przypominały tradycyjne indiańskie mokasyny, ale oczywiście nie były ze skóry. Sam poliester i inne materiały syntetyczne. A kłama w jej włosach wcale nie była ze złota – tylko z plastiku. Przekonałam się o tym, gdy spróbowałam stworzyć splot między złotem a ziemią, który miał ją znokautować, ale nie zadziałał. Podobnie jej kłama w pasku, łuk i strzały – wszystko to było z materiałów wyprodukowanych przez człowieka. Nie miałam już wątpliwości, że nawet nóż, zawieszony na jej udzie, był

z kompozytu.

Artemida była ostra, twarda, ze szczęką jak ostrze siekiery i mięśniami ramion drżącymi niczym struny w pianinie. Wcale nie podeszła do sterty ciał swoich psów, ale od razu ruszyła łukiem na prawo, gdzie kryliśmy się z Oberonem. Zbliżała się czujnie skulona i rozglądała się uważnie. Diana w podobnej pozie ruszyła w drugą stronę.

Rzymska bogini była nieco bardziej zaokrąglona niż grecka i bardziej się postarała o to, żeby jej ubranie przypominało antyczny oryginał. Miała na sobie spódniczkę, jaką zwykli nosić centurionowie, tylko że jej była zrobiona z czarnego skaju albo innego paskudnego wynalazku nauki. Na sandały nałożyła czarne nagolenniki. Tak jak Merkury miała opaloną skórę i wydawała się tak wywoskowana i wypolerowana, jakby wyszła prosto z warsztatu samochodowego. Była tak seksowna, że wydawało mi się to wręcz niesprawiedliwe.

Wyraźnie miały zupełnie inne podejście do swojego słynnego dziewictwa. Zupełna obojętność Artemidy względem mężczyzn przejawiała się w pełnym niedbalstwie ubraniowym, natomiast Diana z rozmysłem kreowała wygląd piękności niezwykle pożądanej a nieosiągalnej. Kiedyś, gdy były jeszcze dla mnie tylko mitami, podziwiałam je, bo stanowiły dla mnie dwa z najwcześniejszych, skierowanych do mężczyzn, prostych przekazów tego świata: kobiety mogą osiągnąć pełnię szczęścia bez was, obejdzie się. Teraz jednak, gdy na mnie polowały, mój podziw jakoś się ulotnił.

Artemida była coraz bliżej i mogła nieświadomie w nas wdepnąć, co byłoby bardzo niebezpieczne, biorąc pod uwagę jej napięty już łuk. Ale potem nagle zmieniła trasę i zbliżyła się do psów. Widziałam, że chwilę będzie stała do nas tyłem.

Cicho wstań, gdy nas minie, i skocz jej na plecy – poleciłam Oberonowi.

<Tak jest. To będzie łatwe>.

Powinno być go od razu powstrzymać, bo przecież zapeszył. Ale pozwoliłam mu podnieść się cicho i wstałam razem z nim. Zebrał się w sobie i rzucił się na jej plecy, gdy była ledwie dwa metry od nas. Lecz mimo że podkręciłam mu prędkość, Artemida i tak była szybsza. Wyczuła jakimś cudem atak, upuściła łuk i strzałę, uniosła lewą rękę, przechyliła się na prawo i złapała Oberona za gardło.

<Auu! Ma mnie!>

Próbował jej się wyrwać, ale Artemida trzymała mocno i obnażyła nóż. Przyłożyła mu go do gardła i syknęła:

– Lepiej się nie wierć, bo cię dobrze nie widzę, to żebyś sobie sam nie poderżnął gardła.

Rozmyśliłam się więc i nie podcięłam jej kijem nóg. Zaczęłam się przekradać w lewo, wciąż za nią, ale jak najdalej od jej ręki z nożem. Jeśli zechce odsunąć go od gardła Oberona i cisnąć w moją stronę, będzie musiała zrobić to przez całe swoje ciało. Ona jednak liczyła, że mną zajmie się jej partnerka, a ja aż za bardzo byłam świadoma, że to Diana stanowi teraz największe niebezpieczeństwo. Nadal miała w ręku łuk i jeśli tylko namierzy moją pozycję, może mnie z łatwością ustrzelić.

Śluchaj jej, Oberonie. Nie wrywaj się.

<Skąd wiedziała, gdzie jesteśmy?>

Nie wiem – przyznałam z żalem. Nie byłam tak dobra w strategii i taktyce jak Atticus. Cały ten plan był jakoś źle pomyślany i byłam naprawdę głupia, rojąc, że możemy przechytrzyć dwie nieśmiertelne łowczynie. Trzydzieści metrów dalej oczy Diany szukały mnie uparcie. Jej wzrok nie zatrzymał się dokładnie na mojej pozycji, ale jednak blisko. Usiłowałam się poruszać jak najciszej, ale czułam, że po prostu muszę zmieniać pozycję, bo jeśli raz mnie namierzy, to już nie będzie jak zrobić uniku.

– Twój pan nie żyje, młoda druidko, ale nie musisz wcale iść w jego ślady! – zawołała

Diana.

Zaczęłam się bez sensu zastanawiać, skąd niby to wie. Odnalazły miejsce, gdzie go zakopałam, i go wyciągnęły czy co? A może ktoś im powiedział? Może potrafiły porozumiewać się z psami jak druidzi i to od nich się dowiedziały, że straciły jedną z ofiar? Sama sobie odpowiedziałam na to pytanie: nawet jeśli nie poinformował ich nikt z Olimpu, to na pewno wypaplały im driady albo jakieś inne duchy natury. Musieliśmy minąć ich całe chmary.

– Wypuść Bachusa, a darujemy ci życie – dodała.

– A pies? – spytałam, przesuwając się.

– Zabiłaś wszystkie moje, sprawiedliwie więc byłoby, gdyby twój pies także zginął – odparła Artemida. – Poznasz jednak moje łaskawe serce, jeśli w dobrej wierze przystąpisz do wymiany. Bo też nie jest to zwykły pies, prawda? To przyjaciel.

– Tak. Jeśli go zabijecie lub w jakikolwiek sposób skrzywdzicie, nie dostaniecie ode mnie nic. Bachus przepadnie na zawsze.

Diana, namierzając mój głos, lekko przechyliła głowę, a jej oczy już na mnie patrzyły.

– Rozumiem – powiedziała. – Bachus jest z kolei naszym przyjacielem. Wypuść naszego przyjaciela, a uwolnimy twój. Wszyscy przeżyją. Wszyscy wrócą do domu bez jednego siniaka. Nigdy nie miałyśmy z tobą żadnego zatargu.

<Gównno prawda!>

– A jednak ścigacie mnie od tylu mil – zwróciłam jej uwagę.

– Tylko po to, by odzyskać Bachusa – odparła Diana. Była coraz bliżej. Łuk miała gotowy do strzału. – Nigdy nie chodziło nam o twoją śmierć.

– Jeśli chcesz rozmawiać, rozmawiajmy – powiedziałam. – Przystań się poruszać i rzuć łuk, Diano, bo w innym razie mogę zacząć podejrzewać, że jednak chodzi wam o moją śmierć.

Diana uśmiechnęła się krzywo i stanęła, ale nie upuściła łuku.

– Niech i tak będzie, śmiertelna. Jeśli zamierzasz być rozsądna, możemy porozmawiać.

– Diano, zczekaj – syknęła Artemida. – Wydaje mi się, że nie jesteśmy same...

Rozdział 14

Artemida usłyszała moje kroki, ale za późno. Zbyt skupiona na negocjacjach Diany z Granuaile, nie zorientowała się na czas, że jest przy nich ktoś jeszcze.

A byłem to ja, ten martwy – z Fragarachem w lewej dłoni zakradłem się za jej lewe ramię i zamachnąłem na jej szyję. Jeśli się wystarczająco szybko przetnie rdzeń kręgowy, to mózg naprawdę nie ma jak powiedzieć prawej ręce, żeby podcięła ciało zakładnika. I żadna boskość nic tu nie pomoże. Jej głowa poleciała łukiem i runęła na stertę psich trupów, a ciało osunęło się na ziemię. Oberon był wolny i zdeorientowany.

<Hej! Co?! To mi pachnie Atticusem! Atticusie, czy to ty?>

Nie odpowiedziałem mu. Trzeba było pozbyć się jeszcze drugiej łowczyni. Nie przejmując się już hałasem moich kroków, popędziłem za głową Artemidy, chwyciłem ją za włosy i cisnąłem nią w Dianę. Jej łuk był uniesiony i napięty. Schyliła się, żeby uniknąć makówki koleżanki, ale zaraz wyprostowała się gotowa do strzału, bo słusznie założyła, że pędzę prosto na nią. Już miała wypuścić strzałę, a ja – rzucić się na ziemię, gdy coś trzasnęło ją mocno od tyłu w kolana, a jej strzał poszedł o wiele za wysoko. Była to oczywiście akcja Granuaile, która pięknie wykorzystała zamieszanie. Mało nie pękłem z dumy.

Podczas bitwy może się zdarzyć mnóstwo różnych rzeczy, od których wpadasz w popłoch – powiedziano mi kiedyś. Spanikowanie na widok zmiecionych w pył przyjaciół na przykład jest czymś zupełnie normalnym. Hulkowanie tylko dlatego, że ktoś ci zniszczył cenny obrazek lub inną pamiątkę po twojej drugiej połowie – zrozumiałe. A jeśli ktoś nagle wraca z zaświatów, żeby znów walczyć, nikt nie będzie na ciebie krzywo patrzył, jeśli przestaniesz panować nad pracą swoich jelit. Jednak zawsze, ale to zawsze musisz najpierw zmierzyć się z zagrożeniem, a panikę odłożyć sobie na później – najlepiej na takie później, kiedy będziesz miał pod ręką jakiś przyzwoity alkohol, który by cię odpowiednio znieczulił.

Diana przeturlała się natychmiast, gdy tylko uderzyła w ziemię, przez co następny cios Granuaile trafił tylko z hukiem w trawę. Nie miałem jak dopaść łowczyni, nim wstanie; a najgorsze, że zaraz przeturla się z łukiem w ręce, naciągnie go i strzeli, a wszystko z zupełnie niepoważną prędkością. Zamazany ślad przed moimi oczami świadczył o tym, że Oberon chciał ją utrzymać na ziemi chyba równie mocno jak ja. Widać Granuaile przywołała go jakoś do porządku.

Łowczyni udało się wstać, ale zaraz potem – gdy już sięgała po strzałę – coś znów powaliło ją na ziemię.

Usłyszałem, jak Oberon mówi:

<Mam jej lewą rękę, ty łap prawą!>

Próba pozbycia się Oberona przez odwrócenie go do góry nogami napotkała twardą przeszkodę w postaci Scáthmhaide'a. Tym razem Granuaile nie chybiła i usłyszałem, jak pękają obie kości przedramienia bogini. Ręka została wciśnięta w trawę, po czym Granuaile na nią nadepnęła. Diana wrzeszczała i szarpała się, ale Granuaile i Oberon musieli mieć podkreconą siłę, bo nie dawała rady im się wyrwać.

Nim Diana zdążyła uzmysłwić sobie, że powinna przecież zdać się na nogi i skopać Granuaile, postanowiłem odwrócić jej uwagę. Zrzuciłem kamuflaż i powiedziałem:

– Witam, Dianio – ukazując jej się w pełnej okazałości.

Oczy wyszły jej na wierzch, a szczęka przestała wydawać jakiegokolwiek dźwięki, tylko opadła.

<To Atticus! Wiedziałem!>
Spokojnie, chłopie. Nie puść jej przypadkiem!

<Nie puszczę! Ani drgnie!>
Dzięki. Zaraz pogadamy.

Uśmiechnąłem się na widok zdumienia malującego się na twarzy Diany. Normalnie się naprawdę tak nie zachowuję, ale coś w Rzymianach po prostu mnie do tego prowokuje. Może to ma jakiś związek z tym, że przeprowadzili kiedyś to masowe druidobójstwo.

– Aleśmy się za wami nabiegali – rzuciłem od niechcienia. Zakręciłem Fragarachem w dłoni, potem zatrzymałem go nagle, jakbym sobie coś raptem uzmysłowił. – A, czekaj. Czy wam się przypadkiem wydawało może, że to wy gonicie nas?

Zmrużyła oczy i wzięła głęboki wdech, żeby przemówić, ale nie dałem jej dojść do słowa. Odrąbałem jej łeb jednym ciosem i kopnąłem go z dala od ciała, żeby nie zdołała sobie go przyrosnąć do głowy.

– Oho! – krzyknąłem i pozwoliłem sobie na triumfalny gest pięścią. – Takich chwil to się normalnie nie zapomina!

Granuaile zrzuciła swoją niewidzialność i kamuflaż Oberona. Jej kłykcie były aż białe od zaciskania palców na Scáthmhaidzie i nie mogłem wyczytać z jej twarzy, czy chce mnie pocałować czy zabić.

– No tak – mruknąłem. – Macie pewnie kilka pytań.

Rozdział 15

Kim jesteś i dlaczego masz Fragaracha? – wycodziła Granuaile przez zaciśnięte zęby. Nie takiego pytania się spodziewałem.

– Jestem Atticus, a ten miecz jest mój.

<To Atticus!> Oberon merdał ogonem i już się szykował do skoku na mnie, ale powstrzymał się, widząc wściekłość Granuaile.

Prawidłowa odpowiedź. Wygrywasz przysmak!

– Atticus nie żyje.

<Przecież właśnie nam pomógł zabić dwa niezabijalne babsztyle. Facet jest po naszej stronie>.

Ignorując komentarz Oberona, Granuaile wyciągnęła nóż z kabury – ostatni, jaki jej został – i uniosła go groźnie nad ramieniem. Mogła nim cisnąć w każdej chwili.

– Kim jesteś? Lokim? Kojotem?

Zaczynałem już rozumieć, dlaczego żywiolaki nazwały ją Groźną Druidką.

– Przecież łatwo to sprawdzić, Granuaile. Spójrz w magicznym wymiarze. Loki jest kłębowiskiem złości i białego światła. Kojot to mieszanina kolorów. A w mojej aurze zobaczysz teraz tylko żelazo, bo nie pobieram w tej chwili żadnej mocy z ziemi.

<Albo go powąchaj. To Atticus. Słyszę go w mojej głowie i obiecał mi kielbasę>.

Powiedziałem przysmak.

<Ze wszystkich przysmaków najbardziej lubię kielbasę, panie tego>.

Test Oberona nie był wystarczający i Granuaile dobrze o tym wiedziała. Kojot też mógł się porozumiewać mentalnie z Oberonem – a przynajmniej na pewno go słyszał – a przy tym potrafił mnie skopiować co do najmniejszego szczegółu, zapachu nie wykluczając. To dzięki temu przecież kiedyś w Arizonie zmyliliśmy Garma i Hel.

Granuaile wzięła krótki oddech i wymówiła słowa splotu odpowiadającego za magiczne widzenie. Czekałem cierpliwie, aż mnie sobie obejrzy.

– Jak się naprawdę nazywasz? – spytała, nadal mi nie ufając. Gdy już minęło mi pierwsze zaskoczenie, musiałem przyznać, że słusznie ma się na baczności.

– Siodhachan Ó Suileabháin.

– W mojej głowie żyła kiedyś inna osoba. Jak się nazywała?

– Laksha Kulasekaran.

– Co to za rzecz, którą zrobiliśmy razem wiesz kiedy?

– Nie będziemy tego omawiać przy psie.

<Hej!>

Granuaile upuściła nóż.

– To naprawdę ty.

Poklepałem zwisający mi na szyi łapacz dusz.

– Pamiętasz to? Jednak zadziało.

Rzuciła Scáthmhaide'a na ziemię i skoczyła na mnie.

Oberon uznał, że to znak, że czas na wspólne tarzanie się, i wskoczył ciężko na nas oboje.

<Ale super! Jestem taki szczęśliwy! Atticus wrócił!>

Granuaile pocałowała mnie i zdołałem nacieszyć się tym pocałunkiem może jakieś dwie sekundy, nim Oberon całych nas obślinił.

– Fuu! Oberonie! – jęknęła Granuaile, gdy oboje ocieraliśmy sobie ślinę z policzków.

<Efekty uboczne psiej radości to między innymi obślinienie twarzy i bezwstydne ocieranie się o nogi>.

– Trzymaj się z dala od mojej nogi! – warknęła ostrzegawczo Granuaile. – I daj nam, proszę, chwilę na osobności.

<Oooj>.

Ogon Oberona wciąż kręcił się jak oszalały, ale wilczarz jednak łaskawie z nas zlął.

– Obawiam się, Granuaile, że i tak musimy już lecieć.

– Musimy?

– Niestety. To jeszcze nie koniec. One nie są ani trochę bardziej martwe ode mnie.

Musimy biec dalej. Powinniśmy zdążyć dotrzeć co najmniej do Francji.

Granuaile sturlała się ze mnie i wstała, po czym podała mi rękę.

– Jak niby zdołają się wyleczyć z braku głowy?

– Pomogą im inni Olimpijczycy. Idę o zakład, że już Hermes i Merkury mają swoje sposoby na poskładanie ich do kupy.

– Czemu od razu nie załatwił sobie całkiem nowych ciał?

– Bo te stare są w świetnym stanie. Tylko głów im brakuje. Kiedy biegłem za wami, myślałem sobie właśnie nad regułami ich regeneracji. Nie ma tu miejsca na samowolę. Nie mogą sobie po prostu zażyczyć nowych ciał. Muszą przedtem przecierpieć odpowiednio katastrofalne zniszczenia.

– I brak głowy do nich nie należy?

– Nie u Olimpijczyków. Pamiętasz tę opowieść o Orfeuszu? Jego głowa pływała całkiem długo po morzu, póki nie znalazła jej piorąca kobieta, nie? Ich zdolności do zachowywania funkcjonalności przebijają wszelkie skale, o których my możemy sobie tylko pomarzyć. Pewnie ma to wiele wspólnego z tym, że zamiast krwi w ich żyłach płynie ichor. Założę się, że nawet teraz są jeszcze przytomne i nas słyszą.

– To okropne.

– Mam plan – powiedziałem, podnosząc z ziemi Fragaracha.

Granuaile podniosła nóż i Scáthmhaide'a.

– Jak zawsze.

<Hej, Atticusie, a nie wyświadczyłbyś mi małej przysługi, nim ruszymy w drogę? To bardzo prosta rzecz>.

– Nie ma sprawy. Co to takiego?

<Weź od Granuaile jej kij. Tylko na chwilkę. I teraz oprzyj go o ziemię, jakby to był kij do chodzenia, a drugi koniec przysuń sobie do prawego policzka>.

Zamieniliśmy się z Granuaile bronią, tak jak nas o to prosił, i stanąłem zgodnie z instrukcją.

<Idealnie! A teraz powiedz głosem sir Iana McKellena: „Jestem Atticus Biały i wracam do was teraz na progu nowego czasu”>.

Było to tak głupie, że nie podołałem, choć bardzo się starałem. Nie dawałem rady utrzymać powagi i dostałem napadu głupawki, nim skończyłem to jedno zdanie.

– Przepraszam, Oberonie, ale naprawdę musimy już ruszać.

<Spoko. Warto było spróbować>.

– To jaki jest plan? – spytała Granuaile.

– Bez zmian, tylko teraz biegniemy z tymi głowami pod pachą, jakby to były piłki do footballu.

– Chcesz biec nagi z odciętymi głowami? Na widoku? Jak jakiś seryjny morderca?

– He, he! Nie, no zakamuflujemy się, jeśli będziemy musieli uciekać, ale wolałbym trzymać się na widoku. To element planu. Tak zresztą jak porozumiewanie się odtąd po staroirlandzku, żeby boginie nie mogły nas podsłuchiwać. Chyba że wolisz się komunikować mentalnie przez Oberona.

– Dobra. Daj mi jeszcze chwilę.

Podbiegła do smutnej sterty psów, żeby odzyskać dwa pozostałe noże. Ja też nie traciłem czasu. Kilkaset metrów dalej stały rydwany łowczyń. Uśmiechając się, mimowolnie rozplotłem pojazdy, tak że stanowiły już tylko kupę metalu, i wypuściłem na wolność jelenie, popędzając je mentalnie:

Jesteście wolne! Biegnijcie!

Pomknęły natychmiast. Ciekawe, czy Hefajstos i Wulkan będą się jakoś bardzo palili do wykucia łowczyniom kolejnych rydwanów.

Wróciła Granuaile i oświadczyła, że jest gotowa.

– Dobra, to którą sobie wybierasz? – spytałem.

– Wezmę Artemidę.

– Uważaj na usta. Głowę daję, że cię pogryzie, jeśli tylko będzie miała jak. I od teraz obowiązuje staroirlandzki.

Spojrzała na mnie powątpiewająco.

– Jesteś pewien, że to bezpieczne? A jeśli go znają?

– Staroirlandzki nigdy nie rozprzestrzenił się poza granicami Irlandii, chyba że liczyć gaelicki Szkotów. Olimpijczycy nie mieli żadnego interesu w tym, żeby się uczyć tego języka, szczególnie że Tuatha Dé Danann postarali się ładnie i nauczyli zarówno greki, jak i angielskiego. A zresztą zanim w ogóle Grecy i Irlandczycy weszli w jakiegokolwiek interakcje, język udatował się już do średnioirlandzkiego.

– A Rzymianie?

– Nigdy nie podbili Irlandii. Nazywali ją Hibernią i prawie w ogóle nie tykali.

– Kumam.

Bez trudu znaleźliśmy głowy i rzeczywiście były jak najbardziej żywe. Z braku połączenia z płucami nie miały dostępu powietrza, nie mogły więc mówić, ale za to posyłały nam bardzo złe spojrzenia. Każde z nas zapakowało sobie po makabrycznej głowie pod lewą pachę i pobieглиśmy na południe. Wkrótce znów mieliśmy skręcić, żeby celować w Calais. Żywiołak obiecał prowadzić nas wiejskimi terenami, żebyśmy – jeśli to możliwe – nie rzucali się za bardzo w oczy.

Przeprosiłem Oberona, że wykluczmy go z naszych rozmów, i wyjaśniłem mu, że to chodzi o odcięcie się od bogiń, broń bogowie nie od niego.

<Nie ma sprawy, Atticusie. Po prostu jestem szczęśliwy, że wróciłeś>.

Ja też, chłopie.

Przechodząc więc na staroirlandzki, powiedziałem do Granuaile:

– Wiem, że nie jest jeszcze po sprawie, tylko dlatego, że Morrigan zastrzegła, że nie będziemy bezpieczni, póki nie dotrzemy do Windsoru. A to jeszcze niestety kawał drogi.

– A jak myślisz, dlaczego reszta Olimpijczyków się w to jakoś nie angażuje?

– Moim zdaniem to jest trochę sprawa honorowa. Łowczynie chcą nas zabić same, choć

prawdę powiedziawszy, nigdy by się nam nie dobrały do skóry, gdybyśmy mogli przenosić się w inne krainy tak jak zwykle. Jeśli zaś chodzi o pozostałych Olimpijczyków, Odyn coś wspominał o rozkazie nieinterweniowania, jaki padł od jakichś innych bogów, choć nie wiem, którzy by to mieli być. W każdym razie jestem pewien, że Olimpijczycy obserwują to polowanie, ale mają też świadomość, że obserwują je również inni. Na pewno nie jedyny Odyn śledzi je z zainteresowaniem.

– Aj. Masz na myśli, że to mnie śledzą, prawda?

– Tak. Nie jesteś już tak anonimową postacią jak kiedyś. Ale chodzi mi głównie o to, że jest to teraz międzypanteonowa gra o władzę. My wypchnęliśmy z planszy Bachusa, więc oni zabili Morrigan i dostali za to punkcik w kolumnie „skurczybyczość”. Jeśli jednak nie uda im się nas teraz wykończyć, będzie jasne dla wszystkich, że śmierć Morrigan to był tylko ich fuks, albo, jeśli mam rację... samobójstwo.

– Samobójstwo?!

– Tak. Szafarka Śmierci wybrała samą siebie.

– Ale dlaczego?

Nie byłem jeszcze gotów na tę rozmowę. Głównie oczywiście stało się to dlatego, że Morrigan czuła cały ciężar wiecznego wyroku – nigdy już nie mogła się zmienić, spętana więzami ludzkiej wiary. Ale to wyjaśnienie pociągało oczywiście za sobą pytanie, dlaczego w ogóle miałyby chcieć się zmieniać, a to z kolei prowadziło do rozmowy o naszych dziwnych relacjach. Odkrycie, że Morrigan mnie kochała, zrzuciło mi na kark całe kłębowisko sumieniofretek i nie potrafiłem się z nich jakoś otrząsnąć. Jednym słowem nie był to miły temat na pogawędkę. Będziemy musieli o tym porozmawiać, i to szybko, ale jednak teraz nie czułem się na siłach.

– Później o tym porozmawiamy, dobra? – poprosiłem.

– Dobra, tylko żeby nam to jakoś nie umknęło.

– Nie umknie.

– Ale mówiłeś o Olimpijczykach?

– Będą się starali za wszelką cenę ograniczyć swój udział do łowczyń. Im więcej wysiłku muszą włożyć w to, żeby nas pokonać, tym to pomniejsza wagę ich zwycięstwa nad Morrigan. I tym żałośniej wypadają. Już pomijając nawet to, że ktoś zakazał im się wtrącać, to przecież jak to będzie wyglądać w oczach innych panteonów, jeśli będą musieli tak strasznie się wysilić tylko po to, żeby nas wykończyć. To pewnie dlatego nie widzą nas w kamuflażu. Tym razem Minerwa nie bierze udziału w grze.

– Ale przecież gra całkiem sporo z nich. Neptun wywołał to trzęsienie ziemi w Rumunii, Pan i Faun z kolei wywołali pandemonium, żebyśmy nie mogli się nigdzie przenieść. A bogowie kuźni wykuli im przecież nowe rydwany, nie?

– No właśnie. I tak wygląda to już słabo. Ale gdyby chodziło im tylko o ukatrupienie nas bez względu na konsekwencje, to dawno by im się już udało. Wyobraź sobie, że pojawiają się tu przed nami Ares, Mars, Atena, Minerwa i obydwaj Apollowie. Czy mielibyśmy z nimi jakiegokolwiek szanse?

– Aj. Nie. Domyślam się, że nie.

– Słusznie się domyślasz. Oczywiście już nie są tak potężni jak niegdyś, ale jednak to nadal bardzo silne istoty i nie mielibyśmy jak im stawić czoła w siłowej walce. Możemy się tylko zdać na spryt. Z tego wniosok, że nie chodzi tu tylko o to, żeby nas zabić, ale też jak zginiemy. W grę wchodzi więcej polityki, niż można by przypuszczać.

Potem opowiadaliśmy sobie, co się zdarzyło między moją śmiercią a walką z Artemidą. Wydaje mi się, że Granuaile pominęła część z tego, co czuła i myślała, gdy umarłem, ale nie

przeszkadzało mi to. Też jej przecież nie powiedziałem o wszystkim, co mi przychodziło do głowy, gdy zalała mnie szara fala depresji.

Biegliśmy sobie spokojnie na południowy zachód, póki nie postanowili nam złożyć wizyty Hermes i Merkury. Zagadnęli nas, nim jeszcze przekroczyliśmy granicę belgijską. Zstąpili z niebios na tych swoich ciupinkich skrzydełkach i wisieli nad nami, póki się nie zatrzymaliśmy. Jak zwykle to Merkury odwalił całą gadkę, a Hermes tylko gapił się na nas w milczeniu.

– Uwolnijcie boginie – walnął Merkury prosto z mostu i po angielsku.

– O, cześć chłopaki! – Pomachałem do nich Fragarachem i uśmiechnąłem się. – Mówicie od siebie czy dostarczacie czyjąś wiadomość?

– Tako rzeczą Jowisz i Zeus.

– Miło, bardzo miło to z ich strony. Ale jak już pewnie zauważyliście, nie reaguję najlepiej na tego typu polecenia. Jesteście tutaj, żeby pogadać chwilę, czy też tylko macie mi przedstawić ultimatum, a potem wypuścić na mnie jeszcze paru Olimpijczyków, jak już odmówię?

Merkury warknął głucho, ale jednak powiedział tylko:

– Pragniesz mówić, śmiertelniku? Mów zatem.

– Dzięki! Bo ostatnim razem to jakoś nie bardzo byliście skorzy do słuchania. Normalnie aż się człowiek zaczyna zastanawiać, czy wam w ogóle zależy na tym Bachusie, bo przecież jak nas ubijecie, to już na pewno go nie odzyskacie. Czy poprzednim razem nie wyraziłem się dość jasno? Tylko my wiemy, gdzie on jest. I nikt poza tym. Nie możecie nawet zapytać Tuatha Dé Danann. Oni nie mają o tym pojęcia.

– Jest więc twoim zakładnikiem.

– Nie, nie jest zakładnikiem. Nie żądam przecież od was żadnego okupu w postaci torby nieznaczonego banknotów. Jeśli o mnie chodzi, to może sobie zostać tam, gdzie jest. A skoro wy też najchętniej byście go stamtąd nie wyciągali... a raczej rozumiem, że takie jest wasze stanowisko, skoro chcecie nas zabić... to wygląda na to, że w sprawie Bachusa gramy w tej samej drużynie, i naprawdę nie pojmuję, skąd się wam w ogóle wzięło to wrogie nastawienie. Może byście nas oświecili w tej sprawie. To chcecie odzyskać tego Bachusa czy jednak raczej nie?

Boscy posłańcy spojrzeli po sobie, po czym Merkury westchnął.

– Chcemy go odzyskać.

– Bosko. Dziękuję bardzo, że mi to wyznaliście. Teraz ja wyznam wam bez bicia, że chciałbym, żeby mi wszyscy dali święty spokój. Więcej, jesteśmy tu teraz tylko dlatego, że nie chcecie mnie zostawić w spokoju. Przecież to nie ja zacząłem tę bójkę, tak? To Bachus i Faun. Rozwiązanie jest więc bardzo proste i bardzo bym był wdzięczny, gdybyście przekazali moją propozycję Jowiszowi i Zeusowi.

Merkury skinął głową, a Hermes przymknął powieki na znak, że mnie słuchają.

– Najważniejsze przykazanie brzmi: Nie będziesz zadzierał z druidami. Najlepsze w nim jest to, że nie wymaga z waszej strony żadnego wysiłku. Najprostsza reguła świata. Możecie odzyskać głowy łowczyń, gdy tylko obiecacie nam, że nie pozwolicie im więcej na nas polować ani w żaden sposób szukać na nas zemsty przez wszelkich pośredników i najemników. I to samo dotyczy Bachusa. Zwrócę go wam z wielką chęcią, jeśli tylko będę miał pewność, że nie pozwolicie mu więcej próbować nas zniszczyć. A, i tak na wszelki wypadek zaznaczę, że dotyczy się to wszystkich Olimpijczyków. Jeśli tylko Jowisz i Zeus dadzą mi słowo, że nie pozwolą członkom swojego panteonu nas niepokoić, to nie będziemy musieli się bronić i poniżać kolejnych waszych dumnych dupków. – I dla podkreślenia tych słów zamachałem mu

przed nosem głową Diany. – Koniec wiadomości.

Merkury prychnął w pierwszym odruchu, ale gdy przyjrzał się bliżej Dianie, stracił pewność siebie.

– Przekażemy twoje androny.

Razem z Hermesem unieśli się z powrotem na nieboskłon i zniknęli w słońcu.

– To było mało dyplomatyczne – skomentowała po staroirlandzku Granuaile.

– Wiem – przyznałem – ale tu nic się nie osiągnie miłymi słówkami. Bogowie nieba nawet nie zaczęli jeszcze traktować nas poważnie. Posyłają tylko swoich poddanych, żeby nam stawiali warunki. Będzie trzeba podbić stawkę, żeby w ogóle zaczęli się nami przejmować.

– A jak ją podbijemy?

– Wymyślimy coś w Anglii. Morrigan widziała niby jakieś wyjście z sytuacji, jeśli tam się znajdziemy, ale ni Holendra nie wiem, co mogła mieć na myśli. W każdym razie, póki tam nie dotrzemy, chodzi tylko o to, żeby grać na zwłokę, co też zrobiłem. Biegnijmy.

– Dobra. – Wzrok Granuaile ześliznął się na głowę Diany i nagle jęknęła. – Atticusie, zaczekaj. Czy Diana, no wiesz, czy ona jeszcze z nami jest?

– Co? – Popatrzyłem na Dianę i zobaczyłem, że szczeka jej luźno zwisa. Nigdy mi nie wyglądała na kogoś, kto oddycha przez usta, a nawet jeśli, to przecież teraz nie miała jak oddychać. Odwróciłem się plecami do Granuaile – a zatem i do Artemidy – wyciągnąłem głowę spod pachy i złapałem w obie dłonie.

Oczy Diany były zamknięte, kąciki ust obwisły bezwolnie. Uderzyłem ją lekko w policzek, żeby zobaczyć, czy wywoła to jakąkolwiek reakcję, choćby odruchową, ale nic z tego. Zamknąłem jej usta, lecz znów się rozchyliły.

Nadal trzymając się staroirlandzkiego, spytałem przez ramię:

– A jak tam twoja?

– W porządku. Znaczą się, wściekła jak osa, ale żyje. A twoja?

– Hm. Możemy mieć mały problem. – Włączyłem szkło faeryczne i zobaczyłem, że zniknął gdzieś biały blask mocy Diany. A wraz z nim cała jej aura. Wyglądało na to, że jest naprawdę martwa.

– A uniosłabyś mi swoją głowę? – poprosiłem. Wyginając szyję, obejrzałem się na Artemidę i zobaczyłem, że jej energia cały czas świeci jak trzeba. – Dobra, dzięki.

U Diany już tego nie było i olśniło mnie, że być może to moje zimne żelazo powoli zduszało utrzymującą ją przy życiu magię. Nie zadziało tak szybko jak przy faeriach, które rozpadały się przecież natychmiast pod moim dotykiem, ale jednak powoli, pod wpływem długotrwałego kontaktu, nieubłaganie nastąpił rozpad magii. Niepokoilo mnie teraz to, czy bogini odeszła na zawsze, czy też będzie mogła narodzić się na nowo na Olimpie, z samej tylko idei dziewictwa i ambrozjowatego ciała. Czy, innymi słowy, przypadkiem zmieniłem ją w śmiertelniczkę, czy też była tylko w *większości* martwa?

Im dłużej będziemy tu się w nią teraz wpatrywać, tym większe ryzyko, że jakiś boski obserwator wyglówkuje, co się stało – jeśli już nie wiedzieli. Jak tak teraz myślałem o reakcji Merkurego, nim odleciał, to może on już się połapał w sytuacji? Lepiej, żeby Olimpijczycy nie wiedzieli, że potrafię zrobić coś takiego.

Zapakowawszy sobie jej głowę z powrotem pod pachę, jak gdyby nigdy nic, rzuciłem tylko:

– Biegnijmy, ale ty przodem, żeby Artemida nie zobaczyła, co się stało.

Granuaile zaczęła więc biec, ale jeszcze przez ramię krzyknęła:

– Wykitowała?

– Trudno powiedzieć. Myślę, że wkrótce nastąpi jakaś reakcja ze strony Olimpu. Jeśli

przylecą po Artemidę, zdziel ją kijem w głowę, nim ją im oddasz.

– Yyy. To się wydaje jakieś nefajne.

– Znaczy się, bo jest teraz bezbronna? To nie morderstwo, skoro nie możesz jej zabić. To jedynie oddzielenie jej świadomości od ciała. Tylko inni bogowie mogą zabić Olimpijczyków.

– Chyba że właśnie ci się to udało.

– No tak. Ale poza tym, że odrąbałem jej łeb, to naprawdę nie chciałem jej zabić.

Granuaile wybuchnęła śmiechem.

– Wiesz, że jestem po twojej stronie, ale ta argumentacja mogłaby nie przekonać postronnego słuchacza.

– Wiem. Nic to, pożyjemy, zobaczymy.

Przekroczyliśmy belgijską granicę i popędziliśmy dalej krętą drogą, przez farmy i wioski, okrążając jednak miasta, z rzadka słysząc jakieś trąbienie kierowców, jeśli któryś nas zauważył akurat na swojej drodze. Tymczasem nad naszymi głowami zaczęły się zbierać burzowe chmury, a poranna droga Belgów do pracy stała się jeszcze bardziej ponura niż zazwyczaj.

– Hmm. Coś czuję, że Zeus i Jowisz już otrzymali naszą wiadomość. Zanoszą się na ich odpowiedź.

– Jak myślisz, co powiedzą?

– Myślę, że nic nie powiedzą.

– To co to za odpowiedź?

Z chmur strzeliły w nas dwa pioruny. Fulguryty ochroniły nas przed nimi, ale przekaz był dość jasny.

– To właśnie była ich odpowiedź – powiedziałem, bo czegoś takiego właśnie się spodziewałem. Tylko że to, co nastąpiło potem, kompletnie mnie zaskoczyło.

<Hej! Uwaga!> ryknął biegnący za nami Oberon, ale nie zdążył na czas ustrzec nas przed Hermesem i Merkurym, którzy zaskoczyli nas od tyłu i wytrącili nam głowy z rąk kaduceuszami (czy to przypadkiem nie miały być symbole uśmierzania sporów, na litość boską?). Żadna z głów jednak nie podskoczyła na tyle zgrabnie, żeby boscy posłannicy mogli je pochwycić w locie. Smętne makówki potoczyły się tylko u naszych stóp, a my zwołaliśmy, żeby je podnieść. Nie mogliśmy przecież pozwolić na to, żeby Hermes i Merkury zwiali nam z głowami – choćby dlatego, że wtedy odkryliby, co się stało z Dianą. Poza tym na pewno w mig potrafiliby naprawić Artemidę i byłaby wtedy ledwie godzinę za nami. Już i tak miałem Fragaracha w prawej ręce, więc wystarczyło, że wyszarpnąłem go z pochwy i rozłupałem łeb Diany, nim Merkury zdołał go podnieść. Granuaile nie poszło jednak tak łatwo z Artemidą. Hermes szybciej zatoczył koło albo głowa potoczyła się trochę dalej i jedyne, co Granuaile zdołała zrobić, to zamachnąć się na niego kijem, żeby nie dać mu dostępu do głowy. Była jakieś trzydzieści metrów przede mną, a gdybym rzucił jej się na pomoc, Merkury z pewnością by to wykorzystał. Nie mogłem spuścić go z oczu, bo na pewno ucieszyłby się, gdybym mu się teraz nastawił do ciosu plecami. Jeśli walczył równie dobrze, jak rzucał łaciną, to szkoda gadać.

Oberonie, chcesz poaportować?

<Jasne>.

Od razu zrozumiał, co mam na myśli. Gdy my zajęliśmy się skrzydlatymi chłopcami, Oberon podbiegł do głowy i chwycił ją w zęby za koński ogon. Hermes ryknął, gdy zobaczył, jak głowa bogini zwisa mojemu psu z pyska, a ja spojrzałem kontrolnie kątem oka.

Dobra – powiedziałem, wracając wzrokiem do Merkurego – a teraz dawaj ją tu i rzuć mi ją pod nogi.

Obaj bogowie pomknęli ponad nami przeszkodzić wilczarzowi, ale my cofnęliśmy się w jego stronę, a on przemknął jedyną bezbożną drogą i zdołał rzucić mi Artemidę do stóp. Wylądowała z nieprzyjemnym chlupotem. Olimpijczycy zawyli z oburzenia.

– No, bez przesady – zachnąłem się. – Nie minie dzień, a obie panie będą znów całe i zdrowe, dobrze o tym wiecie. Gdyby Zeus i Jowisz raczyli się tu do mnie pofatygować na rozmowę, w ogóle nie musielibyśmy przez to wszystko przechodzić.

Nie odpowiedzieli, ale też nie zaatakowali. Co innego próbować wyrwać nam głowy bogiń, a co innego bezpośrednio nas zaatakować, włączyć się do gry i naruszyć reguły, o których wspomniał Odyn. Unosili się tylko nad naszymi głowami, aż trzęsąc się z chęci unaocznienia nam, czym jest prawdziwy atak z powietrza, ale my staliśmy spokojnie i czekaliśmy, słowem nie komentując kotłujących się nad naszymi głowami chmur. W końcu odlecieli na południe, w kierunku Olimpu, a nasze napięte mięśnie się rozluźniły.

<Wcale nie są mili dla zwierząt> zauważył Oberon. <Jakim cudem stali się symbolami przesylek kwiatowych?>

Rozdział 16

W Belgii nie mieliśmy nawet co liczyć na odpoczynek. Zatrzymaliśmy się tylko raz, i to nawet nie na jedzenie. I dlatego właśnie nie miałem okazji zgłębić jednej z największych tajemnic współczesności: jak Belgowie nazywają gofry belgijskie? Czy to dla nich zwykłe Gofry? A może Narodowy Smakołyk Śniadaniowy? Pozostanie to dla mnie tajemnicą na razie, tak zresztą jak sprawa czekolady belgijskiej oraz belgijskiego witbiera. Odkąd Belgia stała się sławą wśród producentów pyszności, nie miałem wiele okazji, żeby spędzić tam czas na degustacjach. Tym razem też nie. Obawiam się, że będę więc musiał się wycofać na z góry ustalone przez współczesnych pozycje i to zwyczajnie zgooglować.

A zatrzymaliśmy się ze względu na Hugina i Munina, którzy sfrunęli do nas, by przekazać nam najnowsze wiadomości z TVOdyn Info.

Munin wskazał mi Hugina, bo to z tym krukiem miałem się spleść mentalnie. Słowa Odyna wlały się w mój umysł mniej więcej tak, jak dzieje się to ze słowami Oberona, ale mimo to nadal trochę się dziwnie czułem, bo patrzyłem przecież przy tym na kruka zamiast na jednooką twarz boga.

<Álfarowie zniszczyli trzydziestu Svartálfarów, którzy zaczęli się na waszej drodze. Prosilili mnie, żebym przekazał wam słowa podziękowania za taką okazję>.

Álfarowie zabili trzydzieści mrocznych elfów?!

O. Hmm. Tego... nie ma za co. Prześlę im jakiegoś dobrego irlandzkiego whiskey, gdy tylko będę miał jak i jeśli będziesz tak uprzejmy im go przekazać.

Jeśli ktoś uratuje cię przed śmiertelnym niebezpieczeństwem, wiesz mu coś mocniejszego. To uniwersalna reguła obowiązująca we wszystkich czasach i kulturach.

<Oczywiście. Na razie jednak ważniejsze jest to, że Olimpijczycy wiedzą już, że podążacie w stronę kanału La Manche. Neptun i Posejdon już wzbudzają ocean. Wiem to od mojego boga morza, Ægira. Przygotujcie się na jakiś podstęp, na... jak to się mówi po irlandzku?>

Shenanigan.

<O, toto – zgodził się Odyn. – Dużo shenaniganów>.

Moją wodną formą była wydra morska, a Granuaile mogła się przemieniać w morsa. Generalnie dalibyśmy radę przepłynąć tak kanał, a Oberon mógłby płynąć pieskiem obok nas, ale gdyby trzeba było przy tym skopać komuś tyłki, to już nie wiem, jak byśmy mieli to zrobić. I rozumiałem dobrze ich logikę – to przecież nie to, że olimpijscy bogowie morza dołączyli do polowania – ot, zjadły nas przypadkiem rekiny, wypadki chodzą... znaczy pływają po ludziach.

Choć już wiedziałem właściwie, że to nie wchodzi w grę, kontrolnie zapytałem jeszcze Odyna:

A nie moglibyśmy po prostu wskoczyć do eurostara i uniknąć całej tej zadymy?

<Możecie spróbować. Jeśli wydaje wam się, że zdołacie się jakoś prześlizgnąć przez strażę, którymi obstawili każdą stację, i chcecie dać się zamknąć w metalowym pojemniku z całym tłumem niewinnych ludzi, a przy okazji złamać reguły, które uniemożliwiają Olimpijczykom sfrunięcie tu na was w całej okazałości, to oczywiście, nie wahajcie się nawet przez chwilę>.

Wiedział bardzo dobrze, że tego wolałbym uniknąć.
A co z Artemidą i Dianą? Słyszałeś coś o nich?

<Są z powrotem na Olimpie, przyzwyczajają się do nowych ciał i czekają na kolejne rydwany. Przez jakiś czas nie będą jeszcze w stanie za wami gonić>.

Odetchnąłem z ulgą – nie tylko na wieść o dodatkowym czasie. Cieszyłem się, że Diana nie umarła prawdziwą śmiercią, bo gdyby tak się stało, nie byłoby już żadnych szans na pokojowe negocjacje.

<To, jak potraktowaliście ich głowy, było niezwykle zabawne> zauważył Odyn.

Hmm, no tak, pewnie dla nich mniej. Słuchaj, Odynie, jeszcze bym cię prosił o jedną przysługę. Gdybyś tak mógł dać znać Manannánowi Mac Lirowi z Tuatha Dé Danann, co jest grane. I jeszcze najlepiej Flidais. Potrzebujemy trochę irlandzkiej pomocy, żeby się przeprawić przez kanał, bo naprawdę nie mamy nic na obronę przed Posejdonem i Neptunem. A potem w Anglii przydałaby się nam pomoc Flidais.

Kruk zakrakał, a głos Odyna syknął:

<Nie jestem twoim chłopcem na posyłki>.

Wiem i dlatego powiedziałem, że to by była przysługa. – Czułem przez skórę, że Odyn byłby skłonny do pomocy, tylko że nie dość skutecznie zagrałem na jego ego. Przypomniałem sobie, że dieta w Valhalli jest niezbyt urozmaicona (miałem okazję zjeść kiedyś posiłek z Odynem i Frigg), więc pomyślałem, że udobrucham go jakimiś produktami spożywczymi z wyższej półki. – Za którą wyślę ci najlepsze irlandzkie whisky oraz trochę Girl Scout Cookies.

Jasne, że sam sobie je mógł z pewnością załatwić, ale wszystko zawsze smakuje lepiej, gdy ma posmak kontrabandy.

<Jeśli to wymiana usług, to zupełnie inna sprawa> oświadczył bóg łaskawie. <Chcę gros tych Samoasów, które proponowałaś wiedźmom w Polsce, oraz skrzynkę Redbreasta. I to takiego piętnastoletniego. To moje ostatnie słowo>.

Umowa stoi. Tylko musi się do tego stawić Manannán i musimy przeżyć.

<Zrobię, co w mojej mocy, by się stawił. Nim odejdę, mam jeszcze jedno pytanie: wiadomo ci coś może na temat sytuacji wampolitycznej?>

Jakiej sytuacji wampolitycznej?

<W Rzymie wielkie larum. A raczej larum na całym świecie, poza Rzymem, bo tam właśnie cisza. Wczoraj za dnia zamordowano dwadzieścia siedem wampirów, i to dość wiekowych, stojących wysoko w wampirzej hierarchii. Znalaziono je bez głów>.

Zmarszczyłem czoło.

Tylko wampiry? Ich ludzcy ochroniarze przeżyli?

<A, thrallowie, tak. Ich też znalaziono martwych. Ale larum nie podniosło się przecież z ich powodu>.

Interesujące.

<Wiadomo ci więc coś o tym?>

Wszystko mi było o tym wiadomo. Podczas naszej ostatniej wizyty w Tír na nÓg poprosiłem Goibhniu, żeby zaaranżował całą tę akcję. Chodziło o to, żeby wyznaczyć nagrodę za wampirze łby, przy czym polowanie zacząć od centrum ich władzy, czyli Rzymu. Wieść miała

się rozejść wśród wszystkich najemnych cisowców. W życiu jednak nie przypuszczałem, że pójdzie im tak dobrze, a już na pewno nie, że się zmówią między sobą i w jeden dzień wyeliminują wszystkie wampiry w całym mieście, choć i tak liczyłem na poważne zakłócenia w wampirzej hierarchii. Taka skuteczna akcja, wręcz można powiedzieć dekapitacja dwudziestosiędmiołowej hydry, wyjaśniała poniekąd, dlaczego już od polskiej granicy nie natknęliśmy się na ani jednego wampira oraz dlaczego Leif był zbyt zajęty, by samemu dostarczyć nam swoją informację. Lepiej jednak, żeby Odyn tego wszystkiego nie wiedział. Nie dało się przewidzieć, komu to potem wygada, a na pewno nie chciałem, żeby o wszystkim dowiedział się tajemniczy lalkarz z Tír na nÓg, bo z pewnością wypaplałby wampirom, że to ja płacę za ich głowy.

Nie – odparłem. – Nic mi o tym nie wiadomo, poza tym, co mi teraz powiedziałaś, ale nie ukrywam, że bardzo mi to na rękę.

<Szukali was, prawda? To zamieszanie powinno ich zająć na jakiś czas, co przypadkiem bardzo jest dla ciebie korzystne, czyż nie?>

Tak, to bardzo korzystny zbieg okoliczności – zgodziłem się.

Theophilus wyglądał mi na faceta, który woli władać z ukrycia i w nic się bezpośrednio nie angażować, ale teraz będzie musiał jednak sam zacząć rządzić. Albo w każdym razie spędzić sporo czasu i energii na obstawianiu stanowisk nowymi marionetkami. A jedną z nich może być Leif. Głowę dając, że Leif już kombinuje, jak obrócić to na swoją korzyść, tak zresztą jak i każdy inny wampir.

<Taaak> mruknął Odyn, a łebek Hugina przechylił się nieco na znak, że Odyn mocno powątpiewa w ten mój zbieg okoliczności. <Nic to. Ruszam szukać twojego boga morza. Ciasteczka i whisky zostaw w skrytce w Kolorado>.

Bardzo ci dziękuję, Odyne.

<To ja dziękuję za rozrywkę. Einherjarowie z wielkim przejęciem zakładają się o wyniki tej gry, a twój powrót do życia sprawił, że zamknięte zakłady znów stały się otwartymi. Boje, które to wywołało, były doprawdy wspaniałe. Swoją drogą, jak ci się udało przeżyć strzał w głowę?>

Wzruszyłem ramionami, jakby to była błahostka. Lepiej, żeby za dużo nie wiedział.

Jaki jest kurs zakładów?

<Obstawiają raczej, że przetrwasz> odparł łaskawie Odyn. <Ale że kobieta i pies to już nie. Trzy do jednego>.

Postanowiłem zerwać połączenie, nim wymsknie mi się coś niewybaczalnie niegrzecznego.

Rozdział 17

Do Calais dotarliśmy około pierwszej po południu. Byliśmy tak wykończeni, że musieliśmy odpocząć, przy okazji dając Odynowi czas na skontaktowanie się z Manannánem Mac Lirem. Poza tym mieliśmy teraz sporą przewagę nad łowczyniami, mogliśmy się więc spokojnie zrelaksować – w każdym razie przestać na chwilę biec – i zjeść jakiś przyzwoity posiłek, nim w nocy zabierzemy się do przeprawy przez kanał. Wślizgnęliśmy się do pierwszego z brzegu butiku po ciuchy i wyszliśmy stamtąd, prezentując się wreszcie dość cywilizowanie, by nie powiedzieć – modnie. Zwędziliśmy też sześć skórzanych pasów, które potem nam się przydadzą. Zapamiętałem sobie nazwę sklepu, żeby mieć jak im później za to wszystko zapłacić. Bojąc się, że nie uda nam się krótka drzemka, postanowiliśmy w ogóle nie spać i zamiast tego powalęsać się przez kilka godzin po mieście. Oczywiście miałem szeroko otwarte, ale starałem się ukrywać tę moją paranoję. Starannie unikaliśmy wszelkich rozmów na temat niedawnej przeszłości i przyszłości. Chyba obydwójce rozpaczliwie potrzebowaliśmy choć kilku okruczeń normalności. Nauczyłem Granuaile kilku słów po francusku, a Oberonowi wyjaśniłem, że jedzenie, którego szuka, nazywa się tu *saucisse*. Znow zrobiliśmy napad na mięso, ale Oberon gderał, że tutejsze dania nie umywają się do tego, co jedliśmy w Polsce. W każdym razie na pewno zaspokoilo to nasz głód na tyle, żebyśmy mogli dotrzeć do następnego posiłku.

Po zachodzie słońca poszliśmy nad kanał i tam znaleźliśmy restauracyjkę Le Grand Bleu, która wyglądała dość obiecująco. Nim weszliśmy, poprosiłem Granuaile i Oberona, żeby poczekali na zewnątrz, a ja wszystko przygotuję. Zrzuciłem kamuflaż, a potem pożyczyłem komórkę z torebki jakiejś niczego niespodziewającej się nastolatki, żeby zadzwonić do Arizony, do mojego prawnika Hala Hauka. Szedłem za nią, gdy dzwoniłem. Niestety w wyniku uzależnienia od sprawdzania esemesów czy czegoś takiego zatęskniła za telefonem o wiele szybciej, niż sobie to oszacowałem. Jej francuskie przekleństwa były dość interesujące, ale nie mogłem w pełni się nimi nacieszyć, bo Hal odebrał telefon.

– Kimkolwiek jesteś, jest czwarta nad ranem! – ryknął bez zbędnych wstępów. – Lepiej, żeby to było coś ważnego.

– Cześć, Hal! – zawołałem, starając się nadać swojemu głosowi możliwie radosny ton. – Tu Atticus. W trakcie ucieczki. We Francji. Bez żadnego dowodu tożsamości. I bez pieniędzy. Których bym potrzebował od zaraz. Znasz może kogoś w Calais?

Hal jęknął głucho.

– Migreny się przez ciebie nabawię – zaczął gderać.

– Ty nigdy nie miewasz migren – przypomniałem mu. Nie mogłem mu oczywiście powiedzieć, że w ogóle wilkołaki ich nigdy nie mają, bo staraliśmy się, żeby słowa takie jak „wataha” czy „wilkołaki” nie śmigały po satelitach komunikacyjnych.

– Co nie znaczy, że się jej jednak przez ciebie nie nabawię – mruknął. – Co do twojego pytania, to tak, mam chyba kogoś w okolicy.

– A mógłby ten ktoś spotkać się z nami w restauracji Le Grand Bleu i dać mi zwitek eurasów, a ty byś mu potem przelał za to odpowiednią kwotę z któregoś z moich kont?

– Jasne, że by mógł. W co ty się znowu wpakowałeś?

– Wszyscy mnie próbują zabić. Udało im się to na szczęście tylko raz.

– Że co takiego?

– Ale dobra wiadomość jest taka, że Granuaile jest już pełną druidką.

– Świetnie, ale kto cię chce dorwać?

Nie mogłem mu powiedzieć wprost, bo nie wiedziałem przecież, kto podsłuchuje, więc zaimprovizowałem tupecik na łysą prawdę.

– Uciekam w tym LARP-ie przed kilkoma drużynami.

Hal od razu zrozumiał i powiedział:

– Oczywiście. Którymi?

– Faeriami, Svartálfarami, wampirami i Olimpijczykami. A poza tym przed Hel i Lokim.

Hal puścił wszystko to mimo uszu poza ostatnim.

– Przed Lokim?! Loki jest na wolności? Znaczą się gra w twoim LARP-ie?

– Tak, do pewnego stopnia. Scenariusz jest taki, że wyrwał się ze swoich okowów kilka miesięcy temu, ale większość tego przespał, bo musiał się porządnie podleczyć i miał duże niedobory snu. Potem udało mi się może nieco odwrócić jego uwagę od Ragnaröku pewnym shenaniganem, ale obecnie znajduje się pod kontrolą sabatu Maliny w Polsce. A, i zanim zapomnę, pamiętasz tę chatkę w Kolorado, której kupno mi kiedyś załatwiałeś?

– Tak.

– To dobrze, bo chciałbym, żebyś mi kupił skrzynię piętnastoletniej whisky i jeszcze jakimś cudem załatwił gros Samoasów, a potem jak najszybciej zapakował to wszystko do tej chatki. Może niech Greta to załatwi.

Zapadła cisza na tyle długa, że się przestraszyłem, że mi się zerwało połączenie. Już miałem to sprawdzić, gdy Hal powiedział.

– Wybacz, że spytam, ale czy to jakiś socjologiczny eksperyment? Chcesz, żebym wytrzasnął skądś stu czterdziestu czterech Samończyków i wcisnął ich do twojej chatki wraz ze skrzynką whisky?

– Nie. Powiedziałem przecież: Samoasów! To takie ciasteczka marki Girl Scout Cookies. Z czekoladą i kokosem. Poza Stanami to towar wysoce luksusowy. Sam widziałem, jak na malezyjskim czarnym rynku szły za pięćdziesiąt dolców paczka, a my je możemy kupić za marne cztery. Tylko że teraz już nie ma na nie sezonu, więc to nie będzie takie łatwe.

– Nie ma sezonu?

– Tak, Hal, przecież nie sprzedają ich cały okrągły rok, nie? Zwykle tylko od stycznia do kwietnia, a my tu mamy dopiero październik. Na pewno gdzieś je w końcu znajdziesz, ale łatwo nie będzie. Powierzam ci tu ważne zadanie.

– Za stary jestem na to, żeby uganiać się za ciasteczkami jakichś harcerek!

– Ja jestem starszy i płacę ci za to, żebyś był moim ciasteczkowym potworem.

– Nie po to studiowałem prawo.

– Nie. Prawo studiowałeś po to, żeby mnie za to odpowiednio wykasować.

Westchnął ciężko przez telefon. Jego frustracja bardzo dobrze się niosła przez Atlantyk.

– W jaki sposób nasza konwersacja w ogóle dotarła do tego punktu? Czy myśmy przypadkiem nie zaczęli od tego, że wszyscy próbują cię zabić? Wróćmy do tego, jak powiedziałeś, że już raz cię zabili.

– Hal, nie mam teraz czasu na wyjaśnienia. Pożyczyłem ten telefon i muszę go oddać. Po prostu wyślij kogoś do mnie do Le Grand Bleu z hojnym zwitkiem banknotów i załatw tę kontrabandę. Bardzo ładnie cię proszę.

– Dobrze, ale wyślę ci też rachunek za moją terapię.

– Jasne, nie krępuj się. A, i jeszcze mamy kilku okolicznych sprzedawców, którym też by się pewnie przydało zadośćuczynienie za moje dzisiejsze poczynania. Niechby tak twój człowiek zostawił też kilkaset eurasów w tym sklepie. – Podałem mu adres butiku, a potem jeszcze tej knajpy, z której zwinęliśmy mięso, po czym natychmiast się rozłączył, nim mi przyszło do

głowy, co jeszcze mógłby dla mnie zrobić.

Wrzuciłem telefon z powrotem do torebki nastolatki, a potem rozplotłem kamuflaż. Granuaile stała kawalek dalej. Przy niej siedział Oberon, wzbudzając spore zainteresowanie przechodniów.

<Ach, Francuzi są wspaniali> zachwycił się, gdy dwie kobiety przystanąły, by uśmiechnąć się do niego i podrapać go za uszami. <Świetne jedzenie, zabawne małe buldogi i te superseksowne pudlice. Zasłużyli się dla świata, prawda? A mimo to potrafią docenić największe osiągnięcie Irlandii – mnie – i to dlatego ich dłonie są tak miękkie. Składają mi hołd swoimi miękkimi dłońmi>.

Oberonie, znowu to robisz. Znowu twoje ego przesłoniło ci rozum.

<Słucham? Nie słyszałem, co mówisz, bo zbyt jestem zajęty byciem podziwianym. Co one mi tam mówią? Że jestem dobrym pieskiem? Po francusku brzmi to tak słodko. Niemal jakby karmiły moje uszy cukrem, masując je jednocześnie tymi wspaniałymi palcami...>

Opanuj się, psie.

<Nie potrafię. One mają nawilżone dłonie. Czyś ty nie słyszał nigdy o kremie do rąk, Atticusie?>

Puściłem mimo uszu jego przycinek i powiedziałem:

Wejdzimy teraz do środka, żeby coś zjeść. Gotowy wcisnąć się pod stół?

<Nie bardzo. A nie mógłbym się teraz zdrzemnąć, póki wy się będziecie bawić nożem i widelcem? Przynieście mi coś potem w torbie, dobra?>

Niech ci będzie. Gdzie się chcesz uwalić?

Oberon zajrzał na tyły restauracji, po czym rozłożył się tam wygodnie pod ścianą.

<Nieświadomość za T minus pięć minut! Pięć! Cztery!>

Masz na myśli sekund?

<Co za różnica...>

Rzuciłem na niego kamuflaż, żeby nikt go nie zgłosił jako bezpańskiego psa, po czym ująłem dłoń Granuaile i ścisnąłem lekko. Przez następną godzinę, może dwie, możemy po prostu cieszyć się życiem, zamiast uciekać, żeby je ratować. Uśmiechnęła się do mnie i pochyliła na szybkiego całusa. Jakoś jednak przemienił się on w o wiele dłuższy pocałunek.

<O, fuu! Ludzkie zwyczaje kopulacyjne. Gdyby to był film, tobym sobie przewinał tę scenę>.

Miałeś spać.

<I spałbym, gdyby tych dwoje ludzi nie zgniatało sobie nawzajem twarzą tuż przed moim pyskiem>.

Zlitowaliśmy się nad nim i okrążyliśmy budynek, żeby wejść do restauracji, kamuflując przy tym broń, bo woleliśmy ją mieć przy sobie. Czekwały tam na nas stoły z jasnego drewna i ratanowe krzesła w zimnych szarościach. Pominęliśmy alkohole w karcie – w końcu mieliśmy zaraz płynąć – ale zamówiliśmy różne wyzwania dla naszego układu pokarmowego. Ja zdecydowałem się na coś, co w dosłownym tłumaczeniu brzmiałoby „anioł morski w koszuli z alg”, choć wcale nie jestem pewien, czy morskie anioły chadzają w koszulach. W rzeczywistości oznaczało to jedynie, że ta ryba była zawinięta w algi, ale po cichu uważam, że jakiś zespół muzyczny naprawdę powinien pomyśleć o nazwie Algae Shirts. Co za potencjał

promocyjny.

Granuaile też miała ochotę na rybę, ale niekoniecznie na anioła, więc zasięgnąwszy mojej rady co do wymowy, poprosiła o „*turbot Hollandaise au citron vert, écrasée de pommes de terre, crème de ciboulette*”. Kelner, wysoki dżentelmen o ciężkich powiekach, wysunął brodę do przodu i powiedział:

– *Oui, mademoiselle.*

Gdy tylko nas zostawił, rozpromieniła się dumna z tego zwycięstwa.

– To było bardzo zabawne. I w ogóle bardzo mi się podobały wszystkie te zwroty, których się dziś nauczyłam. Myślę, że w następnej kolejności nauczę się francuskiego.

– Świetny pomysł. Zaczniemy od razu. Powtórz za mną: *J'ai l'air ridicule quand je ne sais pas ce que je dis.*

– Chwila. Wyłapałam tu jakieś znajomo brzmiące wyrazy. „Ridicule” to pewnie od łacińskiego „ridiculum”. Próbujesz mnie wrobić w powiedzenie czegoś głupiego, tak?

– Grrr! Przyłapałaś mnie.

Uśmiechnęła się, ale jej uśmiech szybko zniknął.

– Jak myślisz, jak długo nam zajmie przeprawienie się przez kanał?

– Dwadzieścia jeden mil morskiej żeglugi, więc to zależy od tego, jak szybko zdoła to przepłynąć Oberon. To może zająć bardzo dużo czasu, chyba że byłabyś na tyle silna, żeby go holować i przyspieszyć tę akcję, co?

Zacisnęła usta, by wyrazić swoją niepewność.

– Nawet jeszcze nie próbowałam nigdy pływać. Nie mam żadnego doświadczenia z tą postacią. Odkąd splotłeś mnie z ziemią, nie byliśmy jeszcze nad morzem. Ale w każdym razie holowanie siedemdziesięciu kilogramów mokrego psa trochę mnie przeraża.

– No tak, ale przecież ci pomoże. Miejmy nadzieję, że będzie czas na eksperymenty. Najpierw zrobimy z pasów uprząż, żeby ciągnąć broń, a potem, jeśli uda nam się zrobić coś z psem, to dobrze. A jeśli nie, to będziemy pływać w kółko wokół Oberona, żeby się upewnić, że nic się na nas nie czai.

Tym zasłużyłem sobie na minę à la Billy Idol.

– Coś się z całą pewnością zaczai, prawda?

Pokiwałem głową.

– Odyn dał mi znać, że Posejdon i Neptun osobiście chcą dopilnować tego, żebyśmy nie dotarli do Anglii. Obawiam się, że nie zadowolą się falami.

– To co zrobimy?

– To samo co Posejdon i Neptun. Jeśli oni potrafią wpływać na stworzenia morskie, to my też. Spojrzymy na nie w magicznym spektrum i będziemy próbować się z nimi porozumieć w ten sam sposób, w jaki zaczęłaś się porozumiewać z Oberonem. Postaramy się przekonać je, że smakujemy zupełnie do dupy albo że w Morzu Czarnym czeka na nie jakaś błyskotka... No, cokolwiek, byle nas nie zjadły.

– Ale w wodzie nie będziemy mieć dostępu do magii.

– Nie. Zapasy z niedźwiedziego charmsa będą nam musiały starczyć na całą przeprawę. Magiczny wzrok możemy włączyć, kiedy będziemy jeszcze na płyciźnie, a potem utrzymać go przez całą drogę.

– Powinniśmy zrobić sobie jeszcze z dziesięć takich niedźwiedzych charmsów.

– Trudno mi się z tobą nie zgodzić. Ale może ważniejsze, żeby najpierw spleść ci amulet z aurą. Każdy, kto chce mnie teraz zmieść z powierzchni, może to zrobić, namierzając ciebie. Mamy lekką przewagę tylko dlatego, że cały czas jesteśmy w drodze. Długo tak nie pociągniemy.

– Mnie to mówisz?

– Cóż – odezwał się na to kulturalny głos. – Ja tymczasem namierzyłem was metodami tradycyjnymi. Za pomocą podsłuchu.

Przed nami stał sztywno wyprostowany Leif Helgarson, przyjaciel i wróg w jednej osobie, zaciskając dłonie przed sobą. Był poza naszym zasięgiem, bo krył się za sąsiednim stolikiem, ale mógł się znaleźć w zasięgu bardzo szybko, gdyby tylko zechciał.

– Choć muszę przyznać, że już wcześniej zostałem poinformowany, w jakim będziecie mieście. Zauważyliście, że Hal nie jest tak świadomy tajników bezpieczeństwa jak Gunnar? Zdecydowanie powinien używać kodera.

Co do Hala to nie wiem, ale na pewno zauważyłem, że Leif przestał nawet próbować wtapiać się w tłum – nie żeby kiedykolwiek mu to specjalnie wychodziło. Miał na sobie kamizelkę w czarny wzór *paisley*, pod tym białą koszulę i czerwony niczym jabłko fular spięty perłą. Czarne, obcisłe spodnie i lśniące czarne buty z czubem dopełniały tego image'u lekko umysłowo chorego.

– Odkąd to monitorujesz telefony?

– Dzięki pracy dla Teophilusa mam dostęp do technologii i metod, których przedtem nigdy bym nie użył. Monitorowałem wszystkie telefony, które przekazywane były przez wieże sieci komórkowych w okolicy domu i pracy Hala, więc wielkie dzięki, że się do niego odezwałeś.

– Toś się musiał nasłuchiwać całej masy nudnych rozmów – mruknąłem kpiąco, próbując jakoś ustalić, kto tu rządzi. Ale w duchu odetchnąłem, że Leif nie namierza mnie jednak dzięki całej tej mojej krwi, jaką się wymieniliśmy. Płaciłem mu kiedyś krwią za jego usługi, a na dodatek napiłem się chyba odrobiny jego kiedyś, jeszcze we Flagstaff, więc po tym, jak zaskoczył nas w Salonikach, naprawdę zacząłem mieć na tym punkcie paranoję. Namierzanie Granuaile przez wywrócenie i mnie przez podsłuch było denerwujące, ale temu przynajmniej da się jakoś zaradzić. Krwi natomiast raczej nie dałoby się cofnąć. – Dobra, a teraz spadaj, Leif. Próbujemy mieć tu romantyczną randkę, a twój fular naprawdę wszystko psuje.

– Wasza rozmowa wydała mi się raczej prozaiczna i skupiona wokół problemu przetrwania niż prokreacji.

– A kto tu coś mówi o prokreacji? Najważniejsze, co jakoś uszło twojej uwagi, jest to, że nie jesteś tu mile widziany.

– Gdzie tym razem są mroczne elfy? – spytała Granuaile, oglądając się przez ramię. – W kuchni?

– Tym razem nie ma żadnych elfów – odparł Leif. – Lecz może nadejść wkrótce parę wampirów.

– Obudź, proszę, Oberona i wprowadź go tutaj – poleciłem Granuaile, nie spuszczać oczu z Leifa. – Rozglądaj się czujnie, gdy będziemy rozmawiać. – Leif oczywiście nie da nam spokoju, póki nie powie, co ma do powiedzenia, więc wycedziłem do niego: – Gadaj, jeśli musisz.

<Dobra, już idę> usłyszałem zasną odpowiedź Oberona na mentalne wołanie Granuaile.

Leif wskazał krzesło obok mnie.

– Pozwolisz, że spocznę?

– Nie pozwolę. Tam. – Wskazałem mu oczami niezajęty stolik obok.

– Niech i tak będzie. – Ledwie usiadł, zaraz nadciągnął kelner, żeby zapytać, czy chciałby coś do picia. Leif spojrział mu w oczy i powiedział: – Zapomnisz, że tu jestem. Ignoruj mnie. – A kelner obrócił się na pięcie, pokręcił głową, zastanawiając się, co tu robi, a potem

wrócił do kuchni zobaczyć, czy tam nie znajdzie odpowiedzi.

Wszedł niewidzialny dla większości obecnych Oberon i wcisnął się pod krzesło Granuaile.

<Ja nie mogę, przecież to Leif> powiedział. <Nie lubimy go, nie? Mam mu zrobić z tej kłamliwej gęby jesień średniowiecza?>

Uznałem, że na tak zadane pytanie może mu odpowiedzieć Granuaile, i skupiłem się na moim byłym prawniku.

– Dlaczego tu jesteś?

– Powierzono mi zadanie, którego wcale nie mam ochoty wykonać. Jest sprzeczne z moim interesem, choć Theophilus usiłuje zrobić wszystko, by osobiście zależało mi na jego wykonaniu.

– I na czym to zadanie polega? Na zabiciu nas?

– Blisko – pochwalił mnie za domyślność Leif. – Mam nie dopuścić do tego, żebyście przepłynęli kanał, albo przynajmniej opóźnić waszą przeprawę. Dlatego radzę wam opuścić to miejsce jak najszybciej.

– Nie ma sprawy – powiedziałem, wstając.

Leif uniósł jednak swoją bladą dłoń w uspokajającym geście.

– Bez przesady. Nacieszcie się najpierw posiłkiem. Aż tak się nam nie spieszy, a zresztą mamy wiele spraw do omówienia.

– Jak na przykład list, który nam zostawiłeś w Niemczech?

– Cieszę się, że go dostałeś. Doszły mnie słuchy, że zabiłeś jednego ze snajperów.

– Było ich więcej?

– Pięciu. Ten, którego zabiłeś, znajdował się na skraju sieci, że się tak wyrażę. Gdybyście poszli prosto od miejsca, gdzie otrzymaliście moje ostrzeżenie, wpadlibyście w krzyżowy ogień. Nie sprostowałem kwestii tego, kto zabił snajpera.

– Czyj to był pomysł? I skąd wiedzieli, gdzie się na nas zacząć?

– Na to drugie pytanie sam pewnie umiesz sobie odpowiedzieć lepiej niż ja. Ktoś w Tír na nÓg wróży przyszłość twojej protegowanej. – Machnął palcem na Granuaile.

– Wiesz kto?

– Nie. Theophilus dość uparcie milczy w tej sprawie. Wiem tylko, że dostaje z siebie wiadomego źródła regularne raporty co do waszej przyszej lub aktualnej lokalizacji. Gdy tylko zaszło słońce, wiedziałem już, że dziś wieczór będziecie w Calais, i natychmiast wysłano mnie, bym odciął wam drogę. Mam współpracować w tej sprawie z lokalnymi wampirami i jedną postacią nie stąd, żeby udaremnić wasze zamiary. Ty oczywiście stanowisz zagadkę dla wszystkich. Twój amulet uniemożliwia wszelkie przepowiednie na temat twoich działań, toteż nigdy nie są pewni, czy się uda.

Pojawił się kelner z naszymi potrawami i postawił przed nami pięknie zapelnione talerze. Podziękowaliśmy mu i poszedł sobie, nawet nie patrząc na Leifa.

– Gdzie jest teraz Theophilus?

Nieznacznie wzruszył ramionami.

– Wciąż w drodze tak jak ja, ale teraz pewnie gdzieś we Włoszech.

– Dobrze.

Leif uniósł brew.

– Doprawdy?

– Tak – powiedziałem. Może dopadną go cisowcy i pomszczą druidów. Ciekaw byłem, czy Leif słyszał już o wydarzeniach w Rzymie. Wolałem jednak nie poruszać tego tematu. – Czy to był jego pomysł, żeby nasłać na nas snajperów?

– Nie, ale go popierał. Sam pomysł pochodził od jednego z jego sojuszników, który dość mnie niepokoi. Jest to Austriak. Nazywa się Werner Drasche. Obawiam się, że możesz go wkrótce poznać. To on finansował snajperów i on stoi na stanowisku, że najłatwiej będzie cię pokonać współczesnymi osiągnięciami myśli wojskowej.

Tu akurat miał rację. Zarejestrowałem wściekłą minę Granuaile i aż mi się trochę żal zrobiło Herr Draschego. Znalazł się już raz na zawsze na jej czarnej liście dupków.

– Ciekawe – powiedziałem. – Dlaczego miałbym go wkrótce poznać?

– Theophilus wysłał go tu z tymi samymi podstawowymi informacjami, jakie dał mnie, czyli że będziesz dziś w nocy w Calais. Pewnie właśnie cię szuka, tak jak i ja bym szukał, gdybym nie usłyszał od swojego najmity o tym, że rozmawiałeś z Halem.

– Najmity? – prychnęła Granuaile. – Może jeszcze wolnego?

– Od swojego pracobiorcy – poprawił się Leif, ale nie na wiele się to zdało.

– Dlaczego miałbym się martwić tym typem? Czy to wampir?

Leif pokręcił głową raz a dostojnie.

– Nie. Jest człowiekiem, a przynajmniej kiedyś nim był. Nie możesz go rozpleść. To, można powiedzieć, wampir, ale bez naszych wad. Nie jest martwy; może funkcjonować za dnia; drewno nie stanowi dla niego większego zagrożenia niż jakakolwiek inna substancja. A mimo to ma wiele naszych zalet... nadludzką siłę, długowieczność, niesamowitą zdolność powracania do pełni sił oraz zdolność pożywiania się w ukryciu tak, że nikt nawet nie zauważa jego posiłków.

– Czym więc jest?

– Nie wiem na pewno. Koszmarem zrodzonym z szaleństwa być może. Poznałem go stosunkowo niedawno, a moje śledztwo na ten temat jeszcze nie przyniosło zadowalających rezultatów. Jeśli go spytasz, powie ci, że jest skrytobójczą pijawką.

– Skrytobójczą pijawką?

Leif się wzdrygnął.

– Ma skłonność do dramatyzowania. I fularów.

– O. – Wskazałem brodą jego szyję. – Czyli to coś na twojej szyi to nie był twój własny pomysł?

– Jest to mój sposób zasugerowania mu, że wpływa na moje gusta. Bynajmniej jednak nie uważam fularów za coś atrakcyjnego.

– To mi naprawdę ulżyło. To co takiego robi ten Herr Drasche? Przysysa się do ofiar i wysysa z nich życie?

– Nie fizycznie. Robi to na odległość. Stąd właśnie epitet „skrytobójcza”.

Zmarszczyłem brwi.

– Z jakiej odległości może działać?

– Nie przedstawię ci tu dokładnych danych, ale na pewno może wysać każdego, kto znajduje się w zasięgu jego wzroku. Nie może się skryć na Sri Lance i wysać ofiary siedzącej na Seszelach. Ale mógłby stanąć w drzwiach tej gospody na przykład i wysać życie z twoich komórek. Trochę z ciebie, trochę z Granuaile i z każdego tu obecnego. – Machnął ręką, żeby wskazać mi wszystkie potencjalne ofiary. – Możesz nawet niczego nie poczuć, poza lekkim zmęczeniem. Jest pasożytem idealnym. Żywi się jedynie energią pobieraną od innych i nie musi w ogóle spożywać żadnego pokarmu, z wyjątkiem wody.

– Czyli może w danej chwili wysać tylko trochę energii?

– O, nie. Może wysać ludzi do cna. Nie robi tego jednak, bo nie ma takiej potrzeby.

Pomyśl tylko, Atticusie: wychodzi sobie w biały dzień na ulicę i ciągnie od wszystkich wokół po troszeczkę. To mu wystarczy, by być młodym na zawsze, dokądkolwiek się uda.

– Wysysa tylko ludzi?

– Nie. Także rośliny i zwierzęta. Może żyć do końca świata, jeśli będzie miał taką ochotę, i mieć przy tym minimalny wpływ na swoje otoczenie. Kiedy jednak potrzebuje nadludzkiej siły, zawsze ma ją pod ręką. Może rosnąć w siłę, wysysając życie ze wszystkiego wokół siebie.

– Bogowie niejedyni, co za potwór. – Przecież facet może mi zabić w ten sposób jakiegoś żywiołaka.

– Zgadza się, potwór. Lecz jeśli nie liczyć drobnych dziwacznych decyzji kosmetycznych, nie wygląda w ogóle jak potwór. Wręcz przeciwnie, jest prawdziwym dandysem.

Prychnąłem cicho.

– Nie mówi się już o ludziach, że są dandysami, Leif. W dzisiejszych czasach określa się ich jako dupków.

– Doprawdy?

– Zdecydowanie. I od razu zaznaczę, że ty też ubierasz się jak dandys.

– Cóż robić! Obawiam się, że to jedna z moich najmniejszych wad.

Trudno było podważyć prawdziwość jego słów. Nigdy mu nie wybaczę jego zdrady, ale mimo to jakoś nie wiadomo kiedy znów gadało mi się z nim tak dobrze jak dawniej. Spojrzałem na talerz i zorientowałem się, że nawet nie tknąłem jeszcze jedzenia. Granuaile też nie ruszyła swojego i uświadomiła to sobie w tej samej chwili.

Leif pochwycił nasze spojrzenia i powiedział:

– Jedzcie, proszę.

Mój anioł morski w koszuli z alg prezentował się nader smakowicie, ale jakoś odeszła mi na niego ochota.

– Straciłem apetyt.

– Ja też – przyznała Granuaile.

<Jaka szkoda!> odezwał się Oberon. <Ale na szczęście ja akurat odnalazłem swój>.

Granuaile wzięła widelec, nabrała kawałek turbota i wysunęła na prawo, gdzie pozornie niczego nie było. Kilka mlaśnieć później turbot zniknął z jej widelca.

– Jak to możliwe, że taki potwór jak pijawka życia w ogóle istnieje? – spytała Granuaile. Leif skrzywił się.

– Nie wiem. Moje jedyne informacje pochodzą od niego samego, więc nie są pewne. Z jego wersji wynikałoby, że jest wynikiem wypadku alchemicznego, produktem ubocznym szesnastowiecznych poszukiwań kamienia filozoficznego. Pewnie jego twórca byłby nawet z niego dość dumny, gdyby nie to, że ten potwór wyssał go na śmierć w ciągu pierwszych kilku minut po odkryciu swojej siły. Jest to postać jedyna w swoim rodzaju, z czego należy się pewnie cieszyć, bo więcej takich jak on już nie będzie. Z naszej perspektywy najważniejsze jednak, że jest zaufanym Theophilusa.

Zwróciłem uwagę na to, że Leif delikatnie próbował ustalić scenariusz „my kontra oni”, choć tak naprawdę należał przecież do „onych”. Choć tego nie wiedziałem właściwie na pewno. W każdym razie nie ulegało dla mnie wątpliwości, że na pewno nie gra w naszej drużynie.

– Hmm. A jak to się stało?

– Nie wiem. Nie jestem zaufanym żadnego z nich. Nie do końca rozumiem też motywacje Herr Draschego, jeśli chodzi o polowanie na ciebie celem zabicia. Nie może przecież żywić żadnej urazy do druidów, ponieważ narodził się długo po tym, jak wszyscy druidzi zniknęli z powierzchni ziemi, to jest z wyjątkiem ciebie, ale o twoim istnieniu dowiedział się dopiero niedawno. Być może jest to dla niego tylko kwestia lojalności. Jego stosunki z Theophilusem są tak bliskie, że stanowi to dla mnie zagadkę.

– Może to rzecz najbanalniejsza w świecie? – zasugerowała Granuaile. – Są

kochankami?

Leif zamrugął.

– Yyy. Hmm. O tym nie pomyślałem. Być może.

– Aha! – ucieszyła się Granuaile i triumfalnie zamachała mu palcem przed nosem. –

Czyli to oznacza, że wampiry mają jednak jaja! Ta kwestia męczyła mnie, odkąd widzieliśmy się ostatnio w Salonikach!

Leif wzdrygnął się, jakby go strzeliła po gębie.

– Tak?

Uśmiechnąłem się, bo dobrze wiedziałem, do czego zmierza Granuaile. Leif był bardzo skryty, jeśli chodzi o wampirzą anatomię, i zawsze odmawiał wszelkich rozmów na ten temat. Jeśli Granuaile go zawstydzi, Leif po prostu sobie wreszcie pójdzie.

– Jasne – zapewniła go i kontynuowała atak. – No bo, skoro wampiry są w sumie zbudowane z ożywionej tkanki martwej, tak? To dlaczego by miał nadal działać jakikolwiek układ z waszej ludzkiej egzystencji, jeśli nie jest to potrzebne dla podtrzymania życia i dla przemieniania krwi w energię? Znaczący się, wiesz, nie mówię, że ci tam nie zwisają rudymenty, ale na logikę nie ma powodu, żeby twoje jaja produkowały jakiejkolwiek dzieciuroby i testosteron jak u normalnych facetów, skoro to ci nijak nie zapewni nocnej dawki krwi. Ale skoro Theophilusa łączy z Wernerem słodka miłość zwłok, to wnioskuje z tego, że śmiertelnie się tu pomyliłam... ha! Nieźle mi się udało ta gra słów, nie? Hej! A ty dokąd?

– Wybaczcie – rzucił Leif przez ramię, mknąc ku wyjściu. Był już w połowie drogi do drzwi restauracji.

Roześmiałem się.

– Kazałem mu się wynosić i zupełnie mnie zignorował. Ale wystarczyło, że zaczęłaś omawiać jego asortyment, a zaraz zwinął manatki. Niezła robota. – Przybiliśmy żółwika.

– Dzięki. Mam nadzieję, że nie zaatakowałaś zbyt wcześnie.

– E tam. Nie dostaliśmy odpowiedzi na wszystkie nasze pytania, ale też pewnie nigdy nie dowiemy się wszystkiego o wampirach.

– Nie, ale wiemy już, że trzeba stąd spadać. Nie chcę wejść prosto w zasadzkę i wcale nie mam ochoty stawać do walki z kimś, kto sam siebie określa jako skrytobójczą pijawkę.

– Ja też nie, ale nie możemy przecież jeszcze wyjść. Nie mamy pieniędzy, żeby zapłacić za ten wspaniały posiłek, którego nie jemy.

<Zjadłbym za was, gdybyście tylko pozwolili mi jeść z talerza>.

– Nakarmimy cię, Oberonie, ale w depresyjnie małych ludzkich gryzach.

Podszedł do nas kelner, żeby się upewnić, że wszystko w porządku, bo widział przecież, że mój morski anioł leży na talerzu prawie nietknięty.

– *Très délicieux* – zapewniłem go.

Zniknął nam z oczu, ale zaraz na jego miejscu pojawił się rostry mężczyzna w czarnym berecie i z hiperagresywnymi pekaesami, a właściwie to imperialistycznymi, ekspansjonistycznymi bokobrodami, które – zdawało się – wręcz chcą w tej chwili zeskoczyć z jego gęby na moją i zupełnie ją skolonizować ku chwale boga/monarchy (niepotrzebne skreślić).

– Monsieur O'Sullivan? – warknął.

– *Oui*.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej wielki zwitek euro. Rzucił je na stół i wycofał swoje bokobrody, nim zdołały wykonać nalot desantowy na moją szczękę i ustalić na niej strategiczne pozycje. Wyglądało na to, że to całe powitanie, jakiego mogę się spodziewać po tutejszej watasze.

- Hmm – mruknąłem. – Małomówny.
- Zamknięty w sobie – dodała Granuaile.
- <Albo konający z głodu>.
- Dość pośpiesznie się zmył. Myślę, że to wskazówka i dla nas. Spadajmy stąd.
- Spadajmy.
- <Ale... co z jedzeniem?!>

Niepomna na groźbę karmienia go powolutku Granuaile położyła swój talerz na krześle obok, tak żeby Oberon mógł łatwo sięgnąć. Odliczyłem kilka banknotów i zostawiłem je na stole, gdy tymczasem Oberon pożerał turbota.

Wzięliśmy naszą zakamuflowaną broń i paski, a potem wyszliśmy, mimo lamentów Oberona nad niezjedzonym aniołem.

<Pomyślcie o tych głodujących szczeniaczkach w Iowa, które byłyby szczęśliwe, gdyby dać im takie jedzenie> jojczył. <Przecież ja mógłbym je zjeść w ich imieniu!>

Prawdę powiedziawszy, byłem równie rozżalony jak on. Ta kolacja nie potoczyła się, jak to sobie zaplanowałem. Miałem naprawdę cichą nadzieję, że będę mógł się postarać być komunikatywnym samcem i zwerbalizować jakieś uczucie albo i trzy, jakie żywiłem do Granuaile, by udowodnić, że ja przynajmniej ewoluowałem ponad burknięcia. Ale odebrano mi tę szansę. Może już wkrótce los da mi następną.

Pas de Calais – czy też, patrząc z angielskiej perspektywy, Strait of Dover – kusiło nas w ciemności. Morrigan obiecała nam, że wywinimy się jakoś, jeśli tylko dotrzemy do znajdującego się po drugiej stronie lasu Herna. Jednak przekroczenie cieśniny wydawało się bardzo ryzykowne i naprawdę mocno powątpiewałem, czy Oberon zdoła samodzielnie przepłynąć dwadzieścia jeden mil.

Weszliśmy w zimną wodę i na mieliźnie Granuaile podała mi Scáthmhaide'a, rozebrała się i oddała falom swoje ubrania. Po krótkim pocałunku – tym razem naprawdę krótkim – przemieniła się w morsa.

Włączyłem noktowizję.

– Dobra, zobaczymy, co da się tu wykombinować. Cokolwiek byśmy zrobili, i tak cię spowolnimy. Ale jeśli spróbujemy przyczepić coś za tobą, to zaburzymy na dodatek twoje ruchy. Może najlepiej będzie założyć ci coś w stylu bandolierów.

Poprosiłem Oberona, żeby trzymał naszą broń na plaży, gdy próbowałem wymyślić uprząż dla Granuaile. Głupio by było zgubić teraz broń w morskiej fali.

Wziąłem dwa pasy i założyłem je ukośnie na Granuaile tak, że ułożyły się na jej plecach w X. Zapiąłem je i poprosiłem, żeby się odwróciła. Obróciła się brzuchem do góry, a wtedy wziąłem od Oberona Scáthmhaide'a i zainstalowałem go w poprzek na górze X, tuż nad jej płetwami – teoria była taka, że nie będzie w tym miejscu musiała się aż tak zginać jak na odcinku szyjnym i ogonowym. W dwóch miejscach splotłem drewno ze skórą, żeby kij się nie zsunął. Raz jeszcze zamyśliłem się na chwilę nad arcydziełem Creidhne'a i Flidais. Sploty na Scáthmhaidzie były tak wyrzeźbione, że nie niszczyło ich nawet moje zimne żelazo. Nie wiedziałem, czy Fragarach też jest na nie odporny – zawsze po prostu na wszelki wypadek unikałem dotykania główki, bo bałem się, że mogę niechcący zniszczyć zakłęcie, które czyniło miecz tak potężnym.

– Wypróbuj to – powiedziałem. – Da się z tym płynąć?

Poruszyła się nieco niezgrabnie z kijem na piersi, ale potem dała nura w fale. Zniknęła na dobrą minutę, a gdy wyskoczyła na powierzchnię tuż przy mnie, zachlapała mnie całego słoną wodą.

– Bardzo śmieszne – mruknąłem.

Roześmiała się, ale u morsów brzmi to bardziej jak ryk osła, co z kolei mnie strasznie rozśmieszyło. I dobrze, bo napięcie stawało się już nieznośne.

– W porządku. To dodajmy teraz Fragaracha i zobaczmy, co się stanie.

Niestety nie zdołałem go porządnie przygotować na tę morską podróż, ale jeśli kiedyś dotrzemy do suchego lądu, to popracuję nad głownią i poproszę Goibhniu, żeby go dopieścił. Zawsze też mogłem zwrócić się z prośbą do Ferrisa, żywiołaka żelaza, żeby pomógł mi namierzyć wszelkie problemy i zapobiec rozwijaniu się rdzy.

Właśnie brałem Fragaracha od Oberona, gdy nastawił uszy i spojrzał na południe.

<Ktoś nadchodzi, Atticusie. Może ty się lepiej nie rozstawaj jeszcze z tym mieczem>.

Podążyłem za jego spojrzeniem i zobaczyłem, że zbliża się ku nam smukła sylwetka. Włączyłem magiczny wzrok i okazało się, że tajemnicza postać ma dziwną, buzującą zielenią i pomarańczem aurę. Ten ktoś władał jakiegoś rodzaju magią, ale nie było w tej aurze na tyle dużo bieli, żeby podejrzewać, że to bóg.

– Zostań tu – powiedziałem. – Bądź gotowy na wszystko.

<Granuaile mówi, że powinniśmy tu zostać i zobaczyć, czy umie pływać, kimkolwiek jest>.

Przyjrzawszy się jego ubraniu, stwierdziłem szybko, że złożone jest z naturalnych materiałów – w większości z bawełny i jedwabiu.

– E, nie. Poradzę sobie – mruknąłem.

Idąc przez plażę, wydzierałem pospiesznie splot między tyłem jego marynarki, a piaskiem, ale go nie uruchomiłem. Zostawiłem go zwisającego luźno, żeby dokończyć go później. Potem wyłączyłem magiczne widzenie, żeby lepiej się facetowi przyjrzeć w normalnym spektrum. Księżyc zalewał Calais spokojną, jasną poświatą, a noktowizja pokazała mi to, co kryło się w mroku. Nieznajomy miał na sobie eleganckie buty do kostki, takie jak Leif, też z ekstradługimi, ostrymi czubami. Dalekie to było od obuwia plażowego. Garnitur miał szary, a do tego kamizelkę we wzór *paisley* i jedwabny fular o paskudnym oranżadowym odcieniu pomarańcza. Nie mógł to być nikt inny, tylko Werner Drasche. Musiałem przyznać, że Leif miał rację – typ rzeczywiście ubierał się jak dandys. Ale być może cały ten fular był tylko po to, by odwrócić uwagę od twarzy. Jego policzki pokrywały bowiem tatuaże przedstawiające alchemiczne symbole, takie różne bazgroły, które wyglądają trochę jak astrologia, ale dotyczą magii podstawowej. Nie zachodziły na nos ani na usta, ale ciągnęły się w górę nad brwiami, aż po wygoloną czaszkę. Nie miałem czasu ich głębiej analizować, ale jestem pewien, że nie była to przypadkowa ozdoba; były to równania. Algorytmy. Splotały go one z życiem, tak jak moje tatuaże splotały mnie z ziemią. To je miał pewnie na myśli Leif, gdy mówił o dziwnych decyzjach kosmetycznych, ale albo celowo je zbagatelizował, albo nie rozumiał kompletnie ich znaczenia. Pewnie to drugie. Wampir nie mógł przecież się znać na alchemii.

Nie traciłem czasu na przedstawianie się. Wiedział przecież, kim jestem.

– Dłaczego mnie szukasz? – spytałem, gdy był jeszcze ze dwadzieścia metrów ode mnie.

– *Manche Leute muss man einfach umbringen* – odpowiedział mi po niemiecku, po czym wyciągnął z kabury na ramieniu glocka 20.

Włączyłem wcześniej zrobiony splot i patrzyłem spokojnie, jak rozpaczliwie rozkłada ramiona, próbując zachować równowagę, ale i tak oczywiście poleciał do tyłu i upadł na piasek. Udało mu się utrzymać w ręku pistolet, ale leżał teraz rozciągnięty przymusowo na plecach, więc trudno mu było raczej go we mnie wycelować.

Byłem trochę oszołomiony jego lodowatym podejściem do naszego spotkania. Po prostu oświadczył mi tu, że zamierza mnie zabić, i wyciągnął broń.

Jeśli Leif nie kłamał, to właśnie ten typ miał na sumieniu strzelaninę, w której zginąłem.

Bez względu na to, czy to akurat była prawda, teraz na pewno próbował mnie zabić. I tę próbę ponowił, choć w inny sposób. Uniósł z piasku swoją łysą głowę, obnażył zęby i usiłował wysysać ze mnie energię. Poczułem uderzenie w amulet. Poderwał się z mojej piersi, jakby coś go ciągnęło.

Na tym skończyła się moja cierpliwość. Naprawdę wolałbym porozmawiać z Herr Draschem, dowiedzieć się więcej o Theophilusie, ale on już trzykrotnie sprowadził nasze relacje do prostego „zabij albo daj się zabić”. Wyciągnąłem Fragaracha z pochwy i zaatakowałem z myślą, że mu odrąbię łeb, ale nagle zaświtała mi w głowie inna. Zmieniłem zdanie i uderzyłem ostrzem między jego nadgarstek a łokieć, przecinając mu kość i zalewając piasek krwią.

– *Manchen Leuten muss man einfach ihre Hände abhacken* – powiedziałem mu. Gdy był sobie coś niezrozumiałego, schowałem Fragaracha do pochwy i podniosłem jego amputowaną rękę. Upewniwszy się, że na mnie patrzy, wyjąłem mu z dłoni giwerę i cisnąłem do oceanu. Tak mnie zachwyciła prostota tego rozwiązania, że wzruszyłem ramionami i jego rękę też rzuciłem w fale.

Gdy to zobaczył, jego ryk stał się zupełnie nieludzki i poczułem przez tatuaże, że pobiera energię z ziemi – ale nie tak, jak ja to robiłem. Ponieważ nie mógł się przyssać do mnie, wysysał wszystkie mikroorganizmy kryjące się w piasku, wszystkie owady i kręgowce z okolicy. Wymierzyłem w niego Fragaracha i syknąłem:

– Przestań pan albo straci pan drugą rękę.

Przestał, sycząc przez zaciśnięte zęby, ale zauważyłem, że jego ręka przestała krwawić, a w oczach pojawił się pomarańczowy blask.

– Teraz, gdy już pana rozbroiłem – powiedziałem do niego po niemiecku – chciałbym dowiedzieć się kilku rzeczy. Chce mnie pan zabić, ale najwyraźniej bardzo niewiele wie pan na temat moich mocy. Można by z tego wyprowadzić wniosek, że coś jest nie tak z pańskim źródłem informacji. Skoro pańskie źródło zdecydowanie pominęło kilka dość ważnych danych na temat moich technik walki, być może on lub ona nie jest z panem tak zupełnie szczerą i w innych kwestiach. Z dobrej woli powiem panu teraz, że mnie powiadomiono o pana istnieniu zaledwie jakieś trzydzieści minut temu. Informacje na pański temat dostałem od wampira zwanego Leifem Helgarsonem.

Werner Drasche zaklął dość twórczo. Uśmiechnąłem się.

– Tak. Zostaliśmy wrobieni w to obaj, i pan, i ja. Leif liczył na to, że zabiję pana, zanim się dowiem, jaką odegrał rolę w nasłaniu pana na mnie. Czy słusznie podejrzewam, że gdybym zlikwidował pana, Leif znalazłby się bliżej Theophilusa?

Skrytobójcza pijawka zawahał się, ale w końcu potaknął.

– A przedtem jeszcze ostrzegł mnie przed pana napadem, żeby zyskać sobie moje zaufanie. Ale nauczyłem się już, że pan Helgarson nigdy nie robi nic, co nie przysłużyłoby się jakoś jego własnym celom. Jeśli udostępnia komuś jakąś informację, która może temu komuś pomóc, to można bezpiecznie założyć, że głównie pomaga ona panu Helgarsonowi. I to samo z przysługami. Teraz, gdy już miał pan okazję też się o tym przekonać, i to w dość bolesny sposób – wskazałem palcem jego kikut – być może rozstaniemy się bez dalszego uszczerbku na zdrowiu. Być może nawet dałoby się znaleźć pańską rękę. Jeśli ją wyciągnę z wody, da pan radę ją przyczepić z powrotem tak, żeby przyrosła?

Drasche pokiwał głową.

– Już to robiłem.

– W takim razie, skoro już mamy świadomość, że padliśmy ofiarą machinacji osoby trzeciej, proponuję zawrzeć dżentelmeńską umowę. Po pierwsze, wybaczymy sobie wszystkie

krzywdy. Po drugie, oddam panu odrąbaną kończynę, żeby mógł pan być znów cały i zdrowy. Po trzecie, nie będziemy się odtąd nigdy niepokoić ani wchodzić z innymi w żadne spiski przeciwko sobie. Żyj i dać żyć innym w świętym spokoju. Zgoda?

Werner Drasche potrzebował chwili, żeby przemyśleć sobie płynące z takiego układu korzyści.

– Zgoda – powiedział w końcu. – Ale mogę tu mówić tylko za siebie, nie za Theophilusa.

– To zrozumiałe – odparłem. – Pańska lojalność wobec niego jest godna podziwu, choć może powinienem zaznaczyć, że w tej chwili o wiele większym zagrożeniem niż ja jest dla Theophilusa Leif Helgarson. A na pewno o wiele większym zagrożeniem dla pana. Zrobi pan z tą informacją, co zechce. Mnie nic do tego. My w każdym razie doszliśmy do porozumienia i proszę mi wierzyć, że napawa mnie to niezmierną radością.

<Atticusie, wszystko w porządku?>

Ano. Zwykle nieporozumienie. Jeszcze tylko sprawdzę, czy da się wyłowić rękę tego gościa.

Splatając podobne do podobnego – skórę do skóry – stworzyłem połączenie między lewą ręką Draschego i prawą, która pływała gdzieś obok wśród fal. Splot odnalazł swój cel i prawa ręka wyleciała z wody razem z krabem, który już przyczepił się do jej tkanki mięśniowej. Gdy Drasche zajęty był przybijaniem sobie samemu piąteczki, rozplotłem splot i przepędziłem kraba.

– Proszę bardzo – powiedziałem. – Mam zwyczaj dotrzymywać słowa. Proszę dać mi chwilę, bym mógł dać nam obu odpowiednią przestrzeń, i zaraz potem uwolnię pana od tego piasku. Mam nadzieję, że kiedy ponownie się spotkamy, to już w znacznie serdeczniejszej atmosferze i z czymś pitnym pod ręką. Niech harmonia będzie z panem.

Werner Drasche nie powiedział słowa na pożegnanie, tylko wbił we mnie swój kamienny wzrok i patrzył, jak odchodzę. Gdy dotarłem do miejsca, w którym czekał Oberon, rozplotłem splot na jego marynarce. Usiadł, chwycił swój kikut i przyłożył do niego odrąbaną rękę. Przełączyłem się na magiczne spektrum i zobaczyłem, że skrytobójcza pijawka puchnie od kradzionej energii, a jego ręka promieniuje białym światłem magii. W niecałą minutę było już po operacji. Zobaczyłem, jak unosi dłoń i zgina palce, jakby wcale nie były w dość niedawnej przeszłości kolacją dla kraba.

Było to dość przerażające. Leczył się o wiele szybciej niż ja – szybciej niż wampiry i wilkołaki. I robił to kosztem innych żywych istot. Powinienem był go zabić choćby dlatego, że był prawdziwą abominacją. Lecz to była moralna ścieżka, która poprowadziłaby mnie w ciemny las bez końca, póki jedyną abominacją do zabicia nie zostałbym ja sam. Być może Werner Drasche da mi w przyszłości jakiś inny powód do zabicia go – powód lepszy niż te, które dostarczył mi Leif Helgarson. W następnej konfrontacji z tą istotą mogę nie wygrać już tak łatwo jak w tej. Ale niech ta pieśń zostanie wyśpiewana, kiedy nadejdzie jej czas. Na razie wywiniecie się z machinacji Leifa było dla mnie wystarczająco satysfakcjonujące.

Skrytobójcza pijawka wstał, otrzepał się i skinął mi głową, a potem odwrócił się w kierunku światła Calais. Pewnie da teraz Leifowi nieźle w kość albo przynajmniej posączy jakiś jad w ucho Theophilusa, a to też by mi już wystarczyło. Na jego powitanie z miasta wysunęło się więcej cieni i po szarych aurach i czerwonych światełkach w głowach i piersiach poznałem, że to wampiry. Werner Drasche zdecydowanie nie był neutralną postacią; był wrogiem, któremu okazałem litość. Trzy wampiry pozostały z Draschem, ale dwa minęły go i pobiegły w moją stronę – był to kolejny dowód na to, że jego krąg znajomych bardzo niewiele o mnie wiedział.

Rozplotłem oba wampiry, nim zbytnio się do nas zbliżyły. Rozpadły się na piasku. Ja też

nie byłem neutralny.

<Możemy już ruszać? Bo naprawdę chciałbym już móc zacząć cię pytać: „Daleko jeszcze?”>.

Ruszamy, chłopie.

Brodząc w wodzie, dotarłem do Granuaile i przyczepiłem Fragaracha do Scáthmhaide'a, a na tym wszystkim jeszcze uwiązałem kaburę z jej nożami.

Jeśli mamy utopić nasze smutki w dosłownym tego słowa znaczeniu, to im szybciej, tym lepiej.

Rozdział 18

Pierwsze sto metrów upłynęło Oberonowi na usilnej próbie, by odpowiednio dać temperaturze słowo.

<Moje dolne rejony emigrowały do wnętrza i mogą już nigdy nie wrócić. Może najwyżej wyślą mi pocztówkę>.

Płynął dość powoli, a ja nie byłem wiele szybszy. Wydry morskie uganiają się zwykle za jeżowcami, których najwyższa prędkość oscyluje gdzieś na poziomie prędkości ślimaka, więc szybkość nie jest naszą najmocniejszą stroną. Ale pomógł nam tu kij Granuaile, który wystawał trochę ponad wodą. Oberonowi udało się zarzucić na niego przednie łapy i trzymając łeb nad powierzchnią, mógł przebierać tylnymi. Ja zrobiłem to samo po drugiej stronie i w ten sposób razem osiągnęliśmy prędkość jakichś dziesięciu mil na godzinę. Jeśli przepłyniemy cieśninę w dwie godziny, to nawet całkiem niezły czas, ale do tego musielibyśmy nie napotkać po drodze żadnych przeszkód.

Sporym wyzwaniem okazało się już samo wymijanie statków. Cieśnina Kaletańska to jeden z najbardziej ruchliwych szlaków wodnych na świecie i musieliśmy nadłożyć drogi, żeby płynąć poza głównymi trasami statków.

Przez pierwsze kilka mil nie widzieliśmy nic poza kolejnymi falami, które koniecznie chciały pluskać nam w wąsy. W końcu naszym oczom ukazały się białe klify Dover i w magicznym spektrum zobaczyłem, że lśnią one białym blaskiem magii. Ktoś rzucił na nie jakieś zabezpieczenia, ale z takiej odległości nijak nie mogłem dojrzeć, jakiego rodzaju. Kiedy przepłynęliśmy już połowę bez większych zakłóceń, poczułem promyczek nadziei. I oczywiście zaraz potem poczułem też, że morze zaczyna się lekko poruszać. Pod nami coś się przesuwało. Głębokość cieśniny waha się między dwudziestoma a trzydziestoma sążniami i coś tam pod nami przesuwało olbrzymie ilości wody. Coś ogromnego. Unosiło się.

Oczami wyobraźni już widziałem jakieś wymachujące mackami potwory sięgające po nas jako po swoją kolację. Krakeny przerażają mnie o wiele bardziej niż rekiny, choć szczerze mówiąc, nie wiem dlaczego. Co roku o wiele więcej osób zostaje pogryzionych przez rekiny niż zjedzonych przez krakeny, ale widok rekina byłby teraz dla mnie niezwykle pocieszający. Może dlatego że rekin to tylko drapieżnik odwalający swoje drapieżne obowiązki, a tymczasem kraken to diabelski potwór, przez którego żeglarze (i druidzi) budzą się w nocy złani potem. Mam świadomość, że mój strach i nienawiść są niczym nieuzasadnione – w końcu krakeny nie mają wobec mnie żadnych złych zamiarów, poza tym, że muszą przecież coś jeść. Ale strach i racjonalne myślenie to nie są bratanki od szklanki – jestem wręcz zupełnie pewien, że jeden z nich w ogóle nie pije. Kiedy jestem na lądzie, mogę naprawdę zdystansować się do swoich fobii i nawet zdobyć się na odrobinę współczucia dla krakenów, których nikt przecież nie kocha. To okropne uczucie pełzać po powłoce tego świata bez miłości i choć większość z nas nie spędziła ani chwili bez niej, wyczuwamy tę pustkę i strach, przez co potrafimy wczuć się w sytuację J. Alfreda Prufrocka i wszystkich tych osób, które nie potrafią dobić do brzegów ludzkości. Lecz moja empatia względem krakenów jest szybko rozpuszczalna – natychmiast w każdym razie rozpuszcza się w wodzie, jeśli mam podejrzenie, że jesteśmy zanurzeni w tej samej.

Noktowizja, jak się okazało, na niewiele się zdaje w morzu, bo i tak widoczność jest ograniczona do kilku metrów. Gdyby coś postanowiło zaatakować nas z głębin, zauważyłbym to i tak za późno, żeby zdążyć uciec, jeśli w ogóle bym umiał szybko pływać. Oberon

natomiast był w wodzie równie zwinny jak wodna lilia.

Magiczny wzrok okazał się trochę bardziej przydatny – aury żywych stworzeń mają własne światło i nic ich nie obchodzi odległość od Słońca czy Księżyca. Tylko że morze jest pełne żywych istot, gdy więc patrzyłem w głębinę, musiałem się nieźle nafiltrować, nim zdołałem zobaczyć cokolwiek poza wizualnym zamętem i nim w końcu połapałem się w odległościach. Skoro ja miałem z tym problem, to Granuaile musiała być pewnie zupełnie spanikowana. Bardzo dobrze umiała interpretować to, co widzi, ale nadal miała trudności z penetrowaniem niepotrzebnych splotów.

Kiedy w końcu zidentyfikowałem zagrożenie, było już tak blisko, że mało nie narobiłem w gacie, których nie miałem. To wcale nie był kraken. Była to grupa siedmiu wielkich węży morskich, potomków Jörmungandra. Były niewyobrażalnie duże i tuż pod nami, nieco na lewo. Väinämöinen opowiedział mi o swoim spotkaniu z jednym z tych stworzeń i dzięki temu je teraz rozpoznałem. Te wrażliwe i nieśmiałe istoty żerowały zwykle na płetwalach błękitnych i w życiu by im do łba nie przyszło, żeby polować na nas. Ktoś je musiał tu celowo nagonić. Wolały kryć się w głębokim oceanie, a na powierzchnię zdarzało się wypływać tylko młodym, ciekawskim osobnikom. Posejdon i Neptun zmuszali je do zachowań zupełnie niezgodnych z ich naturą: do polowania na coś, czego nigdy by normalnie nie zjadły, i do wpłynięcia tam, gdzie zawsze bały się wpływać.

Rozpaczliwie chwytając jedną po drugiej nici ich świadomości, wyrzeszczałem tylko: „Trucizna!”. Jeden od razu zawrócił. Potem drugi. Jeden z tych, do których nie zdążyłem krzyknąć, też się obrócił, więc Granuaile pewnie robiła coś podobnego. Cztery dalej jednak płynęły, coraz wyżej w naszą stronę, a szczęki miały otwarte szeroko, więc mogliśmy zniknąć w nich po prostu jak złote rybki. Udało mi się odstraszyć mentalnie jeszcze jednego, a dwa odpląnęły na bok i wyłoniły się na powierzchni kawałek dalej. Ale na ostatniego – olbrzymią, ziewającą ciemność o najeżonych zębami brzegach – po prostu zabrakło czasu. Śmierć była już blisko, więc poczułem się jak Hamlet, gdy dumał na cmentarzu o tym, jak „potężny Cezar przedzierzgnął się w glinę, którą przed wiatrem chłop zatkał szczelinę”, i zacząłem się zastanawiać, jak to możliwe, że przeżyłem tyle wojen tylko po to, żeby skończyć jako gównno węża.

Coś potężnego rąbnęło w szyję morskiego potwora tuż pod jego łbem. Nadeszło z północy i nie zauważyłem tego wcześniej, bo wpatrywałem się w dół. Siła uderzenia zepchnęła węża z kursu akurat tyle, że ledwie minął nasze ogony. I tak wypłynął na powierzchnię, tak zresztą jak pozostałe sześć węży, przez co okropnie skotłowała się woda i przefikołowaliśmy głęboko w morze. Dla Granuaile i dla mnie nie stanowiło to większego problemu, ale dla Oberona raczej poważny, tym bardziej że zupełnie nie spodziewał się ataku.

<Atticus! Ratunku! Niebo zniknęło! Co się dzieje?>

Nie mogłem jednak udzielić mu zadowalającej odpowiedzi, bo pojęcia nie miałem. Morze kotłowało się i ciągnęło mnie w kierunku, który wcale mi się nie podobał, a ja byłem zupełnie bezradny. Nawet nie widziałem Oberona. Mignęło mi smukłe ciało Granuaile, które odpląywało ode mnie – ale czy było pode mną, czy nade mną, nie potrafiłem powiedzieć – i widziałem lśniąca kolumny węży otaczające mnie niczym zdobione łuskami wieże. Wszystko poza tym było zupełnie ciemne i nie mogłem się połapać, gdzie góra, gdzie dół. Olbrzymie stworzenie, które walnęło w ostatniego węża, też przemknęło mi przed oczami – może rekin, ale jakoś dziwnie obrysowany białą magią. A potem węże huknęły z powrotem w morze i wszystko jeszcze bardziej skotłowało. Ale przynajmniej wiedziałem już dzięki temu, gdzie jest powierzchnia.

<Nie mogę oddychać! Atticusie! Woda!>

Panika Oberona była zaraźliwa i zacząłem rozpaczliwie się szamotać, żeby wreszcie być

pyszczkiem do góry. Nie wiedziałem, gdzie jest mój pies i jak miałbym mu pomóc.

<Postaraj się znaleźć Granuaile> poleciłem mu szybko. W niej była cała jego nadzieja, choć i tak marna. Węże na pewno zaraz wrócą. Już ci dwaj, Posejdon i Neptun, się o to postarają.

<Oj! Czekaj...>

Nie wiedziałem, na co mam czekać. Zacząłem krzyczeć do węży: „Ratujcie się ucieczką!”, żeby jakoś je odgonić, ale osiągnąłem w ten sposób tylko krótkie odroczenie. Zaraz i tak stanę się ich zakąską. Olimpijczycy nakazywali im nas zjeść równie szybko, jak ja próbowałem, żeby o tym zapomnieli, więc za każdym razem, gdy udawało mi się przekonać jednego z nich, żeby popłynął w jakimś innym kierunku, zwracał po chwili, gdy tylko skupiłem uwagę na innych szczękach. Ta metoda miała małe szanse powodzenia. Magia wyciekała mi błyskawicznie z niedźwiedziego charmsa i już zaraz nie będę miał jak komunikować się z tymi stworzeniami, a wtedy nastąpi koniec.

Przegapiłem jednego węża, który zanurkował w moją stronę z góry, ale widać wylapała go Granuaile, bo stwór minął mnie o włos, jego łuski podrapały mnie po futrze, a fala wciągnęła mnie z nim głęboko w morze, kręcąc mną przy tym na tyle skutecznie, że znów straciłem orientację. Płuca piekły mnie ostrzegawczo, przypominając mi, że oddychanie powietrzem to nie jakaś fanaberia, ale powierzchnia stanowiła dla mnie w tej chwili wielką zagadkę.

<Atticusie, gdzie jesteś?> Błagalny głos Oberona łamał mi serce.

<Nie wiem, chłopie. Przykro mi>.

Udało mi się wyrwać z prądu przy wężu i zacząłem się rozglądać w ciemności za czymkolwiek, co zdradziłoby mi, gdzie się ukryła powierzchnia.

Moją uwagę przykuły dwie białe sylwetki – charakterystyczny blask boskości. Posejdon i Neptun spokojnie unosili się w swoim żywiole i reżyserowali ten chaos. Po ich głowach ustaliłem, gdzie jego góra, i zacząłem rozpaczliwie płynąć ku powierzchni.

Nie wiedziałem, że coś nadciąga z tyłu, póki nie rąbnęło mnie w zadek. Łapki rozkraczyły mi się na czymś wielkim i gładkim, co pędziło w stronę powierzchni. Moje tkanki zalała energia i w końcu zrozumiałem. To Manannán Mac Lir w swojej wodnej postaci orki – orki, która potrafi zwiększać sobie swoją naturalną siłę i prędkość i pobierać moc Gai wprost z wody. I tak jak wielokrotnie robiłem to z Granuaile i Oberonem, bóg przekazywał mi teraz trochę tej siły przez kontakt skóra do skóry, a zatem pomijając zupełnie moją aurę. I podwoził mnie ekspresowo na powierzchnię.

To on uderzył w siódmego węża i pewnie pomagał też w odstraszeniu pozostałych. Odyn zasłużył sobie w pełni na swoje Samoasy i whisky.

Nigdy jeszcze gwiazdy nie świeciły tak jasno jak wtedy, gdy wystrzeliliśmy na powierzchnię, a ciemność zniknęła z moich oczu. Zacerpnałem słodkiego, słonego powietrza i już go nie wypuściłem, bo Manannán znów zanurkował – tak szybko, że ześlizgnąłem mu się z grzbietu, a on zniknął w toni.

<Znalazł cię!> powiedział Oberon, a zwycięski ton w jego głosie zadziałał kojąco.

<Tak, ale teraz chyba mnie zostawił>.

<Wraca po mnie i Granuaile też tu jest. Płyn na północ i będzie tam na ciebie czekał. Mówi, że masz wskakiwać na jego grzbiet i niczym się nie martwić. On i Bystra Dziewczyna zajęli się też węzami>.

Rzeczywiście. Szybki rzut oka wokół wystarczył, by odkryć, że dzieci Jörmungandra miotają się właśnie po morzu jakby w napadzie apopleksji. Olimpijczycy zagrzewali stwory do walki, a druidzi je uspokajali, ale ich natura była po naszej stronie. Przypomnieli mi się słowa

Morrigan: „Gaja kocha nas bardziej niż Olimpijczyków”. Olimpijczycy potrafią może zmuszać jej istoty do różnych rzeczy i do pewnego stopnia uzurpować sobie jej magię, ale ostatecznie zawsze będą związani ze swoimi wyznawcami, gdy tymczasem my byliśmy związani z samą ziemią.

Teraz, gdy mogłem wreszcie dobrze się im przyjrzeć, dzieci Jörmungandra wydały mi się równie piękne jak przerażające. Niebiesko-zielone łuski – zupełnie tak jak opisał je Väinämöinen – ociekały morską wodą i lśniły w świetle księżyca. Pokrywały całe ich ciało z wyjątkiem membran rozciągniętych między pięcioma kośćmi, które znajdowały się na czubkach ich łbów. Nie widziałem wcale gigantycznych kłów. Wszystkie zęby wydały mi się po prostu równie wielgachne, choć może te po bokach były ciut większego rozmiaru. I nie przywidziało mi się wcale w morzu, że ich pyski są kolosalnymi czarnymi dziurami – naprawdę takie były. W środku język i policzki nie były różowe czy czerwone, ale czarne jak asfalt – jakby w ich żyłach płynęło coś innego niż krew. Przeogromne oczy niczym kałuże oleju pomagały im widzieć w mrocznych głębinach, a pod szczękami drżały im skrzela, poziome cienie przecinające łuski.

Grzbiet Manannána wyłonił się z wody jakąś minutę szybkiego płynięcia od miejsca, w którym bóg zostawił mnie przedtem. Tuż przed płetwą grzbietową kulił się mokrzuteńki wilczarz, obie przednie łapy zwisały mu po bokach płetwy, a łeb oparł sobie po jej lewej stronie i patrzył na ogon. Wdrapałem się na bok orki i podczołgałem do Oberona, aż w końcu mogłem wleźć na niego i wczepić się w jego futro moimi wydrzymi łapkami.

<Dobra, płynimy!> powiedziałem. <To jest, jeśli Granuaile jest gotowa>.

Beztrąsko przedrzeźniając piracką mowę, Oberon wykrzyknął:

<Harr, szcurze lądowy! Dziewka gotowa. Buchujemy czym prędzej z tych szerokich wód i fałujemy prosto na bajdewind, gdziekolwiek to jest. Co mi tam. Byle do portu! Jakem wilczarz morski! Arrrr!>

Nie odpowiedziałem, bo bałem się, że tylko jeszcze bardziej się rozochoci.

Manannán płynął coraz dalej od kotłującego się sagana z węzami, które miały się żałośnie męczone sprzecznymi poleceniami Olimpijczyków i druidów. Przez jakieś piętnaście sekund ludziłem się już, że uda nam się ująć cało. A potem z nieba spadły dwie strzały i wbiły się w grzbiet Manannána, tuż za jego płetwą. Wzdrygnął się i odruchowo niemal zanurkował, ale w ostatniej chwili przypomniał sobie, że ma przecież na grzbiecie Oberona.

Zmrużyłem oczy, żeby zobaczyć w ciemności cokolwiek poza wijącymi się cielskami węży, i ujrzałem dwie białe sylwetki mknące po falach w wielkich muszlach ciągnionych przez delfiny. Były to rydwany Posejdon i Neptuna, ale teraz stały w nich Artemida i Diana, które oczywiście nie tylko doszły już do siebie, ale nawet zdążyły nas dogonić. Tylko że teraz bynajmniej nie były w swoim żywiole. Jazda po wzburzonym przez lewiatany morzu była niezwykle wyboista, przez co nie udało im się oddać celnych strzałów, ale i tak były zabójczo niebezpieczne i nie chciałem dawać im więcej szans. Na szczęście tak się spieszyły, żeby nas dogonić, że zupełnie widać zapomniały o wyborze bezpiecznego środka transportu.

Muszle mają to do siebie, że są zupełnie naturalne. Gdybym jako wydra mógł się uśmiechnąć triumfalnie, niezwłocznie bym to uczynił. Wykorzystując energię, której użyczył mi Manannán Mac Lir, splotłem muszelki z dnem kanału. To wciągnęło łowczynię pod wodę i skutecznie uniemożliwiło im strzelanie do nas. Zaraz jednak rozplotłem ten splot, bo nie chciałem skrzywdzić delfinów z zaprzęgu. Biedne węże natomiast strasznie pewnie zgłodniały od całego tego miotania się wokół. Przez Oberona przekazałem więc myśl Granuaile i Manannánowi:

W starych opowieściach morskie potwory zwykle gustują w dziewczicach.

Dwie rzeczy nastąpiły naraz: Posejdon i Neptun skapnęli się, że ich boginie wpakowały się w słone tarapaty, więc przestali nagać węże na nas i rzucili się ratować dziewice; a my poszczuliśmy węże na boginie.

Och, jakież to był piękny widok. Wszystkie siedem zawinęło się raptownie i dało nura za boginiami, błyskając lśniąca łuską. Boski tatar! Dwie porcje! Niebo w gębie!

Nie było nam dane dowiedzieć się, czy jeden wąż pożarł obie, czy też trafiły do dwóch różnych układów pokarmowych. Nie miało to większego znaczenia. Nakazaliśmy wszystkim węzom uciekać jak najszybciej do Atlantyku i pomknęły na mokrego przestwór oceanu. Posejdon i Neptun uratują oczywiście Artemidę i Dianę, a boginie niedługo znów podejmą pościg, ale teraz już nie dadzą rady powstrzymać nas przed dotarciem do Anglii. Jednym słowem ubzdurało mi się, że wygraliśmy.

Rozdział 19

Manannán wymagał małej reanimacji, gdy dotarliśmy do wąskiego pasa plaży między białymi klifami a zachodnimi dokami portu. Strzały, które wystawały mu z grzbietu, nie były zrobione z naturalnych materiałów, nie było więc innego wyjścia, jak je wyrwać. Na pewno wyleczy się po tym bez problemu, ale podejrzewałem, że może teraz mieć już znacznie mniej cierpliwości do Olimpijczyków. Przez Oberona dał nam znać, że nie pójdzie z nami dalej, tylko zostanie w cieśninie monitorować rozwój wypadków. Choć chciałem spytać go o Morrigan – czy zaprowadził ją do Tír na nÓg? czy spoczywa w pokoju? – nie wypadało poruszać takich tematów przez mojego psa, podziękowaliśmy mu więc tylko i pożegnaliśmy się. Gdy odpływał, rany w jego skórze już się zasklepiały. Przemieniłem się w człowieka i odpiąłem pasy z grzbietu Granuaile, odpłatając przy tym naszą broń. Granuaile też przybrała ludzką postać i wyszła na brzeg wraz z Oberonem, który otrząsnął się energicznie i ochlapał nas słoną wodą o intensywnie psim zapachu.

– Dobra, spadajmy z tej krainy i zagrajmy Olimpijczykom na nosie – powiedziałem. – Gdzieś tu powinien być mały zagajnik drzew splecionych z Tír na nÓg.

Przebiegłszy miasto w kamuflażu, przekroczyliśmy Military Road, a potem Folkestone Road, aż dotarliśmy do Elms Wood, pasa starego lasu, który od wieków służył jako granica między farmami. Położyliśmy ręce (i łapy) na pniu wiązu, w poszukiwaniu nici łączącej go z krainą faerii.

Ale nici nie było.

– Nie! Tu też?! – jęknęła Granuaile, z bezsilnej wściekłości uderzając dłonią w drzewo.
– Jakim cudem dotarli tu przed nami?

– No wiesz, raczej od dłuższego czasu wiedzieli już, dokąd zmierzamy – mruknąłem, dodając jeszcze: – Niech ich diabli.

– I tak po prostu zniszczyli połączenia w tutejszych lasach?

– No tak.

<Co my teraz zrobimy? Zamówimy sobie kielbaski z purée?>

– Pobiegniemy do Kentu. Jest tam jedna Stara Droga, której może jeszcze nie obstawili. A jeśli jej też już strzegą, to zaszyjemy się gdzieś, spróbujemy trochę przespać w ciągu dnia, a potem ruszymy do Windsoru. Nie zdążymy dotrzeć tam przed świtem, a myślę, że lepiej będzie znaleźć się na miejscu nocą.

Znów wracając do procedur, które wypracowaliśmy sobie podczas biegu przez Europę, przemieniłem się w jelenia i zostałem na widoku, a Granuaile i Oberon podążali za mną niewidzialni. Taka przebieżka przez Anglię nawet nieco mnie wzruszyła. W końcu spędziłem tu trochę czasu w różnych okresach życia. Wieś bardzo się zmieniła. Kiedyś było tu więcej Starych Dróg, ale wiele uległo zniszczeniu w imię postępu, zjadł je po prostu współczesny świat, a nie było dotąd potrzeby tworzyć nowych, bo przecież system przenoszenia się przez drzewa był niezawodny – aż do teraz.

A jednak nawet nocą mijaliśmy po drodze niezwykle piękne obszary angielskiej wsi. Oberon przywazył stado owiec śpiące na pastwisku i błagał mnie, żebym mu pozwolił je pomęczyc.

<Tylko pomyśl, Atticusie. Jeśli dobrze je wystraszymy, to pogubią tyle wełny, że zrobisz mi z niej na drutach sweter z wielkim O na plecach. Będę go nosił do parku i w ogóle>.

<Nie chcemy nikogo pobudzić, Oberonie, nie wykluczając owiec. I nie chcesz chyba

uchodzić za byle podgryzacza owiec. Toż to wstyd dla szanującego się psa>.

<Ale one są takie mięciutkie jak kaczuszka!> A gdy nie odpowiedziałem na jego jęki, zaczął błagać Granuaile. <Bystra Dziewczyno, wstaw się za mną! Tylko pobiegniemy tam i trochę poszczekamy, a one się obudzą i zaczną beczeć z tym uroczym brytyjskim akcentem. I zaraz potem sobie pójdziemy. To nie zajmie nawet dwóch lat!> Po krótkiej przerwie znów go usłyszałem. <Minut, lat, co za różnica>.

<Oberonie, wiem, że od wielu dni nie mieliśmy żadnej przerwy na zabawę, ale obiecuję, że wynagrodzę ci to czymś naprawdę dobrym>.

Wyczuwając słabość przeciwnika, mój pies natychmiast przeszedł w tryb negocjacji.

<Chcę szaloną pudlicę o cynamonowej sierści i imieniu Nutmeg! I ma być naprawdę szalona. Ma szczekać na hydranty przeciwpożarowe i sikać na listonoszy>.

<Nie wiem, czy możemy ci zagwarantować, że sprostamy wszystkim twoim wymaganiom, ale na pewno jakoś to wszystko nadrobimy>.

W Kent zachowało się nieco więcej lasów niż w innych rejonach Anglii, a małe zagajniki oddzielały pola i pastwiska dla owiec. Pasma drzew na zachód od Sevenoaks, które nosiło nazwę Mill Bank Wood, kryło jedyną Starą Drogę, jaka znajdowała się na naszej trasie aż do Windsoru. Kamień pod gnijącymi liśćmi maskował kanał prowadzący do pomnika na cześć Lugh Lhámhfhady w Tír na nÓg. Zbliżaliśmy się do niego bardzo ostrożnie, niemal pewni, że strzegą go faerie, potwory albo ludzcy zabójcy. Nasze podejrzania okazały się nadmiernie optymistyczne – zamiast głazu zastaliśmy po prostu stertę gruzów i zrytą ziemię. Przejście do Tír na nÓg zostało kompletnie zniszczone. Nawet nie miałem już siły przeklinać naszego pecha; zresztą oczywiście wcale nie był to pech, tylko kolejny dowód na to, że ktoś tu starannie zaplanował całą kampanię przeciwko nam.

Ruszyliśmy dalej, ale nie powiedziałem Granuaile i Oberonowi, dokąd biegniemy i dlaczego, licząc na to, że dzięki temu będzie może trochę trudniej wywróżyć nasz cel. Bezpośrednio na zachód, jakieś dwie czy trzy mile dalej, tuż za cmentarzem French Street Burial Ground, znajdował się las Long Wood, w którym moglibyśmy się ukryć i pospać. O moim zmęczeniu świadczyło już samo to, że nie zdołałem wykrzesać z siebie żadnego żartu na temat tej nazwy. W lesie było wilgotno i po deszczu pachniało trochę zgnilizną, ale na razie byliśmy tu bezpieczni.

Przemieniłem się w człowieka i powiedziałem:

– Rozbijmy się tu na jeden dzień.

Do świtu została już zaledwie godzina.

Granuaile też się przemieniła.

– Możemy sobie na to pozwolić? – spytała.

– Chyba mamy trochę rezerwy czasowej. – Wzruszyłem ramionami. – Łowczynie potrzebują zupełnie nowych ciał i rydwanów, a potem będą musiały odnaleźć nasz trop w Dover. Pojawią się wypoczęte i jak nowo narodzone, lepiej więc, żebyśmy też nabrali sił. Wy z Oberonem śpijcie. Postoję na warcie, a potem cię obudzę i się zmienimy.

Granuaile przysunęła się do mnie i złożyła na moich ustach czuły pocałunek.

– Nawet nie mam siły się z tobą o to spierać – przyznała, skuliła się na ziemi, a Oberon rozwalił się obok niej. Odpłynęli w ciągu kilku minut, a mnie pozostało tylko rozmyślanie nad tym, jak mamy to wszystko przeżyć.

Jeśli tylko jakoś uda nam się załagodzić konflikt z Olimpijczykami, to tak naprawdę powinniśmy się skupić na tajemnicach w Tír na nÓg. Ktoś, kto wywróził położenie Granuaile, był również odpowiedzialny za nasyłanie na nas mrocznych elfów i wampirów.

A mimo to najbezpieczniejsi bylibyśmy teraz w Tír na nÓg. Ani wampiry, ani mroczne

elfy nie były tam tolerowane. Przerzucanie ich w odpowiednie lokalizacje przez Stare Drogi było czymś zupełnie innym, bo taki proceder stosunkowo łatwo dało się ukryć – szczególnie jeśli się nadzorowało strażników tych przejść, jak to robił Lord Łonobrody – ale ich dłuższy pobyt w Tír na nÓg, szczególnie teraz, gdy na mnie polują, wywołałby wiele niepokoju i pytań, których ten nasz tajemniczy wróg z pewnością wolałby uniknąć. A jeśli chodzi o pozostałe zagrożenia – czyli faerie – miałem jednak nad nimi poważną przewagę, więc nimi się nie przejmowałem.

Gdybym tylko znalazł jakąś bezpieczną kryjówkę dla Granuaile i Oberona, mógłbym nawet wpaść tam solo i zaskoczyć Midhira lub Lorda Łonobrodego, jeśli rzeczywiście oni za tym stoją, bo pewnie zakładają, że zawsze będę blisko Granuaile, przez co łatwo będzie przewidzieć, jeśli będę się zbliżał.

Pozwoliłem Granuaile spać do przedpołudnia, po czym obudziłem ją, żeby przejęła wartę.
– To mi dobrze zrobiło – powiedziała, rozciągając się leniwie i może nieco zalotnie. –

Dzięki.

Wstała, ale Oberon ani drgnął. Biedny pies.

– Nie ma za co. Obudź mnie wczesnym popołudniem, to skoczmy załatwić sobie jakieś ubrania.

Rozciągnąłem się przy Oberonie i przestałem walczyć ze zmęczeniem.

Rozdział 20

W mojej prawej nodze pojawiło się nagle dziwne drżenie. Potem zatrzęsło moimi żebrami, aż w końcu zadygotałem na całej długości tatuaży. Obudziłem się raptownie, a Granuaile aż podskoczyła.

– A! Co to było, do licha? – spytała, wpatrując się w tatuaż na swojej ręce, jakby kończyła mogła jej na to odpowiedzieć. Zmarszczyła brwi, obróciła się ku mnie i zobaczyła, że też już nie śpię. – Poczuleś to?

Oberon wstał i przeciągnął się.

<Co miałem poczuć?>

– Tak, też to poczułem.

<Co jest grane? Czy zaraz strątuje nas stado angielskich kiboli?>

– Co to było? – spytała Granuaile.

– Ostatnim razem, gdy poczułem coś podobnego, umarła kraina Peruna.

– O, nie!

– No. Zniszczono jakąś połączoną z ziemią krainę.

– Czy to znaczy, że Loki znów jest wolny?

– Na to by wyglądało. Chyba że ktoś inny niszczy krainy.

Drżenie nie ustawało, a ja skomunikowałem się z angielskim żywiołakiem Albionem.

//Wyczuto zakłócenia / Pytanie: Źródło?//

Jego odpowiedź potwierdziła moje obawy.

//Stara kraina Finów / Płonie//

– Albion mówi, że to kraina Finów.

– Czy też mają ich kilka tak jak Irlandczycy?

– Nie aż tak wiele. To może być Tuonela, ich kraina umarłych.

– Dlaczego Loki miałby w ogóle sobie nią zaprzętać głowę?

– Pojęcia nie mam. Ale skoro jest znów na wolności, to co się stało z Maliną? Wypuściła go czy raczej została po niej tylko garstka popiołu? A może Hel ich namierzyła i jakoś ją zastraszyła albo przekupiła, albo zabiła? Diabli wiedzą.

Zdenerwowany brakiem odpowiedzi na te wszystkie pytania spojrzałem w niebo i uznawszy, że Odyn spogląda na nas z Hlidskjálfu, zawołałem:

– Hej! Odynie! Słyszysz mnie? Myślałem, że będziesz miał oko na Lokiego, skoro stanowi on potencjalnie tak duży problem?!

Granuaile się zamyśliła.

– Finowie też mieli boga piorunów, prawda? Takiego jakby Peruna, nie?

– No, widziałem go nawet kiedyś. Nazywa się Ukko, co znaczy właściwie „stary człowiek”. To bóg nieba i piorunów. Należał do tej drużyny, która wpadła wtedy do Arizony mnie zabić, a zarażała Kojota. Mimo to wydawało mi się, że to naprawdę wporzo gościu. Pewnie dlatego że Finowie są w ogóle tacy cool. Spróbuj zgadnąć, skąd, ich zdaniem, biorą się pioruny?

– Hmm. Widząc ten twój uśmieszek, boję się zgadywać.

– Cały ten hałas powstaje wtedy, gdy Ukko i jego żona Akka uprawiają bynajmniej nie błyskawiczny seks. Czy to nie genialne?

Granuaile pokręciła głową.

– Nie. To obrzydliwe. Czasami jesteś takim facetem.

<To on nie zawsze jest facetem?>

Nie chciała przez to przecież powiedzieć, że czasami jestem kobietą. Sugeruje, że jestem płytki.

<A, rozumiem. Ale dlaczego powiedziała, że tylko czasami?>

Hej!

Granuaile nie słyszała, co powiedziałem, ale komentarz Oberona i oburzenie malujące się na mojej twarzy wystarczyło – wybuchnęła śmiechem.

<Trafiony, zatopiony!>

– Dobry piesek – pochwaliła go i pogłaskała na dodatek.

– W każdym razie mam nadzieję, że Ukko nic się nie stało – powiedziałem, żeby skierować rozmowę na bezpieczniejsze tory. – Jeśli rzeczywiście to on był celem i jeśli to sprawka Lokiego.

– Ukko chciał cię zabić, a ty się martwisz, czy nic mu się nie stało?

– Hmm, no tak. Ale żebyś ty widziała, jak on wiwatował, jak Morrigan przecięła Widara na pół. Wydaje mi się, że on tak z nudów mnie chciał zabić, nie miał w sumie nic przeciwko mnie. Chodziło mu tylko o odrobinę rozrywki.

– Jeśli uważa za rozrywkę napadanie wszyscy na jednego, żeby zabić, to zdecydowanie nie budzi mojej sympatii.

– Bardzo niewielu spośród starych bogów jest tak naprawdę sympatycznych. Goibhniu stanowi tu raczej chlubny wyjątek.

<I nie zapominajcie o Fand! Dała nam bekon i kiełbasę>.

Granuaile rozpromieniła się.

– Tak, też lubię Fand – zgodziła się z moim psem. – I Manannána Mac Lira. Wciąż ratują nam dupską, więc nie da się ich nie lubić.

– I to są właśnie te wyjątki – powiedziałem i obejrzałem się na zachód, gdzie słońce kryło się już za horyzontem.

– Dałaś mi pospać trochę dłużej, co?

– Należało ci się. Właśnie miałam cię budzić.

Z nieba sfrunęły dwa duże kruki i wylądowały na gałęzi jesionu.

– Aha, czyli Odyn jednak na nas patrzył – mruknąłem, wskazując Hugina i Munina. –

Być może czegoś się wreszcie dowiemy.

W zwykłym spektrum nadal nie potrafiłem ich nijak odróżnić, ale w magicznym łatwo mi już było powiedzieć, który to Hugin, bo lśnił mocniej magią umysłu Odyna. Wskazał mi dziobem Munina, na znak, że mam spleść z nim swoją świadomość.

Gdy tylko to zrobiłem, we wspomnieniach Odyna mogłem zobaczyć wydarzenia ostatnich dni. Zobaczyłem Lokiego wciąż oszołomionego urokami Sióstr Trzech Zórz, szczególnie ustami Klaudii, na które sam mało się kiedyś nie skusiłem. Były isticie dekadencjki. Ponętne. Tak bardzo, bardzo kuszące. Cholera, mało mnie nie uwiodły na tym replayu.

Wiedzmy i bóg oszustwa wciąż znajdowali się na tym samym polu, gdzie ich zostawiłem, co mnie trochę zdziwiło. Wydawało mi się, że Malina będzie raczej wolała przenieść operację gdzie indziej, ale być może uznała, że to za wiele zachodu, a też trzeba jej przyznać, że pola cebuli nie znajdują się jakoś pod ścisłą kontrolą społeczną. Kadr poszerzył się i zobaczyłem Garma, gigantycznego psa Hel, także zauroczonego przez wiedźmy. Uśmiechnąłem się zadowolony. Skoro udało im się spacyfikować Garma, Hel zupełnie nie będzie wiedziała, gdzie posłać swoich draugarów. Malina niezłe się spisała.

Garm wzrok miał skupiony na kiju, który trzymała mu przed pyskiem jedna z młodszych wiedźm Maliny. Wyglądało na to, że na badylu umieściły podobny urok, jaki miały na różnych częściach ciała, żeby oczarowywać ludzi. Malina tak sprawnie omamiła i Lokiego, i Garm (który był oczami i uszami Hel na ziemi, mniej więcej tak jak Hugin i Munin służyli Odynowi), że naprawdę mogła odwlekać Ragnarök w nieskończoność, trzymając Hel w niepewności.

Jeśli się jejoczywiście w tym nie przeszkodziło.

A przeszkodził jej Ukko. Jakimś sposobem dowiedział się, że Loki jest na wolności, i go namierzył. Dobrze byłoby się przy okazji dowiedzieć, jakim to tajemniczym sposobem pozyskał te informacje, zwłaszcza że wyraźnie dowiedział się o tym pierwszy. Dlaczego akurat Ukko? Zleciał z nieba, wylądował tuż obok i bez słowa powitania strzelił w Lokiego piorunem.

Jego motywacja natomiast nie była dla mnie żadną tajemnicą. Tak jak Perun, który zajmował analogiczną pozycję wśród plemion staroruskich, Fin bynajmniej nie darzył nordyckiego panteonu przesadną miłością, bo poniekąd stanowili oni bezpośrednią konkurencję w walce o serca i umysły ludzi z tej samej części świata.

Loki poleciał do tyłu, jego tułów zgiął się nieco, a długie kończyny załopotaly jak u kałamarnicy. Wylądował jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, czyli już zdecydowanie poza polem rażenia ust Klaudii, włosów Maliny czy jakichkolwiek innych uroków, jakimi go uspokajały. Jego ciało wybuchło płomieniami i wróciło mu szaleństwo.

– He?! Kto? – ryknął, gdy zobaczył nacierającego Ukko. – Bbbbbóg pio-piorunów. Do-do-dobrze!

Malina krzyknęła coś po polsku, ale Loki i Ukko zupełnie ją zignorowali i skupili się na sobie nawzajem. Loki wziął głęboki wdech, jak to zwykły czynić śpiewaczki operowe, gdy pierś unosi się tylko ledwo, ledwo, ale płuca wypełniają niczym miechy. Odrzucił głowę w tył i zawył, unosząc ręce wysoko i rozpętując wokół istne piekło – krąg ognia przewrócił Ukko i podpalił oczywiście całe pole. No to mieliśmy wielki ogień, który z taką precyzją przewidział sabat Maliny.

– Pod-pod-podpalić twój świat! – wycharczał jeszcze Loki, nim wystrzelił w powietrze i pomknął na północ, pewnie w stronę Finlandii.

Ukko nie miał więc wyboru i musiał przejść do defensywy. Popędził za nim nieświadomy pewnie nawet tego, że przełączył Lokiego z trybu „Zneutralizowany” do „Socjopata na wolności”.

Oczy Odyna nie podążyły za nimi, ale pozostały przy wiedźmach. Polki włączyły swoje fioletowe zabezpieczenia, żeby chronić się przed płomieniami, ale wyraźnie odczuwały ich ciepło. Garm jednak nie miał żadnych zabezpieczeń. Jego futro stało w płomieniach, a wyjący pies pomknął do rzeki, która płynęła jakieś dwieście metrów dalej, mijając Jasło po zachodniej krawędzi miasta. Wiedźmy popędziły za nim, klnąc siarczyście i po polsku. Wyglądały na bardziej rozwścieczone niż przerażone.

Munin przerwał projekcję obrazów i zakrakał na mnie. Rozłączyłem się z nim i podłączyłem do Hugin, żeby pogadać z Odynem.

Dobra, skąd się tam w ogóle wziął ten Ukko? – spytałem.

Szary Wędrowiec nie miał już w głosie takiego spokoju jak wtedy, gdy Loki był pod kontrolą. Nawet kruk miał jakiś zaniepokojony dziób.

<Miałem nadzieję, że ty mi to wyjaśnisz>.

Sugerujesz, że miałem z tym coś wspólnego? Przecież to by było zupełnie sprzeczne z moim interesem. A poza tym zauważ, że byłem ostatnio nieco zajęty.

<Coś musiało pchnąć go do działania. Ukko nie należy do specjalnie czujnych osób>.

No to może Hel?

<Nie wiedziałyby nawet, gdzie go szukać. Przecież jej psa omamiły te wiedźmy. A poza tym nie musiałyby przecież nikogo posyłać, gdyby postanowiła uwolnić ojca. Przybyłyby mu sama na ratunek z kilkoma zastępami draugarów, tak jak wtedy, gdy Loki najechał Nidavellir>.

Może tylko wspomniała Ukko o tym, że Loki jest na wolności, i potem już Ukko sam się wziął do roboty.

<Być może> zgodził się z uprzejmości Odyn <ale to nie w jej stylu. Bez urazy, ale to mi raczej wygląda na manipulacje typowe dla Tuatha Dé Danann>.

A. Racja. Midhir – mruknąłem.

<Kto?>

Przedstawiłem mu moją hipotezę co do motywacji Midhira i jego możliwości.

<Interesujące. To wywoła w Walhalli całą nową serię zakładów>.

Tym razem nie ugryzłem się na czas w język i warknąłem:

Niech sobie ci twoi einherjarowie opieką napletki.

Odyn się roześmiał.

<Przekażę im twoją radę>.

Przekaż. A co się stało z wiedźmami i Garmem?

<Wiedźmy dotarły do rzeki. Garm przeniósł się do Helu, nim dobiegł nawet do wody, więc pewnie już tam liże rany>.

No to pięknie. Jeszcze jedna rzecz do martwienia się.

<Garmem nie ma się na razie co przejmować. Hel też nie. Przejmować to się trzeba Lokim. Spalił Finów i pewnie już cię szuka. Będzie cię szukał na całym kontynencie za to, co zrobiłeś Fenrisowi>.

A właśnie. Jak tam Freja?

Podczas naszego najazdu na Hel nordycka bogini piękności i wojny odniosła dość poważne obrażenia.

<Leczy się. Frigg się nią zajmuje>.

Wie już chociaż, że nam się udało?

<Wydaje mi się, że jeszcze nie odzyskała przytomności>.

Zmarszczyłem czoło.

Jest w śpiączce czy co?

Wiedziałem niby, że straciła dużo krwi i miała kilka potrzaskanych kości, ale być może odniosła jeszcze jakieś obrażenia, których nie zauważyliśmy przy ewakuacji.

Odyn wyraźnie się zniecierpliwił.

<Nie wiem. Dzisiaj jeszcze nie sprawdzałem. Ty jednak powinieneś bardziej się zacząć martwić o następny cel Lokiego, czyli ciebie. Loki będzie chciał cię zabić przed rozpoczęciem Ragnaröku. Odnoszę wrażenie, że postrzega cię jako większe niebezpieczeństwo niż mnie. Najlepsze więc, co możesz zrobić, żeby opóźnić koniec świata, to mu umknąć. Uciekaj z tej krainy>.

Dzięki – mruknąłem z przekąsem. – Pracujemy nad tym. Muszę lecieć.

<Nie. Zostań tutaj>.

Dlaczego?

<Nadciągają mroczne elfy. Zatrzymaliście się w jednym miejscu na tyle długo, że udało im się namierzyć waszą lokalizację>.

Jak już mówiłem, muszę lecieć.

<Ljósálfarowie też są już w drodze. I jeszcze ktoś>.

Kto?

<Poznaliście się już>.

Na pastwisku tuż przy Long Wood załśnił nagle tęczyowy most z Asgardu i zobaczyłem, że z oddali nadlatują ku nam jakieś postacie. Zerwałem połączenie z Huginem i odwróciłem się do Granuaile.

– Na stanowiska. Nadciągają mroczne elfy – zakomenderowałem. – A do tego jeszcze elfy standardowe i jakiś bonus do pomocy.

Oberon zaraz się zainteresował.

<Ale czad! Nigdy jeszcze nie widziałem elfa w wersji podstawowej. Zawsze się je dostaje z bonusem?>

W tym wypadku akurat na to by wyglądało.

Granuaile zacisnęła palce na Scáthmhaidzie.

– Wrzucam niewidzialność – zameldowała, wymamrotała splot i zniknęła.

Zarzuć mi kamuflaż na Oberona, ale sam zostałem widzialny.

Muszę przyznać, że Ljósálfarowie, którzy przeleźli do Midgardu z Bifrostu, rozczarowali mnie i zachwycili zarazem. Nie mieli wcale zielono-złotej zbroi w kształcie liści zdobionych zawijasami ani długich szat ze zbyt luźnymi, wyszywanymi zdobnie rękawami. Nic ich nie podświetlało od tyłu i nie słychać było żadnej Enyi na soundtracku. Nie mieli długich, prostych, jedwabistych włosów, a ich oczy nie były wcale wielkimi przezroczystymi kroplami OMG prosto z mang. Byli jednak wysocy, smukli i bardzo lśniący, a gdy się poruszali, rozlegał się dźwięk podobny do dzwonienia dzwoneczków wietrznych.

Dźwięk ten wydawała ich jasnoniebieska emaliowana zbroja (to znaczy zbroja z pociągniętego szkłem metalu). Ich ciała pokryte nią były w warstwach łusek, wyglądali więc trochę jak pangoliny – gdyby pangoliny mogły oślepić niczym metalowe chlapacze tirów. Na środku każdej łuski znajdowała się wyżarta kwasem runa i wydaje mi się, że była to zawsze ta sama runa. Szczerze mówiąc, nie widziałem żadnego pożytku z zastosowania emalii w zbroi. Roztrzaskać ją mogło przecież byle uderzenie, a metal wyglądał mi na aluminium albo może cieniutką płytkę stali. Ale widocznie jakaś formę ochrony stanowiły te właśnie runy. Ich hełmy w ogóle nie miały metalowej podkładki – każdy był tylko jednym kawałkiem jasnoniebieskiego szkła z wyżartą tą samą runą na całej powierzchni, aż się miało wrażenie, że ktoś trafił na wyprzedzających porysowanych akwariów i zrobił interes na wciśnięciu ich naiwniakom w Álfheimie. W szkłe wycięto tylko otwory na nos, usta i uszy, przez co rysy twarzy były zamazane, ale widać było w każdym razie, że elfy mają krótko ostrzyżone włosy i te legendarne spiczaste uszy. Na lewym biodrze dyndały im się miecze, ale aż się zacząłem zastanawiać, czy to nie jakaś ceremonialna broń, bo w kaburach zwisających im na udach widniało coś znacznie skuteczniejszego – duże pistolety na pociski flechette.

Było tych elfów ze dwa tuziny, a prowadził je przysadzisty, niski typek w ciężkiej stalowej zbroi płytowej, która też była zdobiona runami, ale bardziej urozmaiconymi i lśniącymi własnym światłem. Na plecach miał cztery małe toporki, których rękojeści wystawały mu zza ramion. Głos miał nieco stłumiony przez hełm, ale nie dało się nie rozpoznać tej dykcji.

– Witaj, Druidzie, Wilka Zabójco, Frejra Przekleństwo, Lokiego Pasterzu. Obyś z bitwy naszej bez żadnej rany wyszedł i śmiertelną pieśnią pokonanych swe uszy radować ci przyszło.

Znałem tylko jedną osobę, która potrafiłaby naprodukować tyle epitetów i jeszcze wyrzucić je z siebie na jednym wydechu.

– Fjalar? To ty? Runeskald z Nidavelliru?

<Krasnolud, który ugotował nam tamte mniam-mniamy?> zainteresował się Oberon.

– Jam to. Z Rycerzami Szklanymi, spośród Ljósálfarów najlepszymi, runami chronionymi i do bitwy gotowymi przybywam. Ze Svartálfarami cię goniącymi potykać się gotowi jesteście. Topory nowo wykute i blazonowane przynoszę, by przez dym czarny rąbać, a ciała z pary wyrywać.

– Co takiego? Bardzo przepraszam, ale chyba się zgubiłem.

Fjalar chwycił jeden z toporów. Na toporzysku broń miała zainstalowany przycisk, który uwalniał topór z futerału, tak żeby nie zahaczył ostrzem. Sprytne rozwiązanie. Fjalar wskazał na runy na ostrzu topora i powiedział:

– Oto w rzemiośle wojennym eksperymenty, oto przebicie się przez magiczną mgłę próba, by ciało zranić, by dym zaatakować, a jednak kość i ścięgno przeciąć.

– Chcesz powiedzieć, że jeśli dziabniesz tym mrocznego elfa w jego dymnej postaci, to będzie miał rany, gdy się ucielesni?

– Póki próby nie podejmę, wiedzieć nie będę, lecz taką nadzieję wszak mam. Runy stanowi ich lotnemu kres położyć winny, a ostrze ciąć będzie, co do stałych ich form przywołać je musi. Jeśli choć jeden z toporów tych skutecznym się okaże, więcej takowych wykonam, a pieśni mojej, rzemiosła mojego innych Runeskaldów nauczę.

– Świetny plan – przyznałem – ale co, jeśli żaden z tych toporów nie spełni swojej roli?

Zbroja krasnoluda drgnęła, co oznaczało pewnie, że wzruszył skrytymi pod nią ramionami.

– Do kuźni wrócę, nowe wykuć spróbuję.

– Nie to mam na myśli. Mroczne elfy nie dadzą ci tak po prostu na sobie eksperymentować.

– Wyboru w tej kwestii żadnego im wszak nie dam.

– Chodzi mi o to, że będą walczyć.

– I jagnię beczy, nim się je zarznie. Cóż za różnica. – Hełm Fjalara zadrżał, jakby jego głowa odwróciła się lekko w inną stronę. – Aha! Oto nadciągają. Tutaj pozostań i nic nie czyń, póki rozkaz, byś na ziemię padł, nie zabrzmiał.

– Słucham?!

– Nic czynić nie musisz, jeno uwagę ich przyciągnąć. Resztą my się zajmijmy.

Obejrzałem się na pastwisko oddzielające Long Wood od zagajnika na wschodzie i zobaczyłem zbliżającą się do nas sporą grupę mrocznych elfów – było ich mniej więcej tyle, ile naszych elfów. Odziane były w coś, co naprawdę wyglądało jak lśniące białe dresiki, jakie drużyny koszykarskie wkładają na rozgrzewkę – tylko że mieli tuniki zamiast bluz. Pędzili chaotyczną chmarą, póki nie ujrzeli kroczonego ku nim Fjalara z toporem. Wtedy musiała paść pewnie jakaś komenda, bo nagle utworzyli półkole i zdwoili prędkość.

Za mną Rycerze Szkla ustawili się w sześć czwórek i wyciągnęli swoje pistolety, po jednym w każdej dłoni. Fjalar zrobił jeszcze kilka kroków, aż był już jakieś dwadzieścia metrów

przed nami. Gdyby ktoś był ubrany według współczesnej mody wojennej, czułbym się może nieco niezręcznie – goły wśród wszystkich tych nowomodnych strojów – ale poza eleganckimi pistoletami flechette wszyscy postawili na *old school*, czułem się więc jak Celt z krwi i kości.

– Serio nie mam nic robić? – zawołałem jeszcze.

– Naszą taktykę ze szczerem nam zrujnujesz, jeśli jakiegokolwiek ruchu poczynisz – rzucił mi przez ramię Runeskald.

Z jednej strony poczułem się odrobinę urażony, że nie chcą mojej pomocy, ale z drugiej – jeśli chcieli ponosić całe ryzyko, to czemu nie. Bardzo byłem ciekawy przebiegu tego starcia. To był najbardziej zdyscyplinowany oddział mrocznych elfów, jaki dotąd widziałem, i jeśli mnie oczy nie myliły, chyba miały ze sobą zwykłą stalową broń. Pewnie się w końcu zorientowali, że nie potrafią się przebić przez moją aurę za pomocą swoich magicznych noży.

Oberonie, chciałbym, żebyście się z Granuaile trzymali za elfami, jeśli jeszcze tego nie robicie.

<Robimy, ale przekażę Bystrej Dziewczynie>.

Jakieś trzydzieści metrów przed Fjalarom mroczne elfy zatrzymały się i wyciągnęły stalowe bułaty. Uniosły je nad głowami, a potem, na jakiś niemy sygnał – zaatakowały. Fjalar popędził im na spotkanie, ale bynajmniej nie niemo. Śpiewał coś bardzo groźnym tonem, a wokół jego zbroi zajaśniała żółta energia. Gdy zetknął się z falangą elfów, jego topór przeleciał przez ubrania i dym zwiadowcy, a reszta elfów otoczyła go, spuszczając swoje bułaty na jego zbroję. Tylko że ich ostrza odskakiwały od hełmu i naręczaka, jakby były zrobione z gumy, a zamiast spodziewanego chrzęstu zbroi słysząc było tylko głuchy stukot. Za każdym uderzeniem wybuchało żółte światło. Fjalar znów się zamachnął swoim toporem, znów przedzierając się przez dym, ale bez żadnego skutku. To znaczy na pewno zmusił tym kilka elfów do upuszczenia broni, a jego zbroja miała jakieś sprytne zabezpieczenia, żeby wytrwale znosić te uderzenia, ale ogólnie żadnej ze stron nie udało się dokonać żadnych szkód.

Niezrażony tym Fjalar rzucił pierwszy topór na ziemię i wyciągnął następny. Kiedy sięgał za głowę, zwiadowca ucieleśnił się nagi i dźgnął go czarnym nożem Svartálfarów. Ta broń też się odbiła od zabezpieczeń. Ale gdy Fjalar spuścił na niego swój topór, paskuda zrobił unik, znów zrzucając swoją cielesną powłokę.

Część mrocznych elfów wyminęła wojowniczego krasnoluda, utworzyła nowe półkole i ruszyła w górę zbocza, by mnie zaatakować. W końcu to ja byłem ich celem. Wciąż miały w dłoniach lśniąca stal. Zauważywszy ten ruch wroga, jeden z Ljósálfarów warknął rozkaz po staronordycku i elfy uniosły swoją broń. Nikt jednak nie kazał mi się rzucać na ziemię. Przygotowałem Fragaracha i rzuciłem jeszcze jedno zaniepokojone spojrzenie na Fjalara. Wyciągał właśnie trzeci topór, ryczał swój skald i warczał na przeciwników, którzy nadal spuszczali na niego deszcz zupełnie nieskutecznych ciosów – póki nie zamachnął się na nich trzecim toporem.

Tak jak przedtem, przewidziawszy jego cios, mroczne elfy rozplynęły się w czarny jak węgiel dym, ale tym razem, gdy topór przez niego przeszedł, zdawał się wciągać ich z powrotem w cielesność, gdy sunął przez powietrze, mniej więcej tak, jak rozpinający się zamek ukazuje skryte dotąd tajemnice, gdy podąża w dół. A elfy, które zostały na siłę wciągnięte z powrotem w cielesność, pojawiały się od razu rozrąbane toporem. Z ich torsów wylewały się na ziemię atramentowe wnętrzności.

– Zwycięstwo! – ryknął Fjalar, a przywódca Ljósálfarów rzucił mi rozkaz „padnij”.

Mroczne elfy przede mną były już niepokojąco blisko, ale padłem posłusznie na ziemię, dość zaintrygowany tą taktyką. Padł też Fjalar. Elfy zaczęły strzelać swoimi strzałkami w ściśle

ustalonym rytmie – co pół sekundy, choć kilka sekund zajęło mi uświadomienie sobie tego i zrozumienie ich strategii. Pierwsze strzały zaskoczyły niektóre mroczne elfy, ale większość z nich zdążyła rozpląnąć się na czas, przy czym upuściła oczywiście stalowe ostrza. Następna fala strzałów przeleciała mi nad głową i przez dym, nie czyniąc im żadnej krzywdy, ale to się zaraz zmieniło. Mroczne elfy były w stanie utrzymać swoją dymną postać jedynie przez pięć sekund, więc Ljósálfarowie musieli tylko zalewać pole swoimi strzałkami sześć sekund, żeby bez pudła przyłapać ich w cielesnej formie.

Po czterech sekundach jeden z Svartálfarów zmaterializował się przy moim boku z wysoko uniesionym czarnym nożem, ale został ustrzelony, nim zdążył go na mnie opuścić. Inne mroczne elfy zorientowały się, że Ljósálfarowie stanowią realne zagrożenie, i ucieleśniły się za nimi, ale gdy chciały zadźgać przeciwników od tyłu, włączyły się runy na szklanych zbrojach zwykłych elfów i odepchnęły te mroczne niebieską falą. A potem, w piątej sekundzie, mroczne elfy, które zostały na polu pod nami, trafiły dwie kolejne fale strzałek: pierwsza fala zachwiała nimi i uniemożliwiła przyjęcie dymnej postaci, a druga powaliła je na ziemię.

Te, które uszły z życiem, czyli kilka elfów za linią Rycerzy Szklą – zaledwie trzy sztuki – zadymiły i zwiały.

<Mogę to zobaczyć jeszcze raz, ale w zwolnionym tempie?>

Wstaliśmy z Fjalarem z ziemi i odsunęliśmy się od stert trupów mrocznych elfów, nim ich wewnętrzna niestabilność spowodowała roztopienie się ciał w oleistą breję.

– Widziałeś to, druidzie? – wrzeszczał Runeskald. – Oto runy nad złem zatriumfowały!

– No, na to by wyglądało. Co tu się właściwie wydarzyło?

– Trzeci topór zadziałał! Teraz, gdy już właściwe runy i skald znam, broń stworzyć wspaniałą mogę, Rycerzy Szklą na ich misję uzbroić, honorem zaszczycony chwałę zdobywać.

– Przepraszam, ale jaką znowu misję?

– Królowie nasi, Aurvang i Gedelglinn, dekret już wydali. W czeluści Svartálfheimu Rycerze Szklą się zapuszczą, ruiny zostawią i zgłiszczą, tych, którzy podczas Ragnaröku przeciw nam by stanęli, zniszczą.

Coś tu się jednak nie zgadzało.

– Czekaj no. A skąd niby wiecie, kto stanie przeciw wam podczas Ragnaröku?

Svartálfarowie powiedzieli, że będą walczyć z Hel?

– Mało ci dowodów, druidzie? – spytał Fjalar, wskazując mi pole, gdzie mroczne elfy rozpląwały się właśnie w smołę.

– Mało. To żadne dowody. Znaczący, nie ulega wątpliwości, że to mordercy i zawodowi zabójcy, ale przecież nie reprezentują wcale wszystkich Svartálfarów. Przecież mogą wśród nich być i przeciwnicy Hel, a jeśli tak, to byłiby cennymi sojusznikami.

Fjalar warknął głucho i lewą ręką zerwał sobie hełm z głowy. Jego broda nadal była łysa, a włosy splecione miał w warkoczyki, tak jak nakazywały w jego kulturze praktyki żałobne. Podszedł o krok bliżej.

– Taki z ciebie nagle sędzia charakterów? A kto posłał Lokiego Ogniste Łapska do Nidavelliru, żeby tysiące Braci Tarczy bez litości pomordował?

– Nikogo nigdzie nie posyłałem. Sam pozabijał twoich braci, bez mojego nasyłania. I dobrze o tym wiesz. Ale co powiedział Odyn na ten plan inwazji na Svartálfheim?

– Czyż nie kazał ci czekać na nasze przybycie? Czyż przez most Bifrost nas tu nie wysłał? Czy to nie Bifrost na nasz powrót do Asgardu czeka? – Wskazał mi za plecami lśniący w popołudniowym słońcu tęczyowy most. – I co ja w ogóle czynię? Czemu z jakimś golasem się spieram? – zaczął psioczyć, a potem minął mnie, wściekłym krokiem kierując się w stronę tęczy, a nawet na nią chciał wejść w podobny sposób, tyle że nie jest to oczywiście ten rodzaj

nawierzchni, po której da się wściekle kroczyć. Rycerze Szklą odwrócili się i poszli za jego przykładem, w ogóle nie dając mi czasu na dalsze dyskusje na ten temat. Zasępiłem się. Wcale mi się nie podobał taki rozwój sytuacji. Nie byłem jakimś szczególnie wielkim fanem mrocznych elfów, ale to głównie dlatego, że nie poznałem jeszcze żadnych miłych. Z opowieści Manannána Mac Lira wynikało jednak, że niektórzy Svartálfarowie mają szlachetną naturę. Zwykle osobniki o szlachetnej naturze nie zatrudniają się po prostu w roli najemnych zabójców.

– Odynie, czy ty to naprawdę popierasz? – krzyknąłem.

Most zniknął, a odpowiedź nie nastąpiła, choć chyba właściwie jej nie oczekiwałem.

<Atticusie, te ostatnie trzy mroczne elfy wcale sobie jednak nie poszły>.

Tak? A gdzie są?

<Za tobą. Właśnie podnoszą swoje stalowe miecze z ziemi>.

Dzięki. Powiedz Granuaile, żeby sobie strzelała do woli.

Obróciłem się z uniesionym Fragarachem akurat w porę, by zobaczyć nacierające na mnie trzy mroczne elfy z bułatami. Miny miały ponure, a ciała nagie. Wzdrygnąłem się, gdy jeden z noży Granuaile wbił się w pachwinę ich przywódcy. Padł na ziemię, wrzeszcząc i zaciskając palce na resztkach swoich klejnotów.

Będę miał po tym koszmary.

<Ba>.

Pozostali dwaj Svartálfarowie węszyli czujnie, oczekując kolejnych ataków ze strony niewidzialnego zabójcy, ale Granuaile nigdzie się nie spieszyło. Ich stalowe bułaty opadły na ziemię, a ja skupiłem się na jednej z chmur dymu i zamachnąłem się Fragarachem, licząc na to, że go złapię, gdy się ucielesni. Przeliczyłem się. Wyczuwszy, co się święci, elf osiadł dymem na ziemi, a gdy się ucielesnił, podciął mi nogi i zablokował mój rozpaczliwy cios, przedramieniem unieruchamiając mi nadgarstek. Prawą ręką ponaciskał mnie w kilku miejscach na klatce i kompletnie sparaliżował mi mięśnie.

A tego to kiedy się, u licha, nauczyli?

Teraz już bez problemu przywoździł moją rękę z mieczem, a swoją drugą ręką sięgnął do mojego gardła. Jego kumpel podbiegł do nas, podniósł z ziemi bułat i zrobił w moim kierunku dwa kroki, nim w jego piersi błysnął nagle nóż. Ostrze nie zabiło go, ale jego nagłe pojawienie się sprawiło, że zapragnął się jednak skupić na przedłużaniu własnego życia zamiast na kończeniu mojego. Wtedy wskoczył na niego Oberon i jednak mu je zakończył – a przynajmniej się domyśliłem, że to właśnie nastąpiło, sądząc po cichym warknięciu w powietrzu i nagłym padnięciu przeciwnika. Granuaile raczej nie miała zwyczaju warczeć, prędzej by go powaliła ciosem kija w głowę, co też uczyniła z tym typkiem, który właśnie mnie przyduszał. Musiała włożyć w ten cios sporo energii, bo jego łeb trysnął jak melon i elf opadł na mnie, brocząc czarną krwią.

– Dzięki – wysapałem. – Właśnie miałem to sam załatwić, ale no... wiesz... dzięki. To było niezłe.

Granuaile zrzuciła niewidzialność, skopała ze mnie mrocznego elfa i przyklękła.

– Sparaliżował cię jakoś?

– Trochę. Pracuję nad tym. – Mięśnie miałem zupełnie zablokowane i musiałem rozluźniać je teraz włókno po włóknie.

– To jakaś supertajna sztuka walki z Dalekiego Wschodu, nie? Gdzie on się tego nauczył?

– Pewnie na Dalekim Wschodzie. Też się tam nauczyłem kilku sztuczek. Nie mamy pojęcia, jak długo żyją ci goście ani jaki mają dostęp do wiedzy, ale chyba nie powinno być jakimś specjalnym zaskoczeniem, że są świetnie wyszkoleni. Udało nam się ich kilka razy zaskoczyć i ci cali Rycerze Szkła też byli niezli, ale obawiam się, że mroczne elfy także potrafią zaskakiwać.

Jak dotąd widziałem całkiem sporo mrocznych elfów wykończonych w zasadzce, ale jak się tak nad tym zastanowić, to nie udało mi się pokonać zbyt wielu w zwykłej walce. Były niesamowicie szybkie i silne i gdyby nie pomoc Granuaile, już nie raz by mnie ukatrupiły. Naprawdę chciałbym unikać konfliktów z tymi ludkami, a najlepiej to w ogóle przeciągnąć ich na naszą stronę.

– Już bym chyba wolał spotkać tego, kto ich na nas nasyła, niż mieć z nimi więcej do czynienia.

– Rozumiem. Pozwól tylko, że zwrócę ci uwagę na jedną rzecz: ubrania.

– No. Powinniśmy sobie jakieś załatwić. Nikt nie traktuje poważnie golasów.

– Mądre słowa. Czekaj, tylko odzyskam noże.

Pierwszy Svartálfar, którego trafiła, wykrwawił się na śmierć, a jego ręce wciąż zaciśnięte były na pachwinie. Odwróciłem głowę, żeby nie patrzeć, jak Granuaile odzyskuje swój nóż, ale na ten dźwięk i tak odruchowo skrzyżowałem nogi. Jego ciało zmieniło się w lepka kałużę, a Granuaile odsunęła się i wytarła nóż o trawę.

Już kilka chwil później byłem w stanie się poruszać i pobiegliśmy przez Long Wood w stronę drogi o nazwie Hosey Hill. Gdy biegliśmy, starałem się przyglądać ptakom w lesie, a nawet przystanąłem na moment w tym celu.

– Co tam? – spytała Granuaile, widząc, że wpatruję się w wierzchołki drzew.

– Auspicjum, jeśli nam szczęście dopisze. A chyba należy nam się odrobina szczęścia, co nie? Nie jestem wielkim fanem tego typu wróżb, ale z braku dostępu do jakichkolwiek innych metod zadowolę się i tym.

Granuaile zadarła głowę, obserwując skaczące po gałęziach gile.

– I co zamierzasz wyczytać z tego całego harmideru?

Usiadłem na cienkim dywanie z liści i przyglądałem się ptakom.

– Chyba coś o naszej ucieczce. Ile jeszcze mamy czasu, nim dogonią nas łowczynie.

Usiadła przy mnie i położyła sobie kij na kolanach.

– Jakoś nigdy mnie tego nie nauczyłeś.

– Bardzo rzadko stosuję auspicjum. O wiele bardziej wolę rzucanie różdżek, bo jest szybsze i można zadać różne pytania. Z ptakami to musisz siedzieć i się na nie gapić dobre piętnaście minut na każde pytanie, a potem martwić się, czy czegoś nie przeoczyłaś.

<A mogę sobie obwąchać to drzewo, jak będziecie robić to, co robicie, cokolwiek to jest?> spytał Oberon.

– Jasne, chłopie, tylko na nic nie szczekaj.

Oberon potruchtął sobie radośnie w swoją stronę, a ja spędziłem kwadrans na próbie wyglówkowania przyszłości z zachowania około dziesięciu ptaków, które dokazywały nad naszymi głowami. Teoria stojąca za auspicjami przypominała w dużej mierze teorię chaosu – w tym w każdym razie, że też zakładała, iż akcja w jednym miejscu wywoła reakcję w innym, a ptaki są na tyle wrażliwe, by wyczuwać wszelkie zmiany w swoim środowisku, takie jak nadciągające burze, susze czy najlepszy moment na migrację. Toteż jeśli się jest wystarczająco wyszkolonym w interpretowaniu ich zachowania, można wczuć się poniekąd w ich przeczucia. Te ptaki będą widziały, jak ja pod nimi przebiegam, ale też jak przebiegną pod nimi łowczynie. Pytanie więc brzmiało: kiedy?

Nie byłem pewien, czy wyłapałem wszystko, co miało mi przekazać ich trzepotanie i stukanie dzióbkami, ale wydawało mi się, że wynika z tego, że gdy dotrzemy już do Lasu Windsorskiego, będzie jeszcze kilka godzin do świtu, a łowczynie dotrą tam zaraz po zachodzie słońca.

Zakamuflowani pobiegliśmy dalej drogą Hosey Hill na północ, do Westerham. W jakiejś fontannie zmyłem z siebie pozostałości mrocznego elfa, a potem wpadliśmy do sklepu Orvis – angielskiej sieci dla miłośników świeżego powietrza. Już prawie zamykali. Znalazłem czarną koszulę z krótkimi rękawkami i czarne dżinsy i uznałem, że starczy; butami nie zawracałem sobie głowy. W czarnych ciuchach będę w nocy niemal tak niewidzialny, jakbym był w kamuflażu. Poprzysięgając sobie, że zapłacimy im, gdy tylko będziemy mieli jak, wyszliśmy, po czym zrzuciliśmy nasz kamuflaż i wreszcie się zobaczyliśmy.

Granuaile znalazła sobie czarny strój treningowy – taki, co to przylega do ciała i umożliwiałyby bezszelestne, swobodne poruszanie się, gdyby nie to, że akurat miał do kompletu strasznie głośną wiatrówkę. Granuaile postanowiła więc ograniczyć się do topu do biegania, w którym jej tatuaże na prawym ramieniu prezentowały się w pełnej okazałości.

Jej oczy zlustrowały mnie od góry do dołu.

– Mmm. Druid w czerni – powiedziała.

– Czy ty właśnie wydałaś z siebie łakomy pomruk?

<Wydała, nie da się ukryć. Chciałbym tylko dla porządku zaznaczyć, że nie wydawała tych dźwięków, kiedy byłeś kompletnie nagi>.

Rozdział 21

Wślizgnęliśmy się na teren parku Windsor niczym cienie – przez nikogo niezauważeni w mroku nocy. Na Snow Hill, dwie mile na południe od zamku, przystanęliśmy przy pomniku Jerzego III, skąd mieliśmy widok na aleję Long Walk prowadzącą aż do zamku, przyciętą i wypielęgowaną zgodnie z życzeniami tegoż króla.

– Widzisz tego faceta? – odezwałem się, klepiąc dłonią o piedestał. – Nie tylko stracił amerykańskie kolonie i uruchomił początek końca Imperium Brytyjskiego, ale i ściął w osiemnastym wieku dąb Herna. Drzewo było już wtedy martwe, jednak czy to nie kutafońskie posunięcie? Choć oczywiście nadal rosną tam jakieś dęby, sadzone przez tego czy innego monarchę. Powinniśmy dać radę pójść tam do nich i stamtąd jakoś wywołać Herna.

<Atticusie, te dęby, o których mówisz, czy one są... no wiesz... nietykalne?>

– Hmm, myślę, że niegłupim posunięciem byłoby ich raczej nie obsikiwać, Oberonie, bo Hern ma całą sferę psów. Mogą się obrazić, jak zaznaczysz swój teren na ich terenie.

<Ale przecież te psy są martwe, nie? To czego jeszcze chcą?>

– Nie wiem do końca, jak to jest, ale grzeczności nigdy za wiele.

– Ale jak tak konkretnie się wywołuje Herna? – spytała Granuaile.

– Poprosimy Albiona o pomoc.

Staralem się to powiedzieć pewnym siebie tonem, ale prawda była taka, że pojęcia nie miałem, jak mamy go wezwać ani nawet, czy on w ogóle może nam jakoś pomóc w walce z dwiema nieśmiertelnymi.

Zapewnienia Morrigan, że Hern jakoś nam pomoże, wydawały się teraz jakieś bez pokrycia, skoro ona sama nie żyła, a my nie zdołaliśmy jak dotąd nijak rozwiązać olimpijskiej kwestii, poza lekkim zirytowaniem bogów. Ale wiedziałem w każdym razie, że Hern istnieje. Zanim wybuchła ta cała afera z Aenghusem Ógiem, Flidais wpadła do mnie z ostrzeżeniem i wtedy mimochodem wspomniała, że gościła właśnie w lesie Herna. Nie wyraziłaby się w ten sposób, gdyby Hern nie był siłą, z którą należy się liczyć. Powiedziała, że była w lesie w Albionie albo może nawet po prostu w Lesie Windsorskim.

Jak większość tego świata Windsor Great Park też kiedyś był dziki, ale jego rozmiar malał przez wieki, aż zostało ledwie 4800 akrów parku. Na północ od Frogmore House – domu położonego trochę na południe od zamku – znajdowało się historyczne miejsce śmierci Herna. Był to dąb, który ścięto z rozkazu króla Jerzego III; znów zasadził go Edward VII. Tam właśnie zamierzałem spróbować go wezwać.

Nie wiedziałem za wiele o Hernie, bo nigdy jakoś go nie spotkałem. Znałem tylko parę legend jak każdy. Prób wyjaśnienia jego istnienia było wiele, i to bardzo różnych. Według niektórych Hern był zniekształconą postacią rogatego boga Cernunnosa, a może nawet Odyna, który rzeczywiście miał jakieś tam związki z Dzikim Łowem, a i pewne doświadczenie w zwisaniu z drzew. Wiele z tych teorii pojawiło się głównie z powodu upodobania Herna do noszenia poroża oraz dlatego, że jego imię brzmi podobnie jak słowo „horn”, czyli róg. Inni z kolei twierdzili, że to postać historyczna, strażnik lub łowczy jednego z królów, który w wyniku jakiejś plamy na honorze powiesił się na tymże dębie i odtąd straszyl w lesie. Szekspir dał mu też rolę w *Wesołych kumoszkach z Windsoru*, ale nie usystematyzował w ten sposób legend, jedynie dał Hernowi inny rodzaj nieśmiertelności.

Zbiegliśmy cicho po trawie ze Snow Hill i skryliśmy się wśród drzew ciągnących się po południowej stronie Long Walk, gdzie puchate kłębki mgły wisały wokół pni jak porwana wata.

Bzyczały jakieś owady, zahuczała sowa, ale poza tym słychać było tylko nasze ostrożne kroki.

Skręciliśmy na północny wschód i przebiegłszy na przełaj przez elegancko przycięte trawniki, znaleźliśmy się na terenie Frogmore House, jednej z rezydencji rodziny królewskiej. Za nią wił się w esy-floresy staw z mnóstwem wierzb płaczących na brzegach i żywopłotami rosnącymi ku radości kochającego go ogrodnika.

Gdzieś po drodze musieliśmy włączyć niechcący alarm, bo na nasze powitanie wybiegło dwóch strażników uzbrojonych w latarki i pistolety. Latarki dokładnie nam pokazywały ich lokalizację, więc nie oparliśmy się pokusie, żeby trochę sobie z nimi pożartować. Podkradliśmy się do nich w kamuflażu, wyrwaliśmy im pistolety i cisnęliśmy je do stawu.

– Jasna cholera! – zaklął jeden.

Jedno potknięcie, cios, Druidzki Zabójczochwył i już spali spokojnie na pięknym trawniku.

– Mieli pistolety – zauważyła Granuaile. To rzeczywiście było dość dziwne jak na ochroniarzy w Anglii. – Ale to chyba jednak nie było MI6.

– Nie, ci byli znacznie niższego szczebla. To znaczy, że rodzina królewska jest gdzie indziej. Bogom dzięki.

Na północ od Frogmore rosło kilka naprawdę niesamowitych dębów. Wyglądały dość samotnie na tle zbyt wypielęgnowanego krajobrazu Home Park. Znajdowaliśmy się teraz w pilnie strzeżonej części parku, ale zneutralizowaliśmy już strażników. Grube pnie i szerokie, silne gałęzie tworzyły imponujące korony, które we mgle wyglądały dość niepokojąco. Mimo to okazały się równie podatne na skutki pandemium jak inne drzewa. Miałem tylko nadzieję, że machinacje Olimpijczyków nie uniemożliwią Hernowi ukazania się nam. Jego drzewo – a raczej duże drzewo, które jakoby zasadzono w tym samym miejscu, w którym rósł oryginał – otoczone było żelaznym płotkiem z tabliczką informującą o jego historii.

//Druid potrzebuje pomocy// posłałem wiadomość do Albiona. //Pytanie: Kontakt z Hernem? / Starym strażnikiem tego miejsca / Wyrazić naszą chęć na spotkanie//

//Zrobione// odparł Albion. //Będzie wkrótce//

– O – zdziwiłem się na głos. – Szybko poszło.

– Co? – chciała wiedzieć Granuaile.

– Wygląda na to, że Albion ma bezpośrednie połączenie z Hernem. – To mnie zaintrygowało. Ciekawe, czy żywiołak udziela Hernowi swojej magii, czy też Hern jest raczej stworzeniem bogopodobnym i przysysa się do magicznego cycka wierzeń. Jeśli to drugie, to było to raczej wierzenie ściśle ograniczone terytorialnie. – Będzie wkrótce, ale nie wiem, skąd niby nadejdzie.

Raczej chyba nie z północy, bo znajdowało się tam teraz pole golfowe. Rozglądaliśmy się więc wokół, póki Granuaile nie zauważyła jakiegoś ruchu na południu i nie pchnęła mojego prawego ramienia w kierunku czegoś za mną.

– Chyba tam.

Nawet z noktowizją trudno było cokolwiek dojrzeć. Wskazywała mi coś, co oderwało się od cienia dębu jeszcze starszego niż ten oznaczony jako Hernowy. Za nim poruszyły się jeszcze dwa inne cosie. Postacie zajaśniały, gdy się do nas zbliżyły – a raczej zaczęły przejawiać pewne albedo, odbijając księżycową poświatę, która dawała im jako takie zarysy. Byli to trzej mężczyźni na koniach oraz psy. Jeździec w środku miał na głowie wielkie poroże, a jego twarz zakrywał w większości kaptur peleryny. Oczywiście zacząłem się od razu odruchowo zastanawiać, jakim cudem zdołał wcisnąć sobie ten kaptur na takie olbrzymie poroże, że już nie wspomnę o tym, że na co takiemu duchowi peleryna (w ogóle jakiegokolwiek odzienie), ale też musiałem uczciwie przyznać, że taki bezdomny duch niewiele ma pewnie radości z życia, to niech sobie chociaż

ponosi niepraktyczne ubrania dla większego efektu.

Jeźdźcy stawali się coraz wyraźniejsi, im byli bliżej, ale nie tylko ze względu na zmniejszającą się odległość; stawali się jaśniejsi, lśnili coraz bardziej, bo dochodziło do pełnej manifestacji ich duchów. Konie i psy miały być wedle legend czarne, ale w świetle księżyca i ich własnej duchowej poświaty – być może zwiększonej jeszcze przez pewną przezroczystość – nabierały raczej ciemnego odcienia granatu.

Hern miał na sobie skórzaną zbroję. Jego oczy – widoczne w głębi kaptura, gdy już podjechał bliżej – nie miały źrenic; były dziurami z pałającego kobaltu. Dół jego twarzy zarastał gąszcz brody. Przycięcie jej wymagałoby sekatora.

Poroże robiło wrażenie, a razem z twarzą i groźnymi oczami to już w ogóle wyglądał jak tata Bambiego, który postanowił kopać tyłek każdemu, kto by się brzydtko zachował w lesie.

Jego towarzyszom brakowało stroików na głowie, ale ich oczy i brody były w podobnym stylu co u Herna. Nie dało się ukryć, że męskie przybory toaletowe miały jeszcze cały duchowy rynek do zawojowania.

Hern spojrzał najpierw na mnie, potem na Granuaile.

– Ktore s was yest Drvyd?

Zamrugalem i nie odpowiedziałem zbyt szybko. Chyba jakoś tak oczekiwałem ochryplego szeptu czy krztuszenia się flegmą, jak to zwykle u duchów w popularnym nurcie rozrywki, tymczasem Hern przemawiał idealnie czystym barytonem – tylko w średnioangielskim. Jeśli będzie się trzymał krótkich, prostych zdań, to pewnie zrozumie go każdy użytkownik współczesnego angielskiego, ale przy dłuższych zdaniach może już być kłopot, bo tak z połowa samogłosek wymawiana jest teraz zupełnie inaczej. Pomijając więc wszystkie krążące o nim opowieści, jego mowa świadczyłaby o tym, że był pewnie raczej poddanym Ryszarda II niż Henryka VIII.

– Czy on spytał, które z nas jest druidem? Przecież obydwójce jesteśmy druidami – odezwała się Granuaile.

Czoło Herna zmarszczyło się groźnie, ale może po prostu próbował zdekodować współczesną wymowę Granuaile, bo potem nagle rozpogodziło się, a lewy kącik jego ust uniósł się nieco.

– Wi oboy?

– Czy jemu coś dolega? – zaniepokoiła się Granuaile.

– Nie. To tylko średnioangielski – wyjaśniłem.

<Czy w średnioangielskim psy też tak czadersko szczekały? „Hav-hav”?>

Zignorowałem pytanie Oberona i zwróciłem się do Herna.

– Ano, oboy.

– Gdi drvyd wi, odpowyc my: chiy urok w Eire nayszny lszny.

– Czy on rymuje celowo? – szepnęła Granuaile.

Odpowiedziałem jej też szeptem, choć wiedziałem, że Hern na pewno dobrze nas słyszy.

– Tak. To rymowana zagadka. Jeśli nie zdołam podać rymowanej odpowiedzi, to będzie znaczyło, że nie jestem starym druidem, za jakiego się podaję, więc nie jestem tu mile widziany. Mimo że Albion na pewno powiedział mu, że jestem druidem, to widać Hern chce mnie jeszcze na wszelki wypadek poddać próbie.

– A znasz odpowiedź?

<Oczywiście, że zna. Bekon. Bekon to odpowiedź na wszystko>.

Oberon miał trochę racji (Jaki jest sens istnienia? Bekon), ale nie takiej odpowiedzi spodziewał się po mnie Hern. Chciał usłyszeć imię swojej starej partnerki w polowaniach, która słygnęła z legendarnego libido, powiedziałem więc:

– Na polw czy w voszku na ten sam idzes lep, yusz cheka na chebye Flidais slaweni kyep.

Na co duchy wybuchnęły takim śmiechem, że jeden z łowczych zaniósł się niekontrolowanych kaszlem, co wydało mi się nieco dziwne, skoro przecież żaden z nich nie miał już układu oddechowego.

– Chwileczkę – zdenerwowała się Granuaile. – Nie rozumiem, dlaczego się nabijacie z Flidais. I dlaczego ty ją wyzwałeś od kiepów? Inteligencji to jej akurat nie brakuje. Co w tym było w ogóle śmiesznego?

Wesołe uśmiechy łowczych zniknęły i zaczęli się niepewnie kręcić na swoich koniach.

– Przecież jak ci wyjaśnię, to już nie będzie śmieszne – zaoponowałem.

Nie uszło uwagi Granuaile, że duchy miały już mocno zażenowane miny.

– Nie szkodzi. Wyjaśnij.

– Kiep to w sumie nie znaczyło kiedyś głupek. To znaczyło tyle co srom. Więc z przykrością muszę przyznać, że to był odrobinę sprośny dowcip.

– Aaahaa.

– No może nawet nie odrobinę, tylko więcej.

Granuaile zacisnęła usta w grymasie potępienia i spiorunowała duchy spojrzeniem. Jeden zaczął się przyglądać swojemu obuwiu, drugi odkrył coś naprawdę fascynującego na niebie. Hern raptem stwierdził, że najwyższy czas pogłaskać trochę konia. Może i mówili po średnioangielsku, ale najwyraźniej całkiem nieźle rozumieli współczesny angielski, a na dodatek język ciała Granuaile nie pozostawiał raczej wątpliwości.

– Ja rozumiem, że wy jesteście ze starej szkoły, chłopcy – syknęła, zataczając palcem takie koło, że nagle i ja znalazłem się na ławie oskarżonych razem z łowczymi – ale nie zapominajmy mimo wszystko, które mamy teraz stulecie, dobrze? Jeśli wy możecie komuś sprząć tyłek, to i ja mogę, a już na pewno Flidais.

– Ano! – zgodził się z nią pośpiesznie Hern, a potem obrzucił swoich ludzi surowym spojrzeniem, jakby tylko oni śmiali się z mojego dowcipu. Potem znów spojrzał na nas, rozpromienił się i rzekł: – Szanowni druidzi, witajcie w moim lesie – a jego stara wymowa zniknęła nagle bez śladu. – Oczywiście przez te wszystkie lata nauczyłem się współczesnego angielskiego, więc nie musicie się niepokoić. Jesteście moimi gośćmi. Polujcie lub odpoczywajcie, jak długo wam się podoba.

Gdy tylko nazwał nas gośćmi, zrozumiałem wreszcie plan Morrigan. Herna w ogóle nie trzeba będzie namawiać, żeby stanął po naszej stronie. Chronienie lasu i gości było dla niego sprawą honoru.

– Czy mój pies także jest gościem? Lubi z nami polować.

– Tak, i on także.

Podziękowałem mu i wyjaśniłem:

– Niestety to raczej na nas będzie polowanie. Pewnie mała szansa, żebyśmy mieli okazję sami polować.

Serdeczny uśmiech Herna zniknął.

– Polowanie na was? Kto na was poluje?

– Olimpijczycy. Co najmniej jeden nawet teraz męczy Albiona. To albo Faun, albo Pan.

– Bóg o kozich nogach? A był tu akurat niedawno.

– I dlatego właśnie nie możemy się przenieść do Tír na nÓg. Wywołał pandemonium, zaburzył porządek Gai i męczy las. Trzyma nas tu, żeby Artemida i Diana mogły nas zabić.

Hern warknął wściekle, jego kobaltowe oczy błysnęły nagle jasno. Zeskoczył z konia, przykucnął i dotknął palcami ziemi. Zauważyłem, że mimo całego tego ruchu nie rozległ się ani

jeden dźwięk – żadnego skrzypienia skóry, stuknięcia stóp o ściółkę. Hern i jego towarzysze wydawali tylko te dźwięki, które chcieli wydawać. Po kilku sekundach namysłu rzekł:

– To prawda. Nie widać tego, ale czuć. Ten kozioł męczy mój las. – Zadarł głowę, żeby na mnie spojrzeć. – I chcą tu polować na moich gości?

– Tak. I nie męczą tylko twojego lasu. Męczą wszystkie lasy Albionu.

– Tak być nie może – zagrział Hern, wstając. – Moi goście są nieliczni i już od dawna nikt nie wkracza na moje tereny bez mojej zgody. Nikt nawet nie próbuje polować w moim lesie. – To wynikało najprawdopodobniej raczej z ochrony sprawowanej przez Crown Estate, ale jeśli Hern chciał wierzyć, że to dzięki jego sławie skurczybyka, nie zamierzałem go pozbawiać tych złudzeń. – Jeśli tylko spróbują to teraz zrobić, poczują mój gniew. Odpoczywajcie, odzyskujcie siły. Jeśli pojawią się Olimpijczycy, by zakłócać spokój w moim lesie, czy w noc, czy w dzień, przybędziemy.

– Bardzo dziękujemy. Ale... wybacz moją ignorancję, ale czy masz moc ranienia istot cielesnych?

Hern wpatrywał się we mnie przez chwilę w milczeniu, jakby uwierzyć nie mógł, że mu zadałem takie pytanie. Potem wyciągnął z pochwy na pasie nóż. Ledwie było widać jego ostrze, a jego zarysów domyślałem się tylko dzięki temu, że odbijał światło. Hern podszedł bliżej mnie, podniósł nóż spokojnie i przycisnął do mojej piersi tylko na tyle, żeby pojawiło się trochę krwi.

– Czujesz? – warknął.

– Tak. Oczywiście. Mam swoją odpowiedź.

Skinął głową – co jest dość niebezpiecznym ruchem u kogoś, kto ma akurat poroże – i schował nóż do pochwy. Włączyłem charms uzdrawiający, żeby zamknąć małą ranę.

Nagle przemówił jeden z łowczych Herna, a jego głos okazał się zaskakująco wysoki, nosowy i ubawiony.

– Ha! Cóż to oznacza, że pies twój to wacha? – spytał.

Obróciliśmy z Hernem głowy i zobaczyliśmy, że Oberon obwąchuje zadek zdumionego psa-ducha.

Westchnąłem.

– Oberonie, wstyd mi przynosisz.

<He> mruknął Oberon. Uniósł pysk i odwrócił się w moją stronę. <W życiu byś nie uwierzył, Atticusie! Bezzapachowe dupy. Czego to duchy nie wymyślą>.

Rozdział 22

Razem wybiegliśmy z Home Park i skierowaliśmy się na południowy zachód do właściwego Lasu Windsorskiego, który w dzisiejszych czasach rozciąga się zaledwie na milę czy dwie. Na jego północno-wschodnim krańcu znajdował się park rozrywki, co wydało mi się trochę dziwne. Dla druida las jest zawsze źródłem najlepszej rozrywki.

Hern eskortował nas na skraj łąki znajdującej się w środku lasu, z dala od ludzkich oczu, i powiedział, że teraz zostawią nas samych.

– Czujcie się jak u siebie w lesie. Gdybyście mnie potrzebowali, zawołajcie moje imię – powiedział. – A teraz odpoczywajcie lub przygotujcie się do walki, co tam wolicie.

Podziękowaliśmy mu, a on zbladł i zniknął nam z oczu równie powoli, jak się przedtem pojawił. Gdy tylko zostaliśmy sami, Oberon odwrócił się na plecy i oświadczył:

<Królewskie brzuszysko wymaga drapania. Żwawo, ludzie, żwawo, nie zaniedbujcie psa>.

Granuaile roześmiała się i przyklękła przy nim posłusznie. Uśmiechnąłem się i rozejrzałem wokół. Las był bardzo przyjemny. Spokojny zakątek akurat na podreperowanie sił i polatanie tych części ciała, które uległy zniszczeniom i zaniedbaniom podczas biegu. Podszedłem do starego, porośniętego bluszczem buka, zerwałem kilka pnączy i siadłem na ziemi obok Granuaile i Oberona. Mój pies obrócił łeb ciekawym, co mam w rękach.

<Co zamierzasz z tym robić?>

– Zajęcia praktyczno-techniczne – odparłem.

<Czyli jakiś czas będziesz się tym zajmował?>

– Chyba tak.

<Dobra. Dzięki, Granuaile, brzuch już jest usatysfakcjonowany>. Przeturlał się bliżej mnie. Położył mi swój wielgachny łeb na kolanach, rozciągnął się na boku i westchnął z zadowoleniem. <Aaaa. Czas na drzemkę>.

Granuaile pokręciła głową.

– Przecież spałeś cały dzień.

<Bynajmniej. Obudziliśmy się przed zachodem słońca, a teraz jest... yyy... po zachodzie, więc sama rozumiesz, że to nie był cały dzień>.

Uśmiechnęła się, wstała i zwróciła się do mnie.

– Co będziemy teraz robić?

– Odpoczywać, póki możemy. Do świtu zostało nam jeszcze kilka godzin.

– Nie powinniśmy się raczej przygotować na spotkanie z dwiema bardzo wkurzonymi łowczyniami? Budować pułapki albo co?

– Być może. Ale mamy jeszcze chwilę na twórczość własną, a przynajmniej trochę takiego kradzionego czasu, więc nie wiem jak ty, ale ja go zamierzam dobrze wykorzystać. Zauważyłaś kiedyś, że nigdy nie mamy na nic czasu, póki nie postanowimy sobie, że owszem, mamy? – Granuaile popatrzyła na powyginane pędy bluszczu w moich dłoniach i po jej minie widziałem wyraźnie, że wątpi, żeby nadawały się one do czegoś innego niż na kompost. – No chodź. Usiądź przy mnie choć na sekundkę. – Poklepałem ziemię obok siebie tam, gdzie akurat nie było rozwalonego cielska Oberona. Westchnęła, ale siadła na wskazanym miejscu i odłożyła kij na ziemię. Uśmiechnąłem się do niej. – Świetnie. Miło tu, prawda?

Spojrzała na korony drzew nad nami, na księżyc zaglądający przez liście, wsłuchała się w szept nocnych traw na łące.

– Nie da się ukryć, że jest pięknie.
– Gaja obdarowuje nas cudami, dokądkolwiek pójdziemy. Musimy tylko otworzyć oczy.
– Masz rację.
– I wiem, że marny ze mnie rzemieślnik – przyznałem, usiłując splątać bluszcz w okrąg
– ale chodzi o sam akt tworzenia, a niekoniecznie o skończony produkt. Tworzenie to jin na jang naszej konsumpcji. To brama do piękna, przez którą wszyscy chcemy przejść. Tworzenie to mój sposób na powiedzenie światu, że go kocham. – Podałem jej skończony wianek, a ona uśmiechnęła się i wzięła go z moich rąk.
– Jesteś bardzo podstępny i dobrze o tym wiesz.
– Ja?
Włożyła sobie wianek na głowę.
– Myślałam, że filozofujesz, a ty nie wiadomo kiedy zacząłeś być cikliwy.
– Spryt werbalny +20.
Granuaile pochylała się, żeby mnie pocałować, ale przerwał nam Oberon.
<Przestańcie natychmiast, bo puszczyć pawiana na twoje kolana>.
Przed pawianem i większą ilością cikliwości uratowała nas jednak Flidais, która zawołała nas z łąki i ukazała się nam, gdy podążyliśmy wzrokiem za głosem.
– Witajcie, druidzi. – Głos miała lekko kpiący. – Czy jest bezpiecznie?
Stała w rydwanie niemal identycznym z pojazdami Olimpijek, bo też ciągnionym przez jelenie. Nie miał żadnego bajeranckiego dizajnu. Flidais stawiała raczej na rozwiązania praktyczne. Nie wiem, jak zdołała wyciszyć kroki swoich jeleni. Powinniśmy byli zauważyć, że nadjeżdża. A może byłem po prostu zbyt zapatrzony w Granuaile, żeby cokolwiek usłyszeć.
Dałem jej znak, żeby podeszła, i wstałem na jej powitanie, a Oberon zaczął jójczyć na stracone raz na zawsze drzemki. Przypomniałem mu, żeby swoje myśli zachował dla siebie, bo przecież Flidais może też je słyszeć, jeśli chce. Ubrana była do walki – poza zwyczajowymi u niej skórą, łukiem i kołczanem miała przy sobie dwa długie sztylety do walki wręcz. Jeden widziałem już u niej kiedyś na Dworze Faerii i uznałem wtedy za broń ceremonialną. Rączkę miał z malachitu i masy perłowej. Włosy bogini podskakiwały w kręconych rudych kędziorkach i zdawało się, że jest w wyśmienitym nastroju, co nie wróżyło niczego dobrego. Choć moja ostatnia hipoteza była taka, że za tym wszystkim stoi Midhir, Flidais już mi udowodniła, że jest nader chętną pomagierką Brighid. Chyba nie była bardzo źle do nas nastawiona, ale też ufać, tobym jej nie ufał.
– Jak się tu dostałaś, jeśli można spytać? – powiedziałem na powitanie. – Wszystkie nici są przecież odcięte przez pandemonium.
Łowczyni wzruszyła ramionami.
– Przeszłam Starą Drogą.
Zamrugalem.
– I nie była strzeżona?
– Nie. Dlaczego by miała być?
– Bo wszystkie inne są albo obstawione strażnikami, albo zniszczone. W całej Europie.
– Nie ta, którą ja przyszłam.
– Gdzie ona jest? – spytałem, bo naprawdę nie pamiętałem żadnej w tej okolicy.
– Pod zamkiem Windsor, w ziemi, która została tu jeszcze z czasów Williama Zwycięzcy. Znajduje się w lochach czy jak to się tam teraz nazywa... w katakumbach?
– W piwnicy pewnie – odpowiedziałem. – Kiedy jej użyłaś?
– Ledwie kilka minut temu. Przybyłam tu niezwłocznie, bo dowiedziałam się od posłańca Odyna, że znajdujecie się w potrzebie.

– Nasza potrzeba polega na tym, że musimy spadać z tej krainy. Musimy uciec przed Olimpijczykami.

– A, tak, tak, słyszałam, że ich jakoś sprowokowałeś i że w rezultacie zginęła Morrigan. Coś ty takiego zrobił?

– Wsadziłem Bachusa na jedną z Wysp Czasu.

Flidais przewróciła oczami.

– No tak, to chyba im wystarczyło. I przez taką błahostkę zginęła Morrigan.

Jej komentarz zabolął i wiedziałem, że wbił się gdzieś w jakiś zakątek mojego mózgu, żeby wyskakiwać z niego od czasu do czasu i znów mi dopiekać, ale udałem, że nic nie poczułem.

– Możesz zabrać nas do tej Starej Drogi?

Jej ubawiona mina zniknęła bez śladu.

– Hmm. Bo ja wiem.

– Co jest grane?

– Kiedy dostałam wiadomość od Odyńa, miałam nadzieję, że poprosisz mnie o pomoc w walce z Olimpijczykami.

– Gdyby nie dało się uniknąć tej walki, z pewnością właśnie o to bym cię poprosił, ponieważ znasz tę okolicę lepiej niż ktokolwiek inny, z wyjątkiem może Herna. Ale naprawdę nie przepadam za otwartymi starciami z prawdziwymi nieśmiertelnymi. Wolę się wycofać i zdać na dyplomację.

Flidais prychnęła.

– Olimpijczycy za nic mają dyplomację. Nie zauważyłeś jeszcze? Rozmawiają tylko wtedy, gdy zabicie nie jest najlepszym wyjściem. Jeśli nie dasz im jakiegoś dobrego powodu, żeby dali ci żyć, będziesz żył tylko, póki cię nie dorwą. Albo póki ja będę walczyła po twojej stronie.

Ignorując to ostatnie zdanie, powiedziałem:

– Może nawet bym coś wymyślił w tej sprawie, gdyby tylko raczyli mnie wysłuchać. Gdybym uciekł z tej krainy, zabicie w ogóle nie byłoby żadną opcją i musieliby zacząć rozmawiać. Przez negocjatorów oczywiście.

– Chcesz uciec? – Pogarda w głosie Flidais rosła z każdą sylabą i czułem, że chce mi zarzucić tchórzostwo. – Są na naszym terenie, na ile to w ogóle możliwe. Pokażmy im, co Irlandczycy myślą o ich arogancji. Mamy czas na przygotowania. Moja wróżba przewiduje, że Olimpijki dotrą tu przed świtem. Możemy z nimi walczyć i wygrać.

Było to poniekąd pocieszające, że jej wróżba potwierdzała to, co mnie się udało wyczytać podczas auspicjum, ale mimo to powiedziałem:

– Wolę realizować stereotyp bitnego Irlandczyka, kiedy już jestem i tak pod ścianą albo kiedy mam szansę wygrać. Jakie są plusy stawania teraz do walki, Flidais? Są tak szybkie jak my, jeśli nie szybsze. I, jak sama zauważyłaś, zdołały zabić Morrigan.

– Tylko dlatego, że było dwie na jedną, prawda?

Pokiwałem głową, choć głęboko w to powątpiewałem. Z tego, co byłem w stanie powiedzieć, to Morrigan trzymała je na dystans i spokojnie sobie ze mną konwersowała mentalnie tak długo, jak chciała. Umarła dopiero wtedy, gdy przestała nawet próbować żyć.

– Możemy odplacić im pięknym za nadobne – przekonywała Flidais. – Walczyć z każdą po kolei. Wykorzystać strategię, którą tak lubiła ta ich rzymska marionetka: dziel i rządź.

Albo – pomyślałem sobie – możesz teraz udawać, że nam pomożesz, a potem patrzeć z założonymi rękoma, jak Artemida i Diana sobie na nas polują. Przecież nie miałem żadnych dowodów na to, że to nie Flidais stoi za tymi wszystkimi machinacjami przeciwko nam, poza

przecuciem jedynie, że raczej należy do osób, które chętniej dołączają się do cudzych spisków, niż same je organizują.

Na głos powiedziałem jednak coś innego:

– Dlaczego tak ci śpieszno do starcia się z nimi w bitwie? Masz w tym jakiś interes? Flidais wydeła wargi.

– Nigdy ich nawet nie spotkałam, więc niby jaki bym miała mieć interes?

– De facto jesteś tą samą boginią, poza tym, że one są dziewicami, a ty nie. Może próbujesz udowodnić w ten sposób, że czystość jest przereklamowana.

– Tego raczej nie trzeba udowadniać, Atticusie – zwróciła mi uwagę Granuaile. – Przynajmniej nikomu, kto się kiedykolwiek w życiu dobrze bzyknął.

– Już ona wie, co ja mam na myśli – mruknąłem. – Być może Flidais za wszelką cenę szuka potwierdzenia, że jest lepsza niż Olimpijki, i gotowa jest zrezygnować przy tym ze strategicznie rozsądniejszej opcji.

Nie będzie mnie mogła potem wyzywać od tchórzy, jeśli teraz jej chęć do walki przedstawię jako potrzebę obnoszenia się ze swoją wielkością.

Flidais zmrużyła oczy i syknęła wściekle:

– Niech ci będzie, chodźmy do Starej Drogi. – Machnęła na swój rydwan. – Za mną.

– Chwila – zaoponowałem. – Jak niby przepchałaś ten rydwan i cały zaprzęg przez jakąś piwniczkę pod zamkiem?

– Nie przepchnęłam. – Machnęła palcem na swoje jelenie. – To jeden z wielu moich rydwanów, które trzymam w kryjówkach na wyspach. Jelenie mieszkają w okolicy i przychodzą na moje wezwanie.

To było o wiele rozsądniejsze rozwiązanie niż Olimpijek, ale też one nie potrafiły przecież wędrować między krainami, więc może nie potrzebowały takich udogodnień.

Ruszyliśmy za boginią przez mokrą mgłę ciemności poprzedzających świt, a powietrze osiadało na naszych twarzach niczym wilgotna szmata. Gdy bieглиśmy przez park, rozglądaliśmy się czujnie, czy nie widać Olimpijczyków – albo jakichś oznak zdrady.

Oznaka nastąpiła, nim nawet dotarliśmy do zamku. Pół mili przed nami powietrze zatrzęsło się od potężnego huku, a zaraz potem poczuliśmy na twarzach słabą już falę uderzeniową. Zatrzymaliśmy się i patrzyliśmy, jak unosi się przed nami jasna chmura kurzu. Namierzenie jej źródła nie nastęrczało trudności. Miałem tylko nadzieję, że akurat nikogo nie było w domu.

– Czy to był...? – spytała Granuaile.

– Wybuch? Tak.

<Wielkie łubu-du!>

Odwróciliśmy się w stronę Flidais, a ona pokręciła głową.

– To nie ja.

– Nie powiedziałem przecież...

– Słowa nie były potrzebne. Myślisz, że zaaranżowałam zniszczenie Starej Drogi, żeby nas tu zatrzymać.

– Wcale tak nie myślę. Ale ktoś to jednak zrobił. I to ktoś z Tír na nÓg. Czy wiesz, kto może być za to odpowiedzialny? Kto mógł wydać taki rozkaz?

Flidais skoczyła na mnie ze wściekłym błyskiem w oku.

– O co ty mnie podejrzewasz?

Była tego całkiem spora lista, ale oczywiście wymienianie teraz wszystkich moich podejrzeń względem niej raczej by mi nie pomogło. Starannie dobieierałem więc słowa tak, żeby nie poczuła się urażona, ale żeby też jednak powiedziała mi coś przydatnego.

– Nie podejrzewam niczego, ale zastanawiam się nad wieloma rzeczami. Jeśli nie masz żadnych podejrzeń co do tego, kto mógł wystrzelić w powietrze część zamku, żeby uniemożliwić nam przejście Starą Drogą, to mamy tu do czynienia z kimś niezwykle sprytnym. Kto spośród Tuatha Dé Danann mógłby zaaranżować wybuch w tej krainie w ciągu zaledwie godziny po tym, jak ty użyłaś tego przejścia? Albo, co pewnie jeszcze ważniejsze, kto z Tír na nÓg cię śledził i zobaczył, że wychodzisz tym właśnie przejściem?

Flidais zmarszczyła czoło. To, że ktoś miałby ją śledzić, zaniepokoiło ją bardziej niż cokolwiek innego. Z jej oczu zniknęła złość na mnie i odwróciła wzrok, wyraźnie zamyślona.

– Być może to Ogma. Już od dłuższego czasu jego zamiary są zupełnie nieodgadnione.

Zmroziło mnie na tę myśl, choć już wcześniej przyszło mi to do głowy. Granuaile jęknęła głucho, bo jej widać dotąd nie przyszło.

– Ale Midhir też jakoś stroni ostatnio od innych – ciągnęła Flidais. – Jest dobry w takich rzeczach. I to on jest zwierzchnikiem tego lorda faerii, którego zawstydziłeś podczas swojej wizyty na dworze, tego, który zarządza strażnikami. Jak ty go wtedy nazwałeś?

– Lordem Łonobrodym.

– No właśnie.

– Jak on się naprawdę nazywa?

– Pojęcia nie mam. Prawda jest taka, że nikt nigdy nie zwracał na niego żadnej uwagi, póki sobie wtedy z niego nie zakpiłeś. Teraz wszyscy przezywają go Lordem Łonobrodym.

– Cholera. No to nie ma już innego wyjścia jak zostać i walczyć.

– To najlepsza opcja, druidzie... Przepraszam. Na dworze zawsze zwracamy się do ciebie Siodhachan, ale wiem, że poza nim używasz innych imion. Czy nadal jesteś Atticusem, czy też masz teraz jakieś nowe imię?

– Atticus wystarczy.

<Może powinieneś nazywać się dla odmiany Waldek Lepki-Majtkowski>.

Granuaile zaniósła się śmiechem, a potem zakaszła, żeby to ukryć. Flidais zacisnęła usta, żeby się nie uśmiechnąć. Też usłyszała komentarz Oberona.

– No dobra, to gdzie twoim zdaniem powinniśmy walczyć? – spytałem, udając, że mój pies w ogóle się nie odezwał. – Nie w pobliżu zamku, mam nadzieję. Okolicę zaraz zaleje brytyjska służba bezpieczeństwa. Gorzej, o zakład idę, że już jesteśmy na jakiejś kamerze satelitarnej i potem ktoś będzie się głowił, co to za jedni. Może powinniśmy stanąć jakoś bardziej w cieniu drzew i zakamuflować się na jakiś czas.

Flidais spojrzała gniewnie w niebo.

– Słyszałam o tych satelitach. Podle stworzenia.

Nie zakwestionowałem jej słów i Granuaile z Oberonem też ich nie skomentowali. Nie był to najlepszy moment na wyjaśnianie tajników inwigilacji satelitarnej osobie, która nie użyła jeszcze nigdy komputera ani komórki. Satelity były dla niej tworami równie magicznymi jak faerie dla ludzi.

– No. Wróćmy do lasu i zaplanujmy obronę.

Za nami słychać już było helikoptery i odległe jeszcze syreny, gdy odwróciliśmy się plecami do zamku i pobiegliśmy przez Home Park z powrotem do Lasu Windsorskiego. Gdy znaleźliśmy się pod drzewami, zrzuciliśmy kamuflaż i wróciliśmy na małą łączkę w środku lasu. Na jej zachodnim skraju rosły nerwowo trzy marihuany, aż nadto świadome, że nie tu ich miejsce, i drżąc ze strachu na myśl o dniu, gdy zbierze je jakiś upalony autochton z brodą.

<Jaki plan, Atticusie?>

Prawdę powiedziałeś, jeszcze nie gotowy.

Flidais zostawiła rydwan i jelenie na widoku pod drzewami, co stanowiło jasny znak, że teraz już się zaangażowała i że polowanie się zaczęło. Weszliśmy do lasu razem od północno-zachodniej części polany, zostawiając ślad, a po około stu metrach postanowiliśmy się rozdzielić.

– Nim to jednak zrobimy – powiedziała Flidais – może powinniśmy wykorzystać jeszcze coś.

Patrzyła przy tym na Granuaile, która – co zupełnie zrozumiałe – zrobiła niepewną minę.

– Yyy... co takiego? – spytała.

– Czy już ją nauczyłeś modyfikować splot kamuflujący, Atticusie? – spytała bogini.

Powinienem oczywiście odpowiedzieć „tak”, żeby nie wypaść na ignoranta w tej sprawie, ale że akurat byłem ignorantem, uznałem, że nie ma co udawać.

– Nie wiedziałem, że da się go modyfikować. Przecież to jeden z podstawowych splotów wytatuowanych na naszych skórkach.

– Nie da się oczywiście modyfikować podstawowego splotu, ale można do niego dodawać różne ozdoby. Dziwię się, że nigdy na to nie wpadłeś.

– Jestem pełen niespodzianek.

Tak prawdę powiedziawszy, to nie rozumiałem zupełnie, dlaczego w ogóle mówimy o kamuflażu, skoro Granuaile mogła się stać zupełnie niewidzialna.

– To prawda. – Bogini uśmiechnęła się złośliwie, ale wzrok już miała skupiony na ubraniach Granuaile. – Otóż zauważyłam, że można by nas z Granuaile wziąć za bliźniaczki, gdybyśmy się tylko trochę postarały. To mogłoby nam dać pewną przewagę, więc pozwólcie, że się postaram coś teraz zrobić.

Też zauważyłem już to podobieństwo. Zresztą nie ja jeden. Ogma wziął kiedyś Granuaile za Flidais, gdy odwiedzaliśmy Tír na nÓg.

Nie spuszczać oczu z Granuaile, Flidais zaczęła wymawiać staroirlandzkie słowa splotu. Rozpoznałem tekst kamuflażu, ale gdy go zakończyła, mówiła dalej, celując w czarny strój Granuaile i odbijając go na swoje własne ubrania, a dopiero potem zenergetyzowała splot. Jej skórzany strój zupełnie szerniał.

– Wow – krzyknęliśmy z Granuaile zgodnie.

Oberon się wzdrygnął.

<Sierść się jeży na łbie! Już wkrótce na BBC One *Mroczni Druidzi z Windsoru!*>

Flidais zdjęła z lewego przedramienia karwasz, który chronił ją przed cięciwą łuku.

Teraz jej ręce wyglądały zupełnie jak u Granuaile.

– Dobra. To weźmy się do włosów – powiedziała łowczyni, bo tu bardzo się różniły. Kolor miały niemal identyczny, ale włosy Flidais bardziej się kręciły niż u Granuaile i w ogóle wyglądała trochę bardziej jak rockmenka z lat osiemdziesiątych.

– Może zróbmy sobie koki? – zaproponowała Granuaile.

– Dobrze, ale najpierw muszę je podprostować. – I Flidais zaimprovizowała splot, na który nigdy w życiu jakoś nie wpadłem. Po prostu wyprostowała sobie nim wszystkie włosy, aż ułożyły się w dość płaskich falach jak u Granuaile.

<Na Wielką Niedźwiedzicę, Atticusie, tylko pomyśl, jakie ona by robiła pieniądze w Hollywood! Wystarczy wymamrotać kilka słów i w pięć minut masz fryzurę na rozdanie Oscarów!>

– Niesamowite – powiedziała z uśmiechem Granuaile.

– Upnij włosy tak, jak ci wygodnie, a ja zrobię to samo – poleciła jej Flidais.

Granuaile zebrała włosy i zawinęła je z tyłu w serii zautomatyzowanych ruchów. Gdy skończyła, zebrane były gładko przy skórze, za uszami, i tworzyły na czubku głowy zgrabny

koczek. Flidais przyglądała mu się chwilę, a potem zrobiła sobie taki sam.

– Nieźle – pochwaliła ją Granuaile.

– Dobra, niech on na nas spojrzy – zakomenderowała łowczyni.

Odwróciły się w moją stronę. Stały ramię w ramię, żebym mógł je porównać. Były tego samego wzrostu i budowy ciała, miały podobny odcień skóry, choć Granuaile miała trochę więcej piegów. Ich włosy wyglądały teraz zupełnie identycznie. Z bliska można było się zorientować, że ubrania Flidais są z innego materiału, ale już o kilka kroków dalej była to tylko czarna sylwetka. I podobnie pomniejsze różnice w wyglądzie twarzy rzucały się w oczy z bliska, ale z oddali, podczas walki, każdy by miał spore trudności z ich rozróżnieniem.

– To powinno wystarczyć – stwierdziłem. – Jak działamy?

– Będziemy się z Granuaile pojawiać z boków, ciskać nożem, a potem znikać.

Będziemy się zmieniać, póki nam się nie skończą noże. W sumie mamy ich tylko pięć, tak?

Granuaile skinęła głową. Miała trzy, a Flidais dwa.

– Czyli ty zaczynasz – zarządziła Flidais. – Będzie im się zdawało, że ta sama osoba je niezwykle szybko okrąża. To powinno je zdezorientować. Ktoś powinien to wykorzystać. – Uniosła pytająco brew i spojrzała na mnie, a ja pokiwałem głową.

– Jeśli będzie taka możliwość, atakujcie najpierw Dianę – powiedziałem. – Jest pewnie trochę bardziej zaangażowana w to emocjonalnie niż Artemida, więc cokolwiek zrobimy, żeby ją spowolnić, na pewno na tym zyskamy.

Zgodziliśmy się co do planu i rozdzieliliśmy, żeby się zacząć. Ja poszedłem głębiej w las tą samą ścieżką, którą tu doszliśmy, Flidais skręciła w lewo, a Granuaile zniknęła z Oberonem pośród drzew na prawo. Przeszedłem jakieś pięćdziesiąt metrów, a potem odwróciłem się, więc teraz miałem Granuaile gdzieś po lewej, a Flidais po prawej.

Wyciągnąłem Fragaracha z pochwy i stanąłem tak, żeby mieć dobry widok między drzewami. Pierwsze szare palce świtu przedzierały się już przez liście.

Zarzuciłem na siebie kamuflaż, gdy nad parkiem przeleciał helikopter. Pewnie był gdzieś nad tym miejscem, w którym staliśmy zaraz po wybuchu. W dzisiejszych czasach brytyjska służba bezpieczeństwa od razu wysnuje wnioski o domniemanym ataku terrorystycznym na Zamek Windsor i nawet im do głowy nie przyjdzie, że to po prostu ktoś mi zatrzasnął drzwi przed nosem. Tamci dwaj mężczyźni, których obezwładniłem z Granuaile przy Frogmore House, staną się głównymi świadkami w dochodzeniu, a materiały z satelity będą oglądane bez końca. Na jednej klatce będziemy sobie stali na polance, a na drugiej już nas nie będzie. Będą więc szukać wokół zamku, zataczać coraz szersze kręgi, aż w końcu tu do nas dotrą, a może nawet natkną się na pędzące tu Artemidę i Dianę. To by naprawdę wszystko skomplikowało. Nasz pojedynek wymagał odrobiny prywatności.

Wzdrygnąłem się na samo to słowo. To nie będzie w żadnym razie pojedynek. Nie będzie żadnych reguł ani regulaminów. Po prostu natrą na mnie, wiedząc dobrze, że nie mogę im nic zrobić, jeśli nie liczyć zadania odrobiny bólu i wywołania drobnej irytacji.

Jak przejednać nieprzejednanego wroga? Znów przypomniałem sobie radę Morrigan: „Gaja kocha nas bardziej niż Olimpijczyków”. Jedynym rozwiązaniem – uzmysłowiłem sobie z gorącością – jest wzięcie zakładników. Nie jestem wcale zwolennikiem tej metody, bo zawsze jest to akt desperacji i tak rzadko działa, a kiedy wepchnąłem Bachusa przez bramę czasu, to tylko żeby uratować własne życie, nic poza tym. Ale teraz rozumiałem już, że Olimpijczycy uznali to za wzięcie zakładnika. Na razie miałem więc dość niepewną przewagę. Z jednej strony twierdzili, że chcą odzyskać Bachusa, z drugiej dwie mieszkanki Olimpu zawzięły się, żeby mnie ukatrupić. Sytuacja mogła ulec odwróceniu – wiedzieli przecież, że jeśli mi zabiorą Granuaile lub Oberona, zrobię dla nich wszystko. Istniał jednak sposób, by zwiększyć moją

przewagę – albo przynajmniej zmusić ich do pogadania, co już byłoby moim zdaniem sporym sukcesem. Nie było to może eleganckie zagranie, ale zawsze lepsze niż czekanie, aż Olimpijczycy sami zmadrzeją, bez żadnej zachęty z mojej strony. W ogóle zacząłem się zastanawiać, jak to się stało, że ani Morrigan, ani nikt z pozostałych Tuatha Dé Danann lub innych istot, które kiedykolwiek miały okazję walczyć z Olimpijczykami, nie pomyślał o zmuszeniu ich do rozmów. Być może w wielu wypadkach po prostu nie było takiej opcji, ale niewykluczone, że nikomu nie przyszło w ogóle do głowy, że istnieje inny sposób na wygrywanie niż rozwiązania siłowe.

Skomunikowałem się przez tatuże z Albionem i wyjaśniłem mu swoją koncepcję przechowalni – na wypadek, gdyby mój plan zadziałał.

Rozdział 23



Powinnam czuć się pewnie, ale jakoś zupełnie mnie ta pewność siebie opuściła. Jest tu przecież Atticus, jest Flidais i teoretycznie może nam też pomóc Hern (choć co do niego to nie jestem akurat pewna), więc siły powinny być tym razem bardziej wyrównane. Ale ostatnim razem, gdy próbowaliśmy przygotować zasadzkę na Olimpijki, nic nie potoczyło się tak, jak się tego spodziewałam. Jestem strategicznie słabo przygotowana na walkę z nimi. Jeśli nie liczyć tego, że mogę je rąbnąć Scáthmhaidem po łbie, to nie mam właściwie żadnego sposobu, żeby je pokonać. Moje noże tylko je jeszcze bardziej rozwścieczą, a są już i tak wystarczająco na nas wściekłe.

Atticus twierdzi, że walczę lepiej, gdy jestem zła, ale nawet jeśli to prawda, to choć on widzi efekt, nie rozumie przyczyny. Kiedy walczę, ważny jest dla mnie nie tylko wysiłek, ale i sposób, w jaki wygram – mimo że Atticus uważa to rozróżnienie za zupełnie nieistotne. Upiera się, że w bitwie nie ma miejsca na żadne wyższe wartości, a jedyne, co może być wyższe, to ziemia, na której stoisz ty lub twój przeciwnik, przez co ty lub on ma przewagę, zależnie od tego, kto zajął jaką pozycję. Nie zgadzam się z tym. Ludzie mogą przegrać – albo umrzeć – z godnością. Gdybym mogła im to zapewnić, zrobiłabym to. Lecz muszę przyznać, że przestaję o to dbać, jeśli najpierw ktoś zrani moją godność. Wraz ze złością pojawia się niesamowita jasność celu, cisza, w której rozwijają się przede mną rozliczne ścieżki do zwycięstwa. Niektóre są bardziej godne, inne mniej, jedne krótsze, inne dłuższe. Muszę tylko wybrać jedną z nich i zrobić pierwszy krok. Ale nie mam w sobie tej jasności celu w wypadku Olimpijczyków, bo jestem przekonana, że mają pełne prawo być na nas wściekli. Choć cała ta akcja z driadami na Olimpie była w zasadzie skuteczna, bo dała nam czas na splecenie mnie z ziemią, od początku czułam, że przyjdzie nam za nią słono zapłacić.

Moja niepewność może też mieć coś wspólnego z tym, że przez większą część tej podróży byłam obserwowana i sądzona przez różne odległe istoty, które – jeśli moja zła passa się utrzyma – prędzej czy później mogą się stać moimi wrogami. A może to dlatego, że ostatnim razem o mały włos nie zginęliśmy z Oberonem, i to bardzo szybciotko.

Z mojego doświadczenia w ogóle wynika, że bitwy w filmach akcji i tych o sztukach walki zawsze trwają o wiele dłużej niż prawdziwe – szczególnie jeśli w prawdziwych biorą też udział bogowie. Kiedy siedzi się w kinie i zajada solony popcorn, popijając go wysoko sfruktozowanym syropem kukurydzianym, walka ciągnie się w nieskończoność, a sekwencje na zwolnionym czasie pokazują idealnie zabójcze ciosy i wściekłe miny. To smakowanie gwałtownej śmierci przeznaczone dla ludzi takich jak ja (w każdym razie ja do niedawna), dla których szczytem brutalnego czynu jest kupienie mięsa u lokalnego rzeźnika. Gdy już w końcu główny bohater i czarny charakter mają okazję stoczyć rozstrzygającą bitwę, okazuje się zawsze, że są idealnie dobrani siłą i mają dużo czasu na piękne ujęcia sylwetek na tle wschodzącego słońca, gdy tymczasem kompozytor soundtracku miesza organy z chórami, w których chłopcy wyśpiewują pełne nuty, póki nie padną trupem z powodu niedotlenienia krwi. Najżałośniejsze jest w tym wszystkim to, że przedtem aktorzy muszą przez całe tygodnie, czy miesiące nawet, ćwiczyć sumiennie, żeby w trakcie nagrania przypadkiem się naprawdę nie pozabijać. Bo gdyby naprawdę się chcieli pozabijać, toby nie musieli niczego ćwiczyć. Jak w każdej prawdziwej bitwie, wszystko potoczyłoby się brzydko, boleśnie i tak szybko, że

operator nawet by nie zdążył złapać ostrości. Wiem już, że nasze emocje i gruczoły wydzielające adrenalinę nie dopuszczają innej wersji wydarzeń.

Usłyszałam boginie, nim je ujrzałam, i to uratowało mnie przed dalszym zamartwianiem się. Musiałam w miarę możliwości skupić się teraz na walce. Tętent racic oznaczał, że już są na krawędzi polany, gdzie Flidais zostawiła swój rydwan.

<Są tu> powiedział Oberon.

Trzymając Scáthmhaide'a w lewej ręce, a nóż w prawej, włączyłam niewidzialność i rzuciłam kamuflaż na Oberona. Uruchomiłam też sploty siły i szybkości skryte w srebrnych i żelaznych plecionkach na moim kiju.

Leż, Oberonie, bo raczej będą strzelać wyżej. Nie atakuj, póki nie podejdziesz bardzo blisko.

<O mnie się nie martw> odparł. <Już nawet nie wiem, czy nie lepiej będzie na nie tylko czekać, zamiast próbować gryźć>.

Pewnie masz rację.

Coś mi mignęło w oddali i usłyszałam cichą rozmowę, a potem boginie wysiadły ze swoich rydwanów i weszły w las na piechotę, z łukami gotowymi do strzału. Przodem szła Artemida, wpatrując się w krzaki przed sobą i wyglądając wszelkich pułapek, a Diana czaiła się za nią, spoglądając w górę. Spodziewały się zasadzki.

Gdy Artemida minęła miejsce, w którym się rozdzieliliśmy, zameldowała o tym Dianie, a grecka bogini powiedziała, żeby szła dalej. Pozwoliłam Artemidzie spokojnie mnie minąć, a gdy zbliżyła się do mnie Diana, cisnęłam nóż, celując w jej głowę i zrzucając na chwilę niewidzialność. Nóż nie trafił jednak tak wysoko, jak zamierzałam, tylko wbił jej się w żebra, bo właśnie podniosła prawą rękę, żeby strzelić z łuku, więc odkryła prawy bok.

– Ha! – krzyknęłam, a potem znów włączyłam niewidzialność i padłam na ziemię.

Nade mną przeleciała strzała Artemidy.

Po drugiej stronie pojawiła się Flidais. Gdy Diana odwróciła się w moją stronę i chwyciła za rękę mojego noża, żeby go sobie wyrwać, nóż Flidais wbił się jej w plecy tuż obok kołczanu. Kolejne „Ha!” poniosło się echem po lesie, a druga strzała Artemidy znów nie trafiła. Flidais zniknęła. Był to znak dla mnie. Wstałam, zrzuciłam niewidzialność i cisnęłam kolejnym ostrzem w pierś Diany. Zniknęłam zaraz potem i padłam na ziemię, ale tym razem Artemida nie strzeliła. Coś odwróciło jej uwagę, pewnie to Atticus zakradł się od tyłu.

Diana padła na kolana, a drugi nóż Flidais przeleciał nad nią. Wstałam, znów się ukazałam i cisnęłam swój ostatni nóż w jej brzuch. Wyglądała tak, jakby naprawdę ją bolało, choć żadna z tych ran nie była oczywiście śmiertelna. Gdy tylko wyrwie sobie te noże, zaraz będzie znów cała zdrowa i gotowa do walki. Musimy wykończyć ją, zanim to nastąpi. Zrobiłam trzy kroki w jej kierunku, nim coś uderzyło mnie pod żebrami i runęłam na ziemię.

Jeszcze gdy upadałam na liście, zobaczyłam czarne pióra lotki wystające z mojego brzucha. Z tego pośpiechu, żeby wykończyć Dianę, zapomniałam włączyć niewidzialność i paść na ziemię. Czyli Atticus jednak nie zajął się Artemidą, a ona zdążyła we mnie strzelić. Moja prawdziwa walka okazała się jeszcze krótsza, niż się tego spodziewałam.

Rozdział 24

Zakradałem się właśnie i od Artemidy dzieliło mnie może piętnaście metrów, gdy Oberon krzyknął w mojej głowie:

<Trafiły Bystrą Dziewczynę!>

– Nie! – wrzasnąłem i skoczyłem do przodu, a Artemida odwróciła się i puściła strzałę. Zrozumiawszy od razu, że jestem za blisko na łuk, wyciągnęła swój nóż do polowań i cisnęła we mnie całym łukiem, gdy właśnie lądowałem po saltie. Łuk oczywiście nie wyrządził mi żadnej krzywdy, ale zdradził moją pozycję. Artemida przesunęła stopy i natarła na mnie prawym bokiem do przodu, a jej lewa ręka sięgnęła na udo, żeby wyciągnąć drugi nóż. Skoczyła w moją stronę – z zupełnie nieprzystojną prędkością – i zdołała dźgnąć mnie w pierś tuż poniżej obojczyka. Pewnie chciała mi poderżnąć gardło, tylko nie trafiła ze względu na kamuflaż. Wycofałem się i przygotowałem na dłuższą walkę. Za wszelką cenę chciałem biec ratować Granuaile, ale nie dało się tak po prostu minąć Artemidy.

Zostań przy niej – nakazałem Oberonowi. – *Przybiegnę, jak tylko się da.*

<Dobra>.

Artemida zrozumiała, że w coś trafiła, i zaczęła ze mnie kpić.

– Nie jesteś tak zwinny jak Morrigan.

– Ty też nie – odgryzłem się. – Pokonałyście ją tylko dlatego, że wam na to pozwoliła.

To ją rozwścieczyło – być może dlatego, że w głębi duszy sama już to zresztą podejrzewała – bo warknęła i natarła. Jej lewa ręka była uniesiona, a sztylet skierowany do tyłu, z ostrzem położonym płasko na nadgarstku i przedramieniu niczym improwizowana broń, gdy tymczasem prawy nóż był wysunięty i gotowy do ciosu. Zaryzykowałem, bo chciałem jak najszybciej skończyć tę walkę – przedłużanie jej mogło działać tylko na moją niekorzyść. Było prawie pewne, że mnie zrani, ale po prostu miałem nadzieję, że nie będzie to rana ani natychmiast mnie unieruchamiająca, ani śmiertelna. Zamachnąłem się Fragarachem zgodnie z ruchem wskazówek zegara w stronę jej wyciągniętej lewej ręki i przesunąłem całe ciało tak, żeby szło też za ciosem zgodnie ze wskazówkami zegara. Mój miecz odrąbał jej rękę w przegubie i kręcił się dalej, a ja tylko zniżyłem jego tor, kręcąc się razem z nim, żeby znów ją trafić. I trafiłem w mięsień czworogłowy uda, ale nie przerznął jej kości, bo do tego czasu straciłem już całą siłę – też byłem ranny. Nóż, który trzymała w prawej ręce, z pewnym opóźnieniem, ale jednak odciął mi płat mięśnia grzbietu, bo wbiła go we mnie, gdy jeszcze się kręciłem. Ja broczyłem krwią, a ona ichorem i oboje zawyliśmy nad tym, co straciliśmy. Różnica polegała jednak na tym, że ona padła na ziemię – patrz rana w nodze – a ja nadal stałem.

Dotarło do mnie, że Morrigan prawie na pewno nie posługiwała się podczas swojej walki kamuflażem, bo jak inaczej wytłumaczyć to, że łowczyniom udało się celować w jej prawy bok? Artemida nie dawała rady przejrzeć mojego zbyt dobrze, jeśli w ogóle cokolwiek widziała, a to oznaczało, że nie pomaga jej Minerwa ani Atena. To potwierdzało moją teorię, że Morrigan walczyła, żeby zginąć. Idę o zakład z einherjarami, że gdy już się ze mną pożegnała, przestała w ogóle walczyć i dała się zarąbać.

Artemida przeturlała się, żeby stworzyć dystans między nami, i pozwoliłem jej na to, bo chciałem sprawdzić, co to za hałas za moimi plecami. To Diana rzucała łaciną. Wstała już z ziemi i udało jej się usunąć z ciała wszystkie noże, ale w tej samej chwili trafiła ją strzała Flidais. Gdy chciała i ją wyciągnąć, kolejna uderzyła ją tak mocno, że Rzymianka poleciała na

plecy. Lśniące buzowanie w powietrzu oznaczało chyba, że nadciąga też Hern ze swoimi myśliwymi, by służyć nam obiecaną pomocą, choć trochę im to wolno szło. Lecz z drugiej strony, nie da się ukryć, że dzień to wyjątkowo trudny czas dla duchów, więc to, że w ogóle mógł się pojawić za dnia, dobitnie świadczyło o jego mocy.

I tyle zdążyłem zobaczyć, bo na większe obserwacje nie mogłem sobie pozwolić. Artemida już wstała, nim zdążyłem się obrócić, a biorąc pod uwagę prędkość, z jaką leczą się Olimpijczycy, jej noga z pewnością będzie zdrowa za kolejne sześćdziesiąt sekund. Moje plecy w życiu się tak szybko nie zagoją, ale też i ona nie zdoła wyhodować sobie lewej ręki. Inna sprawa, że z jej kikuta oczywiście nic już nie ciekło, gdy tymczasem ja dopiero pracowałem nad tym, żeby zatamować swoje krwotoki. Ruszyłem w jej stronę, nie próbując już nawet zachować ciszy, a ona przygotowała się na atak. Zdawało się, że woli utrzymywać ciężar ciała na lewej nodze, ale nieznaczny uśmiech, jaki przemknął przez jej twarz, świadczył moim zdaniem o tym, że blefuje. Już dawno zagoiła ranę, a zostawiła powierzchowne draśnięcie dla picu. Zmieniła sposób trzymania noża w prawej ręce tak, że teraz miała go ostrzem do dołu i jeśli pociągnie pięść do dołu, ostrze będzie cięło tuż za nią. Stała do mnie lewym bokiem, gotowa poświęcić już i tak nadwreżoną stronę, żeby móc to nadrobić zupełnie sprawną prawą. Ale miałem to w dupie. Nie zamierzałem atakować.

Popędziłem na nią z całej siły i padłem ślizgiem w ostatniej chwili, omijając jej cios dołem i zwalając ją z nóg. Był to ten rodzaj nieładnego ślizgu, za który dostaje się w futbolu czerwoną kartkę. Siła rozpędu jej zamachu sprawiła, że przeleciała mi ponad biodrami. Wyciągnęła odruchowo prawą rękę, żeby się podeprzeć przy upadku, a moja prawa ręka, w której miałem Fragaracha, spadła na jej rękę i odrąbała ją nad łokciem.

W naiwności swojej myślałem, że to będzie już koniec, bo też co miałyby niby teraz zrobić, zadusić mnie kikutami na śmierć? Ale nie. Przetoczyła się po moich nogach, zupełnie mi je unieruchamiając, a potem prawą nogą kopnęła mnie w twarz i złamała mi nos. Zawirowało mi w głowie tak, jakbym wypił za dużo tequili, a przed oczami zaczęły mi latać różne kropeczki, gdy czaszką rąbnałem o ziemię. Może nawet odleciałem na chwilę, bo potem nagle Hern krzyczał już coś do mnie nie tylko w pełni widoczny, ale i rozszardzony.

– Hej, ty draniu, gdziekolwiek jesteś? A teraz niby co mam z nią zrobić?

Mimo dudnienia w czaszce i tych rozlicznych kropek, które wciąż przesłaniały mi świat, podniosłem głowę i zobaczyłem, że Hern i jeden z jego łowców z trudem unieruchamiają Artemidę. Trzymali ją każdy za nogę i mieli z tym pewne problemy. Zrzuciłem kamuflaż, nim się odezwałem.

– Odrąbcie jej je – poleciłem, wskazując nogi – ale nie głowę.

– Miałem nadzieję, że to powiesz.

Wstałem niepewnie i ruszyłem chwiejnym krokiem w tę stronę, gdzie padła Granuaile. Krwawienie ustało z automatu przy leczeniu, ale wciąż bolały mnie nieznośnie plecy i głowa, póki sobie nie przypomniałem, że mogę przecież to kontrolować. Zablockowałem ból, gdy tymczasem w lesie pobrzmiwało echo soczystych przekleństw greckich i łacińskich, na przemian z równie soczystymi odgłosami odrąbywanych kończyn, których duchy pozbawiały nie tylko Artemidę, ale i Dianę. Inny myśliwy Herna i sfera ich psów pokonali bowiem Dianę, a Flidais przyglądała się temu z aprobatą.

Oberonie, czy ona żyje? Czy tobie nic nie jest?

<Żyje, ale mówi, że bardzo ją boli. Trafili ją w sam środek, Atticusie. Mnie nic nie jest>.

Zalała mnie ulga i aż przystanąłem, żeby się pozbierać. Tak się cały czas zamartwiałem, że mi ją zabiły; że straciłem ją tak jak Tahirę.

Dziękuję, że przy niej zostałeś. Powiedz jej, żeby zrzuciła twój kamuflaż i swoją niewidzialność, żebym mógł jej pomóc. Już jest bezpiecznie.

Znów ruszyłem i próbowałem odgonić chmury gromadzące się w mojej głowie.
<Dobra. A, tu jesteś!> powiedział, gdy się zbliżyłem.
A ty gdzie? Zaszczekaj, proszę.

Oberon zaszczekał i w tej samej chwili pojawił się na lewo ode mnie. Stał nad Granuaile, która miała strzałę wbity pod żebrami, trochę na lewo. Wokół promienia strzały zbierała się krew. Granuaile zaciskała na nim palce, a łzy lały się strumieniami po jej policzkach. Z trudem oddychała.

– Tak bardzo boli, Atticusie – wyjęczała, a ostatnia sylaba ugrzęzła jej w gardle. – Nie myślałam, że będzie bolało aż tak bardzo.

Rzuciłem Fragaracha na ziemię i padłem przy niej na kolana. Oberon się potulnie odsunął.

– Musisz znaleźć nerwy i je zablokować – powiedziałem. – Pamiętasz ten splot? Zablokuj sygnały bólu. Odetnij im prąd, a będziesz mogła się zabrać spokojnie do roboty.
Zmrużyła oczy.

– Wrr. Jak mogłam o tym zapomnieć?!

– Szok. Sprawia, że zapomina się o wielu rzeczach. Sam przypomniałem sobie o tym dopiero przed chwilą.

– Jesteś ranny?

– Wszystko mi się wygoi. Tobie też.

– Dobra – szepnęła. – Dobra. Mogę to zrobić.

– Jasne, że możesz.

Wzięła jeszcze kilka szybkich, płytkich oddechów, przymknęła oczy i wypowiedziała splot, którego ją nauczyłem. Odetchnęła z ulgą, gdy zadziałał, i uśmiechnęła się do mnie słabo przez łzy.

– Uff. Znacznie lepiej. Dzięki.

– Nie ma za co. Teraz trzeba stopić te strzały.

– Nie. Już sprawdziłam. Syntetyczne kompozyty. Nie da się ich rozpleść.

– Kurwa.

– Nie, to dobrze, Atticusie. To dobrze.

– Co takiego?

– Potrzebowałam tego. Potrzebowałam takiego mocnego ciosu, żeby nauczyć się z niego leczyć.

– Ale nie wyleczysz się, póki to jest w tobie.

– Wyciągniemy to. A teraz idź, rozpraw się z Olimpijkami.

– Już je pokonaliśmy.

– Będzie ich zaraz o wiele więcej i dobrze o tym wiesz. Hermes i Merkury, jeśli nie ktoś jeszcze.

– Ale...

– Atticusie. Poważnie. Panuję nad sytuacją. – Sięgnęła w moją stronę prawą ręką, złapała mnie za koszulę i delikatnie przyciągnęła sobie do ust. Pocałowała mnie, a potem, gdy jej oczy były ledwie kilka centymetrów od moich, powiedziała do mnie: – W środku mój stan jest stabilny. Jestem już zupełnie bez czucia. Nie wycieka mi kwas z żołądka ani nic. Wewnętrzne krwotoki zatrzymałam. Najbardziej ze wszystkiego potrzebuję się teraz stąd jakoś wydostać, więc

mnie stąd zabierz. Masz plan, prawda? Powiedz mi, że masz plan.

– Mam plan – zapewniłem ją i przypomniałem sobie, że to rzeczywiście jest prawda.

Uśmiechnęła się, a z kącików jej oczu potoczyły się na uszy nowe łzy. Zupełnie mnie tym rozczuliła, jeszcze nawet zanim powiedziała:

– Wiedziałam, że masz. Następnym razem lepiej sobie poradzę. A teraz idź.

Oderwałem się od jej ust, ale zamarłem, nim wstałem. Bo gdy znów zobaczyłem strzałę i przemoczony krwawy krąg na czarnej koszuli, wiedziałem już, że nie mogę jej tak zostawić. Jakiś bardzo stary instynkt mówił mi, że to nie jest po prostu możliwe.

<Wyglądasz, jakbyś napił się jakiegoś słabego piwa, Atticusie>.

Granuaile usłyszała to i zaśmiała się raz, nim uświadomiła sobie, że to pewnie nie jest najlepszy pomysł, jeśli się ma akurat strzałę wbiłą w przeponę.

– Idź już, Atticusie. Będę niewidzialna i przez chwilę bezpieczna. Nie martw się o mnie. Znów się pochyliłem, żeby jeszcze raz ją pocałować.

– Dobrze, pójdę. Ale tylko dlatego, że skopałabyś mi tyłek, gdybym został.

– I zabierz ze sobą Oberona. Nie chce tu zostać.

Czy to prawda?

<W sumie to ona mi powiedziała, że chce, żebym sobie poszedł>.

Chce się sama z tym uporać. Niech więc i tak będzie.

A na głos powiedziałem:

– Dobra, tak zrobimy.

Oberon podreptał obok mnie, machając ogonem, a ja pogłaskałem go czule. Dzięki Hernowi i jego chłopakom Artemida i Diana wyglądały teraz jak kopie Czarnego Rycerza – leżały na ziemi twarzami do góry, bez rąk i bez nóg. Ich kończyny znajdowały się niedaleko, ale nie na tyle blisko, żeby je sobie mogły przyrosnąć. Potrysały trochę ichorem, ale ich niesamowite zdolności regeneracyjne sprawiły, że już zdołały zatrzymać krwotoki i były w ogóle nadzwyczaj czystymi torsami. Sprawdziły się zapowiedzi Morrigan, że Hern nam pomoże. Wątpię, żebyśmy tak dobrze sobie poradzili sami, a nawet pomoc Flidais nie była aż tak znacząca jak Herna. Artemida na pewno złapałaby nogami moją głowę, gdy byłem nieprzytomny, i po prostu by mi skręciła kark. Podziękowałem Hernowi za pomoc, a on tylko skinął na to w milczeniu głową. Razem z Flidais pomógł mi zaciągnąć kawałki Artemidy tam, gdzie leżała Diana, i rozłożyć je kilka metrów dalej.

Stanałem między dwoma ciałami, a boginie patrzyły na mnie nienawistnym wzrokiem. Nie zamierzałem się jednak z nich naśmiewać i nie uderzyłem w kpiący ton, tylko z zupełnie pozbawioną emocji miną zacząłem realizować swój plan.

//Druid gotowy do uruchomienia przechowalni// posłałem wiadomość do Albiona.

//Dziesięć kawałków / Moja pozycja / Największe kawałki na końcu//

Magia ziemi nie może być używana do krzywdzenia zwierząt o określonej złożoności biologicznej. Mogę używać jej, ile chcę, do dawania sobie przewagi w walce – poprzez podkręcanie siły i szybkości, kamuflaż i tak dalej – ale nie mogę posłużyć się nią bezpośrednio przeciwko wrogowi czy stworzeniu, które chce mnie zjeść. To nienaruszalne prawo, przypieczętowane tatuażami na mojej skórze. Dotarło do mnie jednak już jakiś czas temu, że nieśmiertelna natura Olimpijczyków powoduje pewną interesującą lukę w tym prawie. Przecież nie dało się ich prawdziwie skrzywdzić w taki sposób, jak to rozumiała ziemia. Nawet jeśli się im odrąbało głowę, to i tak zachowywała ona nadal świadomość mimo braku tlenu, więc mogłem – a raczej Albion mógł – zrobić z nimi rzeczy, których nigdy nie mógłby zrobić

żadnemu innemu stworzeniu.

Pod rękoma i nogami łowczyń ściółka zaczęła bulgotać i rozsuwać się. Brejowate grudy gliny zwanej przez geologów londyńską uniosły się i załazy ich kończyny ciemnobrązową mazią pełną niewielkich skamielin. Na to nasunęła się warstwa kredy i jeszcze jedna – żwiru, które potem Albion splótł mocno i zmienił w litą skałę.

– Co to ma być? – spytała Diana, miotając głową to na lewo, to na prawo.

– Twoje przeznaczenie – odpowiedziałem. – Znikniesz pod ziemią i pozostaniesz tam, póki nie obiecasz zaprzestać polowania na mnie i moich przyjaciół. Żadne trzęsienie ziemi Posejdon czy Neptuna ci nie pomoże. Będziesz siedziała w ciemności, niesłyszana i żywa, póki nie postanowię cię wypuścić. Lepiej byłoby więc dla ciebie, żebym do tego czasu nie umarł.

Glina zaczęła opływać ich torsy i gdy tylko ją poczuły, zrzedły im miny.

– Przeszanę polować na ciebie i twoich przyjaciół – powiedziała Artemida.

Uniosłem brwi zdumiony tak szybką kapitulacją.

– Bardzo ci za to dziękuję. A ty, Dianio?

Ale na jej twarz powrócił uparty grymas. Próbowwała na mnie splunąć, ale nie trafiła.

– Nigdy nie przestanę polować na twój łeb – warknęła.

Wzięłem wdech przez zęby.

– Hmm. Nigdy to bardzo długo. Artemido, bardzo dziękuję ci za twoją ofertę, ale mam nadzieję, że zrozumiesz, jeśli ci tak od razu nie uwierzę. Być może już wkrótce będę bardziej skłonny ci zaufać. Porozmawiamy już niedługo.

Glina minęła właśnie ich ramiona i przesuwała się po szyjach. Diana wciąż wpatrywała się we mnie nienawistnie, ale Artemida rozglądała się nerwowo.

– Mówię szczerze, druidzie. Przysięgam.

– Znów bardzo ci dziękuję, ale w tej chwili brak ci wiarygodności. – Mowy nie było, żebym wypuścił którąkolwiek z nich zaraz po tym, jak próbowały zabić mnie i zastrzelić Granuaile. – Pokonaliśmy was już trzy razy – przypomniałem im. – Raz w Holandii, raz w Cieśninie Kaletańskiej, a teraz tutaj. Nie musiało wcale tak być. Może powinnyście się zastanowić, gdy będziecie pod ziemią, nad tym, czy warto było tak cierpieć za boga pijanych dupków oraz pięć driad, które były całe i zdrowe, gdy je ostatni raz widziałem. Z wyjątkiem tych kilku ostatnich dni, gdy zmuszony byłem działać w samoobronie, nigdy nie zaatakowałem was bezpośrednio i zawsze robiłem wszystko, by zadośćuczynić wam wszelkie naruszenia z mojej strony. Czy wy możecie powiedzieć to samo o swoim zachowaniu?

//Zakończ chowanie// poleciłem Albionowi i glina załaza głowy łowczyń, które darły się i przeklinały mnie, póki nie wyciszyła ich ziemia. Gdy już zniknęły nam z oczu – milczące skały, których nikt nie będzie nawet próbował wyciągać – spojrzałem w górę, bo usłyszałem tam trzepotanie skrzydeł. Z gałęzi wiązu spoglądali na mnie Hugin i Munin.

– Taa. Czulem, że pojawicie się właśnie w tej chwili. Odyne, możesz powiedzieć tym einherjarom, którzy zakładali się, że nie przetrwamy, żeby się wypchali.

Kruki zakrakały, ale nic się nie dało z tego zrozumieć.

Flidais zaniosała się śmiechem.

– To było przezabawne, Atticusie. Dobra robota. A jak się miewa Granuaile?

Zanotowałem sobie w tyle głowy, że dość późno się zainteresowała stanem Granuaile.

– Ranna, ale jej stan jest stabilny. Wróć do niej, jak skończymy.

– A jeszcze nie skończyliśmy?

– Nie. Pozwolisz, że zaprowadzę cię teraz na kraniec polany? I ciebie również, Hernie?

– Oczywiście – zgodziła się Flidais i Hern też nie miał nic przeciwko temu.

– Nie przepadam za podróżowaniem w świetle dnia – powiedział – ale jesteśmy gotowi

znieść to ze względu na dobro naszych gości.

Słońce rzeczywiście zaczęło już poranek na całego, a nad Zamkiem Windsor bardzo wyraźnie widać było teraz chmurę kurzu. Gdy dotarliśmy do brzegu łąki, zobaczyliśmy też helikoptery krążące nad Home Park, ale żaden nie zapuszczał się jeszcze tak daleko.

– Nie powinniśmy długo czekać – stwierdziłem. – Skoro Odyń nas obserwował, to z pewnością Olimpijczycy też mieli na nas oko.

I rzeczywiście skrzydlaci chłopcy pojawili się bardzo prędko. Nie minęła nawet minuta, a oni już pędzili z południa, po czym zawisnęli ze trzy metry nad ziemią, by z tej wysokości obwieścić boski dekret.

– Przybywamy z pilną wiadomością od Jowisza i Zeusa! – ryknął Merkury.

Zmrużyłem oczy i przysłoniłem sobie ręką oczy od słońca.

– Chcecie, chłopaki, ze mną pogadać, to złażcie na dół. Nie będę zadzierał głowy, żeby na was patrzeć.

Zniżyli lot, ale jednak unosili się nadal kilka centymetrów nad ziemią, żeby móc na mnie patrzeć z góry.

– Zeus i Jowisz żądają wypuszczenia łowczyń.

– Nie – odparłem. – Nie będziemy już dłużej załatwiać tego w ten sposób. Nie będę prowadził negocjacji na odległość. Chcę rozmawiać twarzą w twarz z bogami niebios. – Ostentacyjnie odwróciłem się od Merkurego i spojrzałem na Hermesa. – Chcę, żeby Zeus i Jowisz sami się tu stawili na negocjacje w dobrej wierze, z gwarancją bezpieczeństwa dla obu stron, bo inaczej nastawię ziemię przeciwko Olimpijczykom i nigdy już nie będziecie mogli się pojawić w tej krainie. Czy to jasne, Hermesie?

Grecki bóg skinął głową, ale nic nie powiedział. Merkury nie mógł znieść, że nie znajduje się w centrum uwagi, więc powiedział:

– To ja, nie Hermes, dostarczam wiadomości Jowiszowi, druidzie.

Oberonie, zrób mi tę przysługę, i zsikaj się na tę rzymską nogę, a potem ucieknij, dobrze?

<Dlaczego?>

Bo widzisz, ty też tu jesteś gościem.

<Nic nie widzę, ale mam nadzieję, że potem zobaczę jakiś dobry stek>.

– Wiem o tym, Merkury – odpowiedziałem – ale szanuję Hermesa. Przede wszystkim nie jest on takim megafachłakiem jak niektórzy.

Merkury zbladł, a potem jego cera przybrała barwę zbliżoną do dyspeptycznej ochry.

– Co takiego? – wycedził przez zaciśnięte zęby. Nie wiedział oczywiście, co to znaczy megafachłak, ale na pewno nie podobało mu się, że go od takowych wyzywam. Gdy nadymał się coraz bardziej z wściekłości, Oberon podszedł do niego jak gdyby nigdy nic, stanął za nim i podniósł nogę. Żółty strumień uryny chlupnęła na prawą nogę boga, gdzieś w okolicach tyłu kolana i spłynął po łydce, mocząc przy tym skrzydełko. – Co? – powtórzył, obracając się, żeby zobaczyć, co się stało.

Uciekaj!

<Ajajaj!> krzyknął Oberon, spinając się cały. W ostatniej chwili uskoczył przed kaduceuszem Merkurego. Kij przejechał mu nawet po zębach, ale nie wyrządził żadnej krzywdy.

– Ty kundlu! – darł się Merkury, rzucając się w powietrzną pogoń za Oberonem. Leciał tuż nad jego grzbietem i znów zamachnął się kijem, ale Oberon zrobił unik.

<Aj! On się zachowuje tak, jakby nikt nigdy się na niego nie zsikał!>

– Hernie, on atakuje ci gościa – zauważyłem, wskazując na Merkurego, i nim bóg zdążył się zorientować, że pogwałcił zasady dyplomatycznej uprzejmości, już miał na sobie trzy duchy, które skutecznie uniemożliwiały mu dalszy lot. A to był zaledwie początek. Psy rzuciły się na jego kostki i oderwały mu zębiskami skrzydełka. Rozgryzły pióra, jak to psy myśliwskie mają w zwyczaju, a bóg runął z krzykiem na ziemię. Hermes spał się, gotów rzucić się koledze po fachu na ratunek, ale mu to odradziłem.

– Masz wiadomość do dostarczenia, pamiętasz?

To go skutecznie powstrzymało i tylko uniósł się wyżej, poza zasięg psów. Patrzył gniewnie, jak Hern i jego myśliwi rąbią Merkurego na boskie kotlety. Na mój znak Albion znów zaczął zakrywać każdą część skałą.

– Nie unikniesz konsekwencji, druidzie.

– A to, to co to, myślisz, jest, jak nie konsekwencje? – Wskazałem mu Merkurego, który już był częściowo zakryty gliną i nie bardzo mu się to podobało. – To właśnie są konsekwencje tego, że niektórzy Olimpijczycy uparli się mnie prześladować. Śladu po nich nie zostanie, gdy ich pochowam pod ziemię na całą wieczność. Nie będą się tam mogli ani wyleczyć, ani umrzeć. Wcale nie chcę tego jednak robić i jestem przekonany, że Olimpijczycy też woleliby znaleźć inne wyjście z tej sytuacji. Nie stało się jeszcze nic takiego, co by się nie mogło odstać. Więc bardzo cię proszę, leć do Zeusa i Jowisza i poproś ich, żeby przybyli tu na pokojowe rozmowy, żebyśmy znów mogli żyć w harmonii albo przynajmniej agresywnie się unikać.

Na to Hermes zwrócił wzrok swoich zaczerwienionych oczu na Flidais.

– Tuatha Dé Danann przyklaskują takiemu zachowaniu?

Flidais odchrząknęła i odpowiedziała zupełnie oficjalnym tonem dyplomatki.

– Przemoc nigdy nie jest mile widziana i nie chcieliśmy nigdy urazić Olimpijczyków, ale w naszej opinii druidzi działali wyłącznie w samoobronie i mieli pełne prawo się bronić.

Hermes aż prychnął, by wyrazić swoje powątpiewanie.

– Porwali pięć driad z ich dębów. Uważacie takie zachowanie za samoobronę?

– Było to konieczne, by powstrzymać Fauna przed jego działaniami, jeśli mieliśmy uciec przed Bachusem – powiedziałem szybko, bo nie byłem pewien, czy Flidais w ogóle znała szczegóły tego wydarzenia. – Toteż było to działanie w samoobronie, a driady wróciły całe i zdrowe, tak jak zażądał tego Olimp.

Hermes zignorował moje wyjaśnienia i znów przemówił do Flidais.

– Co na to powiesz?

– Powiem tylko to: druidzi pracują dla ziemi na ziemi, podczas gdy Tuatha Dé Danann zobowiązani są starymi przysięgami pozostawać w miarę możliwości w Tír na nÓg. Dlatego właśnie chcemy, żeby druidzi pozostali żywi i wolni. Czy wyrażam się dość jasno?

Mało nie wymyknęło mi się na to: „Pieprzysz?!”, ale zaraz zapanowałem nad wyrazem twarzy i starałem się wyglądać tak, jakbym zawsze się spodziewał po niej takiego poparcia. W rzeczywistości spodziewałem się raczej zaświadczenia o neutralności. I to mimo że zarówno ona, jak i Manannán – że już o Morrigan nie wspomnę – niejednokrotnie bezpośrednio nam pomagali.

Grecki bóg się nadał, a jego wzrok znów powędrował ku Merkuremu – a raczej do miejsca, w którym Merkurego już nie było. Ziemia pochłonęła Rzymianina zupełnie i nawet nie słychać już było jego krzyków.

– Chcę tylko porozmawiać – przypomniałem mu.

– Może ci się nie spodobać to, jak się ta rozmowa potoczy – burknął Hermes, a potem uniósł się wysoko w powietrze i odleciał na południe, w stronę Olimpu.

Rozdział 25

Gdy Hermes poleciał się poskarżyć na nas tatusiowi, obróciłem się w stronę Flidais.
– Jestem pod wrażeniem twoich słów. Czy Tuatha Dé Danann naprawdę chcą, byśmy...
pozostali żywi i wolni?

– No, może nie wszyscy – przyznała Flidais – ale takie jest stanowisko tych, którzy się liczą. Takie jest życzenie Brighid.

A zatem Flidais była wciąż wierną zwolenniczką Brighid.

– Bardzo miło mi to słyszeć. Przekaż jej, proszę, ode mnie wyrazy uszanowania.

To będzie mój sposób na podziękowanie jej bez ustawiania się na pozycji kogoś, kto ma dług wdzięczności do spłacenia.

– Przekażę. Co teraz?

– Hmm. Wielka szkoda, że nie ma z nami Peruna.

– Peruna? Dlaczego?

Gdy wyjaśniłem jej, zaproponowała, że go do nas ściągnie. Odkąd Loki zniszczył jego krainę, Perun ukrywał się – za pozwoleniem Brighid – w Tír na nÓg.

– Jak go tu ściągniesz? – spytałem. – Przecież Stara Droga pod zamkiem została zmieciona w pył.

– To nie jedyna w tej okolicy.

– Nie jedyna?!

– Dąb Herna pełni podwójną funkcję. Jest połączony z Tír na nÓg zwykłą nicią, ale stanowi jednocześnie zakotwiczenie dla Starej Drogi. Po co w innym razie mielibyśmy wpływać na angielskich monarchów, żeby wciąż sadzili nowe dęby w tym samym miejscu, gdy umierały stare?

– Co takiego? Wpływaliście... – Ogrom jej przemilczenia dotarł do mnie z pewnym opóźnieniem. – Znacz się, dlaczego wcześniej nic nie powiedziałaś?

Uśmiechnęła się zupełnie nieskruszona.

– Chciałam walczyć. I słusznie zrobiliśmy. Olimpijczykom należała się lekcja. Ale teraz możemy już sobie stąd pójść, jeśli chcesz.

Jeszcze przed chwilą od razu rzuciłbym się na taką okazję, ale teraz miałem nadzieję uratować nam tyłki na dłużej niż parę godzin czy dni.

– Nie. Chcę zakończyć tę sprawę. Ale gdybyś mogła zabrać stąd Granuaile i Oberona, to by było świetnie. Granuaile przydałaby się pomoc z tą strzałą.

Granuaile nie miała nic przeciwko temu i chętnie pokuśtykała do rydwanu Flidais. Chwiała się i wyglądała trochę słabowicie, ale tak jak sama powiedziała, wyraźnie miała sytuację pod kontrolą. Pocałowałem ją i życzyłem jej szybkiego powrotu do zdrowia. Oberon natomiast twardo odmówił opuszczenia mnie, a nie miałem serca się z nim kłócić.

Powierzywszy Granuaile opiece Goibhniu, który miał odpilować grot, żeby wydostać jakoś strzałę, Flidais wróciła do mnie, nim jeszcze pojawili się Zeus i Jowisz. Z rydwanu wyszła, trzymając za rękę Peruna, słowiańskiego boga piorunów, a aktualnie jej pieśczocho.

Perun odmłodził i aż się palił do bójk. Jego przygody w świecie mody stawały się coraz dziksze. Dekolt w serek w jego mocno zaciśniętej pasem tunice był coraz głębszy i teraz kończył się tuż nad pępkiem, ukazując całe kłęby rudego dywanika. Spodnie wciśnięte miał w niebieskie botki do pół łydki. Wyglądał w ogóle jak superbohater z lat siedemdziesiątych. Uśmiechnął się szeroko i uściskał mnie serdecznie, co poczułem, jakbym był owinięty

w dywan i zdeptany. Kręgi zgrzytnęły mi niepokojąco, a poranione plecy wysłały pilne pytanie, co sobie, do diabła, myślę, że się daję tak ścisnąć.

– Atticusie! Jak miłym ciebie znów widzieć. Dlaczego Flidais mnie tu ściągnąć?

– Przydałby się nam wielki i straszny bóg.

– A, chcecie ktoś nastraszyć zagniewana twarza?

– O to to.

Uśmiechnął się znowu.

– Się robić. Lubić takie zabawy. Ty patrzeć.

Skrzyżował ramiona, a niebo nad nami pociemniało. Jego brwi zbliżyły się do siebie, a niebieskie zwykle oczy zajaśniały granatem i białą błyskawic, gdy spiorunował nas gniewnym wzrokiem. Rozciągnął się i rozrósł do olbrzymich rozmiarów.

<Aj! Cokolwiek mu zrobisz, Atticusie, przeproś ładnie! Ależ on się wściekł!>

Niczego mu nie zrobiłem, Oberonie. To wszystko sztuka aktorska.

<Pewien jesteś?>

Perunowa wizualna obietnica czegoś bardzo złego rozplynęła się w powietrzu, a bóg uśmiechnął się promiennie. Niebo natychmiast się roz pogodziło.

– Być dobrze to?

Pokiwałem głową z wielkim entuzjazmem.

– Idealnie!

Perun zabrał się wtedy do witania Herna i raz jeszcze przypomniałem sobie, że to jeden z najmiłszych bogów, jakich miałem okazję spotkać (dopóki coś go nie wzburzyło). Da mi odrobinę przewagi w tym psychologicznym starciu. Kiedy pojawią się wreszcie Zeus z Jowiszem, nie będą nas mogli zastraszyć mięśniami i grzmotami, skoro sami mieliśmy swoje. W ogóle zdawało mi się, że dobrze będzie, jeśli Grecy i Rzymianie zobaczą, że w naszej drużynie gra jakiś bóg piorunów, bo może wtedy zawahają się chwilę ze względu na szacunek do Peruna i dadzą mi dojść do słowa. Obawiałem się, że bez Perunowego wsparcia Olimpijczycy rozgromiliby nas błyskawicznie, zupełnie nie zwracając sobie głowy żadnymi rozmowami.

W ogóle to zawsze mnie zadziwiał ten radosny ojcowski wizerunek Zeusa panujący w kulturze popularnej. Wiem, że głównym jego źródłem są filmy dla dzieci, ale no naprawdę – Zeus? Ojcowski? Już bardziej się nie dało pomylić. Facet zabił własnego ojca, zgwałcił siostrę, a potem się z nią ożenił, kombinując sobie, że jednak zawsze kazirodztwo uświęcone małżeństwem jest lepsze od nieuświęconego. Następnie dopuścił się całej serii tego, co zwykle się nazywa grzecznie „romansami” ze śmiertelniczkami, choć niektóre mity uczciwiej mówią o „porwaniach”, co de facto znowu oznacza po prostu gwałty. Przemienił się w łabędzia, żeby dobrać się do dziewczyny z lekkim zboczeniem na punkcie ptaków, a w przypadku dziewczyny uwięzionej w dziurze w ziemi ucieleśnił się jako złoty deszcz. Jego poczynania mówią same za siebie – to postać podła i ohydna i bynajmniej nie powinna trafiać do filmów dla dzieci. To raczej jeden z takich typków, co są gotowi poszczuć cię krakenem.

Nad nami zebrały się tymczasem kłębiące się, burzowe chmury, co stanowiło niewątpliwy znak, że bogowie niebios usłyszeli już z ust Hermesa moje słowa. Boski posłaniec przyleciał szybko jak błyskawica z południa i unosząc się dwa metry nad nami, żebyśmy przypadkiem nie mogli go dosięgnąć, obwieścił:

– Zeus i Jowisz przybywają – po czym pomknął w bok niczym koliber.

Olimpijczycy umieli zrobić wielkie wejście. Najpierw ogłuszył nas grzmot, od którego Oberon aż zaskomlał, a dwie błyskawice walnęły w ziemię mniej niż dziesięć metrów przed nami. W ich miejscu pojawili się Zeus i Jowisz. Dalej sypał się na nas deszcz piorunów,

a bezpośrednio nad naszymi głowami kotłowały się chmury, co było o tyle dziwnym doświadczeniem, że całkiem niedaleko widzieliśmy błękitne niebo.

Teraz już byłem tak przyzwyczajony do różnic między Grekami i Rzymianami, że od razu wiedziałem, kto jest kim. Zeus, niesławny bóg seksualnych dewiacji, zawinięty miał w taliu niczym ręcznik cienki kawałek poliestru, ale poza tym był nagi – i wyraźnie podniecony okazją do pokazania nam, kto tu rządzi. Zupełnie białą i naoliwioną brodę związał sobie tuż pod szczęką. Kucyk opadał mu aż do mostka. Włosy na głowie miały jeszcze kilka szarych nici i spływały – równie naoliwionymi – falami na jego plecy. Jowisz było ubrany (czy też nieubrany) na mniej więcej tę samą modłę, ale jego biała broda była krócej przyszycona i nienaoliwiona. Jego włosy wydawały się w porównaniu do Zeusa nienaturalnie czarne, tylko na skroniach miał trochę siwizny. Może używał jakiegoś szamponu Just For Gods.

W każdym razie źle im z oczu patrzyło i obie pary tych oczu skupiły się na mnie.

– Dość już tego, druidzie – zagrział Jowisz. – Wypuść Bachusa i pozostałych.

Rzucano się w oczy, że Olimpijczycy nie doceniają zalet pogawędek i uprzejmości. Mieli zwyczaj pojawiać się jak grom z jasnego nieba i żądać, żeby natychmiast zaspokoić ich zachcianki.

– Dziękuję, że przybyliście na rozmowę, Zeusie i Jowiszu. Posłuchajcie, to nie ja tu jestem czarnym charakterem...

– Uwzięłeś członków naszego panteonu!

– Tak, ale tylko dlatego, że się zachowywali jak betonowe dupki. Tymczasem musimy porozmawiać o czymś o wiele ważniejszym niż nasze drobne porachunki. Chodzi o Lokiego i Hel, i o koniec świata, jaki znamy. Bez względu na to, co uważa na ten temat Michael Stipe, może wcale nie być zbyt dobrze, gdy już on nastąpi. Moglibyście od czasu do czasu wyściubić nos z Olimpu. Bo sęk w tym, że gdy tylko znajdzie mnie Loki i uda mu się mnie zabić, rozpocznie się Ragnarök. A większość bogów nordyckich, którzy mieli się wtedy wsławić, jakoś się przedwcześnie wymeldowała z zabawy. Loki stanowi więc poważne zagrożenie. Zniszczył już krainy dwóch bogów piorunów – Peruna z Rosji i Ukko z Finlandii.

Olimpijczycy spojrzeli na Peruna, który skinął głową, by potwierdzić moje słowa. To mnie nieco zaskoczyło, bo byłem pewien, że przynajmniej o tym Olimpijczycy będą już jednak wiedzieli, ale wyglądało na to, że w ogóle nie śledzą bieżących wydarzeń.

– Jeśli Lokiemu uda się sprzymierzyć z Hel i Muspellheimem i rozpocząć Ragnarök – ciągnąłem – Olimp spłonie razem z ziemią. Światu przydałaby się wasza i moja pomoc. Co wy na to, żebyśmy odłożyli na bok drobne urazy i stanęli do walki ze wspólnym wrogiem? Odyn stoi po naszej stronie, o tym mogę was spokojnie zapewnić.

Najważniejsze to móc się podeprzeć jakimś mocnym nazwiskiem.

Jowisz, który dotąd pracował nad coraz sroższą miną, zamienił ją nagle na zachmurzoną zadumę. Gęba Zeusa przeszła podobną przemianę. Czyli przynajmniej słuchali, pomyślałem. Ale gdy Jowisz przemówił, w jego odpowiedzi nie było ani śladu ustępliwości.

– Nie możemy odłożyć na bok żadnych uraz, póki nasze panteony znów nie będą całe – oświadczył.

– Jasne, na pewno coś w tej sprawie wykombinujemy. Obgadajmy to, a wszyscy na tym zyskamy. Ale najpierw może byście tak odepchnęli te burzowe chmury, co? – Wskazałem im kciukiem niebo. – Dziwnie wyglądają i zwrócą w końcu czyjąś uwagę.

– Niby czyją? – prychnął Zeus i obejrzał się na Zamek Windsor, gdzie nad zgłiszczami unosiła się jak stado komarów chmara helikopterów. – Za nic mam opinię śmiertelnych.

Na co Oberon stęknął tylko:

<Oj, za późno, chłopaki. Nadciąga!>

Mój pies miał wzrok utkwiony w północne niebo. Spojrzałem w tę samą stronę i znów zobaczyłem znajomy pomarańczowy meteor z jądrem z białego fosforu. Pędził prosto na nas.
– A niech to szlag!

Rozdział 26

Schowaj się za mnie i trzymaj się blisko ziemi! – poleciłem Oberonowi, a na głos wrzasnąłem: – Nie zabijajcie go, bo to rozpocznie Ragnarök!

Kilka sekund później między nami wylądował Loki i zalał wszystkich ogniem, żeby się upewnić, że go zauważyliśmy. Amulet z zimnego żelaza ochronił moje ciało, które z kolei zasłaniało Oberona. Perun nie zdążył aż tak szybko zareagować i nie osłonił Flidais, która nie spodziewała się takiego ataku, przez co oberwała dość porządnie i zaczęła się drzeć, gdy ogarnęły ją płomienie. Perun i Olimpijczycy byli ognioodporni, ale i tak im się nie spodobał ten przekaz. Hermesowi udało się całkowicie uniknąć ognia, bo wznosił się ponad płomienie. Zeus i Jowisz cisnęli w Lokiego piorunami ze swoich przenośnych chmur, nie wiedzieli bowiem jeszcze, że jest na nie tak odporny jak my na ogień. Bardziej doświadczony w tej sprawie Perun widać już sobie wcześniej rozmyślał nad taktykami walki z Lokim Płomieniowłosym, bo wezwał wiatr i zdmuchnął płomienie Lokiego jak jakieś świeczki.

Kurwiołek po prostu wybuchnął na to tym swoim szalonym śmiechem i wyciągnął sobie miecz z tyłka. Zeus, u którego z całą pewnością można było zdiagnozować priapizm, aż jęknął z wrażenia i poprosił, żeby zrobił to jeszcze raz. Jowisz rąbnął kolegę z całej siły i kazał mu uporządkować sobie priorytety. Nie ulegało wątpliwości, że między tymi panami też istnieją jakieś napięcia.

Perun w ogóle był z nich najskuteczniejszy. Słusznie skupił się na neutralizacji zamiast na likwidacji zagrożenia. Tylko że zaraz potem przykucnął, żeby ratować Flidais, nie wykorzystując przewagi, jaką zdobył nad wrogiem. Nim zdążyłem cokolwiek zrobić, Hern już rzucił hasło swoim chłopakom. Powitalny ogień Lokiego podpalił skraj polany, a że stanowiła ona część Lasu Windsorskiego, przesuwano to Lokiego do samej czołówki Hernowej listy osób do zabicia.

– Za Las Króla! – zawołał, zapominając widać, że akurat w Wielkiej Brytanii władzę sprawuje od paru dobrych lat królowa.

Wraz ze swoimi myśliwymi popędził do ataku pewny siebie, z psami tuż obok. Loki uśmiechnął się i zamachał do nich.

– Ja! Ja! Ja! – ucieszył się, a na jego twarzy malowała się złowieszcza radość.

To nie był dobry znak. Szarża uzbrojonych duchów powinna była go przerazić na śmierć. Tuż za nim mignął mi na polanie wielki, może dwumetrowy pies. Szczeknął i zniknął równie raptownie, jak się pojawił.

– Hern! Zaczekaj! – krzyknąłem jeszcze, ale było już za późno.

Pierwszy łowczy z takim zapałem pędził, by walczyć za Anglię, że nawet nie zrobił uniku, gdy Loki zamachnął się swoim mieczem. Z pewnością zdawało mu się, że broń przeleci przez niego jak każda inna. Ale Loki – ojciec Hel, Królowej Umarłych – nie dzierzył przecież w dłoniach normalnej stali. Gdy miecz dotarł do formy myśliwego, rozległ się taki dźwięk, jakby się komuś podarły dżinsy. Nienazwany myśliwy i jego koń rozpadli się na pół, a potem wybuchnęli kłębami lekkiej, niebieskiej ektoplazmy, by wreszcie zupełnie zniknąć nam z oczu. Loki nie tylko zranił ducha, ale go zupełnie unicestwił. Hern i jego drugi myśliwy o mały włos nie poszliby w jego ślady, bo już byli zbyt blisko Lokiego, by zdołać uniknąć ciosu, ale zdołali się zasłonić, dzięki czemu tylko pospadali z koni. Widmowe psy, do których nie dotarła ta nagła zmiana zasad, pędziły dalej na boga. Obskoczyły go ze wszystkich stron, a on dawał radę pozbyć się tylko jednego naraz.

– Pie-pie-pieprzone psy! – syczał, kopiąc je bez skutku.

<Hej! Wszystko słyszę!> oburzył się Oberon.

Wystarczyło tylko jeszcze kilka chaotycznych dźgnięć Lokiego i było po biednych psinach, ale udało im się porządnie pogryźć boga, który krwawił i kuśtykał lekko. To znacznie osłabiło jego pewność siebie, a tymczasem Hern i jego myśliwy wstali już i zbliżali się do niego teraz znacznie ostrożniej. Loki obrzucił ich poirytowanym spojrzeniem. Choć całkiem nieźle mu szło w tej walce, nie przyleciał tu przecież użerać się z duchami. To pewnie Hel wzmocniła mu ten miecz odpowiednimi zaklęciami na martwiaki. Ciekawe, czy się jakoś specjalnie nazywał.

Loki wycofał się, żeby Hern nie miał do niego tak łatwego dostępu, a jego rozbiegany wzrok skupił się na chwilę na mnie. Uniósł kościsty paluch i pomachał mi nim w oskarżycielskim geście.

– Ty-ty-ty nie by-by-być tworem kras-s-snołudów – powiedział, powtarzając zarzut, który postawił mi już przecież w Polsce.

Miał rację, ale jednak. Wcisnąłem mu ten kit wiele miesięcy temu tylko po to, żeby odwrócić jego uwagę, i w życiu się nie spodziewałem, że aż tak skutecznie zadziała. Bez trudu odkryłby prawdę, gdyby wysłuchał, co mu miały do powiedzenia na ten temat krasnoludy, albo zapytał o to własną córkę, która niczego tak nie pragnęła, jak mu się przypodobać, ale wyglądało na to, że Loki należy do osób, które wolą robić wszystko po swojemu i w swoim tempie.

Jego paluch przesunął się na prawo ode mnie.

– Ze-ze-zeus. Jo-jo-jowisz. Nie być przy-przyjacie-ciele kra-kra-krasnoludów. – To chyba był jego sposób na budowanie argumentacji przeciwko mnie. – Ki-kim ty być – dodał, a ja naprawdę już się nie mogłem połapać, czy to pytanie, czy stwierdzenie. – Zna-zna-znajdować. By-by-będę!

<Odnoszę wrażenie, że bóg oszustwa skapnął się, że go oszukałeś> zauważył Oberon.

Hern i jego myśliwy mieli już dość ostrożności. Windsor płonął i należało wymierzyć sprawiedliwość. Znów rzucili się więc do ataku z wysoko uniesioną bronią. Wielgachny miecz Lokiego huknął o miecz Herna i ześlizgnął się po jego głowni. Siła ciosu powaliła ducha lasu na kolana, ale bóg nie wyrządził mu żadnej trwałej krzywdy. Kiedy jednak poderwał miecz, rąbnął nim drugiego myśliwego i ten duch też zniknął, zniszczony magią ostrza, która była wymierzona w nieziemskie sploty jego postaci.

Hern zobaczył to oraz uniesiony, wielki miecz, który miał zaraz na niego spaść. Rzuciłem mu się na ratunek, jako że Olimpijczycy patrzyli na to z założonymi rękami. Nie chciałem jeszcze zabijać Lokiego, ale nie miałem nic przeciwko obez władnieniu go, a Hern naprawdę nie zasługiwał na pchnięcie w wieczność przez tego awatara szaleństwa. Miecz runął, a Hern uskoczył z trasy ciosu, chcąc się przeturlać, wstać i rąbnąć Lokiego w kostkę. Była to wyśmienita strategia i być może by się sprawdziła, gdyby wszędzie dookoła olbrzyma nie zaczął się unosić niebieski dym, który przyjął postać draugarów, czyli martwych zastępów Hel. A wraz z nimi pojawiła się też sama Królowa Zmarłych. Stała za ojcem równie wysoka, śmierzcząca zgnilizną i zarazą. Jej prawy bok stanowił ucieleśnienie piękna, a lewy należał do podgniętego trupa. Nawet nie spojrzawszy w naszą stronę, położyła prawą dłoń na ramieniu Lokiego i wycharczała po staronordycku:

– Chodź, ojcze, mamy wiele spraw do omówienia.

A potem wsiąknęli oboje w ziemię, zostawiając nam z tuzin draugarów na pocieszenie. Hern zaklął, a ja mu zawtórowałem. W ogóle nie chciałem, żeby tych dwoje miało czas na narady, a teraz się na to zanosilo i Loki dowie się w końcu, kim jestem. A wszystko przez to,

że ktoś namówił jednego Fina, żeby uwolnił Lokiego i Garm. Garm wyraźnie już doszedł do siebie, zdołał wytropić Lokiego i donieść Hel, gdzie znajdzie ojca w Midgardzie.

– Jucha i gówno, i pięćdziesiąt siedem obciętych kutasów! – ryknął Hern, zamachując się mieczem na szyję pierwszego draugra z brzegu. – Prędeż mnie oplują wszyscy Szkoci razem wzięci, niżby nie miał nikt zapłacić za śmierć moich ludzi!

I tak dalej, i tak dalej, a wraz z jego przekleństwami odpadały draugarom kolejne odrąbane głowy. Dołączyłem więc do niego, żeby nie poczuł się osamotniony w procesie dekapitacji. Draugary nie były uzbrojone i nie miały właściwie jak się bronić przed nami, ale jednak każdemu może się przydać odrobina pomocy, gdy wróg ma taką przewagę liczebną. Oberon też podał nam swoją pomocną łapę i powalił kilku drani, żeby było nam ich łatwiej wykończyć.

Gdy już draugary zmieniały się w proch u naszych stóp, obróciłem się zdumiony w stronę Olimpijczyków, którzy palcem nie ruszyli, żeby nam pomóc. Zeus przymknął oczy z lubością, po czym uśmiechnął się do mnie krzywo.

– Kim była ta wysoka kobieta, która się tu na chwilę pojawiła? Nawet w połowie nie była taka zła.

– Co za patafian – szepnął Hern.

Rozdział 27

To była Hel – wyjaśniłem. – Córka Lokiego. Teraz, gdy już połączyli siły, Ragnarök może się zacząć w każdej chwili.

– A z czym by się to tak właściwie wiązało? – zainteresował się Jowisz, który chyba postanowił wreszcie rozważyć, czy warto się tym przejąć, czy nie. – Wspomniałeś coś o Hel i Muspellheimie, ale legendy te nie są mi znane. Dlaczegoż to koszmary starożytnych ludów nordyckich miałyby w ogóle zaprzętać współczesny świat?

– Dobra, wyłożę wam to.

– My się musieć przenieść, nim gadać – wtrącił się Perun, który wciąż klęczał przy Flidais. – Nadchodzi niewinni ludzie.

Pokazał nam ręką na wschód, skąd rzeczywiście leciały w naszą stronę cztery samoloty, ich sylwetki były wyraźne w porannym słońcu.

– Słuszna uwaga – przyznałem. – Przenieśmy się głębiej w las. Znaczy się, jeśli nie macie nic przeciwko temu. – Popatrzyłem pytająco na Olimpijczyków.

Zeus i Jowisz wymienili spojrzenia, ale potem skinęli czerepami.

– Dobra, dajcie mi chwilę.

Jeśli pożar na skraju lasu zacznie się rozprzestrzeniać, poza śledczymi będziemy tu zaraz mieli też na głowie strażaków. Zresztą i tak nie mogłem dopuścić do tego, by pożar objął większą połąć ziemi. To za te drzewa umarli myśliwi Herna i wiedziałem, że kiedyś później znajdę czas, by bardzo mocno odczuć tę stratę. Z pomocą Albiona, który był o wiele lepszy w przenoszeniu ziemi niż ja, splotłem leśną glebę z pniami płonących drzew, wygaszając płomień, a potem pozwoliłem jej opaść z powrotem. Gdy skupiłem się na tym, Zeus i Jowisz w końcu raczyli udzielić nam boskiej pomocy i przemienili swoje chmurzyska w gęstą mgłę, która spowiła nas i skryła elegancko. Para wiła się wokół, a ponad nią słyszeliśmy huczące silniki śmigłowców. Będą teraz musieli wysłać kogoś na ziemię, żeby nas znalazł, więc mamy trochę czasu, nim to się stanie – jeśli w ogóle się stanie.

Zaprowadziłem Olimpijczyków do miejsca, gdzie zakopane były łowczynię, i po cichu poprosiłem Albiona, żeby przesunął Merkurego pod ziemią tak, żeby znalazł się blisko pań. Flidais szła za nami, utykając i opierając się ciężko na Perunie. Oczywiście w końcu zupełnie dojdzie do siebie po tych poparzeniach, ale wiedziałem z własnego doświadczenia, że zajmuje to nieprzyjemnie długą chwilę.

– Dobra – zacząłem, przekrzykując huk helikopterów. Naprawdę miałem nadzieję, że zaraz sobie polecą gdzie indziej. – Chcieliście wiedzieć, dlaczego mielibyście zacząć się interesować problemami panteonu nordyckiego. Zacznijmy od Hel, która tak przypadła do gustu Zeusowi. Hel stoi na czele armii tych półcielesnych zombi, które nazywają się draugary. Jedyny sposób, żeby je pokonać, to odrąbać im głowy, a moje źródła podają, że mają one teraz dostęp do nowoczesnej broni automatycznej. Hel potrafi też rozkazywać umartym, więc każda osoba, którą jej armia zabija, potencjalnie staje się rekrutem tejże armii. Jej siły będą więc rosły bardzo szybko i nie da się ich nijak zatrzymać, ale to niestety nie wszystko. Są jeszcze synowie Muspellheimu, czyli olbrzymy ognia, które przypominają trochę Lokiego, tylko bez możliwości wyłączenia fajerwerków. Kochają swój ogień i magmę i chcą się nimi dzielić z kim popadnie. Teraz dołączają do nich też mroźne olbrzymy, poza apokalipsą zombi więc będziemy tu mieli też rewolucję meteorologiczną. No i jest jeszcze Jörmungandr, wąż świata, który pewnie wyskoczy na jakimś etapie i zacznie robić jakieś gówno w oceanie. Przy czym możemy mieć jeszcze na

głowie mroczne elfy, ale to nie jest pewne. Ludzie nie będą mieli z nimi żadnych szans. No, może z wyjątkiem Chucka Norrisa. Ale wiecie, jacy są ludzie. Wpadną w kompletną panikę i zaczną strzelać do siebie nawzajem, bo będą przekonani, że za tym wszystkim stoją ich wrogowie polityczni. Albo wpadną w nastroje Dnia Ostatecznego, zdadzą się na anarchię i zaczną wyczyniać różne nieludzkie rzeczy. Jakiś radosny kretyn może dowalić nam na to wszystko bronią jądrową, a wtedy w ogóle będzie po zabawie. Jednym słowem będzie to prawdziwa krwawa jatka, chłopaki. Kiedy zginą wszyscy ludzie... albo przynajmniej tyłu, że liczby nie będą miały już żadnego znaczenia... co się stanie z wami i resztą bogów, których istnienie zasada się na ich wierze?

– E tam! – ryknął Zeus. – Chodźmy zabić Hel i Lokiego, a nic z tego nigdy nie nastąpi.

– „Chodźmy”, Zeusie? Jakie „my”? Czy twoje moce działają w każdej innej krainie? Nie są przypadkiem ograniczone jedynie do Olimpu i Ziemi? Wiem, że Hermes i Merkury potrafią podróżować między krainami, ale czy aby na pewno są nadal nieśmiertelni, gdy nie mają kontaktu z tą krainą, a zatem źródłem wierzeń?

Zeus spojrzał niepewnie na Hermesa, a bóg złodziei wzruszył lekko ramionami. Cisnąłem więc dalej.

– Czy kiedykolwiek spiorunowałeś kogoś w jakiejś innej krainie poza Ziemią i Olimpem? A zresztą nawet gdybyś był w stanie to robić, to nie rzuciło ci się przypadkiem w oczy, że Loki uznał twoje błyskawice za bardzo zabawne?

Zeus wbił tylko we mnie swój piorunujący wzrok i milczał. Za to wtrącił się Jowisz.

– Niech będzie. W takim razie ty zabij ich oboje.

– Wcale nie tak łatwo zabić Lokiego, jak już sami pewnie zauważyliście, a i Hel nie prościej. Na pewno nie chcę się z nimi mierzyć na ich terenie, gdzie będę osłabiony, a oni będą mieli największą moc. No, przecież bystre z was chłopaki. Wymyślcie coś. Musimy jakoś pomóc Odynowi i reszcie wporzogości, żeby się upewnić, że wygra dobra strona. Słuchajcie, udało mi się już wyeliminować Fenrisa... To on miał zabić Odyna i siać bonusowe zniszczenie. Może by tak Posejdon i Neptun rozejrzeli się za Jörmungandrem i bestię też byśmy sprzątnęli? To by naprawdę zaniepokoiło Lokiego i Hel. Schowaliby się do swoich ciemnych jamek, wymachiwali nam pięściami i mówili: „A niech was licho, że się przysięgliście przeciwko nam w swojej mocy!”. A my wszyscy byśmy sobie poszli za to razem na lody. Co wy więc na to, żeby zacząć współpracować i razem zapewnić sobie jakąkolwiek przyszłość?

– Rozumiem, że mówiąc wszyscy, nie masz jednak na myśli Bachusa? – rzucił Jowisz.

– Ależ skąd. Będzie mi bardzo miło żyć w świecie, w którym Bachus i ja możemy współdziałać w harmonii. Powaga. Weźcie pod uwagę, że udawało nam się to w sumie dobre dwa tysiące lat. Dopiero niedawno on postanowił sobie, że muszę umrzeć, a ja się z nim nie zgodziłem.

– Powiedz mi dlaczego.

– Bardzo chętnie. Oto cała prawda albo jestem synem kozłów: kilka z jego bachantek próbowało przejąć miasto, które znajdowało się akurat pod moją opieką. Zabiłem parę z nich, bo mordowały mi niewinnych ludzi. Bachus się na to obraził, głównie pewnie dlatego, że zrobił to druid, a wy, Rzymianie, zawsze nienawidziliście druidów, a potem było już tylko gorzej. Gdyby jednak jego bachantki nie naruszyły mojego terytorium w Arizonie, Bachus nadal tkwiłby w błogiej nieświadomości co do mojego istnienia. Potem trochę go zwyzywałem, a on poprzysiągł sobie, że mnie zabije, i masz babo placek. A ja tylko proszę, żeby mnie zostawić w świętym spokoju, nic więcej. Odwdzięczę się wam tym samym. Przecież nie czyniłem wam żadnej krzywdy przez całe dwa tysiące lat i naprawdę mogę jej nie czynić przez następne dwa. Powiem wam coś: jako znak mojej dobrej woli zwrócę wam teraz Merkurego.

Poprosiłem Albiona, żeby uwolnił Merkurego z ziemi. Na powierzchnię wysunęło się pięć wielkich głazów, po czym skała, kreda i glina skruszyły się i wtopiły z powrotem w ziemię, a zostały tylko kawałki Merkurego. Ogólnie wypadłem na wielkiego bossa.

Na widok pociętego Merkurego, którego oczy pałały nienawiścią, Jowisz mruknął:

– Znak dobrej woli, mówisz? Czy to już negocjacje?

– Tak. Taki swego rodzaju traktat pokojowy. Nazwijmy go Traktatem Windsorskim. Ale wysłuchajcie mnie, dobrze?

– Mów – nakazał mi Jowisz.

Hermes, który dotąd unosił się w bezpiecznej odległości, teraz sfrunął do poćwiartowanego Merkurego i zaczął składać go do kupy, żeby porąbane kawałki mogły się zrosnąć.

– Uwolnię także obie boginie i Bachusa jedynie za przysięgę, że nie będziecie szukać zemsty ani na mnie, ani na żadnych moich sojusznikach. Chcę, żeby tę samą przysięgę złożyli wszyscy Olimpijczycy, a w zamian złożę taką samą. Przez milenia udowodniłem, że mogę panować nad sobą i nie szukam zemsty za wyrządzone mi krzywdy, chciałbym więc, żebyście mi się zrewanżowali.

– To by ci dawało pozwolenie na wszelkie podłe zachowania, skoro obiecalibyśmy nigdy nie szukać zemsty.

– Nie. Proszę tylko o amnestię na dotychczasowe wykroczenia, nie o immunitet na przyszłość. Jeśli złamię moją przysięgę i zacznę się brzydko zachowywać, oczywiście możecie mnie ukarać... choć wolałbym, żebyśmy najpierw o tym porozmawiali, nim dopuścimy do tak trudnej sytuacji jak teraz. I jeśli Olimpijczycy złamię swoją przysięgę, mogą się spodziewać, że znów zaczną znikać. Ale nie skupiajmy się może na tym, co może pójść nie po naszej myśli. Bo i tak już jest przecież słabo. Skoncentrujmy się raczej na tym, co może być lepiej. Wasz panteon może znów być cały, a do tego cieszyć się odtąd nowym wspaniałym wyzwaniem w postaci wędrownego pokazu strachu Mistrza Lokiego. Jeśli pomożecie bogom nordyckim, zdobędziecie mnóstwo dobrej karmy. A do tego, jeśli wygracie walkę w tej części świata, to wasi ludzie w Grecji i we Włoszech będą uratowani. A wy razem z nimi. Jeśli przegramy, to będzie to tego typu przegrana, której nawet nie ma jak żałować. Bo się tego nie dożywa.

Zamilkłem, czekając na ich odpowiedź. Jowisz nie przemówił do mnie jednak. Głaskał się w zamyśleniu po brodzie, aż w końcu odezwał się do Merkurego.

– Słyszałeś, co mówi. Wiesz już, o jakich stawkach rozmawiamy. Czy w zamian za wolność i podobną obietnicę złożoną przez druida będziesz gotów przysiąc, że wybaczysz druidowi i jego towarzyszom ich przewiny i nie będziesz szukał zemsty?

Teraz, gdy już był znów w jednym kawałku – a przy tym miał przedsmak tego, co mu grozi, w razie gdyby się nie zgodził na moją propozycję – Merkury długo się nie wahał i przystał na wszystko. Gdy wybrzmiały jego słowa, Zeus spojrział wyczekująco na Hermesa i jakby pytając go o to samo, zadarł nieco brodę. Naoliwiony zarost uniósł się w wyniku tego ruchu i płaśniał mokro o jego pierś. Z widoczną niechęcią Hermes skinął głową na znak zgody. Był wyjątkowo zatwardziały jak na posłannika.

– Niech więc będzie, druidzie – rzekł Jowisz. – Masz naszą wstępną zgodę. Nie mogę tu mówić za pozostałych rzymskich bogów, ale tuszę, że zdołam ich do tego przekonać.

– To samo się tyczy Greków – dodał Zeus.

– Doskonale. Jeśli nie macie nic przeciwko temu, chciałbym zacząć te perswazje od Pana i Fauna. Uniemożliwiają mi poruszanie się między krainami.

– Nie – zaprotestował Jowisz. – Jeśli będziesz mógł się poruszać między krainami, porzucisz łowczynię i Bachusa.

– Szczerze pragnę pokoju między nami. Nie złamię danych wam obietnic. Ale muszę mieć możliwość ratowania się ucieczką, jeśli któryś z członków waszego panteonu postanowi mnie zaatakować, nim złoży przysięgę. Pomyślcie o tym jako o znaku waszej dobrej woli. Wstrzymajcie pandemonium, a zaraz potem oddam wam łowczynię.

– Gdzie jest teraz Pan? – Zeus zwrócił się do Hermesa.

Oczy boskiego posłańca przewróciły się na chwilę i zaraz wróciły na swoje miejsce niczym obrazki w jednorękim bandycie.

– Tu, na tej wyspie.

Interesujące. Ale i logiczne. Hermes musiał przecież potrafić namierzać wszystkich członków panteonu, skoro miał im przekazywać wiadomości. Więcej – być może potrafił w ten sposób namierzać każdego, kogo tylko zechciał. A jeśli tak, to być może nie współpracowali jednak z nikim z Tír na nÓg. Poza tym jednym razem w Rumunii. Być może sami potrafili śledzić trasę Granuaile i tak właśnie mnie znajdowali.

– Sprowadź mi go tu zaraz – nakazał Zeus, a spojrzawszy na Merkurego, który miał się coraz lepiej, ale jednak nie fruując, dodał: – I jeśli Jowisz się zgodzi, to Fauna też, gdziekolwiek się on podziewa. Błyskawicznie.

Jowisz dał zgodę na wezwanie Fauna, a Hermes zniknął natychmiast we mgle. Spędziliśmy nieznośne dziesięć sekund na gapieniu się na siebie nawzajem, co było naprawdę koszarne, bo miałem wrażenie, że ciągła erekcja Zeusa też się na nas gapi.

– Naprawdę powinieneś zgłosić się z tym do lekarza, jeśli ci nie przejdzie po czterech godzinach – doradziłem mu i zaraz tego pożałowałem.

Obydwaj bogowie niebios powiedzieli unisono:

– Co?

A ja pokręciłem głową na znak, że nic ważnego.

– Jeśli się zastanawiasz, jak długo mu to zajmie, to powinien tu być w ciągu kilku minut – powiedział Jowisz.

– To prawda – zgodził się z nim Zeus. – Hermes jest bardzo szybki w tych sprawach.

– Bardzo się cieszę. Być może moglibyśmy sprowadzić tu także pozostałych Olimpijczyków i ratyfikować nasz traktat jeszcze dziś?

Zeus wzruszył ramionami bez przekonania.

– To zależy od tego, czy znów będziemy mieć cały panteon. Nie wezwę pozostałych bogów, póki nie odzyskam Artemidy.

– Ani ja, póki nie odzyskam Diany i Bachusa.

– Rozumiem. Ale czy zrobicie to, jeśli uda nam się odhaczać kolejne obietnice i osiągnąć dzięki temu nowy poziom zrozumienia?

– Ja tak – powiedział Zeus. – Chcę walczyć przeciwko Lokiemu i Hel.

Jowisz nie zwerbalizował swojej zgody, ale pokiwał głową. Hermes wrócił z Panem, który wyglądał na mocno ubawionego naszym spotkaniem. Hermes zniknął natychmiast we mgle, by szukać teraz Fauna.

Pana nie trzeba było długo przekonywać do zatrzymania pandemonium w Anglii. Całe to zamieszanie było dla niego właściwie złośliwym żartem, nie wynikało z jakiegokolwiek prawdziwej nienawiści i w ogóle nigdy się specjalnie chyba nie przejął tymczasowym porwaniem driad z Olimpu, bo i tak wolał barsztkować sobie z tymi z okolic Arkadii. Prawda była taka, że po prostu lubił się wpięprzać ludziom we wszystko, a Faun dał mu po temu dobrą wymówkę.

– Zrobione – zameldował po grecku, a jego twarz wykrzywiła się w uśmiechu. Rogi wystające mu między włosami były raczej krótkie i w niczym nie przypominały tych zakręconych baranich rogów, z jakimi malują go czasem artyści. Jego pozostałe koźle elementy

anatomicznie były jak najbardziej poprawne. – Rób sobie, co ci się żywnie podoba, i żyj w pokoju, dopóki i mnie zostawisz w spokoju.

– Z przyjemnością – powiedziałem.

Faun, który pojawił się chwilę potem, wymagał większego przekonywania. Niektóre z porwanych przez nas driad należały akurat do jego ulubionych.

– Przecież nic im nie dolega – przypomniałem mu po łacinie. – A gdyby Bachus nie wrobił cię w sianie pandemonium w całej Europie, w ogóle nie musiałbym ich porywać. Wciągnął cię w swój osobisty konflikt i choć w tej akurat sprawie podważam słuszność twojej decyzji, to poza tym nie chowam urazy ani do ciebie, ani do żadnej z driad. Zrobiłem tylko to, co musiałem, żeby uciec przed Bachusem, starając się przy tym sprawić jak najmniej bólu wszystkim zamieszonym w to osobom.

– Trzy miesiące zamartwiania się o moje driady były bardzo bolesne – psioczył Faun.

– Bardzo cię za to przepraszam. Ale ty z kolei wyrządziłeś mi wielką osobistą krzywdę, więc możesz spokojnie uznać, że już się zemściłeś. Czy możemy już sobie teraz wybaczyć i żyć odtąd w pokoju?

Faun zacisnął pięści i nie odpowiedział od razu. Spojrzał na Jowisza, ale nie dopatrzył się w jego twardym spojrzeniu żadnego współczucia, więc opuścił ramiona i westchnął.

– Tak – powiedział.

Poczułem, jak znika napięcie w moich ramionach. Nie miałem nawet świadomości, że aż taki byłem spięty.

– Dziękuję. Pozwólcie, że sprawdzę.

Las Windsorski był stary i został spleciony z Tír na nÓg dawno temu, bynajmniej nie przeze mnie. Położyłem rękę na olsze i zacząłem szukać nici, która by mi pozwoliła się wynieść z tej krainy. Była tam. Silna, żywa, tylko czekająca, by zabrać mnie, dokądkolwiek zechcę. Odetchnąłem z ulgą.

– Doskonale – powiedziałem. – Teraz sprowadzę łowczynię i dam im szansę zakończenia tego polowania na mnie i moich towarzyszy. Jeśli jednak odmówią, to nie będę mógł ich wypuścić. Mam nadzieję, że to rozumiecie.

Ku mojemu zdziwieniu żaden z bogów niebios nie miał z tym problemem.

– Już ich głowa w tym, żeby to pojąć – powiedział tylko Jowisz.

Poprosiłem Albiona, żeby najpierw wyciągnął Artemidę. Kiedy skała i glina opadły z jej twarzy, była jeszcze bardziej gotowa poprzysiąc, że zaprzestanie polowania.

– Duma i arogancja sprawiły, że postąpiłam wbrew mojej naturze – powiedziała do mnie, nim zdążyłem o cokolwiek spytać. – Powinnam była być skromniejsza i pilniej zajmować się własnymi obowiązkami, zamiast traktować czyjeś żale jak moje własne. Straciłam przez to psy i własną godność.

– Pięknie powiedziane – stwierdziłem.

Zaproponowałem jej złożenie przysięgi i poprosiłem, żeby wypowiedziała jej słowa w obliczu Zeusa, który podszedł bliżej, żeby go dobrze zobaczyła, przez co ujrzała też jego wzwód. Wzdrygnęła się z obrzydzeniem, gdy zobaczyła, jak naciska na tkaninę, którą przepasał sobie w talii, ale przysięgę złożyła. Poprosiłem Albiona, żeby zupełnie ją wypuścił, i ziemia skruszyła się z całego jej ciała. Hermes znów sfrunął na ziemię i poskładał ją w całość tak, jak zrobił to z Merkurym. Rzymski posłannik był już na tyle wykurowany, że dawał radę stać, ale jeszcze nie latać.

Diana niestety nie była równie skora do kapitulacji. Z miejsca odmówiła i zaraz poprzysięgła mnie zabić, potem nakarmić moim ciałem wrony, a kości znieważyc w jeszcze nieustalony sposób. Artemida namawiała ją do rozważy, ale Diana była głucha na jej prośby.

Nawet Jowisz pochylił się nad nią i zażądał, żeby wzięła pod uwagę dobro całego Olimpu, ale ona doradziła mu na to, żeby poszedł cudzołożyć z Faunem. Może nie powinienem był jednak tak się z niej nabijać i kopać jej głową wtedy, w Holandii. I kto wie, co jej tam nagadała Flidais, kiedy mnie zamroczyło.

Twarz Jowisza spurpurowiała, odwrócił głowę w moją stronę i syknął:

– Rób z nią, co chcesz, druidzie. Nie będę już więcej o nią walczył, choć nadal chciałbym zobaczyć Bachusa.

Pokiwałem głową z powagą, a w duchu podziękowałem jej za to głupie zachowanie, bo na jego tle wypadałem bardzo rozsądnie.

– Być może Diana potrzebuje po prostu trochę czasu, żeby przemyśleć sobie swoje słowa. Może powinniśmy wracać tu raz na miesiąc i pytać, czy nie zmieniła zdania.

– To szlachetna propozycja, ale uważam, że jesteś zbyt hojny – wycedził przez zęby Jowisz. – Raz na dekadę będzie aż nadto.

– W takich wypadkach wolę grzeszyć nadmiarem szczodrości – powiedziałem.

– Jak sobie chcesz.

<Pewnego dnia Atticus odkrył ze zdumieniem, że gdy Jowisz mówi „Jak sobie chcesz”, ma tak naprawdę na myśli: „Kocham cię”>.

Mało się nie roześmiałem.

Bogowie, nie teraz, Oberonie.

Okazywanie ubawienia, gdy przeklinająca na czym świat stoi Diana znika znów w glinie i skale, byłoby mało dyplomatyczne. Posłałem ją z powrotem pod ziemię, żeby mogła się marynować w swojej złości. Poprosiłem Albiona, żeby przeniósł ją gdzie indziej, z dala od tego miejsca, ale nadal pod ziemią oczywiście, żeby przypadkiem nikt jej nie zdołał wykopać.

– I tak doszliśmy do sprawy Bachusa – powiedziałem. – Obawiam się jednak, że nie jest on w nastroju do rozmowy. Zupełnie oszalał z wściekłości i ma dość morderczy humor.

– Skąd wiesz? – Jowisz zmarszczył brwi. – Minęły przecież całe tygodnie, odkąd zniknął.

– Posłałem go do krainy, w której czas płynie wolniej. U nas minęło kilka tygodni, ale u niego zaledwie ułamek sekundy. Z jego perspektywy właśnie kopnąłem go w pierś. Kiedy więc go wyciągniecie (a wy to zrobicie, nie ja), będzie wściekły. Czy zapanujecie nad nim? – Jowisz zapewnił mnie, że tak. – I założywszy, że wszystko dobrze się potoczy... co jest oczywiście niebezpiecznym założeniem i wiem o tym... czy zavezwiecie pozostałych Olimpijczyków, żeby przypieczętować nasz sojusz przeciwko Lokiemu i Hel?

Zeus pokiwał głową z wielkim entuzjazmem i w ogóle sprawiał wrażenie podnieconego tą wizją, Jowisz zaś zgodził się w bardziej opanowany sposób.

– Jeszcze tak na wszelki wypadek spytam: gdybym był zmuszony was teraz opuścić, to jak mam się potem z wami kontaktować?

Na to pytanie Hermes spojrział na mnie i wstał z klęczek, gdyż zajmował się przedtem Artemidą, która leczyła się zresztą bardzo sprawnie.

– Jako druid umiesz wzywać wiatry, prawda?

– W pewnej mierze – powiedziałem, myśląc o Fragarachu.

– Wezwij więc zachodni wiatr – polecił Hermes. – Wymów imiona moje i Iris i rzuć swoje słowa na wiatr. Zefir, bóg zachodniego wiatru i mąż Iris, usłyszycie cię i przekaże nam twoją wiadomość.

– Dobrze. – Obejrzałem się, żeby sprawdzić jeszcze, co na to wszystko Flidais i Perun. – Może wolelibyście zniknąć stąd, nim zacznę. Brak mi piątej klepki, albo i czwartej, prawdę powiedziałem.

Flidais pokręciła głową.

– Chcę być świadkiem z ramienia Tuatha Dé Danann.

– No dobra – mruknąłem. – Jowiszu, tutaj otworzę bramę. – Zakreśliłem w powietrzu koło, pionowo, jakby to była obręcz, przez którą skaczą zwierzęta w cyrku. – Bachus będzie miał ramiona rozłożone w twoją stronę w ten sposób. – Wyciągnąłem ramiona przed siebie i nieco na boki. – Sięgnij po niego i chwyć za prawą rękę, bo lewą ma złamaną. Nie wkładaj nogi ani żadnej innej części ciała do środka, bo możesz też utknąć w zwolnionym strumieniu czasu. Musisz to zrobić jak najszybciej, żebym mógł zamknąć za nim bramę, bo niezwykle wysysa energię z ziemi. Dobra?

– Będzie, jak mówisz.

Sprawdziłem stanowiska wszystkich, nim zacząłem. Naprawdę nie chciałem, żeby ktoś „przypadkiem” wepchnął mnie do wolniejszego strumienia czasu. Nikt się jednak nie próbował do mnie podkraść.

Oberonie, połóż łapę na tym drzewie. Jeśli będziemy musieli stąd spadać, to wolałbym, żebyś już był gotowy.

<W życiu nie byłem tak gotowy! Gotowy na jakąś argentyńską plażę>.

Ja też.

– Zaczynamy – uprzedziłem wszystkich i stworzyłem splot między naszą krainą a Wyspą Czasu, na którą wkopałem Bachusa. Odskoczyłem na bok i popędziłem do drzewa, żeby być w razie czego gotowy na ewakuację. Jowisz wyciągnął rękę i wyjął ze strumienia czasu personifikację napadu wścieklicy, z nabrzmiałymi, zielonymi żyłami i wrzeszczącą wniebogłosem.

Rozdział 28

Rzymianie bardzo byli zdziwieni, gdy nie dało się na spokojnie pogadać z bogiem szaleństwa. Bachus cisnął Jowiszem w Merkurego – a przynajmniej próbował, bo Jowisz stracił nieco równowagę i zbyt mocno trzymał się Bachusa, żeby się nim dało cisnąć. Polecili więc razem, Jowisz cały czas nie puszczał Bachusa, a Merkury uskoczył im z drogi. Zamknąłem bramę, a oni potoczyli się dalej we mgle, przy czym Bachus nadal wyrażał się w dość pierwotnych rykach, a Jowisz głośno żądał, żeby się uspokoił, póki w końcu władcy bogów nie udało się przygwoździć go do ziemi.

Ale to był dopiero początek, bo nagle Bachus obrócił głowę i mnie zobaczył. Jego cera znów zaczęła swój cykl kolorystyczny – przez róż, zieleń, brąz aż po purpurę – a przy tym obnażył zęby i pochwalił się takimi decybelami, że nie sądziłem nigdy, że struny głosowe mogą takowe wytrzymać. Helikoptery już odleciały, ale wciąż było je jeszcze słyhać, póki całkiem nie zagłuszył ich Bachus.

Amulet uderzył mnie w pierś, ale nie wiedziałem, jakiego rodzaju zakłęcie wycelował w moją stronę. Jedno po drugim Artemida, Merkury, Hermes i Zeus drgnęli, jakby ich kto strzelił po gębie, ale nie wyglądali jakoś inaczej, poza tym, że może byli jeszcze bardziej poirytowani. Jowisz rąbnął Bachusa z główki w tył czaszki, aż bóg wina zarył brodą w ziemi. Jowisz znów zawył na niego, żeby się uspokoił. Bachusowi ani to było w głowie. Obrócił łeb i zobaczył Peruna i Flidais stojących sobie bez żadnych zupełnie magicznych zabezpieczeń z wyjątkiem fulgurytów chroniących przed błyskawicami. Cisnął na nich tego samego rodzaju szaleństwo co przedtem na nas, ale tym razem zadziało. Flidais i Perun wpadli w szal i próbowali wszystkich zabić – nawet siebie nawzajem. Perun spiorunował Hermesa i Fauna, a Flidais wyciągnęła noże, które odzyskała po walce z Dianą, i zaczęła nimi miotać na wszystkie strony, poczynając od Peruna. Gdyby była w pełni sił, pewnie by go wykończyła, ale że wciąż jeszcze była dość obolała, zdołała mu tylko wbić jeden nóż, nim powalił ją na ziemię i sam wylądował obok. Zerwała się na równe nogi, zobaczyła Zeusa i rzuciła w jego stronę, jakby dotknęło ją szaleństwo wszystkich menad razem wziętych – oczy miała wybałuszone, z ust toczyła pianę i już zdążyła zapomnieć, że walczy z Perunem. Gotowa była po prostu rzucić się na każdego, kto jej się nawinie pod rękę.

– Mówiłem wam, że Bachus to skończony dupek! – krzyknąłem.

Jowisz nijak mi na to nie odpowiedział, może w ogóle nie słyszał skupiony na przytrzymywaniu Bachusa. Zamglone szaleństwem oczy odnalazły mnie nagle i ich wzrok przesunął się na prawo ode mnie. Przez ułamek sekundy nie mogłem zrozumieć, na co on się tak gapi, ale potem zadrzałem z przerażenia.

Obróciłem się na prawo, gdzie mój pies czekał ledwie trzy kroki od przejścia do Tír na nÓg, już z łapą na drzewie tak, jak mu poleciłem.

O, nie! Oberonie, zostań ze mną...

Pies drgnął i odsunął się od drzewa. Nie miałem jak go przenieść po nici, skoro nie miał kontaktu z drzewem. W jego oczach coś się zmieniło i obnażył zęby. Uszy położył po sobie i zawarczał.

Oberon? Oberonie, odpowiedz. To ja, Atticus.

Nie odpowiedział. Nie miałem już z nim żadnego kontaktu. Żelazny talizman na jego

szy nie był na tyle potężnym zabezpieczeniem, żeby odeprzeć szaleństwo Bachusa. Żeby go w pełni zabezpieczyć, musiałbym spleść jego aurę z żelazem, tak jak zrobiłem to ze swoją. Przysiadł na tylnych nogach, a mi serce skoczyło do gardła.

Oberonie! Nie!

Zaraz po sercu do gardła skoczył mi też Oberon. Udało mi się odsunąć trochę i tylko zderzyliśmy się bokiem, ale poza tym przeleciał obok. Rzuciłem się z powrotem do drzewa, nim zdążył wylądować i obrócić się w moją stronę.

Cholera, Oberonie! – Zacząłem mentalnie wykrzykiwać jego ulubione słowa w nadziei, że to go wytrąci z uroku rzuconego przez Bachusa: – *Kielbaski! Pudlice! Przysmaki! Przekąski! Grill!*

Nic to jednak nie pomagało. Znów skoczył w moją stronę, a ja schowałem się za drzewem w nadziei, że to spowolni go trochę, ale nie łudziłem się, że uniknę w ten sposób jego klów, chyba że na sekundę czy dwie. Zeus widocznie pchnął Flidais w naszą stronę, bo wylądowała za mną z wrzaskiem i chrzęstem liści. Gdy tylko wstanie, zaraz się pewnie na mnie rzuci, jako że byłem teraz najbliższym stworzeniem, jakie mogła zabić, chyba że zaatakuje Oberona. Bachus zdołał wszystko nam dokumentnie spieprzyć, a Jowiszowi nadal nie udawało się mu zamknąć gęby.

Podjmując akceptowalne (w tej sytuacji) ryzyko, przykucnąłem przy drzewie, tak że prawy bok chronił pień, i uniosłem lewą rękę, żeby zasłaniała mnie na ukos tuż pod brodą. Nie musiałem długo czekać na atak Oberona, który chwycił w zęby całą moją rękę, bo instynktownie celował w gardło. Rozłożył mnie na łopatki. Jego zęby weszły głęboko i rozszarpał mi sporą część ręki, bo trząś łbem, żeby ją sobie odsunąć z drogi. Za chwilę ją puści i już wtedy będzie miał jak mnie zabić. Stępiłem ból w ręce, żeby zapanować nad myślami.

Położyłem prawą rękę na pniu drzewa i odnalazłem nić łączącą je z Tír na nÓg. Rozdzierając sobie przedramię, pociągnąłem Oberona do drzewa tak, żeby miał z nim jakiś kontakt – bo ze mną to na pewno miał. Za sobą słyszałem coraz bliżej Flidais, której już tak zupełnie odbiło, że nawet nie wydawała wojennych okrzyków, lecz jakoś smętnie zawodziła.

Gdy tylko pysek Oberona uderzył w drzewo, przerzuciłem nas do Tír na nÓg, pozostawiając Flidais i Peruna na wątpliwej łasce Olimpijczyków. Pierwsze, co zauważyłem, to ciszę. W krainie faerii nie darli się żadni bogowie. Podjąłem moje negocjacje z Oberonem, licząc na to, że zakłęcie Bachusa zostało zerwane przy zmianie krainy. Przecież kiedy wkopałem Bachusa na Wyspę Czasu, wszystkie jego bachantki doszły natychmiast do siebie, gdy tylko zamknąłem bramę.

Oberonie, przestań! To ja, Atticus! Oberonie, nie!

Jego oczy spojrzały na mnie trzeźwo i zamarł.

<Atticus?>

Uśmiechnąłem się z ulgą.

No tak, ja. Możesz już puścić.

<Co? Aaaa!> otworzył szczękę i wypadła z niej moja zakrwawiona ręka. <Co się stało? Krwawisz! Na Wielką Niedźwiedzicę, czy to ja ci to zrobiłem?>

Tak, ale to nic nie szkodzi. To nie była twoja wina. To Bachus sprawił, że oszalałeś.

<Ale ja cię zaatakowałem?>

Nie martw się tym, chłopie. Nic mi nie będzie. Już się goi.

Oberon zaczął pluć i się krztusić.

<Muszę się pozbyć tego z moich ust. Jest tu gdzieś woda?>

Możemy się przenieść do jakiejś wody.

Zabrałem go do rzeki Wyp Czasu, żeby mógł się wymyć. Przepraszał mnie w kółko, choć go uspokajałem i pocieszałem. Szybko zamknąłem skórę na mojej ręce i pokazałem mu, że wygląda to o wiele lepiej (mimo że odbudowanie mięśnia zajmie trochę więcej czasu).

Miałem nadzieję, że Flidais i Perun nie zginą z rąk Olimpijczyków albo że sami się nawzajem nie pozabijają. Jeśli bowiem przetrwają, to trzeba będzie uznać to spotkanie z bogami za dość owocne. Zarówno Zeus, jak i Jowisz powinni mi teraz raczej uwierzyć. Jowisz poza tym naprawdę był mi winny przeprosiny, bo zarzekał się, że zapanuje nad Bachusem, a nie dał rady dotrzymać słowa. Ale najważniejsze, że mogłem się teraz przenieść, dokąd chciałem. Miałem, prawdę powiedziawszy, w nosie, czy Bachus obieca zostawić mnie w spokoju; bez pomocy innych Olimpijczyków w życiu mnie nie złapie.

Oczywiście było mi bardzo przykro, że Hern musiał zapłacić za to wszystko tak wysoką cenę. Zacząłem się zastanawiać, czy istnieje jakiś sposób, żeby mu to może jakoś jednak wynagrodzić. Być może Manannán Mac Lir mógłby coś dla niego zrobić.

Przenieśliśmy się bliżej środka Tír na nÓg i w warsztacie Goibhniu znaleźliśmy odpoczywającą na łóżku Granuaile. Strzała została już wyciągnięta, rana zabandażowana, a Granuaile wpatrywała się w sufit i koncentrowała na procesie leczenia.

Wszedłem bez powitania, tak zwyczajnie, jakbym przez cały ten czas stał w kolejce w banku, i powiedziałem:

– No, udało mi się wreszcie stamtąd wydostać.

Rozpromieniła się na mój widok, co przypomniało mi, jakie mam szczęście.

– Atticus! Jak dobrze. Wreszcie mogę się przestać zamartwiać.

– Niezupełnie. Dzięki uprzejmości Bachusa Flidais i Perunowi trochę odbiło. Przez chwilę powinniśmy się może za bardzo nie wychylać. Trzeba by pojechać gdzieś naprawdę daleko i porządnie się podleczyć. Najlepiej na jakąś wyspę na Pacyfiku albo gdzieś do Nowego Świata. Gdzieś, gdzie nie da się dostać przez Starą Drogę. Jakies sugestie?

Znów wbiła wzrok w sufit w zamyśleniu.

– A może Japonia? – powiedziała, odwracając twarz w moją stronę. – Nigdy tam nie byłam, a zawsze miałam na to ochotę.

– Dobra.

<A zjemy autentyczną wołowinę Kobe? Tyle się słyszy, że ponoć wszystko to, co w Stanach nazywa się Kobe, to jedna wielka ściema>.

Możemy. Nigdy nie wiadomo.

– Gdzie jest Goibhniu? – spytałem, rozglądając się po sklepie.

– Zniknął zaraz po usunięciu mi strzały. Nie wiedział jeszcze o śmierci Morrigan i jak mu powiedziałam, to wyglądał na bardzo zmartwionego.

– No tak. To zrozumiałe.

Coś w tonie mojego głosu sprawiło, że Granuaile spojrzała na mnie z troską.

– Musisz o tym pogadać, nie?

– No – przyznałem ponuro. – Muszę. Gdy tylko będziemy już bezpieczni w Japonii. – Nagle zachciało mi się śmiać, gdy sobie uświadomiłem praktyczne konsekwencje takiej

wycieczki. – Hal to chyba zniesie strusie jajo, kiedy do niego zadzwonię z Tokio. Ale najpierw skoczę jeszcze do naszej chaty i spakuję trochę ciuchów i kilka innych rzeczy, dobra? Wrócę jak najszybciej.

Pocałowałem ją w czoło, a potem jeszcze ucałowałem Oberona i wyszedłem z warsztatu Goibhniu, żeby przenieść się do zupełnie innego miejsca. Do chaty też skoczę, tak jak powiedziałem, ale przedtem miałem jeszcze jedną sprawę do załatwienia.

Rozdział 29

Lordowi Łonobrodemu już dawno należała się mała wizyta. Był moim najlepszym tropem, jeśli miałem się w końcu dowiedzieć, kto stoi za całym tym polowaniem na druidów. Nie znałem jednak jego prawdziwego imienia, a jeśli zacznę o niego pytać w Tír na nÓg, on może usłyszeć o tym szybciej, niż ja zdołam do niego dotrzeć. Uznałem więc, że lepiej już będzie po prostu poszukać Midhira. Albo i tak to on za tym wszystkim stał, albo mógł mi przynajmniej podpowiedzieć, gdzie znaleźć Łonobrodego.

Na wypadek, gdyby to naprawdę Midhir był wielkim lalkarzem, wolałem nie brać ze sobą ani Oberona, ani Granuaile. Żadne z nich nie miało odpowiednich ochron magicznych, a Midhir naprawdę należał do tego typu magików, którzy mogą cię zmienić w traszkę. Oberon i Granuaile będą znacznie bezpieczniejsi u Goibhniu.

Zamiast więc przenieść się do naszej chatki w Kolorado, wylądowałem najpierw przy Brí Léith w Irlandii. Był to stary *síd* Midhira, niedaleko współczesnej wioseczki Ardagh w hrabstwie Longford. Niektórzy ludzie nazywają dziś takie wzgórza „kopcami faerii” i są nawet dość zabobonni w tej sprawie, ale nawet oni nie rozumieją ich prawdziwej funkcji. Każdy *síd* Tuatha Dé Danann to Stara Droga do Tír na nÓg. Więcej, są to najstarsze spośród Starych Dróg.

Kiedy Milezjanie pokonali Tuatha Dé Danann swoim żelazem, powiedzieli (bardzo im się to wydawało sprytnie): „Podzielimy się z wami ziemią. Wy możecie wziąć tę część Irlandii, która jest pod ziemią”. A Tuatha Dé Danann odparli na to: „Okej, może być”, tylko oczywiście w o wiele bardziej heroicznym słowach. Ale bynajmniej nie żyli cały czas w swoich kurhanach. Po prostu używali ich jako stałych punktów do kanalizowania magii ziemi, żeby móc stworzyć krainę Tír na nÓg i ją spleść z ziemią.

Większość *síde* była już teraz zasypana, a Tuatha Dé Danann nie zostawili dość zabytków, żeby skusić jakiegokolwiek archeologa, by w nich grzebał. Ale żywiołak Irlandii Fódhla pamiętała dokładnie wnętrze każdego kopca. Nie kosztowało jej wiele wysiłku odtworzenie każdego tak, jak wyglądał kiedyś. A gdy tylko *síd* odzyskiwał swoje oryginalne wnętrze, druid szukający ukrytej w nim Starej Drogi mógł sobie przez nią przejść.

Wybrałem tę drogę, zamiast przenosić się do krainy Midhira wewnętrznymi połączeniami w Tír na nÓg, bo wewnątrzkrainowe nici poprowadziłyby mnie przed jego zamek, fortecę czy jak tam zwał swój dom, z pewnością strzeżony. Gdy przejdę przez stary, dawno opuszczony i zapomniany *síd*, wyląduję natomiast gdzieś już w obrębie murów. I to dlatego właśnie większość starych kopców została zasypana. Tuatha Dé Danann nie chcieli, żeby pierwsi lepsi obywatele wchodzili im niechcący na salony. Słyszałem, że w ciągu ostatnich dziesięcioleci przytrafiło się to parę razy Aenghusowi Ógowi, którego *síd* w Newgrange był przez wieki zamknięty i zarośnięty, ale potem archeolodzy otworzyli go w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku. Kilku typków miało pecha i przeszło dokładnie wymaganą ścieżkę, po czym wylądowało w Tír na nÓg, przez co Aenghus musiał potem nimi nakarmić coś głodnego. Nie mógł przecież pozwolić im wrócić, żeby wygadali wszystkim, jak się przechodzi do świata faerii.

Stałem chwilę, podziwiając widok i ciesząc się ciepłem słońca i zapachem powietrza. Zbyt długo mnie nie było w domu. Fódhla – poetycka nazwa Irlandii, tak jak Albion jest nazwą Brytanii, pochodząca od imienia opiekuńczej bogini wyspy – powitała mnie serdecznie z powrotem i z wielką chęcią odtworzyła mi stare wnętrze Brí Léith. Zmiana na powierzchni

była nieznaczna, ale pod spodem jama była znów przestronna i pusta. Na południowym stoku wzgórza pojawiło się wejście. Poprosiłem jeszcze Fódhlę o mały świetlik na górze, żebym miał trochę światła słonecznego w środku. Wykopała mi go w kilka sekund. Sprawdziwszy otoczenie, żeby się upewnić, że nikt mnie nie obserwuje, rzuciłem na siebie kamuflaż i wlałem do środka.

Trochę mi zajęło odnalezienie prawidłowej ścieżki. Każdy *síd* był inny, a ścieżki układały się w taki sposób, że przypadkowe przejście przez nie było bardzo mało prawdopodobne – choć nie zupełnie niemożliwe. Spojrzałem na ziemię w magicznym wymiarze i gdy już zrobiłem dwa kroki w dobrym kierunku, ścieżka zaczęła mi się ukazywać jako splot. Wyglądało na to, że czeka mnie całkiem sporo kręcenia, bo z samym odnalezieniem ścieżki żywiołak nie mógł mi nijak pomóc. Chodziłem więc tam i z powrotem przez dobre trzy godziny, ale przynajmniej w tym czasie leczyłem sobie też lewe ramię. W końcu zrobiłem krok w północną stronę kopca i odkryłem trzeci krok ścieżki, potem czwarty i tak dalej. Zatrzymałem się, żeby wyciągnąć Fragaracha i podkręcić sobie siłę i szybkość. Po drugiej stronie można się było raczej spodziewać jakichś zabezpieczeń. Im głębiej wchodziłem, tym bardziej bladło światło wpadające przez świetlik w kopcu, aż wkroczyłem w zupełną ciemność i raptownie spadła temperatura powietrza. Wszedłem do wilgotnej, mrocznej komnaty gdzieś w Tír na nÓg, znajdującej się pewnie w piwnicy pod włościami Midhira. Zamarłem i po cichu włączyłem moim srebrnym charmsem noktowizję. Nic mi nie pomogła. Tu nie było żadnego światła, które by mogła spotęgować.

Czuć było pleśń, ostry smród miedzi i coś, co przypominało jakby gorzki smak migdałów. Z tła zniknął szum przemysłowej ziemi – żadnego bzyczenia elektryki, motorów ani nic w tym stylu. Ale nie słyszałem też żadnych naturalnych odgłosów – ani wiatru, ani wody, ani dreptania małych stópek. Poza tym, że gdzieś blisko mnie coś cicho oddychało. Być może więcej cosiów. Nie mogłem namierzyć źródła tego dźwięku. Akustyka była jakaś dziwna, a echo wracało do mnie ze wszystkich stron. Byłem więc chyba w dość obszernym pomieszczeniu i pewnie kamiennym.

Pod stopami czułem jakieś gładkie, eleganckie kamienie, a może kafle, czyli nie miałem tu dostępu do magii. Będę musiał polegać na zapasach z niedźwiedziego charmsa, a nie było ich wiele, bo cały czas podtrzymywałem kamuflaż. Teraz go wyłączyłem, razem z magicznym wzrokiem zresztą, bo w tej ciemności na pewno i tak nie było mnie widać, a magii mogę potrzebować do innych rzeczy. Wzrok faeryczny jakoś zupełnie mi nie pokazywał, co tu na mnie czeka. Zostawiłem sobie tylko noktowizję w nadziei, że trafi mi się wreszcie odrobina świata, dzięki której będę mógł rozejrzeć się wokół. Nie po raz pierwszy w życiu pożałowałem, że nie mam jak wezwać jakiegoś blasku czy ognia, tak jak potrafią to robić wiedźmy i czarodzieje. Owinąłbym sobie na przykład Fragaracha koszulą i używał go jak pochodni! Ha! Ale było jak było i nie miałem innego wyjścia, jak odkrywać wszystko powoli dotykiem, licząc na to, że nie obudzę tego czegoś drzemiącego w ciemności. I nie wpadnę w jakąś pułapkę. Czułem się jak ofiara Inkwizycji ze *Studni i wahadła Poego*.

Wyciągnąłem przed siebie lewą nogę i próbowałem wyczuć palcami, czy jest przede mną coś, na co mógłbym bezpiecznie ją postawić. Zrobiłem krok i nic się nie wydarzyło, czyli byłem do przodu. Ale gdy uniosłem prawą nogę, żeby zrobić kolejny, musiałem uruchomić jakiś magiczny czujnik, bo nagle z głośnym *szuuu* zapaliły się świece na wysokiej półce otaczającej całe pomieszczenie, które okazało się – gdy już mój wzrok zdołał się przyzwyczaić do tego nadmiaru światła – okrągłe. Choć blask świecy jest dość delikatny, to tak raptowne zapłonienie tak wielu knotów naraz w zupełnej ciemności, gdy miałem przecież włączoną noktowizję, zupełnie mnie oślepiło. Wyłączyłem więc noktowizję i zobaczyłem, że mam bardzo dużo

towarzystwa. Światło obudziło – i również oślepiło – bardzo, bardzo wiele stworzeń, które spały na półce pod świecami, gdzieś na wysokości mojego brzucha.

Były to maleńkie, bladozielone, człekopodobne skrzydlate istoty o płaskich, czarnych oczach i ustach nieproporcjonalnie dużych w stosunku do reszty ciała. Bezwłose i gładkie miały grube nogi i długie ręce zakończone trzema palcami. W środku każdej dłoni – choć jeszcze ich nie widziałem – miały dodatkowe usta. Znałem już tych gości. Nie wiedziałem, jaka jest ich prawidłowa nazwa, ale prywatnie ochrzciłem ich mianem jadaczek, bo naprawdę wszystko im było jedno, co wrzucają w swoje trzy. Goibhniu twierdził, że to zębuszki, ale jeśli nawet, to w głowie mi się nie mieściło, jak ludzkość mogłaby przekształcić takie potworki w stworki, które się przejmują dziecięcym użębieniem. Naprawdę nie należało ich mylić z niczym – były to zawsze głodne, zawsze obskakujące ofiarę bękarcie pomioty Dagdy i czegoś, co kiedyś przeleciał.

Pewnie większość panteonów ma jakąś postać o nieokiełznanym libido, która u wyznawców wywołuje czasem strach, a czasem rozbawienie. Grecy mieli Zeusa i Pana; w tradycji wedyjskiej był Indra; a u Irlandczyków był Dagda, którego reputacja, jak to bywa z bóstwami pogańskimi, ucierpiała nieco z rąk chrześcijańskich skrybów. Przedstawiany był czasem jako chamski typ o nienormalnie wielkim organie rozrodczym. Była to bardzo daleka od prawdy próba obśmiania boga, który w rzeczywistości był niezwykle utalentowany. W oczach Irlandczyków był to bóg niesamowicie dobry, obdarzony wielkimi mocami, a jego cielesne skłonności wynikały bardziej z jego potrzeby tworzenia niż jakichś zaburzeń osobowości. Czasami dawał życie wyjątkowo uzdolnionym magicznie synom lub córkom i przykładami byli tu Aenghus Óg, Midhir oraz Brighid. Ale czasami dawał życie istotom cholernie niebezpiecznym i przez te wszystkie lata pojawiła się przez niego całkiem liczna menażeria magicznych, samowystarczalnych horrorów. Jadaczki należały do najgorszych jego potomków i naprawdę zdawało mi się, że już całe wieki temu zostały dla bezpieczeństwa wszystkich skutecznie zlikwidowane.

Niestety wystarczyło kilka mrugnięć z ich strony i też mnie rozpoznały – byłem jedzeniem, a one były głodne. Ten gorzki, migdałowy smród to były ich gówna, które otaczały ściany hałdą kredowej, bezbarwnej masy. Skrzydełka uniosły się na ich grzbietach, a usta wydały z siebie pomruk, który był czymś pomiędzy brzęczeniem a warczeniem.

– Chłopaki, zaczekajcie – wybąkałem, naiwnie myśląc, że mnie posłuchają.

Ostrzegawcze warczenie ustało raptownie i mogłem się nacieszyć może sekundą ciszy, nim zapisały i rzuciły się na mnie – całe ich setki, z wyciągniętymi rękoma i rozdziawionymi w nich gębami uzbrojonymi w ostre, żółte zęby.

Padłem na ziemię na prawy bok, odepchnąłem Fragaracha, zwinąłem się w pozycję płodową i udało mi się zasłonić lewą ręką część twarzy i ucho. Opadły mnie całym rojem, ich ręce wpijały się we mnie gębami na dłoniach gdzie popadnie, zupełnie jak minogi, nie dbając nawet o to, czy przysysają się do materiału, czy do żywego ciała. Moja żelazna aura niszczyła je dość sprawnie i zmieniały się w chmurki dymu, nim zdążyły nawet wziąć gryza swoimi dużymi paszczami, ale i tak udawało im się wyrwać zawsze po małych gryzkach mojego mięsa każdą ręką, nim wypływały je przeżute na moją poszarpaną skórę, gdy już wybuchały. Nadlatywało ich coraz więcej i bynajmniej nie uczyły się na cudzych błędach. Kiedy ich bracia eksplodowali, kolejne jadaczki skupiały się tylko na tym, że łatwiej im się będzie dzięki temu dorwać do kolacji. Niektóre zadowalały się przy tym już oderwanymi kawałkami, ale mnóstwo wybierało jednak świeższe, żywe mięso. Cała moja lewa strona kipiała krwią, kawałkami ubrania i popiołami zmieszany z postrzępionymi mięśniami. Włączyłem mój charms odpowiadający za leczenie i pozwoliłem mu czerpać tyle magii z zapasów, ile chciał. To nie była dobra chwila,

żeby zostawić sobie coś na czarną godzinę. Nawet jeśli jakimś cudem przetrwam ten atak, to wykrwawię się bardzo szybko, jeśli nie opanuję ran. Nie próbowałem nawet blokować bólu, bo nie było sensu tracić resztek magii dla odrobiny komfortu psychicznego. Werdykt, czy przeżyję, czy umrę, zapadnie bardzo szybko.

Gdybym zabrał tu ze sobą Granuaile lub Oberona, zostaliby zeżarci żywcem w niespełną minutę. Tylko zimne żelazo dawało mi cień nadziei na przetrwanie. Setki małych gryzów zmieniały sekundy w godziny. Zęby wbijały się w moje ciało na całym lewym boku, a potem cichy, śmiertelny wybuch faerii uderzał w ranę, nim kolejne zęby rzucały się po następny gryz. Zaciśnąłem własne zęby, żeby zdusić wrzask, który chciał się wyrwać z mojego gardła. Nikt mnie tu nie usłyszy w tym hałasie faerii, a jeśli nawet, to nie będzie to pewnie ktoś skłonny do pomocy. Poza tym bałem się otworzyć usta, żeby jakaś jadaczka nie zdołała włożyć mi ręki do środka i wgrzyźć się w mój język.

Gdy skończył się niekończący się, ostry, przeżerający mnie ból, zniknął także hałas, ugryzienia i śmierci faerii, a ja zostałem sam, mocno obgryziony i przykryty gęstą mazią z krwi i popiołu. Spływała ze mnie powoli i sączyła się przez szpary w podłodze, którą dopiero teraz zobaczyłem – przedtem całą ją zakrywały faerie. Wyłożona była gładkim kamieniem, opadającym pod lekkim kątem, żeby lepiej spływała krew – stąd ten zapach miedzi. Moje myśli były jakieś ospałe i nie chciało mi się nigdzie ruszać, ale coś przecież musiałem zrobić. Mój niedźwiedzi charms był pusty i jeśli zaraz się stąd nie wydostanę, to już nigdy mi się to nie uda. Powieki mi opadły i walczyłem z przemożną chęcią zdrzemnięcia się choć na chwilę, ale wiedziałem, że jeśli zasnę, to już na zawsze. Jak Midhir karmił te cholerstwa? Przecież musiał im dawać żarcie dość regularnie, bo inaczej skąd by się wzięły aż tak wysokie hałdy gówna. Nie mógł im podrzucać ofiar przez Starą Drogę, bo ta nie była używana od wieków, póki przez nią nie przeszedłem. A mimo to trzymał tu tak duży rój jadaczek na straży przejścia. To oznaczało, że był to słaby punkt jego systemu obronnego, skoro zadał sobie tyle trudu, żeby tak go obstawić.

Ni to ściągnąłem, ni to zepchnąłem sobie lewą rękę z twarzy i jęknąłem cicho, gdy zobaczyłem przeżutą tkankę. Choć już nie lała się krew – mój charms uzdrawiający zatrzymał większość pompowania i funkcjonowałem teraz na krążeniu obocznym – to chyba widziałem przebłyskującą przez mięso kość w okolicy nadgarstka i na wierzchu dłoni. Słowo „surowy” nabrało w moich oczach zupełnie nowego sensu.

Nie było mowy, żebym w tym stanie dał radę wyjść z powrotem Starą Drogą. Moja lewa noga nie była zapewne w lepszym stanie od lewej ręki, zarazem jednak byłem na skraju omdlenia. Zresztą nawet gdybym dał radę wstać, nie miałem już magii, żeby włączyć magiczne widzenie i zobaczyć ścieżkę. I dlatego właśnie pewnie tu szczenę i tyle. W dodatku ze świadomością, że wyjście stąd widać pewnie jak na dłoni w magicznym spektrum – Morrigan zamontowała sobie takie w jednej ze swoich kryjówek – ale jedyne, co ja widziałem, to dość dobitne wskazówki, że tym razem mam naprawdę, kompletnie i ostatecznie przerąbane.

Odwróciłem głowę w kierunku sufitu i poczułem, że też jest przeżuta. Kiedy Oberon doradzał mi pójście do fryzjera, z pewnością nie miał na myśli takiego faerycznego, który przy okazji podjada też trochę skalpu.

Na suficie nie było widać żadnej klapy czy innego wyjścia. Żadnych drabin. Nic. Ale przecież musiało tu być jakieś inne wyjście niż Starą Drogą. Może ściekiem? Nie. Ten był dla mnie za mały. Gdzie się podział ten wygodny komin wentylacyjny, którym się przełazi w każdym filmie akcji?

Wentylację – jak odkryłem – załatwiały małe otwory wielkości może wróbelka, które znajdowały się pod półkami na świece. Były to właściwie szpary między kamieniami. Dość duże

i liczne, by dawać dobry przepływ powietrza, ale o wiele za małe, by wypuścić zębuszki, a już mnie to na pewno.

Znów więc skupiłem się na ścieku. Na pewno był za mały, żeby się w niego wcisnąć, ale może prowadził chociaż do starej dobrej ziemi. Może mogę jej jakoś dotknąć, żeby czerpać jej energię.

Przez kratkę spływało jeszcze coś poza moją krwią. Było rzadsze i płynęło szybciej koło moich stóp. Gdzieś zza moich pleców, na wysokości moich stóp, wypływała woda.

Próbowałem unieść się na prawym ramieniu, ale nic z tego nie wyszło. Mięśnie brzucha i pleców zostały tak przeżute, że ogłosiły strajk. Mogłem się jedynie czołgać, używając tylko prawej strony ciała, i wychodziło mi to bardzo dziwnie.

Woda ciurkała z dziury w kamiennym murze, która nie była większa od otworów wentylacyjnych, więc nie dawała nadziei na ucieczkę. Dawała jednak nadzieję na co innego.

Cienki strumyk stanowił jedyne źródło wody dla jadaczek, więc dość rozsądnie nie obsrały jego najbliższego otoczenia. Przestrzeń pod nim była czysta na kilka metrów wzdłuż ściany i ukazywała wspaniałą, błogosławioną, nagą ziemię. Kamienie podłogowe nie były bowiem rozłożone aż do samej ściany – tak się tylko zdawało, bo pod ścianami piętrzyły się te hałdy gówna i przesłaniały ich krawędź.

Powinienem być się domyślić, że gdzieś tu będzie ziemia. Inaczej do czego spleciono by Starą Drogę? Pozostało mi więc tylko doczołgać się do niej jakoś, nim umrę. Dzielilo mnie od niej dobre pięć metrów.

Spieszyłem się jak mogłem, a i tak całe trzy czy cztery nieznośnie długie minuty zajęło mi sunięcie po kamieniu – ból w lewym boku wydłużał ten horror w nieskończoność. Ze stanu, w jakim znajdowała się moja ręka, wnioskowałem, że plecy muszą wyglądać jak mielone albo jak gnijąca połowa Hel. Większość ich funkcji motorycznych zupełnie przestała działać, więc ciągnęło się je jak worek z kartoflami. Zaciśnąłem palce na krawędzi kamienia i pociągnąłem ostatni raz, nim opadłem prawą, niezniszczoną ręką na ziemię. Przez tatuaż zalała mnie energia, a z nią fala ulgi. Napiliśmy się łączywie ze strumienia, żeby uzupełnić utracone płyny, starannie poblokowałem ból, a potem zasnąłem z leczeniem na autopilocie.

Gdy obudziłem się po bliżej nieokreślonym czasie, świece już się wypaliły albo zgasyły, bo magiczny włącznik nie wyczuł zbyt długo ruchu. Drżałem, a mój kręgosłup zalała nowa fala bólu. Miałem gorączkę i dreszcze. Moje rozliczne rany z pewnością były zainfekowane. Napiliśmy się ze strumienia, żeby uspokoić spieczone gardło. Musiałem być jakiś czas nieprzytomny, a teraz mój pęcherz informował mnie, że jest gotów na wybuch specjalny. Musiałem się stąd ruszyć.

Eksperymentalnie uniosłem lewą rękę, żeby zobaczyć, jakie tortury to wywoła. Okazało się, że nie mogę jej wyprostować ani unieść. Zablokowała mi się w zgiętej pozycji przy boku, bo brakowało za dużo mięsa z tricepsów. Noga była w podobnym stanie. Zakres ruchów miałem bardzo ograniczony i na pewno nie utrzyma jeszcze ciężaru mojego ciała. Żeby odbudować całą tę tkankę, potrzebowalbym przynajmniej tygodniowego kontaktu z ziemią oraz porządnym wysokobiałkowym posiłkiem, ale w komnacie nie było żadnego jedzenia. To ja byłem tu jedzeniem. Musiałem jak najszybciej uciec, bo inaczej będę tylko słabł.

Napełniłem niedźwiedzi charms i niechętnie oderwałem dłoń od czulej ziemi. Zaciśnąłem zęby i uniosłem się na prawej ręce, aż w końcu opierałem się jako tako na prawym boku, choć było to dziwne uczucie. Ciemności nadal panowały niepokojąco styksowe.

Stękałem i pocilem się z wysiłku, a do tego czułem ściąganie w tkankach, które z pewnością darłyby się na mnie, gdybym tylko im na to pozwolił. W końcu udało mi się jako tako usiąść – tyle że na kilka sekund mogłem odciążyć prawe ramię. Uniosłem rękę i zacząłem

wymachiwać nią jak szalony nad głową. Mało się nie popłakałem z radości, gdy znów zapłonęły świece. Był to jakiś niezwykle sprytny splot; będę się go musiał kiedyś nauczyć.

Znów podpierając się prawą ręką – trochę słabą i niepewną – spojrzałem w dół i jęknąłem głucho. Większość ran pokrywały już strupy, ale zbyt wiele wciąż było zupełnie otwartych. Przy mniejszych ranach mój splot gojący pozwalał na przesuwanie zdrowej tkanki z innych części ciała, żeby pozalepiać miejsca, gdzie jej brakowało, ale przy tak rozlicznych ranach tego się po prostu nie dało zrobić.

W życiu nie dojdę do siebie, jeśli nie zjem krwi albo i pięciu. Włączyłem magiczny wzrok i przyjrzałem się ścianom w poszukiwaniu jakichś wskazówek. Były zbudowane z płaskich kamiennych płyt ułożonych jedna na drugiej i pozlepianych zaprawą. Nie dopatrzyłem się w nich niczego magicznego, póki nie spojrzałem za siebie, nad źródółko. Jedna z płyt miała charakterystyczny biały, świetlisty obrys. Uniosłem się powoli i nacisnąłem na kamień, dysząc ciężko z wysiłku.

Rozległo się zgrzytanie i szuranie, po czym dwadzieścia kawałów kamienia wyrwało się z zaprawy i przekręciło, tworząc schody zaczynające się zaraz przy strumieniu, tak że nie dotykały nawet żadnej łachy faerycznego gówna. Były to długie stopnie, wystające nawet za półkę ze świecami i tę, na której mieszkały jadaczki. Dalej schody wchodziły głębiej w ścianę, tworząc w niej wąską klatkę schodową, którą mógłbym łatwo uciec, gdybym tylko zdołał się tam wspiąć. Gdzieś na jej końcu przebłyskiwało naturalne światło, co dodawało otuchy.

Wspinanie się po tych schodach z zupełnie wyłączoną połową ciała nie będzie łatwe, ale nie miałem przecież wyboru, tak samo jak nie miałem wpływu na to, co mnie czeka na górze.

Fragarach wciąż leżał tam, gdzie go rzuciłem. Pas od pochwy został przeżuty, ale sama pochwa widniała mniej więcej pośrodku komnaty. Zrezygnowałem z magicznego widzenia i podkręciłem sobie siłę w nadziei, że dzięki temu będę się trochę szybciej przemieszczał. Człoganie się było męczące, ale jednak z pomocą magii trochę sprawniejsze. Chwyciłem Fragaracha i wpakowałem go do pochwy, potem jeszcze chwilę zajęła mi hojna darowizna na rzecz ścieku. W końcu wróciłem do podnóża schodów, ale energia już mi się kończyła. Zatrzymałem się więc, żeby znów podładować charms. Musiałem się nim ratować, żeby pokonać te schody.

Gdy już byłem gotowy, chwyciłem Fragaracha i położyłem go na drugim stopniu. Potem położyłem dłoń płasko na tym samym schodku, uniosłem łokieć i zarzuciłem tam też nogę, podnosząc się do mniej więcej wertykalnej, choć mocno asymetrycznej pozycji. Ruch ten pociągnął moją lewą stronę w nowy, subtelny sposób, ale ból, jaki wywołał, bynajmniej nie był delikatny. Zamarłem, żeby jakoś uporać się z tą torturą, po czym zaimprovizowałem rozpaczliwy skok pokiereszowanego zajączka, żeby znaleźć się w końcu na schodach. Tam, dysząc i pocąc się okropnie, odkryłem, że przejście to tak naprawdę bardzo krótki korytarz prowadzący do otwartych drzwi, przez które widziałem już słoneczne plamy na kamieniu i słyszałem szum fontanny. Gdy już dotarłem do korytarza, udało mi się zaprzeć o ścianę i teraz przesuwanie się do przodu było nieco prostsze. Przymknąłem oczy i uśmiechnąłem się z ulgą na myśl, że udało mi się jednak wydostać z tej dziury. Cokolwiek czeka mnie po drugiej stronie, przynajmniej nie umrę z rąk wygłodzonych jadaczek.

Otwarte drzwi zrobione były z takich samych płaskich kamiennych płyt co środek dziury z jadaczkami. Przekuśtykałem jakoś przez nie i znalazłem się w holu zdobionym obrazami i rzeźbami i oświetlonym okrągłymi okienkami umieszczonymi w suficie. Stałem w niszy z małą kamienną fontanną przedstawiającą selkie po jednej stronie i krzesłem po drugiej. Lampka tuż nad nim wskazywała, że tajne przejście, którym wszedłem, zamaskowane było jako zakątek do czytania. Czy coś w tym stylu.

Ziemia pod moimi nogami była fantastycznie naga i poczułem od razu falę magii. Była to cecha charakterystyczna domów Tuatha Dé Danann. Z wyjątkiem pojedynczych pokoi nie odcinali się przecież od mocy ziemi w imię estetyki wnętrz. I na co komu fundamenty, jeśli potrafi się splatać wszystko z odrobiną pomocy ze strony ziemi? W tych domostwach rzadko budowano też drugie piętra, a jeśli już, to tylko dla niemagicznych gości albo tych, których magia nie zależała od kontaktu z ziemią. To oznaczało, że nie będę się musiał już więcej wspinać po żadnych schodach, żeby odnaleźć Midhira. Mając znów stały dostęp do magii, rzuciłem na siebie kamuflaż i włączyłem magiczne widzenie. Nos selkie jaśniał bielą, co od razu zdradzało jego funkcję, nacisnąłem go więc, a kamienie za mną się przesunęły i drzwi do jadaczek zamknęły się posłusznie. Midhir nie mógł im wtedy dostarczać pożywienia, bo przecież by mu powylatywały. To oznaczało, że musi istnieć jeszcze jakieś inne wejście do tamtej komnaty, ale jakoś mnie to już tak bardzo nie intrygowało, skoro znajdowałem się poza nią.

Rozejrzałem się po holu, żeby zobaczyć, czy hałas nie zwrócił czyjejs uwagi, ale wyglądało na to, że nie. Nie widziałem też żadnych pułapek, ostrożnie wyskoczyłem więc na bardziej odsłoniętą pozycję. Teraz, gdy panikowałem, że ktoś mnie nakryje, zdawało mi się, że moje niezdarne skoki są strasznie głośne. Nie jest tak łatwo skakać bezgłośnie. Moja lewa część była zupełnie do niczego, skręciłem więc w prawo, trzymając Fragaracha w ręce i opierając pięść o ścianę, gdy skakałem naprzód. Zaraz za niszą ściana była już pokryta gładkim gipsem i z rzadka zdobiona dziełami sztuki. Pierwsze drzwi prowadziły do nieużywanej sypialni. Za nią, na lewo, sklepione przejście wiodło do jakiegoś salonu czy biblioteki – w każdym razie pomieszczenia pełnego książek, za którym znajdował się o wiele większy salon, z takich, przy których bywają kuchnie. Miałem nadzieję, że uda mi się tam dotrzeć i znaleźć coś do jedzenia. Przedtem chciałem jednak sprawdzić jeszcze, co kryje się za ostatnimi drzwiami, jakie widziałem. Nie byłoby dobrze zostawiać je sobie za plecami, nie wiedząc, co tam jest.

Była to kolejna sypialnia – wręcz cały apartament. Ktoś gustownie wyposażył ją w podłogę z tarniny podlewanej strumieniami wody, a słońce wpadało tu przez długą szybę umieszczoną w wysokim suficie. Po drugiej stronie sufitu wisiał wielki żeliwny żyrandol, którego świeczki znów jakoś genialnie wyczuły moją obecność i zapłonęły, gdy tylko otworzyłem drzwi. Midhir – był to z całą pewnością on, bo rozpoznałem jego druidzkie tatuaże na bicepsach – zwiślał z niego do góry nogami, owinięty żelaznymi łańcuchami, które wygasiły jego magię. Gardło miał podcięte, a krew zalała mu twarz i zmieniła kolor trawy pod nim na ciemnoczerwony. Odcięty od pomocy ziemi, nie mogąc rzucić żadnego zaklęcia, wykrwawił się po prostu.

– Bogowie niejedyni – szepnąłem. – Ale wdepnąłem.

Ktokolwiek uczynił to Midhirowi, mógł z łatwością zrobić to samo ze mną. Mogłem oczywiście rzucać zaklęcia mimo mojego żelaznego amuletu, ale gdyby mnie ktoś tak owiązał żelazem i odciął od ziemi, byłbym bezbronny jak kijanka.

Obejrzałem się w zupełnej panice za siebie, oczekując w holu jakiejś zasadzki. Od razu założyłem, że albo skończę tak jak Midhir, albo cała wina za to morderstwo spadnie na mnie. Mijały jednak kolejne sekundy i nie słychać było żadnych krzyków. Nikt nie podkraść się do mnie w kamuflażu i nie zadał zdradliwego ciosu. Przyszło mi do głowy sformułowanie „śmiertelna cisza”.

Panika ustępowała stopniowo. Powoli docierało do mnie, że świat zupełnie nie wie o tym, że właśnie znalazłem ciało starożytnego stworzenia. W końcu oczywiście o wszystkim się dowiedzą. Jeśli nie w inny sposób, to już na pewno psy Brighid odnajdą mój trop, gdy bogini się dowie o śmierci brata.

Przez chwilę wahałem się nawet, czy samemu nie przemienić się w psa, żeby obwąchać

scenę mordu, ale odrzuciłem ten pomysł. W takim stanie lepiej, żebym nie próbował się w nic przemieniać. Psom nie najlepiej wychodzi też skakanie na jednym boku. A poza tym, gdy już to zabójstwo wyjdzie na jaw, psy Brighid i tak wylapią zapach tego, kto to zrobił.

Nie powinienem podchodzić bliżej i przebywać w tym samym pomieszczeniu, w którym przed chwilą był morderca, gdy jednak zobaczyłem na łóżku jeszcze jedną płataninę łańcucha, podszedłem zaintrygowany. Pod łańcuchem widać było jakieś ubrania... które chyba znałem. A gdy podskoczyłem jeszcze bliżej, zobaczyłem, że w tych fircykowatych szatach nie ma już nikogo – zostały tylko popioły i te kolorowe szmaty, które mogły należeć tylko do jednej osoby. Do Lorda Łonobrodego.

Nie miałem oczywiście jak stwierdzić, czy same prochy rzeczywiście należą do Lorda Łonobrodego, czy też był on – lub ktoś inny – tylko na tyle sprytny, by upozorować tę śmierć. Ale śmierć Midhira na pewno nie była upozorowana. A potężny magik taki jak on nie mógł zostać pokonany przez nikogo z wyjątkiem innego członka Tuatha Dé Danann.

Choć były to oczywiście jedynie przypuszczenia, czułem, że śmierć Midhira i Łonobrodego oznacza, że byli oni rzeczywiście zamieszani w polowanie na nas. To oni mieli oko na Granuaile przez wywrócenie albo mieli łączność z kimś, kto ją obserwował, a potem kontaktowali się jakoś z wampirami, mrocznymi elfami i faerycznymi zabójcami, których rozstawiali sobie po Starym Świecie tak, żeby mieć jak największe szanse, że na nich wpadniemy. I to oni pewnie powiedzieli Olimpijczykowi, gdzie się na nas zacząć w Rumunii. Może także oni podpowiedzieli Ukko, gdzie znajdzie Lokiego, a w ten sposób uwolnili go i przyspieszyli koniec świata. W pewnym sensie to, co ich spotkało, zdawało się wręcz zasłużoną karą.

Ale to nie oni byli tu bossami. Byli jedynie wysoko postawionymi pomocnikami, warstwą izolacji zabezpieczającą źródło rozkazów. Gdy udało nam się z Granuaile uciec z ich sieci, to oni mogli wskazać palcem, kto za tym stoi, musieli więc zostać usunięci. I jeszcze coś wreszcie mi zaskoczyło w makówce – zawsze się zastanawiałem, jak to się stało, że Faun zaczął siać pandemonium w Europie akurat w tym samym czasie, gdy Loki zniszczył krainę Peruna. Ale Łonobrody mógł bez trudu posłać wiadomość do Fauna, żeby zaczynał, gdy tylko zobaczył nas na Dworze Faerii, a potem zmyślił jakąś historyjkę w ramach przykrywkę. I to on pewnie nasłał na nas tamtych cisowców – z czyjegoś polecenia oczywiście. Ale teraz ten ktoś wypił mu milkshake'a, i Midhirowi też.

Na myśl o milkshake'ach przypomniałem sobie o kuchni i moim dużym zapotrzebowaniu na proteiny. Nic dobrego nie może wynikać z tkwienia tu, w tej sypialni, a tymczasem dużo dobrego zrobię dla swojego ciała, jeśli znajdę coś do jedzenia. Mój żołądek ścisnął się i znów mi w nim zaburczało – prawdziwy głód to naprawdę męczarnia. Jeśli go zaspokoję, być może odzyskam jako taką jasność myśli.

Salonobiblioteka, przez którą musiałem przekustykać po drodze do kuchni, okazała się jednym z najwspanialszych pomieszczeń, jakie w życiu widziałem. W kącie na prawo ode mnie rosło sobie drzewo, a pień wychodził otworem w suficie i tam się rozgałęział w piękną koronę. Podłogą był starannie przystrzyżony trawnik. Po obu stronach drzewa ciągnęły się orzechowe regały z książkami i co dziwne – acz wspaniałe – wypełniały je wyłącznie powieści graficzne i mangi. Na środku pokoju stał niski stolik do herbaty, taki w japońskim stylu, też zrobiony z orzechowego drewna. Na nim, idealnie pośrodku, leżał egzemplarz *V jak vendetta* Alana Moore'a. Pokój zapraszał wprost do wybrania sobie jakiejś powieści i przeczytania jej na trawie lub może opierając się plecami o pień drzewa. Ale takie ułożenie *V jak vendetta* trochę mnie zaniepokoiło. Książka nie leżała sobie zwyczajnie z brzegu, jakby ktoś ją czytał i odłożył w połowie. Błat stanowił wręcz rodzaj ramy, która tym bardziej zwracała uwagę na okładkę

wypełniająca środek tego „obrazu”. Czy była to wiadomość? Jeśli tak, to do kogo skierowana? Do tego, kto znajdzie ciało Midhira? Jeśli Midhir został zabity, żeby ukryć tożsamość tego, kto stał za polowaniem na mnie, to czy ta wiadomość jest dla mnie? A może śmierć Midhira w ogóle nie ma ze mną nic wspólnego? Może to wendeta przeciwko niemu, a nie przeciwko mnie, i wszystko to tylko przypadkowy zbieg okoliczności. To jednak jeszcze pogłębiło moje podejrzenia, że gdzieś tu kryje się pułapka, tylko jeszcze w nią nie wdepnąłem.

Pokuśtykałem dalej i zająłem do następnego pomieszczenia. Musiało być pod jakimś względem wyjątkowe, bo w przeciwieństwie do innych podłóg w tym domostwie ta była pokryta marmurem. Sufit był wysoki i zdobiony freskami z mnóstwem golasów, ale widok na pokój – raczej spory – zasłaniały mi kwadratowe kolumny z marmuru rozstawione wokół sali. Być może była to komnata przeznaczona do jakichś rozrywek. Środek byłby więc zupełnie otwarty, a służący krążyliby za kolumnami i tylko wyskakiwali zza nich, by napełnić talerze i kieliszki oraz zabierać puste naczynia. Pomieszczenie było o wiele dłuższe niż szersze. Patrząc na wprost z mojego punktu obserwacyjnego, widziałem drewniane drzwi naprzeciwko; na lewo na wprost, na północnej ścianie, widać było podwójne drzwi z okienkami – widuje się takie w restauracjach, a kelnerzy zawsze otwierają je łokciami i ramionami, wnosząc tace z jedzeniem. Tego właśnie szukałem. Lodówki pełnej białka. Albo bezpiecznego wyjścia. Bo jakoś dotąd nie natknąłem się na przyjazne czerwone tabliczki z napisem WYJŚCIE. W każdym razie na widok kuchni zaczęła mi ślinka lecieć. Załadowałem sobie maksymalnie niedźwiedzi charms i ostrożnie wkroczyłem na martwy marmur.

Skacząc w kierunku celu, dotarłem do pierwszej kolumny i podparłem się, żeby nie stracić równowagi. Moje bose stopy plaskały po marmurze jak smutne pstrągi. Przystanąłem i wyjrzałem na środek pokoju. Na moje oko była to sala do organizowania dużych orgii – taka, którą pośrednik z agencji nieruchomości dyplomatycznie nazwałby „ogrodem przyjemności” albo „salonem hedonisty”.

Wszędzie na krawędziach zalegały sofy, leżanki i wielgachne poduchy, zapraszając do rozsiadania się, że tak powiem oględnie, a szerokie marmurowe schody prowadziły niżej; dostrzegłem cztery wybiegi spotykające się na okrągłej scenie wyposażonej w rurę do striptizu. Jedną ćwiartkę wypełniał basen do pływania *au naturel* z rybkami *koi*, druga była wspaniałym spa, a trzecia – płytkim basenikiem z jakąś czerwoną mazią, może rozpuszczoną galareta. Pewnie miał być to basen do walki w kisielu, ale przez zaniedbanie zmienił się w małą kałużę. Czwarta ćwiartka, mniej więcej na ukos ode mnie, także miała wyzyskowe funkcje – był to basen przeznaczony do walk w błocie, ale ten akurat był zajęty. I to nie przez żadne zapaśniczki ani w ogóle nic ludzkiego czy faerycznego, ale przez tę samą mantykora, która stała na straży Starej Drogi w Dubringer Moor. Potwór przykuty był ciężkimi stalowymi kablami do trzech różnych kolumn po drugiej stronie sali. Zamarłem i wbiłem w niego wzrok. Ślepia miał zamknięte, łeb spoczywał mu na przednich łapach. Czy akurat drzemał? Czy może też był martwy? Pod czerwoną skórą wyraźnie widać było zebra i choć wierzyć mi się nie chciało, że stwór zdechł z głodu w ciągu tych trzech dni, odkąd go widziałem w Niemczech, nie mogłem tego całkiem wykluczyć. Bardziej prawdopodobna jednak byłaby w tym wypadku śmierć z pragnienia – jeśli przez cały ten czas mantykora przykuta była w tym miejscu. W każdym razie coś na pewno było z nią nie tak. Przecież gdyby nic jej nie dolegało, wyczułaby mnie albo usłyszała.

Spojrzałem na nią przez szkło faeryczne. Nadal miała aurę, a nie miałaby jej, gdyby była martwa. Więc tylko spała lub udawała, że śpi – chyba że była nieprzytomna.

Jej obecność tutaj stanowiła ostateczny dowód na to, że Midhir i Łonobrody byli zamieszani w polowanie na nas. A świadectwa tego, że jest śmiertelnie niebezpieczna, wały się po całej podłodze – w postaci kupek popiołów, które zostały po rozlicznych wykończonych

przez nią faeriach. Rozsądek oraz przemożna niemożność szybkiego poruszania się nakazywałyby znaleźć inną drogę do wyjścia, bo lepiej było nie skakać mantykorze przed nosem, przykutej czy nie, więc zawróciłem i straciłem dobre dziesięć minut na odkrycie, że droga przez Midhirowy sex-room jest jedyną dostępną ścieżką ewakuacyjną. Za alkową z selkie architekt przewidział tylko kilka kolejnych niezamieszkanymi sypialni. Zastanawiałem się nawet przez chwilę, czy nie rozpleść po prostu ściany, żeby precyzyjnie się i odejść radośnie w stronę zachodzącego słońca, ale w magicznym spektrum widać było na niej całkiem sporo jakiegoś złego czary-mary – może było to zabezpieczenie, może pułapka. Był to naprawdę zaawansowany splot, taki, jakie umieją robić Tuatha Dé Danann, ale pojęcia nie miałem, czy został tu założony przez Midhira, czy przez jego mordercę. Poziomem skomplikowania przypominał nieco ten, który Aenghus Óg założył na umyśle policyjnego detektywa z Tempe, Darrena Faglesa. Gdybym próbował go rozplątać, najpierw uruchomiłby z pewnością jakiś alarm, a nie zdziwiłbym się, gdyby i coś o wiele okrutniejszego. Choć wydawało się to czystym szaleństwem, uznałem, że najbezpieczniej będzie prześlizgnąć się obok śpiącej mantykory. Koło niej może mi się uda przejść, a tymczasem nie mam żadnych szans w walce z czymś, co ściągnę sobie na głowę uruchomieniem alarmu. Wróciłem więc w to samo miejsce i nerwowo znów uzupełniłem zapasy w niedźwiedzim charmsie, nim wszedłem na marmurową posadzkę i wykonałem swoje ponure pogo, żeby dotrzeć do pierwszej kolumny. Mantykora ani drgnęła. Leżała nieruchomo w błocie.

Nie dysponując nadwyżkami czasu – moja magia zniknęła w oczach, bo wciąż musiałem podtrzymywać kamuflaż – przekicałem do następnej kolumny w trzech susach. Przystanąłem, żeby sprawdzić, co z mantykorą. Nadal ani drgnęła.

Teraz miałem do pokonania o wiele większą przestrzeń. Choć chciałem przekroczyć salę wszerz, a nie wzdłuż, bo tak było znacznie krócej, to i tak była to cholernie duża sala, a kolumny stały jedna obok drugiej w jej rogach. Do następnych dwóch miałem dobre dziesięć metrów i to właśnie za nimi – a dokładniej na lewo od nich, na północnej ścianie – znajdowały się drzwi do kuchni. Na wschodniej ścianie widziałem jeszcze jakieś tajemnicze drzwi. Była to okropnie długa droga do przebycia jak na jednonogiego, jednorękiego typka bez żadnego podparcia, ale nie miałem właściwie wyboru. Wzięłem głęboki wdech, pomodliłem się do bogów niejedynych i odepchnąłem od swojej kolumny, mając nadzieję, że się przynajmniej nie przewrócę w drodze do następnej.

Mantykora obudziła się, kiedy byłem w połowie drogi. Jej oczy rozwarły się raptownie, czujne i skupione, i zaczęły mnie szukać. Byłem wprawdzie zakamuflowany, ale nie jest to idealna niewidzialność, więc z pewnością potrafiła dojrzeć moje ruchy, nawet jeśli moja sylwetka była zamazana. I bez wątplenia mnie słyszała. Czarny, najeżony ogon śmignął w powietrzu za nią jak jakaś upiorna kobra i wystrzelił we mnie jadowitymi haczykami. Część z nich wbiła się w tapicerkę długiej, czerwonej, skórzanej sofy, która stała przy stawie *koi* i na szczęście osłaniała moje ciało. Pozostałe opadły po bokach sofy, nie trafiwszy w cel. Z wyjątkiem jednego – który wbił mi się wysoko na prawym ramieniu. Zalał mnie ból, którego dotąd nie znałem.

To było gorsze niż zębuszki wyzerające mój lewy bok. Gorsze niż noże wbite w nerkę przez Młoty Boga. Gorsze niż podpalenie przez mroczne elfy w Grecji. Był to paraliżujący nerwy, żrący ból, który natychmiast zablokował wszystkie moje funkcje motoryczne, a ja runąłem z wrzaskiem na bezlitosny marmur. Fragarach wypadł mi z dłoni i potoczył się po posadzce.

Włączyłem charms uzdrawiający, ale miałem złe przeczucie, że już za późno. Wpadłem w konwulsje, mięśnie miały się spazmatycznie, a ja nijak nie mogłem nad nimi zapanować,

że już o wyrwaniu kolca z ciała nawet nie wspomnę – moja lewa ręka i tak już była do niczego, a prawą nie dałbym przecież rady sięgnąć prawego ramienia. Udało mi się tylko spojrzeć na kolec, nim konwulsje pchnęły moją głowę w przeciwną stronę. Skóra i ciało wokół rany rozpuszczały się i czerniały – nie tak, jak dzieje się w wypadku kwasu, ale raczej tak, jak działa zasada, czyli że ta toksyna mogłaby spokojnie służyć także do przetykania rur. Przeżerała mi najwyższą część mojego tatuażu odpowiadającego za zmiennokształtność – część, dzięki której mogłem zmieniać się z powrotem w człowieka. Jeśli więc jakimś cudem pożyję na tyle długo, żeby dać radę zmienić się w zwierzę – co nie byłoby takim głupim pomysłem, bo jako pies czy wydra mógłbym może wyrwać sobie ten kolec zębami – nigdy już nie dam rady z powrotem zmienić się w człowieka. Utknę.

Tak czy siak już utknąłem. Nikt nie wiedział, gdzie jestem. Nikt nie pojawi się z fiolką odtrutki na jad mantykory, bo taka substancja w ogóle pewnie nie istnieje. Muszę coś wymyślić, nim zginę sromotną śmiercią, odcięty od ziemi w obskurnej seks szopie Midhira. Trucizna była podłym koktajlem ze składników biologicznych – czyli moja żelazna aura nic tu nie zdziała. Żrąca zasada, żeby spalić i rozpuścić moją skórę; plus jakiś środek podobny do kapsaicyny, który pobudzał nerwy i powodował puchnięcie tkanek miękkich; oraz coś podobnego do tężca, żeby zablokować moje mięśnie. Nie był to bowiem prawdziwy tężec, bo z tym poradziłbym sobie bez trudu. Musiało to być coś innego, ale wywoływało podobny efekt. Paraliżowało ofiary mantykory możliwie najboleśniej – dosłownie tak, jakby dorwał mnie skurcz wszystkich mięśni naraz – a ona zjadała je potem żywcem, gdy obiad wciąż jeszcze wrzeszczał z bólu w jej przełyku.

Skórzana kanapa stanowiła jakąś tam osłonę przed następną falą pocisków, ale mantykora nawet już sobie nie zaprzętała łba kolejnymi strzałami. Ba! Nawet nie podniosła się z błota. Wiedziała dobrze, że wydawane przeze mnie odgłosy mogą oznaczać tylko jedno – trafiła. Więcej wiedzieć nie musiała. Podeszła mnie przecież bardzo sprytnie, bardzo cierpliwie. Wcale nie spała. Po prostu wyczekała, aż jej się dobrze nastawię do strzału.

Jeśli miałem to przetrwać, musiałem natychmiast się schronić w innej przestrzeni myślowej. Pomyślałem, że Dante wyjątkowo dobrze nada się na taką okazję. Choć druidzi w ogóle muszą uczyć się wielu języków, żeby posługiwać się magią i komunikować z żywiołakiem, zapamiętywanie obszernych tekstów literackich służy nam również do dzielenia świadomości i dzięki temu możemy na przykład zabierać z sobą innych, gdy podróżujemy między krainami. Dzieło literackie stanowi matrycę dla myśli i zarazem świat sam w sobie, do którego możemy wejść i zabrać kogoś z sobą. Granuaile nauczyła się jak dotąd tylko wierszy Whitmana, mogła więc zabierać z sobą jedną dodatkową osobę podczas podróży międzykrainowej. Ja miałem zawsze pod ręką *Odyseję* po grecku, *Iliadę* po łacinie, dzieła zebrane Szekspira, *Boską Komedię* Dantego oraz *Braci Karamazow* Dostojewskiego, a do tego kilka opowieści irlandzkich bardów, które były moim pierwszym projektem, gdy byłem jeszcze gołowąsem. Mózg miałem już więc zapełniony, gdyż ludzka pamięć aktywna nie pomieści więcej niż siedem rzeczy naraz bez ryzyka strat. Ale przestrzenie myślowe mają też inne zastosowania, szczególnie przydatne w takich sytuacjach jak ta. Mogą być radosnymi miejscami tak bardzo potrzebnymi wtedy, gdy twój umysł i ciało są dalekie od radości. Radzenie sobie ze żrącym bólem trucizny mantykory pozostawiłem więc mojej głównej przestrzeni myślowej. Usunięcie kolca wymagało spokojnych myśli w innej, a poza tym będę musiał zaraz potem dotrzeć do większej ilości mocy, nim zupełnie skończą mi się zapasy magii.

Kolec nie był prosty i miał na całej swojej powierzchni małe woreczki trucizny, które pulsowały niestrudzenie, wpompowując coraz więcej mantykorze gówna w moje ciało. Musiałem usunąć go, nim trucizna zupełnie odbierze mi zdolność jej pokonania. Już teraz ledwo

się trzymałem, usiłując za wszelką cenę odblokować mięśnie prawego boku i przepony, które dążyły do zupełnego zamarcia. Wślizgnąłem się więc w Pieśń V *Czyśćca* i jej rytm, który istniał poza bólem, skurczami i spustoszeniem w moim organizmie.

*Là 've 'l vocabol suo diventa vano,
arriva' io forato ne la gola,
fuggendo a piede e sanguinando il piano.*

Tak. W czyśćcu dusze spalają to, co je dotknęło, przechodząc przez ogień, stają się znów pełne. Spleć kolec z tyłem sofy i staraj się zignorować to, że nie jesteś już nawet w stanie mrugnąć ani poruszyć okiem, twoje gardło się zamyka, a wszystkie organy wewnętrzne za chwilę przestaną funkcjonować.

*Quivi perdei la vista e la parola
nel nome di Maria fini', e quivi
caddi, e rimase la mia carne sola.*

Gdy tylko poezja popłynęła przez część mojego umysłu – spokojne wody obok płonących brzegów mojej agonii – mogłem się wreszcie skoncentrować na zadaniu i sporządzić odpowiedni splot. Wycharczałem go mimo opuchniętych tkanek w gardle, aż poczułem w końcu, że kolec wychodzi z mojego ciała, by przelecieć kilka metrów i zatonać w tyle sofy. Ból zmniejszył się na chwilę, jak wtedy, gdy dotknie się oparzone miejsce lodem, ale wrócił natychmiast, bo zmiążdżone mięśnie mojej lewej strony kurczyły się raptownie, a tkanki nadal puchły. Teoretycznie mógłbym teraz zacząć walczyć z toksynami i rozbić je na nieszkodliwe składniki, gdybym miał dość magii na leczenie, ale miałem jej bardzo mało, a od ziemi dzieliła mnie marmurowa posadzka. Trzymając się Dantego, przeskoczyłem do Pieśni IX i przypomniałem sobie fragment mówiący o marmurze i potrzaskanym kamieniu, żeby mieć choć pozytywne tło. Marmurowa podłoga nie miała tych samych splotów zabezpieczających co ściany w sypialniach. Był to po prostu zwykły marmur, który poddałby się odpowiedniemu naciskowi magicznemu. Midhirowi pewnie do głowy w ogóle nie przyszło, że ktokolwiek chciałby uciekać z jego świątyni rozkoszy. Rozprostowałem dłoń, walcząc z jej przemożną chęcią zwinięcia się w pięść, i skupiłem się na wijącym się wzorze pod sobą. Marmur był ze skały dolomitowej z bardzo niską zawartością krzemionki – głównie węglan magnezu i wapnia, który rozplotłem na mikroskopijnym obszarze, a potem próbowałem rozpleść na większym za pomocą makra obejmującego marmur pod całą moją dłoń. Głos mi się jednak załamał w połowie wypowiedzania splotu i musiałem zaczynać od początku. Próbowałem złapać oddech i zalał mnie taki ból, że mało nie wciekł mi w spokojną przestrzeń myślową, ale poezja nie przestawała płynąć.

Drżąc i mrugając, znów spróbowałem i tym razem makro zadziałało. Marmur pod moją dłoń rozkruszył się na składniki mineralne i mogłem wyciągnąć kawałki wapnia, węgla i magnezu. Musiałem zastosować makro jeszcze raz, bo pierwsze nie dotarło dostatecznie głęboko, i tym samym wyczerpałem ostatnie resztki z niedźwiedziego charmsa. Bez magii moje ciało stało się zupełnie bezbronne w walce z trucizną, która zalała moje żyły i zaczęła niszczyć, palić i paraliżować. Mięśnie drżały odruchowo, a organy wewnętrzne wyły mi pieśń o swoim cierpieniu. Normalnie zdawało mi się, że wątroba i śledziona odwalają duet rozpaczy, ogłaszając światu, że nie dają już rady filtrować krwi. Chwyciłem kolejną garść skruszonego marmuru, wyciągnąłem go z płytkiej dziury, cisnąłem gdzieś obok i zacisnąłem palce na ostatniej garści, nim powiedziały mi, że już się nie rozewrą. W tej samej chwili odmówiła współpracy także przepona, co oznaczało, że już wziąłem ostatni wdech.

Naga ziemia była tam jednak, tuż pod moją dłonią. Wystarczyło tylko odwrócić przedramię, przekręcić nadgarstek tak, żeby dotknąć jej wierzchem dłoni i tatuażami zacząć pobierać energię. Ale mój biceps chciał zwinąć dłoń w kierunku ciała. Trzęsąc się z wysiłku, spróbowałem przekręcić nadgarstek zgodnie ze wskazówkami zegara. Biceps ciągnął dłoń w taki sposób, że właściwie zablokowała się w dziurze i tarła o jej krawędź.

Wysilałem się, jak mogłem, ale nic z tego nie wychodziło – proste przekręcenie nadgarstka, które zwykle wykonywałem przecież, nawet o tym nie myśląc, teraz było niemożliwe, nawet gdy skupiłem na nim całą moją wolę. Ale działało jeszcze kilka mięśni po niezniszczonej części pleców. Zarzuciłem więc lewe ramię i przetoczyłem się twarzą do góry. Najpierw pomyślałem, że to jednak nie wystarczy. Leżałem już na boku, ręka utknęła mi w dziurze, a mimo to oczy zaczęła zasnuwać mi ciemność. Ale nieubłagana grawitacja pchnęła mnie tam, gdzie nie dawała rady moja wola, i mój nadgarstek sam przesunął się tak, jak chciałem. Gdy tylko filigranowe węzły na granicy moich tatuaży dotknęły ziemi, zalało mnie tyle magii, ile potrzebowałem, by ukoić ból, znaleźć energię do walki z trucizną i odblokować mięśnie. Zacząłem od przepony i zaczerpnąłem wspaniałą, wielki haust powietrza. Po kilku kolejnych oddechach leżałem, już tylko drżąc i śmiejąc się cicho z ulgi. Oczywiście będę do niczego, póki nie zneutralizuję infekcji, ale wiedziałem już przynajmniej, że mogę spokojnie oddychać, póki coś innego mnie nie zabije.

Wtedy właśnie do mojej świadomości wkraśl się jakiś głos. Nie tylko walił po moich bębenkach, ale wręcz pakował mi paluchy prosto do mózgu.

~ Hrrr. Jak to możliwe, że nadal żyjesz?

Obróciłem głowę, żeby się rozejrzeć, ale nikogo nie widziałem.

– Kto tam? – wycharczałem.

Gdy padła odpowiedź, zrozumiałem, że moje uszy słyszą jedno, a mój mózg dekoduje co innego. Docierał do mnie taki dźwięk, jaki się słyszy na filmikach na YouTube, gdzie koty próbują imitować ludzkie dźwięki – choć w tym wypadku byłby to dość duży kot. Ale w mojej głowie słyszałem słowa po angielsku, tylko jakieś dziwnie wibrujące, podłe, zdradziecko mruczące.

~ Nie ma tu nikogo poza nami, ty głupcze. Łatwo się domyślić drogą eliminacji.

– To ty, mantykoro?

~ Wiedziałem, że w końcu to rozgryziesz. A teraz bądź łaskaw wyjaśnić mi, dlaczego nie umarłeś.

– A może raczej ty mi wyjaśnij, co tu w ogóle robisz?

~ Zadajesz takie oczywiste pytania. Jestem tu po to, żeby zabijać wszystko, co wejdzie do tej komnaty.

– Zgłosiłaś się na ochotnika, co?

~ Hrrr. Wyczuwam jakiś sarkazm. Że niby jestem przykuty. Niepotrzebnie mnie irytujesz. To kontrproduktywne.

– Hmm. A myślisz, że ty mnie nie zirytowałaś, jak mnie obrzuciłaś tymi trującymi kolcami, co? Wypchaj się, yyy... mantykoro.

~ Mam na imię Ahriman. A ty?

Odkąd Odyseusz powiedział Polifemowi, że ma na imię Nikt, zapanowała złota zasada, że nigdy nie podaje się drapieżnikowi swojego prawdziwego imienia, odparłem więc:

– Jestem Werner Drasche.

Niewykluczone, że żaden z nas nigdy stąd nie ucieknie, ale jeśli jednak uda się to nam obydwu, a on zacznie szukać skrytobójczej pijawki, dobrze na tym wyjdę, bez względu na to, kto zginie. W tym stanie na pewno nie mam szans pokonać Ahrimana.

~ Bardzo niewiele jest takich, co potrafią przeżyć moje ukłucie. Jak to zrobiłeś?

– Szybko się goję. Oczywiście.

Nie tak szybko, jak bym chciał. A niebezpieczeństwo wcale nie minęło. Byłem skryty za sofą. Na oko między krawędzią sofy a najbliższą kolumną były jakieś trzy metry. Raczej nie pokonam ich zbyt szybko, a Ahriman będzie miał mnóstwo czasu, żeby do mnie wtedy strzelić, i to pewnie niejednym razem. Fragarach leżał pośrodku, na widoku, a przecież musiałbym jeszcze przystanąć i go podnieść. Albo w ogóle przeczołgać się cały ten odcinek. Jeśli będę się poruszał dość powoli, kamuflaż może sprawić, że będę zupełnie niewidoczny. Ale raczej w to wątpię.

A póki co to w ogóle nie miałem siły na jakikolwiek ruch. Jeśli po prostu będę tak tu leżał i rozkruszał toksyny w mojej krwi, wątroba może mi się zaraz zbuntować. Byłem rozpaczliwie głodny i jeszcze bardziej spragniony, ale dostęp do kuchni miałem taki, jakby znajdowała się na zupełnie innej planecie.

~ Dlaczego tu jesteś?

– Kupujesz tę odpowiedź za odpowiedź na moje pytanie?

~ Hrrr. Dobrze. Ale po jednej i ja zaczynam. Więc dlaczego tu jesteś?

– Przyszedłem odwiedzić Midhira, właściciela tego domostwa, i zastałem go martwego.

Kto cię tu uwięził?

Odpowiedź poprzedził wściekły ryk.

~ Jeden z irlandzkich bogów, ale nie wiem który. A może bogini. Nie wiem. Ten ktoś miał na sobie bezkształtną zasłonę i dziwny głos.

Szczęka mi opadła. To bogini poezji Brighid potrafiła mówić trzema głosami naraz. Ahriman zadał jednak kolejne pytanie, nim zdołałem podrażnić temat.

~ Mam zabić każdego, kto przyjdzie odwiedzić Midhira. Stąd wnioskuję, że ten irlandzki bóg chce, bym zabił i ciebie. Co uczyniłeś takiego, Wernerze Drasche, że ściągnąłeś na siebie gniew Tuatha Dé Danann?

– Gdybym to ja wiedział. Pewnie w jakiś sposób im zagrażam, ale pojęcia nie mam jak. Niczego przeciw nim nie knuję i chcę tylko, by mnie wszyscy zostawili w świętym spokoju. Powiedz mi, skoro ta osoba, która cię uwięziła, była cała zakryta i miała dziwny głos, to skąd w ogóle wiesz, że był to irlandzki bóg?

~ Hrrr. Tyle to mi akurat sam powiedział. Powiedział: „Będiesz odtąd służył mi i Tuatha Dé Danann”. Nie zaufałbym jego słowom, gdyby nie potwierdził ich sposób porwania. Ktoś posłużył się magią ziemi, żeby mnie unieruchomić i zamknąć mój ogon w drewnianej skrzyni, takiej z twardego drewna, którego nie da się łatwo rozbić na drzazgi. Potem cały zastęp olbrzymów... ponoć zwą ich Firbolgami... skuł mnie i założył mi kaganiec. Zabiłem dwóch z nich, ale i tak zdołali mnie tu zaciągnąć.

Ciekawe. Byliśmy pewni z Granuaile, że mantykora po prostu jest najemnikiem, ale wyglądało na to, że ten tajemniczy bóg zmusił ją do współpracy.

~ Na jakiś czas ~ ciągnął Ahriman ~ zostawiono mnie samego, żebym strzegł pewnego drzewa. Miałem zabić każdego, kto się do niego zbliży. I zbliżyli się. Mężczyzna, kobieta i pies mało na mnie nie weszli. Mężczyzna miał miecz i pochwę. Pochwę zupełnie taką samą jak ta, którą widzę obok sofy, za którą się kryjesz. Czy to byłeś ty?

Powiedzenie mu prawdy nie było właściwie niebezpieczne. Przecież i tak myślał, że się nazywam Werner Drasche. A być może, jeśli teraz potwierdzę prawdę, zyskam jego zaufanie i uda mi się potem go jakoś wykiwać.

– Tak, to byłem ja. Pod jakim więc warunkiem cię uwolnią?

~ Pod warunkiem, że cię zabiję. Dlatego chciałbym, żebyś już wyszedł z za tej kanapy. Szybciej byłoby po krzyku. Ale ty pewnie wolałbyś z tym poczekać. A gdzie twoi towarzysze?

– Gdzie indziej. Słuchaj, Ahrimanie, ten bóg bardzo starannie zaciera ślady. Przecież jesteś na tyle mądry, że rozumiesz, że ktoś tak ostrożny nie pozwoli ci żyć i opowiadać innym o twojej roli w tym wszystkim. Jeśli mnie zabijesz, zaraz potem sam pewnie zginiesz. Zabiją cię, gdy tylko odwalisz za nich brudną robotę. Może więc zamiast tego pouwalniamy się nawzajem?

Z gardła mantykory wyrwało się coś pomiędzy śmiechem a mrużeniem.

~ Pewien byłem, że zaproponujesz coś w tym stylu. Możesz równie dobrze błagać o litość. Masz równe szanse na zdobycie jej u mnie jak na zawarcie umowy, którą proponujesz. Nie, Wernerze Drasche. Jesteś ofiarą i kropka. Nie ma dla ciebie ucieczki. Zostań za swoją sofą i zgiń jak tchórz albo próbuj uciekać i zastrzelę cię moimi kolcami. Iłoma trafiłem cię za pierwszym razem?

– Tylko jednym.

~ Tak myślałem. A i tak ledwo to przeżyłeś, sądząc po pisku, jaki wydałeś. Następnym razem dwa wystarczą.

Trudno mi się było z tym nie zgodzić.

– Kto cię tu karmi?

~ Ten sam irlandzki bóg, który mnie porwał, przychodzi tu czasem i zaspokaja moje potrzeby.

Czyli zegar tyka. Jeśli osoba, która zabiła Midhira, znajdzie mnie w tym stanie, będzie po mnie. Prawdę powiedziawszy, będzie po mnie tak czy siak.

~ Ale nie potrzebuję jeść czy pić codziennie, więc przez dzień czy dwa męczy mnie jedynie nuda, nie głód ~ ciągnął Ahriman. ~ Męczenie innych za to bardzo mnie cieszy. Stąd właśnie właściwości mojego jadu. Twój ból był wręcz przepyszny i dłuższy niż większości ludzi, których dotąd męczyłem. Bardzo się cieszę, że przeżyłeś, by znów przecierpieć podobny ból.

I zamlaskał kilka razy. Przy czym było to bardzo zadowolone z siebie mlaskanie.

– Czy kiedykolwiek słyszałeś o prawie Wheatona, Ahrimanie? Brzmi tak: „Nie bądź kutas”. Wiem, że to nie jest proste, i sam złamałem je już tyle razy, że wstyd się przyznać, ale jednak wydaje mi się, że jest to prawo, którego powinna się starać przestrzegać każda istota, i to bez względu na wyznanie czy pozycję w łańcuchu pokarmowym.

Ahriman nie skomentował tego nawet, jeśli nie liczyć śmiechu dobywającego się z głębi jego piersi.

~ Hrr-hrr-hrrr!

Potem zapadła cisza. Widać nie miał do mnie więcej pytań i już chciał sobie w spokoju czekać, aż się ruszę.

Byłem fizycznym wrakiem, więc nie miałem szans na ucieczkę w stylu akrobatycznym. Musiałem wymyślić jakieś magiczne rozwiązanie.

Czerwona sofa zasługiwała na moją bezbrzeżną wdzięczność. Kochałem ją szczerze i obiecałem jej w napadzie sentymentalności, że jeśli tylko przeżyję, kupię sobie taką samą i wybuduję jej pomnik. Może dałoby się jakoś ją przesuwać razem ze sobą, żeby zasłaniała mnie, gdy się będę czołgał?

Było to ryzykowne. Nie ma czegoś takiego jak splatanie *tak jakby*. Albo się splata, albo nie. Więc jeśli splotę skórę na końcu kanapy ze ścianą, żeby się ruszyła, trudno powiedzieć, jak szybko tam polecą – ani jak szybko się zatrzyma, gdy zerwę splot. Bo jeśli go nie zerwę, to przecież zupełnie mnie odsłoni na atak mantykory.

Spojrzałem na moją prawą rękę, która wciąż tkwiła w dziurze ziemi i zaciskała garść skruszonego kamienia. Przyszło mi do głowy, że o wiele lepszą ochronę stanowiłaby ściana

z marmuru. Gdybym był na ziemi, mógłbym poprosić żywiołaka o stworzenie jej dla mnie. I tak w sumie dobrze, że można korzystać z ich magii. Tak czy siak żaden by mi nie pomógł z takim martwym, odłupanym kamieniem. Choć zajęłoby mi to mnóstwo czasu, taka ściana byłaby naprawdę o wiele bezpieczniejszą opcją niż krycie się za kanapą. A poza tym dałoby mi jakieś zajęcie, gdy moje ciało oczyszczałoby się z toksyn zafundowanych przez mantykorę. Przeturlałem się do pozycji, w jakiej wylądowałem zaraz po upadku.

Poczynając od dziury przede mną, zmodyfikowałem splot rozplatający materię, tak że dziura, którą tworzył, była teraz cienka, ledwie grubości paznokcia, długa zaś na piętnaście centymetrów. Zaczynała się przy poszarpanej krawędzi mojej dziury i ciągnęła w kierunku kolumny. Powtórzyłem ją jeszcze dwa razy, pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, tak że gdy skończyłem, miałem „wycięty” kwadratowy kawał marmuru, przy czym jedna jego strona wyglądała na poobgryzaną. Zebrałem te trzy cięcia w jedno makro i przeszedłem do drugiej operacji.

Patrząc na płaską powierzchnię mojego marmurowego kafelka, mentalnie wybrałem jego jedną trzecią po prawej stronie i splotłem go z wewnętrzną krawędzią pociętej podłogi naprzeciwko mantykory. W efekcie z ziemi wystawał teraz wielki kafelek i osłaniał mnie przed nią, a dół miał spleciony z resztą podłogi. Została po nim dziura pełna ziemi – w Tír na nÓg nie wylewa się cementowych fundamentów, bo jest tu bardzo pod względem tektonicznym spokojnie (głównie z braku tektoniki). Gdy kolejne kawały marmuru opuszczają podłogę i staną się moją ścianą tarcz, będę miał dodatkowo łatwy dostęp do magii.

Dodałem ten ostatni splot na koniec makra wycinającego i puściłem całość w ruch jako nowe makro. Tym razem zadziało o wiele szybciej, a ja uśmiechnąłem się, patrząc, jak kolejny kafel wycina się i wchodzi na miejsce. Powtórzyłem to jeszcze wielokrotnie, tworząc rów z ziemią i niziutką ścianę, wysoką ledwie na kilkanaście centymetrów nad ziemią. Gdy tylko samopowstająca ściana zaczęła się pojawiać poza krawędzią sofy, zalała ją nowa fala toksycznych kolców. Widać Ahriman bezwiednie reagował na ruch. Kolce odbijały się od ściany bardzo ładnie. Kilka poleciało też trochę wyżej, pewnie na wypadek, gdybym próbował przemknąć nad nią w kamuflażu. Mantykora czekała potem na mój wrzask, który nie nastąpił. Marmurowe kafelki cały czas unosiły się z podłogi i wchodziły na swoje miejsce, coraz bliżej kolumny, a głos mantykory znów wkradł się do mojego mózgu, gdy jej ryk wypełnił pokój.

~ Hrrr. A to co za wygłupy?

– To zmodyfikowana beczka Amontillado. Traktuj wroga swego jak Poego samego.

~ Wyjaśnij, co masz na myśli, Wernerze Drasche.

– Mów mi Montresor. Żadne wyjaśnienia nie będą potrzebne, jeśli uzbrosisz się w cierpliwość.

W odpowiedzi kilka kolców poleciało w sufit. Ahriman chciał, żeby odbiły się rykoszetem i zaatakowały mnie od góry, ale były zbyt ostre i wbiły się głęboko w seksowne freski, pompując jad w nieszczęsnych gipsowych cudzołożnikach. Ahriman zawył z wściekłości – furii impotent w Sali Miłości.

Moja podstawa dotarła już do pierwszej kolumny. Czas było zabrać się do murowania bez zaprawy. Najpierw rozplotłem trochę więcej marmuru wokół mojej ręki, żeby tuż przy mnie powstała kolejna dziura. Zacząłem potem tworzyć cały zestaw nowych makr, które miały wyprodukować coś na kształt cieniutkich cegieł, albo grubych kafli. Jako że miałem teraz odsłonięte z powodu dwóch dziur dwa boki tych kwadratów, musiałem już tylko wykonać dwa cięcia na każdy kwadrat w rzędzie, a potem spleść podstawę każdego z wierzchem mojej małej ściany. Kiedy włączyłem ten splot, kafelki poleciały w górę i wylądowały na szczycie ściany, dodając jej kolejne piętnaście centymetrów wysokości. Gdy moja ściana wyszła zza

kanapy i ruszyła w stronę kolumny, Ahriman zrozumiał, co zamierzam. Poruszył się i kable naciągnęły się i wbiły w jego futro. Mlaskające odgłosy wydobywające się z błota przywodziły na myśl problemy jelitowo-żołądkowe. Nie zaprzętał sobie łba informowaniem mnie o swoich intencjach. Po prostu wystrzelił kolejną porcję zatrutych kolców w stronę sofy pod bardzo ostrym kątem. Nawet uniósł się, żeby zwiększyć swoje szanse – i nie były one jakiegó bardzo marne. Kolce wylądowały ledwie kilka centymetrów od mojego wyniszczzonego lewego boku. Nie czułem jednak potrzeby informowania go, jak był blisko. Kontynuowanie budowy i niekrzyczenie w agonii będzie dla niego wystarczającym znakiem, że nie trafił.

Poddał się po krótkiej chwili i słyszałem, jak krąży po błocie. Mokry chlupot mieszał się z grzechotem jego kabli. Dalej rwałem podłogę, żeby budować ścianę, trochę wyższą, niż pierwotnie zamierzałem. Chciałem się zupełnie zasłonić przed ostrzałem mantykory, żeby potwór nie zdołał mnie przyszpilić z odległości, gdy już zacznę się przemieszczać w stronę kuchni.

Bogowie niejedyni, jaką ja miałem nadzieję, że jest tam coś jadalnego!

Ostatnie fragmenty trucizny już się rozpadły na nieszkodliwe składniki, a skromna skórka zaczęła porastać moją ranę na ramieniu, ale tatuaż sam się zagoi, a ja jechałem już na pustym baku. Gdy ściana wreszcie wyglądała na ukończoną, zacząłem czołgać się po podłodze, posługując się prawą ręką i nogą. Ahriman usłyszał, że się ruszyłem, i szlag go trafił. Nic nie powiedział. Wył tylko i próbował się zerwać z łańcuchów, choć niewątpliwie już przedtem sprawdził ich wytrzymałość i musiał stwierdzić przecież, że są silniejsze od niego. Narobił w swoim błotku straszego rabanu, ale nie zatrzymało mnie to w mojej mozolnej wędrówce do kuchni. Gdy już wziąłem Fragaracha i uświadomiłem sobie, jak zupełnie niezdolny jestem do posłużenia się nim, przemknęło mi przez myśl, jak bardzo nie po bohatersku jest się tak wycofywać – czołgając.

Ahriman znów przemówił, gdy już pchałem drzwi kuchni i wyczołgiwałem się z komnaty seksu. Jego półludzki głos znów wślizgnął się do mojej głowy, a każda sylaba ociekała podłością.

~ Może i tu umrę, Wernerze Drasche. Ale jeśli tylko wydostanę się na wolność, dorwę cię.

– Okej! – odkrzyknąłem na odczepnego i pozwoliłem drzwiom zamknąć się za moimi stopami. Miałem tylko nadzieję, że jeśli rzeczywiście uda mu się kiedyś jakimś cudem uciec i dorwać mnie zamiast skrytobójczej pijawki, to będzie to gdzieś w dalekiej przyszłości, a ja będę wówczas w o wiele lepszym stanie.

Poprawianie tego stanu należałoby zacząć od zjedzenia czegoś. Magia może podkręcać moją podstawową siłę, która pozwala mi się poruszać, ale nie może zwiększyć poziomu cukru w krwi czy uciszyć burczenia w żołądku, a ponieważ kuchnia wyłożona była kaflami, znów musiałem polegać tylko na zapasach z niedźwiedziego charmsa, póki nie znajdę innego źródła energii.

Kuchnia wydawała się dobrze wyposażona i poprzysiągłem sobie w duchu, że jeśli naprawdę tak będzie, to wyślę Brigid kosz z owocami, i to bez żadnego wyjaśnienia.

Jako że do Tír na nÓg nie dotarła jeszcze elektryczność, pożywienie trzymano tu w lodówkach magicznych – tych, które nabywa się na goblinowym rynku. Midhir miał aż trzy, i to wielkie, a do tego kuchnię całą w drewnie. Jego faeryczna służba nie miała co liczyć na luksusy współczesnej nierdzewnej stali. Sztućce i przybory kuchenne były z brązu, miedzi i szkła.

W pierwszej lodówce znalazłem zimnego pieczonego kurczaka, któremu brakowało tylko jednego udka, co uznałem za wspaniałe odkrycie. Ściągnąłem go z półki, położyłem sobie na kaflach podłogi i rzuciłem się na niego łapczywie.

W końcu będąc w stanie w ogóle myśleć o przyszłości – teraz, gdy wreszcie miałem co zuć – próbowałem wyciągnąć jakieś użyteczne wnioski z mojego marnego skrótu. Ktokolwiek się tu pojawił przede mną, był prawdziwym capo di tutti capi. Wnioskując po ciałach i popiołach oraz tym, że nadal nie słyszałem żadnego głosu poza własnym i Ahrimana, było wielce prawdopodobne, że jesteśmy jedynymi żywymi istotami w tej posiadłości. A jeśli tak, to mogłem sobie spokojnie wejść tu główną bramą i nie stałbym się wtedy gryzakiem dla jadaczek. Choć i tak musiałbym się zmierzyć z Ahrimaniem, gdybym chciał się dowiedzieć, co się stało z Midhirem.

Wiedziałem, jak zwykli rozumować Tuatha Dé Danann, i w ich pojęciu ta rzeźnia pewnie w ogóle nawet nie podchodziła pod termin „masakra”. Nie, to była tylko kwestia przetrwania. Wręcz może nawet wycofanie się na z góry ustalone pozycje. Nie udało się ubić druidów, czas się więc wycofać, a przy tym oczywiście uporządkować wszystko, żeby nie zostawić po sobie bałaganu w postaci zbyt dużo wiedzących Midhira czy Lorda Łonobrodego.

Skoro teraz już Olimpijczycy stali po naszej stronie, nie dało się nas z Granuaile uwięzić na ziemi za pomocą pandemonium. Z tego, co wiedziałem, żadne inne panteony nie dysponowały tą akurat mocą. Ktokolwiek stał za tym wszystkim, będzie musiał wymyślić coś innego, to pewne, więc nie powinniśmy rezygnować z paranoi, ale przynajmniej wampiry dostały trochę paybacku, mroczne elfy muszą się użerać teraz z Ljósálfarami, a my odzyskaliśmy wolność ruchów. A raczej odzyskamy ją, gdy tylko się wyleczę.

Na moich wypchanych kurczakiem policzkach zagościł uśmiech. Owszem, byłem mocno poobijany, ale tak dobrze czuć się żywym. Ani trochę nie chciałem przestać żyć.

Pochłonąłem całego kurczaka i większość resztek szynki, nim mój żołądek wydał mi nakaz zaprzestania działalności. Ze wzdętym brzuchem, ale już w znacznie lepszym humorze, pomyślałem sobie, że czas spróbować znów stanąć na dwóch nogach. Zaparłszy się Fragarachem o rączkę jednej z lodówek, podciągnąłem się do pozycji pionowej z wielką nadzieją, że nie czeka mnie już więcej nieprzyjemnych niespodzianek, gdy będę szukał wyjścia stąd.

Pałac Midhira był nader rozległy, ale nie miałem jakoś ochoty już go dalej zwiedzać. Załatwiłem, co miałem do załatwienia, i nie miałem już na nic siły, czas więc było opuścić ten lokal. Zarejestrowałem więcej kupek popiołów, gdy mijałem kolejne pomieszczenia. Ktoś naprawdę starannie upewnił się, że nie będzie żadnych faerycznych świadków śmierci Midhira. W środku budynku znajdowało się zarośnięte zielenią, ocienione podwórko z wysokim jesionem. Drzewo połączone było z całą siecią nici, ale tylko skierowanych na zewnątrz. Nikt nie mógł się przenieść bezpośrednio do środka Midhirowego świata. Nie chciałem przenosić się nigdzie na teren Tír na nÓg, bo wolałem, żeby żadna faeria nie zobaczyła mnie w tym żalonym stanie. Ktokolwiek stoi za tym wszystkim, mógł też zachęcić je do wykończenia mnie przy najbliższej okazji. Nie należało więc im jej dawać. Potrzebowałem kilku dni rekonwalescencji oraz nowych ubrań, nim ktokolwiek mnie zobaczy. Przeniosłem się więc do naszej chatki pod Ouray w Kolorado, w której miałem całe góry jedzenia, zapasowych ubrań, a do tego silnego żywiołaka do pomocy. Granuaile i Oberon będą się pewnie martwić, dlaczego mnie tak długo nie ma, szczególnie że obiecałem im przecież, że zaraz wrócę, ale nie było mi spieszno do ukazania im się w takim stanie.

Niestety nie miałem w tej sprawie nic do powiedzenia. Wcale nie czekali na mnie u Goibhniu, tylko wypadli mi na powitanie, gdy tylko zbliżyłem się do chaty.

– Bogowie, Atticusie, gdzieś ty się podziewał? – zawołała Granuaile.

<Tak powiedziała! I, na Wielką Niedźwiedzicę, co ci się stało? I co to za beznadziejna fryzura?>

– Co wy tu robicie? – spytałem.

– Powiedziałeś, że skoczysz do chaty i zaraz wrócisz. Gdzie się podziewałeś?

Podbiegła i chwyciła mnie pod ramię, żebym mógł się na niej oprzeć. Jej włosy pachniały miodem i wanilią, a na ustach miała truskawkowy błyszczek. Ja natomiast musiałem mocno śmierdzieć i byłem z tego powodu mocno zażenowany. Miała na sobie jasnoniebieską bluzkę i dżinsy, które wyglądały na nowe. W każdym razie nie w nich leżała wtedy, gdy leczyła się z rany po strzale.

– Chwileczkę. Jak długo mnie nie było?

Szczęka jej opadła i popatrzyła na mnie uważnie, żeby się upewnić, że nie żartuję. Moje pytanie zmartwiło ją chyba bardziej niż moje obrażenia.

– Atticusie, nie było cię całe dwa paniczne dni. Paniczne jak w „panikowałam”!

– Aha. To wyjaśnia, dlaczego byłem aż taki głodny.

Nic też dziwnego, że Granuaile i Oberon opuścili już bar Goibhniu. W końcu przecież dał im z pewnością do zrozumienia, żeby się zmyli i nie zawracali mu więcej głowy. Mógł im zawsze dać znać, gdybym się jednak pojawił.

<Jeśli jeszcze jesteś głodny, mogę ci pomóc ze zjedzeniem czegoś>.

– Chcę wiedzieć, gdzie byłeś – powiedziała Granuaile, pomagając mi przeskoczyć przez próg chatki. – Ale najpierw powiedz mi, czego potrzebujesz.

Oczy zaszklily mi się nieco, co stanowiło niechybną zapowiedź smarków. Z całej siły powstrzymałem ciecze oczno-nosowe i powiedziałem:

– W sumie to chyba nic mi nie jest. A w każdym razie nie będzie. Cieszę się, że tu jestem. Jesteśmy teraz bezpieczni.

– Jesteśmy?

– No, przez jakiś czas tak. Nadal masz chęć na Japonię?

– A ty?

– Równie dobre miejsce na gojenie ran jak każde inne.

Rozdział 30

Spędziliśmy w Japonii pięć dni i nikt na nas nie polował. Było wspaniale. Jak na to, że spędzasz pięć dni, czekając, aż ci się odbudują mięśnie. Przez te kilka dni nie zawracały nam głowy ani wampiry, ani mroczne elfy, ani faerie, co tylko potwierdzało moją hipotezę, że nasz tajemniczy wróg z Tír na nÓg wykorzystuje Stare Drogi, żeby przerzucać zabójców z miejsca na miejsce. To właśnie w Japonii, trzeciego dnia, w ogrodzie zen, przy fontannie szemrzającej o wiecznej poezji żywiołów, znalazłem wreszcie chwilę, by opowiedzieć Granuaile, co się tak naprawdę stało z Morrigan; o tym, jak odkryła ograniczenia swojej boskości i postanowiła z nimi zaważać; jak dotrzymała słowa i znalazła sposób, byśmy przetrwali, tym samym pokazując środkowy palec niepisanej zasadzie, że można się zachowywać tylko w jeden określony sposób; i że tak naprawdę wcale nie została pokonana.

Czwartego dnia, gdy już przynajmniej z wierzchu prezentowałem się po japońsku, za pomocą Fragaracha wezwałem zachodni wiatr. Zaraz potem złożył nam wizytę Hermes, który poinformował nas, że Bachus jest już pod kontrolą i że wszyscy Olimpijczycy są gotowi obiecać, że zostawią nas w spokoju, jeśli tylko będę miał czas wysłuchać ich przysięg. Zarówno Flidais, jak i Perun przeżyli napad szału, a Flidais poprzysięgła znaleźć sposób, by jakoś odzyskać lub zastąpić myśliwych Herna. Na froncie morskim Posejdon i Neptun nawiązali kontakt z Manannánem Mac Lirem, by w tym nowym sojuszu wyruszyć na poszukiwania Jörmungandra z nadzieją, że to da nam pewną przewagę przed wybuchem Ragnaröku.

Wszystko układało się więc tak pomyślnie i tak inaczej, niż to sobie wyobrażałem w moich pesymistycznych wizjach, że przez chwilę pozwoliłem sobie na odczuwanie czegoś na kształt nadziei. Tak, Loki i Hel z pewnością knują jakieś okropnie podłe gówno, i to gdzieś, gdzie w życiu się do nich nie dobierzemy i gdzie nie dojrzy ich nawet oko Odyna, ale przynajmniej już nie jestem sam i więcej osób pomaga mi zastąpić Thora. Olimpijczycy wskoczyli do gry w wielkim stylu.

Z wyjątkiem tej jednej wizyty dni upływały nam w błogim spokoju zen na zdrowieniu, relaksowaniu się i kontemplowaniu nieprzewidywalności japońskiej telewizji, która oferowała znacznie więcej CJK (czyt. „Co jest kurwa?!”) na godzinę niż cokolwiek, co nadawano w Stanach.

– Nie rozumiem ani słowa, ale nie mogę oderwać od nich oczu – wyznała Granuaile, gdy leniuchowaliśmy w maleńkim pokoiku hotelowym piątego dnia naszego pobytu, czyli we wtorek rano. Było tu tyle miejsca, ile potrzeba, żeby spać i nic ponadto. – Co oni zamierzają zrobić z tym borsukiem i kremem do golenia?

– Pojęcia nie mam – przyznałem, kręcąc głową. Mimo że mówiłem po japońsku, nie dawałem rady połapać się, co właściwie planuje dwóch młodych, szybko mówiących ludzi w obcisłych dżinsach i T-shirtach z muppetami. – Coś szalonego.

– Chrzanić francuski. W pierwszej kolejności muszę się nauczyć japońskiego.

Oberon ziewnął u podnóża łóżka i obwieścił:

<Jeśli nawet nie będę mógł tego potem cytować, to po co to w ogóle oglądać? Atticusie, chodźmy na przechadzkę po lesie. Ta góra, przez którą się tu przenieśliśmy, wyglądała bardzo miło. Możemy zmienić się w psy, a Granuaile może sobie poćwiczyć bycie kotem, bo nie ma tu zbyt wielu śmierdzących rzeczy w okolicy>.

Zamrugalem, żeby wyrwać się spod magicznego uroku show.

– Oberon ma rację. Powinniśmy gdzieś wyjść.

<Czeka na nas tyle drzew do obsikania i zwierzątek do pogonienia!>

Granuaile nie udało się jednak oderwać oczu od ekranu telewizora.

– Czekaście, co jest grane? Czy to jest niemowlak? To niemowlak! Atticusie, co oni zamierzają zrobić z tym dzieckiem?

– Chodźmy już.

Walnąłem twardo w wyłącznik i Granuaile drgnęła, gdy zniknął obraz.

– Nie! Oni mieli borsuka i dziecko! Muszę wiedzieć, co się stanie!

– Tylko siebie posłuchaj. Przecież to się już stało i nie ma żadnego znaczenia. Musimy się zająć ważniejszymi rzeczami.

<Wyżej wspomnianymi drzewami i zwierzątkami!>

– Tak powiedział Oberon – zgodziłem się. – Ty jesteś już zupełnie zdrowa, a ja pewnie w osiemdziesięciu procentach. Czas trochę poćwiczyć.

Uciekliśmy więc z naszej kabiny, wymeldowaliśmy się z hotelu i zmyliśmy z Tokio. Jedną z dobrze wydeptanych ścieżek wdrapaliśmy się na górę Fudzi. Choć poza nami było tam mnóstwo innych turystów, to wśród liści klonów i buków świergotały ptaki, a my złapaliśmy się na tym, że uśmiechamy się, nie wiedząc nawet dlaczego. Oberon merdał ogonem, a jęzor zwiślał mu z boku, gdy kręcił się wokół i co jakiś czas przystawał, żeby powęszyc.

Wspięliśmy się aż na sam szczyt, mając nadzieję, że oszałamiający widok z góry rozwieje wspomnienia ultrawielkowiejskiego Tokio. Drzew było coraz mniej, aż w końcu zupełnie zniknęły; pozostały jedynie nagie skały. Gdy już znaleźliśmy się na miejscu, kamień wyryty znakami *kanji* poinformował nas, że dotarliśmy na sam szczyt – na wypadek gdybyśmy nie domyślili się tego po tym, że już nie było więcej gdzie się wspinać. Ale szczeka opadła mi z innego powodu.

Granuaile od razu to zarejestrowała.

– Atticusie, co się dzieje?

– Pożegnalny prezent od Morrigan – jęknąłem. – Zupełnie o nim zapomniałem.

– Co? Nic mi o tym nie mówiłeś.

– No bo właśnie zapomniałem. Coś lub ktoś czeka na nas na jednej z Wysp Czasu w Tír na nÓg.

– Gdzie jak gdzie, ale akurat tam może sobie poczekać jeszcze trochę dłużej, nie?

– Na pewno. Tylko nie wiem, czy ja mogę dłużej czekać. Nie jesteś ciekawa, co zapakowała tam Morrigan?

Granuaile westchnęła.

– Zbiegniemy na dół i od razu się tam przeniesiemy, tak?

– Ano. Ja będę raczej kuśtykał na dół, bo na bieg to mnie jeszcze nie stać. Ale będę kuśtykał, ile sił w nogach.

Granuaile uparła się jednak, żebyśmy parę chwil podziwiali jeszcze widoki, skoro tak długo musieliśmy się tu wspinać. Pacyfik pieścił zielone wybrzeża Honsiu i lśnił w promieniach słońca. Póki nie patrzyłem w stronę miast, mogłem znów widzieć Japonię sprzed lat, niebezpieczną, ale jakże piękną, gdzie spokój zen i shinto miał w sobie zawsze cichą zapowiedź ostrza katany lub wakizashi. Nierzadko wola jednej osoby decydowała o tym, czy ten dzień będzie zboczony krwią, czy też kojącym atramentem kaligrafii.

Przesłaliśmy żywiołakowi serdeczne pozdrowienia i życzenia harmonii, a potem starałem się utrzymać w miarę przyzwoite tempo, gdy zbiegaliśmy do liściastej strefy splecionej z Tír na nÓg. Gdy tylko znaleźliśmy się między drzewami, wykorzystaliśmy pierwszą możliwą okazję, żeby zejść ze szlaku i zniknąć ludziom z oczu, nim się przeniesiemy.

Wybraliśmy konkretne miejsce w Tír na nÓg – drzewo najbliżej domu Manannána Mac

Lira, które było chyba najbezpieczniejszym dla nas miejscem w krainie faerii. Manannán powitał nas z Fand, ugościł, a gdy usłyszał o tym, że planujemy wizytę na Wyspach Czasu, zaproponował, że pożyczycy nam wyjątkowe kanoe, które utrzymuje się na wodzie pod prąd bez potrzeby rzucania kotwicy.

– Ta wyspa jest dość znana – powiedział Manannán. – To bardzo ciekawe, że Morrigan kogoś tam umieściła.

Po raz pierwszy w ogóle rozmawialiśmy z nim o Morrigan. Manannán unikał mojego wzroku i widać było, że nie chce mówić o jej śmierci. Uszanowałem to i nawet nie próbowałem.

– Naprawdę? – spytałem. – Co jest w niej takiego niezwykłego? Wiem, że znajduje się w górze rzeki, ale nie pamiętam, żebym w młodości widział tam cokolwiek.

– Bo nie widziałeś. Zaczęliśmy pakować tam ludzi dopiero... kiedyż to było?...

Zaczęliśmy mniej więcej wtedy, kiedy odzyskałeś dla Ogmy sagan Dagdy z Walii. Pamiętasz?

– Jasne, to było w szóstym wieku.

– No właśnie. Nie wypominając, do niedawna nie bywałeś zbyt często w Tír na nÓg, nie więc dziwnego, że o tym nie słyszałeś. Niektórzy z Tuatha Dé Danann, mnie nie wykluczając, nazywają to miejsce Wyspą Fanatyków. Na jakiś czas kompletnie się, jak wiesz, wycofaliśmy ze świata. Gdy znów zaczęliśmy mieć z nim kontakty, byliśmy zdumieni, że ludzie tak uparcie zaprzeczają istnieniu innych bogów. Większość tych ludzi jest po prostu niebezpieczna, a z częścią z nich to jest już tak źle, że to wręcz śmieszne. – Manannán uśmiechnął się z nostalgią. – Mój ulubiony był ten purytanin o czerwonej gębie, który naprawdę wyglądał tak, jakby już tylko jeden okruszek dzielił go od tętniaka. Kiedy go chwyciłem, wykrzykiwał właśnie jakies szalone kazanie o łasce miłości swojego boga, nieświadom tego, że jego głos i język ciała zupełnie zaprzeczają każdemu jego słowu. Wiem, że inni też się dorzucali od czasu do czasu, ale nie miałem pojęcia, że była wśród nich i Morrigan.

To tylko jeszcze spotęgowało moją ciekawość, ale potem spędziliśmy sporo czasu na relacjonowaniu ze szczegółami historii naszego biegu przez Europę. Nie wspominałem jednak o mojej wizycie w Brí Léith. Manannán nic nie mówił o żadnej szokującej śmierci Midhira, uznałem więc, że nie ma co się pchać na ochotnika z tym tematem. Musiał oczywiście wiedzieć, że Midhir nie żyje – przecież to Manannán odprowadził z pewnością jego ducha na wieczny spoczynek. Ale to nie znaczyło jeszcze, że znał szczegóły jego śmierci albo czegoś się o nich dowiadywał. I że śmierć Midhira stała się już ogólnie znanym faktem. Lepiej więc było siedzieć cicho.

Rano uparłem się, że to ja robię śniadanie, i zaserwowałem wszystkim moje kultowe omlety z serem i szczypiorkiem oraz kielbaski z ziemniakami posypanymi pietruszką. Fand raczyła nas kawą Blue Mountain kradzioną prosto z Jamajki, po którą posłała z rana swoje faerie, było to więc jedno z tych rzadkich śniadań, których się nie zapomina. Z pełnymi żołądkami i pełni radości życia pożegnaliśmy naszych gospodarzy i całą trójką zapakowaliśmy się do kanoe, które – jak się szybko okazało – nie było stworzone z myślą o wilczarzach.

<Hej! Co się pies nie ruszy, wszystko się tu giba> gderał, mało nas nie wywróciwszy do góry nogami. <Dochodzę do wniosku, że istnieje zasadnicza różnica między wilkami morskimi a wilczarzami morskimi. Te drugie nie istnieją>.

– Najlepiej będzie, jak się po prostu położysz i skupisz na podziwianiu widoków – doradziłem mu.

Bo też było co podziwiać. Wyspa Fanatyków położona była w górze rzeki, czas więc płynął tu najwolniej. Była wąska, ale dość długa, coś w rodzaju galeryjnej gabloty prezentującej postacie, które z pewnością by się nawzajem pozabijały, gdyby tylko miały na to dość czasu.

Angielski krzyżowiec stał obok bojownika z kalifatu na przykład i nawet się jeszcze nie zorientowali, że tak jest. Miną całe tysiąclecia, nim odwrócą głowy i zarejestrują stojącego obok wroga. Przy brzegu zainstalowane były metalowe słupy unoszące się wokół wyspy i podtrzymujące skomplikowany system przejść i jakichś maszyneryi. Pojęcia nie miałem, jak to działa, ale mogłem sobie dać głowę uciąć, że to twór Goibhniu, najlepiej więc było udać się w tej sprawie prosto do niego.

Po północnej stronie wyspy, na skraju plaży, ale jeszcze nie pod liśćmi palm, które rosły w środkowym pasie, stała zgarbiona postać i wytykała nas oskarżycielsko palcem. Usta miała otwarte we wścieklej tyradzie, a oczy palające gniewem. Morrigan musiała go capnąć z jakiejś chłodnej okolicy, bo okutany był ciepłymi ubraniami, a na dłoniach miał rękawiczki bez palców. Zupełnie nie nadawał się na porośniętą palmami plażę.

– Bogowie niejedyni – wyszeptałem. – Co, na dziewięć piekieł, ona sobie w ogóle myślała?

– Kto to?

– Ja nie... – Urwałem, charcząc i zacinając się niczym AMC gremlin. Granuaile zatrzymała łódź, posługując się splotem, którego nauczył nas Manannán. Pozwoliła mi gapić się przez chwilę, żebym mógł zebrać myśli, nim ponowiła swoje pytanie.

– Atticusie? Kto to?

– Nie. Nie wiem, co z tego będzie. – Pokręciłem głową. – Znaczy się, skoro już go tu zobaczyłem, to przecież muszę go stąd wydostać, ale to się może okazać bardzo złym pomysłem. Albo genialnym. Zależnie od tego, czy będzie chciał nam pomagać, czy nie. Ale jeśli się okaże, że jednak nie, to nie chcę cię w to wciągać. Bezpieczniej będzie, jak cię przy tym nie będzie.

Granuaile skrzyżowała ręce.

– Nie. Wybij sobie z głowy takie rozwiązanie. Sama potrafię o siebie zadbać, jak ci dobrze wiadomo. Powiedz mi więc wreszcie, kto to jest.

– Źle mnie zrozumiałaś. Wiem dobrze, że potrafisz o siebie zadbać, i wcale się o ciebie nie martwię. Boję się, że raczej to ty go zabijesz niż na odwrót. Powie coś okropnego i po prostu nie będziesz miała innego wyjścia, jak go sprzątnąć. Nie, bardzo mi przykro, ale to sprawa prywatna i musi taka pozostać, póki nie ustalę, w jakim stanie jest jego umysł.

Granuaile uniosła brew i wskazała go ruchem głowy.

– Wystarczy jeden rzut oka, żeby to określić – stwierdziła z przekąsem.

Znów spojrzałem na jego furiacki wyraz twarzy.

– To nie takie proste – wybąkałem. – On zawsze tak wyglądał. Może to w ogóle jest na przykład mina wyrażająca radość. Licho go wie.

Wróciliśmy na brzeg. Goibhniu zastaliśmy w jego kuźni. Pracował nad jakimś prywatnym projektem. Wijące się smugi kutego żelaza układały się w groźną postać o rozwianych, czarnych włosach.

– Czy to...?

– Morrigan – dokończył Goibhniu. – Mamuśka nie jest zbyt szczęśliwa, że kuje ten pomnik, ale może się wypchać. Ten duch mnie naprawdę rusza, cholera. Wiecie, Morrigan śniła mi się kiedyś po nocach, w koszmarach, dodam dla uściślenia, ale teraz już za nią tęsknię. Tu się wstawi rubiny zamiast oczu i jakieś faeryczne światełko za nimi, żeby świeciły.

– Niesamowite.

– Dzieki. – Zdjął okulary ochronne, otarł rękę o fartuch i szeroko się uśmiechając, podszedł uściśnąć mi dłoń. – Dobrze cię widzieć żywego, Siodhachanie. Trochę się nasłuchałem o tych twoich kłopotach z Olimpijczykami od twojej przyjaciółki. – Wskazał Granuaile i do niej też się uśmiechnął. – Witaj. I ty również, Oberonie. Tak miło was zawsze zobaczyć.

Oberon zaszczekał i zamachał ogonem, a Goibhniu pogłaskał go po łbie.

– Na moje oko bardzo ładnie ci się wszystko pogoilo – powiedział bóg do Granuaile, po czym, zwracając się też do mnie, spytał: – Nie napilibyście się ze mną piwa? Krąży o was tyle plotek, ale wolałbym dowiedzieć się wszystkiego z waszych ust. Poza tym mamy przecież interes do obgadania.

Miał pewnie na myśli nagrodę wyznaczoną za wampiry.

– Z przyjemnością.

– Bardzo chętnie – dodała Granuaile.

– Wyśmienicie. I nie martw się, Oberonie – powiedział Goibhniu. – Dla ciebie też mam coś na ząb.

<Jak to jest, że to nie Goibhniu tu rządzi? Facet ma naprawdę słusznie uporządkowane priorytety>.

Wyszliśmy za Goibhniu z kuźni i przeszliśmy do browaru obok, gdzie usiedliśmy w barze z ciemnego drewna i mosiądzu. Spędzało w nim czas kilka faerii, ale na mój widok natychmiast prysnęły z knajpy. Przekazałem więc Goibhniu skondensowaną wersję naszej ucieczki przed Olimpijczykami, a on nalał nam po piwie i nałożył każdemu z nas po misce potrawy z jagnięciny. Oberon swoją porcję wychłęptał za barem. Opowieść zakończyłem relacją z niełatwego zawarcia rozejmu z Zeusem i Jowiszem. Wycieraliśmy już chlebem resztki potrawy z misek.

Goibhniu pokręcił głową z zastanowieniem i uniósł kufel.

– *Sláinte*, chłopcze. Podoba mi się, jak wszystkich podrywasz do tańca.

Stuknęliśmy się kuflami i spytałem:

– Co ci wiadomo o Wyspie Fanatyków?

– Że jest cholernie trudno kogokolwiek z niej wyciągnąć, jak już raz na nią trafi. – Kowal mrugnął.

– Dlaczego?

– Czas płynie tam tak wolno, że jeśli się ich próbuje wyciągnąć, to naprawdę trudno im przy tym nie połamać kości. Część z nich od setek lat nawet nie mrugnęła.

– Po co więc tam kogokolwiek pakować?

– Wysyłałiśmy tam tylko dupków, z którymi naprawdę nie wiedzieliśmy, co zrobić. W nadziei, że jak już kiedyś coś wykombinuję, to ich stamtąd wyciągniemy.

– A. Czyli jednak da się ich jakoś wyciągnąć?

– Chwila. Mówisz, że eksperymentalnie zabiliście paru ludzi? – spytała Granuaile, a w jej głosie słychać było ociupinkę furii.

Goibhniu odpowiedział jej zamiast mnie.

– No tak jakby, ale jak już wspominałem, to były ostatnie dupki. W większości wikingowie, którzy latali nam tu po irlandzkich wybrzeżach, gwałcąc i rabując. Chociaż, jak tak się nad tym zastanowić, to nadal pakujemy tam wszelkich dupków, jacy nam się nawiną. Tylko że teraz już wiemy, jak ich wyciągnąć bez zabijania. Raczej.

– Jak to raczej? – spytałem.

Goibhniu wzruszył ramionami.

– To nie takie proste. Byliście tam? Widzieliście, jaki sprzęt tam poinstalowałem?

Przypomniałem sobie tę dziwną maszynę, którą widziałem nad wyspą, więc skinąłem głową.

– No, to za jej pomocą mogę ich stamtąd wyciągnąć. Bańka czasu ma niski sufit.

Wsuwamy pod nich ultramiękką materac i wyciągamy całość. Rzecz w tym, że to prawie zawsze połamie im jednak nogi, bo od nóg zaczynamy, żeby upadli do tyłu. Czasami złamie nam

się jeszcze coś przy okazji, ale zwykle jednak nie są to śmiertelne obrażenia.

– A wyciągnąłbyś mi kogoś?

– Kogo?

Spojrzałem niepewnie na pilnie słuchającą Granuaile.

– Wolałbym nie wymawiać jego imienia – powiedziałem – ale zostawiła mi go tam

Morrigan.

Goibhniu wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

– Uprzedziła mnie, że ktoś się kiedyś do mnie w tej sprawie zgłosi, ale nie myślałem, że już. A już na pewno nie myślałem, że to będziesz ty.

– Wiesz, o kim mówię?

– Nie. Powiedziała tylko, że zostawiła tam kogoś i że w przyszłości ktoś, ale nie ona, poprosi mnie, żebym go wyciągnął. Zapłaciła mi też niebotyczną ilość garnicy ze złotem za to, żebym tego gościa wydostał z wyspy i upewnił się, że wydobrzeje.

– Ale nie wiesz, kto to?

– Nie. Powiedziała, że ktokolwiek się po tę osobę zgłosi, będzie ją potrafił zidentyfikować.

Teraz to mnie zupełnie zatkało. Biorąc pod uwagę, jak dawno musiała go tam umieścić, wychodziło na to, że zastanawiała się nad samobójstwem już bardzo, bardzo dawno temu. Albo wywróżyła mu, że musi odegrać jakąś rolę w nie swoich czasach.

– No dobra. To chciałbym, żebyś zjrzał na północną stronę wyspy i wyciągnął mi staruszka w zimowych ciuchach, wskazującego coś na brzegu z otwartymi ustami. Nie da się go przeoczyć. Zobaczysz gigantyczne brwi i od razu będziesz wiedział, że to on.

– Zrobione – powiedział Goibhniu. – Znaczy, będzie zrobione za dwa tygodnie. Mniej więcej tyle to zajmuje.

– Świetnie – ucieszyłem się. – A co tam u cisowców?

– Ech, do tego to nam się przyda następne piwko. To jest naprawdę dobre. – Wziął nasze puste kufle. Wrócił za bar i przy okazji sprawdził, jak się ma Oberon, który przysnął, opchawszy się potrawką z jagnięciny. – Słyszeliście, co zrobili pierwszej nocy, nie? – spytał bóg piwowarstwa, wkładając stare kufle do zlewu i wyciągając nowe. – Wyeliminowali wszystkie wampiry w całym Rzymie. Było to wspólne przedsięwzięcie kilku zastępów. Potem rozproszyli się i dali sobie dzień na znalezienie następnych celów. Tymczasem reszta wampirów na całym świecie obudziła się w nocy i część z nich skapnęła się, że nie słyszą żadnych rozkazów od przełożonych. Kilku polecało od razu się dowiedzieć, co się stało, i rozpętał się zupełny chaos. Bardzo różnie reagowali. Część zaraz się okopała i pozamykała w domach, żeby przeczekać niepewny czas. Inni posłali do Rzymu swoich ludzi, żeby przejęli dla nich miasto. Niektórzy upierają się, słusznie zresztą, że walka o Rzym jest zupełnie bez sensu, bo nie jest on już centrum wampirzego świata, a zarazem twierdzą, że to ich miasto ma być nową stolicą, czy jak to tam zwał.

– O. I jakie miasta są proponowane na nowe stolice?

– Sztambuł, Las Vegas i Paryż, z tego, co słyszałem.

Byłem niemal pewien, że padną tu Saloniki, co by oznaczało, że uaktywnił się Theophilus, ale też z drugiej strony pasowało mi do niego takie zachowanie. Wycofał się i pozwolił innym walczyć o władzę. Był raczej z tych przywódców, którzy wolą kryć się w bezpiecznym cieniu. Był w tym bardzo podobny do swojego tajemniczego współpracownika spośród Tuatha Dé Danann.

Goibhniu przyniósł nam piwo i zwróciłem uwagę, że jest inne niż poprzednie.

– To mój Ballyshannon Blond Ale – powiedział.

Stuknęliśmy się i wypiliśmy ze smakiem pierwszy łyk.

– Czy po Rzymie cisowcom udało się jeszcze kogoś dorwać? – spytałem.

– O, tak – zapewnił mnie Goibhniu, kiwając głową. – Uderzają mniej więcej co drugi dzień w całych Włoszech. Doprowadzają krwio pijców do szału. Wampiry bez końca ulepszają swoje codzienne zabezpieczenia i syczą jeden na drugiego, a ja tu sobie siedzę, zajadam popcorn i pękam ze śmiechu.

– Ile się tego nzbierało?

– Udaje im się ubić coś między dwudziestoma a trzydziestoma każdej nocy, ale to tylko co drugą dobę. Jak dotąd sto sześćdziesiąt trzy wampiry wreszcie są naprawdę martwe.

Był to zaledwie ułamek światowej populacji wampirów, ale – z tego, co mi było wiadomo – takiego ciosu nie przeżyły od dobrych kilku tysięcy lat. A w dodatku nastąpił on na terytorium, które od wieków uważały za bezpieczne i które zamieszkiwały najpotężniejsze z nich.

– To mamy całkiem sporo nagród do wypłacenia. Czy mogę ci przynieść te pieniądze plus jakąś zaliczkę na poczet następnych, jak przyjdę odebrać tego człowieka z Wyspy Fanatyków?

– Jasne, jak najbardziej. Chcesz zobaczyć głowy czy mam je zniszczyć?

– Zniszcz je. Teraz interesuje mnie tylko jedna, ale ten wampir pewnie nie przebywa we Włoszech. Należy raczej do tych, co wysyłają tam tylko swoich ludzi.

Goibhniu zmarszczył brwi.

– Kto to taki?

– Na imię ma Theophilus. To on wyniszczył niemal zupełnie skutecznie druidów w starych czasach. To on wpadł na pomysł wykorzystania rzymskich legionów. On stał za organizacją.

Oczy tego bardzo z natury łagodnego boga błysnęły prawdziwym gniewem.

– Nie wiedziałem o tym. Kiedy to odkryłeś?

– Nie tak dawno temu. Kiedy ją splatałem – powiedziałem, wskazując głową Granuaile. – Poluje na nas. To dlatego chciałem zaatakować wampiry. Żeby miał się czym zająć. Ale oczywiście najlepiej by było po prostu go wyeliminować. Obawiam się jednak, że jest potężniejszy, niż daje to poznać.

– Hmm. – Goibhniu w zamyśleniu zabębnił palcami w swój kufel i spojrzał na mnie spod przymrużonych powiek. – Wiecie co... Na torfowiskach Morrigan rośnie kolejne sto cisowców, którzy nie mają zupełnie nic do roboty.

Granuaile od razu zrozumiała, do czego zmierza.

– Myślisz, że dałoby się ich też zrekrutować?

– Może. Załóżmy, że tak. To gdzie miałbym ich posłać?

– Podziel ich na cztery zastępy – podpowiedziałem. – Wyślij po jednym do każdego z tych miast, o których wspomniałeś, a czwarty zastęp do Salonik. A potem to już gdzie chcą.

– I w końcu będzie po wampirach – przyklasnęła pomysłowi Granuaile.

Jej zapał trochę mnie zaskoczył.

– A nie niepokoi cię los ich thrallów? Myślałem, że raczej uważasz takie rozwiązania za niegodne. Niemoralne.

– Pewnie normalnie tak bym to oceniła. Ale dużo o tym myślałam. Można wręcz powiedzieć, że ta sprawa mnie prześladowała. I moje zdanie na ten temat zmieniło się znacząco po tym, jak umarłeś, Atticusie...

– Chwileczkę – przerwał jej Goibhniu. – Umarłeś?

– Długa historia. – Machnąłem na to ręką i dałem Granuaile skończyć.

– Kiedy chodzi tylko o to, czy to będzie życie twoje, czy twojego wroga, decyzja

przestaje być taka skomplikowana. Oczywiście są jeszcze sprawy godności i sprawiedliwości, ale jeśli chodzi o wampiry i ich thrallów, to chyba raczej nie mają zastosowania. Każdy z nich zabiłby mnie bez chwili zastanowienia i naiwnością byłoby sądzić, że zmienia zdanie i pewnego dnia będą mi dobrze życzyć, jeśli tylko dziś zostawię ich w spokoju. Przecież ci thrallowie nie tylko zajmują się chronieniem potworów, ale robią to, żeby stać się takimi samymi potworami. Ja chcę chronić życie, a oni chcą je zjeść. To nie jest kwestia różnic politycznych czy religijnych, gdzie przemoc zawsze jest niedobrym rozwiązaniem. Wampiry chcą mnie zlikwidować. Jako że opuszczenie tej planety nie wchodzi w grę, jedyne wyjście to zlikwidować je szybciej niż one mnie.

Pokiwałem głową i starałem się za wszelką cenę utrzymać obojętną minę, ale w głębi ducha bardzo mnie to zasmuciło. Szczodrość Granuaile była kiedyś bezwarunkowa. Teraz zmęczona już była szczytą bezwzględności. Walka zawsze znieczula i zostawia niewiele miejsca na etyczne uprzejmości, a odkąd Granuaile stała się pełną druidką, widziała o wiele więcej bitew niż ja w ciągu całych kilku pierwszych lat w tym fachu. Zawsze wiedziałem, że z czasem straci wrażliwość, ale miałem nadzieję, że będzie jej dane nacieszyć się trochę dłużej cudownością jej nowych mocy bez używania ich do zabijania. Że będzie mogła radować się swoją więzią z Gają i być może nawet wyciszyć nieco tę nienawiść, którą zawsze żywiła do ojczyzny.

Jego egoizm miał na nią bardzo niebezpieczny, ale zarazem bardzo piękny wpływ. Determinacja Granuaile, by chronić ziemię, była bezpośrednim skutkiem jego zachowania, które postrzegala jako przestępstwo względem planety i które chciała ukarać. Kiedy byłem młody, też odczuwałem tę wściekłość – tak zresztą jak tyłu innych druidów. Nie ulegało wątpliwości, że Gaja potrzebuje wojowników. Ale podczas rewolucji przemysłowej uświadomiłem sobie, że taka wściekłość zatruwa mojego ducha. Nie mogłem zrobić nic, by powstrzymać świat przed przemianą, musiałem więc przemienić się razem z nim i szukać równowagi. Co nie znaczy, że Granuaile w ogóle nie miała w sobie tej równowagi, ale widziałem już, w którą stronę przesuwa się huśtawka, i żałowałem, że nie w przeciwną.

Nie odnosząc się nijak do jej słów, spytałem:

– Co się teraz stanie z posiadłością Morrigan?

– Bo ja wiem – westchnął Goibhniu. – Nie jest to najlepsza nieruchomość świata. Prawdę powiedziawszy, to dość ponure bagnisko, więc nikt się jakoś na nie nie rzuca. Pamiętasz tę starą jędzę Scáthach? Tę, co uczyła walczyć Cuchúlainna?

– Jasne.

– Obstawiam, że to ona przejmie tę ziemię.

– O. Nawet nie wiedziałem, że jeszcze tu jest. A co z obowiązkami Morrigan?

Goibhniu wziął głęboki wdech i westchnął ciężko przez wydęte policzki, nim zdobył się na odpowiedź.

– Manannán zajmie się tymi, którzy umierają. I tak już odwał połowę tej roboty. Myślę jednak, że nikt się jakoś nie pali do szafowania śmiercią i pieprzenia ludzi do krwi. Ludzie nadal będą się do niej oczywiście modlić i pewnie od czasu do czasu będzie mogła nawet zrobić to czy tamto z za zasłony tak, jak to czyni Lugh Lhámhfhada, ale nigdy już nie zobaczymy jej takiej jak dawniej.

Pewnie wynikało to z dużej zawartości alkoholu w piwie Goibhniu, ale jego słowa uderzyły mnie boleśnie i nagle zatęskniłem za Morrigan. Nadawała irlandzkiemu życiu specyficzną głębię goryczy. Strach, który siała, sprawiał, że spokój był tym cenniejszy; ból, który wywoływała, czynił zdrowie tym większym skarbem; nawet jej niezdolność do kochania sprawiała, że czułem tym większą wdzięczność za to, że potrafię kochać, a teraz – o wiele za

późno – zrozumiałem, że choć nigdy nie potrafiłbym obdarzać jej taką miłością, jak by tego chciała, powinienem był jednak bardziej ją kochać.

– Za Morrigan – szepnąłem ze ściśniętym gardłem i uniosłem kufel.

– Za Morrigan – powtórzył Goibhniu, unosząc swój. Był równie wzruszony jak ja.

Granuaile też do nas dołączyła, choć wyraźnie lekko zdezorientowana naszym zachowaniem i tylko z uprzejmości nie zwróciła nam uwagi, że się mazgaimy. Wiedzieliśmy aż za dobrze, że to koniec pewnej epoki. Słońce nie świeci nigdy tak jasno, gdy braknie ciemności, która stanowiłaby kontrast dla jego światła. Świat stał się odrobinę bardziej szary.

Epilog

Mieliśmy dwa tygodnie, zanim maszyna zainstalowana przez Goibhniu nad Wyspą Fanatyków da jakikolwiek rezultat, wykorzystaliśmy więc ten czas, by spełnić zaległą obietnicę. Nic nie mówiąc o naszych zamierzeniach mojemu psu, przenieśliśmy się do Massachusetts, do schroniska dla wilczarzy. To właśnie stąd wziąłem niegdyś Oberona i mieliśmy nadzieję, że znajdziemy tu jeszcze jednego psa, który by się nadał do adopcji. Oberon już zbyt długo był sam, a przecież obiecaliśmy mu jakąś towarzyszkę.

Po obu stronach głównego budynku rozciągała się wysoka siatka, a za nią olbrzymi, ponadhektarowy trawnik, który służył jako wybieg dla stada wilczarzy. Siedem psów zaczęło obszczekiwać nas i biegać wzdłuż ogrodzenia. Oberon zamachał ogonem i zaszczekał do nich na powitanie.

<Hej! Pamiętam to miejsce! Ja cię! Patrz tylko, ile tu jest wilczarzy, Atticusie! Czy mogę się z nimi pobawić?>

Mam nadzieję, że będziesz mógł. Granuaile musiałaby najpierw tam wejść i zobaczyć, czy znajdzie tu odpowiednią towarzyszkę dla was dwojga.

Zatrzymaliśmy się na zewnątrz, a Granuaile uśmiechnęła się i pocałowała mnie szybko. – Trzymajcie kciuki – powiedziała i weszła do środka.

<Towarzystwo?>

Musimy znaleźć taką sukę, która by się dogadywała zarówno z tobą, jak i z Granuaile, a przecież nie jest powiedziane, że od razu ją tu tak łatwo znajdziemy.

Oberon z przejęcia wyskoczył wysoko i obrócił się w powietrzu. Jeszcze kręcąc się w kółko, nawijał podekscytowany.

<Na Wielką Niedźwiedzicę, Atticusie! Nie żartujesz sobie, co? W końcu adoptujesz sukę?!>

Może, Oberonie, może. I to nie ja ją adoptuję, tylko Granuaile. Jeśli znajdzie jakąś bystrą psinę, którą obydwójce polubicie. No i ta suka musiałaby i ciebie polubić. Musisz być prawdziwym dżentelmem i zdobyć jej uczucie. Nie weźmiemy żadnego psa, który się nie będzie z wami dobrze dogadywał.

Entuzjazm Oberona nie zelżał jednak pomimo moich ostrzeżeń i zastrzeżeń. Kręcił się tak szybko, że robiło mi się już od tego słabo, a niezależny entuzjazm przejawiany przez jego ogon w końcu zaburzył mu równowagę i mój pies runął jak długi. Niezrażony skoczył na równe nogi i próbował wykonać jakąś gimnastykę artystyczną, z której wilczarze raczej nie słyną. Znow się przewrócił. Świadomy tego, że z radości nie ustoi w miejscu, zaczął się kręcić po trawniku przed domem, a każdy kawałek jego ciała był w ruchu.

<To najlepszy dzień mojego życia! W życiu nie miałeś lepszego pomysłu! To chyba nawet lepsze niż kielbasa! Czeka, czyżby? TAK! To jest lepsze niż kielbasa!>

Prawdę powiedziawszy, Oberonie, to nie ja wymyśliłem kielbasę. Ja cię tylko nią karmię.

<Nieważne, Atticusie, bo to i tak jest o niebo lepsze!>

Chcesz powiedzieć, że oddałbyś kielbasę za towarzyszkę życia?

<No jasne, to chyba oczywiste, nie?>

Strasznie mi się zrobiło głupio.

Przepraszam, że tak długo z tym zwlekaliśmy, chłopie. I pamiętaj, że możemy nie znaleźć tak od razu idealnej sukki, ale jeśli nie, to będziemy szukać dalej. Poszukiwania zostały rozpoczęte.

<Niech ja cię przytulę!> Oberon przetoczył się, wstał i skoczył na mnie, powalając mnie na ziemię.

– A! – wydarłem się, na wpół przerażony, na wpół ubawiony. – Złaż ze mnie, Oberonie!

<Jestem tak przejęty i tak szczęśliwy, że muszę ci porządnie podziękować! Nie ruszaj się!>

Próbowałem się wykręcić jakoś spod tej masy na mojej piersi, ale nie miałem jak. Udało mi się tylko przesunąć trochę biodra – ale nie na tyle, żeby Oberon nie zdołał się o mnie sugestywnie ocierać.

– Aa! Oberonie, przestań! – było to tak przerażające, że aż zabawne. Trudno mi było powstrzymać się od śmiechu. – Jeszcze ktoś nas zobaczy!

<A niech patrzą i zazdroszczą! Jesteś najlepszym przyjacielem na świecie i nic mnie obchodzi, czy ktoś się o tym dowie>.

Wilczarze za ogrodzeniem szczełały zachęcająco i ten harmider w połączeniu z radością w głosie Oberona i świadomością, jak to musi wyglądać dla kogoś z zewnątrz, przeważał szalę. Dostałem totalnej głupawki, a on dalej tarł o moją nogę i już zupełnie nie miałem się jak bronić przed nadmiarem jego pieszczot.

Psy szczełały, ja pękałem za śmiechu, a Oberon tarł, póki za płotem nie pojawiła się Granuaile z jakąś starszą panią i mnie nie uratowała.

– Co tu się dzieje, na litość boską? Oberon! Spokój!

Czułem, że jest naprawdę zażenowana. Nie takie chciała zrobić pierwsze wrażenie na właścicielce rancza. Musiała jeszcze wzmocnić to polecenie telepatycznie, bo Oberon przestał natychmiast i przeprosił pokornie – ją, nie mnie.

<Przepraszam, Bystra Dziewczyno. Ale tak strasznie się cieszę!>

Odsunął się i wytrzymał spokojnie może dwie sekundy, nim znów zaczął się kręcić w kółko. Odturlałem się na bok i naprawdę próbowałem opanować śmiech, ale nijak się to nie udawało, bo teraz byłem już naprawdę zawstydzony i Granuaile też, więc wszystko stało się jeszcze śmieszniejsze. Na szczęście właścicielka rancza nie była oburzona ani zszokowana. Gdy Granuaile wyjaśniła jej, że Oberon jest wyjątkowo przejęty i normalnie się tak nie zachowuje, staruszka pokiwała głową ze zrozumieniem. Dobrze przecież wiedziała, jakie są wilczarze.

Jako że skończyło się już przedstawienie za płotem, wilczarze skupiły się wokół kobiet. Przynęły się do Granuaile, przepychając się jak najbliżej jej rąk, a ona rozpaczliwie próbowała obiema rękoma głaskać wszystkie siedem psów naraz. W końcu wybrała jednego – kremową sukę o łagodnych oczach.

– Czy mogłabym spędzić chwilę z tą? – spytała właścicielkę.

Staruszka się zgodziła i gdy ruszyły w stronę domu, pobiegły za nimi wszystkie wilczarze, nie tylko suka, którą wybrała Granuaile. Oberon przestał się kręcić i nastawił uszu, gdy tylko zniknęły nam z oczu.

<Hej. A one dokąd?>

Muszą chwilę pogadać. Zaraz Granuaile podejmie decyzję, nie martw się. Połóż się tymczasem, to cię podrapię po brzuchu, żeby ci się czas nie dłużył.

<Dobra!> Oberon dał nura i wylądował przede mną na trawniku, nastawiając się

brzuchem. Zacząłem go drapać, ale niełatwo było unikać zderzenia z jego ogonem, którym wciąż wymachiwał zapamiętane.

Tylko pamiętaj, chłopie, że bez względu na to, którą sukę zaadoptujemy, na początku nie będzie potrafiła mówić. Będziemy ją musieli nauczyć.

<A, racja!> powiedział Oberon i nic więcej nie musiałem już mówić, żeby go zająć, bo zaraz zaczął wymieniać wszystkie swoje ulubione filmy, które z pewnością okażą się niezwykle przydatne, jeśli chodzi o dostarczanie nowego słownictwa dla suki. Chciał najpierw zacząć od *Pulp fiction*, ale zarzucił ten pomysł z obawy, że go zaczniesz wypytywać o to, jak wyglądał Marsellus Wallace. I jakoś nie wiadomo kiedy postanowił zacząć jednak od *Dumy i uprzedzenia* z Keirą Knightley, chyba głównie dlatego, że pojawiał się tam wilczarz. W końcu z domu wyłoniły się Granuaile i właścicielka rancza z kremową suką na smyczy.

Dobra, chłopie, czas pokazać się od najlepszej strony. Siadaj i ani drgnij. Rób, co ci każe Granuaile.

<Będę ucieleśnieniem konwenansów> obiecał i usiadł jak na wystawie psów, zupełnie nieruchomy, nie licząc ogona, który nadal walił jak szalony po trawie.

– Cześć, Oberonie – powiedziała Granuaile bardzo głośno i na pokaz. Psiarze są przyzwyczajeni do tego, że ludzie gadają do psów, i nie widzą w tym nic dziwnego. – Ta urocza dama to Orlaith. Przywitasz się z nią?

Oberon szczerknął krótko z zachwytem, ale mentalnie powiedział:

<Przywitałbym się, że hej! Jest taka piękna! Czy mogę już jej obwąchać tyłek?>

Granuaile musiała coś mu na to odpowiedzieć, bo nastąpiła chwila ciszy, a potem krótkie:

<Okej>.

Orlaith podeszła do niego z drgającymi nozdrzami i zadartym ogonem, a Oberon wstał równie przejęty sytuacją. Bardzo cierpliwie dał się jej obwąchać po całym pysku, po czym suka przesunęła nos w kierunku jego torsu i zsunęła się po nim niżej.

<Aha! I cel został namierzony!> zameldował Oberon.

Tyłek Orlaith znalazł się teraz oczywiście blisko jego pyska, więc obrócił łeb, żeby go sobie dobrze obwąchać. Ale wtedy przesunęły się też jego przednie łapy, a za nimi i tylne, przez co cały odsunął się od Orlaith. Próbowowała go dogonić, ale skończyło się to tym samym z jej strony, bo teraz jej tyłek odsunął się od Oberona. Nie minęła chwila, a już gonili się w kółko, pędząc za podniecającym zapachem, aż Granuaile musiała puścić smycz. Tempo ich pogoni wzrastało. Trudno było powiedzieć, jak długo zdołają się tak kręcić, nim w końcu na siebie powpadają. Ale oni już nawet nie próbowali się obwąchiwać, tylko biegali za sobą w kółko z pyskami rozdziawionymi w psim uśmiechu.

<Siedzi mi na ogonie! Nie mogę się jej pozbyć!>

Granuaile roześmiała się i spojrzała na mnie.

– Lubi go.

Uśmiechnąłem się i pokiwałem głową. Było to raczej widoczne gołym okiem, ale dobrze było też usłyszeć to z ust Granuaile. Póki co nie powinienem przez kilka tygodni próbować się kontaktować z Orlaith, dopóki nie nawiążą z Granuaile wystarczająco mocnej więzi.

Oberon też oczywiście usłyszał jej słowa.

<Naprawdę? Ja też ją lubię!>

– Myślisz, że się dogadacie? – spytałem.

– O, tak, bez problemu – zapewniła mnie Granuaile. – Jest bystra i bardzo słodka.

Oberon przerwał w końcu ich zakłęte koło i popędził przez trawnik, a Orlaith tuż za nim.

<Ale jest szybka! Nie umknę jej! Aaaaa!>

Oberon przewrócił się na ziemię, a za nim Orlaith, i potoczyli się jak jedna wielka kula sierści i łap, po czym rozdzielili się na dwa psy i tym razem to Oberon pogonił ją po trawniku.

Właścicielka rancza roześmiała się i powiedziała:

– Nie ulega wątpliwości, że przypadli sobie do gustu.

Granuaile klasnęła w dłonie z radości i pisnęła cicho.

– O tak! Chcielibyśmy ją przygarnąć, jeśli to możliwe.

Przedstawiła mnie kobiecie, która miała na imię Kimberly. Kiedy wziąłem stąd Oberona, ranczo należało do jej matki, a teraz ona je przejęła. Oczywiście nie mogliśmy jej powiedzieć, że Oberon też był stąd, bo był zdecydowanie za stary jak na normalnego wilczarza, ale w każdym razie mogliśmy jej pokazać, że umiemy się dobrze obchodzić z psami.

Oberonie, choć no tu na chwilę i pokaż tej pani, że może nam spokojnie powierzyć
Orlaith – poprosiłem, a na głos powiedziałem: – Oberon! Do nogi!

<Już lecę>.

Przybiegł do mnie, a Orlaith tuż za nim.

– Siad – wydałem polecenie. Usiadł. – Leżeć. – Wykonał i to. – Drapanie brzucha. – Przewrócił się na plecy.

<Ale nie każesz mi skoczyć sobie po piwo, co?>

Nic się nie bój.

– Do nogi.

Wstał, przeszedł do mojego prawego boku i spojrzał w tym samym kierunku co ja, wymachując ogonem. Orlaith stanęła po lewej stronie Granuaile, choć druidka nie wydała jej na głos żadnego polecenia.

Kimberly gwizdnęła cicho z uznaniem.

– Ho-ho, widzę, że znacie się na psach – pochwaliła nas.

<Łatwo jej zaimponować>.

Odwaliliśmy papierkową robotę i przekazaliśmy szczerą darowiznę na rzecz schroniska, a potem zabraliśmy Orlaith i przez Tír na nÓg przenieśliśmy się do chatki w Kolorado, żeby suka miała mnóstwo czasu na nawiązanie więzi z Granuaile i nauczenie się kilku pierwszych słów.

Będziesz musiał być bardzo cierpliwy, jeśli chodzi o gadanie Orlaith – wyjaśniłem Oberonowi. – *Jesteś już ze mną tyle lat, że nie pamiętasz pewnie, jak ciężko było na początku.*

<Pamiętam, pamiętam, Atticusie! Nic się nie martw, będę bardzo miły. To kiedy zaczniemy ją uczyć?>

Kiedy Granuaile uzna, że jest gotowa. Pewnie jednak nie tak prędko, chłopie. – Splecenie jej z Granuaile zbyt szybko może być dla Orlaith zbyt trudnym doświadczeniem. Muszę pamiętać wspomnieć o tym Granuaile. – *Póki co możesz przecież cieszyć się jej towarzystwem i bez mówienia, prawda?*

<Jasne! Ona jest wspaniała!>

Dni mijały nam szybko na tresurze i zabawie, aż znów nadszedł czas wracać do Tír na nÓg. Poprosiłem Hala Hauka, żeby zaczął likwidować moje aktywa i zamieniać je na złoto, a jeden z członków watahy miał za zadanie dostarczyć nam kruszec do chaty. Znów padło na Gretę. Była to już jej druga wyprawa do nas – a z Tempe nie było to wcale tak blisko – i dała nam jasno do zrozumienia, że nienawidzi jeździć samochodem. Zatrzymała go na drodze

i zatrafiła, nawet nie wysiadając. Gdy tylko podszedłem do okna kierowcy, otworzyła je i wyrzuciła na ziemię przede mną ciężki worek.

– Wielki wór złota to jeszcze rozumiem, ale żebyś musiała tu jechać całą drogę z tymi Girl Scout Cookies i whiskaczem? To cię wyniosło na zupełnie nowy poziom skurczybyczości – warknęła, po czym wcisnęła pedał gazu i pomknęła w dół wzgórza, zostawiając mnie w chmurze dymu.

Kaszlałem przez chwilę, ale z uśmiechem na twarzy. Wiedziałem już, co jej sprezentuję przy najbliższej okazji. Chwyciłem worek, pożegnałem się z Granuaile i psami, a potem zabrałem złoto, żeby zapłacić Goibhniu, czyli finansować dalej wojnę podjazdową z wampirami.

Kiedy dotarłem na miejsce i dopłynąłem kanoe do Wyspy Fanatyków, Goibhniu już wyciągnął jednego z jej mieszkańców ze strumienia wolnego czasu i umieścił go na prowizorycznym łóżku na łódce. Wypełniając przysięgę daną Morrigan, wziął sobie też do pomocy Fand, która teraz pochylała się nad mężczyzną i leczyła go swoimi uzdrowicielskimi mocami oraz cudownym bekonem ze świń Manannána Mac Lira – bo jak się można było tego spodziewać, połamał sobie kilka kości podczas wyciągania. Uśmiechnęła się, gdy się do nich zbliżyłem, i powiedziała:

– Aha, i oto twój wybawca! Pewnie chcielibyście porozmawiać. – Puściła do mnie oko i szepnęła: – Jest w świetnej formie. Jak na swój wiek. Nawet biorąc pod uwagę naszą pomoc.

Jej zdziwienie i zainteresowanie jego tożsamością było ewidentne, ale nie zadawała żadnych pytań.

Mnie bynajmniej nie zdziwiło to, że się szybko leczy, ale czułem, że lepiej będzie zachować jego tożsamość w tajemnicy jeszcze na jakiś czas. Zignorowałem więc jej niezwerbalizowane pytanie i powiedziałem po prostu:

– Dziękuję.

Skomplementowała jeszcze moją nową fryzurę, choć w jej głosie dało się wyczuć nutkę sarkazmu, po czym zostawiła nas na osobności.

Patrzył na mnie spod krzaczastych, białych brwi z dezorientacją malującą się na ogorzalej twarzy, z wielkim smakiem zajadając płat bekonu, który trzymał przy ustach w skrytej w rękawiczce dłoni. Wyraźnie mnie nie poznawał. Musiałem się zupełnie ogolić, bo większość włosów po lewej stronie czaszki wyrwały mi zębuszki, miałem więc teraz ledwie kilkutygodniowego jeża. Jego mrukliwy głos podszyty był poważnym poirytowaniem, gdy po staroirlandzku wycedził przez zęby:

– No, mówże coś, ty marna kupo gnoju.

Z zębów wypadł mu kawałek bekonu, jakby podkreślając dobitność tych słów.

Zwykle takie powitanie wywołałoby u mnie zapewnienie, że cieszyłem się minionego wieczoru towarzystwem jego matki, ale biorąc pod uwagę jego tożsamość, trochę stonowałem odpowiedź.

– Dobra wiadomość jest taka, że po tych wszystkich latach nadal żyjesz. Zła wiadomość jest taka, że po tych wszystkich latach nadal żyjesz.

Jego brwi uniosły się niczym węże walczące o dominację na jego twarzy, po czym nagle mnie rozpoznał, więc zbiegły się, by pełnić swoją podstawową funkcję – potężnego dachu nad paroksyzmem wściekłości.

– To ty?! Cholerny Siodhachan! – Z jego ust tryskała ślina zaprawiona kawałkami bekonu. Uznawszy, że to nie wystarczy, charknął czymś obrzydliwym i splunął tym na deski pokładu, nim dodał: – Niech to bogowie wezmą, jak długo ja siedziałem na tej po trzykroć przeklętej wyspie? Nikt mi nic nie powiedział. Polazłeś gdzieś i znów wszystko spieprzyłeś, ta?

Mój stary archdruoid nie zestarzał się ani trochę, odkąd Morrigan umieściła go na wyspie.
Był nadal tak uroczy jak zawsze.

Podziękowania

Na wypadek, gdyby to kogoś interesowało, zamieściłem na mojej stronie kilka atrakcji, które nie mogły się pojawić w książce. Po pierwsze, znajduje się tam mapa Google całego biegu przez Europę. Po drugie, znacznie dłuższa wersja *Zalotów do Étaín (The Wooing of Étaín)* opowiedzianych przez Atticusa. Linki można znaleźć na mojej stronie pod zakładką Goodies.

Specjalne podziękowania należą się Colinowi Wagenmannowi z Niemiec za informacje na temat geografii niemieckiej oraz za wyrażenie kwantyfikatora egzystencjalnego po Deutschkiemu. Jestem też bardzo wdzięczny Michelle Drew i Williamowi Cathcartowi z Wielkiej Brytanii za informacje na temat Parku Windsor i Frogmore House oraz Heather Blatt z Florida International University za jej nieocenioną pomoc ze średnioangielskim. Dr D. Forrest Taylor nauczył mnie paru rzeczy o toksynach i ich działaniu. Wszelkie nieścisłości są oczywiście moje, nie ich.

Żeby uprzędzić wszelkie spekulacje – podobieństwo między nazwiskiem moim a Herna Myśliwego jest zupełnie przypadkowe. Chyba żeby nie. Wiem, że moi przodkowie przyjechali do „kolonii” w szesnastym wieku z Londynu, więc teoretycznie mogli być jakoś tam spokrewnieni z historycznym Hernem (jeśli w ogóle takowy istniał), ale prawdę powiedziawszy, wydaje mi się to mało prawdopodobne. Hern strasznie mnie po prostu fascynuje, bo stanowi wspaniały przykład, jak historie (a może i bogowie) mogą zacząć żyć własnym życiem.

Nie mogę się dość nawychwalać mojego czytelnika-alfy Alana O'Bryana, mojego agenta Evana Goldfrieda oraz moich redaktorów z Del Rey, Tricii Narwani i Mike'a Braffa. Gdy słowa zawodzą, staramy się dużo pić i śpiewać na chwałę literackiej gawiedzi. Serio. Wcale nie śpiewamy tak źle. I śpiewaliśmy już także o was. Pewnego dnia stworzymy zespół heavymetalowy, który będzie się nazywał Thë Grätüitöüs Ümläüts i będzie śpiewał o śmierci i lingwistyce. Nasz pierwszy singiel będzie nosił tytuł *(Die)acriticäl Märks*.

Wielkie dzięki za czytanie i szerzenie wśród przyjaciół nowiny o tej serii. To jedyny powód, dla którego udaje mi się więcej pisać.

I wreszcie – dziękuję mojej rodzinie za miłość i wsparcie.

Od autora

Opowiadania związane z tą serią dotyczą zwykle osobnych przygód i nie są w sposób istotny związane z całością fabuły, ale to akurat zostało pomyślane i napisane jako integralna część Kronik Żelaznego Druida. To wręcz księga 4.5, której akcja rozgrywa się sześć lat po wydarzeniach opisanych w *Zbrodni i Kojocie*, a przed *Kijem i mieczem*. Nawiązania do wydarzeń opisanych w tym opowiadaniu pojawiają się zarówno w *Kijem i mieczem*, jak i w *Kronice wykrakanej śmierci*. Publikujemy je tutaj, na końcu księgi szóstej, ponieważ opowiadania rzadko drukuje się i sprzedaje osobno oraz z tej bardzo przyziemnej przyczyny, że zostało ono napisane, gdy *Kijem i mieczem* dawno już znajdowało się na zaawansowanym etapie procesu wydawniczego. Jednym słowem, to najszybszy sposób, żeby ten tekst trafił do waszych rąk bez dodatkowych kosztów z waszej strony. Dziękuję za wyrozumiałość i życzę miłej lektury!

Dwa kruki i (jedna) wrona

**Opowiadanie
Kroniki Żelaznego Druida**

Jak by to było, gdyby ludzie mogli się ślinić tak jak psy? Nie ma przecież żadnego piętnowania psów za ich ślinienie się, a tak patrząc na nie, wnoszę, że to musi być okropnie przyjemne, więc zazdroszczę im tej wolności. Nieraz mnie nachodziła chęćka poślinić się – po prostu są takie chwile w życiu, gdy żadna inna reakcja nie ma sensu – ale choć przeżyłem 2100 lat, i to w wielu krajach na całym świecie, nie spotkałem jeszcze kultury, w której takie zachowanie byłoby akceptowane albo chociaż nie spotykało się z potępieniem.

Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Mimo tej upartej odmowy ze strony wszechświata, który nijak nie chce zmieniać odwiecznych reguł wedle mojego upodobania, marzy mi się ostatnio, żeby jednak dało się wytrenować druida w pięciominutowym montażu rodem z filmów karate, zamiast męczyć się tak w pocie czoła przez dwanaście lat. Po pierwszych dziesięciu sekundach bezowocnego wysiłku uczennica nagle załapywałaby, o co chodzi, i uczyła się jak z płatka, a jej twarz rozpromieniałaby się cudownie, na co ja nagradzałbym wyżej wymienioną uczennicę ciasteczkiem albo powściągliwym skinieniem głowy. Uczennica rozkoszowałaby się chwilę chwałą swojego osiągnięcia, po czym przechodziła na kolejne dziesięć sekund do następnego zadania i tak dalej, aż triumfalna muzyka i przybite piąteczki ogłosiłyby światu nasze zwycięstwo i zakończenie jej edukacji. Rozpromienilibyśmy się potem znów w radosnych uśmiechach aktorów reklamujących fast foody, którzy mają zwyczaj beztriosko chichotać, gdy pochłaniają dość tłuszczu, by ich serca eksplodowały jak mięsne granaty.

Ale treningi z moją uczennicą Granuaile zupełnie tak nie wyglądały. Ukształtowanie jej umysłu i przygotowanie jej do druidyzmu było monotonne i trudne dla nas obojga, lecz z największym niebezpieczeństwem wiązała się praca nad jej ciałem. Było ono mniej więcej tego rodzaju, z jakim musiał się zmierzyć sir Galahad w zamku Czyrak. Czytaj: oszałamiające napięcie erotyczne.

Co roku z okazji przesilenia zimowego dawałem mojej uczennicy w prezencie całą szafę luźnych bezkształtnych swetrów, a ona co roku kupowała sobie obcisłe, dopasowane do sylwetki ubrania na lato. Wytresowałem nawet mojego wilczarza irlandzkiego Oberona, żeby pomagał mi jakoś przez to przebrnąć i był moim Lancelotem za każdym razem, gdy szczeka mi opadała przy Granuaile, a zdarzało się to znacznie częściej, niżbym chciał. Ona ćwiczyła wykopy, pchnięcia i rozmaite pozycje, a gdy tylko zaczynała się od tego pocić, zaraz mi przychodziły do głowy różne inne sposoby na spocenie się i już musiałem wołać go na ratunek.

Stawię czoło niebezpieczeństwu... – zaczynałem się łamać.

<To zbyt niebezpieczne> uświadamiał mi Oberon, a wtedy musiałem mu dać smakołyk, co z kolei zmuszało mnie do oderwania oczu od Granuaile i skierowania myśli na bardziej przyzwoite tory. Może i nie brzmi to zbyt rozsądnie, ale to była kwestia przetrwania. Niestety po jakimś czasie Granuaile wyłapała podejrzaną zasadę w moim zachowaniu.

– Sensei? – spytała.

– Tak?

– Dlaczego zawsze wychodzisz w połowie treningu i dajesz Oberonowi przysmak?

<By ukoić swoją SZALONĄ NAMIĘTNOŚĆ...>

– Co? No, wiesz, taki z niego grzeczny piesek.

<By ugasić PAŁAJĄCĄ ŻĄDZĘ...>

– To prawda, ale jest grzeczny cały czas, a ty przerywasz tylko nasze treningi, nic innego, i tylko wtedy dajesz mu te przysmaki.

<By ukryć górującą nad wszystkim WIEŻĘ POŻĄDANIA...>

– Czasami go nagradzam za używanie dużych słów. A kiedy indziej za to, że się zamknie na czas.

<By utulić PRZEMOŻNĄ TĘSKNOTE...>
Teraz na przykład mógłbyś się zamknąć.

<Jeśli dostanę za to przysmak, to czemu nie>.
Zgoda.

– I co takiego właśnie powiedział? – spytała Granuaile.

– Przykro mi, ale to informacja niejawna.

Oberon zaczął ciężko dyszeć, a Granuaile zmrużyła oczy. Wiedziała dobrze, że mój pies się śmieje, niech go piorun trzaśnie. Teraz będzie drażyła sprawę, póki się nie dowie, co go tak rozbawiło.

Nieoczekiwanie uratowało mnie pojawienie się wyjątkowo wielkiej wrony. Jej „Krrra!” osiągało poziom głośności przeciętnego klaksonu. Wylądowała na dachu przyczepy i przestraszyła nas wszystkich, w tym Oberona, który zaczął na nią szczekać. Oczy ptaka błysnęły czerwienią i wilczarz przestał natychmiast, spuszczając łeb i podwijając ogon.

– Morrigan? – upewniłem się.

Czerwony blask zniknął z oczu wrony, gdy przechyliła główkę i przemówiła zachrypłym tonem:

– Niespodzianka, Siodhachanie. – Celtycka Szafarka Śmierci nigdy nie nazywała mnie Atticusem. Jej łebek obejrzał się w stronę mojej uczennicy. – Witaj, Granuaile.

– Co się stało? – spytałem od razu, bo Morrigan nie miała zwyczaju składać wizyt w celach towarzyskich.

Dopiero wtedy zorientowałem się, że powinienem był przecież zaoferować jej najpierw coś do picia albo w jakikolwiek inny sposób odwołać się do zwyczajów gościnności, ale Morrigan była na szczęście zbyt skupiona na zadaniu, żeby zauważyć moje złe maniery. Załopotana skrzydłami i oświadczyła:

– Mamy sprawy do załatwienia. Nie będzie cię co najmniej tydzień, może dwa. Nie weźmiesz z sobą niczego, nawet broni. Przemień się w ptaka i lećmy.

– Czekaj, czekaj, przydałoby mi się nieco dłuższe wyjaśnienie sytuacji. Czy mogę zabrać ze sobą uczennicę albo psa?

– Nie. Zdecydowanie nie. Nasze sprawy ich nie dotyczą.

<Mnie to nie przeszkadza. Naprawdę mogę zostać> pospieszył z zapewnieniami Oberon. Spojrzałem niepewnie na Granuaile, ale wzruszyła ramionami.

– Mówisz, że nie będzie nas dwa tygodnie?

– Nie dłużej. Lecz musimy wyruszyć natychmiast. Pospiesz się.

Nie byłoby mądrze się z nią spierać. Ale spędzać z nią tydzień – może dwa – też nie było mądrze.

Mój koniec bliski, nie?

<Ano. Miło było być twoim psem>.

Twój koniec nie jest aż tak bliski – raczyła mnie pocieszyć Morrigan i dopiero wtedy przypomniałem sobie, że przecież potrafi czytać mi w myślach, a w każdym razie na pewno odbiera te, które nadają do Oberona. – *Ale będzie bardzo bliski, jeśli się nie pospieszysz.*

– Zrób sobie kilka dni wolnego, jeśli chcesz – zwróciłem się do Granuaile. – Zasłużyłaś na odpoczynek. Ale nie przestawaj ćwiczyć języków i trenować każdego dnia.

– Dobrze, sensei. Może skoczmy z Oberonem do Durango. – Mieszkaliśmy w Many Farms, jakieś sto mil na południowy zachód stąd. Granuaile wskazała mi swoje włosy. Były

przefarbowane na tak ciemny brąz, że właściwie czerń. – Zajmę się tym syfem. Już najwyższy czas.

Pokazały już się u niej odrosty, a to znaczyło, że u mnie pewnie też. Nasze żalosne fałszywe tożsamości sprawdzały się bardzo dobrze w oddalonych zakątkach. Trzymaliśmy się z dala od ludzi i wszyscy mieli nas gdzieś. Poza naszymi raczej zenującymi nazwiskami – Kojot oczywiście musiał nas zrobić, jak to on, i przez niego nazywaliśmy się Sterling Silver i Betty Baker – podobało nam się to spokojne życie w Many Farms. W sumie Kojot wyświadczył nam wielką przysługę, a sam też był niezwykle zadowolony z rozwoju swojego projektu opartego na odnawialnej energii, przy którym trochę mu pomagałem. Przez te sześć lat jego plemię naprawdę zaczęło się lepiej mieć. Kopalnie węgla zupełnie zamknięto, a przedsięwzięcie Kojota tworzyło mnóstwo nowych miejsc pracy.

– Dobra. Wiesz, co masz robić, w razie gdybym nie wrócił, tak?

– Tak, tak, mam zadzwonić do Hała Hauka – potwierdziła Granuaile. – Ma twój testament. Ale przecież nie będę musiała nigdzie dzwonić.

– Mam nadzieję, że nie. To do zobaczenia.

Wskoczyłem do przyczepy, żeby się rozebrać przed przemianą, a Morrigan zakrakała niecierpliwie.

<Hej, Atticusie, bądź tak dobry i przywieź ze sobą jakieś gnu, dobrze?>

Tobie się wydaje, że gdzie ja się niby wybieram? – prychnąłem, wrzucając koszulę do kosza na brudy.

<A skąd mam wiedzieć. Po prostu zawsze chciałem tak powiedzieć. Czuję się jak prawdziwy boss, gdy tak żądam sobie gnu na kolację. Albo trochę jak doktor Seuss, który pewnie by powiedział: „Na kolację pędzę do utraty tchu. Ach, tchu! Dziś bowiem zjemy sobie pyszne gnu”>.

Jeśli miałeś chęć zapolować na gnu, trzeba było mi powiedzieć. Słuchaj, Oberonie, miej oko na Granuaile, dobrze?

<Zawsze mam>.

Gdy już pozbyłem się ubrań, włączyłem charms z naszyjnika, który splatał moją formę z puchaczem, i wyskoczyłem na próg.

Dzięki, chłopie. Wiszę ci jeszcze jeden przysmak. Choć Granuaile z pewnością będzie cię rozpieszczać pod moją nieobecność.

<Zawsze mnie rozpieszcza>.

Wyskoczyłem z przyczepy i zahuczałem do Granuaile na pożegnanie. Morrigan hałaśliwie zamachała skrzydłami i pofrunęła na południowy wschód.

Pospiesz się, Siodhachanie – powiedział jej głos w mojej głowie. Wzdrygnąłem się i poleciałem za nią. Nie lubiłem, gdy wchodziła mi do głowy, choć musiałem przyznać, że czasami było to bardzo wygodne. W przeciwieństwie do Morrigan nie potrafiłem na przykład mówić ludzkim głosem, gdy funkcjonowałem jako ptak.

<Dlaczego tak się spieszymy?> spytałem. Lecieliśmy w stronę kanionu de Chelly, gdzie znajdowało się drzewo splecione z Tír na nÓg, dzięki któremu mogliśmy się stąd przenieść gdzieś dalej.

Musisz nareperować tatuaż – odparła Morrigan.

<Ten na wierzchu ręki? Ale przecież jest zepsuty już od dobrych sześciu lat>.

Przeżyła mi go wielgachna szarańcza, dzięki Kojotowej próbie ratowania świata. Skutek był taki, że miałem teraz zaburzoną zdolność leczenia się. Kolorado (mam tu na myśli żywiolaka,

nie stan) pomagał mi, kiedy było trzeba, ale zawsze wiedziałem, że w końcu Morrigan będzie musiała się zabawić w doktora. Problem polegał jednak na tym, że w przeciwieństwie do większości lekarzy Morrigan nie wyznawała zasady „po pierwsze nie szkodzić”. Pozostali członkowie Tuatha Dé Danann myśleli, że nie żyję – przynajmniej taką miałem nadzieję – więc pozostawała mi tylko Morrigan jako jedyna osoba władająca dostatecznie dobrze atramentem.

Już dość z tym zwlekałeś.

Zamarłem, skrzydeł nie wykluczając, przez co z jakąś sekundę spadałem jak kamień, nim się otrząsałem z szoku. Morrigan naprawdę trudno byłoby zaliczyć do osób o wzorze osobowości A, które mają zwyczaj zamartwiać się z powodu zwlekania – z czymkolwiek i u kogokolwiek.

<Co się tak naprawdę dzieje? Przewidziałaś jakieś niebezpieczeństwo? Z jakiegoś powodu muszę się natychmiast leczyć?>

Wszystko po kolei, Siodhachanie.

<Dobra. To co się tak naprawdę dzieje? Nie martwisz się przecież o to, że zwlekałem z tatuażem>.

Nie odpowiedziała. Leciała dalej, jakbym w ogóle nic nie powiedział, i dała mi dużo czasu na uświadomienie sobie, że nie odpowie już na żadne moje pytania, czy zadam je wszystkie naraz, czy po kolei. Było to jak na Morrigan bardzo dziwne zachowanie. Zwykle bardzo chętnie mówiła mi o wszystkich okropnych gównach, w jakie miałem wdepnąć. Lubowała się wręcz w przepowiadaniu mi niechybnych nieszczęść. Nie mogłem więc pojąć, skąd nagle u niej taka małomówność. Byłem bardzo zaintrygowany.

Z kanionu de Chelly przenieśliśmy się w opuszczony rejon Tír na nÓg, gdzie nie groziły nam żadne ciekawskie faerie, a stamtąd na wilgotne, otoczone cisami szare torfowisko w Irlandii. Morrigan uważała je za swoje domostwo. Zaprowadziła mnie do tumulusa, który powinienem nazwać pewnie jej „domem” albo „posiadłością”, albo może oględniej „siedzibą”, ale żadne z tych słów zupełnie jakoś nie pasowało do tego miejsca tak dobrze jak wyraz „nora”. Morrigan była zbyt dzika na mieszkanie w domu, ale za to norę miała jak się patrzy. Rzuciło się w oczy, że dominującym elementem dekoracyjnym były tu kości. I czaszki. Mało który dom jest tak barokowo strojny w kości – szczególnie w takie, które jego właścicielka z pewnością podgryzała.

Wlecieliśmy prosto przez otwartą bramę w podłużny tunel oświetlony pochodniami, który poprowadził nas do dużej komnaty ze stołem i jednym krzesłem. Stał na nim dzban i wysoki puchar z rzeźbionego i polerowanego drewna. Było oczywiste, że Morrigan nie ma w zwyczaju przyjmować gości.

Bogini przemieniła się jeszcze w powietrzu, a jej stopy opadły lekko i z wdziękiem na podłogę przy stole. Próbowałem zrobić to samo, ale odkryłem poniewczasie, że ten wdźwięk to się jednak osiąga przez długotrwałe ćwiczenia. Byłem widać rozpedzony o wiele bardziej, niż mi się zdawało, bo wpadłem na stół z dość dużym impetem. Spanikowałem, gdy uświadomiłem sobie, że bardzo czułe części mojego ciała mogą zaraz ulec wgnieceniu w krawędź stołu, więc skręciłem się jak najmocniej i... rąbnąłem w stół biodrem. Czy wspomniałem, że stół był kamienny? Straciłem czucie w nodze i z głośnym jękiem runąłem na ziemię u stóp Morrigan.

Wybuchnęła histerycznym śmiechem. Słyszałem już nieraz jej śmiech, ale zawsze był to śmiech geniusza zła, a nie szczerze rozbawienie.

Leżałem na prawdziwej ziemi, nie na kafelkach, marmurze czy czymś takim. Nic nie powstrzymało tu naszego kontaktu z ziemią. Strzeliłem buraka, bo Morrigan śmiała się tak

bardzo, że niemal straciła dech w piersiach. Łzy płynęły jej strumieniami z kącików oczu. Wyglądała wręcz jak rozchichotana dziewczynka, ale oczywiście nie powiedziałem tego na głos, a nawet postarałem się pospiesznie przegnać z głowy tę myśl.

Widząc, że tak szybko się raczej nie uspokoi, postanowiłem wykorzystać tę chwilę na rozejrzenie się wokół. To odwróci moją uwagę od bólu w biodrze, nim mi przejdzie (gdybym pobrał z ziemi trochę mocy, żeby go wyciszyć, Morrigan poczułaby to i dostała z pewnością jeszcze większej głupawki).

Poza wejściem, którym wlecieliśmy do komnaty, znajdowały się tu jeszcze dwa inne. Były podobnie oświetlone i także usiane kośćmi pod ścianami. Nad głowami zwisał nam żyrandol z kutego żelaza ze świecami. Uzmysłowiłem sobie też, że komnata jest okrągła, jakby stanowiła sam środek kopca z trzema wejściami. Odnosiłem w ogóle wrażenie, że w zbudowanie tak skromnego pomieszczenia ktoś włożył zadziwiająco dużo wysiłku. Nawet nie było paleniska, na którym mogłoby wrzeć coś podejrzanego w jakimś saganie.

– Co to za miejsce?

Morrigan nie odpowiedziała od razu. Gdy już się uspokoiła, wyjaśniła mi to w następujących słowach:

– To miejsce rytuałów. Dla śmiertelników to miejsce tajemnic i strachu. Teraz, dzięki tobie, to także miejsce śmiechu.

Postanowiłem puścić ten przytyk mimo uszu.

– Nie widzę tu żadnego cierniowego krzaka.

Tatuaze, które splatały nas z ziemią, musiały być wykonane za pomocą żywej rośliny. Podczas tatuowania nad wszystkim czuwała poprzez nasze umysły sama Gaja.

– Przestrzenie rytualne są oczywiście ukryte. Chodź.

Wstała z ziemi i otrzepała się z kurzu. Też wstałem i lekko utykając, poczłapałem za nią w korytarz na lewo. Po jakichś dziesięciu metrach przystanęła i spojrzała na kościstą ścianę na prawo.

– Drzwi łatwo zobaczyć magicznym wzrokiem. Śmiertelnicy w ogóle ich nie widzą.

Nim jednak zdążyłem przełączyć się na magiczne widzenie, dotknęła niewinnie wyglądającej galki z kości i pchnęła ją jak przycisk. Kawał ściany przesunął się z sykiem do tyłu, a potem na lewo. Pneumatyka. Morrigan zarejestrowała zdziwienie malujące się na mojej twarzy.

– Wiem, że masz mnie za osobę staroświecką i oporną na zmiany – rzekła. – I pewnie nie bez powodu. Dalej przedkładałam miecz nad broń palną. Ale chyba jednak czegoś się od ciebie nauczyłam. Całkiem nawet wiele. Chodź.

Przeszła do wilgotnego wewnętrznego ogrodu, pełnego tlenu i zapachów kwiatowych, które aż drażniły nos. Szklany sufit przemieniał tę komnatę w oranżerię. Wzdłuż ścian pod sufitem wyryte były w ścianie sploty obfitości, płodności i harmonii. A pod nimi kolejne, które sprawiały, że sploty powyżej dotyczyły wszystkich żywych istot przebywających w pomieszczeniu. Należały one do tego rodzaju ogólnych splotów bez określonego celu, przed którymi nie bardzo mnie chroniła moja aura z zimnym żelazem. Musiałbym się zabezpieczyć konkretnie przed tym określonym splotem, jeśli nie chciałem paść jego ofiarą, ale szczerze mówiąc, nie widziałem takiej potrzeby.

Chwila. „Trzeba się nad tym zastanowić”, jak powiedział Hamlet. Harmonia z Morrigan?

I co nawet bardziej niepokojące: obfitość i płodność... z Morrigan?

Muszę jak najszybciej zmienić temat, choć znajduje się on tylko w mojej głowie.

Morrigan może go przecież tam zauważyć.

– Wiesz, Morrigan, już od dłuższego czasu chciałem pogadać z tobą o tym, jak

odniosłem tę ranę – powiedziałem, wskazując na moje blizny na prawej ręce. – Byłaś przecież wtedy tuż obok. Mogłaś pojawić się wcześniej i temu zapobiec. A jednak tego nie zrobiłaś. Mogłem umrzeć, a ty zламаłaś wtedy swoje słowo.

Morrigan prychnęła przez nos, zupełnie bagatelizując mój zarzut, a jeden z kącików jej ust uniósł się lekko.

– Po co w ogóle zawracać sobie głowę tym, co mogło się wydarzyć. Ze mną mów o tym, co się rzeczywiście wydarzyło.

– Cierpiałem zupełnie niepotrzebnie.

Na słowo „cierpienie” Morrigan przymknęła oczy z wyraźną przyjemnością i wydała z siebie łakome odgłosy.

– Czy potrzebnie, czy nie, to kwestia dyskusyjna. Ale przeżyłeś. Nie zламаłam więc słowa.

– Ale było naprawdę blisko, Morrigan. Tamten skórokształtny już mi rozdarł gardło...

– Przecież się zagoiło – weszła mi w słowo. – Nie zламаłam danej ci przysięgi. Nigdy przecież nie obiecywałam, że twoje życie będzie wolne od bólu i cierpienia. Choćby dlatego, że to by przecież źle wpłynęło na moje życie erotyczne.

Drgnąłem i odruchowo zrobiłem krok w tył. Morrigan zauważyła to i roześmiała się.

– A skoro już o tym mowa, to jak wygląda twoje? Masz w ogóle jakieś życie erotyczne?

– Tak, oczywiście – odparłem, starając się bardzo, żeby wypadło to rzeczowo, a nie żałośnie. Ale sztuka ta okazała się trudniejsza, niż przypuszczałem.

Nawet nie ukrywała niedowierzania.

– W tak małym miasteczku udaje ci się mieć kochankę?

– Nie. W weekendy jeździmy do Farmington albo Durango, czasami do Gallup czy Flagstaff. Obydwoje mamy tam rozmaitych partnerów, którzy są chętni do... spędzania z nami czasu.

– Twój talent do eufemizmów jest imponujący. Chyba nawet coś słyszałam o takim współczesnym modelu związku. To się nazywa *boogie call*.

– *Boogie*? A, blisko byłaś. Masz na myśli *booty calls*.

– To przecież powiedziałam. *Booty calls*.

– Powiedziałaś „boogie”... – Oczy Morrigan błysnęły na bardzo, bardzo krótko, ale to wystarczyło, żebym się zreflektował i odchrząknął. – Przepraszam. Coś się przesłyszałem. Rzeczywiście.

– Zatem twoja uczennica też ma te *booty calls*?

Wzruszyłem ramionami.

– Z tego, co wiem, to tak. To nie moja sprawa. Miała chłopaka na stałe, właściwie to chyba pięciu. Któryś jej się nawet oświadczył, ale go odrzuciła.

– I nie jesteś zazdrosny?

– Nie mam prawa być zazdrosny, bo postawiłem sprawę jasno. Nie może nas łączyć nic poza relacją mistrz–uczenica.

– Nie pytam cię o żadne zagadnienia prawne. Pytam o twoje uczucia. Jesteś zazdrosny o jej romanse?

Zawahałem się. Gdybym się upierał, że jest mi to zupełnie obojętne, skłamałbym. I był taki okres w naszych stosunkach, kiedy Granuaile może nieco nadgorliwie zwierzała mi się ze swoich wszystkich podbojów. Po tym, jak poznała swojego chłopaka w Durango, oświadczyła mi, że „był tak gorący, że mało mi przez niego jajniki nie eksplodowały”. Ale tak właśnie powinno być. Nie było żadnego powodu, dla którego Granuaile miałyby się zadowalać czymś innym niż najseksowniejszym facetem w okolicy. Tak jak nie powinna się zadowalać niczym

poza radością życia. Miałem nadzieję, że znajdzie kogoś, kto jej to zapewni, skoro ja nie mogłem. Jeśli zaś o mnie chodzi, to jakoś tak ostatnio mi się wszystkiego odechciało i mimo że nie skłamałem Morrigan, to w duchu musiałem przyznać, że dawno już nie wykonałem żadnego *booty callu*. W okolicy było naprawdę mnóstwo pięknych, uroczych, inteligentnych kobiet – szczególnie w miastach uniwersyteckich – ale przy Granuaile wszystkie one wypadały jakoś blado. Coraz bardziej skłaniałem się więc do życia bez żadnej, zamiast zadowalać się jakimiś namiastkami. To nie celibat, mówiłem sobie. To tylko wysokie standardy.

– Nie – powiedziałem w końcu. – Jest moją uczennicą, ale poza tym nie jest moja w żadnym innym sensie. Może troszeczkę zazdrości jej partnerom, ale nic poza tym. Cieszę się jej szczęściem.

– Szczęściem?! – prychnęła drwiąco Morrigan. – Żadne z was nie jest szczęśliwe. Wasze aury wprost wyją od stłumienia.

– To nie szkodzi – bąknąłem.

– Owszem, szkodzi. Tłumienie popędów seksualnych to dla Celta zachowanie niedopuszczalne.

Wzruszyłem ramionami.

– Lepsze już to niż męczenie się potem z sumieniofretkami.

– Co to są sumieniofretki?

– Takie dranie, co wbijają ci się w kark i łaskoczą, gryzą i ogólnie zamieniają życie w koszmar, co jest naprawdę niezłym osiągnięciem jak na zwykłą metaforę.

Poza tym sumieniofretki miały to do siebie, że były zupełnie odporne na logikę, co stanowiło pewnie ich najbardziej diabelską moc. Nie było żadnego powodu, dla którego miałbym czuć wyrzuty sumienia z powodu jakichkolwiek związków z innymi kobietami, bo przecież nie byliśmy z Granuaile razem, nie przysięgaliśmy sobie monogamii ani nic z tych rzeczy, a tymczasem i tak za każdym razem obskakiwały mnie sumieniofretki.

– Nie lubię wyrzutów sumienia – rzekła na to Morrigan. – To pomieszanie żalu, samooskarżania się i rozpaczania nad tym, czego już się nie da zmienić. To jak jedzenie popiołu na śniadanie. To bicz kleru, który ma utrzymać w ryzach świeckich; zapędzić owce do realizowania kodeksu moralnego, jaki się akurat spodobał ich pasterzowi. To katalizator samobójstwa i mnóstwa innych samolubnych aktów głupoty. Nie znam chyba bardziej niszczącego uczucia.

– Też za nimi nie przepadam – przyznałem.

– Po co więc zaprzątasz sobie nimi głowę? – spytała Morrigan.

– Bo niezdolność do odczuwania wyrzutów sumienia świadczy o tendencjach socjopatycznych.

Morrigan wydała z siebie pomruk, a jej dłonie uniosły się do jej sutków.

– Och, Siodhachanie, sugerujesz, że jestem socjopatką? Ty to potrafisz prawić słodkie komplementy.

Cofnąłem się o krok i uniosłem dłonie w obronnym geście.

– Nie. Nie chciałem ci prawić komplementu ani flirtować, ani nic.

– W czym problem, Siodhachanie?

– W niczym. Po prostu nie jestem słodki.

Morrigan spuściła wzrok.

– Dobrze. Tak czy siak, wygląda na to, że jesteś sztywny ze strachu.

Też spojrzałem w dół i stwierdziłem, że te cholerne sploty obfitości i płodności bynajmniej nie traciły czasu.

– Zignoruj tego faceta – powiedziałem, machając ręką na swoje doły. – Zawsze się wtrąca

w nie swoje sprawy i podnosi łeb, gdy go nikt nie chce.

– A jeśli ja go chcę?

Uśmieшек na twarzy Morrigan był niemal zalotny. Uczłowieczał ją i na chwilę zapomniałem zupełnie, że jest krwiożerczą zwiastunką śmierci, a uświadomiłem sobie, jak niesamowicie jest atrakcyjna. Przypominała trochę ilustracje Patricka Nagela, tylko że była oczywiście trójwymiarowa i o wiele seksowniejsza. Nie przychodziła mi jakoś do głowy żadna rozsądna odpowiedź, być może dlatego, że większość krwi, która miała podtrzymywać funkcje mojego mózgu, odpłynęła w inne rejony.

– Yyy... tego... Udawajmy, że powiedziałem coś inteligentnego. I nnn... – Ale nie byłem w stanie wypowiedzieć słowa „nie”. Chciałem, ale było to fizyczną niemożliwością. Próbowałem. – Nnn...

Morrigan roześmiała się i zbliżyła do mnie. Wzięła mnie za rękę. Zamarłem w oczekiwaniu na ból. Zachichotała jeszcze raz i pochyliła się, żeby szepnąć mi do ucha:

– Uspokój się, Siodhachanie. Nie masz się czego obawiać. Widziałeś sploty harmonii. Na mnie też działają. Ale jaka by to była harmonia, jeśli będziesz cały czas taki przerażony? Więc zrobimy to po twojemu. Ten jeden raz.

Harmonia – jak odkryłem – może być naprawdę przerażająca. To ona powstrzymywała mnie od powiedzenia nie. W obecności tych splotów nie można było otwarcie się z kimś nie zgodzić. W połączeniu ze splotami płodności i obfitości magia nakazywała mi dokładnie to, czego chciała Morrigan. To ja zaburzałem harmonię, więc na mnie skupiała się siła splotów. Przyszło mi do głowy, że powinienem po prostu wyjść z tego pomieszczenia, i udało mi się zrobić krok w kierunku wyjścia, póki moje nogi nie odmówiły przesuwania się w tę stronę.

– Czy musimy to robić? – spytałem w akcie desperacji.

– Ty tego potrzebujesz. I ja też. Ale potrafię być bardzo miła, gdy zechcę.

Jej słowa pieściły moje ucho miękkim, ciepłym oddechem. Poglaskała mnie delikatnie, żeby udowodnić mi prawdziwość swoich słów. Moje oczy same się zamknęły, ale otworzyłem je raptownie, gdy zrozumiałem, co się dzieje.

– Ale...

– Cii.

– Czy my się gdzieś nie spieszyliśmy?

– Dobrze będzie, jak poprzesuujemy kilka rzeczy w naszych najbliższych planach.

Pocałowała mnie, uciszając moje protesty, i rzeczywiście była bardzo miła. Ale fizyczna przyjemność nie przyniosła emocjonalnego spełnienia. Za to opadło mnie całe zoo sumieniofretek.

Druidzkie tatuaże nie należą do tych, które robi się w salonie u nadmiernie obwieszanej kolczykami osoby. Igła musi być żywa – innymi słowy: musi to być kolec żyjącej rośliny – a podczas tatuowania musi być obecna Gaja. To ona decyduje, gdzie idzie atrament, i to ona tworzy sploty, które pozwalają nam docierać do jej magii. Gdy kontaktowałem się z Gają sam, zajmowało mi to około tygodnia, ale z Morrigan osiągnęliśmy transopodobny stan fugi i złączyliśmy nasze umysły w ciągu zaledwie pięciu dni. Poprawienie tatuażu na wierzchu mojej dłoni zajęło nam kolejne dwa, a w tym czasie mieliśmy okazję porozmawiać między innymi o postępach Morrigan w jej pracy nad amuletem z zimnego żelaza. Człowiek chwytą się, czego może, żeby odwrócić myśli od tego, że go się ciągle kłuje czymś ostrym. Gaja nie pozwala wyłączyć w tym czasie bólu. Dary i talenty otrzymane bez bólu zbyt często bywają niedoceniane.

– Minęło już więc sześć lat – powiedziałem. – Jesteś pewnie gotowa, żeby spleść amulet z aurą?

Miałem wrażenie, że oczy Morrigan jakby nieco poczerwieniały i nie odpowiedziała od razu, więc postanowiłem nie pytać więcej i przemilczeć sprawę. Ku mojemu zdziwieniu sama wróciła do tematu po kilku minutach właśnie, gdy miałem poruszyć temat szydełkowanych przytulanek w kształcie superbohaterów i ich niezwyklej urokliwości.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek będę gotowa, Siodhachanie – powiedziała. – Sęk w tym, że trzeba do tego wzbudzić sympatię u żywiołaka. Nie jestem najlepsza we wzbudzaniu sympatii. Jeśli już coś budzę, to raczej strach. Ale żywiołaków nie da się zastraszyć, żeby mi splotły zimne żelazo z aurą. A ja potrafię je tylko odstraszać.

– Ale przecież z jednym ci już całkiem nieźle szło. Mówiłaś, że karmisz go mnóstwem faerii i że chyba cię polubił.

– Tak. Tylko że zaraz potem straciłam do niego cierpliwość i uciekł. I to samo się stało z dwoma następnymi. Jak się nazywa ta amerykańska gra, którą tak lubisz? Ta, w której gracze ma trzy szanse?

– A. Może masz na myśli baseball.

– Tak. Baseball. Zaliczyłam *strike out*, Siodhachanie... tak się mówi?

– Tak.

– Obserwowałam kilka z tych gier we wroniej postaci, bo tak cię fascynują.

– Naprawdę? Kogo widziałaś?

– Nie pamiętam. Trudno mi się było skupić, ale wydaje mi się, że jedna z drużyn była zadziwiająco dumna z koloru swoich skarpetek.

– A, tak! Boston czy Chicago?

– Boston. Chyba tak. Iluż tam jest wspaniałych młodych Irlandczyków. Przysiadłam na wierzchołku wielkiej zielonej ściany i rozumiem już, co cię pociąga w tej grze. Gracze cierpią wielce, a jednak zachowują stoicką minę.

– Podobało ci się ich cierpienie? Szczerze, to nie dlatego akurat podoba mi się ta gra.

– Jak może ci się nie podobać ich wewnętrzna walka? Bez względu na to, czy zrobią ten cały *strike out*, czy oddadzą punkt przeciwnej drużynie, czy popełnią jakieś inne drobne błędy, zawsze przepełnieni są wątpliwościami, obwiniają się za wszystko i nieustannie się boją, że ich kariera zaraz się skończy, że stracili talent czy umiejętność, która pozwoliła im na zawodowe granie, i drżą na myśl o tym, że publicznie się skompromitują. To wspaniały dramat. Nic dziwnego, że ludzie płacą, żeby to oglądać, i jeszcze wmuszają w siebie to źle uwarzone piwo, opychając się niskiej jakości mięsem w tubkach polanym keczupem i musztardą. Jakże tam się to nazywa?

– Hot dogi.

Wielkie dzięki dla Konfedera

– Dlaczego? Zawierają psie mięso?

– Mam wielką nadzieję, że nie. To taki idiom.

– Amerykanie to dziwny lud.

– Słuszna uwaga.

– Ale ta rozpacz, Siodhachanie! Jakże jest soczysta. Robią ten *strike out* i wracają na ławkę... zapomniałam jej nazwy...?

– Ławka rezerwowych. *Dugout*.

– Właśnie, *dugout*. Siedzą na tej ławce, przeklinają swój los i głośno oskarżają przeciwną drużynę o utrzymywanie stosunków edypowych z ich matkami.

– Że co? A, przepraszam, nie załapałem tak od razu. Na szczęście, Morrigan, motherfucking nie jest w Ameryce aż tak rozpowszechnionym problemem, jak to przedstawiają gracze baseballu.

– To mi ulżyło. W każdym razie potem żują gumę albo nasiona słonecznika, albo puszczają nowotworowe porcje tytoniu i usiłują zapomnieć o porażce, mimo że ich to bezlitośnie męczy. Opowiadają sobie sprośne dowcipy albo spekulują na temat orientacji seksualnej sędziów. A wszystko po to, by podnieść się na duchu na tyle, by przy następnej okazji mieć w ogóle jakąkolwiek szansę na sukces. Prawdziwe piękno tej gry kryje się w dugoucie, Siodhachanie. – Urwała i przełknęła, nim dokończyła znacznie ciszej. – I ja właśnie w nim siedzę, jeśli chodzi o splatanie amuletu. Nie udało mi się i muszę sobie teraz jakoś wmówić, że następnym razem jednak mi się uda.

– To nie ulega żadnej wątpliwości, Morrigan. Na pewno ci się uda.

– Obawiam się, że nie widzisz mojego problemu. Dla ludzi oznaczam tylko seks albo gwałtowną śmierć. Albo obie rzeczy naraz. Z rzadka jestem też uzdrowicielką ran. Ale nie jestem niczyją przyjaciółką.

– Ale, Morrigan...

– Cii, Siodhachanie. Nic, co powiesz, nie może przecież zmienić faktów. Jesteś dla mnie miłszy niż ktokolwiek, kogo spotkałam w swoim długim życiu, ale nawet ty się mnie boisz. Jesteś wspaniałym kochankiem, ale biorę sobie ciebie tak, jak każdego innego. Wiem, że nie otrzymuję przyjaźni, bo jej nie daję. Taka jest prawda i muszę stawić jej czoło w swoim dugoucie.

Nie wiedziałem, co na to powiedzieć. Być może to ta pojedyncza ła, która spłynęła po jej policzku, zupełnie odebrała mi mowę. Być może nie da się nic powiedzieć, gdy ktoś powie samą prawdę. Morrigan pociągnęła nosem i otarła łzę z policzka.

– Nie zdradziłabym się z tymi uczuciami, gdybyśmy nie byli spleceni z Gają w komnacie harmonii. Widzisz? Bez pomocy magii nie mogę obdarzyć nikogo zaufaniem ani w ogóle czymkolwiek. Potrafię tylko brać.

– Jeśli chodzi o branie, to powinnaś zabierać mnie czasem na mecze. Ja będę podziwiał grację pod presją, a ty rozpacz na ławce rezerwowych. Będziemy się obydwójce świetnie bawili. Będziemy sobie pogryzać cracker jacka i może kupimy ci jakąś fajną bluzę. Co ty na to?

– Chcesz tak po prostu... spędzić ze mną czas?

– Jasne. To właśnie robią przyjaciele. Co o tym myślisz?

Morrigan uśmiechnęła się, a oczy jej rozbliły.

– To prawdziwy dar. Będę ci bardzo wdzięczna.

– Jedziemy teraz do Norwegii – obwieściła Morrigan, gdy tylko opuściliśmy komnatę harmonii, obfitości i płodności i znów znaleźliśmy się w korytarzu pełnym piszczeli.

Jej ton natychmiast wrócił do zwykłego: chłodnej, rzeczowej chrypki, którą znałem aż za dobrze.

Czas znowu mieć się na baczności.

– Po co?

– Żeby zjeść wyśmienity posiłek. I spotkać się z pewnymi bogami, którzy zwrócili się do mnie z uprzejmą prośbą o możliwość zamienienia z tobą kilku słów.

– Z którymi bogami?

– Sami chcą ci się przedstawić.

– Ale to nie są bogowie nordyccy, co?

– Są.

– Nie mogę się z nimi spotkać!

– Musisz. Dałam im słowo.

– To nie mój problem.

Jej oczy wbiły się w moje i błysnęły czerwienią.

– Doprawdy? Chyba jednak jest to także twój problem, Siodhachanie.

Po naszej serdecznej rozmowie w komnacie harmonii ten powrót do starej, nieprzejednanej wersji był nieco przygnębiający.

– A nie moglibyśmy wrócić do komnaty harmonii i tam tego przedyskutować?

– Nie.

– Morrigan, ale ja miałem być martwy, pamiętasz? Przecież jeśli bogowie nordyccy dowiedzą się, że żyję, od nowa będą mnie chcieli zabić.

– Niektórzy i tak już przejrzeni twoją szaradę.

– Skoro niektórzy, to znaczy, że wszyscy.

– Bynajmniej. Chodź. Będziesz bezpieczny.

To zapewnienie, które miało mnie chyba uspokoić, zupełnie mnie nie pocieszyło. Nie dało się zapomnieć, że Morriganowa definicja bezpieczeństwa drastycznie różni się od mojej. Zakładała nieznośny ból i poważne obrażenia o krok od śmierci. Moja – piwo i wygodny fotel. A to, że uznała za niezbędne przed tą wycieczką odtworzyć moje zdolności leczenia się, oznaczać mogło tylko jedno: wiedziała, że będzie niebezpiecznie.

Ręka w rękę posłużyliśmy się jednym z cisów rosnących na jej torfowisku, żeby się przenieść z Irlandii do Tír na nÓg, a stamtąd do zimozielonego lasu na północ od Oslo. Przybraliśmy nasze ptasie postacie i poleciliśmy do miasta, gdzie w końcu sfrunęliśmy w jakiś wąski zaułek. Morrigan przemieniła się z powrotem w człowieka, w chwili gdy ostatnie promienie słońca zniknęły na zachodzie i pozostawiły nas w ciemności. Też się przemieniłem i poczułem się nieznośnie nagi bez miecza na ramieniu na terytorium wroga. Nie było na szczęście żadnych świadków naszej metamorfozy ani naszej nagości w miejscu publicznym. Morrigan rozplotła zamknięte na klucz drzwi i weszliśmy na tyły jakiegoś warsztatu krawieckiego.

– Pdraig! – zawołała. – Jesteśmy.

Rzuciłem jej pytające spojrzenie. Nie było to norweskie imię.

– Jest wielu ludzi poza granicami Irlandii, którzy mnie czczą, Siodhachanie – powiedziała. – Nie rób takiej zdziwionej miny.

– Oczywiście.

Zza czarnej zasłony wyskoczył niski jegomość o rumianej twarzy. Wytrzeszczył oczy na nasz widok i zaczął się kłaniać Morrigan, ale go powstrzymała.

– Nie mamy na to czasu – warknęła. – Po prostu daj nam ubrania.

– Już! – krzyknął z twarzą lśniąca radością i zniknął za kurtyną, za którą znajdował się pewnie warsztat.

– Jak miło – powiedziałem. – Masz fanboya.

– Sługę.

– Niuanse terminologiczne. Ale dlaczego nie odziejesz się po prostu w ciemność, jak to robiłaś przy mnie już tak wiele razy?

– Mamy się stawić bez żadnych splotów i zabezpieczeń. Mamy zakaz posługiwania się magią.

– Co takiego? To jakieś szaleństwo! Najpierw żadnych mieczy, teraz żadnej magii?

– Ich obowiązują te same zakazy. Postaraj się więc tego przestrzegać.

– Wybacz, że zwrócę ci uwagę, ale ci nordyccy bogowie, którzykolwiek to są, mogą nie czuć się tak zobowiązani do przestrzegania ustalonych zasad jak ty.

– To oficjalne zebranie bogów. Nie poważą się złamać żadnych reguł. Ja także nie.

Pdraig wrócił, nim zdołałem wyartykułować więcej zastrzeżeń. W lewej ręce trzymał czarną suknię wieczorową z jedwabiu i koronki, a w prawej smoking, który cisnął w moją

stronę. Suknię zaprezentował Morrigan oczywiście w znacznie wytworniejszy sposób. Jego oczy spijały jej ciało i dyszał coraz ciężiej. Morrigan nie mogła tego nie zauważyć, ale w żaden sposób tego nie skomentowała.

Jako że byłem zupełnie pewny, że Morrigan nie ma przy sobie żadnej gotówki, naprawdę nie chciałem zobaczyć, jak zamierza zapłacić Padraigowi za te dość drogie ubrania. Zacząłem się pospiesznie ubierać, licząc na to, że uda mi się zmyć, zanim będę musiał być świadkiem jakiejś tragedii.

Niestety o wiele łatwiej było wdziać suknię niż smoking. Włożyła ją przez głowę, poprawiła tu i tam, zaciągnęła zamek i już była gotowa. Suknia była olśniewająca – czarny jedwab w niektórych miejscach był matowy, a w innych lśniący. Koronkowy wzór piał się i wił po jedwabiu, podkreślając jej sylwetkę i ukazując nieco jej porcelanowej skóry. Koronka wiła się między piersiami, poczynając od lewej, a potem pod nimi, owijała się w jej talii, po czym znów się pojawiała na prawym biodrze, skąd opadała serpentyną na przedzie uda. Sukienka kończyła się tuż nad kolanem.

– Nie zapomniałeś chyba o butach, Padraigu? – spytała Morrigan.

Na twarzy Padraiga widać było panikę, gdy uświadomił sobie, że mógł popełnić tak niewybaczalny błąd.

– Nie! Nie! – jęknął, unosząc błagalnie dłonie. – Po prostu nie zdołałem ich tu przynieść razem z suknią i smokingiem. Już po nie biegnę.

I popędził za kurtynę.

Uniosłem pytająco brew.

– A ja też dostanę buty?

– Być może o tym zapomniał – odparła. – Jak go za to ukarzymy?

– Może nie karzmy, ale udawajmy, że ukaraliśmy – zaproponowałem. – Zostawmy biednego człowieka w spokoju.

– To by było nieludzkie, Siodhachanie – oburzyła się. – Tak się żarliwie modlił o moją przychylność. Wie dobrze, że musi za nią zapłacić.

– A jeśli nie ma jak zapłacić?

– Och, oni zawsze mają jak zapłacić. Czy to nie szekspirowski Szajlok tak się palił do wykrajania funta ciała? Lubię go. Też jestem gotowa wykroić funt. Albo dwa. Nigdy jakoś nie mam pod ręką wagi, gdy nadchodzi czas wziąć, co mi się należy.

Padraig wrócił z parą czarnych butów dla mnie i sandałami dla Morrigan – z tych, co mają mnóstwo pasków wijących się wokół łydek. Odsunąłem sobie krzesło, które stało przy biurku zasypanym stosem rachunków, usiadłem i zacząłem wciskać stopy w buty. Naprawdę bym wolał zostać boso, bo wszystko, co włożę na stopy, będzie mnie odcinało od ziemi, ale wyglądało na to, że Morrigan uparła się tak to wszystko zaplanować, żebym miał przekichane podczas spotkania z tym tajemniczym kimś. Mój niedźwiedzi charms był jednak prawie pełny, ponieważ podładowałem go jeszcze w lesie, nim odlecieliśmy, a wykorzystałem z niego tylko odrobinę, żeby przybrać z powrotem ludzką postać, gdy już dotarliśmy do miasta. Trochę mi było lepiej na myśl o tym, że jednak mam jakąś tajną broń, mimo że Morrigan upierała się, że nie będzie nam ona potrzebna. Była zbyt ufna – bardzo dziwne zachowanie jak na nią.

Zupełnie nie rozumiałem, co się z nią dzieje. Najpierw mało się nie popłakała ze wzruszenia, gdy jej zaproponowałem, żebyśmy skoczyli kiedyś razem na mecz, a teraz gada o wycinaniu funtów ciała człowiekowi, który się do niej modli. Tak jakby przez to, że przez chwilę zachowywała się miło i normalnie, musiała teraz nadrabiać i starać się zachowywać ekstradziko. Naprawdę się bałem o tego Padraiga. Chciałem mu powiedzieć, żeby uciekał, póki mu życie miłe, bo przecież to jest Morrigan, przez którą Irlandczykom śnią się koszmary po

nocach. Paski sandałów owinęły się wokół jej łydek, a ona sama zwróciła się do krawca tonem isticie jedwabistym (gdyby był to jedwab czule otulający ostrze noża):

– Wszystko jest chyba w porządku, Padraigu. Dobrze się spisałeś. Jesteś gotowy na zapłatę?

– O, tak! Jestem gotowy, bardzo gotowy – zapewnił ją gorliwie.

Kąciki ust Morrigan drgnęły, jakby była tym szczerze ubawiona.

– Zdejmij koszulę, Padraigu – wyszeptała bogini.

Poczułem, że robi mi się nagle gorąco, gdy włączyła swoje moce uwodzicielki. Zawsze uważałem, że są jeszcze potężniejsze niż te, którymi władają sukuby, ale w swojej komnacie nie musiała posługiwać się wobec mnie żadnymi, bo tam tę funkcję spełniały sploty płodności. Do pewnego stopnia chronił mnie przed jej zwykłymi mocami mój amulet, a tym razem to nawet przecież nie były one wymierzone w moją stronę, ale biedny Padraig nie miał żadnych szans. Dosłownie sapał, gdy rozrywał sobie koszulę i odrzucał na bok jej strzępy.

– Tak, Morrigan! – krzyczał. – Och, bogini!

Przód jego spodni poruszył się i napiął, jakby chciało się stamtąd wydostać jedno z obcych dzieci Ridleya Scotta. Morrigan położyła mu dłoń na piersi, tuż pod prawym obojczykiem, a on zadrżał od jej dotyku. Nagle jej paznokcie wydłużyły się i szerniały niczym szpony i wbiła się nimi mocno w jego pierś, po czym zaczęła ciągnąć je powoli na lewo w dół, przez całą jego klatkę piersiową. Padraig zawył i obydwie dłonie zacisnął na nadgarstku Morrigan – nie, żeby ją odepchnąć, ale żeby przycisnąć do siebie. Krew zaczęła się zbierać pod jej paznokciami i ciec strumieniami po jego żebrach i brzuchu. Padraig jęczał i zawodził, a jego biodra zaczęły poruszać się niekontrolowanie, gdy ona dalej rozrywała mu pierś.

Miałem tylko nadzieję, że tam, za zasłoną, nie czekali klienci. Zakłady krawieckie nie drżą zwykle od ryku bólu i ekstazy.

Padraig zawył, gdy paznokcie Morrigan wyrwały mu lewy sutek. Wypuściła go ze szponów, a on puścił jej nadgarstek i opadł na ziemię, drżąc i miotając się.

– Możemy już iść – powiedziała, przechodząc nad podrygującym ciałem krawca, i zniknęła za czarną zasłoną.

Zostałem sam na sam z facetem, który właśnie miał na podłodze krwawy, szaleńczy orgazm.

Odruchowo chciałem się pochylić i uleczyć mu rany, ale bałem się, że Morrigan mogłoby się to co najmniej nie spodobać. Nie wiedziałem zupełnie, jak się zachować.

– Yyy... Dzięki! To miłego dnia! – wybąkałem w końcu i poszedłem za boginią.

Za zasłoną, jak się okazało, było na szczęście pusto. Morrigan już szła w kierunku drzwi.

– Nie pomożesz mu? – spytałem, przekrzykując wycie Padraiga.

Przystanęła i spojrzała na mnie zdezorientowana.

– Przecież właśnie mu pomogłam, Siodhachanie.

– Traci mnóstwo krwi i po wydawanych przez niego dźwiękach wnioskowałbym, że cierpi.

– Tak, ale to również okrzyki rozkoszy. Będzie żył. A poza tym sam się o to prosił.

– Prosił, żeby go okaleczyć i... cokolwiek mu tam zrobiłaś?

– Będzie miał wytrysk jeszcze pięć kolejnych minut, a potem straci przytomność.

Zbladłem.

– To jest w ogóle możliwe?

– Tak. Kiedy się obudzi, doświadczy najintensywniejszego okresu twórczego w swoim życiu. Jego projekty sprawią, że będzie jednym z najbardziej rozchwytywanych krawców w całej Europie.

– O. I to o to cię prosił?
– Tak. Nie jestem boginią rzemiosła taką jak Brighid, ale robię, co mogę.
– Ale nie prosił o amputację sutka i blizny do końca życia, co?
– Ludzie, którzy zabiegają o moje względy, dobrze wiedzą, jaką jestem boginią – odparła. – Wciąż nie brakuje na świecie osób gotowych na faustowskie pakty. Zwykle koncentrują się one na wynikach raczej niż na kosztach ich osiągnięcia.

Odwróciła się, dając mi jasno do zrozumienia, że to koniec rozmowy. Westchnąłem z rezygnacją. Pozostawało jedynie mieć nadzieję, że Padraig uzna, że było warto.

Wyszliśmy z zakładu, pozostawiając za sobą uniesienie pokaleczonego krawca, i zawołaliśmy taksówkę. Morrigan nakazała kierowcy podwieźć nas na róg Kirkegata i Rådhusgata.

Znajduje się tam siedemnastowieczny budynek, w którym mieści się obecnie jedna z najwyśmienitszych restauracji. Jest to jedno z tych miejsc, w których musisz się przebrać, żeby w ogóle cię wpuścili, i nawet wykałaczkę są eleganckie. Kolacje składają się z czterech lub nawet sześciu dań, a profesjonalny kelner to nic – masz tu jeszcze przy swoim boku również kompetentnego sommeliera.

Ktoś kiedyś wpadł na pomysł, żeby przemałowić gmach na dość beczelny fiołkowy – i to taki wałący po oczach. Budynek miał dwa wysokie piętra i całkiem sporo okien w białych ramach, które bogom dzięki zmniejszały ilość fioletu w tym Wielkim Murze Fioletu. Nad szarym gzymsem rozciągał się czarny dach gontowy, który miał własną architekturę, bo też mieściło się tam pewnie nie jedno poddasze, ale dwa albo nawet trzy, a każde zaopatrzone we własne okna. Moją uwagę przykuł ruch na samym szczycie dachu. Na okapie siedziały dwa wielgachne kruki. Spoglądały wprost na mnie, ponuro i poważnie. Każdy z nich miał jedno oko lśniące na białą.

– Chyba przedawkowaliśmy na dziś Poego, co? – mruknąłem.

Morrigan zarechotała krótko na widok ptaków.

– Poego w to nie mieszaj. Rusz głową, Siodhachanie.

Niby wiedziałem, że mamy się spotkać z kimś z nordyckiego panteonu, ale...

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że on tu jest...

– Rusz głową – warknęła i trzepnęła mnie po gębie. – Nie jęzorem.

– Ale jak on...

I znów zabolalo.

– Racja. Przepraszam.

Morrigan głęboko odetchnęła i przymknęła oczy. Zaciśnięte pięści trzymała tuż przy boku. Po raz pierwszy zauważyłem u niej jakiegokolwiek objawy zdenerwowania tym spotkaniem.

– Jak wyglądam? – spytała, po raz kolejny mnie zaskakując. Jak to możliwe, że można być tak bezwzględny i zarazem niepewny siebie?

– Przerazająco. Zabójczo. Odrobinę ponętnie.

– Zawsze wiesz, co powiedzieć. – Uśmiechnęła się. – Chodźmy. I pamiętaj, żadnej magii.

W środku powitał nas z szerokim uśmiechem *maître d'hotel* – nienagannie wyszorowany i wystrzyżony mężczyzna w czarnej liberii. Zaprosił nas do stolika pod oknem w Cleopatra Salen, gdzie czekała już na nas ta sama bogini, od której wzięło się angielskie słowo na piątek. Wstała, żeby nas powitać.

Frigg lśniła blaskiem podobnym do tego wytwarzanego przez witraże. Jej uroda była niezwykle barwna i błoga, a jednak jakaś taka płaska i zwiewna, że z miejsca budziła podejrzenie, iż głębia być może nie należy do jej nielicznych grzechów. Pytanie brzmiało, czy ta głębia jest celowo ukryta, czy nie ma czego ukrywać.

Zachowywała się serdecznie, ale nieco sztucznie, jak chłopiec, któremu matka kazała być miłym dla cioci Ethel, „bo inaczej...”, ale ciocia Ethel należy do tych z włochatymi wąsami, więc bardzo trudno jest się powstrzymać od panicznej ucieczki, gdy się pojawia i koniecznie chce buziaka. Uprzejma mina Frigg i wręcz jakby uśmiech na ustach nie znajdowały żadnego potwierdzenia w jej oczach, chłodnych i nieprzyjaznych. Miała na sobie dopasowaną sukienkę do kolan w królewskim odcieniu błękitu i przepasaną szeroką czarną szarfą tuż pod zębami. Jej szyję otaczała jakaś błyskotka, w której było tyle diamentów, że akurat by starczyło, by przez rok utrzymywać kilka rodzin i stajnię pełną koni. Już miałem zobaczyć, jak to wygląda w magicznym wymiarze, gdy Morrigan chwyciła mnie za szczękę i szarpnęła nią w swoją stronę.

– Pamiętasz, co powiedziałam o magii? – warknęła po staroirländzku, żeby Frigg nie zrozumiała.

– Żadnej nie używać – wystękałem z trudem, bo nie poluzowała swojego żelaznego uścisku.

– Otóż to. Żadnej magii. A ty właśnie chciałeś mi tu rzucić magiczny wzrok, tak? Spójrz mi w oczy. Są brązowe, a nie czerwone. Bo nie używam magii. Ale wyobraź sobie, że są czerwone, Siodhachanie. Nie spuszcza z ciebie oka.

– Kumam.

Puściła i wtedy to ja poczułem się jak mały chłopiec. Tylko że nie udało mi się powitać cioci Ethel tak, jak powinienem był, więc natarto mi uszu. Spłonilem się i wymamrotałem szybkie przeprosiny po staronordycku, żeby Frigg wybaczyła mi moje maniery.

– Mów mi Atticus, proszę – dodałem.

– Dziękuję, że przyszliście – powiedziała i wskazała nam dłonią krzesła naprzeciwko. – Siadajcie, proszę.

Odsunąłem Morrigan krzesło, a gdy już usiadła, zająłem miejsce najbliżej okna. Nim zdążyliśmy cokolwiek powiedzieć, pojawił się sommelier, żeby powitać nas w Statholdergaarden i omówić nasze winne preferencje. Frigg zamówiła butelkę australijskiego shirazu, czym mnie nieco zaskoczyła. Musiało to być po mnie widać, bo zaraz się wytłumaczyła z tego wyboru.

– Każdemu się może znudzić miód z cycków magicznej kozy. Nie żebym narzekała na jakość tego trunku. Niechby mi ktoś pokazał lepszy napój wypływający z wymion jakiejkolwiek kozy. Ale trzeba dbać o urozmaicenie od czasu do czasu. Serwowane tu potrawy i napoje będą stanowiły miłą odmianę.

Jakoś zupełnie nie wiedziałem, co na to powiedzieć. Nie tylko w życiu nie piłem co wieczór tego samego przez całe wieki, ale i zupełnie nie miałem wprawy w prowadzeniu niezobowiązującej pogawędki o kozich cyckach. To, że opadła mi szczęka, uświadomiłem sobie dopiero, gdy Morrigan wyciągnęła rękę i mi ją zamknęła. Zęby huknęły mi niepokojąco głośno, a Frigg spłoniła się po uszy, zrozumiałem, że poruszyła dość nietypowy temat rozmowy. Morrigan była na dobrej drodze, by kompletnie wszystkich zawstydzić.

Nie wiedząc, co powiedzieć, milczałem i czekałem. Naprawdę nie przychodził mi do głowy żaden bezpieczny temat. Nie mogliśmy nawet porozmawiać o pogodzie, bo to by mogło zostać odczytane jako aluzja do Thora. Naprawdę nie chciałem już wywoływać więcej zażenowania – ani swojego, ani niczyjego innego, a już tym bardziej nie chciałem znów ściągać na siebie gniewu Morrigan za jakieś nietaktowne zachowanie – na przykład gdybym zapytał, kto ma zasiąść na pustym krześle stojącym przy Frigg. Nakrycia były cztery i Frigg poprosiła sommeliera o cztery kieliszki, ale czwartego uczestnika naszej kolacji nie było nigdzie widać. Chyba że liczyć kruki na dachu.

Istniało pewnie prawdopodobieństwo niezerowe, że to czysty przypadek – że dwa zupełnie normalne kruki tak sobie tylko siadły akurat na dachu restauracji w Oslo, gdzie mam się spotkać z jakimiś tajemniczymi bogami nordyckimi. A jednak czułem, że jest to mało prawdopodobne. Byłem niemal pewien, że mam przed sobą niezwykle stresującą oficjalną kolację z dwoma bogami, którzy mieli bardzo długą listę powodów, by życzyć sobie mojej śmierci.

Granuaile spytała mnie kiedyś, jak to możliwe, że po ziemi chodzi tylu bogów i nikt tego jakoś nie zauważa. Odpowiedź była (i jest) prosta: *cosplay*. Większość bogów przebiera się za ludzi, gdy schodzi na ziemię. Starają się przy tym usilnie, żeby nie wypaść z roli. Czasem odwalą jakiś cud, ale zawsze trzymają się rzeczy małych, których nie zauważa nikt poza okolicznymi mieszkańcami. Lecz przede wszystkim nie ukazują się nam, bo ludzkość twardo wierzy, że bogowie tego nie robią. Wyobrażamy ich sobie zawsze chilloutujących się w niebiosach, nirwanach lub krainach wiecznej kary, i raczej panuje przekonanie, że się stamtąd nie ruszają. A jeśli już mają działać na ziemi albo walnąć gdzieś nagle *deus ex machina*, to zawsze poprzez swoich zastępców lub na odległość. Można wręcz powiedzieć, że bogowie nie są zdolni nam się ukazywać, bo większość ludzi nie wierzy, że spotka swoich bogów przed śmiercią. Jestem tu pewnie chwalebny wyjątkiem. No i jeszcze byli starożytni Grecy i Rzymianie, którzy wierzyli, że w każdej chwili mogą się natknąć na Olimpijczyków, co z kolei sprawiało, że w starych czasach Zeus i spółka mogli wyprawiać te wszystkie dyrdymały.

Cisza stawała się nieznośna. W głowie mi się nie mieściło, że cały repertuar Frigg wyczerpał się po tych kozich cyckach i miodzie, ale wyglądało na to, że utknęła zupełnie. Wziąłem głęboki oddech i zdecydowałem się na manewr architektoniczno-historyczny.

– Dlaczego to pomieszczenie nazwano salonem Kleopatry? – spytałem.

Morrigan wskazała mi coś na górze.

– Sufit – powiedziała.

Zadarłem głowę i spojrzałem na misterny stiuk na suficie. W Arizonie ludzie zwykli rozpryskiwać stiuk na ściany zewnętrzne i nazywać to elewacją. Ale dawno temu, gdy wzniesiono ten budynek, artyści używali stiuku jako materiału do tworzenia płaskorzeźb. Ta – niewątpliwie zresztą jedna z najwspanialszych, jakie kiedykolwiek widziałem – przedstawiała samobójstwo Kleopatry, która słynie z tego, że opuściła ten świat ugryziona przez węża. Na ten widok natychmiast zatęskniłem za Oberonem, bo wiedziałem, że nie oparłby się pokusie sparodiowania tego, a już na pewno powiedziałby głosem Samuela L. Jacksona: <Tego już za wiele! Mam dosyć tych pieprzonych węży na tym pieprzonym suficie!>.

– Piękne – powiedziałem i miałem wielką nadzieję, że mój uśmiech zostanie zinterpretowany jako przejaw zachwyty sztuką, a nie ubawienie słabością mojego psa do filmów.

– Tak – zgodziła się Morrigan.

Tę błyskotliwą konwersację przerwał nam szczęśliwie sommelier, który wrócił z butelką shirazu. Nalał nieco wina w kieliszek naszego nadal podejrzenie nieobecnego towarzysza, po czym zostawił nas, byśmy w spokoju wypełnili ciszę. Nie bardzo mieliśmy czym, więc upiliśmy po łyku, by podzielić się z resztą obecnych naszymi przemyśleniami na temat różnorodnych odcieni smakowych sfermentowanych winogron. Morrigan wyraziła opinię, że trunek ma zawieszony smak, pełny, ale z posmakiem bujnej lukrecji. Frigg wyczuła nutkę przyprawy, cokolwiek miało to oznaczać. Podejrzewam jednak, że nie była to aluzja do planety Arrakis. Nie znam się za bardzo na języku win, więc miałem właśnie powiedzieć, że ja to wyczuwam lekką nutkę mangowego czatneja, gdy Frigg spojrzała za moje ramię i jej twarz złagodniała. Wstała,

a my z Morrigan poszliśmy jej śladem. Powędrowałem spojrzeniem za jej wzrokiem i zobaczyłem, że do naszego stolika podchodzi wysoki mężczyzna w smokingu. Siwe włosy opadały mu na ramiona, ale bynajmniej nie łysiał. Biła od niego siła, potęga i skurczybyczość. Prosta, czarna opaska na lewym oku nie nadawała mu wcale wyglądu pirata, ale wskazywała na jego wielką mądrość – bo też i za nią oddał przecież swoje oko. Świadczyła o jego cierpieniu, gotowości do poświęceń – bez żadnych granic – by za wszelką cenę pozostać najmądrzejszym z mądrych. Jego nader bujna broda była lekko przerażająca. Chyba spodziewałem się włosów spływających mu niesforne po piersi na dywan, ale było to mocno upakowane i starannie przycięte arcydzieło (niemal jak te piękne żywopłoty), które nadawało jego rysom wygląd pieczołowicie wyrzeźbionego pomnika. Naprawdę niewielu mężczyzn potrafi tak nosić brodę. U większości cały komunikat zarostowy sprowadza się do: „tak to się kończy, jak się, człowieku, nie golisz”. Tymczasem broda Odyna mówiła, że nie jest on ani hipisem, ani barbarzyńcą, ani pisarzem fantastyki, ale bogiem, który może zmienić chaos w porządek.

Ujął dłoń swojej żony i złożył na niej pocałunek. Potem odwrócił się w stronę Morrigan i skinął jej głową.

– Morrigan.

Odpowiedziała mu równie dostojnym ruchem głowy. Potem jego wzrok przesunął się w moją stronę i poczułem chłód jego nienawiści. Z wysiłkiem zdusiłem drżenie.

– A więc to ty – powiedział. – Zabójca Norn, Frejra i tylu innych.

Jego głos przywołał na myśli whisky – i nie mówię tego tylko dlatego, że jestem Irlandczykiem. Jego głos był naprawdę bogaty, pachnący dymem i w ogóle z całą pewnością spędził całe lata w jakiejś dębowej beczce, nim Odyn postanowił przepłukać nim gardło.

– Odkąd wydobrzałem, obserwowałem cię z Hlidskjálfu i wierzyć mi się nie chciało, co widzę. Pomimo dostatecznych dowodów na coś wręcz przeciwnego nie widziałem w tobie nic, co mogłoby choć sugerować, że byłbyś zdolny nas pokonać. Lecz teraz, gdy już spotkałem cię osobiście, rozgryłem twój charakter. Jesteś zwodniczy.

– Często – przyznałem. – Tak w ogóle, to cześć. To prawdziwy honor móc cię poznać.

Odyn zacisnął dłonie w pięści.

– Honor?! – warknął. – Jak śmiesz mówić mi o honorze, gdy sam nie masz go ni krztyny!

Frigg delikatnie położyła mu dłoń na ramieniu.

– Usiądźmy może?

Napięcie zniknęło z ramion Odyna, a jego pięści się rozluźniły. Usiedliśmy i wtedy dopiero dotarło do mnie, że łączy nas z Odynem jedna rzecz – jesteśmy zupełnie pod kontrolą siedzących obok nas kobiet. Podziwiałem rozsądek Frigg. W tej pozycji będzie Odynowi o wiele trudniej rzucić się na mnie, żeby mi złamać kark. A boginię zmarłych posadziła naprzeciw niego, żeby jej widok przypominał mu, kto tu szafuje śmiercią.

Pojawił się kelner – bardzo miły człowiek skupiony na zadaniu uraczenia nas swoimi specjałami, których w takim pocie czoła uczył się na pamięć – ale Odyn powstrzymał go i posługując się zupełnie współczesnym norweskim, oświadczył:

– Weźmiemy sześć pełnych dań. Jeśli trzeba podejmować jakieś decyzje, zdajemy się na szefa kuchni. I proszę poinformować sommeliera, że jemu pozostawiamy wybór win na resztę wieczoru. Mamy dużo spraw do omówienia i nie chcemy, żeby nam przeszkadzano. – W jego dłoni pojawiła się karta kredytowa. – To zagwarantuje państwu, że zapłacimy za wszystko, co nam podacie.

Kelner pokłonił się i wzięwszy kartę, powiedział:

– Rozumiem. Zaraz wrócę z pierwszym daniem, na które proponujemy państwu raki

z fiordu i...

Odyn uciszył go gestem dłoni.

– Domyślmy się, jak już ich skosztujemy, dobry człowieku. Wybacz moją obcesowość. Zapewniam cię, że dostaniesz suty napiwek.

– Rozumiem – powtórzył kelner i poszedł zająć się planowaniem czegoś, co z pewnością skończy się bardzo dużym rachunkiem.

Odyn wrócił wzrokiem do mnie, a językiem na staronordycki. Nim jednak zaczął wyliczać rozliczne powody, dla których zasłużyłem sobie na śmierć, wszedłem mu w słowo. Miałem całkiem sporo za uszami, ale nie zamierzałem potulnie znosić jego oskarżeń, szczególnie jeśli dotyczyły mojego braku honoru. Śmiem twierdzić, że miałem go jednak... choć odrobinę.

– Odyne, w swojej mądrości z pewnością zauważyłeś już, że dwa razy trzymałem w dłoniach Gungnira i dwa razy nie celowałem nim w ciebie osobiście, choć mogłem to zrobić. W obu wypadkach zrobiłem tylko to, co musiałem, żeby zapewnić sobie bezpieczeństwo, i nic ponadto. Siedzisz tu przede mną, bo powstrzymałem swoją dłoń. Dwukrotnie.

– I wydaje ci się może, że skoro oszczędziłeś mi dwukrotnie życie, jesteś człowiekiem honoru?

– Trafiłem do Asgardu właśnie z powodu honoru. Chciałem dotrzymać danego słowa. Zabiłem tylko tych, którzy starali się mnie zabić. Najpierw były to Norny, ale zamiast mnie zabiły Ratatoska. Nie mając wyboru, pokonałem je i udałem się do domostwa Idunn i Bragięgo. Mogłem ich zabić, ale przecież tego nie zrobiłem.

– Ale ukradłeś jedno ze złotych jabłek Idunn! Twój honor jest honorem złodzieja!

– Złodzieja, który dotrzymuje słowa. Próbowaleś zabić mnie za to zaraz potem. Mogłem odebrać ci życie. Wcale tego nie pragnąc, odebrałem życie Sleipnirowi.

– Bynajmniej nie była to honorowa decyzja. Była to po prostu strategicznie najlepsza opcja, bo zajęła uwagę Walkirii. Gdybyś mnie od razu zabił, pognałyby za tobą, żeby mnie pomścić.

– Tak czy siak nie przeczy to najważniejszemu: na przemoc decyduję się tylko w odpowiedzi na czyjąś przemoc.

– Ha! Jakaż to przemoc ze strony Thora kazała ci najechać na Asgard z całym zastępem ludzi i go zabić?

– To osobna kwestia. Ale znów dotrzymywałem tylko słowa.

– Obiecałeś komuś zabić Thora?

– Nie. Obiecałem jedynie zapewnić transport do Asgardu.

– Zdaje ci się więc może, że nie uczyniłeś nam żadnej krzywdy?

– Tego nie powiedziałem, Odyne.

Urwaliśmy, bo kelner wniósł nasze pierwsze danie. Był tam rzeczywiście rak, ale i roladki z pstrągą. Skosztowałem i odkryłem, że szef kuchni wie, co robi. Jeśli to ma być mój ostatni posiłek, to nie mogłem sobie wymarzyć lepszego. Żaden z bogów nie tknął jedzenia. Patrzyli tylko, jak jem, i czekali.

– Wręcz przeciwnie – powiedziałem. – Jestem głęboko przekonany, że podczas tej drugiej wyprawy zachowałem się haniebnie, i szczerze żałuję tego, co się stało. Przepraszam za nią was oboje, choć wiem dobrze, że słowa to za mało.

– Słowa to mniej niż za mało – prychnął Odyn. – Jak śmiesz nawet próbować zapłacić za swoje czyny nic nieznaczącym frazesem?!

– A jak inaczej mam zapłacić? Płacenie własnym życiem nie wchodzi w grę.

Oczekiwałem tu jakiejś kłótni, ale Odyn mnie zupełnie zaskoczył.

– Nie, to rzeczywiście nie wchodzi w grę – przyznał. – Nie masz dość krwi, by zapłacić

za tę, którą przelałeś.

– Mam zapłacić krwią?

– To chyba dość oczywiste rozwiązanie.

Znów pojawił się kelner i zabrał nam pierwsze danie, nim postawił przed nami drugie – zupę z owoców morza zdobioną awokado i innymi smakołykami. Gdy tylko wyszedł, Odyn zmienił temat.

– O krwi porozmawiamy później. Chciałbym się teraz dowiedzieć, dlaczego jeszcze żyjesz.

– Znaczy się dlaczego nie zginąłem jeszcze przed naszą erą? Jak to się stało, że pożyłem na tyle długo, żeby cię zirytować?

– Otóż to.

– Od czasu do czasu piję herbatę ziołową, która odmładza moje komórki i odwraca proces starzenia.

– Interesujące.

Odyn spojrział na swoją zupę i uznawszy nagle, że wygląda na zdatną do jedzenia, uniósł łyżkę. Frigg, Morrigan i ja poszliśmy jego śladem i zdążyliśmy wysiorbać łyżkę lub dwie, nim zadał kolejne pytanie.

– Ta herbata, którą pijesz, czy jest do nabycia w tych tam supermarketach? Czy jest to raczej coś, co sam wymyśliłeś?

– Nie, nie da się jej kupić. Przepis na nią dostałem od Airmid, jednej z Tuatha Dé Danann. Ona sama już od dawna nie żyje. Spotkała ją wielka tragedia.

– Tragedia? Wybacz, że zwrócę ci uwagę, ale tragedie chyba ciebie prześladowają.

– Wybaczam ci. Czy mogę cię o coś zapytać?

– Oczywiście.

Jego łyżka zawisła nad miską w oczekiwaniu na moje pytanie.

– Skąd wiedziałeś, gdzie jestem?

Mój amulet z zimnego żelaza powinien mnie ochronić przed wywróceniem. Przecież nawet nordyccy bogowie nie przewidzieli mojego najazdu na Asgard.

– Hugin i Munin znaleźli cię kilka miesięcy temu, gdy pracowałeś na pustyni ze swoją uczennicą.

Nie całkiem przypadkowo wspomniał o Granuaile. Była to subtelna pogroźka, ale udałem, że jej nie zauważyłem.

– A, właśnie te kruki... Którego z nich...?

– Zabiłeś? Huginą. Na całe lata utknąłem w snach o przeszłości, zupełnie niezdolny do funkcjonowania w teraźniejszości, pielęgnowany przez Frigg. W końcu jednak Munin przypomniał sobie o Huginie i złożył jajo. Nowy kruk, gdy dorósł, stał się znów Huginem. Obudziłem się i wysłałem kruki w poszukiwaniu ciebie, a gdy już cię odnalazły, obserwowałem cię z Hlidskjálfu.

– Rozumiem. I jak wielu nordyckich bogów wie, że nadal żyję?

– Tylko my z Frigg.

– Dlaczego nie powiedzieliście im wszystkim?

– Związane jest to z ceną krwi, o której jeszcze porozmawiamy. Teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym się dowiedzieć, jak właściwie poznałeś ten przepis na zioła wiecznej młodości.

Wzruszyłem ramionami.

– Mówiłem ci już przecież. Airmid mnie tego nauczyła.

– Tak, ale dlaczego? Dlaczego ciebie, a nie kogoś innego?

Odłożyłem łyżkę i spojrzałem nerwowo na Morrigan. Znała odpowiedź na to pytanie. I nikt poza nią.

– Hmm. To cała opowieść.

Odyn wskazał mi ręką stół.

– Mamy jeszcze cztery dania.

– Nie jest aż taka długa, ale nigdy jej jeszcze nikomu nie opowiadałem, a i teraz nie mam wielkiej chęci na to. Jest dla mnie cenna.

Odyn zmiądzzył mnie wzrokiem.

– Rozumiem. Potraktuj to jako początek spłacania długu wobec nas.

– Dobrze. – Zobaczyłem, że zbliża się kelner i sommelier. – Opowiem ją, gdy tylko dostaniemy trzecie danie.

Na trzecie danie był smażony szczupak z białymi szparagami i kilkoma innymi warzywami pięknie rozłożonymi na białym talerzu i polanymi *beurre blanc*. Sommelier, starszy, łysiejący dżentelmen o zwawych ruchach i wprawnej dłoni, nalał nam po kieliszku chardonnay. I wtedy już musiałem zdradzić sekret, o którym nigdy nie zamierzałem mówić.

W czasach, gdy Tuatha Dé Danann byli jeszcze w Irlandii potęgą, naj słynniejszym lekarzem – jeśli mogę tu użyć tego współczesnego słowa – był Dian Cecht. Podczas Pierwszej Bitwy pod Mag Tuireadh król Nuada stracił w walce prawą rękę i poprosił Diana Cechta, żeby coś na to zaradził. Mimo zwycięstwa nad Firbolgami nie mógł przecież rządzić, skoro był niepełnosprawny.

Wraz z rzemieślnikiem Creidhne Dian Cecht sporządził więc magiczną srebrną rękę dla Nuady. Gdy tylko się ją doczepiło, działała zupełnie jak normalna ręka. Dian Cecht stał się jeszcze sławniejszy w całej Irlandii. Ludzie zaczęli zwać króla Nuada Srebrnoręki, był to bowiem niezwykle widok i wszyscy, którym było dane go zobaczyć, byli pod wrażeniem. Przy ludziach Nuada był niezwykle zadowolony ze swojej nowej ręki i cieszył się ze sławy, którą mu ona przyniosła. W domu jednak były z nią pewne problemy. Jego żona nie chciała jej za nic dotknąć. I czy Nuada ją nosił, czy nie, zawsze czuł się niepełny i niepewny. Mimo cudownej srebrnej ręki był tak naprawdę osłabiony.

Miach, syn Diana Cechta, wyczuwał rozpacz Nuady i odważył się mu pomóc. Był wyjątkowo utalentowanym i pełnym współczucia uzdrowicielem, który unikał jak mógł konfliktu z ojcem. Ale w wypadku Nuady nie potrafił się powstrzymać od zaoferowania pomocy, bo wiedział, że tylko on jeden może jej królowi udzielić.

Przez dziewięć dni i nocy śpiewania i rytuałów odtwarzał rękę z krwi i kości. Król znów był cały i mógł powrócić na tron. Miach przewyższył jednak w swym fachu ojca, a Dian Cecht nie należał do osób, które zniosą coś takiego w milczeniu. Zamiast być dumnym z syna i chwalić się jego talentem, z zazdrości rzucił się z mieczem na własne dziecko.

Miach powiedział ojcu wprost, że nie chce walczyć i że żywi do niego jedynie miłość i dobrą wolę, ale Dian Cecht był głuchy na słowa rozsądku. Rozciął skórę syna, ale Miach natychmiast się uleczył. Taki pokaz jego mocy jeszcze bardziej rozsierdził Diana Cechta. Mimo że Miach próbował zrobić unik, drugi cios ojca trafił w jego jelita. Miach uleczył się i z tego. Wtedy Dian Cecht wpadł w zwierzęcy szał. Trzeci cios rozłupał Miachowi mózg, co uniemożliwiło mu wszelkie leczenie się. Zmarł, a Dian Cecht rzucił miecz przerażony swoim uczynkiem.

Jego przerażenie było jednak niczym w porównaniu do tego, które odczuła Airmid. Siostra Miacha sama była świętą uzdrowicielką i potężną druidką. Była tak rozwścieczona, że nie poszła nawet na pogrzeb brata, bojąc się, że zabije na nim ojca. Oczekała, aż pogrzeb się skończy i wszyscy pójdą do domu, i dopiero wtedy odwiedziła nagrobek brata. Płakała

i śpiewała na jego grobie przez trzy dni i trzy noce. Płakała z miłości. Opłakiwała stratę i wspomnienia, którymi już nie będzie się mogła dzielić, a których będzie musiała strzec już sama za nich oboje. Opłakiwała wspomnienia, które już nie nastąpią, skoro brat nie żyje. Wycieńczona opadła w końcu na grób i usnęła.

Gdy się obudziła, ujrzała cud. Na nagrobku Miacha wyrosło 365 ziół o leczniczych właściwościach. Podlane jej łzami i krwią brata miały potężną moc. Zrozumiawszy, że to dar, Airmid rozłożyła swój płaszcz i zaczęła analizować i katalogować zioła, przyglądając się ich właściwościom i zapamiętując ich wyjątkowe cechy. Nim jednak skończyła, na grobie pojawił się targany wyrzutami sumienia i rozpaczą Dian Cecht.

Ujrzał rozłożony na ziemi płaszcz Airmid i uporządkowane na nim wspaniałe zioła. Zobaczył, że zioła te wyrastają na nagrobku w kształcie ciała Miacha, i znów zatrzęsło nim z zazdrości.

– Nawet po śmierci kpi ze mnie i czyni moje życie marnym! – ryknął Dian Cecht.

Wyrwał zioła z ziemi i szarpnął płaszczem Airmid, tak że zioła porwał wiatr i rozsypał na niebie. To przez ten jego uczynek nikt nie zna dziś liczby ziół na ziemi.

Wtedy Airmid straciła cierpliwość do ojca. Chwyciwszy kij, zaatakowała Diana Cechta, obila mu twarz i ciało z całą mocą, jaką może mieć druid, aż jej ojciec opadł na ziemię. Odrzuciła wtedy kij i chwyciła jakiś głaz. Uniosła go wysoko, chcąc zmiażdżyć nim głowę ojca. Wtedy jednak powstrzymał ją głos z Tír na nÓg.

– Nie, Airmid! – zawołał, a ona zamarła. Był to głos Miacha, który wołał do niej zza zasłony. – W imię miłości, jaką do mnie czujesz, nie zabijaj naszego ojca!

Głaz wymsknął jej się z rąk i zostawiła krwawiącego Diana Cechta, żeby sam się wyleczył. Chwyciwszy płaszcz, odeszła od grobu, nie mówiąc ani słowa. Milczała przez dziewięć dni, a pierwszą osobą, do której się w końcu odezwała, byłam ja.

Moje normalne życie już zbliżało się nieuchronnie do zmierzchu, a ja rozmyślałem właśnie nad zbliżającą się śmiercią. Nie byłem zgrzybiały ani artretyczny, bo Gaja zachowywała nas w dobrym stanie, ale mój okres świetności minął już dobre czterdzieści lat temu, a wizja ostrego zjazdu w ramiona śmierci uczyniła mnie nieco zgorzkniałym. Piłem sam w jakiejś gospodzie, gdy weszła Airmid, rozejrzała się i podeszła do mnie. Widziała pewnie w mojej aurze chorobę. Widziała też tatuaże na moim ramieniu, wiedziała więc, że jestem druidem. Usiadła naprzeciwko mnie, odłożyła torbę i powiedziała:

– Staruszkule, zabaw młodą dziewczynę. Powiedz, co byś dał, by odzyskać młodość? Być przy każdym kroku radość życia? By twój ptak znów był twardy jak drewno? I by nigdy już nie tracić tego uczucia, nie ulegać starości, póki sam nie zechcesz tego zrobić?

Nie wiedziałem, kim jest ta kobieta. Jej ciało skrywała szata i rękawiczki, więc nawet nie wiedziałem, czy jest druidką, a co dopiero, że jest jedną z Tuatha Dé Danann.

– Kpisz sobie ze mnie czy pytasz poważnie? – spytałem.

– Pytam szczerze – odparła. – Chciałabym naprawdę wiedzieć, co bylibyś gotów zrobić za taki dar.

– Zabiłbym za to – powiedziałem. Ludzie zabijają przecież i za znacznie mniej.

– W takim razie mam dla ciebie propozycję – oświadczyła i wyciągnęła z torby skórzane sakiewki, które zawierały zioła, jakie zdołała spamiętać, nim Dian Cecht rozrzucił jej pracę na wiatr. – Jestem druidką i odkryłam mieszankę ziół, która, gdy się ją lekko ulepszy prostym splotem i zaparzy jak herbatę, daje błogosławieństwo młodości temu, kto ją wypije. Tajemnica tej mikstury i wiele innych znajduje się na tych kartach. Będą twoje, jeśli zabijesz dla mnie pewnego człowieka – powiedziała i wyciągnęła z torby stertę skór, które kryły tajemnice wszystkich tych ziół.

Rzuciłem okiem na kilka skór i zrozumiałem od razu, że to zielnik, którego zawartość stokrotnie wykracza poza moją wiedzę. Przyjrzałem się jej aurze i nie zobaczyłem w niej oznak oszustwa. To nie gwarantowało jeszcze jej uczciwości, bo wszystkich nas daje się oszukiwać znacznie prościej, niżby nam się zdawało, ale wyglądało na to, że składa mi uczciwą ofertę, a byłem wystarczająco zdesperowany, by chcieć ją przyjąć. Musiałem jednak spytać o jedną rzecz.

- Dlaczego sama go nie zabijesz? Widzę przecież, że jesteś potężną druidką.
- Nie mogę go zabić, bo to mój ojciec.
- Mam zabić twojego ojca w zamian za zielnik?
- Tak. Co na to powiesz?
- Kim jest twój ojciec?
- To Dian Cecht z Tuatha Dé Danann.

Opowiedziała mi historię śmierci swojego brata i o tym, jak zdołała skatalogować 327 z 365 ziół, nim ojciec zniszczył jej pracę.

– Druid nie zapomina – powiedziała. – Spędziłam dziewięć dni na spisaniu tego zielnika i eksperymentowaniu. Herbata dająca młodość jest moim najlepszym odkryciem, ale jest ich więcej.

– Zrobię to – przyrzekłem jej. – Powiedz, gdzie go znajdę.

Według legend Dian Cecht padł ofiarą strasznej zarazy. Bardom, którzy tak to opowiadali, wydawało się okrutną ironią losu, że tak skończył ten podły lekarz. Prawda była jednak taka, że ważną rolę odegrał tu pewien przerażony kurczak.

Airmid pokierowała mnie do domu Diana Cechta. Kiedy dotarłem na miejsce, akurat go nie było. Podkradłem się w kamuflażu, rozplotłem kilka prostych zabezpieczeń, wszedłem do środka, a potem splotłem je z powrotem. Miałem już ponad sześćdziesiąt lat, nie czułem się więc na siłach stanąć z nim do uczciwej walki. W ogóle zresztą nie lubiłem uczciwych walk. Potrzebowałem jakiejś przewagi nad nim, więc najpierw natłuściłem podłogę przy drzwiach. Wyobraziłem sobie, że gdy je zamknie, wyskoczę z ukrycia, a wtedy śliski grunt zniweluje jego główną przewagę nade mną – prędkość.

Do jego domu wchodziło się przez kuchnię i jadalnię. Potem korytarz prowadził do pozostałych pokojów. Gdy skończyłem przygotowania, schowałem się za rogiem i czekałem w korytarzu.

Mijały godziny, miałem więc aż za dużo czasu, żeby się zastanowić nad planowanym czynem, ale przekonywałem się, że w rzeczywistości to konflikt typu albo on, albo ja. Jeśli go nie zabiję, sam umrę – kiedyś. A jeśli go zabiję, nie umrę, kropka. Zabijałem już nieraz na wojnie, nigdy jednak nie planowałem skrytobójstwa. Nie czułem się z tym dobrze, ale jeszcze gorzej czułem się na myśl o tym, że mam wkrótce wydać ostatnie tchnienie.

Gdy Dian Cecht w końcu wrócił do domu, przyniósł kurczaka na obiad. Przyciskał go mocno do piersi prawicą.

Gdy wyskoczyłem z mojej kryjówki z obnażonym mieczem i krzyknąłem: „Ha!” – zabiłem go.

A raczej to kurczak go zabił.

Dian Cecht puścił kurczaka i sięgnął po miecz, a ptak wyrwał się z jego objęć i zaczął okładać go skrzydłami i dziobać. Próbując opędzić się od kurczaka i wyciągnąć broń, poślizgnął się na natłuszczonej podłodze i rozplątał sobie czaszkę o krawędź stołu stojącego przy drzwiach. Był martwy, jeszcze nim upadł na podłogę. I tak właśnie po raz pierwszy ujrzałem Morrigan. Choć nie starliśmy się mieczami z Dianem Cechtem, taka była moja intencja, nasza walka więc należała do jej sfery wpływów. Wybrała Diana Cechta, a nie mnie, i powiedziała mi

o tym. Nie mogła wybrać go w jego starciu z Miachem, bo Miach nawet nie próbował walczyć. Potem Miach znów związał jej ręce, gdy wymusił na Airmid obietnicę, że nie zabije swojego ojca. Ja jednak byłem akceptowalnym sposobem na obejście tej obietnicy. Morrigan od razu zapowiedziała mi, że jeszcze się spotkamy. Byłem pewien, że to taka zapowiedź mojej rychłej śmierci w walce. Nie miałem pojęcia, że nasza znajomość będzie trwała tak długo.

Zabrałem kurczaka z powrotem do gospody, w której spotkałem Airmid, i nakazałem im go ugotować. Przyszła, gdy właśnie go kończyłem. Zameldowałem jej, że zadanie zostało wykonane.

– Gdzie go dźgnąłeś? – spytała.

– Nie posłużyłem się mieczem – powiedziałem, wskazując na kości na talerzu. –

Posłużyłem się tym oto kurczakiem.

Opowiedziałem jej, co się wydarzyło. Wyglądała na zadowoloną. Spełniła swoją obietnicę i dała mi wszystkie swoje notatki oraz pokazała splot, który był potrzebny do sporządzenia herbaty Młodości Czar, oraz kilka innych do rozmaitych naparów. I tak właśnie nie tylko poznałem tajemnicę wiecznej młodości, ale i stałem się posiadaczem zielnika największej zielarki, jaka kiedykolwiek chodziła po świecie. Że już o pysznym kurczaku nie wspomnę.

Odyn odłożył widelec i otarł usta serwetką. Spojrzał na Frigg i powiedział:

– Mam tylko nadzieję, że na czwarte danie nie zaserwują nam tu kurczaka.

– Raczej pewnie nie.

– I dobrze – mruknął. – Rozumiem teraz, dlaczego zachowałeś tę historię dla siebie. Cóż to za marny koniec zostać tak zadziobanym.

Na czwarte danie była cieleca polędwiczka nadziewana smardzami i otoczona kolejną uroczą układanką z warzyw. Zabrałem się do jedzenia, bo naprawdę nie miałem nawet jak spróbować trzeciego dania przez tę całą opowieść. Bogowie skupili się na winie, a jedzenia nawet nie tknęli. Może nie lubią cieleciny czy coś. A może jednak woleliby kurczaka.

– Miałem dużo czasu, żeby się zastanowić nad konsekwencjami twoich działań w Asgardzie – powiedział Odyn, gdy jadłem. – Dużo czasu, by przemyśleć odpowiedź na nie. Dawniej nie byłoby w ogóle tematu: zabiłbym ciebie i wszystkich twoich towarzyszy. Ale czasy się zmieniły. Prosta zemsta, której tak pragniemy, nie wyszłaby nam na dobre. Wolelibyśmy, żebyś nam posłużył do innych celów.

Przestałem żuć.

– Słucham? Proponujesz jakiś rodzaj umowy?

– Nie. Mówię o cenie krwi. Ragnarök już blisko, a ty zabiłeś lub pomogłeś zabić wielu z tych bogów, którzy mieli walczyć po naszej stronie, chcemy więc, byś zajął ich miejsce.

Zakrzusiliśmy się i musiałem się napić, żeby jakoś przeplukać gardło, nim zdołałem wydukać:

– Chcecie, żebym zastąpił bogów?

– Nie sam. Najlepiej by było, żebyś zwerbował jeszcze kogoś. Nie ulega wątpliwości, że masz moce typowe dla klasycznych bohaterów, a twoja pomoc byłaby bezcenna. Najważniejsze, by pokonać siły Helu i Muspellheimu. W porównaniu z tym nasza chęć zemsty to błahostka. Walcz z nami, a przelaną dla nas krwią spłacisz swój dług. I jeszcze jedna rzecz.

– Co takiego?

– Byłbym wdzięczny, gdybyś oddał mi Gungnira.

– A obiecasz nie ciskać we mnie nim więcej?

Jego twarz drgnęła poirytowaniem.

– Tak.

– Okej, jasne. Oddam ci go. I tak na nic mi się nie przydaje. Wyślij Hugina i Munina do

mnie, do Arizony, za trzy dni. Powiem im, gdzie go mają odebrać.

– Dziękuję. A Ragnarök?

Pomyślałem o Hel i jej próbie zabicia mnie pod Kayentą. Pomyślałem o świecie zalanym draugami. Nawet ci, którzy już szykują się na apokalipsę zombi, mogą mieć problemy z odnalezieniem się w tej sytuacji.

– Jeśli gównem wybiję, Odynie, będę po waszej stronie.

– Doskonale. A ty, Morrigan? Będziesz z nim walczyć?

Morrigan, tak zresztą jak i Frigg, milczała przez większość czasu. Teraz uśmiechnęła się lekko.

– Obawiam się, że tę akurat bitwę przegapię. Będą wam musiały wystarczyć Walkirie.

Odyn spochmurniał. Kiedy najechaliśmy na Asgard, zabiliśmy dwanaście spośród Walkirii. Nie wiedziałem, ile mu ich zostało, jeśli w ogóle jakieś. Żeby zmienić temat, powiedziałem więc szybko:

– Czy mogę zapytać, co się stało z młotem Thora?

– A co? – syknęła Frigg. – Obiecałeś komuś, że go dla niego ukradniesz?

Złośliwość tego pytania trochę mnie zaskoczyła. A tak nam dobrze szło. Najgorzej, że mam zwyczaj szybko reagować na prowokację.

– Nie – powiedziałem. – Gdyby tak było, już bym go miał.

Frigg syknęła wściekle, ale Odyn zachichotał.

– Miałas przecież pilnować, żebym to ja nie uniósł się złością – wypomniał żonie.

Czwarte danie zniknęło nam sprzed nosów – przy czym kelner musiał się oczywiście upewnić, czy wszystko było w porządku, jako że bogowie nawet nie tknęli cieleciny.

Postawiono przed nami piąte. Na białym kwadratowym półmisku podano nam pięć różnych dojrzałych serów, a do nich krakersy i kompot. Niektóre były pokrojone w trójkąty, inne w cienkie, półprzezroczyste kawałeczki. Sommelier nalał nam coś włoskiego; nie chwyciłem nazwy.

– Mjöllnir znajduje się w Gładsheimie – powiedział Odyn, gdy kelnerzy zniknęli.

– Nikt nim nie walczy?

Nordyccy bogowie zmarszczyli brwi, jakby moje pytanie było zupełnie niedorzeczne.

– Kto miałby nim walczyć? – spytał Odyn.

– Myślałem o jakimś innym, późniejszym aspekcie Thora. Taką popularnością cieszy się ostatnio ta wersja komiksowa.

Odyn tylko prychnął.

– Popularnością, może. Ale nie jest czczonym bogiem, a wiesz, co to oznacza. Nie ma dość magii nawet, by się ukazać! W jego własnych filmach musi go grać ludzki aktor. To tylko tania rozrywka, nic ponadto. Przecież chyba masz tego świadomość.

Miałem, ale nigdy nie zaszkodzi dać potencjalnemu przeciwnikowi do zrozumienia, że jest mądrzejszy niż ty.

– No dobrze, ale jeśli nie on, to na pewno jakiś inny aspekt Thora, nie?

– Wszyscy inni Thorowie są zadowoleni z tego, co mają, a żaden nie dorasta do zadania, jakiemu miał sprostać oryginał. Nie chciałbym mieć na głowie żadnego z nich. Nie. Obowiązki Thora spoczywają teraz na tobie.

– Na mnie? Chcesz, żebym to ja zmierzył się z wężem świata?

– Lub znalazł kogoś innego do tej roboty. Tak.

Taki zwrot w naszej rozmowie przypomniał mi aż za bardzo o Kleopatrze na suficie. Zadarłem głowę i znów się przyjrzałem ukrytej za żyrandolami postaci. Tymczasem bogowie skupili się na serach.

Najwyraźniej *licentia poetica* nie była dla tego artysty terminem zupełnie obcym. Kleopatra leżała oparta na prawym ramieniu, a po lewej ręce piął jej się wąż i już był blisko piersi, którą wyraźnie postanowił sobie ukąsić. Zdawałoby się, że powinien raczej wbić kły od razu w rękę, skoro już do niej dotarł, ale to i tak nie była najdziwniejsza decyzja tego artysty. Z jakiegoś powodu postanowił obdarzyć Kleopatę europejskimi rysami i rubensową figurą. Mój archdruoid określiłby ją jako „przyjemnie pulchniutką”. A na dodatek odziana była raczej w greckim niż egipskim stylu. Choć było to imponujące dzieło sztuki, te przedziwne nieścisłości podkreślały to, co moim zdaniem stanowiło prawdziwą tragedię Kleopatry – nikt nie rozumiał ani jej, ani jej decyzji. Może choć niektórzy mogli zrozumieć jej poczucie osaczenia. Ja w każdym razie na pewno mogłem.

– Nie mogę zgodzić się tak konkretnie na *cage match* z Jörmungandrem – zastrzegłem się. – Ale będę walczył po waszej stronie przeciw Hel, zobaczę, czy uda mi się zdobyć jeszcze kogoś do pomocy, i oddam Gungnira, żeby pomóc naprawić wyrządzone wam krzywdy.

Odyn otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale zamknął je z powrotem, bo pojawił się sommelier z winem deserowym do naszego ostatniego dania. Miał być to makaronik z bawarską wanilią i truskawkami, podawany z galaretką z szampana. Kelner zapewnił nas, że wszystkie te wspaniałości zaraz się przed nami pojawią.

Nie było mi jednak dane skosztować makaronika. Ani usłyszeć odpowiedzi Odyna.

Gdy sommelier przesunął się za mnie, by przez moje prawe ramię postawić kieliszek na stół, w ułamku sekundy wydarzyło się kilka rzeczy. Lewa ręka Morrigan śmignęła mi przed oczami i zepchnęła mnie z siłą z krzesła tak, że głową walnąłem w podłogę, choć mój tyłek tkwił jeszcze na krześle. Brzdęknęło szkło. Sommelier wrzasnął i poleciał do tyłu. Wino diabli wzięli. Powietrze zadrżało od strzałów. Odyn i Frigg zerwali się na równe nogi.

Po jakiejś sekundzie usłyszałem słowa Morrigan. Usiłowałem właśnie się nie podnosić, ale zarazem zając pozycję obronną.

– Proszę bardzo, Siodhachanie – powiedziała niezwykle ubawiona. – Właśnie uratowałam ci życie. Może przestaniesz wreszcie jojczyć na tę naszą umowę.

Ktoś gdzieś za oknem celował w moją głowę, ale zamiast mnie trafił sommeliera. Dostał w biodro, a stał za moim prawym ramieniem, z czego wynikało, że strzelający znajdował się gdzieś na dachu po drugiej stronie ulicy i celował mniej więcej w lewą, górną część mojej twarzy.

Sommelier chwycił się za biodro i głośno poinformował wszystkich – na wypadek gdyby ktoś to przeoczył – że go trafiono. Piski w wysokich rejestrach i nawoływania personelu ratowniczego wypełniły restaurację straszonym hałasem, ale zablokowałem to i skupiłem się na obserwacji Frigg i Odyna. Nie mieściło mi się w głowie, że mogli przejść przez całą tę kolacyjną szaradę tylko po to, żeby mnie zabić – zwłaszcza że przecież nie zdążyłem im nawet oddać Gungnira, a pojęcia nie mieli, gdzie go schowałem. Musiałem jednak roboczo założyć, że to oni są za to odpowiedzialni, ponieważ mieli bardzo dobre powody, żeby życzyć mi śmierci, no i tylko oni wiedzieli, że tu jestem – nie licząc Morrigan, a jej nie liczyłem, bo ona mogła mnie zabić w każdej chwili przez ostatnie dwa milenia, gdyby tylko miała taką ochotę, i to znacznie prościej i bez żadnych świadków. No chyba że chciała zrzucić winę na bogów nordyckich – ale dlaczego miałyby tego chcieć?

Choć z drugiej strony najwyraźniej wiedziała, że nadciąga strzał, bo inaczej nie miałyby pojęcia, kiedy mnie zepchnąć z krzesła. Musiała więc to wywróżyć, a skoro tak, to być może zobaczyła w tej wróżbie i inne rzeczy.

– Kto pociągnął za spust, Morrigan? – spytałem, nie spuszczać oka z nordyckiej pary i plecami opierając się o ścianę.

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Przewidziałam próbę zamachu na twoje życie, ale sam zabójca zdołał się ukryć przed moim wzrokiem. Namierzenie go lub jej dostarczy nam nieco rozrywki po tej obfitej kolacji. Ruch pobudza trawienie. – Spokojnie wstała od stołu i rzuciła serwetkę. – Zaczynamy?

– Nie, zaczekaj! – krzyknąłem. – A skąd wiemy, że to nie oni wydali rozkaz? – Wskazałem Odyna i Frigg.

Odyn wzrok miał utkwiony w suficie. Bardzo dziwny moment na delektowanie się dziełem sztuki.

– Oczywiście, że to nie my wydaliśmy rozkaz – przemówiła Frigg. – Odyn już posłał kruki, żeby namierzyły strzelca.

– Aha, to z tego by wynikało, że Odyn jednak posługuje się magią, tak? To ja bym też się chciał nią posłużyć, żeby wyleczyć tego biedaka, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

Nad sommelierem pochylali się właśnie nasz kelner i *maitre d'hotel*, a on wykladał im, że jeśli umrze, chce, żeby jego dobra doczesne zostały przekazane jego chomikowi. Obawiałem się, że to już nie jest testament do obronienia, bo facet nie jest na pewno zdrowy na ciele, a i chyba nie na umyśle.

– Nie. Pozwól, że ja się tym zajmę – powiedziała Frigg i podeszła do sommeliera. Jej naszyjnik zaśnił w świetle żyrandola. – To jeden z naszych. Wy biegnijcie znaleźć zabójcę.

– Mam biec szukać kogoś, kto chce mnie zabić, w towarzystwie boga, który chce mnie zabić? – upewniłem się.

Odyn oderwał wreszcie wzrok od sufitu.

– Nie chcę cię zabić – oznajmił. – Chcę, żebyś zginął okrutną śmiercią podczas Ragnaröku. Ale zanim to nastąpi, masz przechylić szalę na naszą korzyść.

– Tak będzie – odezwała się Morrigan, ale nie raczyła uściślić, czy ma na myśli przechylenie szali, czy raczej okrutną śmierć. A może obie rzeczy naraz.

Frigg przyklękła przy sommelierze i położyła mu dłoń na czole. Przewrócił oczami, po czym skupił wzrok na jej twarzy i się uspokoił. *Maitre d'hotel* poszedł zająć się ważniejszymi sprawami. Trzeba było przecież uspokoić gości i powitać służby ratunkowe. Przy sommelierze został nasz kelner.

Nawet jeśli Frigg i Odyn nie byli bezpośrednio zamieszani w tę strzelaninę, to musiał to być ktoś, kogo znali. Szczerze wątpiłem, że Odyn beztrudnie zdradził informację o tym spotkaniu przy osobach trzecich, ale przecież musiał nastąpić przeciek. Nim Morrigan zdołała mnie powstrzymać, włączyłem charms odpowiadający za magiczne widzenia. Przez faeryczny filtr zobaczyłem biały nimb magii wokół siwej głowy Odyna. Dwie grube liny tej magii wiły się w górę i znikły w suficie, więc pewnie były to połączenia z Huginem i Muninem. Reszta ciała wyglądała zupełnie ludzko. Nie robił nic magicznego, poza porozumiewaniem się z krukami.

Z Frigg była jednak zupełnie inna historia. Całe jej ciało jaśniało delikatną białą poświatą, choć teraz skupiała się ona w dwóch miejscach – w jej prawej ręce, którą położyła sommelierowi na czole, oraz wokół naszyjnika. Magia w jej ręce służyła oczywiście do uspokojenia spanikowanej ofiary strzelaniny, ale co robił naszyjnik?

Odsunąłem się od ściany, bo uznałem, że już jest bezpiecznie, a poza tym Morrigan zepchnie mnie z toru kuli, gdyby nastąpiło więcej strzałów. Przykucnąłem przy Frigg i sommelierze, co natychmiast wywołało u niej poirytowanie.

– Mówiłam ci, że się tym zajmę – syknęła.

– I doskonale się nim zajmujesz – zgodziłem się. – W życiu bym się lepiej nie zajął. Jestem tylko ciekaw twojego naszyjnika.

Lewą ręką dotknęła go odruchowo.

- Naszyjnika?
- Tak. Do czego on służy?
- To osobista ozdoba – wycedziła wyraźnie już zniecierpliwiona. – Czy to jakiś twój kolejny trik, czy tylko próba zrobienia ze mnie idiotki?
- Wybacz. Chciałem tylko spytać, do czego on służy pod względem magicznym.
- Do niczego. Moja magia pochodzi z wnętrza.
- W takim razie dlaczego buzuje magiczną energią?
- Co takiego?
- Sami sprawdźcie. Morrigan, Odynie, spójrzcie, proszę, na naszyjnik Frigg. Przecież to nie jest zwykła biżuteria, prawda?

Morrigan przechyliła głowę, a Odyn skupił wzrok na naszyjniku. Pierwsza odezwała się Morrigan.

- Znajduje się na nim magia jakiegoś rodzaju, ale nie jest to ani splot Tuatha Dé Danann, ani faeryczny.
- Nie – potwierdził Odyn. – To magia nordycka.

To przeraziło Frigg tak bardzo, że puściła czoło sommeliera, który natychmiast przypomniał sobie, że nie skończył jeszcze porządnie panikować.

- Auuuu! – zawył, a Frigg znów przyłożyła mu rękę do czoła, żeby się zamknął.
- Odynie, zdejmij to ze mnie – poprosiła, lewą ręką odgarniając sobie włosy z pleców, żeby pokazać mu zapięcie. – Muszę się temu przyjrzeć.

W oddali słychać już było wycie syren. Policja i karetki były coraz bliżej.

Odyn obszedł stół i rozpiął naszyjnik żony. Gdy tylko to uczynił, magiczny blask zniknął.

- Interesujące. Magia zniknęła – powiedziałem. – Odynie, czy mógłbyś na chwilę zapiąć naszyjnik z powrotem?

Zapiął i magiczny blask wrócił.

- Istotnie, ciekawe – zgodziła się Morrigan.

Odyn odpiął go znowu, a blask zblakł. Bóg położył naszyjnik na stole.

- Czy magia wraca za każdym razem, gdy zapiąć naszyjnik? – zastanawiałem się na głos.

Odyn połączył znów oba końce, ale nic się nie stało.

- Nie. Tylko gdy jest noszony – stwierdził. – Sprytna robota.
- Wiesz, do czego służy? – spytałem.
- To zakłęcie tropiące. Lokalizator.
- Kto mógłby aż tak bardzo chcieć poznać lokalizację Frigg, żeby zaczarować jej biżuterię?
- Nie wiem – odparł. – Ale bardzo chciałbym się dowiedzieć.

Na co kelner, który dotąd skupiał się na koleżce i siedział cicho, przez co zupełnie go ignorowaliśmy, podjął błędną decyzję, żeby się jednak odezwać.

- Gadacie o tej całej magii i zwracacie się do siebie imionami bogów. Co wy jesteście? Szurnięci jacyś?
- Frigg, gdybyś mogła... – mruknął Odyn.

Jego żona westchnęła i na chwilę położyła lewą dłoń na czole kelnera. Runął na ziemię obok kolegi. Frigg spojrzała na mnie kątem oka.

- Nie martw się o niego – uspokoiła mnie. – To tylko niepamięć. Przydatne w uzdrawianiu, ale i zadziwiająco skuteczne w takich sytuacjach.

Syreny stały się jeszcze głośniejsze. Trzaskały rozliczne drzwi. Mnóstwo ludzi zaczęło

wykrzykiwać różne rzeczy.

- Powinniśmy już opuścić ten lokal – zauważyłem.
- Pozwólcie, że was zakamufluję – zaproponowała Morrigan.
- Nie mnie – powiedział Odyn. – Mam swoje metody.

Było mi naprawdę żal tego starzejącego się sommeliera, który tak bardzo kochał swojego chomika. Dlaczego Frigg poskapała mu daru niepamięci? Zgadła widać moje myśli, bo powiedziała:

- Idź już. Nic mu nie będzie.
- Widzimy się na zewnątrz – rzuciła Morrigan.

Poczułem delikatne gilgotanie kamuflażu na skórze i zacząłem przedzierać się przez tłum gości restauracyjnych, obsługi, policji i ratowników, aż wreszcie dotarłem do wolnego skrawka chodnika na Kirkegata. Do głowy wdarł mi się łagodny niczym papier ścierny głos Morrigan.

Po drugiej stronie ulicy, Siodhachanie – syknęła.

Odwróciłem głowę i zobaczyłem, że Morrigan i Odyn zrzucili swoje kamuflaże i gapią się na mnie z chodnika po drugiej stronie. Łaskotanie kamuflażu zniknęło i znów byłem widoczny. Przeczekałem kilka samochodów i przebiegłem przez ulicę.

– Ten zabójca jest dość sprawny fizycznie – poinformował mnie Odyn. – Przeskakuje z dachu na dach, co jest nie byle jakim osiągnięciem, jeśli wziąć pod uwagę, że są one nierzadko różnych wysokości. Moje kruki właśnie widziały, jak przeskoczył przez całą ulicę.

– Czyli to nie człowiek.

Odyn wruszył ramionami.

– Nie jest to mroczny elf. Widywałem nieraz takie sztuki u berserków. Niektórzy einherjarowie też potrafią coś takiego zrobić. Ktoś może temu wojownikowi dawać przecież moc. Ale kto? Musimy dorwać go jak najszybciej, nim skryje się gdzieś, gdzie nie będą go mogły śledzić moje kruki.

– Jak to zrobimy?

– Wejdziemy na dach tego budynku – odparł Odyn, jakby to wszystko wyjaśniało.

Weszliśmy za nim z Morrigan do czteropiętrowego ceglanego budynku i wspinaliśmy się po schodach, aż weszliśmy na fantastycznie płaski dach.

– Pobiegł w tę stronę – powiedział Odyn, wskazując Kirkegata.

Przedemną rozciągało się bardzo niewiele płaskich dachów. Nawet jeśli jakimś cudem dam radę przeskoczyć nad ulicą, to strome gontowe płaszczyzny nie wyglądały na takie, na których by się dało bezpiecznie wylądować.

– Rozepnij mnie, Siodhachanie – poleciła Morrigan. – Polecę jako wrona i dołączę do kruków Odyana.

Chcę zobaczyć na własne oczy, co się dzieje – dodała telepatycznie, gdy zabrałem się do rozpinania jej zamka w sukience. – *Nie lubię sytuacji, w których muszę polegać na cudzych informacjach.*

Gdy przemieniła się we wronę i odleciała w mrok nocy, zostałem sam na sam z Odynem, który wykorzystał tę okazję, żeby z dala od Frigg i Morrigan wyznać mi swoje prawdziwe uczucia.

- Patrzę na ciebie z równą chęcią jak na wielgachną otchłań w dupsku Jötunna – zaczął.
- Aha.

– Wolałbym nadziać cię na rożen jak wieprza, upiec z tymiankiem i nakarmić tobą wilki, niż gonić tego zabójcę. Ale nie mogę sobie pozwolić na to, żeby Morrigan pomyślała, że nie dotrzymuję danego jej słowa. Obiecałem jej pokojowe spotkanie i co? Szlag je trafił.

– Zupełnie to rozumiem.

– Nie podoba mi się też to, że ktoś wykorzystał Frigg, żeby nas namierzyć. Trzeba rozwiązać tę zagadkę. To co, odwalamy Johnny'ego Casha? Znaczy się, słyszałeś o nim, mam nadzieję? Taki amerykański piosenkarz.

– No, tak, słyszałem. *Man in Black* i tak dalej.

– Dobrze.

Odwrócił się na północ, włożył dwa palce między zęby i wygwizdał całą serię dość przerażających nut. Nocne niebo odpowiedziało rżeniem koni.

– O, nie – jęknąłem.

– Co jest grane, druidzie, boisz się koni?

– Hmm, te są dość wyjątkowe, prawda? Tak wyjątkowe, że nie mają nawet żadnej fizyczności.

– To tylko ich zaleta. Gładsza jazda.

Smoking Odyna przeszedł na moich oczach stylową transformację. Marynarka wydłużyła się i zmieniła w długi prochowiec, szarząc odpowiednio. Koszula zmieniła się w tunikę, spodnie w bryczesy, a buty urosły, żeby zakryć łydki porządną skórą. Wszystko to było równie szare. Twarz stała się bardziej pomarszczona i nieco się wydłużyła – wyglądała teraz na bardziej wymizerowaną i twardszą. Architektura brody poszła w strzępy, a sama broda zmieniła się w nieokiełznaną grzywę. Zęby błysnęły bielą w ciemnościach.

– Nie robiłem tego od bardzo dawna. Powinno być fajnie, nawet z takim głównym łasicy jak ty.

– Bardzo to uprzejme słowa z twojej strony.

Z północnej strony nadciągały niebieskozielone światła i wystarczyło kilka sekund, a już dawało się rozróżnić zarysy widmowych koni i psów. Zatrzymały się mniej więcej na dachu.

– Wsiadaj więc – rozkazał mi Odyn i sam wskoczył na jednego z wierzchowców. Niby było widać zarys, ale przy tym dało się spokojnie spojrzeć na wylot tego cholerstwa – wyraźnie widziałem dyndającą po drugiej stronie konia nogę Odyna. Mimo to zdawało się, jakby nordycki bóg siedział na czymś zupełnie stałym.

Podszedłem do jednego z koni i wsiadłem na niego wbrew wszelkim wizualnym dowodom na to, że nie będzie to możliwe. Poczulem jednocześnie ulgę i lekką panikę, gdy stwierdziłem, że mój ciężar jest utrzymywany przez coś bardzo końskiego.

– Rusza Dziki Łów! – krzyknął Odyn, a jego twarz zajaśniała zwierzęcą radością. Spiał swojego widmowego ogiera i cała drużyna popędziła do przodu, unosząc się nad dachami. Wyglądało to, jakbyśmy ślizgali się po nocnym niebie nad Oslo, a wtedy bóg otworzył usta i zawył stary refren Johnny'ego Casha o widmach jeźdźców. Kilka dodatkowych koni rżało tuż przy naszych, a część psów wyła do gwiazd.

Jazda na widmowym rumaku przypominała nieco wskakiwanie na ruchome chodniki na lotniskach. Nie mogłem narzekać – jazda była tak gładka, jak zapowiedział Odyn. Ale muszę przyznać, że nieco jednak panikowałem. Byłem przyzwyczajony do latania w postaci sowy, ale nie do unoszenia się nad światem jako człowiek. A dodatkowe konie i cała sfera niebieskozielonych psów tylko jakby podkreślały, że cała ta drużyna powinna pędzić po ziemi, a nie w powietrzu.

Bez trudu dogoniliśmy dwa kruki i wronę, które podążały za strzelcem. Do mojej głowy znów się wślizgnął głos Morrigan.

Widzę go. Ubrany jest jak współczesny najemnik. Czarne opancerzenie bojowe i buty. Karabin zostawił na dachu, naprzeciwko restauracji.

Nie odpowiedziałem. Spojrzałem na Odyna, żeby zobaczyć, jak zareaguje, gdy kruki przekażą mu te same wieści. Jego mina, taka jeszcze przed chwilą podekscytowana, zupełnie się jednak skwasiała.

– Co się dzieje, Odyne?

Sporunowałem mnie spojrzeniem.

– Nie mam swojej włóczni, niechbyś szedł w Helu – warknął.

– Ano właśnie, dobrze, że poruszyłeś ten temat – odpowiedziałem. – Co niby zrobimy z tym gościem, jak już go dogonimy, skoro nie mamy przecież żadnej broni?

– Psy się nim zajmą – zapewnił mnie Odyn.

Nie trać czujności – ostrzegła Morrigan. – Nie zauważył jeszcze ani mnie, ani kruków, ale usłyszał Łów i wie, że jesteście za nim.

Nie bardzo rozumiałem, co niby jej zdaniem miałbym zrobić z tą informacją. Mój nierzeczywisty konik nie miał nawet lejców. Nie mogłem go zawrócić, zwolnić czy przyspieszyć. Z praktycznego punktu widzenia byłem właśnie na przejażdżce w wesołym miasteczku zwanym Dzikie Łów – wpięty bezwolnie w siodło. Tak mniej więcej.

Naszym oczom ukazał się zabójca, bo głowę i ramiona oświetlał mu teraz księżyc, ale poza tym było go mniej więcej tak łatwo dojrzeć jak Dzikie Łów. Wylądował na płaskim dachu przed nami, obrócił się i trzymając pistolet w prawej ręce, a stabilizując lewą, wykonał kilka metodycznych rundek ostrzałów, póki trzecia nie wypchnęła Odyna z siodła. Bóg poleciał do tyłu i zobaczyłem, jak ląduje w dziwnej pozycji na dachu poniżej. Dzikie Łów pędził jednak dalej, a ja obróciłem się i zdążyłem jeszcze zobaczyć, że wymachuje rozpaczliwie rękoma, więc żyje. I wtedy właśnie też mnie coś pchnęło do tyłu, a że zostałem postrzelony, zrozumiałem dopiero, gdy spadałem już na ulicę, nie na wygodny dach.

W takich właśnie sytuacjach w pełni doceniam moje charmsy, dzięki którym wystarczy jedno mentalne polecenie, a nie całe wypowiedzianie splotu na głos. Włączyłem charmsy pozwalający na przemienienie się w wydrę, po czym przekręciłem się nogami w dół, przez co wpadłem w mój nagle dużo za duży smoking. Zadziałał jak prowizoryczny spadochron, uderzenie więc było jedynie bolesne, nie śmiertelne. Pisk opon świadczył o tym, że zaraz może mnie i tak spotkać śmiertelny wypadek, ale, bogom dzięki, Norwegowie nie mają w zwyczaju przejeżdżać eleganckich ubrań, które spadają na nich z nieba. Gdy wydawałem ciche popiskiwanie wydry i usiłowałem ocenić, w jakim złym stanie się znalazłem, usłyszałem, że drzwi się otwierają, zamykają, a potem zbliżają się do mnie czyjeś kroki. Ktoś chciał sprawdzić, czy smoking ma jakąś zawartość. Próbowałem przepchać się przez kołnierzyk, ale dopiero wystawiałem z niego głowę, bo moje ciało nie bardzo chciało się poruszać. Kula trafiła między dziewiątym a dziesiątym zębem po mojej lewej stronie, co oznaczało, że właściwie zgruchotała mi śledzionę. Uruchomiłem charmsy uzdrawiający i licząc na to, że Morrigan mnie usłyszy, nadałem mentalny komunikat:

Sukinkot mnie trafił. Odyna też.

Przecież cię ostrzegałam – padła odpowiedź. – Teraz już wiesz, dlaczego musieliśmy ci naprawić tatuaż. Już leć.

Nad sobą usłyszałem szybką sekwencję strzałów. Kobieta – bo była to kobieta – która mało mnie nie przejechała, drgnęła, pisnęła cicho i zadarła głowę. Potem obejrzała się, bo za nią już zaczęło się trąbienie. Mnie jak dotąd nie zauważyła.

A co z zabójcą? – spytałem Morrigan.

Psy z Dzikiego Łowu właśnie go rozszarpują. Odkrył na drodze eksperymentu, że kule nie działają na bezcielesne widma.

*Ale w ten sposób nigdy się nie dowiemy, kto go nastal – zdenerwowałem się.
Myślę, że już wkrótce poznamy odpowiedź.*

Miała pani, która mnie nie przejechała, w końcu jednak spojrzała na tyle nisko, że mnie zauważyła. Na swetrze miała wielki żółty znaczek, na którym napisane było *Linda*. Zmrużyła skryte za wielkimi okularami oczy i pochyliła się niepewna, czy nie ma halucynacji.

– O! To wydra! Śliczna, mała wyderka! A ty co tu robisz? Chwila. A co ja tu robię? Aaa! Przeście trąbić! No już, wyderko. Uciekaj stąd. Uciekaj z ulicy. – Zaczęła mnie zganiać ręką z ulicy, jakby ludzkie gesty były uniwersalnie zrozumiałe dla wszystkich zwierząt. Odwróciłem się na plecy i starałem się wyglądać rozpaczliwie, co nie było jakimś wielkim wyzwaniem dla moich talentów aktorskich. Linda natychmiast zauważyła, że coś mi dolega. – Hej, co tobie? Nie wyglądasz najlepiej. Biedactwo.

Wydałem zawodzący jęk, żeby jeszcze bardziej przycisnąć guzik zwany współczuciem. Magia nie magia, zostałem przecież postrzelony i za wszelką cenę chciałem się stąd wydostać. Zadziało.

– Oj! Ty chyba jesteś chora. Zabiorę cię do weterynarza, jeśli obiecasz, że mnie nie ugryziesz.

Pojęcia nie miałem, jakiej obietnicy spodziewała się po wydrze. Zaczynałem podejrzewać, że Linda cierpi na jakieś poważne zaburzenia. Mimo to jednak była to dobra dusza i uznałem, że jest większa szansa, że to ona mi pomoże, niż że zrobi to ktokolwiek inny. Powtórzyłem więc zawodzący jęk i przymknąłem oczy. To przeważało szalę.

Podniosła mnie, owinęła w koszulę i zabrała do samochodu. Był to jeden z tych europejskich drobiazgów, co wyglądają jak pudełka od zapalek na kółkach. Płaszcz i spodnie zostawiła na ulicy. Mało mnie nie upuściła, gdy się zorientowała, że krwawię.

– Och, nie! Boże! Proszę cię, nie umieraj!

Teraz to już zupełnie ignorowała trąbienie za plecami. Już jej to zupełnie nie obchodziło. Miała misję. Otworzyła drzwi pasażera i ostrożnie położyła mnie na siedzeniu, a potem obiegnęła samochód i siadła za kierownicą. Zaszylem się w koszuli, która zupełnie zasłoniła mi przednią szybę, i dlatego w ogóle nie zauważyłem ataku. Linda też nie, bo gdy nastąpił, patrzyła akurat na mnie.

Postać w czerni zleciała na nas prosto z nieba i rąbnęła pięścią w maskę samochodu w chwili, gdy Linda naciskała pedał gazu. Przednia część została na miejscu, ale tylna skoczyła do góry, a ja zleciałem z siedzenia. To nie wpłynęło najlepiej na stan mojej śledziny.

Linda wrzasnęła, lecąc do przodu. Poduszka powietrzna po stronie kierowcy zadziałała zgodnie z obietnicą producenta. Trąbienie za nami ustało, bo ludzie połapali się, że jednak dzieje się coś poważnego i korek nie zrobił się z winy czyjegoś kaprysu.

– Wychodź! – wrzasnął wściekły głos. To mógł być głos kobiety. Mówiła po norwesku. Linda albo była zbyt zdezorientowana, albo zbyt rozsądna, żeby wykonać ten rozkaz.

Zaatakowała nas – zameldowałem Murrigan.

Widziałam. Jeśli zapomnę powiedzieć potem, to dziękuję za wspaniały wieczór pełnego chaosu.

Hmm. Nie ma za co?

Wzdrygając się z wysiłku, zdołałem wyplątać się w końcu z koszuli od smokingu i wczółgać z powrotem na siedzenie pasażera, gdy drzwi kierowcy otworzyły się raptownie, a Linda została siłą wyciągnięta z samochodu. Powinna była zapiąć pasy.

Przemieniłem się z powrotem w człowieka i jęknąłem głucho, gdy moje wnętrzności znów uległy przetasowaniu. Nie poprawiało to jakoś znacząco mojej sytuacji, tyle że teraz lepiej widziałem, co jest grane. Spod maski wydobywały się kłęby pary. Samochód był już raczej na straty. Postać w czerni, którą zobaczyłem, nie zamierzała wcale wyciągać mnie też z samochodu. Chciała unieść autko i cisnąć nim ze mną w środku – boska wariacja na temat zabójstwa drogowego. Nie mogłem jeszcze wywnioskować wiele na temat atakującego, bo nie tylko ubrany był na czarno jak typowy najemny zabójca, ale jeszcze miał do tego kominiarkę. Ani jedna część jego ubrania nie była zrobiona z naturalnych materiałów, więc nie miałem czego splatać. Szukałem palcami klamki, a tymczasem Czerniak uniósł samochód od przodu, chwytając lewą ręką za koło, a prawą chyba za przedni zderzak. Znajdowanie się w samochodzie, który właśnie odrywa się od ziemi, jest dość przerażające. Ma się to przemożne wrażenie, że coś tu jest nie tak, gdy wisi się w powietrzu w aucie, które nie znajduje się na planie filmowym i nie bierze wcale udziału w jakimś kaskaderskim wyczynie.

Morrigan sfrunęła z nieba, przemieniła się w locie i kopnęła tajemniczą osobę w szczękę. Samochód runął na ziemię, ja rąbnąłem się w głowę, a potem miałem okazję zobaczyć, jak Morrigan ciska agresorem o asfalt. Naga. Bez żadnej broni. Na oczach rosnącego tłumu świadków.

Obydwie postacie zaczęły się poruszać szybciej, niż nadażać za nimi oko, przez co zlewały się nieco przy zadawaniu ciosów i kopaniu. A to oznaczało, że zabójcą jest jakiś bóg; żaden człowiek nie dałby rady tak walczyć z Morrigan. To przywodziło z kolei na myśl wampiry. Wyobrażam sobie, że wystarczająco stary wampir dałby może radę z nią walczyć. Morrigan tymczasem przerwała na chwilę walkę, by otrzeć krew z ust. Uśmiechnęła się, a czerwone były już i jej zęby, i oczy.

– Jesteś uroczą osobą, kimkolwiek jesteś.

Żałowałem, że nikt nie kręci tego dobrą kamerą, żebym mógł potem spokojnie podziwiać sobie sztukę walki. Te kilka osób, które usiłowały nagrać nocną walkę na komórkach, raczej spotka rozczarowanie. Morrigan i anonimowa postać znów rzuciły się na siebie, wymieniając głośne uderzenia, a jednak wyraźnie nie dając rady uczynić sobie nawzajem żadnej większej krzywdy.

Otworzyłem drzwi do samochodu i wymknąłem się na ulicę bez kamuflażu, bo starałem się oszczędzać resztki magii. Zaciśnąłem ręce na otwartej ranie, której nie miałem na razie jak zamknąć, bo kula nadal tkwiła w środku i trzeba by było najpierw ją wyciągnąć. Moje pojawienie się wywołało komentarze społeczeństwa. Głównie były to rozmaite wersje zdania: „Ten mężczyzna jest nagi i krwawi!”, ale nie byłem oczywiście aż tak zajmujący jak kobieta, która była nie tylko naga, ale i bardzo wojownicza. Jedyna Linda – która na szczęście wyglądała na całą i zdrową, może jedynie nieco obita – uznała moje pojawienie się za fascynujące i przerażające.

– A to kto? Skąd on się wziął w moim samochodzie? Nie znam tego człowieka! Przysięgam, że to nie mój facet! Nie jechałam przecież z nagim facetem! A w sumie szkoda, jak się tak nad tym zastanowić. Niezły widok. Hmm!

Niewiele mogłem pomóc w walce. Nie byłem w stanie dorównać im prędkością czy siłą i miałem teraz kilka dość obolałych kawałków. Mimo że moje wyniki w starciach z pogańskimi bogami i wampirami prezentowały się nieźle na papierze, wcale się nie paliłem do walki z kimś, kto dorównywał siłą Morrigan. Poza tym miałem się przecież ukrywać, więc rosnąca liczba kamer z komórek wpędzała mnie w lekkie podenerwowanie. Wycofałem się, dziwnie kuśtykając, i zmierzałem w stronę mrocznego zaułka między budynkami. Nikt mnie nie próbował powstrzymać, póki nie wszedłem między kamienice.

W ciemności zamajaczyła mi szara postać. Księżycowa poświata oświetlała skroń i nos. Krew zalała tunikę i sączyła się przez płaszcz z prawej części jego torsu.

– Dokąd to? – spytał Odyn.

– Och! Jak najdalej. Chyba. Jeszcze tego nie zdążyłem przemyśleć. Ktokolwiek to jest, gdyby potrafił mnie namierzyć, nie musiałby rzucać czaru na naszyjnik Frigg, a poza tym nie czuję się chwilowo na siłach walczyć.

– Ja też nie – warknął Odyn. – Możemy uznać, że załatwiliśmy, co mieliśmy załatwić. Możesz iść. Ale nie chciałbyś się dowiedzieć, kto chce cię zabić? Bo ja bym chciał.

– Uznałem, że ktoś mi potem da znać, co odkryliście. A gdzie się podział Dzikie Łów?

– Odesłałem go już. Świetnie się sprawdza nad dachami, ale na poziomie ulicy, wśród cywilów, już mniej.

– Słuszne rozumowanie. A propos, gdybyś chciał przesunąć tę walkę w zaułek, żeby łatwiej ci ją było obserwować, chyba dałbym radę to załatwić. Nie byłoby tu też tych cywilów, chyba że któryś by przylazł z ciekawości.

– Zrób to.

Odyn zaczął z powrotem zmieniać swój image z Szarego Wędrowca na imponujący autorytet w smokingu.

Przesuńcie się do zaułka za wami. Jestem tu z Odynem – nadałem w umyśle do Morrigan. Nie dostałem odpowiedzi, ale charakter walki się zmienił.

Morrigan zmieniła taktykę i udało jej się chwycić przeciwnika czy też przeciwniczkę i cisnąć nim (nią?) przez całą ulicę, aż do zaułka, w którym czekaliśmy. Zgromadzony tłum wydał zbiorowy okrzyk zdumienia. Napastnik wylądował z hukiem u naszych stóp. Odyn pochylił się i lewą ręką zerwał mu maskę. Okazało się, że była to jednak kobieta.

W pierwszej chwili jej nie poznałem, bo włosy miała potargane, a nos i usta zalane krwią. Poza tym patrzyłem na nią do góry nogami. Ona jednak rozpoznała mnie i natychmiast, jeszcze leżąc, zamachnęła się nogami tak, żeby podciąć moje. Przeskoczyłem nad nimi, jakby to była skakanka, ale nie podkręciłem sobie prędkości, a ona było o wiele szybsza. Zerwała się z ziemi, nim się zorientowałem, co zamierza, i rąbnęła mnie w splot słoneczny, aż poleciałem tyłem w głąb zaułka. Rzuciłaby się z pewnością za mną, gdy Odyn nie chwycił jej lewą ręką za gardło. Zawyla, usiłując mu się wyrwać, ale on nie puszczał, a jego uścisk był gorzej niż żelazny. Jak na faceta, który nie czuł się na siłach, by walczyć, całkiem nieźle sobie radził.

– Poddaj się, Freju! W tej chwili!

Freja, nordycka bogini wojny i piękna, miała nieco ponadprzeciętną liczbę powodów, by mnie nienawidzić. Nie musieliśmy jej wcale wypytywać. Zabiłem jej brata i podjąłem bardzo nierozsądną decyzję, by sprzedać ją za pomoc ze strony olbrzymów mrozu. Ragnarök nie Ragnarök, ona będzie nienawidziła mnie po wsze czasy i za wszelką cenę szukała mojej śmierci. Odyn przycisnął ją do muru, tak że jej stopy wisały nad ziemią. Po chwili przestała się wyrwać i osunęła bezwładnie. Wtedy pozwolił jej dotknąć ziemi i poluzował uścisk, ale jej nie puścił.

– Omówimy twoją zdradę, gdy wrócimy do Asgardu – warknął.

– Kto tu kogo zdradził, Odynie? – syknęła, plując krwią. – Zawierasz porozumienie z mordercą własnych ludzi i...

– W Asgardzie! – ryknął Odyn.

Zamilkła, zacisnęła usta i oczy. Widać nie chciała nawet na mnie patrzeć, jeśli nie mogła mnie zabić. Wstałem, ale język trzymałem za zębami. Nie było słów, którymi zdołałbym ją przeprosić za moje przewiny.

Nadeszła zakrwawiona i posiniaczona Morrigan.

– Bardzo miło było mi cię poznać, Freju. Szczególnie od tej strony. – Uśmiechnęła się

krwawo. – Mam nadzieję, że wkrótce znów będziemy miały okazję się spotkać.

Freja nie odpowiedziała.

Odyn odwrócił głowę w moją stronę.

– Nie wiem, jak wyrazić moje ubolewanie...

– Nie ma o czym mówić – zapewniłem go. – Nasza umowa nie ulega zmianie. Daj mi kilka dodatkowych dni na wygojenie ran i załatwienie dostarczenia Gungnira. Powiem twoim krukowi, gdzie mają go odebrać. I stawię się do pomocy na koniec świata, jeśli świat mnie przedtem nie zabije.

Skinął mi dostojnie głową.

– Gdybyś mógł nas zostawić teraz na osobności.

Uczyniłem to z wielką przyjemnością.

Morrigan, musimy pozabierać komórki świadkom. Nie możemy pozwolić, żeby internet zalały filmiki z waszą walką albo ze mną w tle.

Ja to zrobię. Ty idź i się lecz, Siodhachanie. – Podeszła bliżej i złożyła mi na ustach krwawy pocałunek. – *Odezwij się. Chętnie skoczę na mecz baseballu.*

Rzuciła na siebie kamuflaż i zniknęła mi z oczu. Zaraz potem dało się słyszeć na ulicy okrzyki rozpacz, gdy kolejne telefony wyskakiwały z rąk, torebek i plecaków, by ulec tajemniczej autodestrukcji na chodniku. Nikt nikomu nie udowodni, że na ulicach Oslo walczyli bogowie. Pozostawała tylko niczym niepotwierdzona plotka.

Zostawiłem Odyna i Freję w ciemnym zaułku, po czym puszczając mimo uszu zaintrygowane okrzyki gapiów, podniosłem spodnie i marynarkę z ulicy. Gdy już byłem ubrany, mogłem wreszcie kilka przecznic dalej złapać taksówkę, która wywiozła mnie w las, i tam w końcu udało mi się wynieść w jakieś bezpieczniejsze miejsce.

Podleczyłem się, powędrowałem trochę po południowo-zachodnim Kolorado, aż znalazłem miejsce w lesie, które można było uznać za bezpieczną kryjówkę. Domek nadawał się do gruntownego remontu. Była to stara górnicza chatka w górach pod niewielką miejscowością o nazwie Ouray, charakteryzowała się więc idealną odludną lokalizacją. Jedyne osoby, które w ogóle zapuszczały się tak daleko, byli miłośnicy jeepów z napędem na cztery koła, a oni nigdy nie zatrzymywali się przy chatce. Czasami zajeżdżali do kopalni Camp Bird Mine, która znajdowała się nieco niżej, ale głównie pędzili cieszyć się dzikimi kwiatami w Yankee Boy Basin. Zresztą nawet oni pojawiali się tylko latem, bo droga była nieprzejezdna, gdy tylko spadł śnieg, a ten nie zamierzał przecież stopnieć aż do późnej wiosny. Mogłem bez trudu się tam przenieść, bo okolica obfitowała w sosny i świerki, a gdy już splotłem je z Tír na nÓg, mogłem pojawiać się w zasięgu skoku kung fu od drzwi.

Przez Hala Hauka załatwiłem kupno chatki i postanowiłem, że użyję jej jako skrzynki pocztowej do przekazania Gungnira. Załatwianie papierków trwało dłużej, niżbym chciał, ale gdy wreszcie dostałem klucze i zapewniono mnie, że nikt nie będzie mi się kręcił po terenie, przeniosłem się do kanionu de Chelly, a stamtąd podjechałem autostopem do naszej przyczepy na Many Farms. Moja uczennica i mój pies byli dość zadowoleni z mojego powrotu i zadawali mi mnóstwo pytań.

Uniosłem dłoń i pokazałem im jej wierzch.

– Morrigan połatała mi tatuaże. I wiele innych rzeczy – powiedziałem. – A u was wszystko w porządku?

– Było. Póki kilka dni temu coś nam tu w okolicy nie zdechło czy coś – odparła Granuaile. – Bo cały czas krążą nad nami te okropne kruki. Ale nie udało nam się namierzyć tej padliny i cholerstwa za nic nie chcą odlecieć.

Wskazała na niebo, gdzie unosiły się nad nami dwa czarne cienie. Gdy tylko na nie spojrziałem, kruki sfrunęły i usiadły na naszej przyczepie zupełnie tak, jak zwykła to robić Morrigan.

– Dobra, to jest naprawdę dziwne. Szkoda, że nie masz popiersia Pallas – mruknęła Granuaile.

<Albo krakersów. Ponoć ptaki uwielbiają krakersy>.

– Wiem, kim są te ptaki – powiedziałem.

– Kim są? To zmiennokształtni? – spytała Granuaile.

– Nie. To Hugin i Munin. Kruki Odyna. – Wyciągnąłem mapę mojej nowej nieruchomości i pokazałem ją ptakom. – Odynie – powiedziałem, zwracając się do kruków – zostawię Gungnira w Midgardzie, w chacie, której położenie jest zaznaczone na tej mapie. – Pokazałem mu zakreślony obszar. – Będę tam jeszcze dziś wieczór. Chata jest niezamieszka i otwarta. Zostawię Gungnira w szafie w głównej sypialni. Bezpiecznej podróży.

Złożyłem mapę i cisnąłem ją na dach przyczepy. Kruki zakrakały i jeden skoczył, żeby porwać mapę w swoje szpony. Odleciały, wrzeszcząc przy tym niemiłosiernie, a ja znów miałem spokój i mogłem się skupić na szkoleniu uczennicy.

<Hmm. Czyli że jednak nie chciały krakersa. Kolejny mit obalony>.

– To byli Hugin i Munin?

– Ano. Granuaile, gdybym podczas następnych lat twojej nauki nagle zaczął się nudzić i pragnąc akcji, przypomnij mi o tym epizodzie, dobrze?

– Nie wiem właściwie, co to był za epizod, ale jasne, sensei.

<A właśnie, Atticusie, miałem ci przypomnieć, że musimy jechać na to barbecue w Atlancie!>

Barbecue w Atlancie?

<No gdzieś na południu. Mówiłeś, że dostanę tam rwaną wieprzowinę i mostek wołowy>.

Naprawdę jakoś nie pamiętam.

<Widzisz, właśnie dlatego musiałem ci przypomnieć>.

Uśmiechnąłem się.

Jesteś bardzo sprytnym psem.

<A ty jesteś doskonałym dostawcą pożywienia>.

Nie podlizuj się.

– To kiedy dowiem się, o co chodziło w tym całym epizodzie? – spytała Granuaile. – Wygląda na to, że Odyn wrócił.

– Wrócił. Opowiem ci wszystko wieczorem. Muszę jeszcze coś załatwić. Kontynuuj trening i udawaj, że mnie nie ma.

– Tak jest, sensei.

Gungnir był zakopany w ziemi tuż obok przyczepy i skryty w żelazie, żeby nie dało się go wywróżyć. Z pomocą żywiołaka Kolorado i żywiołaka żelaza Ferrisa wyciągnąłem go bez większych problemów. Przyjrzałem mu się, żeby się upewnić, że jest w dobrym stanie, ale starałem się nie dotknąć ozdobionego runami grotu, żeby moja aura nie zniszczyła magii.

Ta włócznia już przelała mnóstwo krwi, a teraz zwrócę ją Odynowi i przeleje jeszcze więcej. Ale ludzie, którzy są żądni rozlewu krwi, zawsze znajdą sposób, żeby ją przelewać,

zupełnie tak, jak ludzie dobrej woli zawsze znajdują sposób, by być błogosławieństwem dla bliźnich.

Budować i hodować jest o wiele trudniej niż ścinać. Spędziłem kiedyś dwanaście lat na pokazywaniu uczniowi, jak przyjmować magię ziemi, a potem w jednej chwili odrąbał mu głowę jakiś wojownik Al-Mansura w Galicji. Wraz z Cíbranem straciłem zapał do tego żmudnego procesu szkolenia – i to straciłem go na o wiele zbyt długo. Miałem sporo wątpliwości, nim zabrałem się do uczenia Granuaile, a i potem kilka razy zastanawiałem się, czy podjąłem słuszną decyzję.

Ale spotkanie z Odyem dało mi nową nadzieję. Teraz, gdy walczyliśmy tak jakby po tej samej stronie, a on utrzyma moją udawaną śmierć w sekrecie, z lżejszym sercem myślałem o pozostałej nauce i zaczynałem nawet wierzyć, że może przez te lata nikt nas nie namierzy i nie zniszczy.

Nie bardzo wierzyłem natomiast w moją zdolność skupiania się przy Granuaile. Po całych tygodniach z Morrigan i jej huśtawkach nastrojów niczego tak nie pragnąłem, jak porozmawiać z Granuaile, nacieszyć się jej żywym umysłem, poczuciem humoru i zrównoważoną osobowością. Nie żeby Granuaile była zupełnie spokojna czy pogodzona z sobą, ale przynajmniej była na dobrej drodze i wspaniale było to czuć i doceniać. Morrigan natomiast była zagubiona na zawsze w kompletnej dzicy psychologicznej. Ale przez to wszystko obawiałem się, że się zagapię i uśmiechnę do Granuaile w sposób, który pokaże jej, jak bardzo mi na niej zależy.

Pogoda też mi raczej nie sprzyjała, jeśli chodzi o fizyczną stronę tej całej sytuacji. Nadal było upalnie, a Granuaile wkładała bardzo obcisłe ciuchy na treningi. Gdy miałem właśnie wyciągnąć Gungnira z ziemi, ćwiczyła zaawansowane ruchy tai chi.

<Atticusie, powinienem cię ostrzec, że znajdujesz się w strasznym niebezpieczeństwie>.
Bez przesady. Ledwie zaczęła.

<No tak, to prawda. Zresztą i tak nam się skończyły przekąski, więc brak mi zachęty do ratowania cię przed twoimi zwierzęcymi żądzami>.

Co? Jak to skończyły się nam przekąski?!

<Bardzo słuszne pytanie! Granuaile zauważyła ten brak już kilka dni temu. Powiedziała: „Skończyły nam się przekąski”. Słyszałem ją dobrze. A potem nie zrobiła nic, by temu zaradzić. Mogę tylko wyprowadzać z tego wniosek, że ona chciała, żeby te przekąski się skończyły. A z tego z kolei wnioskuję, że nie chce, żebym cię więcej ratował. Strzeż się, druidzie! Rozpracowała nas!>

Nie chciałem mu wierzyć, ale jestem z natury podejrzliwy. Obróciłem więc głowę i zobaczyłem, że ruchy Granuaile są idealne. Była absolutnie urzekająca. No i oczywiście zaraz mnie przyłapała na gapieniu się.

Bogowie niejedyni, chyba masz rację! Szybko! Do Geekomobilu!

<Pędem!>

Niedawno sprzedaliśmy hybrydowego SUV-a Granuaile i kupiliśmy nowego o jasnozielonym lakierze, który to kolor producent postanowił ochrzcić mianem „Lime Squeeze”. Odcień miało toto zupełnie jak Mountain Dew, ulubiony napój wszystkich nerdów, geeków i dorków, w pełni więc zasługiwało na miano Geekomobilu.

Wrzuciłem Gungnira do bagażnika i otworzyłem drzwi Oberonowi, żeby wskoczył do środka.

– Hej, a wy dokąd? – spytała Granuaile.

– Musimy uzupełnić zapasy – powiedziałem. – Skoczmy do Chinle.

A potem do kanionu de Chelly, skąd mogłem już z łatwością przenieść się do chaty pod Ouray i podrzucić tam włącznie Odyne. Moglibyśmy też wybrać się tam z Oberonem na polowanie.

– Chcę jechać z wami!

– Nie, ty musisz trenować. Poćwicz rzucanie nożami do celu i nie zapominaj o ćwiczeniach z kijem. Jutro zajmiemy się nowymi sztukami walki, obiecuję. I chcę się jutro dowiedzieć, jak ci idzie ze staroirlandzkim.

Zatrzasnąłem drzwi i włączyłem silnik, nim zdołała mnie przekonać, żebym ją zabrał. Uciekaliśmy tak szybko, że aż się za nami kurzyło.

<To ile jeszcze lat musisz ją szkolić? Pięćset czy coś?>

Tylko sześć.

<To nie ma znaczenia. Będziesz musiał wymyślić jakiś inny plan. Nie żebym miał coś przeciwko przekąskom>.

Wiem, ale kończą mi się już pomysły.

<Możesz, jak będzie spała, domalować jej wąsy niezmywalnym markerem>.

Ma przecież lustro, Oberonie.

<No dobra. To zabierz ją do fryzjera i zapłać mu ukradkiem, żeby ją ściał z tyłu długo, z przodu krótko, skoro nie ma mieć wąsów na przedzie>.

To by pewnie zadziało. Tylko że zabiłaby mi tego fryzjera.

To by w życiu nie zadziało. Tej dziewczyny nie zepsuje jakaś tam fryzura.

<No to już nie wiem. Wyczerpały mi się pomysły. W końcu odwalicie razem Discovery Channel, a potem z wyrzutów sumienia sprawisz sobie włosiennicę i będziesz spać w żelaznej dziewicy. Twój koniec już bliski>.

Te słowa przypomniały mi o mojej obietnicy, że będę walczył po nordyckiej stronie podczas Ragnaröku, kiedy i jeśli nadejdzie.

Nasz koniec jest bliski tak czy siak – stwierdziłem. – A tymczasem jednak zamierzam doceniać to, co mam.

<O, w tym to zawsze mogę ci pomóc! Przede wszystkim masz mnie!>

Wetknął łeb między siedzenia i oblizał mi ucho. Był to klasyczny Wet Willy. Odsunąłem się w panice i roześmiałem.

I bogom dzięki, chłopie – powiedziałem.

